

Mairi  
Wilson

LIST  
Z PRZESZŁOŚCI



Mairi Wilson

LIST  
Z PRZESZŁOŚCI

PRZEŁOŻYŁA  
Monika Skowron



*Rodzicom, którzy przekazali mi  
miłość do książek.*

*Trzy są rzeczy, których nie da się  
długo ukrywać:  
słońce, księżyc i prawda.*

PRZYSŁOWIE  
PRZYPISYWANE BUDDZIE

# 1

## EDYNBURG, 3 CZERWCA 2014 ROKU

L  
exy usłyszała, jak taksówka odjeżdża. Stanowczo przesadziła z napiwkami, usiłując wynagrodzić kierowcy straconą szansę na lepszy kurs z innym pasażerem wysiadającym prosto z pociągu z Londynu, ale to i tak nie pomogło. Taksówkarz spojrzał na nią spode łba, wciskając pieniądze do kieszeni, i wymamrotał pod nosem coś, czego nie usłyszała, chociaż dałaby głowę, że słowa „głupie dziewczysko” padły dość wyraźnie. Niezbyt dobra wróżba na początek paru – jak się spodziewała – trudnych dni, wypełnionych zajmowaniem się sprawami zmarłej.

Budynki piętrzyły się nad jej głową, masywne i poplamione brudami miasta. Numer 17 nie wyglądał znajomo, nie rozpoznała zresztą żadnej z kamienic stojących w szeregu na krótkiej ulicy, jednak gdy tylko przekreśliła klucz w zamku drewnianych drzwi wejściowych i poczuła chłód korytarza, załamy ją wspomnienia. Zatechła wilgoć mieszała się z ostrym zapachem wybielacza do czyszczenia bruku. Aromat skoszonej trawy wpadał do środka przez otwarte arkady wychodzące na ogród. Najpierw jęk, a potem trzaśnięcie zamykających się za nią drzwi uciszyły nagle szum odległego ruchu ulicznego, tak jak wciśnięcie guzika wyłącza radio. Przygryzła wargę i stała, drżąc w posepnym półmroku, pogrążając się w przeszłości.

Wiedziała, co zobaczy, kiedy spojrzy ponad kręte schody na szklaną kopułę w suficie. Kurz, który oprószył padające na nią snopy kolorowego światła. Już kiedyś tu była, małą rączką trzymała silną dłoń matki. Wyobrażała sobie

rozpromienioną twarz Ursuli, kiedy kobieta wołała z góry, by się pospieszyły. Jakże odstrasżające wydawały się te schody dziecku, które mieszkało w parterowym domu. Hop, hop, hop, bez końca w górę. Wycofała się z ociąganiem, potrząsając głową.

– Tylko popatrz, Lex. Schody uśmiechają się na nasz widok. – Jej matka pochyliła się i wyszeptwała jej do ucha: – Chyba powinniśmy odwzajemnić uśmiech, prawda? Pokażmy, jak się cieszymy, że tu jesteśmy, dobrze?

Tak Lexy zrobiła wówczas i to uczyniła teraz, zdając sobie sprawę, że ów „uśmiech” to nic innego jak łuk w krawędziach stopni wyżłobiony mozolnymi krokami każdego, kto wchodził po schodach, także jej i matki.

Schody były warte wspinaczki, mimo że Lexy oddychała z trudem, gdy udało jej się wdrapać do mieszkania Ursuli na samej górze. Stała w progu, wygrzewając się w słońcu, które zalewało przestronny korytarz, wpadając przez okna wykuszowe w salonie. Widziała w oddali zielony przestwór parku miejskiego The Meadows. Dym unosił się jak mgła nad trawą, gdzie rozsiadły się grupy odpoczywających studentów – grill dogasał i świętowanie zdanych egzaminów chyliło się już ku końcowi. Smugi różu i fioletu siniaczyły bezchmurne niebo – zapierające dech w piersiach, zaskakujące, a mimo to kojące. Wiadomo, dlaczego Ursula została tu na długo po tym, jak przeszła na emeryturę, mimo że te schody musiały stanowić dla prawie dziewięćdziesięciolatki nie lada wyzwanie. Jej upadek nie był niespodzianką, bez względu na to, co sugerowały policyjne protokoły.

Czuąc się jak intruz, Lexy postawiła walizkę i torbę przy drzwiach i zrobiła parę kroków w głąb korytarza. Wszystkie pokoje były otwarte, a prowadzące do nich drzwi uchylone. Popchnęła te po swojej lewej i zajrzała do sporej kuchni zbudowanej na planie litery „L”, stół jadalniany i ławki wbudowano w altankę na samym końcu naprzeciwko okna. Lexy miała stąd także widok na The Meadows, choć pod skosem i bez poświaty zachodzącego słońca. Siedzenie przy oknie za

stołem było wyściełane poduszkami, idealne miejsce do przesiadywania z gazetą i filiżanką herbaty o poranku. Czy naprawdę pamięta, jak siadywała tu matka, czy raczej Isobel miała to w zwyczaju?

Pokój był czysty, obok zlewu stał tylko pojedynczy talerz oparty o kubek, nieopodal pozostawiono do wyschnięcia odwrócony wazon; namalowane na nim ozdobne osty i liście błyszcząły błękitami i wieloma odcieniami zieleni. Lexy z miejsca go poznała: taki sam stał w korytarzu u jej matki. Czy Ursula pozostawiła po sobie taki porządek, czy też raczej ktoś posprzątał tu po jej śmierci, wyrzucił więdnące kwiaty, zgarnął okruszki, umył naczynia?

Sprawę rozstrzygnęła sterta korespondencji na blacie kuchennym. Ale kto to mógł być? Policja? Pracownik kancelarii notarialnej? A może to opieka społeczna zajmuje się takimi rzeczami. *Miło by było*, pomyślała Lexy, jednocześnie w to powątpiewając.

Kiedy kobieta wyszła na korytarz, odezwała się jej komórka. SMS. I jeszcze jeden. Powinna odpisać, ale nie miała pojęcia co. Rzuciła okiem na torebkę, po czym odwróciła się.

Otworzyła drzwi po prawej i ogarnęła ją fala nostalgii. Dwa podwójne łóżka z pasującymi do siebie różowymi haftowanymi narzutami, mały stolik nocny i lampa, ciemna szafa podpierająca ścianę przy drzwiach, staromodna toaletka obok okna obitego siatką. Zastłony załopotwały, a gdy Lexy zbliżała się do okna, żeby je zamknąć, jej odbicie w trzech lustrach nad toaletką rosło. Szklana tafla połyskiwała.

Lexy wysunęła taboret z kąta pokoju, palcami muskając róże dekoracyjnego obicia.

– Czyż nie jest piękny? – Głos Ursuli był wyraźny. – Twoja matka go zrobiła, pewnego razu podarowała mi go na urodziny. – Lexy w delikatnym zaśpiewie usłyszała dumę i miłość, poczuła ciepło, które zawsze towarzyszyło opowieściom Ursuli o dzieciństwie Isobel.

Oglądając swoje odbicie w lustrach, Lexy zahaczyła nogą taboret, przysunęła go i usiadła. Teraz ma osiem lat, usta pociągnięte czerwienią, smugi błękitu na powiekach. Matka pojawia się u jej boku, za nią stoi Ursula. Przez chwilę Lexy wpatruje się, jak wszystkie trzy śmieją się w głos, czuje wodę kolońską, marszczy nos na odkażającą woń mydła węglowego. Nagle chłodny powiew zza zasłon owiał jej policzek, a iluzja rozpułnęła się w powietrzu.

Kobieta otworzyła na oścież następne drzwi i przystanęła z ręką opartą o zimną porcelanową klamkę. Pokój Ursuli. Ściany obite perkalem i meble z lat pięćdziesiątych. Kiedy Lexy była dzieckiem, to miejsce pozostawało dla niej zakazanym terytorium, nawet teraz miała opory, żeby wejść do środka. Nie chciała myszkować w pozostałych po Ursuli rzeczach, a już na pewno nie tutaj. Wyłowienie intymnych szczegółów z jej prywatnego życia, których Lexy nigdy nie poznała, byłoby wtargnięciem na jej teren. Jutro przyjdzie na to czas.

A tymczasem ostatnia sypialnia. To ona sprawiła, że Lexy ścisnęło się gardło, a oddech uwiązł w piersi. Pokój małej dziewczynki. To był jej pokój, kiedy przyjeżdżały w odwiedziny, ten, w którym jej matka przeżyła dzieciństwo, a potem snuła nastoletnie marzenia. Lexy musnęła dłonią książki ustawione starannie na komodzie, biblioteczka pękała w szwach, lektury wciśnięto poziomo pomiędzy ciasne rzędy ustawionych na sztorc tomów a półkę ponad nimi. Lexy czytała łąpczywie tak samo jak jej matka, spędzała całe godziny podczas odwiedzin zwinięta w kłębek na łóżku, pochłaniając opowieści z taką samą ciekawością, jednakową żądzą przygód i głodem świata fikcji.

Z tego, co Lexy zaobserwowała, Ursula nic tu nie zmieniła. Kobieta usiadła na łóżku i wygładziła po obu bokach kołdrę puchową w tureckie wzory. Materiał był w dotyku chłodny i jedwabisty, malutkie dudka pierza prześwitywały przez pościel. Zzula buty, podniosła nogi na łóżko i położyła się na plecach. Zamknęła oczy i na powrót była dzieckiem, przysłuchiwała się gwarowi rozmów matki z Ursulą w salonie na końcu korytarza albo pobrzękiwaniu naczyń zmywanych



przez nie w kuchni naprzeciwko. Czasem zapominały szeptać i słyszała, jak ucinają sobie pogawędkę, robią plany na jutro lub omawiają jakieś zdarzenie z przeszłości.

– Zoo – oświadczyła jej matka wyraźnie podczas ich ostatniej wizyty. – Ma obsesję na punkcie pingwinów, od kiedy pokazałaś jej *Pingu*.

– Naprawdę? – Ursula brzmiała na zadowoloną. – W porządku. W takim razie postanowione. Wycieczka do zoo w wasz ostatni dzień. Na mój koszt. – Trzaśnięcie drzwiczek kuchennej szafki. – Zachowamy to w tajemnicy i zrobimy jej niespodziankę.

Kroki na korytarzu zagłuszyły odpowiedź jej matki, kiedy kobiety postanowiły przejść do salonu.

Lexy przekręciła się na bok, podciągnęła kolana, wsunęła dłonie pod policzki i pozwoliła wspomnieniom powrócić. Godziny spędzone na siedzeniu między matką a Ursulą podczas oglądania w kółko tych samych odcinków kreskówki. Piski i kwilenie, gdy po usilnych namowach Lexy chodziły we trójkę jak kaczki i ślizgały się tam i z powrotem po polerowanym drewnie w korytarzu. Pingwinie rozmowy w igloo, które wybudowały dla niej pod kuchennym stołem. Ale teraz przypomniawszy sobie, że wcale nie poszły do zoo. Tante odwiedziny skończyły się wcześniej, a ona wraz z matką wróciły do domu nocnym pociągiem, co stanowiło tak ekscytujące przeżycie, że przyćmiło nawet pingwiny. Były szczęśliwe we trójkę. Co się zmieniło? Czemu wizyty ustały?

**L**exy obudziło przekręcanie klucza w drzwiach wejściowych. Leżała nieruchomo, zdezorientowana, kątem oka zobaczyła godzinę 8.31 na budziku. Rano. Przespała całą noc.

Zawiasy zaskrzypiały.

Kobieta zerwała się na równe nogi. Mimo promieni słońca wpadających przez odsłonięte okno było zimno. Burczało jej w brzuchu, ale nie miała teraz na

to czasu. Z trudem dochodziła do siebie, a także do wniosku, że nie jest sama. Łomot, potem stęknienie. Ktoś potknął się o walizkę, którą zostawiła w korytarzu. Adrenalina trzeszczała w Lexy jak celofan.

– Halo? Czy ktoś tu jest? Halo?

Pociągnęła drzwi sypialni, ale odskoczyła, kiedy ręka kogoś obcego chciała je popchnąć.

– Co, do...

– Jezu! A to kto, do diabła? – Ręka nieznajomej opadła. – To... To znaczy... Przepraszam. Jestem Jenny. Pomocnica Ursuli, znaczy pani Reid... Jej opiekunka... – Ręka znów wystrzeliła w górę, wyciągnięta w geście powitania, kiedy kobieta wzięła się w garść, a uśmiech wykwitł na jej twarzy. – Tak. Właśnie. Jestem opiekunką. Jenny. A jak ty... Ach, pewnie Isobel, prawda?

Lexy odruchowo uściśnęła wysuniętą dłoń, potrząsając przecząco głową i próbując nadażyć za biegiem wydarzeń.

– Nie, mam na imię Lexy. Lexy Shaw. Isobel to moja...

– Och, Lexy. Tak, twoja matka. Wiem. Ursula opowiada, ekhm... opowiadała o tobie na okrągło.

– Naprawdę?

– No cóż, nie do końca. Ale mówiła mi o tobie sporo. Wystarczająco. – Nieznajoma roztała sobie łydkę. – Rany Julek, ale boli. Co masz w tej walizce, beton?

– Ja... To tylko... Przepraszam... Ale kim ty właściwie jesteś? – spytała rozkojarzona Lexy.

– Jenny. Zaparzę herbatkę, dobrze? Przyniosłam mleko. – Kobieta zniknęła w kuchni, a Lexy usłyszała dźwięk torby lądującej z impetem na blacie, potem odgłos bieżącej wody i brzęk pokrywki do imbryka. Następnie Jenny zjawiała się ponownie, tym razem bez kurtki. – Jest też kawa. Ona co prawda jej nie pijała, ale wiesz, jaka była. Trzymała ją dla gości. Mimo że ostatnimi czasy nie walili

drzwiami i oknami. – Kurtka zawisała na wieszaku, a Jenny znów przepadła w kuchni. – Na co masz ochotę? – zawołała, przekrzykując brzęk porcelany, najwidoczniej w kuchni Ursuli czuła się jak u siebie w domu, czym Lexy była zaskoczona. Miło byłoby wiedzieć, że ktoś jeszcze miał klucze.

– Herbatę. Poproszę herbatę. – Lexy również ruszyła do kuchni i usiadła przy stole, odprężając się nieco, gdy Jenny wyjęła paczkę herbatników. Czy ktoś uzbrojony w oblane czekoladą ciasteczka mógłby wyrządzić jej krzywdę?

– Mogę? – spytała. – Nic nie jadłam – dodała, choć już otwierała paczkę.

– Och, oczywiście, ale w szafkach jest mnóstwo jedzenia. W zamrażarce też. Nie patrzyłaś?

Lexy potrząsnęła przecząco głową.

– Byłam zbyt zmęczona – wyjaśniła, pogryzając herbatnik. – Zasnęłam.

Lexy patrząc, jak Jenny krzątała się po kuchni, zdała sobie sprawę, że dzieląca ich różnica wieku wcale nie była taka duża, jak na początku myślała. Odniosła mylne pierwsze wrażenie przez powtarzane przez opiekunkę zwroty i manierę przypisywaną starszemu pokoleniu.

– Cóż, będziesz musiała przejrzeć tę kupkę, Lexy. – Stosik korespondencji wylądował z plaśnięciem na stole. – Niczego nie otwierałam, rzecz jasna, chociaż zwykle wszystko jej czytałam. Pod koniec była prawie niewidoma, zaćma ją wykańczała. Mówiłam jej, że powinna wykorzystać swoje znajomości i zadbać o przeniesienie na szczyt listy oczekujących, ale odmawiała. Zawsze kurczowo trzymała się zasad, nieprawdaż?

– Nie wiem... Naprawdę nie potrafię powiedzieć.

Jenny zapewne chciała dobrze i może Ursulę ucieszyłaby ta pogawędka, ale Lexy czuła irytację i w myślach szukała grzecznej wymówki, by kazać kobiecie zamilknąć. A przynajmniej nieco zwolnić.

– Cóż, nie widziałaś jej dobrą chwilę, prawda? – mówiła Jenny. – Zresztą tak samo twoja matka. – Jej prychnięcie wyrażało wymownie przyganę. – Ale ona

gorliwie przestrzegała regulaminu. I wywiązywała się z obowiązków. Och, tak, nawet w tym wieku nie uchylała się od nich. „Równia pochyła, Jenny”, powtarzała, „to równia pochyła...”.

Fala krytyki ustała i Lexy wykorzystała sposobność.

– Posłuchaj, przyjechałam wczoraj wieczorem. Notariusz dał mi klucze. Nie wiedziałam o tobie ani...

– Och, mną się nie przejmuj. – Jenny już wciskała gaz do dechy i znów się rozpędzała. – Podświadomie spodziewałam się, że ktoś zjawi się po... wypadku. Chociaż myślałam, że to będzie twoja matka, tak jak planowała... Isobel przyjedzie później?

– Nie.

– Doprawdy? No cóż. – Kolejne pociągnięcie nosem. – Wiem, że różniły się w paru kwestiach... Ale w końcu to był dom twojej matki, zwłaszcza od kiedy znów ze sobą rozmawiały... Pewnie to przez pracę, jak sądzę.

– Moja matka... Ona... – W tym momencie do Lexy dotarły słowa Jenny. – One rozmawiały?

– Oczywiście, że tak. W końcu były dla siebie jak matka i córka. Nie dzwoniłabyś czasem do swojej matki, nawet gdybyście od czasu do czasu się sprzeczały? – Jenny sięgnęła po herbatnik i wpakowała go sobie całego do ust, dając Lexy parę cennych sekund, by spróbowała pojąć to, co właśnie usłyszała.

– Ale... kiedy? Co się... Moja matka nigdy nie wspominała...

Jenny otrzepała okruszki z piersi, przełknęła, a potem ciągnęła, tak jakby Lexy w ogóle się nie odezwała, jednocześnie nalewając świeżo zagotowanej wody do imbryka.

– Zawsze wiedziałam, kiedy twoja matka telefonowała. Ursula była pogodniejsza, wiesz, miała jasny umysł, a kiedy Isobel zapowiedziała wizytę...

– Co?

– ...nie posiadała się ze szczęścia. Minęły całe wieki, od kiedy widziały się

ostatnio, jak mi powiedziała. Miała nadzieję, że Izzie zabierze cię ze sobą, pokaże jej kobietę, na którą wyrosłaś, taką naprawdę, a nie tylko na zdjęciach.

– Zdjęciach?

– Zachowała je wszystkie, bez wyjątku. Wywołane fotografie leżą w pudełkach obok kominka. Przeglądałyśmy je w deszczowe...

– Moja matka wysyłała zdjęcia? – Lexy opadła ręka z herbatnikiem. – I przyjeżdżała tutaj? Kiedy... Po co?

– Hm, o to musisz zapytać ją, prawda, Lexy? Ale na pewno ci powiedziała o swoich planach. W końcu miała odwiedzić nas w przyszłym tygodniu. Zaznaczyłyśmy datę w kalendarzu. – Jenny jedną ręką wskazała na ścianę obok drzwi, drugą podając Lexy herbatę. Widać było zakreślone wyraźnie na niebiesko trzy dni. – Dlatego właśnie – kontynuowała Jenny, chwytając w dłonie parujący kubek i siadając mimochodem na ławce naprzeciwko Lexy – sądziłam, że ty to ona. Ursula kazała mi gruntownie wysprzątać pokój gościnny, od tamtej pory wietrzyłam go i sprzątałam na bieżąco. Nagle zjawiasz się ty i śpisz w innym...

– Jenny. – Lexy, której cierpliwość się skończyła, gwałtownie przerwała paplaninę kobiety. – Jenny, moja matka nie żyje.

**G**dy Jenny wyszła, Lexy krążyła bez celu po mieszkaniu, wsłuchując się w tykanie zegara podróżnego odmierzającego sekundy, aż musiała wybrać się na spotkanie z notariuszką Ursuli. Wzięła prysznic i przebrała się, nawet pomalowała się lekko, po raz pierwszy od pogrzebu matki. A jednak czas niesamowicie jej się dłużył.

Nie mogła znaleźć sobie miejsca. To było mieszkanie Ursuli, nie jej, bez względu na to, co powiedzą prawnicy. Lexy wydawało się więc nie w porządku, że jest tu sama. Tak jakby wtargnęła na czyjeś terytorium, nie mając prawa go eksplorować. Będzie musiała opróżnić mieszkanie, by je sprzedać, przepatrzeć dobytek Ursuli, rozebrać na części jej życie. Jenny zaproponowała pomoc, gdy

wychodziła, ale Lexy zareagowała powściągliwie i grzecznie, lecz wymijająco, choć nie była pewna czemu, poza faktem, że nie mogła znieść bezustannego szczebiotania, które nadeszłoby w pakiecie z pomocną ręką. Pytania i oceny Jenny. Własne wątpliwości Lexy.

Teraz, kiedy Lexy była sama, sama jak palec, pewność siebie ją opuściła. Kobieta znajdowała się w stanie zawieszenia, płynąc z prądem, czekając i ważąc w myślach to jedną, to drugą wersję siebie. Stała w rozkroku między dzieciństwem a dorosłością. Między byciem córką a sierotą, narzeczoną a singielką.

Jej komórka jak na zawołanie zaczęła znów pikać. Lexy wyjęła ją z torebki. Tym razem ktoś dzwonił. Na ekranie wyświetliło się imię Danny'ego. Poczucie winy walczyło w niej z pragnieniem zrobienia uniku; w końcu wyrzuty sumienia wzięły górę.

– Lexy? A niech cię! Gdzie się podziewasz? Zajrzałem do mieszkania, ale cię tam nie było. Pani B. powiedziała, że wyszłaś wczoraj z samego rana, ale jeszcze nie wróciłaś. Kiedy nie zjawiałaś się w krematorium, naprawdę się zmartwiłem.

– Wszystko w porządku, Danny. Jestem w Edynburgu.

– W Edynburgu? A co ty tam robisz, do diabła? I czemu nie odbierasz telefonów ode mnie, skoro wszystko w porządku?

– Danny, przepraszam. Nie miałam ochoty rozmawiać.

– Ale przecież powinniśmy odebrać prochy, na litość boską. Prochy twojej...

– Tak. Wiem. – Oburzenie w jego głosie było irytujące, ale zasłużyła sobie. – Przykro mi. Ja... właśnie chciałam... – Zrezygnowała. Nie miała żadnej wymówki, więc nie było sensu udawać, że jest inaczej. – Odebrałeś je?

– Tak.

– Gdzie są?

– Tu. Na moim biurku. A za dziesięć minut zaczyna się seminarium.

Pomimo okoliczności Lexy uśmiechnęła się na myśl, że Danny, docent

z aspiracjami na profesora, poprowadzi seminarium z prochami swojej byłej niedoszłej teściowej stojącymi na straży.

– Przepraszam, Dan. Czy możesz je przechować? Wrócę na weekend i możemy...

– Nie. Nie, jasne? Nic nie możemy. Mam plany. Mieliśmy załatwić to wczoraj. Zrobiłem sobie wolne popołudnie, żeby móc się tym z tobą zająć. Dla ciebie. Mogłaś przynajmniej się pojawić.

– Wiem, Danny. Przepraszam.

– Przestań mnie przeproszać, dobrze? Albo przynajmniej udawaj, że przeprosiny są szczere. – Był teraz rozdrażniony, w głosie miał tę dziecinną opryskliwość, której nie znosiła. Ale ponownie: zasługiwała na to.

– Dan, nie wiem, dlaczego do ciebie nie zadzwoniłam ani nie odebrałam telefonu od ciebie... Ja... Posłuchaj, coś mi wyskoczyło.

– Coś ci wyskoczyło? – Lexy nie miała wykształcenia muzycznego, ale brzmiało to, jakby Danny podniósł ton o pełną oktawę. – Cóż takiego mogło ci wyskoczyć, że okazało się ważniejsze od prochów twojej matki? Albo wiesz co? Nie odpowiadaj. Skończyłem z tym. Próbowałem cię wspierać, Lexy, naprawdę się starałem. Wiem, że nie masz nikogo innego i że jesteś beznadziejna w proszeniu o pomoc. Ale już nie jesteśmy zaręczeni. Teraz muszę myśleć o Fizz. Była niesamowicie wyrozumiała, że spędzam z tobą tyle czasu, ale nie zawiodę jej i nie odwołam planów na weekend. To dla mnie ważne. Jedziemy do jej rodziców.

– O rany, poznasz rodziców? W takim razie traktuje cię poważnie. – Udawana beztroska w głosie Lexy zabrzmiała złośliwie, kobieta sama to usłyszała.

– To skomplikowane. Ona jest... To znaczy... Jesteśmy... – Danny odchrząknął, a jego zakłopotanie powiedziało Lexy to, czego mężczyzna nie mógł z siebie wykrztusić.

– Jest w ciąży. – To było stwierdzenie, nie pytanie. – No, no! Szybko wam poszło.

– Tak. – Usłyszała jego westchnięcie, wiedziała, że był nachmurzony. – Chciałem powiedzieć ci wcześniej, ale kiedy wyszła sprawa z twoją matką...

– Oczywiście. Rozumiem. To świetnie... Gratulacje. To znaczy, tak się mówi, prawda? Gratulacje? Zawsze powtarzałeś, że chcesz mieć dzieci.

– Ja... no cóż... Chyba tak. Tak. Jasne, że tak. Ale posłuchaj, nie o to mi chodzi. Chcę powiedzieć, że nie mogę zająć się razem z tobą prochami, a naprawdę nie chcę ich w swoim gabinecie. Szczerze mówiąc, to dość straszne. A nie mogę zanieść ich do Fizz. Co więc mam z nimi zrobić?

Lexy wyobrażała go sobie w jego gabinecie z telefonem przy uchu, wyglądał na zakłopotanego i skupionego. Był porządnym człowiekiem. Dobrym. Ale dobroć nie utrzymałaby przy życiu związku ani małżeństwa, nawet gdyby nie sypiał z absolwentką wydziału. Już wcześniej nie było dla nich ratunku...

– Lexy, obudź się! Co chcesz, żebym zrobił z nią? Z tym? Z nimi? Lexy! – Jego irytacja zaczęła przeradzać się w panikę. Studenci bez wątpienia zbierali się na korytarzu.

– Czy mógłbyś podrzucić je do mieszkania?

– Nie mam kluczy, pamiętasz? Kazałaś mi...

– Nie, chodzi mi o to, czy mógłbyś zostawić je u pani B.?

– Lexy, nie chcę jej wystraszyć na śmierć. Wiesz, jaka jest. Albo jej śmierdzący kot przewróci urnę i nasika do niej, albo coś podobnego. – Lexy próbowała stłumić chichot, ale Danny go usłyszał. – Lexy! Mówię poważnie. – Jakby nie wiedziała. Zawsze był poważny. Ale nie miała już prawa przekomarzać się z nim w ten sposób.

– Przepraszam. Po prostu to dość surrealne. Posłuchaj, naprawdę doceniam to, co dla mnie zrobiłeś. Byłeś wspaniały. Nie potrafiłabym przez to przejść bez ciebie. Mówię serio. Dzięki, Danny.



– Lexy... – Danny przerwał, a ona przygotowywała się na to, co usłyszy. – Posłuchaj, Lexy, pewnie to nie najlepsza chwila, wiem, że nie zawsze dobrze się między nami układało, ale...

– Proszę, nie. – Lexy wiedziała, w jakim kierunku zaczęła zmierzać ich rozmowa. Gdy zjawił się w szpitalu, powiedział, że nie było tu żadnych ukrytych haczyków, ale i tak miała się na baczności. I nie była pewna, czy Fizz w ciąży tak naprawdę cokolwiek zmieniała. – Dzięki, Danny. Dobry z ciebie przyjaciel. Pomogłeś mi przejść przez to wszystko – powiedziała, dobierając ostrożnie słowa i krzywiąc się na ból, który wiedziała, że spowodują.

– Nie jestem pewien, czy potrafię to ciągnąć, Lexy. – Usłyszała, jak załamał mu się głos. – Czy potrafię być twoim przyjacielem.

– Wiem. Przykro mi, Dan. – I było jej przykro. Naprawdę przykro. Tęskniła za nim. Nie pamiętała, by kiedykolwiek czuła się taka samotna.

– Lexy... – Słyszała, jak oddychał nierówno w dzielącej ich przestrzeni. Nie mogła tego znieść.

– Posłuchaj, Danny, może włożysz to do pudła? Zakleisz je, żeby zniechęcić śmierdzące koty i podenerwowanych sąsiadów? Powiesz pani B., że to tylko książki albo coś podobnego. Czy mógłbyś to zrobić?

– Jasne – powiedział po chwili, odkaszlnąwszy. – Świetnie. Prawdę mówiąc, mam jeszcze parę twoich książek i drobiazgów. Dopakuję to do pudła i podrzucę je wieczorem.

– Świetnie. Dzięki, Danny.

Teraz nadszedł czas, by jedno z nich się pożegnało, ale cisza między nimi wciąż trzymała ich przy sobie.

– No to... – powiedziała miękko Lexy, by przerwać milczenie. – Dziecko, ha?

Powoli się rozłączyła, odłożyła telefon na stół i stała, wpatrując się w park The Meadows, po czym założyła ręce na piersi, jakby chciała sama się przytulić,

i ani drgnęła do czasu, aż w końcu musiała wyjść.

## 2

### EDYNBURG, 4 CZERWCA

**D**wie śmierci, dwa spadki i dwie kancelarie notarialne w przeciągu paru tygodni, choć ta miejska firma bardzo różniła się od zakurzonej podmiejskiej praktyki, z której matka Lexy zdecydowała się korzystać. Lexy przycupnęła na skraju niskiej skórzano-stalowej kanapy i rozejrzała się wokół, choć nie dostrzegła nic, co poprawiłoby jej humor. Nie było tu ani krzty podnoszącego na duchu chaosu małej rodzinnej spółki. Meble biurowe w beznamytnym skandynawskim stylu (nawet Lexy wiedziała, że nie były z Ikei) sprzysięgły się wraz z dzwonieniem telefonów, by stworzyć poczucie oderwania i dystansu od nieprzyjemnych spraw prawdziwego życia. Za biurkiem, które wyglądało jak zaprojektowane dla NASA, sprawowała wartę blond recepcjonistka ze szminką w kolorze mroźnego różu, udoskonalonym u dentysty uśmiechem i zwężonych w szparki zielonych oczach. Jej elegancka perfekcja skłoniła Lexy, by podnieść dłoń i przyglądzić własną burzę loków, choć kobieta wiedziała, że nie sprawi to wielkiej różnicy.

Tryptyk dzieł sztuki na zamówienie górował na ścianie naprzeciwko i Lexy zmrużyła oczy, by przeczytać małą białą tabliczkę zamieszczoną obok. Nigdy nie słyszała o tym artyście, choć bez wątpienia nazwisko nie do wymówienia było wiodące, bardzo awangardowe, stanowiło Wielkie Wydarzenie. *Czujność sprawiedliwości, człowieczeństwo i prawość*. Jednak nawet robiący wrażenie tytuł nie był w stanie poprawić zdania Lexy na temat oprawy artystycznej. Dziecinna naiwność – tak najłagodniej potrafiła to określić. Po namyśle stwierdziła, że woli kalendarz rolniczy i reprodukcje Turnera rozwieszane losowo

na obdrapanych ścianach galerii jej matki Smith & Littlejohn.

– Pani Shaw? – Mroźne usta poruszyły się. – Ona panią przyjmie.

Ona. A to ci odmiana.

Recepcjonistka wskazała szklaną ścianę na prawo od swojej stróżówki. Gdy Lexy podeszła, rozległ się dzwonek i tafla rozsunęła się.

– Prosto do końca, pani Shaw, pokój konferencyjny będzie pierwszy po lewej. Pani Hamilton dołączy. Zamówiłam dla pani kawę.

Lexy kusilo, by zwrócić jej uwagę, że – podobnie jak ich niegdysiejsza klientka Ursula – nie pijała kawy, o ile nie miała gwarancji, że pochodzi ze sprawiedliwego handlu, jednak wiedziała, że zabrzmiałoby to po prostu małostkowo. Było coś w tym miejscu, co budziło w niej buntowniczkę. To coś uwierało ją jeszcze bardziej niż szpilki, które postanowiła założyć, lub zmięty garnitur, co nie zniósł za dobrze podróży z Londynu i pozostał niewzruszony na zabiegi żelazka Ursuli.

Pani Hamilton, gdy zjawiła się w końcu niemal dwadzieścia minut później, nie zrobiła nic, by Lexy się rozchmurzyła. Była schludnie ubrana, idealnie uczesana, oczywiście opanowana i atrakcyjna. Droższa i bardziej szykowna wersja Mroźnych ust. Prawniczka usiadła, zręcznie dostosowując wysokość krzesła, i położyła teczkę przed sobą na blacie z drewna wiśniowego. Lexy próbowała wyprostować się na swoim krześle, żałując, że nie pomyślała, by zawczasu podwyższyć siedzenie, tak by jej stopy sięgały podłogi i dawały jej jakieś oparcie. Ugruntowały ją. Ale już po ptakach. Istniało ryzyko, że kiepsko wypadnie, jeśli spróbuje zrobić to teraz, więc była zmuszona majtać nogami w powietrzu.

– Przepraszam, że kazałam na siebie czekać, pani Shaw. Rozmawiałam przez telefon z naszymi pracownikami w Malawi.

– Malawi?

– Tak, mieliśmy zamiar udokumentować sprawę, by dostała ją pani dziś do

wglądu, ale niestety okazało się to niemożliwe. Kawy? – Dłoń ze starannym manikiurem machinalnie wskazała na kredens, gdzie stał czajnik z podaną przez recepcjonistkę kawą, która teraz była co najwyżej ciepława. Chyba że czajniki kawowe też zaprojektowała NASA.

Lexy pokręciła przecząco głową, zastanawiając się, co wspólnego ma z nią Malawi.

– Dobrze, pozwoli pani, że przejdziemy do sedna? – Pani Hamilton otworzyła cienką teczkę i Lexy kątem oka dostrzegła siebie na fotografii przypiętej spinaczem do wnętrza okładki. Prawniczka spojrzała na zdjęcie, a potem z powrotem na Lexy, jakby chciała potwierdzić, że na pewno jest na właściwym spotkaniu. Potem wyjęła pojedynczą kartkę, zamknęła teczkę i zaczęła mówić:

– Poza paroma drobniejszymi zapisami oraz dodanym niedawno aneksem przepisującym małą schedę sprzątacze, Jenny Kennedy, pani Reid przekazała cały swój majątek pani. Cóż, początkowo zostawiła spadek pani matce, przy okazji proszę przyjąć moje kondolencje, ale skoro pani jest jedyną spadkobierczynią dobytku pani Shaw, spadek pani Reid również wędruje w pani ręce. Z radością zajmiemy się prowadzeniem sprawy w pani imieniu, tak samo jak wyęciliśmy w tym panią Reid. Jeśli postanowi pani nam ją powierzyć, porozmawiam z naszymi wspólnikami w Malawi. Zapewniam panią, że oni również z radością zaoferują swoją pomoc i absolutną dyskrecję w dalszym zarządzaniu tamtejszymi interesami oraz, oczywiście, finansowymi ustaleniami pomiędzy panią Reid a jej synem.

Lexy nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

– Panią Reid a jej synem?

– Tak. Niestety, jak już wspomniałam, nie jestem w stanie szczegółowo zreferować sytuacji w Malawi, ale mam nadzieję, że niedługo dostanę wyczerpujący zbiorczy raport. Tymczasem możemy omówić szkocką część

majątku i to, co chciałyby pani z nią zrobić. To doprawdy o wiele bardziej przejrzyste...

Głos pani Hamilton niknął w oddali, podczas gdy Lexy zmagala się z nową porcją informacji. Ursula miała syna. Wyszło na to, że potomek żyje i mieszka w Malawi. Dlaczego więc Ursula zostawiła wszystko Isobel, swojej dawnej wychowance, a nie własnemu synowi?

Dosyć. Za dużo jak na jeden raz. Lexy była wyczerpana. Miała już po dziurki w nosie niespodzianek. Wciąż dochodziła do siebie po śmierci matki, po głupim i bezsensownym wypadku, którego sprawca zbiegł. To feralne zdarzenie wprowadziło machinę w ruch i wywołało lawinę pytań. Nie chciała sekretów i tajemnic. Pragnęła kurczowo trzymać się pewników w swoim życiu sprzed rozpoczętego horroru oraz znaleźć ukojenie w znanym sobie świecie.

– Pani Hamilton, proszę przestać.

Notariuszka spojrzała na nią z zaskoczeniem.

– Trudno mi to wszystko pojąć. To dużo informacji jak na jeden raz, nie wiem, czy jestem przygotowana, żeby... podejmować jakiegokolwiek decyzje albo słuchać pani dalej. Czy mogłybyśmy spotkać się za parę dni, gdy rozjaśni mi się umysł?

– Oczywiście, pani Shaw. – Prawniczka nie straciła fasonu. – To dość zrozumiałe. Sporo pani przeszła. – Lexy zaskoczyła nutka współczucia w głosie swojej rozmówczynie. – Poproszę asystentkę, żeby umówiła nas innym razem. A może zadzwoni pani, kiedy będzie gotowa? Postaram się tak zorganizować czas, żeby się do pani dopasować.

Lexy była pewna, że to prawdziwe ustępstwo ze strony kobiety tak wysokich lotów i niewątpliwie prawniczki wysokich stawek.

– Doceniam to, pani Hamilton. Dziękuję.

Lexy była zbyt oszołomiona, zbyt odrętwiała, żeby płakać na pogrzebie matki, ale ta drobna uprzejmość groziła doprowadzeniem jej do łez. Przełknęła

głośno ślinę i spojrzała na własne dłonie. Stale tam był, krył się pod powierzchnią – żal, przytłaczające morze smutku, gotowe podtopić ją w najmniej odpowiedniej i najbardziej nieprzewidywalnej chwili.

– Nie ma za co. Powinnam o tym pomyśleć.

Lexy gwałtownie podniosła głowę, słysząc pisk odsuwanego przez panią Hamilton krzesła. Notariuszka obesła stół, przelotnie musnęła ramię Lexy, po czym wycofała się. To w świecie prawniczym oznaczało pocieszający uścisk.

– Zawsze staramy się działać w takich sprawach błyskawicznie, pani Shaw. Z uwagi na ciągłość. Ale pewnie to nie zawsze stosowne. Proszę posłuchać, może zabierze to pani ze sobą?

Szara teczka znalazła się przed Lexy, kobieta wyciągnęła dłoń, by palcami dotknąć najbliższej krawędzi.

– Jestem pewna, że nie muszę odczytywać tego na głos – ciągnęła pani Hamilton, przejmując kontrolę i otwierając drzwi pokoju konferencyjnego. – Może to pani przejrzeć w wolnej chwili. Łatwiej będzie pani zapoznać się z treścią w wybranym przez panią czasie. Niech pani to przemyśli, a potem, na spotkaniu, zapyta mnie pani o wszystko, co tylko przyjdzie pani do głowy. Do tego czasu skompletuję materiał dotyczący Malawi, ma pani moje słowo.

Wciąż powstrzymując się od łez, Lexy wsunęła teczkę do torebki i ruszyła za notariuszką przez korytarz do recepcji.

Paznokcie z francuskim manikiurem wystukały kod w panelu na niewysokim słupku przed szklanymi drzwiami.

– W teczce znajdzie pani także szczegóły na temat posiadłości w Ross-shire. Jeśli będzie miała pani ochotę odwiedzić to miejsce, nasza recepcjonistka przekaze pani klucze oraz wskazówki, jak tam dotrzeć. – Rozległ się brzęczyk, pani Hamilton jedną ręką otworzyła i przytrzymała drzwi, drugą ucisnęła dłoń Lexy. – No cóż, pani Shaw, będę czekać na wieści, kiedy poczuje się pani gotowa.

Drzwi zatrzasnęły się, a Lexy została po drugiej stronie, zanim zdążyła spytać, o jaką posiadłość w Ross-shire chodzi, choć wiedziała, że powinna zacząć przyzwyczajać się do niespodzianek.

**P**romienie późnopołudniowego słońca grzały jej twarz, kiedy wkraczała do New Town, starówki Edynburga. Spacerowała niespiesznie po brukowanej uliczce, po czym skręciła w lewo i ruszyła na wzgórze ku George Street. Dostrzegła uliczne kawiarnie i postanowiła w jednej z nich wypić kieliszek wina. Nie musiała się spieszyć z powrotem do mieszkania, zresztą potrzebowała zrobić sobie przerwę i zebrać myśli. Musiała oswoić się z tyloma rzeczami. Musiała wziąć na siebie więcej, niż sądziła. Narodziło się tyle pytań, na które nie potrafiła odpowiedzieć, i nie wiedziała, kto inny – jeśli w ogóle ktokolwiek – zna na nie odpowiedź. Matka pozwoliła jej sądzić, że Ursula nie żyje, a mimo to od dawna, jak się zdaje, była z nią w kontakcie, donosząc jej na bieżąco o wydarzeniach z życia Lexy. Isobel, z tego, co mówiła Jenny, planowała nawet odwiedzić staruszkę. To wizyta, o której nie poinformowała Lexy. Czy gdyby żyła, powiedziałaaby jej o tym, czy raczej zachowała w tajemnicy?

Lexy poczuła chłód na ramionach. Zdjęła marynarkę z oparcia krzesła i zarzuciła ją sobie na plecy, po czym niemal natychmiast z siebie strząsnęła. Były sobie takie bliskie, matka i ona, tak dobrze się dogadywały. Była bardzo młoda, gdy zmarł jej ojciec, wydawało się od zawsze, że są tylko Izzie i Lexy, ramię w ramię stawiają czoła światu. Nie miały nikogo więcej, żadnych kuzynów, dalszych krewnych posyłających kartki z życzeniami urodzinowymi, zero wielkich rodzinnych zjazdów na święta Bożego Narodzenia. Ale to się nie liczyło. Miały siebie nawzajem. Lexy nigdy nie wątpiła w bezwarunkową matczyną miłość i nie wyobrażała sobie, jak bardzo będzie się bez niej czuć osierocona.

Chłód powrócił, a wraz z nim szczypta zwątpienia. Izzie mogła spróbować



upewnić się, że jeśli coś jej się stanie, Lexy nie zostanie sama, że ktoś inny będzie ją kochał, że będzie miała kogo innego na świecie. A jednak tego nie zrobiła. Zataiła Ursulę przed Lexy, odmówiła udziału babci w jej życiu. Skoro tak, to co jeszcze utrzymywała w tajemnicy?

Lexy dopiła wino i, próbując stłumić rosnący niepokój, dała znać kelnerowi na migi, by podał jej jeszcze kieliszek. Nic nie wydawało się pewne, nawet biografia emerytowanej siostry przełożonej sprawiała wrażenie dalekiej od jednoznaczności. Wyglądało na to, że Ursula także miała swoje sekrety. Była właścicielką posiadłości w szkockim regionie Highlands i prowadziła interesy w Malawi, o których nigdy nie wspominała, przynajmniej z tego, co pamiętała Lexy, choć to nie było jeszcze aż tak zaskakujące. Może to niedawne nabytki. Co prawda kobieta w to wątpiła, ale nie było to wykluczone. Malawi należało do przeszłości. Tam poznali się jej rodzice, w tym samym szpitalu, gdzie kiedyś pracowała Ursula. To Lexy wiedziała z obiegowej rodzinnej opowieści.

Wszystko to jednak schodziło na dalszy plan w obliczu wielkiej nowiny. Ursula miała syna. Czy Isobel o tym wiedziała? Skoro Ursula była opiekunką prawną Isobel, on byłby jej przyszywanym bratem. Wujkiem Lexy. Kimś w rodzaju rodziny, choć myślała, że nikt już jej nie został. Żadnych więzów krwi, to prawda, ale dobre i to. Czemu nikt jej o nim nie powiedział? Poczula dreszcz podniecenia. Niekłamaną nadzieję. Nadzieję, że jest tam ktoś, prawie rodzina, do której nadal może należeć.

Drugi kieliszek wina nie rozjaśnił jej w głowie i nie podsunął żadnych odpowiedzi. Lexy miała coraz bardziej rozpalone policzki, i to wcale nie od zachodzącego słońca. Powinna coś zjeść. Po porannym napadzie głodu, kiedy pożarła prawie połowę herbatników Jenny, nic nie przełknęła, nie miała ochoty, apetyt opuścił ją dawno temu. Nic dziwnego, że szumiało jej w głowie.

**P**otrzebowała paliwa.

Kiedy wróciła do mieszkania Ursuli, znalazła dostarczoną pocztę. Zgarnęła listy

z wycieraczki. Parę brązowych kopert i jedna biała, która – bez względu na to, jak by się starała – nie dała rady ukryć, że jest rachunkiem. Trzymanie w ręku korespondencji zaadresowanej do zmarłej osoby było dla Lexy nie w porządku, wręcz niegrzeczne. Tak samo czuła się, kiedy przekroczyła próg domu matki po raz pierwszy po jej śmierci. Nie znosiła myśli, że życie toczy się dalej, nie przystając ani na chwilę, by przyjąć do wiadomości, że kogoś już nie ma. To niedorzeczne i irracjonalne, miała tego świadomość. Skąd ktoś miałby wiedzieć, co się stało? Niemniej było to okrutne. Bezduszne. niesprawiedliwe.

Stłumiła w sobie drobne ukłucie dezorientującego gniewu, rzuciła koperty na stół, na stertę wiadomości czekających, by się nimi zajęła. Patrzyła, jak stosik chybotrze się i rozsypuje na wyłożoną kafelkami podłogę.

– Cholera. – Zebrała korespondencję, wyobrażając sobie przyganę na twarzy zarówno swojej matki, jak i Ursuli. – Cholera – powtórzyła wyzywająco.

Pocztą zajmie się później, wieczorem. Być może. Teraz potrzeba jej herbaty i czegoś do jedzenia. Tosty wydawały się najprostszą opcją. Jenny powiedziała, że chleb jest w lodówce. Zacznie się martwić o zdrowe odżywianie, kiedy będzie mieć mniej na głowie.

Komórka oznajmiła nadejście wiadomości, podczas gdy Lexy czekała, aż toster wypluje z siebie jej kolację. Jenny.

*Mam nadzieję, że było okej. Pamiętaj, mogę pomóc, jeśli będziesz mnie potrzebować.*

Lexy stwierdziła, że to miło z jej strony, nie spodziewała się aż takiego poświęcenia ze strony pomocy domowej i opiekunki. Było jasne, że symulowała wyjątkową więź z Ursulą i wyglądało na to, że z radością rozszerzy swoje oszustwo i wciągnie doń Lexy. A może po prostu chciała dopilnować, aby mieszkanie Ursuli zostało uprzątnięte, a reszta spraw należycie załatwiona. Lexy przypomniała sobie „niedawno dodany” aneks i poczuła ukłucie podejrzliwości, zastanawiając się, czy za radosną gadką Jenny nie kryje się coś niezdrowego.

A jeśli tak, to jaki miałyby w tym cel? Najpewniej pieniądze lub coś, co można by spieniężyć. Z drugiej strony, kiedy Lexy rozejrzała się dookoła, stwierdziła, że dom nie krył większej wartości, choć nie była ekspertem. Wiele obrazów na ścianie i drobiazgi pochodzące chyba z Afryki mogły okazać się czymś więcej niż zwykłymi bibelotami. Musi poprosić kogoś o ich wycenę.

Toster wypluł z siebie grzanki i sprowadził ją na ziemię. Zachowywała się nieprzyjaźnie. Powinna po prostu przyjąć do wiadomości, że istnieją szczerze, troskliwe osoby na świecie, a Jenny jest jedną z nich. Lexy przeżywała wtórny wstrząs po śmierci matki i pozwalała, by to zaciemniło jej osąd sytuacji. Ciężko było postąpić inaczej, kiedy wiedziała, że obcy zostawił jej matkę na pastwę śmierci na cichej podmiejskiej uliczce. Pewnie był pijany, jak orzekła policja, klasyczny wypadek, którego sprawca zbiegł z miejsca wydarzeń; pełne zieleni przedmieścia zwykle nie ujawniały zbyt wiele z nagrań monitoringu ulicznego lub zeznań świadków, więc lepiej nie liczyć na zbyt wiele. Nie, nie było łatwo uwierzyć w dobroć ludzkiego serca po czymś takim. A zwłaszcza po odkryciu, że ta sama matka, której ufało się najbardziej na świecie, skrywała sekrety.

Lexy zanurzyła torebkę herbacianą w kubku z wrzątkiem, żeby woda zabarwiła się na tyle, by móc uchodzić za herbatę, dołączyła kapkę mleka i zniosła napój wraz z tostem do salonu. Nie od razu zapaliła światło, ale przez chwilę stała tak i spoglądała na długie cienie rzucane przez resztki zachodzącego słońca. O tak późnej porze w dzień powszedni nie było nikogo poza osobliwym spacerowiczem wyprowadzającym cudze psy. Wczorajsi biesiadnicy znad grilla zniknęli. Lexy zauważyła poruszenie pod drzewami po drugiej stronie ulicy, na skraju The Meadows, i odruchowo się cofnęła. Czy ktoś tam jest i skrywa się za szerokim pniem jaworu? Obserwuje mieszkanie? Podgląda ją? Odczekała chwilę, po czym rozejrzała się po zacienionej ścieżce. W zasięgu wzroku nie było nikogo, dostrzegła tylko drżące na wietrze cienie gałęzi i listowia. Niedługo zacnie widzieć UFO i małe zielone ludziki.

Odwróciła się i usiadła w starym fotelu z wysokim oparciem, ściągnęła niezbyt trafione buty, rozprostowała stopy i poruszała palcami, by przywrócić krążenie, po czym przysunęła podnózek. Niepewnie ustawiła kubek na podłokietniku fotela, a talerz z tostem położyła sobie na kolanach, po czym oparła głowę. Zamknie oczy tylko na chwileczkę, pozwoli ciszy i gęstniejącej ciemności ukoić...

Zerwała się z miejsca, usłyszawszy furkot skrzynki na listy, tost wraz z talerzem wylądował na podłodze, a letnia herbata rozlała się jej na kolana. Tyle zostało z eleganckiej spódnicy. Pokuśtykała na korytarz, przytrzymując rąbek spódnicy i próbując nie uронić ani kropli z mlecznego napoju, kiedy zobaczyła list leżący na podłodze. Krawędź koperty była ozdobiona czymś, czego nie widziała od lat: niebiesko-czerwoną obwódką poczty lotniczej.

Zaintrygowana przystanęła, by podnieść przesyłkę, prawie nie czując herbaty spływającej po nogach, kiedy wypuściła z rąk rąbek odzieży. Usłyszała, jak drzwi na półpiętrze zamykają się, kiedy wyczytała słowa „przez pomyłkę trafiło pod ósemkę” starannie wypisane ołówkiem pod kolorowymi znaczkami słoczonymi w górnym roku. Dostrzegła opłatę za znaczek na tle eksplozji kolorów – wystarczająco wysoką, by wywnioskować, że list przyszedł z Blantyre. W Malawi.

# 3

## POMIĘDZY KONTYNENTAMI, 6 CZERWCA

**L**exy wyprostowała nogi i wyciągnęła stopy przed siebie, postępując wedle instrukcji dbania o zdrowie w powietrzu, którą widziała w magazynie pokładowym, po czym oparła kończyny z powrotem na podnóżku i mościła się na sporym fotelu, aż rozsiadła się wygodnie. Uśmiechała się do ucha jak dziecko, które dostało watę cukrową, ale nie przejmowała się tym. Ulepszony standard pierwszej klasy. Nigdy wcześniej nie zaznała takich luksusów. Ale przecież nigdy wcześniej nie zrobiła nic pod wpływem chwili. Weźmie to za dobrą monetę, znak, że postępuje właściwie. Nawet jeśli tak nie było, nie miało to żadnego znaczenia. I tak nie musiała się już nikomu tłumaczyć. Ścisnęło ją w gardle. Nie było nikogo, kto oczekiwałby od niej wyjaśnień.

Nie. Nie będzie myśleć w ten sposób, nie będzie się nad sobą uzalać, czuć się samotna i opuszczona. Robi to, żeby nie być sama. Odnajdzie... no właśnie, kogo? Przyrodniego brata swojej matki? Nie była pewna, czy istniało między nimi prawowite albo jakiegokolwiek pokrewieństwo, ale Ursula urodziła jedno dziecko, a matkowała drugiemu, coś ich więc łączyło i tylko to się liczy.

Pragnąc upchnąć rozmyślenia o matce z tyłu głowy, Lexy wzięła kieliszek, który właśnie przyjęła od stewardesy, i trzymając go za chłodną nóżkę, podniosła w kierunku okna, jakby wznosiła toast do słońca zachodzącego nad Londynem, który zostawiała pod sobą.

*Malawi, nadchodzę.*

Popijała szampana małymi łykami, delektując się bąbelkami wybuchającymi

na języku i mrowiącymi niczym podniecenie, które odczuła, kiedy wyszła wczoraj z biura podróży w centrum Edynburga z planem trasy w dłoni. Koła przestach z powodu wydanej przed chwilą sumy pieniędzy, powtarzając sobie, że właśnie po to wymyślono karty kredytowe. Tego ranka wsiadła do pociągu do Londynu, zatrzymała się na chwilę w mieszkaniu, żeby wziąć paszport, spakować torbę i wsunąć wiadomość pod drzwiami pani B. z prośbą, by przechowała pudło zostawione przez Danny'ego, a potem weszła do metra na lotnisko. Łatwo poszło. Przerazająco łatwo.

Dopiero kiedy przeszła odprawę i kontrolę bezpieczeństwa, miała chwilę na refleksję. Czy powinna to robić? Czemu to robiła? Z powodu listu od kogoś, kogo w życiu nie poznała, do kobiety, której nie widziała od przeszło dwudziestu lat? Ponieważ nie miała nic lepszego do roboty w długie wakacje poza radzeniem sobie z konsekwencjami straty bliskiej osoby? Bo bała się, że jeśli będzie stać nieruchomo, cały ciężar ostatnich paru tygodni przygniecie ją i pogrzebie w mroku?

Zamarła w korytarzu nieopodal bramki wiodącej na pokład, sparaliżowana strachem.

– Hej, uważaj! – warknął ktoś zza jej pleców, po czym postawny mężczyzna ominął ją z przesadnym wysiłkiem, wchodząc po schodach tyłem, żeby móc potrząsnąć przecząco głową i spojrzeć na nią gniewnie. Stała tam, skamieniała, a pozostali pasażerowie opływali ją jak woda kamień. Wcale nie musi nigdzie jechać, powtarzała sobie. Może zawrócić do domu. Do pustego mieszkania. Do opustoszałego domu jej matki. Nikt na nią nie czekał, tak samo jak nikt nie zmuszał jej, by wsiadła na pokład. Cokolwiek zrobi, to będzie jej wybór, jej decyzja.

I właśnie tego potrzebowała. Świadomości, że to ona sprawuje kontrolę nad sytuacją i ma wolność wyboru. Ta myśl ją uspokoiła. Wybrała, by wsiąść do samolotu, mimo że miała lekką ochotę uciec. I co z tego? Nikt nie musi o tym

wiedzieć. I tak wszystko zaczeka na jej powrót, więc jeśli chce polecieć do Malawi, czemu miałyby tego nie zrobić? Tam poznali się jej rodzice, tam pracowała Ursula, tam też zafałszowano sporą część historii jej małej rodziny, której była ciekawa, teraz, gdy nikt nie mógł jej o niej opowiedzieć. Dziwne, że nigdy wcześniej nie wpadła na pomysł podróży, że jej matka ani razu tego nie zaproponowała, w życiu nie chciała tam wrócić.

Isobel rzadko opowiadała o swoim pobycie w Afryce, w ogóle nieczęsto wspominała o dawnym życiu, kiedy była młodsza, a Lexy nie wpadła na to, by ją naciskać. Jednak teraz żadna była wiedzy, jak wyglądało wspólne życie jej rodziców, zanim ona przyszła na świat i zajęła główne miejsce w ich rodzinie. Chciała się na powrót do nich zbliżyć, dowiadując się czegoś o ich młodości, o tym, kim byli, zanim rola rodzicielska określiła ich na dobre. To może desperacki i niedorzeczny kaprys, by zabić samotność i czarną rozpacz czające się w jej cieniu, aby ukoić żal, że brała rodziców za pewnik, kiedy jeszcze żyli. Ojca mogła sobie wybaczyć. Była jeszcze szkrabem, gdy zmarł, ledwie go pamiętała. Przyjęła go takim, jak przekazała jej matka: w postaci nekrologu w gazecie, który znalazła ukryty w szkatułce z biżuterią mamy wraz z kosmykiem dziecięcych włosów spiętych różową satynową wstążką oraz medalionem w kształcie serca zawierającym maleńką fotografię Lexy jako niemowlęcia i wyblakłe zdjęcie młodego mężczyzny, który – jak się domyśliła – był jej ojcem.

Z jej matką było inaczej. Lexy popełniła błąd, nie przyglądała się jej uważnie, nie spojrzała przez wierzchnią warstwę macierzyństwa do sedna kobiety, z którą dorastała, nie uznawała, że jej matka była kimś więcej niż rolą, jaką odgrywała w życiu Lexy. Tej pomyłki nie dane jej będzie nigdy naprawić. Przynajmniej ta podróż będzie czymś w rodzaju hołdu złożonego kobiecie, której żałowała, że lepiej nie poznała, nie zrozumiała jej, nie zaprzyjaźniła się z nią. Kobiecie, na którą była wściekła, że ją zostawiła, ale jeszcze bardziej, że ją okłamała.

Opróżniła kieliszek. Szampan stracił smak. Był letni. Próba luzackiej

spontaniczności tak naprawdę spełzała na niczym. Kobieta niemal słyszała, jak Danny ją poucza, tak jak robił to wiele razy.

„Lexy, czemu od czasu do czasu nie pomyślisz? Każdy czyn ma swoje konsekwencje” – powiedziałby tym zniewieściałym, protekcyjnym tonem, jakby zwracał się do studenta, który nie oddał eseju na czas, ponieważ całą noc imprezował. Czasem potrafił być prawdziwym utrapieniem. Zwłaszcza kiedy miał rację. Jego wykłady zawsze wywoływały kłótnie. Powiedziała mu, że jest nudny; odparłby, że ona zachowuje się jak rozpieszczone dziecko. Wybiegałaby jak oparzona, on krzyczałby za nią, żeby nie trzaskała drzwiami, czego oczywiście nie omieszkałaby zrobić. Potem parę razy okrążyłaby biegiem blok albo kopałaby do skutku liście w parku, po czym zakradłaby się z powrotem do domu. On czytałby jakieś akademickie czasopismo albo oceniałby prace jak gdyby nigdy nic. Tyle że musiałby to powiedzieć. Wprost nie mógłby się powstrzymać. Ani razu. „Musisz nauczyć się panować nad sobą, Lexy”. Wtedy wszystko zaczęłoby się od nowa.

Ale to, co Danny by powiedział albo czego nie powiedział – tak samo jak inne stałe w jej życiu – już się nie liczyło. Była panią samej siebie. Wpatrywała się w swoje odbicie w oknie, chmury nad jej głową rozmazywały kontur jej sylwetki. Była wolna. Nie była pewna, czy podoba jej się to uczucie, ale będzie musiała do niego przywyknąć. To dopiero początek. Wyprawa do Afryki, by odnaleźć syna Ursuli, kogoś w rodzaju wujka. A jeśli list zawierał prawdę, to fakt, że nie będzie to takie proste, jak się na początku spodziewała, tylko dodawał odrobiny smaczku. Była tam szczypta dramatyzmu, nawet cień podstępny, a tej mieszance wywołującej dreszcz nie potrafiła się oprzeć.

Świeży papier poczty lotniczej zaszeleścił, kiedy wyjmowała go z kieszeni.

SZPITAL W BLANTYRE

24 MAJA



*Droga Ursulo,*

*Tak jak mnie prosiłaś, skontaktowałem się z misją podczas mojej ostatniej podróży do kliniki, mając nadzieję Cię uspokoić, ale obawiam się, że wieści wcale nie rozwieją Twoich obaw. Niedawno odwiedziła ich kobieta, która twierdzi, że jest córką niemieckiej misjonarki, pracuje nad książką poświęconą historii i dziedzictwu misji europejskich w Afryce. Interesował ją zwłaszcza sierociniec; powiedziała, że poświęci rozdział roli Kościoła w znajdowaniu nowego miejsca osieroconym lub porzuconym dzieciom, ale wzbudziła podejrzenia, kiedy przytoczyła pewne imię jako przykładową autorkę dzieła, którego misja podjęła się w tym względzie. Na nasze szczęście to siostra Agnes podjęła gościa, nie trzeba chyba mówić, że nie wyjawiała nic poza ogólnikami na temat naszych działań w przeszłości, ubóstwie źródeł, archiwów i tak dalej. Nie wyrażono zgody na wizytę turystki w sierocińcu, mimo jej rzekomego zainteresowania tym tematem, i odwiedzająca wyjechała, posiadając niewiele większą wiedzę, niż kiedy się tu zjawiała.*

*Tej samej nocy jednak po raz pierwszy w życiu włamano się na teren misji. Malawi nie jest takie jak dawniej, kiedy tu byłaś, choć nadal panuje względne bezpieczeństwo, a przestępstwa przeciwko misji są doprawdy rzadkie. Zdaje się więc, że to nie przypadek, zwłaszcza że celem włamania było archiwum, które zostało zdemolowane. Przewrócono do góry nogami całe pomieszczenie, papiery z teczek walały się wszędzie, zalano je farbą i wybielaczem, niszcząc tym samym wiele akt albo przynajmniej uniemożliwiając ich odczytanie. Sprzątanie archiwum i porządkowanie akt to powolny i wymagający proces, trudno powiedzieć, co dokładnie zginęło, ale dokumentów, o które się martwimy, nie udało się odzyskać,*

przynajmniej do dziś. Obawiam się, że musimy założyć, iż już ich nie odnajdziemy. Siostra Agnes bezspornie się obwinia, że w ogóle je przechowywała, ale tak zawsze postępowano, a ona nie miała wówczas możliwości zaniechać tej procedury. Usiłowałem przekonać ją, że nie ma w tym jej winy, ale ona obstaje, by nosić wór pokutny i sypać głowę popiołem – w przenośni, nie dosłownie, miejmy nadzieję.

Poddała mi rysopis gościa, ale miała zastrzeżenia co do jego trafności. Nic nie umknie naszej przyjaciółce, która jest pewna, że kobieta była w przebraniu. Najprawdopodobniej nosiła perukę, więc zapewne wcale nie jest blondynką, jak się zdawało, ani Niemką, jako że niemiecki, którym władała, zanim przeszła na język angielski, nawet w ocenie siostry Agnes, która uczyła się go jako pensjonarka, był przestarzały i sztuczny; siostra nie ma pewności, jakiej narodowości była odwiedzająca, ale na pewno nie niemieckiej. Z drugiej strony turystka posługiwała się potoczną angielszczyzną bez akcentu. Poza tym była raczej młoda, średniego wzrostu i przeciętnej budowy, choć luźny ubiór i buty na wysokich obcasach również mogły tuszować jej prawdziwy wygląd. Do tego miała niebieskie oczy. Bardzo niebieskie oczy. Pewnie nosiła kolorowe soczewki kontaktowe, jak podejrzewa nasz Sherlock w osobie siostry Agnes. Najwyraźniej wyglądała na opaloną, tak jakby dłużej przebywała na wsi, lecz siostrzyczka znów zauważyła, że grzbiety dłoni kobiety były jaśniejsze od jej twarzy, więc pewnie miała makijaż lub zatroszczyła się o sztuczną opaleniznę.

Podsumowując, gość zjawił się w przebraniu i już ten fakt powinien wzbudzić w nas obawy. Ursulo, być może powinniśmy wziąć sprawy we własne ręce. To zaszła historia, ale może nadszedł czas,

*by ujrzała światło dzienne. Te słowa nie przychodzą mi lekko, ale czasy się zmieniły. Rozumiem, że byłoby to trudne i wywołałoby bolesne wspomnienia u Ciebie i Babci, jednak czyż prowadzone przez Was życia nie stanowią niepodważalnego świadectwa Waszej dobroci? Zrobiłaś to, ponieważ naprawdę myślałaś, że tak będzie najlepiej, i nikt Cię o to nie wini. Nie sądzę, by trzeba było utrzymywać to dłużej w tajemnicy. To, co niegdyś wywołałoby niewyobrażalny skandal, co mogłoby zrujnować karierę, zniszczyć interesy, dziś przeszłoby bez większego echa. Nagłówek w dzienniku, który czyta się dziś, by zapomnieć go jutro. Przemyśl to, Ursulo. Na dłuższą metę to wyszłoby wszystkim na dobre. Może nadeszła pora, żeby właściwie i uczciwie wyprostować niesprawiedliwości z przeszłych czasów lub przynajmniej uczynić pierwszy krok, by je naprawić. Nie będziemy nikogo do niczego zmuszać, ale mam poczucie, że każdy powinien mieć prawo wyboru. I pamiętaj, Ursulo, nie ma groźby szantażu, jeśli nie ma sekretów.*

*Wiedz jednak, że bez względu na to, co zdecydujesz, możesz dalej liczyć na moje wsparcie. Oczywiście Babcia też, choć nie podzieliłem się z nią ostatnimi wydarzeniami. Przykro mi to mówić, ale wciąż traci siły. Jak zawsze jednak nie ma zamiaru zwalniać lub czynić ustępstw z uwagi na zaawansowany wiek lub pogarszający się stan zdrowia. Rozumiem, dlaczego od tak dawna pozostajecie niezawodnymi przyjaciółkami – nie jesteście tylko bratnimi duszami, łączy Was ta sama niestrudzona determinacja, która zdaje się przybierać na sile z każdym mijającym rokiem.*

*Obawiam się, że niewiele mam dla Ciebie dobrych wieści. Istnieje prawdopodobieństwo, że mój wniosek badawczy zostanie przyjęty, wówczas będziemy mogli znacznie poszerzyć program.*

*Malaria jest teraz priorytetem w kręgach światowych organizacji zdrowotnych, więc żywię spore nadzieje. Poza tym życie w szpitalu płynie po staremu, towarzystwo w Blantyre ma się jak zwykle. Czasami myślę, że żyjemy tu w zakrzywieniu czasoprzestrzeni, gdybyś wróciła, znalazłabyś wszystko na swoim miejscu, tak jak to zostawiłaś. Mimo wszystko nie zamieniłbym się z nikim. Pomimo Twojej miłości i troski te zimne lata w Edynburgu stanowiły dowód, że potrzebuję afrykańskiego słońca, by mnie rozgrzało, ale postaram się, obiecuję, przyjechać z wizytą.*

*Niech Babcia przekaze Ci najświeższe plotki z klubu i od Twoich starych kum. Zawsze miała się na tyle dobrze, by trzymać rękę na pulsie, poza tym wiem, że będziesz czekać na wyniki mojego śledztwa przeprowadzonego na terenie misji, zajmę się więc tym niezwłocznie. Ale Ursulo, proszę, przemyśl raz jeszcze podtrzymywanie tej konspiracji przy życiu. Naprawdę bardzo się o Ciebie martwię. Nie powiedziałaś, dlaczego podejrzewasz, że nawiązano kontakty z misją – to mnie niepokoi. Czy jest coś, o czym mi nie powiedziałaś? Czym zostało wywołane Twoje zapytanie? Cokolwiek to jest, proszę Cię, bądź ostrożna. Groźba odkrycia tajemnicy to nie wystarczający powód, by wystawiać się na ryzyko, boję się, że właśnie to robisz, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Jeśli prawda zostałaby ujawniona po takim czasie, czy byłoby to aż tak złe? Wątpię. Mogłoby się nawet okazać, że wszystkim wyszłoby to na dobre.*

*Twój Robbie*

Lexy złożyła list i schowała go z powrotem do koperty. Obracała go w dłoniach, raz po raz odczytując czarne pismo na awersie. *Nadawca: Dr Robert Campbell, Szpital w Blantyre, Malawi.*

Campbell. To nazwisko – na równi z sekretami i łajdactwami wspomnianymi w liście – przykuło jej uwagę. To nie mógł być zbieg okoliczności. Matka chrzestna Izzie mieszkała w Blantyre w Malawi, nazywała się Evie Campbell. Nie były blisko, ale na święta Bożego Narodzenia przychodziły kartki, a od czasu do czasu docierały listy w identycznych kopertach obramowanych granatem i czerwienią, z tym samym nazwiskiem starannie wypisanym inną ręką na odwrocie. Jej matka pieczołowicie odklejała znaczki z kopert nad parą, a Lexy chomikowała je na handel wymienny na podwórku, jednak przesyłki zaczęły przychodzić rzadziej, a potem zupełnie ustały, kiedy zaczynała nastoletni okres swojego życia. Przez lata ani razu o nich nie pomyślała.

Lexy bębniła palcami w kopertę, którą odłożyła przed sobą na sam środek składanego stolika. „Babcia” wymieniona w liście musiała, po prostu musiała oznaczać Evie Campbell. Sekret, który usiłowali zachować, musiał mieć coś wspólnego z synem Ursuli. Tak musiało być. Owa „misja” w jakiś sposób była w to zamieszana, a Lexy zamierzała dowiedzieć się w jaki. Odnajdzie syna Ursuli i mimo że doktor Robert Campbell i jego babcia jeszcze jej nie znają, to jej w tym pomogą.

# 4

## REZYDENCJA, BLANTYRE W MALAWI, 7 CZERWCA

**G**dy tylko drzwi zatrzasnęły się za Lexy, kobieta rzuciła się na plecy na łóżko. Afryka! Dokonała tego. Była wyczerpana, w głowie jej szumiało. Wszystko wokół wydawało się nowe, egzotyczne, ekscytujące. Nawet jazda taksówką z lotniska stanowiła przeżycie: paleta niepasujących kolorów, plastikowe róże w puszcze po syropie Tate & Lyle wciśniętej w uchwyt na napoje między przednimi fotelami oraz zapach, który za grosz nie przypominał aromatu „nowej skóry” proponowanego w myjni samochodowej w jej sąsiedztwie. Lexy szczerze wątpiła, czy kierowca miał ubezpieczenie albo choćby licencję, ale brawura, która ją ogarnęła i popchnęła w tę szaloną podróż, przeważyła. Życie naprawdę jest za krótkie – tak brzmiała ostatnia lekcja jej matki.

Afryka. Jest w Afryce. Zrzuciła but. Malawi. Drugi but także wylądował z pląśnięciem na podłodze. Nazwa tego miejsca eksplodowała jej w głowie niczym fajerwerki. Naprawdę tu jest.

Nie mogła się powstrzymać. Roześmiała się w głos, z jawnego podekscytowania dudniąc piętami w materac. Afryka. Afryka. Afryka. Dla kogoś, kto nie wiedział, gdzie leży Malawi, dopóki pracownik biura podróży nie wskazał go na mapie, to było niewiarygodne.

Dźwięk jej komórki był niespodziewany i obcy w nowym kraju, potrwało to chwilę, zanim zareagowała. Wygramoliła się z łóżka, stanęła na nogi, wyłowiła telefon z torebki i dotknęła ekranu, by odebrać, zbyt późno dostrzegając imię Danny’ego. Tylko nie to. Znowu.

– Danny.

– Lexy, do diaska, w co się teraz wpakowałaś? Pani B. tym razem nie żartuje. Mówi, że nie może wciąż potykać się o twoje rzeczy, poza tym kot chodzi rozdrażniony i nie przestaje miauczeć na pudło. Nie mam ochoty się z tym użerać, Lexy. Naprawdę.

– Wszystko w porządku, dzięki, Danny. Jak się masz?

– Co? Och, na litość boską. Ona chce wiedzieć, co jest grane.

– Czemu pyta o to ciebie? Wie, że się rozsta...

– Miałaś wyłączony telefon. Znowu. Od paru godzin próbuję się dodzwonić. Parę razy nagrałem ci się na pocztę głosową. Też nie raczyłaś odpowiedzieć.

Lexy nie odsłuchiwała wiadomości. Nie zdawała sobie sprawy, że komórka złapała zasięg, aż nie zadzwoniła.

– Przepraszam. – Miała dosyć przepraszania i usprawiedliwiania się, ale nie mogła się powstrzymać. – Próbowałam z nią porozmawiać, ale jej nie było, więc zostawiłam liścik, wytłumaczyłam...

– Twój liścik, jak się zdaje, był dość mglisty. Chce wiedzieć, kiedy wracasz.

– To znaczyło, że Danny chce to wiedzieć. – Wiesz, Lexy, zapewnienie, że odbierzesz pudło, kiedy wrócisz, nie wspominając o dacie powrotu, nie jest zbyt pomocne.

– To nie twoja sprawa.

– Myślisz, że tego nie wiem? Ani trochę nie bawi mnie, że jestem w to zamieszany. Zaniósłem pudło, jak mnie prosiłaś, myślałem, że na tym koniec. Ale potem zjawiasz się i wycinasz mi kolejny numer. Gdzie tym razem uciekłaś? Do wsi John o' Groats? Na przylądek Land's End? Do Timbuk-cholernego-tu?

– Blisko. Chyba. Nie jestem za dobra z geografii, a przynajmniej nie z geografii Afryki.

Usłyszała, że Danny łapie oddech.

- Gdzie jesteś, Lex?
- To nie twoja sprawa, Dan.
- Gdzie?
- W Malawi.
- Gdzie?
- Malawi. To w Afryce, pomiędzy Zambią a...
- Wiem, gdzie leży Malawi, do cholery.

*Oczywiście, że wie*, pomyślała bardziej niż lekko wkurzona, że zlekceważył jej świeżo nabytą wiedzę.

– Lexy, postradałaś zmysły, naprawdę. Zrobiłaś sobie wakacje? Na litość boską, nie możesz tak uciekać.

– Nie uciekam! I to z pewnością nie żadne wakacje... Poza tym to nie ma z tobą nic wspólnego.

– Nie wiem, co się z tobą dzieje. Mogę się tylko domyślać, że to przez żalobę jesteś taka niezrównowazona. Czemu Malawi? I dlaczego akurat teraz, kiedy odziedziczyłaś posiadłość matki...

– Nie wiem, okej? Albo nie potrafię tego dokładnie wytłumaczyć. I tak nigdy tego nie zrozumiesz. Posłuchaj, powiedziałam ci już, że przepraszam za panią B. i całe to halo, ale zajmę się tym. Zadzwońię do niej albo wyślę pocztówkę. Powiedz jej tylko, że to już nie twoja broszka, potem możesz o mnie zapomnieć i z powrotem bawić się w szczęśliwą rodzinę z tą infantylną utrzymanką, co łapie facetów na dziecko, z którą żyjesz na kocią łapę.

Lexy usłyszała jego ciężkie westchnięcie, a potem głuchą ciszę. Rzuciła komórkę na łóżko, po czym chwyciła ją i cisnęła raz jeszcze, tym razem mocniej. Telefon odbił się od łóżka i wylądował z łoskotem na wypolerowanej podłodze. Lexy kopnęła go i sama walnęła się na łóżko. Dlaczego zawsze wyzwał w niej dziecko? Dokuczliwego dzieciucha, którym tak naprawdę nigdy nie była. Nie była dumna z tego, co zrobiła. Incydent przyprawił ją o mdłości. Zraniła



Danny'ego, na dodatek celowo, i nawet nie wiedziała czemu.

Może dlatego, że był nadętym dupkiem. A może dlatego, że miał rację. Czy była „niezrównowazona”? Skąd miała wiedzieć? Nigdy wcześniej nie przeżywała żaloby, a przynajmniej nie w dorosłym życiu. Jak śmiał twierdzić, że uciekała? Nie uciekała. Ona... Ona... Odkrywała, kim jest, kim mogłaby być. Musiała jednak przyznać, że zachowywała się osobliwie, ta porywczosć odrobinę ją przerażała. Lexy zdołała przemilczeć fakt, że kupiła do Malawi bilet otwarty. Że nie wiedziała, kiedy wraca, ani nawet, czy w ogóle wraca. Ma zwolnienie ze szkoły do końca semestru, potem wakacje, a później – kto wie? Już od pewnego czasu nie była szczęśliwa, ale Danny o tym nie wiedział. Nigdy nie pytał. Nie miał pojęcia, co czuła, i to jeszcze przed śmiercią matki.

Odtworzyła w myślach przebieg ich rozmowy. Powiedziała mu niewiele, choć to wystarczyło, by obudzić w nim sceptycyzm, wywołać jego jawną przyganę. Uprzedzony zarozumialec. Prawdopodobnie wykorzystywał panią B. jako wymówkę, by trzymać rękę na pulsie. Niezrównowazona, dobre sobie. Czuła, że ta mieszanina gniewu i wyniosłości przeważa nad uporczywą paniką lub strachem przed podróżą. Może była nieco opryskliwa w stosunku do Danny'ego, ale ją sprowokował. Mogła powiedzieć, że wybrała się do Malawi tylko dlatego, że nic nie stało na przeszkodzie teraz, gdy się od niego uwolniła, ponieważ Danny w życiu by tego nie zrobił. Mogłaby pojechać, gdzie jej się żywnie podoba, skoro on zniknął z jej życia. Byłoby to jednak okrutne, a skoro nie była już jego ukochaną, nie miała ochoty rywalizować, zdobywać punkty czy wywoływać ból.

A jednak to zrobiła. Dobra robota, Lexy. Dobra robota.

Rozłożyła szeroko ramiona, starając się ponownie wykrzesać z siebie entuzjazm, który czuła przed odebraniem telefonu, ale zamiast tego dopadło ją zmęczenie. Była zbyt podekscytowana, żeby wyspać się podczas nocnego lotu. Przeciągnęła się, wyciągając koniuszki palców na boki, a mimo to nie sięgała

skrajów ogromnego łóżka. Słyszała, jak świeża pościel skrzypi pod batikową narzutą, kiedy przekręciła się na brzuch i wsparła na łokciu, by wyjrzeć przez otwarte drzwi balkonu na bujne hotelowe ogrody. „Możesz uciekać, ale nie zdołasz się schować” – szeptała w myślach jej matka. Czemu wszyscy zakładali, że uciekała? Nie uciekała ani nie chowała się. Przecież jest tutaj. Na innym kontynencie. W innym świecie, który desperacko pragnie odkryć. Jak można nazwać to ucieczką? Po raz pierwszy od śmierci matki patrzyła przed siebie, i to szeroko otwartymi oczami, zamiast oglądać się za siebie z przymkniętymi powiekami. Może to, co odkryje tutaj, przywróci jej część matki, jej przeszłości, odrobinę pewności, z której odarły ją ostatnie dni wraz z zagadkami i odkryciami?

Lexy z trudem zebrała się z czeluści przepastnego łóżka i wyszła na balkon, gdzie obmyła ją fala gorąca tak kojącego i miękkiego jak dotyk kaszmiru na skórze. Balkon znajdował się w cieniu jaśminu pnącego, którego witki utkały gęsty baldachim pomiędzy drewnianymi podpórkami; białe, miękkie jak wosk rośliny lśniły na tle zacienienia jak gwiazdy na nocnym nieboskłonie. Pod stopami Lexy rozpościerał się niczym aksamitna poduszka nieskazitelny szmaragdowy trawnik, porośnięty na obrzeżach krzewami hibiskusa obsypanymi pomarańczowym, czerwonym, żółtym i złotym kwieciem. Oparła się o balustradę i zaczerpnęła głęboko nieruchomego powietrza – kwiatowych perfum, słodkich i mdłych, soczystych i egzotycznych, pieszczących jej wygłodniałe zmysły. Zamknęła oczy i zwróciła twarz ku ostatnim promieniom zachodzącego słońca, w oddali słyszała szum ruchu ulicznego, od czasu do czasu ryk klaksonu, krzyk jakiegoś sprzedawcy, szczekanie psa.

Cokolwiek ma odkryć, kryje się gdzieś tam i czeka na nią.

**K**iedy Lexy się obudziła, znów czuła się zdezorientowana. Ta zmiana – po latach budzenia się w tym samym łóżku z Dannym u boku – była zbyt duża i za

prędka. Pojawiło się zbyt wiele obcych pościeli i różnych miejsc, by zaspana wersja jej samej mogła przyjąć to do wiadomości. No i pozostawała jeszcze samotność. Nawet kiedy wyjeżdżali z Dannym na urlop, budziła się obok znajomego ciepła jego ciała, słyszała jego oddech. W większość poranków budziła się na dźwięk jego głosu i dotyk dłoni, którą delikatnie ją szturchał, kiedy przesypiała kolejną kakofonię alarmu. Kupił jej już tyle różnych budzików i nadal nie mógł uwierzyć w to, że potrafi przespać taki hałas. Wyszedł z siebie, kiedy zabrał ją do Royal Albert Hall, a ona przysnęła podczas uwertury Czajkowskiego *Rok 1812*.

Zdecydowanie potrząsnęła głową. Danny to przeszłość. Koniec z Dannym, oddalonym o kontynent. Ona jest w Afryce. Oddychała głęboko, wyprostowała nogi, siadając, a rattanowy leżak z balkonu przesunął się głośno pod jej ciężarem. Było już ciemno, a śpiew cykad niósł się głośno po wychłodzonym powietrzu. W mgnieniu oka opanowała ją panika, nieznana afrykańska noc napędziła jej stracha i zaparła dech w piersiach niczym widok kaptura porywacza. Potem kobieta usłyszała głosy poniżej, głębokie, intensywne i liryczne śpiewy po angielsku, których nie mogła rozpoznać. Dzięki temu jednak rozluźniła się i poczuła nieco mniej samotna. Pozwoliła, by nieśmiały uśmiech zagościł na jej ustach, po czym wstała i rozprostowała kości, pozwalając w ten sposób długiemi rękami i nogami zapomnieć o niewygodach długiego lotu.

Chciało jej się pić, więc powędrowała z powrotem do pokoju i naląła sobie wody z dzbanka stojącego na stole, skrzętnie przykrytego haftowaną serwetką z siatki, która miała chronić zawartość. Przed czym? Nad tym wołała się nie zastanawiać. Spała prawie dwie godziny. Jej walizka wciąż tkwiła zamknięta na stojaku na bagaż tuż przy drzwiach, tam, gdzie zostawił ją boy hotelowy. Otworzyła zamek szyfrowy i szperała w środku, aż znalazła kosmetyczkę, a kiedy ją wyciągała, ubrania rozsypały się po podłodze. Podeptała je w drodze do łazienki. Później się rozpakuje. Przecież parę godzin nie sprawi, że jej garderoba

wygniecie się jeszcze bardziej. Pakowanie nigdy nie było jej mocną stroną. Ani prasowanie, skoro już o tym mowa.

Twarz, która przyglądała jej się bacznie z lustra w łazience, była blada i miała podkrążone oczy. Sen wcale jej nie pomógł. Lexy przebiegła grzebieniem po splątanych włosach, przemyła twarz wodą, umyła zęby i postanowiła, że to będzie musiało na razie wystarczyć. I tak nikt jej tutaj nie zna.

Zarzuciła plecak na ramię, ale kątem oka dostrzegła swoje odbicie, kiedy ruszyła do drzwi.

– Dobrze, w porządku – wymamrotała pod nosem, wyobrażając sobie krzywe spojrzenie jej matki wyrażające cichą przyganę. – Niech będzie szminka, ale to wszystko.

Nadal nie była elegancka. Chwyciła paszminowy szal z walizki i owinęła się nim. Lepiej, ale na pewno zdołałaby odwiedzić hotelową restaurację bez wypchanego plecaka. Gruntownie przegrzebując podróżnicze przybory oraz plik wciąż nieotwartej korespondencji z mieszkania Ursuli, wyjęła torebkę, notes i szarą teczkę, którą wręczyła jej notariuszka w Edynburgu. Próbowiła przejrzeć papiery w samolocie, ale się nie udało. Może porządny posiłek i kieliszek dobrego wina pomogą jej ogarnąć to rozumem. Zrzuciła plecak na łóżko, przycisnęła teczkę i notes do ciała niczym napierśnik i ruszyła na poszukiwanie jedzenia.

Zamknęła drzwi na staromodny metalowy klucz i prześledziła wzrokiem korytarz, wstrzymując oddech. Nie zwróciła większej uwagi na otoczenie, kiedy zaprowadzono ją do pokoju, skupiła się jedynie na tym, by wlec się za boyem hotelowym, który udawał jak potrafił, że waliza jest lekka jak piórko. Może dla niego była, ale kiedy ona ciągnęła ją za sobą po lotnisku, żałowała, że spakowała albumy ze zdjęciami, o których powiedziała jej Jenny, oraz komplet leżących pod nimi papierów. Dorzuciła także teczkę, którą znalazła pod poduszką fotela, kiedy wycierała rozlaną herbatę. Znajdowały się tam stare listy i coś, co wyglądało na

wycinki z pamiętnika – to ją zaintrygowało. Zwykle nie taka byłaby jej wakacyjna lektura, trzeba przyznać, ale przecież to nie były zwykłe wakacje. W zasadzie to w ogóle nie były wakacje, jak wytknęła Danny’emu może odrobinę zbyt stanowczo. Nadal źle się czuła po ich rozmowie. No i te prochy. Jak mogła tak postąpić? Przecież to prochy jej matki, na litość boską. Nie mogła, nie będzie o tym myśleć. To jak zagłębienie do głębokiej, ciemnej studni, nie miała pojęcia, co leży na dnie. To ją przerażało, czyniło okropnie smutną.

Teraz będzie się cieszyć chwilą, jak tylko potrafi. Była zachwycona, kiedy znalazła się na szerokim balkonie wyglądającym na wewnętrzny dziedziniec delikatnie rozświetlony szpalerami latarni ustawionych wzdłuż dwóch ścieżek, które przecinały się niczym krzyż świętego Andrzeja. Jej pokój na poddaszu drugiego piętra z jednej strony wychodził na ów podwórzec, który z kolei był otwarty na purpurowo-niebieskie niebo usiane gwiazdami niczym malutkimi jupiterami, przyozdobione srebrnym sierpem księżycy wiszącym nad dachem skrzydła naprzeciwko.

Lampy ścienne rzucały żółtą poświatę na krzesła trzciniowe i stoliki kawowe stojące przed każdym z pokoiów, mahoniowa podłoga lśniła, a palmy doniczkowe i inne rośliny, których jeszcze nie знаła, rzucały cienie żyjące własnym życiem na gładkie białe ściany, sporadycznie udekorowane afrykańskimi pejzażami. Jej kroki rozlegały się echem, kiedy szła w kierunku jednej z dwóch kondygnacji schodów, które odchodziły po obu stronach prostokątnego placu, a potem przemierzyła patio i ruszyła z powrotem do recepcji, żeby spytać, gdzie jest restauracja.

– Och, pani Shaw. – Jaskrawo ubrana recepcjonistka przywitała ją, gdy Lexy podeszła do pulpitu. – Mamy dla pani wiadomość.

– Naprawdę?

– Dopiero co odebraliśmy. Kazano nam pani nie przeszkadzać, tylko poczekać, aż pani zejdzie.

– Dziękuję.

Lexy przyjęła kopertę, z zaskoczeniem zauważyła na środku swoje nazwisko wypisane czarnym tuszem. Odwróciła list, ale na rewersie nie było wskazówki na temat nadawcy.

– Wybiera się pani na kolację, pani Shaw? Barney może pokazać pani drogę do restauracji.

Recepcjonistka skinęła palcem wskazującym i jak na wezwanie u jej boku stawiał się niski nastolatek, robiący wrażenie w nienagannym uniformie boya hotelowego.

– Proszę za mną, panienko.

Lexy podążyła za boyem przez lobby ku przyciszonemu gwarowi rozmów i słumionym dźwiękom fortepianowej muzyki w tle. Chłopak przepuścił ją w wejściu do restauracji i Lexy znalazła się w holu, w którym okazały zdobny pulpit strzegł dostępu do stolików. Dwuskrzydłowe drzwi wychodziły na bar po prawej, gdzie ledwie dostrzec można było pochyloną głowę muzyka pod skosem wielkiego wieka fortepianu. Paru gości lokalu nie zwróciło na nią uwagi, bardziej skupiało się na sobie nawzajem albo na swoich koktajlach niż na muzyce. Ktoś samotnie popijał drinka, podpierając bar, kilka stolików było zajętych przez starsze, osmagane słońcem pary oraz grupkę chichoczących kobiet w koktajlowych sukienkach siedzącą w fotelach przy oknie. Lexy wciąż myślała o liście, który trzymała w dłoniach, przystanęła zaskoczona, kiedy samotny amator drinków podniósł rękę i pomachał jej. Wtedy Barney na nią wpadł, przez co potknęła się, upuszczając list.

– Och, przepraszam – powiedziała zakłopotana Lexy, znów zderzając się z boyem, kiedy oboje jednocześnie schylili się po list. – Ach! – Roztarła czoło, czując, że się rumieni z powodu śmiechu dobiegającego z baru, to pewnie gość podpierający bar rozbawiony tym, jakie zrobił na niej wrażenie.

– To moja wina, pani Shaw. Proszę, ja się tym zajmę. – Chłopak zanurkował

po list, ale wcześniej Lexy zauważyła błysk białych zębów, kiedy uśmiechnął się od ucha do ucha. Była pewna, że mrugnął, kiedy wręczał jej z powrotem list i znów puścił przodem, obok pulpitu i do wyjścia z baru.

– Przepraszam, jet lag – wytłumaczyła się, choć wątpiła, by tak mała różnica czasu naprawdę stanowiła dobrą wymówkę. – Dziękuję.

– Nie ma problemu, pani Shaw.

– Barney. – Pełen dezaprobaty głos zza jej pleców sprawił, że Lexy obróciła się na pięcie ku nagle zajętemu pulpitowi. – To wszystko. Zaopiekuję się naszym gościem. – Uwaga skupiła się na Lexy, a ton uległ zmianie, jego surowy wydźwięk zmięknął i przeobraził się w przymilne uniżenie, które zawstydziłoby hippisowski zespół Uriah Heep. – W czym mogę pani pomóc?

– Ja... – Lexy była zahipnotyzowana wysokim mężczyzną górującym nad pulpitem niczym pastor na ambonie. *Albo*, pomyślała lekceważąco, *jak sęp*. Sęp rodem z bajki Disneya, wprost z *Księgi dżungli*. Małe oczka z opadającymi powiekami...

– Stolik dla pani Shaw poproszę – odpowiedział Barney.

– Racja. Przepraszam. Tak, stolik. Dla jednej osoby, poproszę.

– Smacznego, pani Shaw. – Barney uklonił się i zniknął, zanim zdążyła mu podziękować.

Pograżała się coraz bardziej w zażenowaniu, kiedy przemierzała pękającą w szwach jadalnię, wiedząc, że rozmowy przy stołach ucichają, gdy przechodzi obok, a zajmujący miejsca goście podnoszą wzrok, by przyjrzeć się nowoprzybyłej. Cieszyła się, że zrzuciła plecak, lecz wiedziała, że sama paszmina nie wystarczy, by przydać jej odrobiny finezji, której wymagał tak wykwintny wystrój. Na samym końcu restauracja wychodziła na długą werandę wzdłuż tego samego nienagannego ogrodu, nad którym górował pokój Lexy.

– W środku czy na zewnątrz, proszę pani?

– Och, na zewnątrz, poproszę. Zdecydowanie na zewnątrz.

Na werandzie zajętych stolików było mniej, poza tym stały przepierzone roślinnością i rzeźbionymi parawanami zapewniającymi większą prywatność niż otwarty przestwór pomieszczenia w środku. Starszy kelner, jakby przeczuwając jej pragnienie ukrycia się przed światem albo wnioskując z jej wyglądu, że wywoła mniejsze zamieszanie wśród stałej klienteli, jeśli upchnie się ją dyskretnie w kącie, z dala od wzroku innych gości, sprytnie zaprowadził ją do niewielkiego stolika na samym skraju werandy. Odsunął jej krzesło, delikatnie przysunął, gdy usiadła, po czym energicznie rozwinął białą lnianą serwetę i zgrabnym ruchem rozłożył ją na kolanach Lexy.

– Podać coś do picia, pani Shaw? – spytał, kładąc przed nią na stole otwarte menu. – Naszą specjalnością są koktajle. Proponuję też kieliszek szampana jako aperitif, jeśli mogę coś zasugerować.

– Z całą pewnością pan może – odpowiedziała Lexy z przekonaniem.

Zasłużyła sobie na to po tym, jak zebrała żniwo karcących spojrzeń z sali jadalnej. Lekko uniesiona brew sprawiła, że ponownie wzięła go pod lupę. Ani trochę nie pasował do Disneya. To spojrzenie nieomylnie należało do Wolkanina. Ach, te wieczory spędzone z Dannym na oglądaniu powtórek *Star Treka*...

– Ach, tak. – Zdała sobie sprawę, że kelner czekał na jej odpowiedź. – Kieliszek szampana, poproszę.

Szampan? Znowu? Sumienie ją gryzło. To nie przystoi córce w żałobie. Wszyscy pomyślą, że chce coś uczcić, co nie było prawdą. Albo że jest bogata, choć zdecydowanie nie była, planowanie wydatków odłożyła jednak na jutro. Poza tym bała się pomyśleć, co stanie się z brwiami Wolkanina, jeśli zamówi szklanekę cydru.

Smukły kieliszek otrzymała od kelnera, który przyjął jej zamówienie, a potem zostawił ją w spokoju, by mogła medytować nad nadal nietkniętą wiadomością wsuniętą za okładkę notesu. Była zaintrygowana, ale ociągała się



z otwarciem koperty, nie chcąc zakłócać towarzyszącego jej poczucia odosobnienia i rezerwy. Nie uciekała. Ani się nie chowała, rzecz jasna. Kogo oszukiwała? Danny przejrzał jej czcze przechwałki na wylot.

Ale skąd ta wiadomość? Nikt nie spodziewał się tu Lexy. Nikt jej tu nie znał ani nie wiedział, co stało się z jej matką czy też z Ursulą, co przecież w sporej części przekonało Lexy do przyjazdu. Czy w ogóle powiedziała komukolwiek, że się tu wybiera? Danny'emu, ale to nie on przesłał jej wiadomość. No i notariuszce. Lexy miała zamiar skontaktować się z tutejszą kancelarią, ale to nie wyglądało na oficjalne pismo. Poza tym kobieta nie zdradziła, kiedy wybiera się w podróż ani gdzie zamierza się zatrzymać.

Była poruszona. Rozkoszowała się wrażeniem anonimowości, wolności. To, że ktoś ją odnalazł i postanowił się z nią skontaktować, zbyt prędko rozwiało błogie uczucie. Otworzy kopertę po kolacji. *Prokrastynacja, na imię ci Lexy.* Wcisnęła wiadomość z powrotem do notesu i wyjęła szarą teczkę. To także odkładała na potem, mimo że nosiła komplet dokumentów ze sobą od momentu, gdy otrzymała go od prawniczki. Nie znaczyło to, że nie zamierzała wziąć na siebie odpowiedzialności i zająć się załatwieniem spraw Ursuli. A później swojej matki. Jak Danny śmiał pomyśleć, że uciekała? Otworzyła z rozmachem teczkę i zaczęła wertować strony pełne liczb i prawniczego żargonu. Obcy język, czarno na białym...

– Pani Shaw?

Zgarnęła teczkę ze stołu i oparła się na krześle, spodziewając się, że zobaczy przed sobą talerz. Podniosła głowę, kiedy tak się nie stało. Uśmiechał się do niej wysoki, jasnowłosy mężczyzna paradujący w blezerze i wojskowym lub po prostu staroświeckim krawacie. Samotny amator drinków.

– Tak? – zdołała wydusić z siebie Lexy, pamiętając, jak jej pomachał. Zastanawiała się, czy powinna go rozpoznać, choć była pewna, że się nie poznali.

– Proszę wybaczyć, że przeszkadzam. – Zamilkł, jakby spodziewał się, że

Lexy coś powie, ale ona nie miała pojęcia, co mogłaby odrzec. – Pendleton – ciągnął gładko mężczyzna. – Hugh. Służba konsularna. Widziałem, jak pani wchodzi. Jak się pani miewa?

– Przepraszam... Czy ja... Czy jest jakiś problem?

– Wielkie nieba, nie. Nie miałem zamiaru napędzić pani stracha. Nie ma żadnego problemu. Zawsze staram się przywitać gości, wie pani, oprowadzić ich po okolicy, pomóc im dobrze wykorzystać czas pobytu w Malawi i tym podobne. Upewnić się, że wiedzą, do kogo się zwrócić, jeśli będą w potrzebie. Oczywiście do mnie. Miło mi panią poznać.

– Och, rozumiem – powiedziała Lexy, uściskawszy jego spoconą dłoń, choć nie rozumiała ani trochę. Z pewnością konsul poświęcał jej więcej uwagi, niż było to konieczne. Nawet w Malawi. To raczej fortel bawidamka, by ją poderwać. Musi go zatrzymać, zanim się rozpędzi. – Dziękuję, ale nic mi nie potrzeba.

– Nonsens. – Hugh wykonał lekceważący ruch wolną ręką. – To należy do moich obowiązków. Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Mogę przysiąc się na chwilę?

Puściwszy jej dłoń, opadł ciężko na krzesło naprzeciwko niej, jednocześnie szturchając gwałtownie stołem i przewracając kieliszek. Wzburzony szampan niczym piana załamującej się fali zalał notes i szarą teczkę, które Lexy odłożyła na bok.

– A niech mnie! – Konsul porwał notes, a Lexy chwyciła teczkę.

Niemal natychmiast zjawili się kelnerzy ze ścierkami, wywołując zamieszanie wycieraniem stołu i zmianą obrusu i sztućców.

– Strasznie przepraszam. Na szczęście nie ma większych szkód, wszystko udało się uratować. – Wertował notes, by strony wyschły, nie sklejjąc się ze sobą, ale robił to odrobinę za wolno, jakby usiłował rozczytać, co na nich napisano.

– Jestem pewna, że wszystko w porządku, dzięki. – Lexy wyciągnęła rękę po notes, nie dając mu wyboru, musiał oderwać oczy od zapisanej stronicy i oddać własność. Gdy to robił, wiadomość, którą wsunęła za okładkę, sfrunęła z trzepotem na blat pomiędzy nimi. Hugh podniósł ją, obrócił raz i drugi, przyjrzał się uważnie nazwisku nabazgranemu na wciąż zaklejonej kopercie i zmarszczył czoło.

– Chyba jeszcze pani nie otworzyła. Wypadło pani z głowy, prawda? – W jego głosie ponownie zagościła uprzejma, kulturalna życzliwość, ale Lexy czuła, że przyglądał się jej uważnie, gdy odbierała od niego przesyłkę.

– Dopiero mi ją dostarczono. Nie miałam jeszcze czasu.

– Proszę się mną nie przejmować. To może być pilne.

– Szczerze w to wątpię. – Lexy rozejrzała się za kelnerem. Sęp czy Wolkanin, nieważne, z ulgą dostrzegła, że starszy kelner zauważył ją z głębi restauracji i ruszył w jej stronę.

– Nie dowie się pani, jeśli nie otworzy.

Co było nie tak z tym facetem?

– Proszę posłuchać, panie Pendleton...

– Och, proszę mi mówić Hugh.

– Nie chcę być niegrzeczna ani nietowarzyska, ale jestem zmęczona.

– W czym mogę służyć, proszę pani? – Starszy kelner posłał pobieżne spojrzenie w kierunku Hugh. – Proszę pana?

– Nie, nie trzeba...

– Tak, dziękuję – wcięła się Lexy. – Czy mógłby pan podać mi kolację do pokoju? Obawiam się, że jet lag daje o sobie znać.

– Oczywiście, proszę pani. Zaraz się tym zajmę. – Rozpłynął się w powietrzu równie szybko i gładko, jak się pojawił.

Lexy wstała, Hugh niezgrabnie zerwał się na równe nogi.

– Mam nadzieję, że nie powiedziałem nic niestosownego.

– Ani trochę, panie Pendleton. – Lexy zobaczyła jego nagle spochmurniałe oblicze.

– Hugh.

– To był bardzo długi dzień. Myślę, że przeceniłam swoje siły, schodząc na kolację. Proszę mi wybaczyć.

Uśmiechnęła się najładniej, jak potrafiła, usiłując ukryć rozdrażnienie. Pragnęła jedynie zjeść w spokoju kolację. Sama. Przeglądając notes i planując, jak spędzi parę kolejnych dni. Ostatnie, czego sobie życzyła, to towarzystwo pana Olbrymie Utrapienie Pendletona.

– Może innym razem. Przy innej okazji. Mógłbym oprowadzić panią po Blantyre...

– Dziękuję, ale mam napięty plan zajęć. Dobranoc, panie Pendleton. – To był cios poniżej pasa, ale nie potrafiła się oprzeć. Lexy uśmiechnęła się przymilnie, kiedy jego różowawa, mięsista twarz z powrotem spochmurniała. Miała szczerą nadzieję, że widzi go po raz ostatni.

**L**exy z ulgą schroniła się w azylu, którym był jej pokój, choć zapomniała, jaki bałagan zostawiła za sobą. Wyglądało to na miejsce zbrodni, jakby ktoś się włamał albo szpieg MI5 splądrował pomieszczenie w poszukiwaniu zaginionego mikroprocesora lub czegoś w tym rodzaju. Ale nie. Wiedziała, że to ona stoi za wywołaniem takiego chaosu.

Plecak zleciał z łóżka, gdzie cisnęła go, zanim zeszła na kolację. Nieruszona korespondencja Ursuli leżała teraz rozrzucona po podłodze wraz z listem od doktora Campbella oraz innymi przedmiotami spakowanymi w podróż. Zdawało się, że jej walizka ożyła, złośliwie poplątała ubrania i zmięła dokumenty, po czym wypluła je w przypadkowej kolejności z otwartych szczęk. „Gdy się człowiek spieszy, to się diabeł cieszy”. Znów głos jej matki. Mama dysponowała

imponującym repertuarem przysłów i powiedzonek, miała coś w zanadrzu na każdą okazję. Nawet taką jak teraz.

Lexy otworzyła walizkę i zaczęła wyrzucać z niej ubrania. Jej matka miała rację, rzecz jasna. Gdyby poświęciła chwilę i rozpakowała się porządnie, zamiast wywracać bagaż do góry nogami i przetrząsać zawartość w poszukiwaniu tego, czego potrzebowała, oszczędziłaby sobie dodatkowej roboty. Tak naprawdę gdyby od początku się nie spieszyła i odpowiednio spakowała... Pragnęła powiedzieć matce, że od zawsze wiedziała, iż ta miała rację, ale nastolatki po prostu nie lubią komuś przytakiwać. Nie mogła jednak tego zrobić. Już nigdy więcej nie powie nic swojej mamie.

Upchnęła bieliznę i zamknęła szufladę z trzaskiem. Nie będzie się smucić. Nie podczas pierwszego wieczoru w Malawi, gdzie poznali się jej rodzice, gdzie została poczęta. Szczęśliwe, nie smutne myśli – takie bardziej pasowało wspominać.

Zjadła kolację na balkonie w towarzystwie cykad i ciem. O wiele bardziej posłusznych od Pendletona. Wystawiła tacę za drzwi, przekręciła zamek, po czym zwinęła się w kłębek na szezlongu na balkonie z jednym z albumów fotograficznych. Kraina wspomnień mogła okazać się niebezpiecznym terytorium po wypitym szampanie, choć nie zdążyła wlać go w siebie za dużo, zanim ten facet przewrócił kieliszek, niemniej wybrała ostrożnie. Album podpisano „Afryka”, więc raczej nie napadną ją niespodziewane ujęcia siebie samej w ramionach rodziców. Nie zniosłaby teraz czegoś takiego.

Album był starannie ułożony, każde zdjęcie umieszczone w przyklejanych rogach z krótkim opisem sporządzonym równym pismem kaligraficznym poniżej lub z boku. *Zomba, 1 maja 1947 roku, Ambasada Danii nad Upper Shire River – przyjęcie charytatywne na rzecz sierocińca, Helen i Ursula siedzą, Frederik Stenberg (attaché kulturalny) i Jurgen Axelsen (dyrektor) stoją.*

Albo dalej: *Szpital w Blantyre, 22 marca 1949 roku, otwarcie przychodni*

*ambulatoryjnej, od lewej: doktor Campbell z żoną Evelyn, siostra przełożona Proudfoot, siostra Reid, ojciec McFee.*

*Później: Jezioro Niasa, sierpień 1949 roku, urodzinowy piknik Helen, stoją (od lewej): Cameron, Fredi, Douglas, Gregory. Siedzą (od lewej): Evelyn, Helen, Ursula.*

Lexy uśmiechnęła się, widząc kulturę osobistą Ursuli. Nigdy nie pisała „ja”, ale zawsze podawała swoje imię, tak jakby zdjęcia do albumu wklejała niewidzialna ręka, a obecność właścicielki na tak wielu fotografiach była jedynie szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Raczej nie używała zdrobnień, chyba że pozwalała na to okazja. *Fredi* z pikniku stawał się *Frederikiem Stenbergiem (attaché kulturalnym)*, jeśli sfotografowano go w oficjalnych okolicznościach, a *Douglas* bez wątpienia przeobrażał się w *doktora Campbella*, jeśli akurat uchwycono go w kadrze w sytuacji zawodowej.

W miarę jak Lexy przewracała ciężkie kartonowe karty, zaczęła rozpoznawać twarze przyglądające jej się mgliście w migoczącym płomieniu świeczek o zapachu trawy cytrynowej, które zapaliła, by odstraszyć owady. Zaczynała rozumieć związki między imionami, role, jakie dane postaci odegrały w życiu Ursuli. Zauważała też, które się powtarzały – był to zapewne krąg jej najbliższych. Evelyn i Helen pojawiały się częściej niż ktokolwiek z pozostałych; Gregory i Cameron tylko ciut rzadziej, potem nieco mniej widoczni byli Fredi i Douglas, mąż Evelyn. Rozgrywki w tenisa i turnieje krokieta oraz pikniki, jak widać, odbywały się regularnie, tak samo zresztą jak koktajle, imprezy dobroczynne i bale. Równie często występował szpital. Ursula, jak się zdawało, już wówczas poświęcała się pracy w równie dużym stopniu jak w dzieciństwie Lexy, a tylko od czasu do czasu była młodą bywalczynią towarzystwa, którą Lexy ledwie poznawała.

Gdzieś w tym kręgu, w grupce mądrych i rezolutnych młodych ludzi, kryło się rozwiązanie zagadki syna Ursuli. Duża częstotliwość, z jaką występowało

nazwisko Campbell, napełniła Lexy nadzieją. Doktor Campbell z listu, który ze sobą zabrała, nie mógł być oczywiście tym samym doktorem Campbellem z fotografii, ale musiał być z nim w pewien sposób spokrewniony. Może to wnuk, skoro Evelyn to „Babcia”. Lecz dowie się więcej na ten temat jutro, kiedy wybierze się do szpitala. Powrót na trop listu doktora Campbella będzie pierwszym krokiem ku odpowiedziom, których szukała.

Lexy zawlokła się z powrotem do sypialni. Zaryzykowała rzut okiem do teczki Ursuli, którą znalazła pod poduszką fotela, zaintrygowana tym, że natknęła się na nią w tak dziwnym miejscu. Wyjęła większość papierów z plecaka i ułożyła w stosik na komodzie. Z początku nie mogła znaleźć poplamionej herbatą teczki, ale zanim na dobre zaczęła szukać, jej uwagę zwróciły dwa inne albumy fotograficzne. Pierwszy wyraźnie podpisano „Edynburg”, na co nie była jeszcze gotowa, jako że na pewno znajdowały się w nim zdjęcia matki, może nawet samej Lexy podczas jednej z wizyt u Ursuli. Drugi jednak nie miał naklejki z podpisem, postanowiła więc zabrać go ze sobą do łóżka. Dziennik mógł poczekać, jej zmęczony umysł lepiej przyswajał obrazy niż słowa.

Oparła się o zagłówek zawinięty w świeżą pościel, otworzyła album i prawie natychmiast pożałowała, że to zrobiła. Izzie z profilu, roześmiana, z głową odchylną w tak znajomej pozie, że Lexy poczuła skurcz w żołądku, a fotografia rozmyła się, kiedy łzy niespodziewanie trysnęły kobiecie z oczu.

Prędko przewróciła kartę i niezwłocznie zdała sobie sprawę z popełnionego błędu, rozpoznając twarze wpatrujące się w obiektyw na następnym zdjęciu. Ursula i Helen stojące na tle białej ściany jakiegoś domu. Lexy dostrzegła ramę okna po prawej, a po lewej gęsty szpaler kwitnących krzewów. Mimo że odbitka była tylko czarno-biała, Lexy wiedziała, że gdyby było inaczej, miałyby przed oczami feerię barw, tak jak kiedy oglądała krzaki azalii i hibiskusa okalające hotelowy trawnik. Kobiety patrzyły prosto w obiektyw, trzymały między sobą dziecko, rękoma obejmowały pierś pociechy, a ich ubrania i fryzury wyraźnie

wskazywały na lata czterdzieste.

Lexy westchnęła. Może wszystkie młode, szczęśliwe kobiety wyglądają łudząco podobnie, a ona widzi swoją matkę w twarzy kogoś innego, ponieważ jej podświadomość najbardziej boi się, że właśnie to zobaczy. Zadała głowę i zaczęła, aż furkoczący wentylator na suficie osuszy jej policzki z łez. Zamknęła oczy, ale pod powiekami jaskrawo żarzyła się teraz inna scena niczym slajd rzucany z projektora na gładką ścianę w ciemnym pomieszczeniu. Izzie. Ten obraz nie zblednie.

Co się stało, to się nie odstanie. I tak już nie zaśnie. Wstrząs przeszył ją od stóp do głów, po czym opuścił jej ciało pogrążone w szoku i bezsenności. Skupiła się z powrotem na albumie, który leżał otwarty na jej kolanach.

Oddychała głębiej i spokojniej, przyglądając się bacznie kadrowi, ale nagle serce znów zaczęło walić jej jak oszalałe. Czyje to było dziecko? Ciężko stwierdzić, stały ramię w ramię, obie przytulając je do siebie. Ursuli? A może Helen? Kogoś innego? Albo niczyje? Osoby, która zrobiła zdjęcie? A może odwiedzały sierociniec, a dziecko było jednym z podopiecznych? Ursula nie musiała być matką tylko dlatego, że była jedną z kobiet obejmujących maleństwo na zdjęciu. Lexy przyjrzała się uważnie, ale nie potrafiła stwierdzić, czy to chłopiec, czy dziewczynka. Żadnej wskazówki w postaci różowego lub niebieskiego akcentu na czarno-białej, teraz już pożółkłej fotografii. Żadnej wstążki we włosach przykrytych dziecięcą czapeczką. Ani skrawka falbanki u rąbka ubrania wystającego spod prostego, zrobionego na drutach kocyka okrywającego śpiącego malucha.

Ręka zadrżała jej lekko, gdy przewracała kartę. Więcej zdjęć dziecka, tym razem bez towarzystwa. Trudno powiedzieć, czy to na pewno to samo dziecko, ale musiało tak być, czyż nie? A kiedy oglądała, jak maluch na fotografiach rośnie, przewracała strony, widząc pocięgę zmieniającą się z nieruchomego zawiniątka w dokazującego szkraba, stało się jasne, że to chłopiec. To musiał być



on. Syn Ursuli.

Lexy ze zniecierpliwieniem wertowała album, szukając dokładnych podpisów kaligrafowanym pismem, jakiegoś słowa czy imienia, jakiegokolwiek wskazówki potwierdzającej jej rosnące przekonanie, że to syn Ursuli. Nie odnalazła jednak żadnej adnotacji, ani słowa. Nie było też zbyt wielu dorosłych na zdjęciach. W zasadzie nie było prawie nikogo innego...

I znów ona. Zjawa jej matki. Rozpacz płała Lexy figle, podczas gdy zmęczenie przejmowało kontrolę nad uciśnionym umysłem. Zamrugła, potarła zamknięte powieki, skupiła się z powrotem na fotografii kobiety siedzącej na rattanowym fotelu z wysokim oparciem jak indyjski maharadza na tronie, obok niej stało dziecko, w ramionach trzymała inne, niemowlę, a kobieta i mały chłopiec wpatrywali się z uwielbieniem w niewidoczną twarz. Helen. To była Helen, co wcale nie oznacza, że była matką dziecka. Chłopiec nadal mógł być synem Ursuli.

Chwyając się kurczowo tej nadziei, Lexy przewracała karty. Widziała dwoje dzieci, chłopców, jak bawią się ze sobą, dorastając, a u ich boku pojawia się coraz więcej i więcej osób. Wciąż brakowało podpisów, dat, miejsc i nazwisk, ale kiedy Lexy rozpoznała już Helen, zaczęła poznawać większość ludzi goszczących na ujęciach uchwyconych chwil; przypominała ich sobie z drugiego albumu, który przekartkowała. Helen i Gregory, Cameron, od czasu do czasu Evelyn i sporadycznie Douglas, raz czy dwa nawet Fredi. Inne dzieci pojawiały się i znikwały, tak samo na przestrzeni lat przewijały się przyjęcia urodzinowe, święta Bożego Narodzenia, pierwsze szkolne mundurki, dni sportu, występy szkolnego teatrzyku i tak dalej. Upamiętniono wszystkie kamienie milowe dzieciństwa, chłopcy wraz z upływem czasu byli coraz wyżsi i lepiej zbudowani, męskie rysy odciskały piętno na ich twarzach. Zdjęcie, jak Helen i Gregory stoją po obu stronach chłopców, którzy siedzą na rowerach. Ujęcie Camerona, uczącego starszego chłopca trzymać kij golfowy, a obok inne, gdzie Cameron leży

zakopany w piasku, a chłopcy stoją na baczność po obu jego bokach, łopatki trzymają na ramionach niczym karabiny, śmiejąc się do aparatu, zdradzają silne rodzinne podobieństwo.

Stało się jasne, że to bliski krąg przyjaciół, a chłopcy stanowili jego część na równi z każdym dorosłym. Sama Ursula pojawiła się tylko w tamtym pierwszym kadrze. Czy wróciła już do Szkocji, kiedy uchwycono pozostałe migawki? Czy ktoś wysyłał je Ursuli, by była na bieżąco z... czym? Życiem, które porzuciła? Rosnącymi dziećmi? Swoim synem? Lexy poczuła lekkie rozczarowanie, kiedy przyjęła do wiadomości, że chłopcy są najwyraźniej braćmi, a biorąc pod uwagę regularne pojawianie się Helen w roli opiekunki, trzymającej ich i przytulającej, Lexy wywnioskowała, że to synowie Helen.

Pierwsza kolorowa fotografia nie pozostawiła żadnych wątpliwości ani nadziei, że tak łatwo natrafiła na ślad syna Ursuli. Miała przed sobą oficjalny portret rodzinny, Helen siedziała w środku, Gregory i Cameron stali ramieniem w ramię za nią, a synowie po obu jej bokach niczym mniejsze i młodsze wersje mężczyzn – starszy chłopak swojego wuja Camerona, młodszy swojego ojca Gregory'ego. Para podobnych braci w każdym pokoleniu. *Historia lubi się powtarzać*, pomyślała Lexy, zastanawiając się, czy historia rzeczywiście zatoczyła koło. Gregory krótko potem zniknął ze zdjęć, podobnie jak Evelyn i Douglas. Kilka ostatnich ujęć przedstawiało głównie dwóch młodych braci, już prawie nastolatków, jak stoją przy sobie, starszy z nich niezgrabnie trzyma niemowlę, które tym razem, sądząc po zbytku szydełkowej koronki, było dziewczynką.

Lexy przerzuciła ostatnią, pustą kartę albumu. Między nią a okładką tkwiło parę wycinków z gazet, wszystkie dotyczyły Towarzystwa Handlowego Buchanan i każde bez wyjątku pochodziło z minionej dekady. Davida Buchanana-Munro, dyrektora generalnego, oraz jego wuja Camerona Munro, prezesa zarządu, sfotografowano podczas otwarcia nowego oddziału Szpitala

w Blantyre – skrzydła Helen Buchanan, poświęconego pamięci ukochanej żony i matki. Z innych, starszych, wyczytać można było, że przedsiębiorstwo z powodzeniem rozszerzyło działalność w Afryce Południowej, wygrywając przetarg na nowy kontrakt, by zaopatrywać misje Kościoła Szkocji, szkoły państwowe oraz zapoczątkować nowy dział transportu. Ów Cameron otrzymał tytuł doktora honoris causa z Uniwersytetu Malawi w Zombie, za to David odebrał nominację na prezesa Izby Handlowej. Zdawało się, że rodzina i przedsiębiorstwo rosły w siłę. Nie pojawiła się jednak ani jedna wzmianka o bracie lub siostrze Davida i Lexy zastanawiała się, co się z nimi stało i co stało się z ich matką, Helen, że zasłużyła sobie na szpitalne skrzydło własnego imienia. Lexy wiedziała, że będzie musiała trzymać swoją ciekawość na wodzy. Mimo że historia Buchananów wydawała się fascynująca, przyjechała odszukać syna Ursuli i dowiedzieć się czegokolwiek o własnej rodzinie.

# 5

## REZYDENCJA, 8 LIPCA

– Lexy, słyszysz mnie? Lexy!

Danny. To głos Danny’ego. Czemu śni jej się Danny?

– Lexy. Odezwij się!

Komórka. Trzyma komórkę. Danny jest na linii. Och, na litość boską, znowu? Usiadła na łóżku, serce waliło jej tak mocno, że nie poczuła irytacji, której tak pragnęła.

– Cześć, Danny. Przepraszam. Co mówiłeś?

– Mieszkanie. Było włamanie. Pani B. do mnie dzwoniła.

– Co?

– Wyważyli kopniakiem drzwi wejściowe. Pani B. akurat była w klubie gry w wista, a kiedy wróciła, zobaczyła, że mieszkanie stoi otwarte. Wpadła w histerię i zadzwoniła do mnie.

– Ale co się... Nie rozumiem.

– Włamanie, Lexy. Nadażaj, do diaska.

– Zejdź ze mnie, Danny. Spałam. Wiesz, która tu jest godzina? – Jej złość zmieniła się w lekkie zakłopotanie, kiedy spojrzała na zegarek i zobaczyła, że już późny ranek.

– Hej, nie musisz krzyczeć. Jasne, że wiem, która godzina. – Lexy zdała sobie sprawę, że Danny na pewno to wie. – Posłuchaj mnie, Lex. Ktoś włamał się do mieszkania. Wpadłem tam, panuje totalny bałagan. Wywalili wszystko z szuflad, szafek, zewsząd. Wywrócili do góry nogami.

– No cóż, nie zostawiłam po sobie wielkiego porządku...

– Nie, Lex. To przekracza nawet twoje możliwości. Naprawdę. Ktoś tam był. Zostałaś okradziona. Cóż, mówię „okradziona”, ale...

Lexy w końcu się obudziła i zauważyła, że ma coraz większe nudności.

– Kiedy? Kiedy to się stało?

– Właśnie ci powiedziałem. Kiedy pani B. grała w wista. Policja przyjechała, ale...

– Policja?

– Pani B. zadzwoniła po nich, zanim tam dotarłem. Poza tym trzeba było ich wezwać. W końcu to przestępstwo, będziesz potrzebowała numeru raportu, żeby dostać odszkodowanie od ubezpieczyciela, chociaż...

– Chociaż co?

– Hm, policjanci pytali, czy coś zginęło, odparłem, że oczywiście nie mogą być pewien, ale...

Serce Lexy waliło jak młot, krew pulsowała w skroniach, ręce świerbiły od tętniącej adrenaliny. Jej mieszkanie. Jej dom – splądrowany. A ona jest na drugim końcu świata. Zdała sobie sprawę, że Danny zamilkł.

– Ale co, Danny?

– Policja stwierdziła, że wygląda na to, że szukali czegoś konkretnego. Nie zaczęli się na typowy łup: telewizor, sprzęt muzyczny i tak dalej, każda z tych rzeczy była na swoim miejscu. Za to zdjęli z półek wszystkie książki i je przewertowali, dookoła leżały rozrzucone teczki. Zajrzeli nawet do lodówki, Lexy. Stamtąd też wszystko wyjęli. Kot prawie oszalał, próbując dobrać się do paluszków ryb...

– Dlaczego ktoś to zrobił?

– Najwyraźniej ludzie czasem chowają kosztowności pod mrożonym groszkiem lub czymś podobnym.

– Dan, na litość boską, nie chodzi o lodówkę. Dlaczego ktoś się włamał? I to do mnie?

– Słuchaj, naprawdę nie wiem. Ale nawet jeśli szukali wartościowych przedmiotów, to ich nie zabrali. Sprawdziłem kasetkę z biżuterią i wygląda na to, że wszystko jest na swoim miejscu. Kosztowności wysypano na podłogę, ale wydaje się, że nie zginęło nic cennego.

– Skąd wiesz?

– Bo dałem ci połowę tej biżuterii. I to ja oddałem ją do wyceny do ubezpieczenia, pamiętasz? Mówiłaś, że wydziwiam, ale może teraz...

– Nie, Danny.

– No cóż, tak tylko mówię. Ach, gotówka, którą trzymasz w szufladzie w kuchni...

– Na swoim miejscu?

– Tak.

– Czego w takim razie szukali?

– Nie mam pojęcia.

– Co mówi policja?

– Niewiele. Zadaje mi sporo pytań na twój temat.

– Na przykład?

– Na przykład z kim się przyjaźnisz, czym się zajmujesz, no wiesz. Gdzie jesteś.

Lexy usłyszała krytykę w ostatnim stwierdzeniu.

– Rozumiem.

– Nie sądzę, Lexy. – Znów się zaczyna. Wykład.

– Danny, jestem w Malawi. Nie uciekłam do obozu szkoleniowego terrorystów ani nie organizuję kartelu narkotykowego w Kolumbii.

– Spytali mnie, czy ostatnio zachowywałaś się jakoś niepokojąco. –

Pociągnął nosem. – Musiałem powiedzieć, że byłaś nieco dziwaczna. Nie jesteś sobą...

– Właśnie zmarła mi mama. Oczywiście, że nie jestem sobą.

– Racja. Ale nawet nie zjawiałaś się, żeby odebrać jej prochy.

– Tłumaczyłam ci już dlaczego! – Czuła, że puls jej przyspiesza, a policzki się rumienia.

– Nie, nie tłumaczyłaś. Nie do końca. A potem uciekłaś do...

– Nie uciekłam... Nie. Nie, Danny, nie będę tego robić.

– Czego?

– Kłócić się! Nie mam ochoty na kłótnię z tobą. Nie będę się tłumaczyć.

– Szkoda. A mogłabyś, zamiast zostawiać mi ten bałagan na głowie.

– Nie prosiłam cię, żebyś...

– A co miałem zrobić? Pani B. nie wiedziała, do kogo zadzwonić, a ja nie mogłem ot tak zostawić pobjowiska w twoim mieszkaniu ani wmawiać policji, że nic nie wiem, i udawać, że nic mnie to nie obchodzi!

Nagle oboje zamilkli, słowa zawisły między nimi w powietrzu. Wzięła głęboki oddech. To wciąż się powtarzało. Koniec z tym.

– Danny, nie wiem, co powiedzieć. Przepraszam. Ja... Słuchaj, wrócę do domu. Nie jestem pewna, kiedy ani jak tam dotrę, zajmie mi to trochę, zanim się zorganizuję, ale gdybyś mógł tymczasem dopilnować porządku w mieszkaniu, dopóki ja... – Lexy westchnęła. Czuła się źle, że go o to prosi, ale nie wiedziała, co robić. Nie miała pojęcia, jak się za to zabrać.

– Nie, nie ma mowy. Wezwałem ślusarza. Powinien niedługo się zjawić. I uspokoiłem panią B. – Danny przeskoczył w tryb działania, stłumił wzruszenie sprzed chwili, ale Lexy wiedziała, że o nim nie zapomniał. – Posprzątam tu trochę, nic nie stoi na przeszkodzie, skoro policja już tu była i załatwiła, co trzeba. Tak naprawdę zrobiłabyś niewiele więcej, nawet gdybyś wróciła do

domu. Zostań. Równie dobrze możesz tam zostać.

– Ale Danny... Pewnie powinnam...

– Nie rozumiem, po co wyjechałaś, Lexy, ale najwyraźniej musiałaś, więc zostań. Zrób, co masz do zrobienia. Zajmę się wszystkim. Nie ma problemu.

– Ale co z Fizz? Czy ona nie...

– Nie, nic jej nie będzie.

– Ale myślałam, że powiedziałaś...

– Chcesz mojej pomocy czy nie?

Lexy zaniemówiła.

– Tak. Dobrze. Dam ci znać, jeśli cokolwiek się zmieni.

Lexy chciała mu podziękować, ale zdążył odłożyć słuchawkę. Przyciągnęła kolana do klatki piersiowej i objęła je, chroniąc się przed chłodem, który nie miał nic wspólnego z temperaturą w pokoju.

**H**otel stanowił spokojną ostoję po gorączkowym zamieszaniu panującym na ulicy. W przyпіływie entuzjazmu Lexy wybrała się na krótką wycieczkę, próbując poznać okolicę. Wyprawa była po równo fascynująca, wymagająca i wyczerpująca. Kobieta zobaczyła tyle, że już miała pewność, iż spodoba jej się tutaj. Tutejsza jasność, a może raczej poświata – była wyjątkowa. Doszła jednak do wniosku, że zajmie jej to chwilę, zanim przywyknie do intensywności Malawi. Zaledwie po godzinie, zgrzana, rozpalona i odrobinę zniechęcona nieustannymi próbami naganiania przez straganiarzy i sklepikarzy, wróciła do hotelu, żeby odzyskać siły. Świta dzieci, która szła za nią krok w krok, wahała się tylko chwilę, po czym ruszyła za nią do bramy Rezydencji, chichocząc i dokazując po drodze do wejścia.

– Musicie już iść – powiedziała do nich. – Chyba nie możecie wejść do środka...

Dzieciaki śmiały się jednak i popychały, nawet nie zwracając na nią uwagi.



Tak jak uczniowie jej klasy.

Barney wyrósł spod ziemi obok niej, klasnął i wyrzucił z siebie słowa, których nie rozumiała, a roześmiane i rozkrzyczane dzieci rozpierzchły się po ulicy.

– Dzięki, Barney. Próbowałam nie zwracać na nie uwagi, ale się nie zniechęcały.

– Nie chciały zrobić pani krzywdy, pani Shaw, po prostu są ciekawskie.

– Och, jestem pewna. To moja wina. Pewnie powinnam przejść się na spacer po terenie hotelu.

– Tak, proszę pani, ale to średnia zabawa, prawda?

– Racja – przyznała – taka sobie. No dobrze, pora na herbatę.

Lexy schowała się w cieniu portyku, ale Barney prędko ruszył przed nią.

– Może usiądzie pani na werandzie? Proszę za mną. – Dał jej znak, że powinna wyjść z zacienienia i zaprowadził ją na ścieżkę okrążającą hotel. – W lobby po południu jest spory ruch. Przychodzi mnóstwo ludzi, czekają na powrót poszczególnych gości.

– Ach. – Lexy chyba zrozumiała. – Może zjawił się ktoś z konsulatu?

– Tak sądzę, proszę pani. – Barney, jak się zdawało, był pomocnym sojusznikiem.

Lexy rozsiadła się wygodnie tam gdzie wcześniej, przy stoliku narożnym, poza zasięgiem wzroku gości hotelowej jadalni, i zamówiła herbatę. Wolałaby wcześniej wziąć prysznic albo przynajmniej opłukać twarz wodą, ale perspektywa natknięcia się znów na Pendletona, który – jeśli dobrze rozumiała Barneya – czyhał na nią w lobby, stanowiła wystarczający powód, by pogodzić się z poczuciem lekkiego brudu i fatygi.

Spacer był bardziej męczący, niż sądziła, to prawda, ale jednocześnie ją oszołomił. Podobało jej się tu. Obejrzała parę dokumentów telewizyjnych i reportaży o dzisiejszej Afryce, ale nie miała zielonego pojęcia, jak tu będzie

naprawdę. Nie przygotowała się na frontalny atak przypuszczony na jej zmysły podczas tej godzinnej przechadzki po mieście. Afryka w 3D. Zapachy przypraw i owoców na stoiskach stanowiły ulgę po cuchnącej wizycie na targu rybnym, podlewany przez mężczyznę odzianego jedynie w przepaskę na biodrach i parę niepasujących do siebie kaloszy. Banda wychudzonych kotów obserwowała tę scenę, raz po raz ganiając się między sobą, jakby tańczyła kociego kadryla. No i hałas napływający ze wszystkich stron. Ta rozstrojona orkiestra grających jednocześnie instrumentów tworzyła krajobraz dźwięków, który podnosił ją na duchu i przypominał jej, że żyje, prowadzi poszukiwania, uczestniczy w świecie, a nie jest jego niemym świadkiem.

Kolory w ruchu, kołyszące biodrami kobiety niosące kosze i tobołki wysoko na głowach, pękające w szwach autobusy przypominające rozlane puszkę z farbą, batik łopoczący jak flaga na sznurach z praniem. A z góry świeci słońce: jego gorąc, jego promienie zlewają potem jej ubranie, przypalają jej skórę, kurz wpada do oczu i wysusza gardło. Była wycieńczona, tak, ale jednocześnie pełna życia i energii, czego nigdy nie dały jej szare, znane ulice londyńskiego przedmieścia. Wiedziała, że jej matce bardzo by się tu spodobało, żałowała, że Izzie nie zabrała jej tutaj, by podzielić się z nią tym bogactwem, by Lexy mogła spojrzeć na Afrykę jej oczami. Czy jej matka chodziła na spacer po ulicach, a potem przychodziła napić się herbaty w oazie elegancji, tak jak robiła to ona sama? Chciała w to wierzyć.

Wyjęła z torebki notes i dopijając herbatę, wertowała strony o krawędziach pomarszczonych po kąpiel w szampanie. Notatki, które sporządziła w samolocie, nie ucierpiały. Próbowała rozeznaczyć się w sprawach Ursuli podsumowanych w szarej teczce, jakiej nie należało mylić z poplamioną herbatą teczką odnanioną pod fotelem. Ta z kolei wyglądała na bardziej osobistą i interesującą, ale będzie musiała poczekać. *Szara teczka*. Taki tytuł powinna nosić książka dla dziewcząt „o radosnych przygodach”, autorstwa może Enid Blyton, albo film z udziałem

Humphreya Bogarta i Lauren Bacall, albo być może powieść Grahama Greene'a. Powiastka lub filmidło byłyby bardziej interesujące od prawdy. Teczka stanowiła podsumowanie życia kobiety, którą Lexy znała bardzo słabo, ale która przekazała jej w spadku cały dobytek razem z łączącą je opowieścią – nieumyślnie, to prawda, ale Lexy musiała potraktować to poważnie, była to winna matce. Sprawa nie dawała jej spokoju, zarówno jako obowiązek wobec zmarłych, jak i wskazówka dla żyjących. Była pewna, że jeśli uważnie poszuka, to gdzieś w szarej teczce trafi na trop syna Ursuli.

Jej notatki zaczynały mieć sens. Większość pytań dotyczyła trzech kwestii. Po pierwsze i najbardziej oczywiste, „posiadłość w Ross-shire”, o której pani Hamilton wspomniała na odchodne pod koniec spotkania. W papierach udokumentowano jej zakup, a po paru latach sporządzono umowę o dzierżawę, chociaż kopia z teczki nie była podpisana, a miejsce na nazwisko dzierżawcy pozostawało puste. Od tamtego momentu nic się nie zmieniło. Czy to oznaczało, że posiadłość wydzierżawiono na pewien okres, a jeśli tak, to czy nadal jest podnajmowana? Czy Ursula zmieniła zdanie, a przygotowaną umowę o dzierżawę zostawiła na wypadek, gdyby potrzebowała jej w przyszłości? Gdzie dokładnie mieścił się majątek? Jak wyglądał? Wspomniano go z nazwy „Taigh na Mara”, ale nie zdradzono nic więcej, w tym względzie teczka nie była zbyt pomocna. Z jakiegoś niejasnego i prawie zapomnianego powodu Lexy wiedziała, że w szkockim gaelickim oznacza to „nadmorski dom”, ale biorąc pod uwagę długie mile linii brzegowej w tamtej części świata, nazwa domostwa może być równie popularna co „Dunroamin”, czyli „koniec z włóczęgą”, którą Szkoci na emigracji szerzą po całym świecie. Niezbyt unikalna, innymi słowy.

Po drugie, pani Hamilton napomknęła także o finansowych ustaleniach pomiędzy Ursulą a jej synem. Prócz tego, że oczywiste pytanie o tożsamość syna pozostawało bez odpowiedzi, Lexy nie potrafiła odnaleźć ani śladu tych przelewów na wyciągach bankowych Ursuli, mimo że dysponowała ostatnimi

odcinkami do każdego z jej trzech kont: bieżącego, oszczędnościowego oraz inwestycyjnego. Wśród korespondencji, którą zabrała ze sobą z mieszkania Ursuli, znajdowały się wyciąg z karty kredytowej oraz wiadomości dotyczące emerytury, ale nic nie wskazywało, że Ursula miała gdzieś jeszcze inne konto. O jakich wypłatach była mowa? Kto płacił komu? Ursula synowi czy odwrotnie? Nie było żadnego regularnie zaciąganego debetu ani kredytu, co mogłoby stanowić pewną poszlakę. Idź tropem pieniędzy, jak mawiają. W ten sposób będzie mieć największe szanse, żeby wysledzić Pana Tajemniczego.

Na końcu znalazła plik dokumentów, które wyglądały na świadectwa udziałowe Towarzystwa Handlowego Buchanan, wszystkie wystawione z datą sprzed ponad trzydziestu lat. Lexy nie miała pojęcia, ile mogą być warte ani co z nimi począć, nawet gdyby mogła coś zrobić. Podsumowanie sporządzone przez notariuszkę na stronie tytułowej głosiło: „powierzono w zarząd RBM”, ale nie znalazła w teczce żadnego dalszego odniesienia do RMB. Kim lub czym było RBM? Czy to znaczyło, że odziedziczyła w spadku także członkostwo w jakimś zarządzie? Spadek po Ursuli, jak się zdawało, pociągał za sobą także obowiązki, ale wobec kogo lub czego, tego Lexy nie wiedziała. Ale prawnicy musieli wiedzieć.

Rzuciła okiem na zegarek. Pora się zbierać. Może zadzwonić do pani Hamilton później. Zapewne powinna dać jej znać, że przebywa w Malawi. Być może tutejsza kancelaria dokończyła raport na temat spraw Ursuli w Malawi i Lexy mogłaby skontaktować się z nią osobiście, choć myśl o kolejnych prawnikach i prawnych zawłościach nie nappełniała ją radością. *Czy z tym się wiąże się śmierć*, pomyślała gorzko, *z prawnikami i załatwianiem „spraw”*? To tak okrutny sposób pożegnania życia, zwłaszcza kogoś bliskiego. Zerwała się na równe nogi, chwyciła notes i wyprostowała się. *Skup się*, pomyślała. Czekają ją sporo pracy. Zacznie od spotkania z doktorem Campbellem w Szpitalu w Blantyre.

# 6

## SZPITAL W BLANTYRE, 8 CZERWCA

W rejestracji było cicho i spokojnie. To wywarło na Lexy wrażenie. Spodziewała się hałasu i zamieszania rodem z *Ostrego dyżuru* w telewizji. Ale w ten ciepły czerwcowy wieczór personel w nienagannych fartuchach niemal bezgłośnie poruszał się między rzędami siedzeń i ławek, wywołując pacjentów, potem ich odprowadzając, podtrzymując na duchu przyjaciół i rodzinę. *Jeśli wszystkie szpitale w Malawi wyglądają tak jak ten, zastanawiała się Lexy, to dlaczego moi rodzice wrócili do Wielkiej Brytanii?*

– Pani Shaw? – Stała przed nią kobieta emanująca kompetencją, w czarnej spódnicy i lśniącej białej bluzce. – Jestem asystentką doktora Campbella. Audrey Lanakela.

– Miło mi panią poznać – powiedziała Lexy, wstając i wyciągając rękę na powitanie.

– Mnie również. – Audrey skinęła głową, a potem poprowadziła Lexy szerokimi, wykafelkowanymi korytarzami. – Doktor Campbell operuje, ale niebawem skończy. Może pani poczekać w jego gabinecie.

Po drodze Audrey zadawała uprzejme pytania, co skłoniło Lexy, by wyjaśniła, czemu tu przyjechała, skąd pochodzi, a także opowiedziała prawie wszystko, co wydarzyło się przez parę minionych tygodni. Imponujące. FBI mogłoby się czegoś nauczyć.

Weszły po niewysokich schodach na balkon okalający wewnętrzne patio, podobne do tego w hotelu Lexy, ale bardziej funkcjonalne, bez roślin

i subtelnego oświetlenia. Ponownie po obu bokach prostokątnego placu znajdowały się drzwi, Audrey stanęła przed jednymi z nich z nazwiskiem doktora Campbella wygrawerowanym na mosiężnej tabliczce, która lśniła niczym złoto.

– Jesteśmy na miejscu. Proszę. – Kobieta puściła Lexy przodem i wskazała jedną z dwóch rattanowych sof stojących naprzeciwko siebie z niskim stolikiem pośrodku. Na błyszczącym szklanym blacie nie było nic, ani jednego odcisku palca, przynajmniej z tego, co zaobserwowała Lexy. Prawdę mówiąc, to wszystkie powierzchnie w gabinecie były puste i nienagannie czyste.

– Podać pani coś do picia?

– Nie, dziękuję. Nie trzeba. Ale tu czysto. Niesamowite.

Audrey uśmiechnęła się na tę uwagę.

– Rzadko tu bywa, więc łatwo utrzymać porządek. Doktor Campbell spędza czas jeśli nie w klinice, to w laboratorium badawczym, ale tam to wygląda zupełnie inaczej. Wszędzie walają się papiery, sprzęt i Bóg wie co jeszcze. Nikomu nie wolno nic dotykać. To może stać się nawet powodem zwolnienia, jeśli ktoś choćby spróbuje.

Lexy roześmiała się, kiedy zdała sobie sprawę, że rozmówczyni tego oczekuje.

– I wszystko jasne. W końcu mówi się, że lekarze to najwięksi bałaganiarze na świecie.

– Sama nie wiem. Pracowałam tylko u doktora Campbella.

– Naprawdę?

Czy w głosie Audrey kryła się nuta przygany? Czy pomyślała, że Lexy krytykuje doktora? A może chodziło tylko o to, że nie miała ochoty na żarty? Lexy postanowiła na wszelki wypadek mieć się na baczności.

– W takim razie ma wielkie szczęście. – Cisza. Lexy ciągnęła temat. – Od kiedy pani u niego pracuje?

– Prawie dziesięć lat, odkąd... – Audrey nagle przerwała, zaciekawiając

Lexy.

– Odkąd...?

– Skończyłam szkołę. – Audrey zajęła się sprzątaniami nieistniejącego kurzu ze szczytu biblioteczki, a potem zaczęła poprawiać książki równo stojące na półkach.

– No cóż, jeśli sugerować się jego gabinetem, to doktor może się cieszyć, że panią ma. – Lexy wiedziała, że asystentka ją zbywa, i miała nadzieję, że komplement załagodzi urazę, którą mogło spowodować jej pytanie. „Ciekawość to pierwszy stopień do piekła”. Znów jej matka.

– To wspomniałaś człowieka, wie pani. – Rysy twarzy Audrey złagodniały, z powrotem się uśmiechała. – Był taki dobry dla mojej rodziny. Bez niego... – Jej głos zamarł, a Lexy znów poczuła nagłą jak głód ciekawość, ale zanim zdążyła pomyśleć, jak w taktowny sposób dowiedzieć się więcej, Audrey zbierała się już do wyjścia.

– No dobrze, muszę już iść. – Kobieta wcisnęła przełącznik i wprawiła w ruch wentylator na suficie. – Wszystko dobrze?

– Tak, dziękuję. Idealnie. – Drzwi zamknęły się cicho i Lexy została sama.

Doktor Campbell był więc bohaterem, przynajmniej dla oddanej Audrey i jej rodziny. Lexy się zadumała, dochodząc do wniosku, że kompetentna Audrey cierpiała na monstrialne zauroczenie swoim szefem. Nie można lekceważyć pożądania u tych pruderyjnych asystentek. A on po prostu musi być spokrewniony z doktorem Campbellem z albumu fotograficznego Ursuli, czyż nie? To byłby zbyt duży zbieg okoliczności. Lexy musi znaleźć sposób, jak wziąć go na spytki, ale tak, by nie wyglądało to na przesłuchanie, zanim on przyjmie do wiadomości, że Ursula nie żyje. To wymagało taktu i opanowania. Żadna z tych cech nie była jej mocną stroną.

Krażyła po opustoszałym gabinecie, rozglądając się za wypowiedziami na temat mężczyzny, którego miała poznać, ale nie było tu nic. Żadnych zdjęć,

żadnych dekoracji, ani jednego papierka wyrzuconego do kosza na śmieci. Ręka ubóstwiającej Audrey, bez wątpienia.

Cóż, nie pozostawało jej nic innego, jak być cierpliwą. A to nie przychodziło jej z łatwością. „Cierpliwość jest cno...” – Lexy zagłuszyła głos matki. Powracające jak żywe kazania Isobel stanowiły osobliwe pocieszenie. Tak jakby mama nie odeszła, ale cały czas była przy niej. Może to się właśnie dzieje, gdy ktoś umiera: wchłaniamy jego część. Niczym iskrę wiecznego płomienia.

Lexy potrząsnęła głową, by zatamować potok myśli. Plecionka z rattanu jęknęła i skrzypnęła, kiedy kobieta rozsiadała się na sofie. Wokół stały tylko takie meble. Nie było szans, by usiąść cicho i niepostrzeżenie. Zatopiła się w rozmyślaniach, delikatny furkot wentylatora uspokajał ją i kołysał do snu, kiedy upał, podróż i huśtawka zdarzeń paru ostatnich dni zaczęły zbierać swoje żniwo.

Lexy podskoczyła i szeroko otworzyła oczy, słysząc kroki za drzwiami. To Audrey oraz cięższy chód kogoś innego.

– Zaczekaj, Robercie, masz gościa! – Audrey ściszyła głos do szeptu, ale Lexy i tak słyszała jej słowa. – Pani Shaw czeka na ciebie w gabinecie.

– Shaw?

– Tak, jest z Wielkiej Bry...

– Wiem. Czego chce?

– Chodzi o list. Mówiła, że to sprawa osobista. Przepraszam, myślałam, że będziesz chciał...

– W porządku, Audrey. Zajmę się tym.

Tym? Lexy otrząsnęła się z resztek snu w mgnieniu oka, jego ton już zdążył ją rozżłościć. Próbowwała pojąć to, co właśnie usłyszała. Doktor Campbell wiedział o niej. To znaczy, że miała rację. Nie mogła się mylić. Ów Campbell musi być spokrewniony z Campbellami z albumu fotograficznego. Nie miała jednak czasu snuć domysłów, gdyż drzwi otwarły się, a postać w białym fartuchu



stała w poświacie popołudniowego słońca, twarz chowając w cieniu.

– Och! – Podparła się rękoma, próbując wygrzebać się z miękkich poduszek.  
– Przepraszam... Ja właśnie... Właśnie... – W końcu udało jej się wstać. Wyprostowała zmiętą spódnicę, by ta wróciła do przyzwoitej długości, odgarnęła włosy i wyprostowała się.

– Lexy Shaw.

– Lexy? – Brzmiał na zaskoczonego.

– Tak, od Alexis. Doktor Campbell, jak sądzę? – Wzdrygnęła się. Stanley spotyka doktora Livingstone'a? No cóż, w końcu to Malawi.

– Dobrze pani sądzi, pani Shaw. – W jego aksamitnym, niskim głosie tkwiła nutka rozbawienia. – Przepraszam, że kazałem na siebie czekać.

Doktor Campbell wyszedł ze słonecznej aureoli i wkroczył do gabinetu. Lexy po raz pierwszy mogła mu się dokładnie przyjrzeć, była zaskoczona i odrobinę podenerwowana, kiedy zobaczyła, że nie jest nudziarzem w średnim wieku, jak sądziła, ale młodym przystojniakiem, najwyraźniej rozbawionym jej zachowaniem.

– W czym mogę pani pomóc? Domyślam się, że nie chodzi o kwestie zdrowotne. – Uścisnął jej dłoń, dał znak, żeby usiadła, a sam zajął miejsce naprzeciwko niej, i to wszystko jednym płynnym ruchem. To człowiek, który nie miał czasu do stracenia.

– N-nie. Nie zdrowotne – zająknęła się Lexy, wyprowadzona z równowagi jego bezpośredniością, z trudem usiłując zrewidować oczekiwania, które żywiła w stosunku do tego mężczyzny, wpatrującego się w nią z odrobiną rezerwy. – Mam coś, co należy do pana. Chcę to panu zwrócić.

– Naprawdę? Nie spodziewałem się.

Lexy była poirytowana, że nie traktował jej poważnie. A jeszcze bardziej rozdrażniło ją to, że sama zachowuje się jak zadurzona nastolatka. Nie pamiętała, kiedy ostatnim razem się tak rumieniła.

– Tak. Niestety obawiam się, że prócz tego mam dla pana także smutne wieści. – Lexy nie miała zamiaru mu dogryzać, ale zaszedł jej za skórę.

Wprawny uśmiech nieco przygasł.

– Rozumiem. Czego dotyczą te wieści?

Lexy próbowała z siebie coś wydusić. Nie przewidziała, że ta scena rozegra się w taki sposób. To ona miała nadawać wydarzeniom bieg, ale mężczyzna siedzący naprzeciwko wytrącił ją z równowagi i wprawiał w podenerwowanie, a ona nie wiedziała czemu. Albo przynajmniej nie chciała przyznać, że wywarł na niej spore wrażenie.

– Pani Shaw, o co chodzi? – ponaglał ją doktor Campbell, w rysach jego bladej twarzy widać było raczej zmartwienie niż rozbawienie czy dystans. Jakim cudem miał taką jasną cerę w takim klimacie? Słońce już zdążyło ją osmagać, a dopiero co przyjechała.

– Pani Shaw?

– Przepraszam. Tak. Przepraszam. – Gmerała w torebce w poszukiwaniu gładkiej koperty o krawędziach szorstkich jak skórka brzoskwini, do czego doprowadziła, obracając przesyłkę w dłoniach, odkąd tylko weszła w jej posiadanie.

– To list od pana. Do pani Reid...

– Do diabła... – Jego spojrzenie stężało. – Czytała to pani? – Pochylił się i porwał kopertę, by sprawdzić, czy jest zaklejona. – Wygląda na to, że tak. Nie powinna pani.

– Musiałam! To znaczy, list przyszedł już po...

– Po czym? Na litość boską, niech pani to wreszcie z siebie wydusi.

– Tak. Racja. – Rattan znów poskarżył się głośno, kiedy Lexy zmieniła pozycję. Nie wiedziała, od czego zacząć, poza tym zaniepokoiła ją jego reakcja na list. – Przepraszam. Musi pan być bardzo zajęty.

– Niezwykłe.

Ubodło ją jego zniecierpliwienie, ale zauważyła własne odbicie w jego ciemnych oczach i miała świadomość, że musi wyglądać idiotycznie. Jak miała wytłumaczyć, że przebyła taki szmat drogi tylko po to, żeby oddać list, choć doktor wolałby, żeby go nie czytała? Przecież mogła przesłać krótką, uprzejmą wiadomość o śmierci Ursuli i byłoby po wszystkim. Wykorzystała list jako pretekst, talizman, impuls do tego, by działać, odszukać syna zmarłej, jej własną rodzi...

– Pani Shaw? – Teraz w jego głosie dało się słyszeć stalowy chłód.

– Przyszedł po tym, jak ja... Pani Reid... Miała wypadek, upadła, trafiła do szpitala i już nie... Niestety ona... – Lexy podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy, wtedy zamarła, a on powoli skinął.

– Zmarła – dokończył za nią.

– Tak. A ja odziedziczyłam po niej spadek. Jestem jej... a raczej moja matka... No cóż, to skomplikowane, ale mimo to postanowiłam przyjechać do Malawi i zabrałam list ze sobą. Myślałam, że chciałby pan wiedzieć, czy go przeczytała, czy nie... Nie zdążyła.

Zamilkła, przerażona zamieszaniem, jakie wywołała, oraz mieszanką emocji, którą wzbudziły u doktora Campbella jej kulawe wyjaśnienia. Żal, nieufność, zaskoczenie, szok – te uczucia po kolei przemykały przez jego oblicze, aż złość zagościła na dobre i odsunęła wszystkie inne reakcje w cień.

– Jest pani pewna, że to był wypadek?

– Oczywiście, że tak. Upadła. Ze schodów we własnym mieszkaniu...

– Czy zawiadomiono policję?

– Tak. Jej opiekunka zadzwoniła pod 999, policjanci przyjechali wraz z karetką pogotowia.

– Czy ona była przy wypadku? To znaczy, opiekunka?

– Nie wiem. Raczej tak, chyba że przyszła już po. Muszę ją zapytać. Ale czemu? Czy to ma jakieś znaczenie? – Wpatrywał się w list, który trzymał

w dłoniach. – Och. Chryste. Tak, oczywiście, że to ma znaczenie. Obawiam się, że nie wiem... Mam nadzieję, że ktoś przy niej był. To byłoby okropne, gdyby umarła w samotności... Zapytam, kiedy wrócę do domu. Albo mogę zadzwonić do...

– Nie.

Cierpkość w jego głosie przerwała paplaninę Lexy.

– Hm, skoro woli pan nie wiedzieć...

– Nie ma potrzeby. To naprawdę nieważne.

Lexy miała jednak przeczucie, że było.

Doktor Campbell wstał, przemierzył niespiesznie pokój i podszedł do biurka. Wyjął klucz z kieszeni, otworzył szufladę, wyciągnął z niej niebieską teczkę i wsunął list do środka. Przez chwilę bębnił palcami po sztywnej okładce, po czym wrzucił teczkę z powrotem do biurka i na moment zwiesił głowę. Gdy z powrotem podniósł wzrok, znów przywdział maskę profesjonalisty, po czym odezwał się spokojnie:

– Dlaczego tu pani przyszła?

– Chciałam tylko oddać pański list i...

– I co?

– I zadać parę pytań. O list i moją rodzinę. Proszę posłuchać, mogę to wyjaśnić... – zaproponowała Lexy, choć nie była pewna, czy potrafi.

– Proszę.

Nie zwracając uwagi na sarkazm w jego głosie, wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić. Sprawa wydała jej się nagle groteskowa, gdy miała wytłumaczyć ją nieznanemu. Lekarzowi, człowiekowi wiedzy i nauki, który raczej nie pojmie emocjonalnej reakcji wywołanej listem, tajemnicą zagranicznego adresu nadawcy, kolorowymi znaczkami oraz aromatem przypraw, jaki wyczuła, a który już dawno uleciał. Nie zrozumie, że tropy przeszłości Ursuli oraz jej własnej przywiodły ją aż tutaj.

– Obawiam się, że nie mam na to czasu. – Ruszył do drzwi.

– Proszę zaczekać. Przepraszam. Ursula była opiekunką prawną mojej matki. Sądzę, że знаła moich dziadków, kiedy byli w Malawi w latach czterdziestych. Rodzice mojej mamy najwidoczniej byli misjonarzami, a Ursula siostrą przełożoną tego szpitala. Ale pan zna tę historię, prawda? To znaczy, wiedział pan o tym?

Jego twarz nic nie zdradzała, Lexy czuła coraz większe skrępowanie.

– Ursula wyjechała do Szkocji, ale kiedy moi dziadkowie zmarli, została prawną opiekunką mojej matki i ją wychowywała. Była dla nas jedyną rodziną, jaką mieliśmy, zwłaszcza po śmierci mojego ojca. Ale to także pan wie, prawda?

Parę razy skinął lekko głową, wystarczyło, by zachęcić Lexy do kontynuowania opowieści.

– Nie będzie więc dla pana zaskoczeniem, że ona, to znaczy Ursula, zapisała wszystko w spadku mojej matce. A przynajmniej dotychczas tak myślałam. Ponieważ odkryłam, albo tak mi się tylko wydaje, że Ursula miała syna. Wydaje mi się, że w liście wspomina pan o nim, rozumiem, że to miał być sekret, ale nie uważa pan, by trzeba to było dłużej trzymać w tajemnicy, więc zastanawiam się, czy mógłby mi pan pomóc...

Lexy urwała. Przecież trajkotała. Tak na nią działał ten mężczyzna? Bez względu na to, jaka jest prawda, wyraz jego twarzy zdradzał, że pozostaje niewzruszony. I nie miał zamiaru pomagać. Przynajmniej nie dzisiaj. Potwierdzając jej najgłębsze obawy, odwrócił się, skrzyżował ręce na piersi i wyjrzał przez okno.

– Przepraszam – powiedziała Lexy do jego pleców. – Powinam już iść. – Zamknęła torebkę z trzaskiem i wstała. – Nie mam do pana pretensji, że jest pan na mnie zły i mi nie wierzy. Sama widzę, że kiepsko to wygląda. Przeczytałam list tylko dlatego, że musiałam, nie mówiłam o tym nikomu i nie pisnę ani słówka. Ale wie pan, gdybym go nie przeczytała, nawet nie wiedziałby pan, że

Ursula nie żyje. Ani jak zginęła. Proszę posłuchać, naprawdę mi przykro. Przepraszam, że przyniosłam panu złe wieści, i to w taki sposób. – Akurat ona powinna mieć więcej taktu i ostrożnie przekazywać informację o śmierci kogoś bliskiego. Chciała powiedzieć coś, by naprawić swój błąd.

Doktor Campbell skupił uwagę na czymś za oknem i nie odrywał od tego wzroku. Nie była pewna, czy w ogóle jej słucha.

– Zostawię pana w spokoju. – Stała w drzwiach. – Kiedy oswoi się pan już z wieściami i poczuje, że chce mnie o coś zapytać, proszę dać mi znać. Zatrzymałam się w Rezydencji...

– Jak długo?

– Słucham?

– Jak długo pani zostaje?

– Cóż, jeszcze się nie zdecydowałam. To zależy, co odkryję, i...

– Tu nie ma nic do odkrycia. Niech pani wraca do do...

– Doktorze Campbell! – Wołanie niosło się po korytarzu.

Do gabinetu wparowała Audrey, wpadła na Lexy i popchnęła ją tak, że ta znów opadła na hałaśliwą sofę.

– Rob... Doktorze Campbell, chodzi o chłopaka od Ellorych!

Zerwał się jak oparzony, skupiony wyłącznie na Audrey.

– Ma krwotok, walczą o jego życie...

Doktor Campbell ruszył do drzwi.

– Przepraszam, pani Shaw, muszę...

– Oczywiście. Niech pan idzie, proszę.

Lexy podążyła za nimi do wyjścia i patrzyła, jak lekarz wraz z Audrey zbiegają po schodach i znikają. Już zamierzała zatrzaskać drzwi, zastanawiając się, czy same się za nią zamkną, czy też powinna...

Jej wzrok przykuło biurko. Doktor nie zamknął szuflady na klucz. Rozejrzała się dookoła, żeby sprawdzić, czy jest sama, po czym zakradła się z powrotem do gabinetu i cicho zamknęła za sobą drzwi. Bez trudu otworzyła szufladę. Odgłos jej oddechu wypełnił całe pomieszczenie, w żyłach krążyła adrenalina. Nie miała prawa tego robić. Powinna wyjść.

„Bóg pomaga tym, co sami sobie pomagają”. Jej matka miała rację. Lexy wyjęła teczkę i rzuciła ją na biurko przed sobą. Skrawek pożółkłego papieru wyleciał zza kartonowej zakładki na podłogę. Był postrzępiony na brzegach, jakby wyrwano go z książki, ale nie znajdowało się na nim nic poza paroma nagryzmlonymi znakami na środku. Napisano je czarnym tuszem.

*Blantyre 144.*

Nie była pewna, ale... Przeszukała torbę, przypominając sobie o wciąż nieruszonej wiadomości, którą doręczono jej wczoraj wieczorem do hotelu, tam również pośrodku wypisano *Pani Alexis Shaw* chwiejnym pismem...

Kroki na korytarzu. Wcisnęła teczkę z powrotem do biurka i zamknęła szufladę, jednocześnie odwracając się do okna, oddychała szybko i płytko.

– Pani Shaw. – Nie było ani śladu po uprzejmej serdeczności w głosie Audrey. – Odprowadzę panią do wyjścia.

**CHIZUMU & CHIZUMU, BLANTYRE, 9 CZERWCA**

**L**exy znów siedziała w recepcji, tym razem czekała na spotkanie z kolejnym prawnikiem. Mogłaby być gdziekolwiek. Pieniądze stanowią kokon bezpieczeństwa, otumaniają.

Kiedy samochód, który ją tu przywiózł, ruszył z miejsca niczym rekin pokonujący wzburzone wody, oglądała chaos i zamieszanie na afrykańskich ulicach niczym w niezależnym dokumencie z wyciszonym dźwiękiem. Sama Lexy była podglądaczem *peep show*, przyciemnione okna były szczelnie zamknięte, by zapewnić jej anonimowość.

Kiedy rozglądała się dookoła, stwierdziła, że pieniądze wprowadzają element nijakości. Inny kontynent, ale to samo nijakie umeblowanie, ta sama mdła recepcjonistka, ten sam stłumiony szum odległych telefonów i stukotu klawiszy, kiedy recepcjonistka wklepywała coś do komputera, gdy akurat nie zawstydziała gości. Lexy zapewniono, że pan Chizumu jest już w drodze, ale skoro przyszła nieco wcześniej, to tym bardziej powinna wykazać się wyrozumiałością i poczekać parę minut. Podtekst był jasny: jakikolwiek kłopot to wyłącznie wina Lexy.

Lexy to nie przeszkadzało. Przynajmniej miała chwilę, żeby zebrać myśli, przejrzeć notatki, które sporządziła poprzedniego wieczoru, przypomnieć sobie pytania, jakie chciała zadać. Przychodząc tu, spodziewała się niespodzianek, ale nie miała pojęcia, co tutejsi prawnicy trzymają w zanadrzu, czym lub kim okażą się „sprawy w Malawi”, o których wspominała pani Hamilton w Edynburgu.



Lexy nie znalazła nic w wyciągach bankowych. Przejrzała je dokładnie raz jeszcze, usilnie starając się skupić na tym zajęciu, a nie odbiegać myślami do rozpamiętywania klapy, jaką zakończyło się spotkanie z Robertem Campbellem. Wciąż nic. Ani śladu przelewów, wychodzących czy też przychodzących, które mogłyby wskazywać na finansowe ustalenia pomiędzy Ursulą a jej synem. Zdecydowanie musiała o to zapytać tuż po tym, jak zada pytanie o to, kto może być tym synem. Pani Hamilton twierdziła, że jej kancelaria nie zna szczegółów, ponieważ wszystko odbywało się tak daleko, jednak Lexy miała przeczucie, że wspaniała pani Hamilton, nawet gdyby coś wiedziała, nie pisnęłaby ani słówka.

– Ustalono, że sprawa pozostanie objęta klauzulą poufności – podkreśliła pani Hamilton głosem brzmiącym szorstko i kompetentnie wśród trzasków na linii telefonicznej – istnieje więc duże prawdopodobieństwo, że uda się odnaleźć tylko osoby trzecie, a tożsamość syna będzie nie do odzyskania nawet z pomocą naszych wspólników w Malawi.

Nie do odzyskania? Powiedziała to tak, jakby był uszkodzonym plikiem w komputerze.

– Jestem jedyną spadkobierczynią pani Reid – podkreśliła Lexy, starając się z całych sił zabrzmieć stanowczo, ale nawet jeśli jej się to udało, pani Hamilton nie należała do kobiet, które łatwo dawały się zastraszyć i niestety nie zająknęła się na ten temat ani słowem. Lexy tego nie kupiła, ale postanowiła nie naciskać, chyba że wspólnicy w Malawi okażą się równie mało wylewni, wtedy będzie musiała przyprzeć bardziej zdecydowany atak.

Rozległ się świst, a powietrze zadrgało lekko, kiedy drzwi otworzyły się i wysoki, szczupły mężczyzna w nienagannym garniturze podszedł do recepcji. Stalowosiwe włosy przeczyły zdecydowanym ruchom i młodzieńczemu wigorowi, którym emanował. Lexy zmarszczyła brwi. Wyglądał znajomo.

– Richard Chakanaya. Mam spotkanie z Danielem Chizumu. Proszę mu powiedzieć, że już idę.

Recepcjonistka zerwała się na równe nogi, wyszła zza lady i dygnęła przed gościem. Samolot. Czy to nie jego widziała w pierwszej klasie? Lexy nie była pewna, ale nie wiedziała, gdzie indziej mogłaby go spotkać.

– Oczywiście, panie Chakanaya. Pan Chizumu czeka. Proszę za mną.

Wyglądało na to, że pan Chakanaya dokładnie wie, gdzie kierować swoje kroki. Ruszył niespiesznie korytarzem na prawo od recepcji, nie pozostawiając zdenerwowanej kobiecie innego wyjścia, jak tylko drobić pospiesznie za nim. Wpadła w lekką panikę, jak zaobserwowała rozbawiona Lexy. Warto zapamiętać. Kim musiał być ten gość albo czym się zajmować, że uszło mu to na sucho? Gdyby Lexy spróbowała takiego zagrania, ganiałoby ją po budynku krzepcy mężczyźni z krótkofalówkami. Najwidoczniej był bogaty. Może polityk albo celebryta? Na pewno miał aparycję filmowej gwiazdy.

– Pani Shaw? Christopher Chizumu. Starszy wspólnik. Niezmiernie mi miło powitać panią w Blantyre.

Lexy wstała, podała dłoń, którą brzuchaty mężczyzna żywcem wyjęty z powieści Dickensa chwycił i solidnie ścisnął.

– Jak zapewne wyjaśniła pani Hamilton – kontynuował, machając rękoma, by przegonić ją krótkim korytarzem do pokoju spotkań, dużo mniej okazałego od edynburskiego odpowiednika – wraz z bratem reprezentujemy tu jej kancelarię i z tego tytułu od wielu lat zajmujemy się sprawami pani Reid. Nigdy nie poznałem jej osobiście, rzecz jasna, ale bardzo ją szanowałem. Jej reputacja, rozumie pani, oraz hojność na rzecz dzieci przez te wszystkie lata nie przepadną bez echa. Tak, zaiste. Inspirujące. Proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje. Niech pani usiądzie.

Zdawało się, że nie czekał na odpowiedź Lexy, więc ta milczała. Zajęła wskazane miejsce, będąc pod wrażeniem, jak gładko przeszedł od towarzyskiej rozmowy do interesów.

De godziny później zagoniono ją z powrotem na tylne siedzenie cichego samochodu, po czym drzwi auta zamknęły się i raz jeszcze odgrodziły ją od rzeczywistości. Tyle że tym razem przyjęła to z radością. Potrzebowała oazy. Hałas i uliczna wrzawa, którymi upajała się wczoraj, teraz ją przytłaczały. Rozsadzało jej głowę tak pełną myśli, że nie przyswajała nic więcej. Christopher Chizumu był niepokojący, zwłaszcza pod koniec.

Z początku robił takie wrażenie, jak Lexy się spodziewała. Przyjazny, otwarty, nawet pomocny, ale nie, nie znał tożsamości syna Ursuli. A jeśli znał, to był tak samo wprawnym hipokrytą co pani Hamilton. Mimo to zdołał wypełnić inne luki w wiedzy Lexy, łącznie z tym, w jakim kierunku płynęły przelewy między matką a synem. Miała teraz jeden mocny trop, którym mogła podążać, choć była pewna, że stary prawnik by tego nie pochwalał.

– Pośrednik zadbał o wykonanie ustaleń, pani Shaw – powiedział. – Przekazujemy płatności naszym wspólnikom w Edynburgu. Pani Reid dwa razy w roku sama pobiera... pobierała pieniądze bezpośrednio od pani Hamilton. Nie dziwię się, że nie znalazła pani ani śladu tych operacji. Gotówka, sama pani rozumie.

– Gotówka? To nieco...

– Nietypowe, tak. Ale nie niespotykane, nawet w przypadku tak dużych sum.

– Jak... dużych?

– Pięć tysięcy funtów sterlingów miesięcznie, wypłacanych dwa razy do roku.

– Ale to... góra pieniędzy. Z jakiego tytułu? Wydaje się, że to nie do końca... No cóż, zgodne z prawem.

– Zapewniam panią, że wszystko jest jak należy. Gdyby tak nie było, nie przyłożylibyśmy do tego ręki.

– Oczywiście, przepraszam, nie miałam zamiaru sugerować... – Podniósł

dłoń, by powstrzymać jej niepewne przeprosiny.

– Nie żądamy od naszych klientów wyjaśnień, pani Shaw. To nie leży w naszej gestii. Przyznaję, pewnie nie doradzilibyśmy takiego systemu płatności, ale nasz klient nalegał, a my wypełnialiśmy instrukcje co do joty.

Przeszedł do omawiania jej udziału w zyskach, ale Lexy zachodziła w głowę, gdzie podziały się te pieniądze. Ursula żyła dość wygodnie, lecz nie ekstrawagancko. Czy lubiła hazard? Nie. Co za niedorzeczny pomysł. Nic podobnego. Lexy była tego pewna. Do tej pory nie natrafiła na nic, co wskazywałoby, że Ursula miała dochody większe niż emerytura. Ani śladu, że trzymała w tajemnicy kosztowne uzależnienie lub słabość do rozrzutności.

– Panie Chizumu – przerwała mu, gdy nowa myśl zakiełkowała jej w głowie.  
– Ten pośrednik... Czy mógłby pan powiedzieć mi coś więcej na temat tego aspektu ustaleń?

– Hm. – Wahał się przez chwilę, przejrzał papiery leżące przed nim na stole i zatrzymał wzrok na dokumencie na niemal samym spodzie. – Tak. Tak, sądzę, że mogę.

Czekała. Jeszcze przez moment czytał, potem odłożył dokumentację na miejsce i starannie wyrównał stosik.

– Chakanaya. Richard.

– Chakanaya? Ale on tu jest. Przed chwilą widziałam, jak wchodzi. Właśnie ma spotkanie z pańskim bratem. Czy możemy z nim porozmawiać? Ja...

– Musi pani zdawać sobie sprawę, że my, prawnicy, to Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek.

Nie miała pojęcia, co chciał przez to powiedzieć, ale nie pozostawiał wątpliwości, że nie zamierza jej przedstawić ani omawiać spraw innego klienta, nawet pośrednio.

– Powiem tylko, że pan Chakanaya prowadzi szeroko zakrojone interesy. – Lexy nie była pewna, czy w jego głosie pobrzmiewał niesmak, jeśli nie

dezaprobata. – Nasza kancelaria nie reprezentuje go we wszystkich przedsięwzięciach.

Tymi słowami zamknął temat i przeszedł do szkicowego przedstawienia reszty majątku Ursuli w Malawi. Ale Lexy nie słuchała. Myślała, jak zaaranżować pogawędkę z panem Chakanayą, bez względu na to, czy prawnicy jej w tym pomogą, czy też nie.

Spotkanie odbywało się w żargonie prawniczym, który Lexy starała się ogarnąć umysłem, chociaż już wiedziała, że nigdy nie będzie płynnie się nim posługiwać. Niewielką część spadku pozostawiono wiernej służbie, gospodyni Adeli Kamandze, ogrodnikowi Josephowi Kamandze i innym. Przekazano również darowiznę na rzecz szpitala oraz hojny zapis dla misyjnego sierocińca na północy. To ostatnie brzmiało bardziej interesująco. Lexy odnotowała w myślach, żeby uważnie zbadać sprawę.

Potem sprawy przyjęły nieoczekiwany obrót. Kiedy spotkanie zmierzało ku końcowi, Christopher Chizumu zamknął teczkę, otworzył drzwi balkonowe na mały taras na dachu zastawiony doniczkowymi jaśminami i hibiskusem, po czym zaprosił ją, by wyszła i podziwiła widok. Byli na tyłach budynku wychodzącego na zadbany park.

– Czy wie pani co nieco na temat fauny i flory naszego kraju, pani Shaw? Może o naszym ptactwie?

Ta zagrywka w rozmowie zaskoczyła Lexy, która potrząsnęła przecząco głową, zastanawiając się, do czego zmierza ów mały człowieczek. Zdążyła wyczuć go na tyle, by wiedzieć, że nieco nieudolny sposób bycia był doprowadzoną do perfekcji przykrywką dla bardzo rozważnej natury.

– Awifauna to bardzo ciekawa nauka. Niezwykle wdzięczna – kontynuował, przytakując siwą głową dla podkreślenia swych słów. – Miodowodzik na ten przykład. Mało pociągający maluch, ale niezwykle wprawny w sztuce przetrwania. Niektórzy nazywają go miodowodem, twierdzą, że jego śpiew

zawiedzie cię do miodu, ale nie ma na to dowodu, choć my, istoty zachłanne, chcemy w to wierzyć.

Zamilkł, szukając odpowiednich słów.

– Ma słodki śpiew, ten nasz miodowodzik, no i słodką nazwę, a jednak jest ponury i przewrotny. Tak jak wasza brytyjska kukułka to pasożyt lęgowy, podrzuca jaja do cudzego gniazda, by tam dojrzewały. Gdy tylko intruz się wykluje, morduje towarzyszy z gniazda, zapewniając sobie przetrwanie kosztem pozostałych. Rodzi się z ostro zakrzywionym dziobem i zanim jeszcze otworzy ślepią, dziobie nim nieustannie w skorupki jaja lub wyklute pisklaki i zabija je, po czym po paru dniach gubi tę zabójczą zuchwę. To zawsze kojarzy mi się z tajemnicą zbrodni doskonałej, ofiara zostaje zasztyletowana soplem, który później się rozpływa, i narzędzie zbrodni nigdy nie zostaje odnalezione.

Odwrócił głowę, spoglądając z powrotem do środka budynku, po czym dodał cicho:

– Proszę uważać na miodowodziki, pani Shaw. Niech pani nie podąża za ich śpiewem.

**W** hotelu czekała na nią krótka informacja. Pani Hamilton prosiła, by Lexy jak najszybciej zadzwoniła. Lexy wybrała numer, ale – jak można się było spodziewać – pani Hamilton była nieosiągalna. *Telefonicznego berka czas zacząć*, pomyślała Lexy, kiedy połączono ją z asystentem, zamiast pozwolić zostawić wiadomość. Była zaskoczona, że rozmawia z młodym mężczyzną, ale pewnie nie powinna się dziwić. Nie takie porządki panowały w Smith & Littlejohn, rzecz jasna, ani w Chizumu & Chizumu na miejscu w Malawi, ale kancelaria w Edynburgu grała w zupełnie innej prawniczej lidze.

– Dopilnuję, żeby przekazano jej wiadomość, kiedy tylko będzie wolna, pani Shaw, zapewniam, że albo oddzwoni niezwłocznie, albo upoważni mnie, żebym wykonał telefon w jej imieniu.

– Dziękuję. Choć zastanawiam się, czy...

– Tak, pani Shaw? Czy mogę pani w czymś jeszcze pomóc?

– Chodzi o posiadłość pani Reid w Ross-shire. Chciałabym poznać adres. Poza tym zastanawiałam się, czy mógłby powiedzieć mi pan o tym coś więcej. Czy często tam bywała... Sama nie wiem. Cokolwiek.

– Nie wiemy nic o wyjazdach pani Reid, rzecz jasna, choć majątek znajduje się daleko, a pani Reid robiła się coraz bardziej słabowita, więc tak na zdrowy rozsądek w minionych latach raczej nie odwiedzała tego miejsca za często. Ale jeśli pani poczeka, wezmę teczkę.

Rzeczywiście, na zdrowy rozsądek tak to wyglądało. Nie popisała się mądrością. Jasne, że nie wiedzieli ani kiedy, ani czy Ursula w ogóle odwiedzała posiadłość. Kto mógłby mieć o tym pojęcie? Może Jenny? Kolejne pytanie do listy. Lexy wyjęła notes i gwałtownie stukała w niego długopisem, aż asystent podszedł z powrotem do telefonu.

– Tak, pani Shaw, mam dokładny adres. Dysponuję także kluczami, gdyby chciała pani złożyć wizytę na posiadłości. Ma pani coś do pisania?

*Tak na zdrowy rozsądek*, pomyślała Lexy zgryźliwie, *jasne, że mam*. Zapisała adres, prosząc, by przeliterował obce nazwy. Nie znała za dobrze tamtych stron. Podróże w dzieciństwie na północ nigdy nie wybiegały dalej niż do Edynburga.

– Czy może pan powiedzieć mi coś więcej na ten temat?

– Cóż, mam tu parę zdjęć, wygląda to na małe gospodarstwo. – Lexy żałowała, że nie może zobaczyć fotografii na własne oczy. – Na innych ujęciach widać morze i jakieś małe wysepki w oddali, a to ujęcie wykonano pewnie z drugiej strony. Wznosi się na nim wzgórze. Dość strome. – Frustracja Lexy sięgała zenitu, gdy wysłuchiwała koślawego opisu. Nie zawęzał obszaru jej poszukiwań. – To dziwne.

– Co?

– Wygląda na to, że parę lat temu przygotowaliśmy umowę dzierżawy posiadłości.

– Tak, wiem. Mam jej kopię. – Wzięła głęboki oddech. Zabrzmiało zjadliwie, wiedziała, że nie pomoże jej dostać tego, co potrzebuje. „Cierpliwość jest cnotą”.

– Pani Reid podpisała go, ale brakuje podpisu i nazwiska dzierżawcy.

*Wiem* – krzyczał głos Lexy w głowie, miała po dziurki w nosie opieszałości prawniczej profesji. *Do sedna...*

– A więc...? – ponagliła z powściągliwością, jej matka byłaby z niej dumna.

– To pozwala mi założyć, że nigdy nie wprowadzono dokumentu w życie. Nie jestem pewien, czemu przechowujemy go w teczce ze sprawami bieżącymi.

– Może dla porządku? – zaproponowała Lexy.

– Wówczas trafiłby do innej kartoteki. Do naszego archiwum, zważając na to, jak dawno go sporządzono. Chyba że...

– Chyba że co? – Lexy złamała rysik ołówka, dźgając w bazgroły, które groziły zamazaniem ciężko uzyskanego adresu.

– Hm, możliwe, że pani Reid niedawno planowała coś z tym zrobić. Ale nie rozumiem, dlaczego nie sporządziliśmy nowego szkicu umowy. Trudno mi uwierzyć, że warunki dzierżawy sprzed tak wielu lat nie uległy zmianie. Możliwe, że pani Hamilton będzie potrafiła wyjaśnić tę sprawę.

*Możliwe, ale mało prawdopodobne*, pomyślała Lexy, odkładając słuchawkę. Pani Hamilton była jeszcze dzieckiem, kiedy sporządzano umowę, bawiła się lalkami Barbie w sąd albo inną zabawę skupioną wokół kariery, ale raczej nie miała wglądu w zamiary Ursuli sprzed przeszło dwudziestu lat.

Żałując, że nie spytała, kiedy może spodziewać się odpowiedzi od pani Hamilton, Lexy zrezygnowała z kąpieli w hotelowym basenie, żeby nie przeoczyć telefonu. Była pewna, że prawniczka nie zostawi ważnej informacji w recepcji. Nie była to też rozmowa, którą Lexy pragnęła przeprowadzić, ociekając wodą lub leżąc obok basenu, wysmarowana kremem do opalania.



Miała przed sobą cały dzień, rozważała różne możliwości, dość ograniczone, ale wszystko sprowadzało się ostatecznie do jednego. Czekał ją ciąg dalszy papierkowej roboty. Otworzyła szufladę biurka, gdzie upchnęła albumy fotograficzne i dokumenty, które ze sobą przywiozła, i zobaczyła poplamioną herbatą teczkę znalezioną pod fotelem Ursuli. Znalezisko ją zaskoczyło, niemal złożyła je na karb dziwactwa staruszki, ale dostrzegła w prawym górnym rogu napis ołówkiem: „Do Isobel”. To wystarczyło, by chwyciła akta i dorzuciła na stertę korespondencji i innych dokumentów domagających się jej uwagi.

Wyjęła teczkę i położyła ją sobie na kolanach, obracając krzesło biurowe, by znaleźć się twarzą do drzwi balkonowych, choć teraz nie miała ochoty ich otwierać. Kartotekę przeznaczono dla jej matki. Wścibianie nosa w nie swoje sprawy i naruszanie prywatności korespondencji jej przodków wydawało się nie na miejscu.

Trzeba się było tym jednak zająć, nieważne, czy czuła się z tym dobrze, czy też nie. Gdzieś tu może kryć się odpowiedź na pytanie, kim jest syn Ursuli. Choć to nie jedyny powód, czemu musi to przeczytać. Szukała rozwiania własnych wątpliwości, pragnęła zrozumieć, co zaszło między Ursulą a Izzie, że matka ją oszukała. Nie powinna mieć do niej o to pretensji. Ursula chciała, by matka Lexy to przeczytała, a skoro mogła widzieć to Isobel, to dlaczego nie ona? Poza tym jej mama na pewno podzieliłaby się informacjami. Lexy poczuła ukłucie żalu. No cóż, przynajmniej powinna się nimi podzielić. Na wspomnienie zdrady swojej matki Lexy straciła wszelkie skrupuły, rozsiadła się na łóżku ze skrzyżowanymi nogami, opierając się o poduszki i przygotowując na kolejne tajemnice.

Teczka nie była przesadnie gruba, ale zawierała zestaw dokumentów i świstków zebranych w różnym czasie i z przeróżnych źródeł. Lexy przeglądała zawartość. Strony wydarte z pamiętników, listy, odręczne notatki, od czasu do czasu fragmenty z gazet lub wycinki z czasopism, wszędzie widniała data i pobieżne wyjaśnienie tym samym starannym pismem, które po raz pierwszy

napotkała w albumie ze zdjęciami. Tak jak podejrzewała, przyuważyła również imiona, które widziała w albumie. Z wyjątkiem pierwszej strony na każdym skrawku znajdowała się data wypisana tą samą pieczołowitą ręką, było więc jasne, że Isobel miała przeczytać to w ustalonej kolejności. Opierając się pokusie, żeby pognać naprzód i wyciągać papiery pod wpływem emocji, Lexy ułożyła je w porządną stosik i zaczęła od początku. W swoich poszukiwaniach będzie cierpliwa i wnikliwa, postępując sumiennie, tak jak w przeszłości widziała, że robi w swojej pracy Danny, jednocześnie mu się dziwiąc, że potrafił w ten sposób żmudnie posuwać się do przodu. Ona należała do tych osób, które pospiesznie przechodzą do ostatniej strony powieści, co Danny'emu nie mieściło się w głowie. I doprowadzało do szału, kiedy zdradzała mu zakończenie książki, tak jakby już je znał.

Zebrała się na odwagę, kiedy zobaczyła na pierwszej kartce odręczną wiadomość do Isobel schludnym, skrupulatnym charakterem pisma z dziwnym drzeniem ręki przejawiającym się w dłuższych pociągnięciach. Czy w takim razie napisano to niedawno? Być może to pismo starzejącej się, podupadającej na zdrowiu kobiety, ale brakowało daty, nie dało się stwierdzić, kiedy notatka powstała. Wyglądzona na błysk teczka przywodziła na myśl, że mogła leżeć pod poduszką od lat. Lexy rozsiadła się wygodniej na łóżku i wyprostowawszy się, zaczęła czytać.

### *Do Isobel*

*Powinnam była powiedzieć Ci to wszystko lata temu, ale nie potrafiłam. To nie tak, że nie chciałam, jak sądziłaś, ale nie mogłam, ponieważ ta historia nie należała do mnie. Wówczas on jeszcze żył, Cameron, który – jak zobaczysz – będzie miał większy udział w tych zdarzeniach. Nie powiedziałam Ci o tak wielu sprawach, nawet tamtej okropnej nocy. Nadal nie wiem, co sprawiło, że poddałaś*

w wątpliwość prawdę, którą zawsze wyznawałyśmy. Co przydało Ci takiej pewności, iż istnieją pewne tajemnice? Dlaczego zaczęłaś we mnie wątpić?

Te parę słów, jakie ze mnie wydusiłaś, wystarczyło, by Cię ode mnie przepędzić. Nadal słyszę nieprzyjazne trzaśnięcie drzwi za Tobą, ostateczne jak strzał z broni. Co, zastanawiam się dzisiaj, zrobiłabyś, gdybym powiedziała Ci wówczas o wszystkim? Czy mogło być coś gorszego od nieobecności Twojej małej Alexis przez parę ostatnich lat mojego życia? Ależ srogą wymierzyłaś mi karę! Jednak wtedy nie potrafiłabym Ci o tym powiedzieć, nawet gdybym się odważyła.

Koniec z sekretami, obiecuję. Koniec z udawaniem, że to, co zrobiłyśmy, było w porządku, bez względu na kierujące nami pobudki. Nie tylko ja stałam za tym wszystkim, zrozum, choć to ja byłam u źródła wydarzeń, a inni dopuścili się tego, czego się dopuścili, żeby mi pomóc, mimo mojej głupoty. Nie próbowałam ukazać żadnej z nas w lepszym świetle, niż na to zasługiwałyśmy, ale chciałam przedstawić sprawę tak, jak było naprawdę. Nie spisałyśmy się najlepiej, ja najmniej ze wszystkich. Z mojego pamiętnika wyczytasz, jaką byłam idiotką, beznadziejnie naiwną i łatwowierną. Listy wyjawią Ci prawdę, dowiesz się z nich o godnych zaufania przyjaciółach, których miałam błogosławieństwo spotkać i którzy pospieszyli mi z pomocą. Oni także niezmiernie ucierpieli. Taki galimatias. I to wszystko moja wina.

Tyle zostawiłam za sobą, kiedy wyjechałam do Szkocji. Sądziłam, że straciłam wszystko. Aż do czasu Twoich odwiedzin. A kiedy wyjechałaś, poczułam, że historia się powtórzyła.

Och, Izzie, tak bardzo mi przykro. Jak mogłoby nie być? Przez te

*wszystkie lata cieszyłam się Tobą, a jednak miałaś rację. Mogło, ba, powinno czekać nas obie jeszcze wiele wspólnych chwil, gdybym tylko była silniejsza, odważniejsza. Od zawsze jednak jestem tchórzem, przejmowałam się tym, co powiedzą ludzie. Nie ma głupca nad starego głupca, jak mawiają, ale uwierz mi, że nie ma większego hipokryty nad starego hipokrytę. A to gorsze, o wiele, wiele gorsze.*

*Dziś jestem już stara, ale nadal przerażona. Całe życie się bałam – czegoś albo kogoś, własnych uczuć, tego, że umrę, już Cię nie ujrzawszy. Zanim będę miała szansę wszystko wyjaśnić. Uzyskać przebaczenie.*

*Ale muszę przynajmniej spróbować. Miej cierpliwość, moje drogie dziecko. W moim wieku myśli mi się płaczą. Dlatego zebrałam te dokumenty. Dołożę wszelkich starań, żeby opowiedzieć Ci wszystko, kiedy tu będziesz, i odpowiedzieć na każde pytanie, jednak obawiam się, że przejęcie i radość, iż znów Cię widzę, że mam Cię przy swym boku, przepęlnią moje serce. Boję się, że po tym wszystkim możesz zmienić zdanie i wcale się nie zjawić. Że możesz pragnąć karać mnie dalej. Zostawiam to tutaj, może pewnego dnia zapragniesz zapoznać się z treścią – jeśli odejdę, zanim podejmiesz taką decyzję. Jeśli nie przyjedziesz, przekażę kwestię prawnikom, by trafiła w bezpieczne ręce.*

*Masz przed sobą, najdroższa Izzie, wszystko, czego nie powiedziałam Ci tamtej nocy, naszymi własnymi słowami, które dałam radę zebrać. Nie osądzaj nas, proszę, zbyt surowo, kochana. Kierowaliśmy się strachem i miłością. Dlatego zrobiłam to, co zrobiłam. To żadna wymówka, wiem, ale może Ci posłużyć za pewnego rodzaju wyjaśnienie. Wybacz mi, jeśli zdołasz, Izzie. Proszę.*

## Ursula

Przekręcając głowę to w prawo, to w lewo, aby rozluźnić spięty kark, Lexy na chwilę oparła się z powrotem o wezglowie. Rzuciła papiery na łóżko. List ani trochę nie wyjaśnił sprawy. Kobieta nie miała zielonego pojęcia, co ujawniła „tamta okropna noc”, czego dokładnie Izzie się dowiedziała, dlaczego Ursula porzuciła jedno dziecko, a przygarnęła inne.

Lexy usiłowała połączyć list z fotografiami, które oglądała w albumie. Cameron. To mąż Helen, prawda? Czy może Gregory? Byli braćmi, tyle zapamiętała. I przyjaciółmi. Helen? Evelyn i Douglas? Fredi? Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego?

Zwlekła się z łóżka i rozdrażniona wyszła na balkon. *Uspokój się. Pomyśl.* Musiała podejść do tego bardziej systemowo. Odegra Danny’ego i rozrysuje wykres. Rozpisze relacje łączące postaci z fotografii na tyle, ile potrafi. Ale najpierw zobaczy, co jeszcze jest w teczce.

Dając oczom chwilę odpoczynku, by przyzwycząić wzrok do ciemności, która panowała w pokoju kontrastującym z balkonem skąpanym w jasnych promieniach słońca, zobaczyła, że nadal nieprzeczytana wiadomość, którą wręczono jej w recepcji w wieczór po przylocie, leży na podłodze pod biurkiem. Musiała spaść, kiedy rzuciła notesem po rozmowie z asystentem prawniczki. Jak mogła o tym zapomnieć? Jet lag. Nie, ta wymówka od początku była kiepska. Powinna wymyślić nową. Schyliła się, by podnieść przesyłkę, usiadła na brzegu łóżka i wsunęła palec do środka. Rozdarła kopertę, rozchyliła obdarte krawędzie i wyjęła kwadracik papieru, na którym czarnym tuszem nabazgrano na środku: „Wracaj do domu”.

# 8

## SZPITAL W BLANTYRE, 10 CZERWCA

**E**vie nie mogła zmrużyć oka. Przebywała tu wystarczająco długo, każdej nocy leżąc bezsennie w łóżku o wymiarach trumny, by znać na pamięć rytm szpitala. Wiedziała, kiedy była zmiana, kiedy zaczynał się nocny dyżur, kiedy nadchodziły godziny śmierci; nad ranem pacjenci tak często przemijali po cichu. Pewnej nocy to będzie ona. Lecz jeszcze nie teraz. Jeszcze nie. Wciąż ma tyle do zrobienia. Musi zatańczyć na grobie Camerona, jak przyrzekła Helen. Za Ursulę. Za nich wszystkich.

I tyle ma jeszcze do opowiedzenia. A raczej do przesiania i wybrania, co opowiedzieć. Lexy niedługo się tu zjawi, Evie powinna się przygotować. Przeszłość gmatwała jej się w głowie niczym stary film, trzeszczący i raz po raz przeskakujący sceny, w innych fragmentach zaś zamazany i wyblakły. Którą wersją powinna podzielić się z tą młodą kobietą, z którą miała się zobaczyć, ponieważ Robert ją o to poprosił? Ukochana córka Isobel. Lexy. Jakie nowoczesne imię. Ursuli zadrżałyby nozdrza na dźwięk tego zdrobnienia, lecz Alexis czy Lexy – to nie ma większego znaczenia. Biedna dziecina. Musiała czuć się bardzo samotna. Nic dziwnego, doprawdy, że szukała syna Ursuli.

Ursula nie żyła. Przyjaźniły się prawie sześćdziesiąt lat, także z Helen. One trzy, związane sekretami, darzące się bezwarunkowym zaufaniem. Przez te wszystkie lata nie podzieliły się owymi tajemnicami z nikim, a potem jedynie z Robertem, kiedy były starsze i mniej zdolne wypełniać obowiązki same. To był dobry chłopak, młody Robbie. Bardziej jak syn niż wnuk, niesamowicie

podobny do ojca, a jednak postanowił zostać w Malawi, kiedy Edward i Susan wyjechali. Evie westchnęła lekko, starając się nie wzbudzić świstu w swojej klatce piersiowej. Tęskniła za nim, za swoim Teddciem, ale ostatnim razem, jedynym zresztą, kiedy go odwiedzili, brzmiał bardziej australijsko od swojej żony. Osiadł. Już tu nie wróci. Ale zostawił jej Roberta. Malawi podbiło jego serce, tak samo jak jej własne.

Wygięła w łuk plecy, podparła się dłońmi na materacu i, próbując usiąść prosto, oparła się o poduszki. Wysiłek ją wymęczył, więc z powrotem gwałtownie się osunęła, głowa opadła jej na piersi. Zamknęła oczy. Starzenie się to męcząca sprawa. Pomyślmy tylko. Ona i Robert muszą postępować ostrożnie. Stawka jest wysoka. Mogą powiedzieć Lexy tyle, by czuła się usatysfakcjonowana i wyruszyła w bezpieczną podróż do domu. Mogą oznajmić, że syn nie żyje.

Nie. Nie warto podejmować ryzyka. To wywoła więcej pytań, niż Evie chciała udzielić odpowiedzi. Lepiej nie mówić nic. Ani słowa. Udawać zaskoczenie, słysząc, że Ursula mogła mieć syna. Albo po prostu zaufać swojemu instynktowi i zdecydować, co powiedzieć, a co zataić, kiedy ujrzy oblicze młodej przyjezdnej.

Z wysiłkiem podniosła znów głowę i wsparła ją na zapadających się poduszkach, parę razy nabrała głęboko powietrza, dochodząc do siebie po wysiłku i słysząc, że płuca syczą jej jak ostrzeżenie węża. Robert powiedział, że decyzja należy do Evie, niech tak będzie. Nie lubiła kłamać, jednak zważywszy na okoliczności...

A jednak ta młoda Lexy uruchomiła w Evie lawinę wspomnień. Kiedy Evie leżała, uwięziona w swoim ciele w ponurej sali, rozmyślała coraz więcej o dawnych czasach. Nagrodą za starość, pewnego rodzaju łaskawością, jest to, że młodość powraca jak echo bardziej żywa niż wydarzenia dnia codziennego. Pewnie byłaby bardziej wdzięczna, gdyby echa przeszłości nie były tak bolesne.

*Co Lexy już wie? – zastanawiała się Evie. Co powiedziała jej matka, a co Ursula?* Evie wstrzymywała oddech przez dwa długie lata, kiedy Izzie zaczęła pracować w tym samym szpitalu. Blantyre było za małe, by ich ścieżki nigdy się nie przecięły; była pewna, że pewnego dnia jej chrześniaczka zobaczy go i wszystko zrozumie, dostrzeże podobieństwo w gestach lub wyrazie twarzy, przyjdzie i zapyta, zapragnie poznać całą smutną historię. Albo co gorsza zwróci się nie do Evie, ale bezpośrednio do niego. Do Camerona. Był jak kot przyglądający się myszy, Evie bardzo bała się, że pewnego dnia łapa uderzy, pazury drapną, a on zostawi Izzie na progu Evie jako podarek. Pamiątkę. Karę.

Ale ich kochana dziewczyna nigdy się nie zorientowała. Czemu miałyby się połączyć? Nie miała o niczym zielonego pojęcia, to była wyłącznie wina Evie oraz uporczywych, pełnych niepokoju listów przychodzących przez te nieskończone lata, które podlegały w niej strach. Ich kochana, dociekliwa, droga Izzie. Potem wyszła za Philipa i wróciła do domu, żadne z nich nie wiedziało, że zdążył zarazić się malarią, która go zabiła. To takie smutne.

Evie uwielbiała spędzać czas z Izzie, a potem także z Philipem, ale niezwykle ulżyło jej, kiedy wyjechali; Ursula niemal podskakiwała z radości, że wrócili. Teraz Evie musi znaleźć sposób, by skłonić córkę Izzie do opuszczenia Malawi, zanim stanie się jej krzywda.

Leżała w ciemności z otwartymi powiekami, sceny z wcześniejszego życia w kółko przewijały jej się przed oczami. Czy powinna dostrzec choćby najmniejszą wskazówkę, co pozwoliłoby jej obrać inny kurs i wypłynąć na bezpieczniejsze wody? Nie przypominała sobie jednak nic takiego, nie mogła postąpić inaczej. Śmierć padła z ręki kogo innego, one jedynie podjęły jego grę.

— **N**iespodziewane, że reszta się spóźnia – podzieliła się przemyśleniami z Ursulą, gdy starszy kelner usadził je przy stoliku.

– Och. – Ursula zmarszczyła się ze zdziwieniem. – Przygotowano tylko pięć



miejsc. Powinnyśmy wezwać majtr... metr... tego kelnera z powrotem.

– To dziwne – zgodziła się Evie. – Pomówię z nim, kiedy przyprowadzi pozostałych. Nie róbmy zamieszania.

– Naprawdę nie powinni się...

– Oto i Helen. No i Gregory u jej boku, rzecz jasna. – Evie skinieniem głowy wskazała w stronę drzwi. Obserwowała, jak para przechodzi przez salę, zatrzymując się po drodze na pogawędkę z innymi gośćmi restauracji.

– Każdy chce zamienić słówko z naszą Helen – mruknęła pod nosem Ursula, obciągając koronkowe rękawy wypożyczonej sukni i wygładzając głęboki dekolt, czym zmniejszyła nieco wycięcie kreacji.

– Cóż, jest rozkoszna, ta nasza wytworna przyjaciółka. Popatrz tylko na nich. Jacy czarujący. Poza tym miło z jej strony, że pożyczyła... To znaczy, nie miałam pojęcia, że powinnyśmy zmienić garderobę do kolacji, ale żadna z nas nie ma zbytniego obycia w towarzystwie, czyż nie?

Evie poczuła, jak Ursula tężeje, obawiała się, że mogła ją urazić, lecz gdy się rozejrzała, dostrzegła, że zjawił się Cameron – stanął w otwartych drzwiach i obejmował salę wzrokiem, choć Evie była pewna, że pauza służyła raczej temu, by to sala mogła objąć wzrokiem jego. Bez wątpienia był przystojny, i to uderzająco, ale jego pycha i arogancja czyniły go skrajnie nieatrakcyjnym. Pomyślała znów o swoim ukochanym Douglasie, niskim, zaokrąglonym i rumianym na twarzy, łysiejącym w wieku dwudziestu ośmiu lat – bez wątpienia nie miał już tak bujnej czupryny, jak gdy widziała go ostatnim razem przed dwoma laty. Nie. Aparycją nie dorównuje Cameronowi, ale wart jest dwudziestu Cameronów.

Ursula poprawiała sztucce przy swoim talerzu, jej ręce drżały tak, że noże zadzwoniły o siebie.

– Spokojnie, Ursulo. Nie daj mu tej satysfakcji. Nie pokazuj, że jesteś zdenerwowana.

– Słucham? Nonsens. Mam się wspaniale i wcale się nie... Och!

Evie znów skierowała wzrok w kierunku drzwi. Cameron pochylał się nad wyciągniętą ku niemu ręką Gertie von Falken, jego usta lekko musnęły grzbiet jej dłoni. Pozwalając sobie na wyjątkową nieprzychylność, Evie życzyła mu, by rozciął sobie wargę albo zaczepił cienkim wąsikiem o jeden z ostentacyjnych pierścionków, z którymi paradowała młoda wdowa. Jednakże on wyprostował się zdecydowanie bez szkód na ciele, zaoferował wdzięczącej się kobiecie swoje ramię i poprowadził ją przez salę restauracyjną. Kiedy zbliżali się do stolika, Evie ujęła bezwładną dłoń Ursuli we własną, by przestała skubać lniany obrus. Kobieta uściśnęła chłodną rękę przyjaciółki i położyła ją pewnym ruchem na kolanach Ursuli.

– Głowa do góry, kochanieńka – szepnęła półgębkiem, unosząc podbródek i prostując się. Nie była do końca pewna, co się dzieje, ale cokolwiek to jest, zamierzała stawić temu czoła.

Cameron i Gertie pochylali się ku sobie, wesoła wdówka szeptała mu coś do ucha. Sekundę później on odchylił energicznie głowę i zaśmiał się, co sprawiło, że ludzie przy sąsiednim stoliku przestali rozmawiać i podnieśli wzrok. Gertie rozejrzała się dookoła, bycie w centrum uwagi wyraźnie ją cieszyło. Przez chwilę zachowywali pewien dystans, potem znów nachylili głowy ku sobie i podjęli spacer przez salę.

Serce waliło Evie jak szalone. Tego było już za wiele. Arogancja i brak wrażliwości tego mężczyzny nie miały granic. Wiedziała, że Ursula siedząca obok pogrąża się w agonii. To nie do zniesienia. Wstała, kiedy para podeszła do stolika, postanawiając uratować przyjaciółkę przed jeszcze większym upokorzeniem. Kątem oka pochwyciła, że Gregory i Helen przyglądają się im.

– Cameronie, sądzę, że...

– Evie, kochanie. Nie dołączę do was dziś wieczór, niezmiernie mi przykro, ale Gertie nalega, bym usiadł z nią, a wiesz, że nie potrafię się oprzeć prośbie

pięknej kobiety. – Od uśmiešku Gertie zrobiło się Evie niedobrze. – Mam nadzieję, że mi wybaczyacie, drogie panie. – Skinął głową w kierunku Ursuli, po czym zamasyżując zaprowadził Gertie do jej stolika tuż obok kapitana, śmiech wydobył się ze szkarłatnych ust wdowy, gdy Cameron szepnął jej coś do ucha.

Zanim Evie doszła do siebie, Gregory był już u jej boku, przysuwając jej krzesło.

– Proszę, Evelyn, usiądź.

Helen zjawiła się obok Ursuli.

– A może dziś wieczorem to ja usiądę obok ciebie, kochana?

– Ale to miejsce Camerona... – Ursula straciła rumieńce z twarzy, była teraz blada jak wykrochmalony biały obrus.

– Cameron nie będzie już z nami siedział – oznajmił Gregory tonem sugerującym, że ta kwestia nie podlega dyskusji. – Czekamy już tylko na Frediego, prawda? No tak, drogie panie, na czym minął wam dzień?

Evie podjęła wątek, wdzięczna za sposobność, by odwrócić uwagę od Camerona i dać Ursuli chwilę, żeby odzyskała panowanie nad sobą, chociaż kiedy szczegółowo relacjonowała przebieg wyjątkowego popołudnia spędzonego na grze zręcznościowej w rzucanie pierścieniami oraz podwieczorku przy herbacie na pokładzie słonecznym, wiedziała, że nikt jej nie słucha; wszyscy przyzwyczajali się do myśli o nieobecności młodszego brata Gregory'ego przy stole.

– Och, bardzo przepraszam za spóźnienie! – Fredi zjawił się, wyglądając wytwornie jak zwykle, choć był odrobinę bardziej poruszony. – Rozmawiałem z animatorem zabaw – wyrzucił z siebie – poczekajcie, aż usłyszycie, co zaplanował na nasz ostatni wieczór na morzu.

Fredi w mgnieniu oka podniósł wszystkich na duchu. Miał zdolność obracania najbardziej prozaicznej sytuacji w niezwykle widowisko lub wielką atrakcję. Evie uwielbiała go za to, zwłaszcza teraz, kiedy roztaczał przed nimi

wizję szykownej imprezy przebieranej, która wyznaczy kres ich podróży. Mieli trzy dni, by się do tego przygotować, i wedle słów Frediego, stewardowie z chęcią pomogą gościom zaprojektować kostiumy.

– Za kogo się więc przebierzemy? Sam nie mogę się zdecydować. Lecz Ursulo, ty – i tu Fredi zwrócił się do przyjaciółki, utkwivszy w niej z pełną mocą swoje jasnoniebieskie oczy i klasnąwszy przy tym w dłonie – ty, moja droga, powinnaś przebrać się za jakieś cudo. Za Marię Antoninę. Och, a ja mogę być twoim Królem Słońce.

– Nie, nie, Fredi – przerwała mu Helen. – To nie ten Ludwik, nieprawdaż, Ursulo? Maria Antonina była żoną...

– Och, szczegóły, szczególiki, moja droga Helen. Kto się nimi przejmuje? Wyobraź to sobie, obfitość złota, przepych aksamitu, będziemy mieć wspaniałe wejście, kochana Ursulo, ty u mego boku niczym bezcenny skarb, którym jesteś. Sama powiedz – rzekł, przybierając pozę – zaprezentujemy się bosko.

Evie z ulgą zauważyła cień uśmiechu na twarzy Ursuli. Kiedy Fredi przekomarzał się z nią i poświęcał jej uwagę, jej policzki odzyskały nieco kolorytu. Nie był dumniem. Pod przykrywką frywolnych żartów robił, co w jego mocy, żeby ochronić Ursulę i rozbawić ją, nie czyniąc najmniejszej aluzji do pustego krzesła naprzeciwko.

– A ty, Helen – powiedział, skinąwszy na kelnera, by napełnił im kieliszki – ty, moja droga, możesz być Marią, królową Szkotów, odwiedzającą nasz dwór w Wersalu. Tak, byłoby znakomicie.

Evie miała niemal pewność, że niedbałość Frediego o historię była zamierzona. Jednakże Helen z poważną miną próbowała ponownie poprawić ich duńskiego przyjaciela. Evie wykorzystwała sposobność i odezwała się do Gregory'ego.

– I co? – zapytała, unosząc brwi.

Gregory nie uczynił jej afrontu, udając, że nie wie, co miała na myśli.

– Rozmawiałem z nim. Nie będzie już z nami siedział. Zasugerowałem, żeby zatrzymał się na chwilę w Kapsztadzie, kiedy zadokujemy, i nie płynął z nami dalej do Blantyre. Sądzę, że zrobi to z przyjemnością.

Oboje rzucili okiem na stół Gertie, gdzie stukały kieliszki koktajlowe, swoją zawartością podsycając przesadnie głośne wybuchy śmiechu.

– To musiało być dla ciebie trudne.

– Ani trochę. Trudno było raczej patrzeć, jak zachowuje się tak podle. Wstydzę się nazywać go bratem. – Spojrzał na Ursulę, na jej wciąż nieruszony talerz i nadal zauważalną bladość.

– Gregory, to nie twoja wina. Nikt nie obarcza cię odpowiedzialnością. Nie jesteś opiekunem swojego brata.

– Ależ jestem. Obiecałem naszej matce, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by nie wpadł w kłopoty.

– Wszystko, co w twojej mocy, racja, lecz nie można wymagać od ciebie niemożliwego. A przykro mi to mówić, ale sądzę, że twój młodszy brat wszędzie wywęszy kłopoty. Albo sam ich sobie przysporzy. Wybacz. Nie chciałam być niegrzeczna. To po prostu... zastanawiające. Tak bardzo się od niego różnisz.

– Mamy różnych ojców. Mój tata zmarł krótko po moim urodzeniu, mama była wciąż młodą i zamożną, choć, trzeba nadmienić, raczej naiwną wdową. Zresztą nie wiodła wdowiego żywota zbyt długo. Ojciec Camerona był... Nie był oparciem jak mój tata. W niecały rok zostaliśmy bankrutami, a mój ojczym przepadł na długo przed tym, jak Cameron zdążył się urodzić.

– Tak mi przykro. Nie miałam pojęcia.

– Mój wuj nas przygarnął i wychował. Nauczył mnie, jak prowadzić interesy, jak planować inwestycje, jak sporządzać rachunki. Dał mi lekcje, które mój młodszy brat wolał zupełnie zignorować.

– Brzmisz, jakbyś tego nie pochwalał.

– Nie pochwalam. Ani trochę.

– Nie, nie, nie! – przerwał im roześmiany głos Helen, która odwróciła się i położyła Gregory’emu dłoń na ramieniu. Evie widziała, jak Gregory momentalnie skupił całą uwagę na jej rozbawionym obliczu.

– Gregory, pomóż nam. Kto był pierwszym mężem Marii, królowej Szkotów? Lord Darnley czy Bothwell?

– Darnley, jak sędzę.

– No i masz. Dziękuję, Gregory. – Helen zwróciła się znów do pozostałych.  
– Miałam rację. Tak więc Fredi, jak już mówiłam, nie możesz...

– Dlaczego w takim razie wybrał się z tobą w podróż do Afryki? – zapytała Evie, kontynuując przerwany wątek.

– Hm? Wybacz, co mówiłaś? – Gregory niechętnie odwrócił uwagę od Helen, lecz dobre wychowanie zwyciężyło.

– Z pewnością miałbyś sposobność, by zdystansować się od swojego brata.

– Decyzja nie należała do mnie. Matka błagała, żebym go ze sobą zabrał. – Mężczyzna podniósł kieliszek wina, skierował go pod światło, a potem odstawił, nie zamoczywszy nawet ust. – Dałem jej słowo, że będę na niego uważał. Liczyłem na jego wdzięczność. Miałem nadzieję, że może spróbuje... nieco zmienić... swoje zachowanie. Po tym wszystkim, co wydarzyło się w Edyn... – Gregory zamilkł, znów sięgnął po kieliszek, prędko napił się wina, a potem niezdarnie odstawił z hukiem szkło, parę czerwonych kropli poplamiało nieskazitelny obrus. – Przepraszam, nie miałem zamiaru cię tym obarczać, Evie.

– Nie obarczasz mnie, możesz być pewien. Jestem córką pastora i żoną lekarza. Słyszałam i wdziałam już prawie wszystko – naciskała, mając nadzieję, że mężczyzna nie poczuje się obrażony jej nieustępliwością. – Co dalej?

– Była pewna kobieta. Mężatka. Cameron... Ona... – Znów chwycił za kieliszek, tym razem opróżniając go do dna i odstawiając powoli. – Zmarła.

– Tak mi przykro.

– Moja matka była zrozpaczona, upokorzona. Doprawdy zbulwersowana. Ta

kobieta była... w przeszłości... jedną z jej najbliższych przyjaciółek. Cameron musiał opuścić Szkocję.

– Tak, teraz rozumiem.

– Można by pomyśleć, że dostał nauczkę... ale popatrz. Spójrz tylko na niego.

Gładki w obyciu młody mężczyzna poprosił Gertie do tańca i kiedy zespół zaczął grać, poprowadził ją na parkiet, przyciągając do siebie blisko, zbyt blisko.

– Cóż, przynajmniej Gertie nie jest mężatką...

– Nie, jeszcze nie. Jednakże słyszałem z zaufanego źródła, że nasza młoda wdówka wybrała się w podróż do Afryki Południowej, by dołączyć do swego nowego narzeczonego. Niezwykle bogatego mężczyzny, z tego, co mówią. Obawiam się, że to nie skończy się dobrze.

– Evie, kochanie – wołał Fredi do niej, momentalnie zjawiając się u jej boku – po prostu musimy do tego zatańczyć. Tego jeszcze nie znasz, to cza-cza.

– Och, Fredie – roześmiała się Evie – wiem, że prosiłam cię, żebyś mnie nauczył, ale...

– Żadnych „ale”. Nalegam. Będziesz musiała tańczyć w Blantyre. Nie możesz podpierać ścian tylko dlatego, że taka muzyka nie dotarła do Szkocji. No dalej, kochanieńka!

– Tak, idź, Evie – zachęcała Helen. – My we trójkę będziemy patrzeć, jak czarujesz salę balową.

– Gregory, przepraszam, ja...

– Ruszaj, Evelyn. – Gregory już się odwracał i przysuwał krzesło do Helen, rozpromieniając się na widok rumieńców różowiących jej policzki. Evie wiedziała, kiedy zejść ze sceny.

– Dobrze, ale, Ursulo, ty będziesz następna. Nie dam rady dotrzymać Frediemu kroku, a wiem, że pragnie przetańczyć całą noc.

Evie pozwoliła poprowadzić się ku muzyce, zadowolona, że jej głośność uniemożliwia konwersację. Miała sporo do przemyślenia.

\*

— **D**zwonił doktor Campbell – dało się słyszeć przez otwarte drzwi. Naczynia pobrzękiwały na metalowej tacce. – Powiedział, że później przyprowadzi pani gościa, jeśli zdoła.

– Dzień dobry, Celio.

Pielęgniarka odstawiła z łoskotem tacę na stół przy łóżku i z rękoma wspartymi na biodrach spojrzała na Evie.

– Dobry, pani Campbell. Jak się pani dziś miewa?

– Zdrowa jak ryba, kochanieńka, bystra jak woda w strumieniu i pogodna jak słońce. Mogę się pakować do domu, szczerze mówiąc.

Pielęgniarka burknęła pod nosem, wyrażając tym rozbawienie zwyczajowym porannym powitaniem Evie i przysunęła stolik do łóżka chorej.

– Lepiej niech coś pani przegryzie, a potem przyszykuje się na wypadek odwiedzin. Aż z Anglii, powiedział doktor Campbell. Niewielu pacjentów przyjmuje gości z tak daleka! Niedługo przyjedzie sama królowa! – Pielęgniarka zachichotała, jej szeroki tułów falował z wesołości.

Wiedząc, że miała dobre intencje, Evie próbowała zawtórować jej, delikatnie się śmiejąc, lecz zamiast tego zaczęła kaszleć.

– No już, pani Campbell. – Pielęgniarka podała jej szklankę letniej wody. – Niech pani sobie popije, będzie pani jak nowa.

Evie zrobiła, co jej kazano, zastanawiając się – jak to się jej często zdarzało – czemu ludzie sądzili, że upadek na zdrowiu fizycznym skutkuje także podupadającym stanem umysłowym.



# 9

## REZYDENCJA, 10 CZERWCA

**L**exy miała okropną noc. Poczula się nieco spokojniejsza, popijając mrożoną herbatę na werandzie na zewnątrz hotelowej restauracji. Owoce zamówione godzinę temu jako symboliczny ukłon w stronę zdrowego śniadania zdążyły już zmarnieć na talerzu, leżąc przed nią nietknięte, podczas gdy wiadomość zupełnie zaprzątnęła jej głowę. Te słowa odebrały jej odwagę, ale nie zamierzała pozwolić, by zbiły ją z tropu. Po prostu będzie musiała zachować ostrożność. Nikomu nie ufać. Tak, to przerażające, ale nie da się zastraszyć. Równie dobrze mógł to być żart albo... albo... Nie mogła wpaść na żaden pomysł, czemu ktoś miałby zrobić coś takiego. Pamiętała postać, którą wydawało jej się, że widzi w cieniu drzew przed mieszkaniem Ursuli w Edynburgu. Czy ktoś ją obserwował, śledził ją aż tutaj? A jeśli tak, to musiało mieć to coś wspólnego z Ursulą i jej tajemniczym synem, taka była jedyna możliwość. Emerytowane siostry przełożone o nieskazitelnym charakterze rzadko przykuwały uwagę, zwłaszcza w tak enigmatycznych sprawach. Nie. Lexy nie powinna się tym przejmować. A jeśli nawet, to wziąć to za dobrą monetę. Była na właściwej drodze, by odkryć prawdę i dlatego właśnie ktoś próbuje ją zastraszyć.

*No cóż, potrafisz świetnie podnieść na duchu, Lex,* pomyślała, i zanim zaczęła szukać dziury w nieuzasadnionym rozumowaniu, wyjęła teczkę Ursuli z plecaka, który przyniosła ze sobą, a który znów pękał w szwach. Teraz nie spuści dobytku z oka. Nie była już taka pewna, czy bałagan, który zastała w pokoju, kiedy czmychnęła do siebie, by uniknąć wstrętnego Pendletona, był

jej dziełem. Uwierzyłyby, że ktoś przeszukał jej rzeczy. Jak do tej pory nie odkryła, by coś zginęło, ale z drugiej strony nie mogła być pewna. Nie miała pojęcia, co dokładnie znajdowało się wśród dokumentacji Ursuli, w każdym razie było to coś, co musiała sprawdzić.

Tego późnego poranka miała całą werandę tylko dla siebie, zrzuciła więc sandały, podkurczyła nogi pod szerokim fotelem z oparciami, nie dziwiąc się już skrzypieniem wikliny towarzyszącemu jej manewrom. Odłożyła list Ursuli do Izzie na bok i podniosła kolejny plik papierów złożony w lewym górnym rogu spinaczem. Nieco zardzewiał, zostawiając brązowawy odcisk na górze kartki, który dostrzegła po jego zdjęciu. Rozkładając stronice w wachlarz, zauważyła w nagłówkach daty i nazwy miejsc wypisane tym samym kaligraficznym pismem, które znała z albumu fotograficznego. Nie wszystkie jednak były tak starannie przygotowane czy dobrze zachowane. Niektóre kartki skalano przesadną interpunkcją, wielkimi literami i podkreśleniami; inne wyglądały na zmoczone wodą i poplamione; jeszcze inne były pogniecione, jakby ktoś je zmiął, a potem wyprostował. W niektórych miejscach widniały skreślenia, tak jakby słowa padły ofiarą pióra cenzora wojennego. Wszystkie kartki, zdała sobie sprawę Lexy, wyrwano z notesu, zapewne dziennika lub pamiętnika, i mimo że teraz spięto je razem, różnice w odcieniu papieru i kolorze tuszu wskazywały, iż nie pochodziły z tego samego źródła. Czy to wybrane fragmenty z dzienników Ursuli?

Lexy pamiętała, jak matka mówiła jej, że Ursula pisała codziennie, bez wyjątku, a potem chowała zeszyt do szuflady biurka, którą zamykała na klucz. Izzie jako dziecko była tym zaintrygowana, rozpaczliwie pragnęła przeczytać owe sekretne historie. Pewnego dnia zobaczyła, że klucz został w zamku i, nie mogąc oprzeć się pokusie, już-już otwierała szufladę i sięgała do środka, kiedy ręka Ursuli spoczęła ciężko na jej drobnym ramieniu. Kobieta obróciła ją i krzyknęła na nią, pierwszy i jedyny raz, z tego, co Izzie pamiętała. Isobel nigdy nie

powiedziała, co Ursula wówczas krzyknęła; zszokował ją zezłoszczony ton, tyle wystarczyło, by dostała nauczkę.

– *Widzisz, Lexy, każdy potrafi krzyczeć i się złościć. To proste. O wiele trudniej, choć skuteczniej, pozostać rozważnym i zachować panowanie nad sobą.*

*Młoda Lexy miała nie lada ambaras.*

– *A co to znaczy?*

– *Jeśli będziesz bez przerwy krzyczeć, nikt cię nie usłyszy.*

Może gdyby pamiętała tę lekcję, kiedy była z Dannym, potrafiłaby lepiej zrozumieć matkę. Dodatkowo kiedy krzyczysz, również nie słuchasz, rzecz jasna.

Lexy westchnęła, a potem zachichotała cicho, przypominając sobie, jak myszkowała w szufladzie w gabinecie doktora Campbella. „Niedaleko pada jabłko od jabłoni”. Była rodzoną córką swojej matki, chociaż gniew Ursuli, była o tym przekonana, brzmiał o wiele bardziej przerażająco od uprzejmego upomnienia z ust Audrey Lanakeli.

– Podać pani coś jeszcze? – Kelner podszedł, żeby sprzątnąć ze stołu.

– Może dolewkę mrożonej herbaty. – Podejrzewała, że czeka ją długi dzień spędzony na przeglądaniu teczek. Kelner strzepnął resztki okruszków z obrusa i zniknął, by zająć się jej zamówieniem. Mogłaby do tego przywyknąć.

Zabierając się do lektury, doszła do wniosku, że urywki pochodziły rzeczywiście z dzienników Ursuli, ale tej Ursuli, której nie znała ani ona, ani – jak podejrzewała – nie znała jej matka. Lexy czytała skrywane sekrety młodej Ursuli, prawdziwej prostaczki za granicą, zaczęła ją nawet darzyć sympatią, której się po sobie nie spodziewała. Ursula jawiła się jako roztrzepana, egzaltowana i śniąca na jawie. Lexy była pewna, że gdyby miała okazję ją poznać, pokochałaby ją, tak jak równie prędko stało się jasne, że kochały Ursulę jej przyjaciółki: Helen i Evelyn. Obawy i niepokoje Ursuli brzmiały znajomo. Czy jest wystarczająco ładna? Czemu jej włosy nie kręcą się jak Helen? Czy jej suknie są dość

eleganckie? Czyż jej maniery i sposób wysławiania się zdradzają, że jest nie na swoim miejscu w tym szykownym anturażu i towarzystwie, które nie wierzyła, iż przyjmie ją pod swoje skrzydła? Bezspornie urzekł ją ich zbiorowy urok, a najbardziej oczarowała ją bogata dziedziczka w jego centrum, Helen Buchanan, córka właściciela Towarzystwa Handlowego Buchanan. Nawet Lexy, która nie lubiła uczyć się historii w szkole, obiała się o uszy ta nazwa.

Ku jej uldze strony dziennika sprawiły, że imiona i nazwiska zaczęły nabierać sensu. Gregory i Cameron Munro, bracia ze Szkocji. Gregory miał przyjąć posadę dyrektora generalnego u Buchanana oraz towarzyszył Helen w podróży na prośbę jej ojca. Cel wyprawy Camerona był mniej jasny, Ursula odnosiła się jedynie do jego „specjalnej” roli w przedsiębiorstwie. Evelyn Campbell była daleką kuzynką po kądzieli, wybrała się z nimi w drogę, by dołączyć do swego męża, doktora Douglasa Campbella, który przebywał w Afryce już od dwóch lat. Ursula wmieszała się w towarzystwo, ponieważ miała pracować z doktorem Campbellem, wobec czego ustalono, że będzie dzielić kabinę z Evelyn. Był jeszcze Fredi Stenberg, duński dyplomata mający objąć nową placówkę, który – jak się zdawało – nie miał żadnego konkretnego powodu, by przyłączyć się do grupy poza tym, by zająć ostatnie wolne miejsce przy ich stole, przynajmniej z tego, co było Lexy wiadomo. Wyglądało jednak na to, że nie ma to żadnego znaczenia. Najwyraźniej ukuli przyjaźń, która przetrwała jeszcze długo po podróży.

Lexy niemal uroniła łzę podczas lektury, kiedy odkryła, jak bardzo Ursuli imponował krąg towarzyski, w którym przyszło jej się obracać, oraz gdy dowiedziała się więcej o korzeniach kobiety, której dziedziczką została, nie wiedząc nic a nic o jej dzieciństwie. Szczególnie poruszył ją pewien fragment:

#### **KARTKA Z DZIENNIKA**

**G**dy rozmyślałam o tych smutnych opowiastkach, które szeptałyśmy sobie

w ciemnościach, przekazując nasze marzenia z ust do ust i z łóżka do łóżka, na wypadek gdyby jedna z siostr nas usłyszała i kazała nam odmaszerować do jadalni jedynie w koszulinie nocnej i stać z rękami uniesionymi nad głową, aż zaczną nas boleć ramiona i poczniemy zasypiać na stojąco... W tych historiach roilo się od światła i koloru, i śmiechu, i ciepła; wymyślaliśmy je, żeby uciec od surowej, bezlitosnej szarzyzny tego okropnego miejsca, zimna przejmującego do szpiku kości, cienkiej zupy i marnego gulaszu, dzień w dzień nalewanych z niechęcią chochlą do poobijanych misek. Kiedy myślę o tym wszystkim, mam ochotę wstać i krzyknąć: „Patrzcie! Patrzcie na mnie teraz! Zobaczcie, kim są moi przyjaciele! Nie jestem odstręczającym potworem!”. Och, gdybym tylko potrafiła to przewidzieć, tę magię, tamte mroczne lata byłyby o wiele bardziej znośne.

Choć czasem spoglądam po moich nowych przyjaciółach, a dawne wątpliwości wracają. Czy na nich zasługuję? Czemu tacy ludzie mieliby chcieć spędzać czas z kimś takim jak ja? Evie wie, jak sędzę, co czuję. I pomaga mi. To życie dla niej też jest nowe. Jest córką pastora z Highlands, górzystego regionu Szkocji. Jej ojciec został wdowcem, jak mniemam, nie miała zatem ani więcej czasu niż ja, ani też sposobności, żeby nauczyć się praw tego zaczarowanego świata, do którego trafiłyśmy. A jednak ona ma w sobie taką pewność siebie, takie opanowanie... Też chciałabym to posiadać. Może bycie mężatką pomaga. Evie wie, że jest kochana. Że jej mąż postanowił spędzić z nią resztę życia. Jakie to uczucie? Kiedy ktoś tak cię kocha? Gdy wiesz, że zawsze ktoś będzie przy twoim boku, otoczy cię opieką? Czy to zbyt wiele, że pragnę, by pewnego dnia... A może to po prostu niemądre? Chyba nie szkodzi mieć nadzieję. Osiągnęłam już tak wiele, jestem wykwalifikowaną pielęgniarką, dobrą pielęgniarką, w drodze do pracy w afrykańskim szpitalu. Skoro bachor z sierocińca zdołał zająć tak daleko, co jeszcze może zdarzyć się w tym odległym kraju?

¶ więc Ursula też była sierotą, tak jak Lexy teraz, lecz bez względu na to, jak bardzo zdradzona Lexy się dziś czuła, przynajmniej dorastała, wiedząc, że jest kochana.

Podano jej herbatę, choć nawet tego nie zauważyła, a kiedy po nią sięgnęła, zachodziła w głowę, jak Ursula mogła porzucić dziecko i oddać je do sierocińca, zważywszy, że sama miała za sobą to trudne doświadczenie.

Lód w herbacie stopniał, a szklanka była śliska od kropelek wody. Kobieta popijała powoli, trzymając mocno napój jedną ręką, drugą przewracając strony. Po pierwszych zapierających dech w piersiach paru dniach zapiski Ursuli stały się rzadsze, bardziej mętne, tak jakby była rozkojarzona lub... coś ukrywała. Powoli Lexy zaczynała rozumieć. To kobieta, której marzenia się spełniały, a ona rzadko ośmielała się o tym pisać ze strachu, że wyśniony świat rozpułynie się w powietrzu. To kobieta, która zakochiwała się, którą adorowano i uwodzono, oczarowana słowami i spojrzeniami; kobieta, której bezbronność była jasna i widoczna nawet pomiędzy ostrożnie dobieranymi słowami. Pytanie brzmiało, kim był jej zalotnik, adresat rosnącego uczucia? Dziennik osobliwie milczał na ten temat. Może to jeden z braci Munro, ale który? A może Fredi? Lub jeszcze kto inny, być może jeden z niewątpliwie dziarskich oficerów, zatrudnionych zarówno ze względu na zdolność czarowania powierzonych im pod opiekę gości, jak i z uwagi na marynarskie umiejętności?

Nagle ustęp z dziennika się urywał. Mimo pragnienia planowego podejścia do tematu i rygorystycznego trzymania się chronologii dokumentów, Lexy przerzuciła kilkustronicowy list do następnego pliku wyrwanych kartek spiętych spinaczem. Pobieżne spojrzenie wystarczyło, by stwierdzić, że gdy Ursula wróciła do zapisywania wspomnień, towarzystwo zdążyło na dobre zacząć nowe życie, a sama Ursula ciężko pracowała w szpitalu w Blantyre. Lexy widziała, jak ze stronice wypełnionych coraz gęściej zapisem szpitalnych porządków, zawodowymi przemyśleniami i obserwacjami, nie zawsze pochlebnyimi, na temat

lokalnej praktyki wyłaniała się oddana, skrupulatna kobieta, którą znała. Koniec z kleksami i wykrzyknikami, żadnych gorączkowych skreśleń i urwanych w pół zdań. Precyzyjny dobór słów i uporządkowane akapity wskazywały na odzyskany spokój; koktajle i dansingi, podniety i luksusy podróży zostały zastąpione krochmalonymi fartuchami, oddziałowym regulaminem i wymagającymi godzinami pracy. Lexy tęskniła za zachwytem i obawami z pierwszych stron i zastanawiała się...

– Pani Shaw? – zawołał Barney. – Przepraszam, że przeszkadzam. Ma pani gościa.

– Naprawdę? – Serce jej łomotało. – Kto to?

– Doktor Campbell. Mówi, że się nie zapowiedział, ale ma nadzieję, że mimo to spotka się pani z nim. Czeka w lobby. Przyprowadzić go tutaj?

– Nie – powiedziała prędko, przypominając sobie pułapkę, w którą wpadła, kiedy Hugh Pendleton opadł na krzesło naprzeciwko niej w restauracji. – Nie, proszę mu powiedzieć, że za chwilę do niego zejdę.

Kobieta wzięła teczkę i notes i wrzuciła je do plecaka, złoszcząc się, iż doktor uważał, że mógł się zjawić ot tak, i spodziewać się, iż Lexy poświęci mu czas. Jednocześnie gorzko zdawała sobie sprawę, że kiepsko wygląda po bezsennej nocy, i była poirytowana, że nie miała czasu się odświeżyć.

Zajrzała do baru, przechodząc obok, a potem zlustrowała wzrokiem skupiska krzeseł w lobby, rozglądając się za doktorem Campbellem. Siedział daleko w rogu, nieopodal otwartego, zadaszonoego wejścia do hotelu, wsparł podbródek na rękach splecionych przed sobą, jakby pogrążył się w rozmyślaniach. Kiedy tylko Lexy skierowała kroki w jego stronę, poruszenie dobiegające z podjazdu przed hotelem sprawiło, że się zawahała. Barney wraz z kolegą wkroczyli do akcji, a recepcjonista uderzył w dzwonek i wyszedł zza biurka. Długa biała limuzyna z przyciemnianymi szybami zatrzymała się przed schodami do hotelu. Barney pierwszy dopadł do auta i otworzył tylne drzwi.

Lexy zdziwił widok wysiadającego mężczyzny, którego rozpoznała. Richard Chakanaya. Zamaszyście minął otwarte wejście, boye hotelowi podążyli w krok za nim, a recepcjonista wyszedł mu na spotkanie, witając go z pochyloną głową. Kiedy człowiek będący w centrum uwagi mijał Lexy, pozdrowił ją skinieniem oraz przelotnym uśmiechem, po czym oddalił się i zniknął w głębi baru.

Lexy ruszyła ponownie w stronę doktora Campbella, który wstał, przyglądając się jej uważnie.

– Zna pani tego człowieka? – Mężczyzna znów od razu przeszedł do sedna. Szkoda czasu na wymianę uprzejmości.

– Witam, doktorze Campbell. – Lexy wyciągnęła dłoń na powitanie. – Jak miło znowu pana widzieć.

Nie uścisnął jej ręki, nawet na nią nie spojrzał. Rozdrażniona Lexy usiadła, oczekując, że lekarz pójdzie w jej ślady, lecz on jeszcze przez chwilę stał i patrzył w stronę baru.

– Ten mężczyzna to Richard Chakanaya, jak sędzę – powiedziała Lexy, z powrotem skupiając na sobie uwagę.

– Zna go więc pani.

– Cóż, nie do końca. Znam go z nazwiska, to wszystko. Widziałam go w kancelarii, gdzie załatwiałam sprawy. I być może w samolocie. Domyślałam się, że jest kimś w rodzaju lokalnej osobistości, biorąc pod uwagę, jakie wzbudza zainteresowanie.

Śmiech doktora Campbella był krótki, przypominał raczej szczekanie niż wyraz rozbawienia.

– Osobistość. Chyba można tak powiedzieć.

Lexy była nim coraz bardziej poirytowana. Kiepsko rozegrała sprawę, kiedy spotkali się poprzednim razem, bardzo tego żałowała, ale naprawdę nie był łatwą osobą w obyciu. Mimo to zdecydowała się zachować godność i przeprowadzić to spotkanie na swoich warunkach, bez względu na jego cel.



– Chciał się pan ze mną widzieć, doktorze Campbell.

– Przepraszam. Znów to robię, prawda? Nie chciałem, być niegrzeczny, wie pani?

*Ach, no tak, w takim razie wszystko w porządku*, pomyślała, ale zdołała utrzymać spokojny wyraz twarzy i uśmiech.

– Proszę posłuchać, możemy zacząć od początku? – odezwał się niemal nieśmiało. – Nie zawsze jestem gburem.

– Oczywiście, doktorze Campbell. – Lexy rozkoszowała się poczuciem większego obycia w towarzystwie. Nie zwykła się tak czuć, biorąc pod uwagę, że sama miała tendencję do przesady.

– Mów mi po imieniu, proszę.

– Robercie. – Lekko skinęła głową. Widzicie? Potrafiła być wspaniałomyślna.

– Chciałem przeprosić, że uciekłem z naszego pierwszego spotkania. To naprawdę był nagły wypadek. No a Audrey powiedziała mi, że czekałaś, aż wrócę. W moim gabinecie. Sądziłem, że domyślisz się, że nie będzie mnie dłuższą chwilę.

– To żaden problem, naprawdę. Rozumiem doskonale. – Zaczęła tracić zajmowaną pozycję wyższości, kiedy przypomniała sobie, co robiła, gdy zastała ją Audrey.

– Mam nadzieję, że znalazłaś sobie jakieś zajęcie, kiedy czekałaś.

A więc wiedział. Jej chłodne opanowanie zaczęło się ulatniać. Wiedział, że myszkowała w jego biurku, próbując zapoznać się z treścią teczeki.

– Jak już mówiłam, to żaden problem. Czy to wszystko, doktorze Camp... Robercie? Jestem bardzo zajęta...

– Naprawdę? No cóż, w takim razie nie będę cię zatrzymywał. Chociaż liczyłem, że... Widzisz, jest pewna osoba, którą miałem nadzieję ci przedstawić. Moją babcię Evie. Evelyn Campbell. Powiadomiłem ją o twojej wizycie

i o wieściach od ciebie. Ursula była jej bardzo bliska, tak samo jak mnie, wiedziałem, że będzie chciała cię poznać. Oboje oczywiście znaleźliśmy twoją matkę. Była częstym gościem w naszym domu, kiedy tu pracowała, zresztą tak samo jak twój ojciec. Ale skoro jesteś zajęta...

– Och, nie, ja... To nic takiego. Mogę zmienić plany.

Uśmiechnął się. Lexy poczuła zażenowanie. Czy naprawdę aż tak łatwo dało się odczytać jej zamiary?

– Mogę zabrać cię do niej dziś po południu, jeśli oczywiście dasz radę zmienić swoje plany. Może o piętnastej? Zwykle wczesnymi popołudniami jest w najlepszej formie, wtedy lubi przyjmować gości. Rozumiesz, leży w szpitalu.

– Nie wiedziałam. To znaczy, wiedziałam, że ma się nie najlepiej...

– Tak. Dowiedziałaś się tego z mojego listu.

Auć. Raczej nie należał do ludzi, którzy puszczali przeszłość w niepamięć.

– Piętnasta mi pasuje – zdołała z siebie wykrztusić.

– Będę czekał na zewnątrz, w samochodzie. – Wstał, skinął głową i odszedł.

To by było na tyle, jeśli chodzi o przeprowadzenie spotkania na jej warunkach.

# 10

## SZPITAL W BLANTYRE, 10 CZERWCA

**E**vie przez tyle lat ochraniała Helen, że weszło jej to w krew. Ona i Ursula były najdroższymi przyjaciółkami do czasu, aż Cameron rzucił na nie wszystkie swój cień. W końcowym rozrachunku go przechytrzyły, ale sporo je to kosztowało. To, co były zmuszone zrobić, mocno je do siebie zbliżyło, a jednocześnie rozdzieliło na zawsze. Evie straciła najbliższą przyjaciółkę, została sama. Tęskniła za ich przyjaźnią każdego dnia. Chciała jedynie, by każda z nich była szczęśliwa. Evie miała swojego ukochanego Douglasa i pragnęła, by Helen oraz Ursula także wyszły za mąż i były równie szczęśliwe. Snuła marzenia, że razem wychowują dzieci, odwiedzają się, pomagają sobie, wspierają się i troszczą o siebie nawzajem. Ursula zakochuje się w jakimś lekarzu, wschodzącej gwiazdzie medycyny, a może w jednym z bardziej statecznych attaché konsularnych. Helen – cóż, to było proste. Tu potrzeba było jedynie lekkiego szturchnięcia; Evie miała pewność, że jest odpowiednią osobą, by zafundować jej niezbędnego kuksańca.

Już wcześniej widziała ich razem, lecz tego szczególnego dnia widok był bardziej wzruszający niż zwykle: niemal stykali się głowami, muskali się dłońmi niczym w tańcu, pochylając się nad pianami, które Gregory rozpostarł na płycie rezonansowej pianina. Evie ledwie słyszała ich niewyraźne głosy, siedząc na zewnątrz na werandzie i zerkając przez otwarte drzwi balkonowe. Dostrzegała jednak i wyczuwała ich ekscytację niczym wyładowanie elektrostatyczne w nieruchomym powietrzu; była obecna w szmerze ich rozmów, to wzmagającym się, to milkącym. Evie nie potrzebowała słyszeć słów ani ich

rozumieć. Tak naprawdę nie były ważne, to nie plany nowych magazynów bez reszty pochłoneły parę.

– Helen! Helen, mam je! – rozległ się donośny głos Gregory’ego w korytarzu, gdy tylko drzwi wejściowe otworzyły się na jego widok.

Helen niemal przewróciła srebrną tacę na herbatę, zrywając się na równe nogi, równie nagle rumieniec zagościł na jej policzkach i nie miał nic wspólnego z gwałtownym zajściem, Evie była tego pewna.

Gregory zatrzymał się w pół kroku, kiedy zajął na werandę i dostrzegł Evie siedzącą w zacieniu.

– Evie, witaj! Wybacz, nie miałem pojęcia...

– Nie zwracaj sobie mną głowy, Gregory – powiedziała Evie, machając dłonią, jakby przeganiała muchę, raczej rozbawiona niż zraniona widocznym rozczarowaniem na jego twarzy, gdy odkrył, że Helen ma towarzystwo. – Jestem pewna, że Helen nie może się doczekać, aż zobaczy plany, które zamierzasz jej pokazać.

Te słowa w zupełności starczyły im za całkowite pozwolenie. W mgnieniu oka zapomnieli o Evie, udając się do środka; Gregory otworzył plansze i rozpostarł je na wierzchu pianina, a Helen pospiesznie zebrała fotografie w srebrnych ramkach, zdobiące szczyt instrumentu.

Evie poczuła się stara i mądra, a nawet światowa, przyglądając się im. Evie, niewinna córka pastora, widziała ich miłość o wiele wcześniej, niż oni sami zdali sobie z niej sprawę. Zastanawiała się, czy to oni nie chcieli się przyznać, że siła uczucia bije od nich, kiedy są razem, czy to Evie naprawdę została obdarzona pewną tajemniczą intuicją, która pozwalała jej to dostrzec? Pomimo swojej choroby ojciec Helen musiałby być ślepy, żeby nie zauważyć, co kroi się pomiędzy jego córką a dyrektorem generalnym w jego przedsiębiorstwie. A skoro nie uczynił nic, by ich rozdzielić, to na pewno oznaczało, że pobłogosławił związkowi, a przynajmniej nie miał żadnych obiekcji.

Evie postanowiła się wtrącić. Normalnie by sobie na to nie pozwoliła, ale byli w Afryce już prawie trzy lata, poza tym za bardzo zależało jej na nich obojgu, by patrzeć, jak biorą udział w tańcu godowym, jedno sparaliżowane nieśmiałością, a drugie wrażliwością. Nawet Helen o tak szerokim obyciu w świecie nie sądziła, by to kobieta powinna wyznawać uczucia lub wykonywać pierwszy ruch. Evie nie mogła jednak wyrzucić z pamięci siniaków, które widziała. Kiedy umrze ojciec Helen, co z pewnością miało niedługo nastąpić, Helen stanie się bogatą, lecz bezbronną kobietą. Najbardziej pożądaną i narażoną na największe niebezpieczeństwo. Nawet Cameron nie waży się tknąć żony swego brata.

Parę tygodni później nadarzyła się okazja. Evie znów odwiedziła Helen, ale ta była na górze ze swoją krawcową, miała ostatnią przymiarkę olśniewającej sukni, którą zamierzała włożyć na Doroczny Bal Klubowy. Evie siedziała na dole na swoim ulubionym miejscu, popijając lemoniadę w cieniu mimozy i obserwując cienie rzucane przez gałęzie na wypielegnowany trawnik oraz wypolerowany parkiet werandy z drewna tekowego.

Usłyszała trzaśnięcie drzwi oraz znajomy głos Gregory'ego witającego się z gospodynią i pytającego o Helen. Także Helen musiała go usłyszeć, Evie wiedziała więc, że ponagli krawcową i będzie się rwać, żeby czym prędzej zejść i do nich dołączyć. Gregory odmówił lemoniady i usiadł naprzeciwko Evie, kręcąc kciukami młynek, to splatając, to rozplatając dłonie, dając pewny wyraz swemu zniecierpliwieniu.

Wymienili uwagi o pogodzie, klubie i nadchodzącym balu. Zawisła nad nimi ciężka cisza, oboje wyteżali słuch, pragnąc usłyszeć Helen zbiegającą po schodach; nagle Evie doszła do wniosku, że właśnie trafiła się sposobność.

– Gregory, przespacerujmy się po ogrodzie. Bugenwille są takie piękne, a nie sposób stąd ich podziwiać.

Ostatnie, co można było powiedzieć o drogim Gregorym, to że był nieprzenikniony. Evie widziała, jak wysiła się, by znaleźć stosowny powód do

odmowy, by móc zostać tu i czekać na Helen, tak by nie przepadła mu ani jedna drogocenna sekunda w jej obecności.

– Ja... Cóż, oczywiście, jeśli masz ochotę. Ale czy nie jest za gorąco? Nie wolałabyś zostać w cieniu? Taki przyjemny chłód. – Rozpaczliwa próba, lecz Evie była na nią przygotowana. Wstając z miejsca, ukryła uśmiech.

– Och, mój drogi, jakie to rozropne, ale nie martw się. Uzbroiłam się w to. – Zwycięsko zamachała parasolką. – A ty masz kapelusz, więc słońce ani trochę nie będzie nam dokuczać.

Wpadł w pułapkę. Wiedział o tym, więc szybko zaglądnął przez otwarte drzwi werandy, po czym poddał się z typową dla siebie uprzejmością.

– Skoro jesteś pewna, to chodźmy.

Był takim czarującym mężczyzną, Evie niemal miała wyrzuty sumienia, że zmusza go do przechadzki, choć on najwyraźniej wcale nie ma na to ochoty, lecz żywiła przekonanie, że jeszcze jej za to podziękuje.

Kiedy spacerowali ścieżyną na skraju trawnika, perorował o mijanym kwieciu, schludnej trawie, zręczności Helen i jej ogrodnika. Przy tym ostatnim temacie się rozweselił, rzecz jasna. Kiedy doszli do najodleglejszej ławki, Evie zaproponowała, by usiedli; znów zobaczyła, jak przyjaciel walczy ze zniecierpliwieniem, pragnąc wrócić do domu. Ostatecznie się zgodził, próbując udobruchać towarzyszkę.

– Kochana Helen – powiedziała Evie, zręcznie podchwytyjąc niedawne pochwały z jego ust pod adresem wielu talentów przyjaciółki. – Czyż nie?

Spojrzał na nią zmieszany, więc Evie kontynuowała:

– Kochana. Przez nas oboje.

Powoli przytaknął, a Evie aż ukłuło serce, gdy dostrzegła ból goszczący na jego twarzy. Przelotnie skrzyżowali spojrzenia, po czym on z powrotem wbił oczy w fasadę domu i podniósł wzrok na wysokość pierwszego piętra, gdzie Helen zapewne stała za zamkniętymi okiennicami i bez wątplenia przytupywała

miarowo stopą, ponagłając krawcową.

– Tak, jest kochana – szepnął.

– Gregory, wiem, że to niedobrze mieszać się w nie swoje sprawy, zwłaszcza waszej dwójki, osób tak mi drogich. Łączy nas więź, powstała, jak sędzę, podczas podróży, a umocniły ją niewątpliwie wspólne doświadczenia przyjazdu do tego pięknego, lecz obcego kraju. – Nadal wpatrywał się w budynek, ale teraz przytakiwał powoli. – Ta obcość jest dobra, jak mi się zdaje. Oznacza, że wy też możecie być inni, przynajmniej odrobinę, bo rodzime zasady i obostrzenia tu nie obowiązują.

Odwrócił się do Evie, brwi unióś w zdziwieniu, które gościło na jego twarzy, gdy próbował nadażyć za dyskusją lub zrozumieć jeden z wartkich dowcipów Camerona.

– Gregory, ona cię kocha.

Szeroko otworzył oczy, nadzieja zagościła w nich przelotnie, po czym odwrócił się, oparł ręce na kolanach i zwarł dłonie tak kurczowo, że Evie widziała knykcie bielejące pod jego opaloną skórą.

– Nie. – To jedno słowo było surowe i bolesne.

– Tak, Gregory. Kocha cię. Wiem to. Widziałam was razem.

– Ale ona... Ja jestem po prostu jej... To nie może być prawda.

– W naszej ojczyźnie rzeczywiście to mogłoby się nie udać. Ale ona naprawdę cię kocha, Gregory, a tu wszystko jest możliwe. Wolisz patrzeć, jak zdobywa ją jeden z tych próżniaków z klubu albo jakiś utytułowany dyplomata? Pozwolisz jej uschnąć z tęsknoty jako starej pannie czy odeślesz do domu, żeby znalazła sobie męża? Lub jeszcze gorzej, dasz jej paść ofiarą jakiegoś miodoustego naciągacza, w którego szpony wpadnie, gdy tylko jej ojciec umrze, a ona zostanie sama i bezbronna?

– To, czego ja pragnę, nie ma znaczenia. Ona jest córką właściciela, a ja jego pracownikiem. Jej ojciec w życiu by na to nie pozwolił, nawet gdyby ona się

zgodziła... odwzajemnić moje uczucia, ja...

– Kompletne bzdury, Gregory. Wiesz, ona nie jest klasyczną panią z Edynburga. Uparła się, by tu przyjechać, a co ważniejsze, jej ojciec się na to zgodził. To chyba mówi coś o nich obojgu, prawda? Może nie przejmują się zdaniem matron z Morningside ani zbyt wysokimi normami społecznymi?

– Ale to byłoby nie w porządku. Jestem od niej dużo starszy, o wiele nudniejszy...

– Gregory, przestań. Zaufaj mi. Wyznaj jej, co czujesz. I zrób to teraz. Jej ojciec nie pożyje już długo, a kiedy odejdzie, o wiele trudniej będzie...

– Tu jesteście! – Helen stała na werandzie, machając do nich. – Mam przyjść do was czy wy dołączycie do mnie? Poprosiłam, żeby podano herbatę.

– Zrób to, Gregory. – Evie wstając, ścisnęła go za przedramię. – Już idziemy, kochana. – Evie ruszyła z powrotem do domu, zostawiając Gregory'ego siedzącego na ławce. Potrafiła sobie tylko wyobrazić, co też działo się w jego głowie.

– Helen, kochanie. – Evie wzięła przyjaciółkę pod ramię i zaprowadziła na powrót do domu, dając Gregory'emu chwilę, by doszedł do siebie. – Muszę iść. Tak mi przykro. Na śmierć zapomniałam, że czekają mnie odwiedziny przyjaciółki Douglasa z Koła Przyjaciół Szpitala. Przychodzą, żeby omówić grafik podwieczorków w klinice. Nie ma nic nudniejszego na świecie.

– Och, biedactwo – jęknęła Helen ze współczuciem, lecz tuż potem Evie ujrzała zachwyty w jej oczach.

– Wiem. Sama rozumiesz, dlaczego wypadło mi to z głowy, prawda?

Helen roześmiała się swoim dźwięcznym śmiechem.

– Na szczęście Gregory dotrzyma ci towarzystwa.

– Tak. – Uśmiechnęła się, a jej twarz przybrała lekko różowawy odcień, kiedy obejrzała się za siebie na mężczyznę wciąż siedzącego na ławce i wpatrującego się we własne stopy.



– Helen, zanim pójde... – Evie spojrzała jej w oczy. – Kochasz go, prawda?  
Helen zadarła lekko podbródek, jakby czuła, że będzie musiała się bronić.

– A co jeśli tak?

– Jeśli go kochasz – powiedziała Evie, ujmując jej dłoń i ściskając mocno –  
powinnaś pozwolić mu wyznać, że on też cię kocha.

Evie nie wiedziała, co dokładnie stało się później, kiedy wyszła zająć się rzekomym utrapieniem, czyli spotkaniem przygotowawczym do podwieczorku. Czuła, jeszcze teraz czuje, ciepło w sercu na myśl, że maczała palce w projektowaniu ich szczęścia. Bo byli szczęśliwi. Szczęście było od nich po oczach. Oczywiście przez chwilę zwyciężały plotki. Po klubie krążyły pogłoski o niestosownej parze, a podczas klubowych lunchów szeptano ukradkiem; przeczuwano skandal, jednocześnie świętując zaręczyny. Nikt jednak nie miał serca pleść intryg, zakochani pasowali do siebie na pierwszy rzut oka. Sam ojciec Helen był najzagorzalszym zwolennikiem młodych. Evie nigdy nie widziała starszka takiego szczęśliwego. Zdawało się nawet, że na moment odzyskał siły.

Pewnego gorącego popołudnia, parę miesięcy później, przewrócił się jednak na placu przed nowym magazynem. Nie powinien przebywać na świeżym powietrzu w takim upale. Bez kapelusza, bez cienia, bez zdrowego rozsądku. Przynajmniej wszystko odbyło się szybko, Helen i Gregory byli wówczas przy nim, choć Evie nie mogła zrozumieć, jak wielką to było pociechą. Przynajmniej umarł w przekonaniu, iż jego córka oraz interesy, dwie miłości jego życia, są bezpieczne w rękach Gregory’ego.

W samą porę, jak się okazało. Wkrótce miał zjawić się Cameron, a to zmieniało wszystko.

**REZYDENCJA, 10 CZERWCA**

**K**iedy Lexy wróciła do pokoju, wzięła prysznic, wybrała najmniej wymiętą garderobę oraz zadała sobie dodatkowy trud, musnąwszy usta szminką, a rzęsy tuszem. Gdy była zadowolona z efektu – wyglądała wystarczająco szacownie jak na odwiedziny w szpitalu – spojrzała na zegarek. Została ponad godzina do przybycia Roberta Aroganckiego. Spojrzała kątem oka na plecak. Im więcej przeczyta, tym więcej dowie się przed spotkaniem z Evelyn i tym bardziej starsza pani przyda się jej w dochodzeniu prawdy.

Chociaż pragnęła dowiedzieć się o Ursuli jak najwięcej z jej dzienników, przypomniała sobie, że przecież Ursula ułożyła zawartość teczek w określonej kolejności nie bez powodu i Lexy może coś pominąć, jeśli nie będzie podążać za wytyczonymi instrukcjami. Odłożyła pierwszy plik stronic z dziennika na bok i zabrała się za kolejny. List. Długi list od Helen Buchanan.

ZOMBA, 12 KWIETNIA 1949 ROKU

*Droga Ursulo,*

*Mam nadzieję, że mój list zastanie Cię w zdrowiu i szczęściu. Minęły wieki, odkąd byliśmy wszyscy razem. Liczyłam, że szybciej zjawię się ponownie w Blantyre, lecz wiele rzeczy, o których więcej napiszę później, zatrzymało mnie w stolicy. I oczywiście oboje żyliśmy nadzieją, że będziesz mogła przybyć na wesele, choć rozumiemy, że musisz przedkładać obowiązki względem szpitala i swoich pacjentów*

*nad własne plany; Twoja sumienność jest godna pochwały. Jakie wielkie spotkało ich szczęście, że Cię mają, w ogóle nas nie zdziwiło, kiedy usłyszeliśmy o Twoim awansie na siostrę oddziałową – gratulacje, kochana Ursulo. Takie duże osiągnięcie w tak młodym wieku! Och, radości życia na wsi, gdzie liczą się tylko zasługi, a dawne konwenanse można puścić w niepamięć...*

*Jednak wróćmy do wesela. Co to był za dzień. Cudowny, cudowny, CUDOWNY dzień. Bardzo by Ci się spodobało. Na pewno podobał się nam, wiedzieliśmy, że o nas myślisz, jeszcze zanim dotarł telegram od Ciebie. Dziękuję, kochanie, to tak wiele dla nas znaczy. Evie, rzecz jasna, opowie Ci wszystko ze szczegółami, nie pominąwszy niczego, jestem tego pewna, więc z góry przyjmij nasze przeprosiny, jeśli nieumyślnie Cię zanudzimy! Nie zaryzykowałabym złożenia ślubów raz jeszcze, ale chcę, żebyś otrzymała to, fotografię naszej małej gromadki, którą załączam. Wiedz także, że wznieśliśmy za Ciebie toast, myśląc o Tobie z wielką, wielką miłością. Czyż doprawdy poznałyśmy się dopiero podczas podróży? Mam poczucie, jakbyśmy były przyjaciółkami od dawna, i wiem, że pozostaniemy nimi do końca życia. Zapewne tak właśnie działa na ludzi przygoda. Łączy ich, prędko ze sobą łączy. Poszczęściło mi się, że we trzy stałyśmy się sobie takie bliskie. Nie wyobrażam sobie życia bez Twojej i Evie w nim obecności.*

*Ale dość tego. Muszę przejść do sedna, nie mam tego poranka zbyt wiele czasu na prowadzenie korespondencji. Dziś przypląwa nowy fracht, Gregory właśnie wyszedł na spotkanie misyjne nad rzeką Shire, więc muszę sama dopilnować cumowania i rozpakowania załadunku. Później powinnam wrócić do domu i przygotować się na przyjęcie naszego gościa. Nie ma sposobu, by*

*ująć to delikatnie, Ursulo, i wiem, nie będą to dla Ciebie nieprzyjemne wiadomości, tak samo jak dla nas wszystkich. Spodziewamy się Camerona.*

*Wiem, że tak naprawdę nigdy nie porozmawialiśmy o tym, co się między Wami wydarzyło, lecz domyślałam się, że to będzie dla Ciebie szok, dlatego pragnęłam, żebyś usłyszała to najpierw ode mnie, zanim plotki zaczną żyć własnym życiem. Cameron zawsze będzie dla nich źródłem zachwytu, taki ma urok i sławę. Oczekujemy go dziś wieczorem. Jego list dotarł do nas z opóźnieniem, nie możemy zrobić nic, by powstrzymać lub opóźnić jego odwiedzin.*

*Nie wiem, jakie ma plany, ani jak długo postanawia zostać, lecz wiem, że Gregory zamierza go zatrudnić, a ja nie sprzeciwię mu się w tej kwestii. Mimo że wolałabym, by Cameron raz na zawsze zniknął z naszego życia, to jednak ostatecznie jest on bratem Gregory'ego, co prawda przyrodnim, ale jednak bratem, a Gregory przyrzekł ich matce, że się nim zaopiekuje. Mój mąż dotrzymuje słowa, nie prosiłabym go, by złamał obietnicę, proszę więc, droga Ursulo, wybacz mi, że mu na to wszystko pozwalam.*

*Czuję także, że powinnam podzielić się z Tobą powodami stojącymi za niespodziewaną wizytą Camerona, lepiej będzie, jeśli ponownie usłyszysz to z moich ust. Cameron znów wplątał się w skandal. Zdaje się, iż zajął się tamtą wdową, z którą tak bezczelnie flirtował na statku. Pewnie pamiętasz? Gertrude von coś tam, tak się wówczas nazywała, „moja kochana Gertie”, jak on ją zwał, dziś Gertrude Steencamp. Wyszła za mąż niedługo po przybiciu do brzegów Kapsztadu – dla pieniędzy, rzecz jasna – jednak jej małżonek był sporo starszy, wyglądało na to, że młoda żonka szuka rozrywki, tak samo jak Cameron nie posiadał się ze szczęścia, że*

może ją jej dostarczyć. Przepraszam, jeżeli jestem do niego nastawiona krytycznie, nawet surowo, ale po tych wszystkich kłopotach, które spowodował, trudno mi zachować życzliwość. Wszystkim nam byłoby lepiej bez niego. Będę jednak robić dobrą minę do złej gry przez wzgląd na miłość do mego męża i mam nadzieję, że znajdziemy sposób, by odesłać go z daleka od naszego domu w Zombie. Intuicja podpowiada mi, że lepiej nie spuszczać go z oka, ale nie chcę, żeby plugawił życie nasze lub, co gorsza, Twoje, gdybyśmy posłali go do biura w Blantyre. Nie dopuszczę do tego, zapewniam Cię, moja droga przyjaciółko. Chociaż przypuszczam, że ostatnio nie masz czasu na bywanie w towarzystwie, to nie chciałabym, żebyś się na niego natykała co dzień ani też unikała składania towarzyskich wizyt przez wzgląd na niego.

Czas na nieco bardziej optymistyczne wieści. Gregory mówi, iż Cameron nawiązał kontakty pożyteczne dla przedsiębiorstwa Buchananów w Kapsztadzie i trafił tam na młodego rodaka z Zomby, którego winniśmy zatrudnić, żeby kierował interesami w naszym imieniu. To niejaki Richard Chakanaya. Już słyszałam to nazwisko, lecz nie mogę sobie przypomnieć gdzie. Zapewne należy do wszędobylskiego klanu Chakanayów, zajmującego wszystkie najważniejsze posady urzędowe od komendanta policji po ministra eksportu i handlu. Jeśli się nie mylę, to na pewno jego powiązania okażą się cenne. Jednakże na razie Cameron nie chce pisać ani słówka na ten temat. Informacja to dla człowieka takiego jak on karta przetargowa.

Uff. Już po wszystkim. To nie najlepsze wieści, wiem. Jednak przezorny zawsze ubezpieczony, moja droga. Co do najlepszych wiadomości, które tak bardzo pragnęlibyśmy z Gregorym przekazać,

*nie mam nic do powiedzenia. Pragniemy dziecka, niestety nie dostąpiliśmy jeszcze tego błogosławieństwa. Wierz mi, że jeśli coś się w tej materii zmieni, Ty i Evie, przyszłe matki chrzestne, dowiedcie się o tym pierwsze!*

*Droga Ursulo, mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy. Także z Evie. Byłoby dla mnie wielką radością gościć Was obie u siebie przez parę dni. Kiedy już Cameron wyjedzie, oczywiście. Może o tym pomyślimy? Powiedz mi, kiedy zdołasz wygospodarować trochę czasu, a ja wyślę po Ciebie samochód – i zanim zdążysz zaprotestować, pozwól mi Cię zapewnić, że ktoś zawsze krąży między naszymi biurami, więc nie będzie to żaden problem. Przyjedź, proszę.*

*Twoja kochająca przyjaciółka,*

*Helen*

Lexy w zamyśleniu odłożyła list. Cameron. Cameron i Ursula. Jak na razie wszystko pasuje. I Richard Chakanaya. Intrygujące. Była pewna jak nigdy dotąd, że Chakanaya odpowie na pytania, które ją nurtują. Musiała tylko wpaść na pomysł, jak się do niego dostać. Christopher Chizumu może jeszcze zmienić zdanie. Był jeszcze Robert. Wyglądało na to, że tajemniczy pan Chakanaya nie miał przed nim tajemnic. Spojrzała na zegarek. Nadal zostało mnóstwo czasu, wyjęła więc kolejną partię stron dziennika i znów zatopiła się w wirze emocji z przeszłości.

## **KARTKA Z DZIENNIKA**

**BLANTYRE, 15 KWIETNIA**

**J**est coś podnoszącego na duchu w afrykańskiej nocy, głębokiej i czarnej, z powietrzem ciepłym i gładkim jak dotyk aksamitu na skórze moich gołych rąk.

Kiedy nie mogę zasnąć, siedzę na werandzie w starym bujaku, który Evie wyszukała dla mnie na targu, i pozwalam ukołysać się do snu w jego ramionach. Lecz nie tego wieczoru. Dziś w nocy jestem zbyt niecierpliwa na łagodne bujanie. Ledwie mogę usiedzieć w miejscu, z trudem przykułam się do biurka i uspokoiłam drżenie rąk na tyle, by móc pisać. Karty listu Helen nadal leżą na podłodze, gdzie je wcześniej porzuciłam. Nie chcę ich dotykać ani czytać ponownie, ale nie mogę cofnąć czasu i wymazać tych słów z pamięci. Dlaczego mi o tym wszystkim napisała? Czemu musiałam dowiedzieć się o jego wizycie akurat od niej, od tej samej kobiety, którą pragnę nienawidzić, chociaż wiem, że to irracjonalne i niesprawiedliwe. Ona nic nie zrobiła. A jednak...

Panuje tu taki gorąc, nawet kiedy wentylator na suficie cicho mieli mi nad głową, a drzwi stoją otworem, by wpuścić choć trochę nocnej bryzy. Prawie nie mogę oddychać, bo serce tak bardzo mi obrzmiało i ciąży w piersi. Cameron. O Boże. Cameron. Wraca. I zatrzyma się u Helen! Nic nie mogę na to poradzić. Jestem zazdrosna. O nią, a przede wszystkim o to, co on do niej czuje. To nieważne, że ona nic a nic o niego nie dba. Nieważne też, że wiem, jaki z niego łajdak i niegodziwiec, nieszczerzy i niehonorowy. Kłamca i oszust. Uosobienie wszystkiego, czym pogardzam w człowieku, ale jakimś cudem jemu to wybaczam. Pociąga mnie to. Co takiego we mnie tkwi, co sprawia, że tak bardzo go pragnę? Pewnie siostry miały rację – jestem zła, niewarta miłości.

Nadal, po przeszło czterech latach (czterech!), czuję jego ciepły i delikatny dotyk dłoni na plecach, silne palce rozmasowujące mi kręgi, rozpalające skórę przez jedwab wieczorowej sukni, którą pożyczyła mi Helen. Obraca mnie i obraca na parkiecie statku, przyprawiając o takie zawroty głowy, jakich nigdy wcześniej nie miałam. Żaden mężczyzna przed nim ani po nim tak mnie nie dotykał. W ogóle nikt mnie nie dotykał. Nie rościł sobie do mnie prawa. Nic nie poradzę, że znów się zakochuję pomimo tych czterech długich lat tłumienia każdego przebłysku uczucia. Zakochałam się na tamtym statku i nadal jestem

zakochana. To nie ma sensu. Ja. Siostra Reid. Zakochana w towarzyskim lekkoduchu. Kto by w to uwierzył? Sama nie mogę w to uwierzyć.

Powiedział, że mnie kocha. Nikt inny nigdy mi tego nie mówił. Nie w ten sposób. Wyszeptał mi do ucha, muskając moją szyję tamtego wieczoru na pokładzie. Pocałował mnie. Musiał wiedzieć, że ona i Gregory znajdą nas, kiedy wybiorą się na przechadzkę po kolacji, jak to często mieli w zwyczaju. Oczywiście, że tego właśnie pragnął. To teraz takie ewidentne. Odskokczyliśmy od siebie na szmer zbliżających się głosów. Byłam przerażona, lecz on niemal wpadł w zachwyty, myślałam, że mi się wtedy oświadczy. Ale byłam głupia, głupia, głupia! Cieszył się, bo wiedział, że ona nas zobaczy.

Nie potrafiłam tego pojąć. Czemu porzucił mnie równie nagle, co uwiódł? Gdyby nie to, nigdy nie dowiedziałabym się, ile pogardy może mieścić się w pobieżnym spojrzeniu. Nie miałabym pojęcia, jak dużo bólu można poczuć w ułamku sekundy, kiedy przebiegał po mnie wzrokiem. Nie wiedziałabym, ile bólu można czuć i nadal pozostawać przy życiu.

Nazajutrz wieczorem, kiedy podchodził do nas, do naszej trójki siedzącej z zawsze wiernym Gregorym przy stole, wesoło rozmawiającej i przysłuchującej się zespołowi, miałam serce w przełyku. Sądziłam, że się zadeklaruje, ogłosi światu, że wybrał mnie, właśnie mnie. Wstałam, by chwycić jego rękę, pewna, że wyciąga ją ku mnie, a on nawet na mnie nie spojrzał.

– Evie – powiedział z rozpostartym ku niej ramieniem – może miałybyś ochotę zatańczyć?

Evie. Równie dobrze mógłby mi wbić sztylet prosto w serce. Usiadłam ciężko, policzki mi płonęły. Czułam wściekłość Helen z powodu mojego upokorzenia, promieniującą z kącików zmrużonych oczu. Dłoń Gregory'ego opadła na moją w geście pocieszenia, kiedy Evie usiłowała odmówić, jednak w końcu pozwoliła zaprowadzić się na parkiet, zbyt oszołomiona, jak powiedziała mi później, by go odprawić.



Kochany Gregory. Próbował. „Być może, Ursulo” – odezwał się delikatnie – „miałabyś ochotę zatańczyć ze mną?”. Odjęło mi mowę, więc zostawił nas same, Helen i mnie, niewątpliwie myśląc, że postępuje taktownie, bo kobieta będzie lepiej wiedziała, jak mnie uspokoić. Próbowała. Niezwłocznie zajęła puste miejsce obok mnie. Kiedy jednak sięgnęła po moją dłoń, cofnąłem ją, pozwalając, by wybuch gniewu uderzył w Helen, zupełnie absurdalnie i niedorzecznie. Ale nie potrafiłam winić Camerona. Tylko nie jego. Wiedziałam już wówczas, że to nie wina Helen, iż sobie ją upatrzył. I szczerze powiedziawszy, mimo że była piękna i urocza, zastanawiałam się, czy Cameron pragnąłby jej tak mocno, gdyby Gregory nie był w niej zwyczajnie zakochany. Zawsze zazdrościł starszemu bratu. Próbował prześcignąć go w każdej sferze. Chciał i oczekiwał wszystkiego, co miał Gregory, a nawet więcej. Teraz to wiem. Jednak tamtego wieczoru obarczyłam winą Helen. Drogą, miłą Helen. Za to, że była zbyt piękna, zbyt bogata, zbyt obyta. Za bardzo taka, jaka ja nie byłam. Wciąż trudno mi jej nie zazdrościć.

Tamtego wieczoru, gdy usiłowała ze mną porozmawiać, odwróciłam głowę i zignorowałam ją, więc siedziała obok mnie, w ciszy i lojalności, wpatrując się wraz ze mną w wirujące pary; ich hipnotyczne ruchy i muzyka zamaskowały nasze milczenie. Aż do sceny z Evie w roli głównej.

Nigdy nie zapomnę, jak Helen śmiała się z Camerona, który „dostał za swoje”, jak lubiła to później określać, kiedy żartowała z zajścia. To było do niej niepodobne, by bawiło ją czyjeś zakłopotanie, ale to pokazuje, jak bardzo musiała nim pogardzać. I nigdy nie zapomnę przerażenia na twarzy Evie, gdy spoliczkowała go i zeszła z parkietu, a właściwie oddaliła się z godnością, zostawiając go samego, zaskoczonego, z ręką przy policzku. Chwilę później już żartował sobie z tego i uśmiechał się do tancerzy, którzy zszokowani zgromadzili się wokół niego. Evie zamknęła się w kajucie i nie chciała nikomu otworzyć. Taki niespodziewany melodramat z córką plebana w roli głównej, lecz mnie to

cieszyło; przynajmniej odwróciło uwagę ode mnie. Helen (czy to nie jej zawsze się to udawało?) w końcu uspokoiła Evie i przekonała ją do wyjścia. Cameron ośmielił się zapuścić rękę w dół jej pleców, tam, gdzie nie był mile widziany. Udawałam, że jestem równie oburzona co reszta, ale tak naprawdę mnie to zabolalo, ponieważ chciałam poczuć tę dłoń znów na sobie. Jaka byłam głupia, sądząc, że ma do mnie słabość. Ale tak myślałam. Naprawdę. Wydawało mi się przez krótką chwilę, że był we mnie zadurzony, a przynajmniej mógłby być, gdyby nie zaślepiła go Helen. Gdy zdałam sobie sprawę, że flirtował i zabawiał się z Evie i ze mną jedynie dlatego, że byliśmy przyjaciółkami Helen, a on chciał zwrócić na siebie jej uwagę, było już za późno. Zakochałam się. Ślepo jak kaczątko, poszłabym za nim wszędzie, gdziekolwiek zaprowadziłby mnie pierwszy mężczyzna, w którym się zakochałam. Jedyny mężczyzna.

Później wybiegłam na pokład, zostawiając salę balową biesiadnikom, a kajutę Evie, sądząc, że tu będę bezpieczna. Znów czułam w powietrzu sól, zakłuły mnie oczy i serce, kiedy ich usłyszałam. Cameron i Helen. On się śmiał, podczas gdy ona go strofowała, upominając słowami, których nigdy nie zapomnę: „Ona nie rozumie twoich gier, Cameronie. Nie jest taka jak my”. Wtedy nienawidziłam ją za to, że ośmiela się mnie tak bronić i zmusza Camerona, by przyznał, że zrobił to, by wzbudzić jej zazdrość. Nigdy bym się o tym nie dowiedziała, gdyby Helen się nie wtrąciła.

Pamiętam lekceważenie w jej głosie, gdy mówiła mu, że nigdy, przenigdy nie poczuje do niego nic prócz pogardy. I usłyszałam, jak on też zmienia ton, kiedy przyrzeka, że uczyni ją swoją. Nie mogłam zobaczyć tej sceny z mojej kryjówki w cieniu, ale w myślach odtwarzałam ją w kółko. Dotarł do mnie dźwięk zderzenia się ciał, jej bolesne tchnienie, kiedy wykręcał nadgarstek ręki, którą go spoliczkowała, oraz stłumione odgłosy, kiedy usiłowała przerwać pocałunek, który jej skradł.

Następnego wieczoru resztki pozostającej nadziei zostały starte w proch,

roztrzaskując się z każdym piskliwym śmiechem tej biuściastej wdowy...

Na niebie, tuż nad horyzontem, widnieje zielona poświata. Nadchodzi świt. Jestem niemądra, że tak siedzę i rozmyślam. Jak pensjonarka, która cierpi po pierwszej miłości. Muszę być silniejsza. Uprzątnę list od Helen, upnę włosy i włożę na siebie czysty fartuch. A potem będę pracować. W pracy jestem dobra. To mój ratunek, moje pocieszenie. Muszę, po prostu muszę odnaleźć sposób, żeby mieć siłę. Muszę. Nie sędzę, bym dała radę przeżyć to wszystko raz jeszcze. Och, Cameronie. Czemu nie mogłeś trzymać się ode mnie z daleka?

### **KARTKA Z DZIENNIKA BLANTYRE, 30 KWIETNIA**

**L**edwie ośmielałam się to pisać. Jestem przerażona, że rzecz rozpułynie się w powietrzu, jeśli umieszczę te słowa na papierze, lecz boję się jeszcze bardziej, że zniknie niczym zapomniany sen, jeśli tego nie zrobię. Jest tu. Wrócił. Chce mnie. Cameron. Cameron, moja miłość! Moja jedyna miłość.

Czekał na mnie na werandzie. Zaczęłam wchodzić po schodach, z głową nadal wypełnioną myślami o pacjentach, których zostawiłam, o pielęgniarce, której musiałam udzielić reprimendy, oraz o grafiku operacji na jutro, kiedy kątem oka dostrzegłam nieznaczny ruch, a zaraz potem postać w zacienieniu. Lecz dopiero kiedy wstał i wypowiedział moje imię, rozpoznałam go. Zalała mnie fala przeróżnych emocji. Świat zachwiał się w posadach, ziemia zadrżała mi pod nogami i poczułam dreszczyk na skórze od tętniącej we mnie krwi. Nogi się pode mną ugięły, lecz zanim zdążyłam upaść, on już tam był, pochwytyjąc mnie, podtrzymując i przyciągając mocno do siebie; głaskał moje włosy i powtarzał moje imię bez końca, tak jak nikt inny nie potrafił. Zaciągnęłam się powietrzem niosącym jego zapach, poczułam jego siłę i wiedziałam, że tego właśnie pragnę. To było moje miejsce, czas, który minął od ostatniego znalezienia się w jego

ramionach, zniknął, warto było pocierpieć, skoro ból z powrotem doprowadził mnie do niego. Czemu usiłowałam udawać, że mogę o nim zapomnieć? On jest biciem mego serca, moim tętnem, moim oddechem.

Nie wiem, jak długo tak staliśmy. W końcu poprowadził mnie do sofy, posadził mnie na niej i zniknął na moment, by poprosić Cassie o napitek i przekąskę, cokolwiek, co przywróciłoby mi siły. Następnie usiadł obok mnie, pochylił się tak, że stykaliśmy się kolanami i ujął moje dłonie w swoje.

– Wybacz mi, Ursulo, moje kochanie. Czy potrafisz mi przebaczyć?  
„Moje kochanie”! Nie musiał mnie o to nawet pytać.

## KARTKA Z DZIENNIKA

BLANTYRE, 3 MAJA

**W**yjechał. Przyszedł dziś wieczorem się pożegnać – „*Au revoir*”, powiedział. Mimo że czuję, jak pęka mi serce, ma rację. Zawsze ją ma. *Au revoir*, doprawdy. Minie tydzień i znów będziemy razem. Jeden długi, długaśny tydzień. Ale dam radę. Będę chodzić do pracy, wracać do domu i pisać do niego, potem położę się do łóżka i będę o nim rozmyślać, potem wstanę, znów pójdę do pracy, aż minie tych parę dni i ponownie trafię w jego ramiona. Nie posiadam się ze szczęścia. Tak. Tak po prostu. Staję się taką kobietą, jaką powinnam być, kiedy z nim jestem. Kochać i być kochaną to najważniejsze na świecie.

Ostatnie trzy dni ujawniły sporo rewelacji. Tyle się wydarzyło. Wciąż grunt usuwa mi się spod nóg. Nie tylko z powodu powrotu Camerona i jego miłości, chociaż to przyprawia mnie o lekkie zawroty głowy, ale dochodzę do siebie po usłyszeniu prawdy. Byłam oszołomiona, zszokowana, kiedy mi powiedział. Nie mogłam w to uwierzyć.

Ale to wszystko ma sens.

Jakim cudem nie dostrzegłam tego wcześniej, mimo że mój instynkt, moja intuicja kazały mi wierzyć, że Cameron nigdy by mnie nie skrzywdził?! Kiedy

trudno mi było przebaczyć Helen, myślałam, że to moja wina, że zazdrość bierze we mnie górę. W jakim wielkim tkwiłam błędzie! To ona jest zazdrosna. Pomyśleć tylko, że przepiękna dziedziczka Buchananów jest zazdrosna o mnie. Powinnam mieć większą wiarę. Większe zaufanie. To podstawa całej miłości, a ja prawie ją straciłam. Och, muszę się jeszcze tyle dowiedzieć o miłości. Lecz Cameron mnie tego nauczy, pokaże mi wszystko. Pomyśleć, że w niego wątpiłam, niemal uwierzyłam w to, w co Helen chciała, żebym uwierzyła. Jednak on mi wybaczył, powiedział, że to było nieuniknione, dlatego właśnie moja przyjaciółka jest taka niebezpieczna – bo potrafi manipulować ludźmi i ich kontrolować.

Odesłała go. Powinnam była to wiedzieć, lecz jeszcze teraz ledwo mogę uwierzyć, że zachowała się tak okrutnie. To ona stała za tym wszystkim. Nastawiła Gregory'ego przeciwko Cameronowi – jego własnemu bratu – i kazała mu zostawić Camerona w Afryce Południowej z poleceniem wkupienia się w łaski śmietanki towarzyskiej i nawiązania kontaktów biznesowych. Już na statku polecieli mu urobić tę Gertie, to miał być ich „klucz do towarzystwa”, jak powiedział Cameron, od tego więc miał zacząć. Helen, zapewnił Cameron, od razu rozpoznała w Gertie typ kobiety, która wkupi się w krąg socjety Kapsztadu – a przecież Helen znała się na rzeczy, prawda? Czy ona nie była z tej samej gliny? Camerona oburzyły historie, które Helen opowiedziała mi na temat skandalu i romansu. Czyż nie wiedziałam, że kocha mnie, tylko mnie, a wszystko, co zrobił, uczynił jedynie przez wzgląd na brata, dla dobra interesów powierzonych w zarząd Gregory'emu, lecz nigdy, przenigdy nie sprzeniewierzyłby się naszej miłości? Nie mogłam uwierzyć, że pozwoliłam jej tak z siebie zadrwić. Jaka kobieta zmyśla takie kłamstwa, wiedząc, jak bardzo zranią kogoś, kogo nazywa swoją przyjaciółką?

Bez względu na to, co zrobiła, powinnam jej współczuć. Cameron mnie kocha. Mnie. Ona musi zadowolić się jego bratem, starszym, nudniejszym,

skrupulatnym bratem. Och, Gregory jest miły, ale nie dorasta do pięt mojemu Cameronowi. Helen zapewne sądziła, że wychodząc za niego za mąż, będzie bliżej Camerona albo przynajmniej będzie mogła go kontrolować i uprzykrzyć mu życie. Wzgardzona kobieta. Och, Helen, a ja myślałam, że byłaś moją przyjaciółką! Jednak będę ponad to. Okażę współczucie i godność, tak jak radził mi Cameron. Nie powiem ani słowa i sprawię, że mój ukochany będzie ze mnie dumny.

Cameronie, och, Cameronie, moje życie, moja miłości! Masz rację! To się w ogóle nie liczy. Przeszłość to przeszłość, a ja dbam tylko o to, że wkrótce znów będziemy razem. Zaszyjemy się gdzieś, będziemy jeść ciche kolacje pod gwiazdami, spacerować za rękę po targu lub popatrzymy z naszego schronienia, z balkonu pokoju hotelowego, jak świat budzi się do życia. Czy to naprawdę się dzieje? Nie mogę w to uwierzyć. Ale wiedziałam, naprawdę. W głębi serca i wbrew wszystkiemu wiedziałam, że musiał mnie kochać. Jak mógłby mnie nie kochać, skoro ja darzyłam go tak ogromną miłością?

Och, nie wiem, co mam ze sobą począć! Nie zmrużę oka, to pewne. Lecz nie będę musiała. Czuję, że ta dziwna energia poniesie mnie na swej fali, pozwoli zachować pogodę ducha, jasność umysłu i żywotność, dzień za dniem, aż do piątku, kiedy przyjedzie po mnie samochód, byśmy mogli znów być razem. On mnie kocha!

**T**elefon przy łóżku zadzwonił, Lexy sięgnęła, żeby odebrać, jednocześnie wzrokiem przebiegając do końca kartki.

– Tak, słucham?

– Tu Barney. Doktor Campbell poprosił, bym dał pani znać, że czeka za zewnątrz.

– Ach! – Lexy zerknęła na zegarek, a potem uspokoiła się. Dopiero za pięć trzecia. – Dziękuję, Barney. Powiedz mu, proszę, że już schodzę, dobrze?

– Doskonale, pani Shaw.

\*

**L**exy odwróciła się, wrzuciwszy kluczyk do skrzynki na biurku portiera, zajrzała do baru i stanęła jak wryta. Richard Chakanaya nadal tu był, siedział przy stoliku, rozmawiając z kimś, kogo nie widziała. Gdy tak mu się przyglądała, podniósł oczy i wbił w nią wzrok, po czym delikatny uśmiech zamajaczył mu znów na ustach, kiedy skinął w jej kierunku. Żeby zobaczyć, kto zwrócił na siebie jego uwagę, jego towarzysz obrócił głowę, a zszokowana Lexy rozpoznała rumianą twarz. Hugh Pendleton.

Lekceważąc podniesioną przez niego rękę, pospieszyła przez lobby, zastanawiając się, co, u licha, ich łączy, ale zanim zdążyła przyjąć jakiegokolwiek założenie, samochód zatrąbił, a na podjeździe zatrzymał się Robert. Barney wyłonił się zza jej pleców i otworzył jej drzwi od strony pasażera.

– Cześć – powiedziała Lexy, wskakując na miejsce. – Jesteś przed czasem. – Drzwi ledwie się zamknęły, a Robert już zdążył ruszyć.

– Przepraszam – powiedział – trochę się spieszę. Wezwano mnie z powrotem do kliniki, więc obawiam się, że muszę cię podzucić i zostawić u babci.

– Mogłam pojechać taksówką. Nie musiałeś...

– Wiem. Ale naprawdę nie było na to czasu. W każdym razie dzięki temu możemy chwilę porozmawiać.

– O?

– O babci. Jest w bardzo kiepskim stanie, wiesz, nie chcę dokładać jej zmartwień, i tak już martwi się wystarczająco. Były z Ursulą bardzo blisko i...

– Masz nadzieję, że postąpię z nią bardziej taktownie, niż obeszałam się z tobą.

– Nie zamierzałem tego mówić.

– Nie. Ale to miałeś na myśli. – Nie minęła nawet minuta, a on już ją

irytował.

– Nie, to nieprawda. Chciałem tylko powiedzieć, że były sobie bardzo bliskie i babcia może pomóc ci w poszukiwaniach. Jestem pewien, że będzie chciała, ale musisz zrozumieć, że jest słaba, nie naciskaj na nią. Powie ci tyle, ile będzie mogła, choć pewnie to ci nie wystarczy, ale proszę, nie spodziewaj się, że odpowie na wszystkie twoje pytania.

Lexy wiedziała, że należało jej się to pouczenie. Widocznie lubił starszkę, a Lexy nijak nie potrafiła mu udowodnić, że potrafi być delikatna i troskliwa. Bez taktu i nachalna – raczej takie wywarła na nim pierwsze wrażenie.

– Dziękuję – powiedziała. – Zapamiętam to sobie. Nie będę naciskać, obiecuję.

– Dobrze.

Wyglądała przez okno, kiedy Robert prowadził samochód przez chaotyczny ruch uliczny w centrum Blantyre. Ulice falowały od aut, ludzi, zwierząt i rowerów. W myślach Lexy z powrotem zagościli Richard Chakanaya oraz Hugh Pendleton. Dziwny duet, można by rzec. Pewnie będzie musiała zachować większą ostrożność niż zwykle.

– Robercie, czemu pytałeś, czy znam Richarda Chakanayę?

Mężczyzna zawahał się chwilę, zanim odpowiedział, jakby nie był pewien, jaką strategię obrać.

– To żadna osobistość, prawda?

– Nie. Nie do końca. – Robert uśmiechnął się przelotnie. – Jest znany, choć cieszy się złą sławą. Ma reputację „kombinatora”, potrafi załatwić pewne sprawy, które w przeciwnym razie byłyby do załatwienia niemożliwe, lepiej nie badać zbyt dogłębnie, jakimi sposobami się posługuje. Przez lata on i jego klienci dorobili się na tym mnóstwa pieniędzy.

– Hm, a czy jest w tym coś złego? W zarabianiu pieniędzy?

– Możesz myśleć, że nie, ale gdyby uwierzyć w pewne plotki, Chakanaya nie



zawsze działa w granicach... powszechnie akceptowalnych praktyk, ujmijmy to tak.

– Sprawia wrażenie godnego zaufania.

– O tak, z pewnością sprawia wrażenie. Ciężko pracuje nad wizerunkiem człowieka przyzwoitego. Ale uwierz mi, nie jest taki. Trzymaj się od niego z daleka, jeśli mogę dać ci radę.

– Mówisz, jakbyś miał podstawy tak sądzić. Znasz go? – Może to będzie jej dojście do Richarda Chakanayi; chciała dowiedzieć się, w którym imieniu występował, zlecając wypłaty dla Ursuli.

– Znam go. Choć wolałbym nie znać. Ale Blantyre jest małe.

Lexy postanowiła poczekać na odpowiedni moment. Później pomyśli, jak zaaranżować spotkanie zapoznawcze. Na razie musi przekonać do siebie Roberta. Zaprzyjaźni się z nim i zignoruje to, że piekielnie ją drażni.

– No tak – odezwała się, niby od niechcienia zmieniając temat – powiedz mi coś więcej o sobie. Nie wiem zbyt wiele ani o tobie, ani o twojej babci, poza tym, że pisywałeś do Ursuli, a twoja babcia była jej przyjaciółką. No i oczywiście matką chrzestną mojej mamy.

– Niewiele tu do gadania, naprawdę. Co chcesz wiedzieć? – Słowa te uświadomiły Lexy, iż zdobycie zaufania Roberta będzie orką na ugorze.

– A co z resztą twojej rodziny, twoimi rodzicami? Mieszkają w Blantyre?

– Nie. W Australii.

– Masz rodzeństwo? Siostry? Braci? – Nie ustępowała.

– Nie.

– W takim razie pomówmy o Ursuli. Jak dobrze ją znałeś? Jaka była za młodu?

Wyglądało na to, że znaleźli się na bezpiecznym gruncie; zanim dojechali do szpitala, Lexy zdążyła dowiedzieć się, że Robert wynajmował pokój u Ursuli,

kiedy studiował w Edynburgu a później nadal odwiedzał ją raz lub dwa razy do roku, jeśli zdołał. Evie i Ursula były jak papużki nierozłączki. Razem wyruszyły do Afryki i należały do tego samego kręgu żytych przyjaciół, czego Lexy miała już świadomość. To wszystko utwierdziło ją jeszcze bardziej w przekonaniu, że Evie będzie potrafiła jej pomóc odszukać syna Ursuli.

W zamian Lexy opowiedziała trochę o sobie, o swoim pochodzeniu, jednak zdawało się, że to dla Roberta żadne wieści. Znał nawet jej ojca; podziwiał jego dorobek i miał nadzieję, że zdoła wnieść coś od siebie do badań, które rozpoczął szacowny Philip Shaw. Chciała wiedzieć więcej, ale dotarli na miejsce.

– Dobrze – powiedział, zatrzymując się przed wejściem do szpitala. – Będzie łatwiej, jeśli cię tu podrzucę. Spytaj w recepcji, pokierują cię do babci.

Lexy pomachała do niknącego w oddali samochodu, czując, że poczyniła spore postępy w zyskiwaniu przychylności Roberta. Teraz musi się tylko pilnować, żeby nie zdenerwować jego babci.

— Pani Campbell?

Lexy popchnęła drzwi, które ustąpiły, i zawahała się, nie chcąc wchodzić do sali, dopóki nie upewni się, że starsza pani siedząca wyprostowana na wąskim szpitalnym łóżku jest gotowa na spotkanie.

– Tak? – Staruszka obróciła głowę z nienagannie upiętą fryzurą i przyjrzała się jej. – Wielkie nieba. Wejdz, proszę.

Głos miała wyraźny i zdecydowany, nawet mocny, kłócił się z kruchym ciałem, z którego się wydobywał. Oraz z siłą ostrzeżenia, jakie wystosował Robert.

– Nazywam się Lexy...

– Wiem, kochanieńka. Alexis Shaw. Spodziewałam się ciebie. Robert powiedział, że cię przyprowadzi. Gdzie jest ten mój wnuk?

– Powiedział, że ma pilny przypadek w klinice... – Dziwnie się poczuła, usprawiedliwiając Roberta.

– Zawsze jest jakiś pilny przypadek, czyż nie? No cóż, nieważne. Prawdę mówiąc, wolę cię mieć tylko dla siebie. Chodź i siadaj tu, na łóżku, żebym mogła ci się przyjrzeć. I zasłoń zasłonę, jeśli słońce świeci ci w oczy. Było mi tak bardzo przykro, kiedy usłyszałam o drogiej Ursuli.

– Tak. Przepraszam. Pewnie nie spodziewała się pani takich wiadomości.

– Kochanieńka, w moim wieku spodziewam się, niestety, głównie takich wieści. Wszyscy jesteśmy w poczekalni, jeśli mogę tak rzec. Spójrz tylko na mnie.

– Ja... Wygląda pani dobrze... No cóż... Nie, nie miałam na myśli „dobrze”... Bo w takim razie nie leżałaby pani w szpitalu. To oczywiste, ale... – *Och, zamknij się, Lexy. Świetny początek.*

– Dość oczywiste. – Evie roześmiała się. – E, nie przejmuj się, kochanieńka. Jestem pewna, że przeżyję to popołudnie. A jednak droga Ursula odeszła. Sądziłam, że nas wszystkich przeżyje, pod koniec życia wyrobiła w sobie żelazną wolę przetrwania. Myślałam, że sama Śmierć ukorzy się przed nią i ustąpi jej autorytetowi. Upadła? Tak mówił Robert. – Lexy przytaknęła. – Mów dalej, kochanieńka. Opowiedz mi wszystko. Nie zemdleję ani nie zemrę na twoich oczach, zapewniam. Przygotowałam się, żeby usłyszeć najgorsze.

Lexy opowiedziała jej więc o swoim przelotnym pobycie w Edynburgu i tyle, co wiedziała o zgonie Ursuli, choć nie było to wiele. Pani Campbell, Evie, bo szybko zaczęły mówić sobie po imieniu, słuchała uważnie, od czasu do czasu wtrącając jakieś pytanie, a w końcu zapytała Lexy o jej własną matkę, widocznie zasmucona na wieść, że Izzie również nie żyje. Raz jeszcze Lexy została posłańcem przynoszącym złe wieści. Zapomniała, że Robert o tym nie wiedział, dlatego nie mógł uprzedzić swojej babci.

– Była taka rozkoszna, twoja matka. Ursula ją uwielbiała, tak samo jak my wszyscy. Tak bardzo, bardzo mi przykro, kochanieńka. To musiał być dla ciebie straszny szok. Musiałaś dźwigać taki ciężar na swoich barkach. Teraz rozumiem,

dlaczego Robert powiedział mi, że masz parę pytań na temat swojej rodziny i jej pobytu tutaj. Nie mogę obiecać, że odpowiem na wszystkie, ale znałam ich oboje, twoją matkę i drogiego Philipa, pomogę ci, jeśli tylko zdołam.

– Dziękuję ci, Evie. Chciałabym dowiedzieć się czegoś o moich rodzicach i ich życiu w Afryce, ale chcę też... – Lexy wzięła głęboki oddech. – Chcę odnaleźć syna Ursuli. Jestem pewna, że wciąż jest tutaj, w Malawi.

– Moja kochanieńka, co masz na myśli? Ursula nie miała syna. Poświęciła się pracy, nie miała czasu na rodzinę, poza twoją matką, rzecz jasna. A gdy zaopiekowała się już Izzie, nie potrzebowała niczego więcej, jak zwykła mawiać. Syn? Nonsens.

– Nie, Evie, to prawda. Wiem, że miała syna. Robił regularne wpłaty na jej rzecz za pośrednictwem adwokatów z Malawi. Za pośrednictwem Richarda Chakanayi. Z jakiegoś powodu syn chciał pozostać anonimowy, ale to niemal mój wujek, najbliższy członek rodziny, jakiego mam. Jestem pewna, że gdyby o tym wiedział, chciałby, żebym go odnalazła.

Evie milczała, odwróciła głowę i wpatrywała się w okno, mimo że przysłaniała je zasłona. Słońce przesunęło się po niebie, więc firany nie jaśniały już jak wcześniej, kiedy broniły palącym promieniom wstępu do pomieszczenia.

– Możesz już otworzyć okno, gdybyś była tak uprzejma, droga Lexy.

Do środka napłynął dzień, Lexy tkwiła nieruchomo przy oknie, pozwalając, by obmyła ją fala ciepła. Wyglądała na szpitalny parking poniżej, zwrócona plecami do pacjentki w łóżku.

– Evie, nie wiem, dlaczego Ursula i jej syn żyli osobno, czemu nigdy o nim nie wspominała ani dlaczego nie ma po nim śladu w jej mieszkaniu. Widzisz, nic tam nie ma. Żadnej wskazówki. Nic a nic. Mogę się tylko domyślać. Nigdy nie wyszła za mąż. Wiem, że dawniej to miało duże znaczenie, ale dziś naprawdę już się nie liczy, a ja nikogo nie oceniam. Chcę tylko odnaleźć rodzinę, jeśli zdołam, albo przynajmniej kogoś bliskiego. Chcę mieć poczucie przynależności. Nikt mi

już nie został.

Zapadła długa chwila ciszy i Lexy straciła wszelką nadzieję, że usłyszy od staruszki odpowiedź. Lub podpowiedź, wskazówkę, cokolwiek, co pomogłoby jej odszukać syna Ursuli.

– A co, jeśli odkryjesz coś, co ci się nie spodoba, kochanieńka? „Uważaj, czego sobie życzysz”, powiedziałyby Ursula.

– Tak, tak by powiedziała – zgodziła się Lexy, kiedy przypływ nostalgii zalał jej myśli. – A moja matka by to powtórzyła.

– Biedna dziecina – szepnęła Evie głosem pełnym współczucia. – Musisz za nimi bardzo tęsknić.

Lexy zdołała jedynie skinąć potakująco głową, usiłując odepchnąć smutek na bok, nie pozwolić, by zbił ją z tropu.

– Był skończonym draniem, tyle ci powiem. Prawdziwą kanalią, jak zwykliśmy mówić.

Głos Evie dochodził z oddali, pograżony w przeszłości. Lexy zamarła, obawiając się, że jakikolwiek ruch lub dźwięk sprawi, iż czar, który wspomnienia rzuciły na staruszkę, pryśnie.

– Poznaliśmy się na statku płynącym do Afryki. Tam to się wszystko zaczęło. On jej nigdy nie kochał, jestem tego pewna. Tylko się nią bawił. Złamał jej serce. Potem wrócił i złamał je raz jeszcze. Po czym, jakby już nie wyrządził wystarczającej krzywdy, ożenił się z Helen. Jej serce także próbował złamać, lecz ona nie była taka jak niewinna, kochana Ursula. Ale nawet ona w końcu...

– Cameron – wyszeptła Lexy.

Evie opadła na poduszki i odwróciła głowę do okna, światło podobne do jupitera rozświetlało napięte rysy twarzy.

– Tak. Cameron. Jedyna osoba, której naprawdę życzyłam śmierci. Teraz w końcu nie żyje.

**SZPITAL W BLANTYRE, 10 CZERWCA**

**L**exy wyprosił z sali lekarz o przesadnie urzędowym tonie, olśniewający w swoim białym wykrochmalonym fartuchu, z oddziałem nowicjuszy drobiącym za nim gęsiego. Nie powinno ją dziwić, że Evie zgodziła się posłużyć za studium przypadku dla następnego pokolenia malawijskich lekarzy, i choć podziwiała starszą panią za altruizm, wytrąciła ją z równowagi przymusowa przerwa. Denerwując się pół godziny w szpitalnej stołówce nad herbatą, na którą nie miała ochoty, i próbując wyobrazić sobie, cóż takiego mógł zrobić Cameron, by wywołać tak widoczną odrazę u kobiety, która – Lexy dałaby sobie za to uciąć rękę – była z natury wielkoduszna i wyrozumiała, w końcu otrzymała wiadomość od jednego z asystentów, że może wracać.

Evie miała zamknięte oczy, ale chyba wyczuła jej obecność, wobec czego uśmiechnęła się na powitanie. Zachęcona Lexy przysunęła krzesło bliżej łóżka i mocno ujęła jej kruchą dłoń. Czekwała. Evie westchnęła, odwróciła głowę do okna, nadal przymykając powieki, i zaczęła mówić.

— **E**vie, kochanie? Bądź aniołem i pomóż mi z tym, dobrze?

Dłoń Helen z szykownym manikiurem trzymała naszyjnik za dwa końce i nie mogła zapiąć go sobie na szyi. Evie usłyszała w szeptie przyjaciółki cień irytacji i jak zawsze cieszyła się, gdy mogła wyświadczyć jej drobną przysługę. Helen była jak egzotyczny ptak na tle szpakowatej Evie, a Evie nieustannie zdumiewała się, że była jej najlepszą, najbliższą przyjaciółką. „Nie oceniaj książki po okładce”

– powiedziałyby Ursula i miałyby rację. Każda z nich trzech potrafiła dostrzec pod fasadą kryjącą się w środku osobowość i zauważyć, że w głębi serca są bratnimi duszami.

Evie nie mogła uwierzyć, że tak jej się poszczęściło. Ona, żona doktora, przygarnięta przez tę światową, szykowną kobietę, i to tylko dlatego, że akurat zarezerwowała rejs na tym samym statku. Pomyślcie tylko. Miesiąc wcześniej lub później, a mogłyby nigdy nie poznać Helen Buchanan, mimo że łączyło je dalekie, bardzo dalekie pokrewieństwo po kądzieli. Nie spotkałyby także Gregory’ego Munro ani jego niepokojącego brata Camerona, ani nawet lekko przerażającej, lecz niezwykle kompetentnej siostry Reid. Droga Ursula. Jej biegłość zawodowa oraz beznadziejna naiwność. Smutna sprawa. Wychowała się w sierocińcu. Nie wiedziała, jak to jest być kochaną.

Evie mogłyby ich podziwiać, gdyby sobie na to pozwoliła. Dorastała na plebanii w Highlands, odległym górzystym regionie Szkocji, o jej rękę starał się chrześniak jej ojca, a ona wyszła za mąż, gdy skończyła ledwie dziewiętnaście lat. Potem została sama na długie, długie lata, podczas gdy jej świeży małżonek ugruntowywał swoją pozycję, by dopiero później posłać po żonę.

Przebywali w kraju tylko parę dni, kiedy nadszedł wieczór naszyjnika, nie tak dawno wypłynęli z portu w rejs, jednak pokładowe romanse już zdążyły się zawiązać. A przynajmniej tak sądziła.

– Oczywiście, kochana. – Evie podeszła, ujęła sznur pereł za jego końce i wsunęła w klamrę haczyk, który wskoczył pewnie na swoje miejsce i spoczął ściśle w wysadzonym brylantami zapięciu. Helen pochyliła się i zaczęła wstawać, zanim Evie oderwała od niej swe dłonie, przez co suknia odchyliła się i ukazała kawałek skóry. Evie z trudem łapała powietrze. Szczyciła się, że nic ją już nie dziwi, lecz na prawej łopatce Helen znajdował się blednący siniak wielkości spodka od filizanki, jego zielone i żółte smugi kałały idealną cerę.

– Kochanie? – zapytała Helen. – O co chodzi?

Sukienka wróciła na swoje miejsce, przywarła do mlecznobiałej skóry, zakrywając przebarwienia, kiedy Helen stanęła twarzą w twarz z przyjaciółką.

– Ja... Twoje... Tam jest... Nic takiego – jąkała się Evie, odwracając głowę, gdy Helen spojrzała jej w oczy z podniesioną brwią w tym pewnym siebie i zabawnym geście.

Evie poczuła, że policzki jej się rumienia, a serce bije szybciej. Co się stało? Taki siniak! Jakim cudem...

– Cameron – powiedziała Helen beznamiętnym głosem, nieznacznie wzruszając ramionami.

– Cameron?

– Siniak. To zasługa Camerona.

– Camerona? – powtórzyła Evie jak idiotka. – On to zrobił? Jak, do licha... Czemu?

– Znów mu odmówiłam, sama rozumiesz.

– Nie rozumiem.

I prawdę mówiąc, Evie doprawdy nie pojmowała. Sama myśl o mężczyźnie krzywdzącym kobietę, choćby dotykającym tę, która nie była jego żoną, była jej taka obca. Douglas nie posunął się za daleko, przed zaręczynami ledwie trzymali się za rączki, a z pewnością nie ośmielił się jej pocałować, zanim nie połączył ich święty związek małżeński.

– Znów się zadeklarował, jak to mówią, wczoraj wieczorem w Kapsztadzie. Wyznał, że mnie kocha, pragnie i tak dalej. Że nie może beze mnie żyć. Zapewnił, że próbował z Gertie, ale to okazało się niemożliwe. Nie potrafił o mnie zapomnieć. Nonsens, rzecz jasna, tak mu odparłam, tak samo jak rzekłam mu podczas podróży. Zdradziłam, że zakochałam się w kimś innym, w każdym razie jasno wyraziłam swoje uczucia co do niego tamtej nocy na statku i nic się nie zmieniło. Okoliczności sprawiły, że będziemy wpadać na siebie, nie mam zamiaru wprowadzić żadnego z nas w zakłopotanie, więc będę uprzejma, lecz nic



ponad to. Pogardzam tym człowiekiem, prawdę powiedziawszy.

Helen obróciła się do lustra, wygładziła pudrowobłękitny szyfon sukni, nachyliła się do swojego odbicia i ściągnęła usta. Wyglądała bosko. Jak zawsze, lecz dziś wieczorem towarzyszyła jej eteryczna aura. Może to światło sprawiło, że wyglądała na taką kruchą i delikatną. A może to wiedza, jak paskudnie była posiniaczona pod tą elegancką i stylową fasadą wywołała w Evie poczucie, że pomimo siły ducha Helen może się załamać, może zostać złamana. Evie bała się o nią.

– A więc... uderzył cię?

– Nie, kochana, oczywiście, że nie. Jestem przekonana, że nie chciał mnie skrzywdzić. Był zdenerwowany, zażenowany, jak mniemam. Popchnął mnie. To wszystko. Na ścianie za mną wisiał hak. Wiesz, na przewód wentylatora, potknęłam się i uderzyłam w niego dość mocno, kiedy odsuwałam się od Camerona.

– Ależ on nie miał prawa cię popychać! Ten siniak jest okropny, musiał cię bardzo... Czy on ci groził?

– Och, to nie ma znaczenia, kochana. Nic takiego. Wygląda gorzej niż w... Och, kochanie, spójrz! Mam oczko w pończochach. Nie mogę tak wyjść. Będziesz tak miła, zjedziesz tam i zabawisz przez chwilę towarzystwo? Ja się w tym czasie przebiorę. Zajmie mi to tylko parę minut, ale nie lubię kazać na siebie czekać.

– Oczywiście. W porządku. Nie ma żadnego problemu. – Evie wiedziała, że temat został zamknięty, więc zrobiła to, o co ją proszono.

Mężczyźni czekali na zewnątrz, zaśmiewając się i paląc. Paru młodszych doktorów ze szpitala oraz nowy dentysta tłoczyli się wokół Frediego, który oczywiście wyglądał ekstrawagancko, lecz atrakcyjnie w purpurowym fularze pasującym do poszetki. Poszła za ich śmiechem, kiedy raczył swoją publiczność opowieścią wymagającą od niego przybierania póż i eksplozji wesołości.

– Douglas nie zaszczyci nas tego wieczoru? – Obróciła się zaskoczona. Nie zauważyła, że nowy przyjaciel Frediego, Jurgen Axelsen, siedzi w cieniu po jej lewej.

– Och. Nie. Douglas znów wyjechał w głąb kraju. Do klinik.

– Oczywiście. Pani mąż jest niezmordowany. Jakie to szczęście, że go mamy.

Oboje odwrócili się do Frediego, gdy jego mała świta znów wybuchła śmiechem.

– Drogi Fredi. – Evie roześmiała się. – Jest niepoprawny. Wprost nie sposób go nie kochać. – Zwróciła się do mężczyzny u jej boku i z zaskoczeniem spostrzegła, że ów się rumieni, odchrząkuje nerwowo i prędko wbija wzrok w ziemię. – Jurgen? Czy ty...

– Już jestem, kochani! – Głos Helen przykuł uwagę wszystkich zebranych, którzy spojrzeli na wejście, skąd Evie i Jurgen czmychnęli prędko na boki, by ustąpić miejsca przyjacielce. – Tak okropnie przepraszam, że musieliście na mnie czekać. Nudziliście się jak mopsy?

Evie obserwowała, jak mężczyźni gromadzą się wokół jej czarującej przyjaciółki; widziała, że ich twarze jaśnieją, kiedy ta schodzi po schodach, by do nich dołączyć i delikatnie położyć dłoń na czyimś ramieniu, posłać temu czy innemu uśmiech, pocałować policzek mijającego ją gościa czy przyjąć papierosa ofiarowanego jej w poczęstunku.

Kiedy udali się do czekających na zewnątrz samochodów, wszyscy w dobrych humorach, śmiejąc się i żartując, podczas gdy podniecenie ich jednoczyło, wiązało grupę, wręcz przykuwało jedno do drugiego, cień, który przelotne spojrzenie na siniaka Helen rzuciło na nastrój Evie, prędko się rozmył. Gregory pierwszy dotarł do auta, a gdy przytrzymał drzwi, by Helen mogła zgrabnie wsiąść, Evie pochwyciła spojrzenie, które wymienili. Nic się nie zmieniło od zejścia z pokładu statku, to było jasne. Evie nie spytała, kim był ów „ktoś inny”, w którym Helen – jak powiedziała Cameronowi – była zakochana.

Nie musiała pytać, wiedziała.

\*

**W** szpitalnej sali panował teraz półmrok, twarz Lexy była ukryta przed wzrokiem Evie, aż niespodziewane jaskrawe światło i rżenie jarzeniówki nad łóżkiem rozgrzewającej się powoli do pełnej mocy wyrwało ich obie z zamyślenia. Skrupulatna pielęgniarka, której Evie nie rozpoznała, krzątała się wokół niej, podłączając lek do wenflonu boleśnie wklutego w grzbiet jej dłoni, a potem ścisnęła kroplówkę zwisającą z wysokiej ramy obok łóżka niczym przejrzałe mango z drzewa.

– Pani wnuk dzwonił i pytał o panią – mówiła pielęgniarka tonem, który Evie uznała za nieprzyjemny. – Wpadnie później, ale najpierw musi jechać do kliniki. Zajęty z niego człowiek. A co do pani – pielęgniarka wycelowała palcem w Lexy i skinęła głową w kierunku drzwi – powiedział, że czas już na panią.

Pielęgniarka naciągnęła prześcieradło i zatknęła je pod klatkę piersiową Evie niczym gorset, który ścisnął pacjentkę mocniej niż bandaż owijający piersi gwiazdy pantomimy. Następnie wyjęła ręce Evie, wyprostowała je i położyła na szpitalnej pościeli. Evie pozwoliła jej na to, jakby była głupia, rozbawiona tym, jak spolegliwa się stała. Jak bardzo bezsilna.

– Poproszę wodę – zachrypiała Evie. Przełknęła z trudem, oczy ją piekły, kiedy suchość cięła jej gardło niczym szkło.

Westchnięcie z powodu ambarasu, stuk i plusk, a do ręki wciśnięto jej plastikowy kubek.

– Lexy. – Głos Evie brzmiał teraz wyraźniej. – Nie idź.

– Nigdzie nie pójde. Ja...

– Ale doktor Campbell powiedział...

– Muszę z nią porozmawiać.

– Powinna pani nabrać sił przed operacją, nie ma gadania...

– Dziękuję, siostrze. To wszystko.

Niechęć pielęgniarki była oczywista, jeszcze zanim kobieta trzasnęła za sobą drzwiami z energiczną wprawą.

– Jesteś pewna, że możesz mówić dalej, Evie? Mogę wrócić jutro.

Evie słyszała zawahanie w tonie młodej kobiety, a jednak wiedziała, że ta mimo wszystko rozpaczliwie pragnie, by Evie kontynuowała. Lexy była bardziej dociekliwa od matki, kiedy tylko Evie ją zobaczyła, dostrzegła w niej ten sam upór. Będzie musiała powiedzieć jej... część prawdy. Nie całą, rzecz jasna. Opowie jej tyle, by zdała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, żeby zrozumiała, czemu musi opuścić Malawi.

Ameron był w domu niecały miesiąc, a już przyprowadził Helen o zmierzwienu, mimo że w końcu przeprowadził się do własnego kąta. Tamtego dnia, w maju 1949 roku, Evie właśnie wróciła z corocznego objazdu po wiejskich szpitalach z Douglasem. Gdy tylko zawitała w domu, umówiła się z Helen w klubie na herbatę i to właśnie jej stęknienia i okrzyki sprawiły, że Evie zrzędła mina. Nie mogła uwierzyć własnym oczom, kiedy zobaczyła ich razem, jak wchodzi, ona trzymając go pod ramię, rozpogodzona jak nigdy w życiu. Nawet stamtąd, gdzie siedziały, z Saloniku dla Dam, dostrzegły euforię Ursuli. Wyglądała niemal frywolnie. Z drugiej strony Evie od dawna nie widziała jej w niczym innym niż w pielęgniarskim fartuchu, chociaż tego popołudnia za jej niefrasobliwością stało coś więcej niż sam tylko wybór garderoby.

– Czyż ona postradała zmysły? – syknęła Evie pod nosem.

– Czy on nie ma wstydu? – dodała Helen.

Para ociągała się w korytarzu, potem on pochylił się i pocałował ją delikatnie w rękę, następnie oddalając się w kierunku Baru Członkowskiego. Ursula odprowadziła go wzrokiem, po czym odwróciła się i zobaczyła wbity w nią wzrok dwóch przyjaciółek. Roześmiała się i pobiegła – tak, pobiegła

w podskokach, nie sposób określić tego inaczej – by do nich dołączyć. Klapnęła na krzesło, oczy jej błyszczały, a twarz promieniała.

– I co? – Zażyła kobiety pogrążone w milczeniu. – Zamierzacie mnie zbesztać, nazwać głupią, ostrzec, że jako szanująca się profesjonalistka muszę dbać o reputację?

– Kochanie – zaczęła Helen, potem spojrzała znacząco na Evie, tak jakby to ona powinna odpowiedzieć na to pytanie. Wzięła na siebie tę odpowiedzialność, próbowała, lecz naprawdę była na z góry przegranej pozycji.

– Ursulo, już to przerabialiśmy. Cztery lata temu na pokładzie statku i...

– Ludzie się zmieniają. – Ursula lekceważąco machnęła ręką. – I zasługują na drugą szansę. Czyż to nie po chrześcijańsku, Evie? Powiedz mi jako córka pastora, czy nie tego uczy nas chrześcijaństwo: wybaczyć, kiedy ktoś żałuje?

– Nie jeśli ten ktoś to diabeł wcielony – zareplikowała Helen. – A on nim jest.

– Nie, nieprawda. Zmienił się. Pobyt w Afryce Południowej przypomniał mi o tym, jak ważne są wartości i obyczaje. Lojalność i miłość.

Śmiech Helen był równie cierpki, co niespodziewany.

– Tak, na chwilę może być potulny jak baranek, ale to nadal wilk w owczej skórze. Natura ciągnie wilka do lasu, tego nie da się zmienić. Uwierz mi, aż do tego weekendu mieszkał pod moim dachem, wiem, co mówię. Nie daj się nabrać. Jeszcze pożałujesz.

– Oczywiście. Ty wiesz najlepiej.

Evie była zszokowana, słysząc zjadliwość w tonie Ursuli, to, jak zadrwiła z Helen, swojej przyjaciółki.

– Ursulo, chyba nie powinnaś...

– O co chodzi, Helen? – Ursula nie pozwoliła Evie wejść sobie w słowo. – Jesteś zazdrosna? – Uśmiezek wykrzywił jej usta, czyniąc jej pospolite rysy twarzy po prostu brzydkie.

– Słucham?

– Ciężko ci przyjąć do wiadomości, że mężczyzna taki jak Cameron mógł porzucić zauroczenie tobą na rzecz głębszego i bardziej znaczącego uczucia do mnie?

– Co takiego?

Evie nie mogła tego znieść. Tylko nie jej dwie najbliższe przyjaciółki.

– Ursulo – podjęła jeszcze jedną próbę – naprawdę nie sędzę...

– Evie, to ciebie nie dotyczy. To sprawa pomiędzy mną a Helen. Wszyscy wiemy, że Cameron był w niej zadurzony, od kiedy postawił stopę na pokładzie statku. Nie wiedzieliśmy za to, że ona go do tego podzegała.

– Nic podobnego!

– I mamy ci wierzyć na słowo? Może powinniśmy spytać Gregory'ego? Cameron mówił mi, jakie to osobliwe, że córka nowego pracownika jego brata zachowuje się w stosunku do niego tak niewłaściwie. Wyobraźcie sobie tylko, jakie to musiało być dla niego trudne?

Evie przeraził istny idiotyzm słów Ursuli, głębia jej łatwowierności.

– Ursulo, nawet ja wiem, że to bzdura. – Evie położyła przyjaciółce dłoń na ramieniu, usiłując ją powstrzymać. – To Gregory kazał Cameronowi tłumaczyć się ze swego postępowania. To on oznajmił mu, że nie jest już mile widziany przy naszym stole w jadalni. To Gregory niemal popchnął go w ramiona Gertie, na litość boską, byle tylko jego brat trzymał się od nas z daleka.

– Myśl, co chcesz, Evie. – Ursula strząsnęła dłoń Evie, skrzyżowała ramiona na piersi i oparła się na krześle. – Ale Cameron zadawał się z Gertie tylko po to, by uniknąć zalotów Helen. Gdyby naprawdę pragnął Gertie, czemu nie został z nią w Afryce Południowej?

– Ponieważ Gertie jest mężatką...

– Myślał, że Helen zostawi go w spokoju, kiedy zda sobie sprawę, że nie jest

nią zainteresowany. Zamiast tego zaczęła pożerać wzrokiem jego brata. – Ursula utkwiała w Helen chłodne spojrzenie. – Ale nie potrafiłaś z niego zrezygnować, prawda? Musiałaś znaleźć jakiś sposób, by go zranić, zdyskredytować i kazać odesłać. Nie zważałaś na ból, jaki mi zadajesz, moja „przyjaciółko”. Taka jest prawda, czyż nie, Helen?

Helen zbladła. Evie przypomniała sobie straszliwe zasinienie na jej skórze, które zauważyła tamtego wieczoru, zapinając jej naszyjnik. Wspomniała, jak Helen usiłowała ją zapewnić, że nie trzeba się przejmować niechcianymi awansami Camerona, a jego brutalność była niezamierzona. Dopadło ją przerażenie. Ursula nie miała pojęcia o mroku w sercu mężczyzny, któremu pozwoliła się zwieść, bo najwyraźniej to udało mu się osiągnąć.

Helen z nadzwyczajnym dostojeństwem chwyciła szal i otuliła nim zdrętwiałe ramiona.

– Nie zamierzam się z tobą spierać, Ursulo, nie będę się obrażać. Owinął cię sobie wokół palca, wszyscy to widzą. Pamiętaj tylko, że próbowałyśmy cię ostrzec. I będziemy tutaj, żeby pomóc ci się pozbierać, kiedy znów cię zrani.

Pochyliła się i delikatnie pocałowała Evie w policzek, zamierzała odcisnąć lekki pocałunek na policzku Ursuli, ale ta odwróciła głowę z odrazą. Evie usłyszała, jak Helen wzdycha, odchodząc.

Ursula spojrzała na Evie zaczepnie, wzruszyła ramionami, po czym sięgnąwszy po imbryk, naląła sobie herbaty.

– Mogłabyś przynajmniej postarać się ucieszyć z mojego powodu, choć raz wziąć moją stronę. Pamiętaj, że znałam cię, zanim jeszcze spotkałaś naszego wspaniałego dziedzica. Jestem twoją przyjaciółką tak samo jak ona. Albo bardziej. Nie kłamię.

– Ursulo, kochanieńka – powiedziała Evie, siląc się na pojednawczy ton. – Wszyscy chcemy wyłącznie twojego szczęścia. A on naprawdę zachował się wcześniej odrażająco, rozumiesz więc, dlaczego się martwimy. – Jej uśmiech był

wymuszony, kiedy ugryzła się w język i pogłaskała dłoń Ursuli.

– To nie była jego wina. Ona za tym stoi. Ale on już nigdy więcej nie pozwoli jej zrujnować sobie życia gierkami.

Evie poczuła dreszcz, niczym ostrzeżenie. To było do Ursuli niepodobne i obawiała się, że może źle się skończyć.

\*

**K**iedy Evie się obudziła, nie musiała otwierać oczu, by wiedzieć, że Robert siedzi w fotelu przy oknie. Czowała zapach kawy, którą zawsze ze sobą przynosił, zatrzymując się wczesnym rankiem po drodze do kliniki, żeby sprawdzić, jak się ma jego babcia.

Uśmiechnęła się, co wynagrodził jej cichy chichot.

– Już nie śpisz, babciu? Jak się dziś czujesz?

– Staro, Robbie, mój chłopcze. Jak co dzień.

– Hm, no cóż, czego się spodziewałaś w twoim wieku?

Może nie była to zabójcza komedia, ale oboje dobrze się bawili podczas znajomej wymiany zdań.

– Co o niej sądzisz? – Jej wnuk nigdy nie owijał w bawełnę.

– Rozkoszna. Tak jak jej matka.

– Chyba to nie do końca prawda? Jej matka nie plątała się po okolicy i nie zadawała trudnych pytań. Niebezpiecznych pytań. – Dopił kawę i odstawił gwałtownie kubek na parapet. – Co jej powiemy, babciu?

– Prawdę. Wie, że Ursula miała syna. Nie ma sensu temu zaprzeczać. Próbowалам, ale mi nie uwierzyła. Najlepsze, co możemy zrobić, to ograniczyć jej śledztwo. I tak wie więcej, niż zdaje sobie sprawę, a ty, mój drogi chłopcze, musisz dowiedzieć się, skąd to wie i co dokładnie wie. Potem zastanowimy się, jak najlepiej ją ochronić.



- Ochronić Lexy?
- Ochronić Helen.

**JEZIORO NIASA, 12 CZERWCA**

**L**exy była zdumiona, kiedy Robert zadzwonił i umówił się z nią wieczorem. Cóż, nie wybierali się na randkę ani nic takiego, ale zaprosił ją, by towarzyszyła mu podczas podróży do jednej z klinik na wybrzeżu Niasa. Wahała się jedynie krótką chwilę, po czym zgodziła się. Chciała pozyskać jego sympatię po tym, jaki kiepski mieli początek, poza tym była podekscytowana na samą myśl o ucieczce z miasta i zobaczeniu słynnego jeziora. Na moment zapomniała o zaskoczeniu i niespodziankach, stracie i smutku, po prostu... Zafunduje sobie odrobinę relaksu, zwłaszcza że po kolejnym dniu bezskutecznego pławienia się w sprawach Ursuli opisanych przez prawników w nużącej szarej teźce czuła, że całkowicie sobie na to zasłużyła, mimo że wcześniej już płała się w hotelowym basenie. Poprzedniego dnia położyła się spać wcześniej, więc była wystarczająco wypoczęta, by pomimo pobudki z samego rana zachować panowanie nad sobą bez względu na ewentualne prowokacje. Po prostu wzniesie się ponad irytację, jaką wywołać może opryskliwy sposób bycia Roberta.

Rozważała, co odpowiedziałaby, gdyby rzeczywiście się z nią umówił. Niezmiernie trudno było odczytać jego intencje, co ją wściekało, ale tak samo nieczytelne były jej własne uczucia. Sama myśl o tym była niedorzeczna. Przeżywała żalobę, niedawno przeszła poważne rozstanie; nie była emocjonalnie gotowa, żeby choćby brać pod uwagę... A jednak był przystojny na pewien mroczny sposób; charyzmatyczny, zdecydowany, człowiek czynu... kompletne przeciwieństwo Danny'ego. Może właśnie tego jej było trzeba, żeby mogła

zapomnieć i pójść naprzód. Mężczyzny-plastra, leku na złamane serce.

*Och, Lexy Shaw, doróżnij!* – zbeształa się w myślach, rzucając prostą, krótką, niebieską sukienkę bez rękawów na rosnącą na łóżku stertę ubrań, z których zrezygnowała. W szafie została garstka kreacji. Ale na litość boską, jaka etykieta stroju obowiązywała podczas niedzielnej wycieczki, ale nie randki, na piknik nad jeziorem Niasa, a po drodze na wizytę w klinice? Nic zbyt eleganckiego, ale też nic za bardzo codziennego, co w słowniku Lexy i tak było eufemizmem dla „niechlujnego”. A chciała wyglądać, jakby się trochę postarała, niegrzecznie byłoby w ogóle nie włożyć w to żadnego wysiłku, ale też nie warto przesadzać... Och, to nie do wykonania!

Jeansy.

Czy będzie za gorąco?

Trudno. Przeżyje. Biała lniana koszula. Sandały. Maźnięcie szminką, włosy zebrane w ogon oraz krem do opalania z tak wysokim filtrem, że nie sądziła, iż taki istnieje, aż zobaczyła go w sklepie w lobby hotelu. Gotowe. *I nawet nie myśl o tym, żeby patrzeć w lustro, słodka szesnastko, tyle że po trzydziestce*, pomyślała z przekąsem.

Punkt siódma czekała w lobby na dole pomimo swoich rozterek. Robert przyjechał piętnaście minut później, wtedy już oddychała głęboko i mocno starała się sprawiać wrażenie obojętnej. Zachowanie spokoju nie było takie proste, jak myślała. Przykleiła do twarzy najpogodniejszy uśmiezek, idąc przez pomieszczenie na spotkanie gościa.

– Witaj, Robercie. To bardzo miłe z twojej strony. Tak bardzo cieszę się, że zobaczę w Malawi coś poza miejskimi ulicami, aż brakuje mi słów.

– Cała przyjemność po mojej stronie, Lexy. – I ku jej zaskoczeniu uśmiechnął się, jakby naprawdę miał to na myśli. Najwyraźniej on też zamierzał się postarać. Dobrze. – Proszę, przyjmij moje przeprosiny, że musiałś na mnie czekać. – Jeszcze lepiej. – Najpierw pojechałem do babci, ona... No cóż, jej stan

się pogorszył, więc nie chciałem jej zostawiać, zanim nie upewniłem się, że wszystko jest pod kontrolą.

– Och, oczywiście. Bardzo mi przykro. – Lexy szczerze się zmartwiła na wieść o Evie, lecz nie mogła nic poradzić na swoje rozdrażnienie, że Robert miał odpowiednią wymówkę na spóźnienie. Przez to poczuła się małosłowna, że zaczęła się irytować, czekając na niego. Punkt dla Roberta. *Przecież nie chodzi o punkty*, upomniała się w myślach. – Jak ona się miewa?

– Pewnie przyspieszą jej operację.

– Nie powinienes być przy niej? To znaczy, zrozumieć, jeśli...

– Nie, nie. To niepotrzebne. Jest stan jest teraz stabilny i babcia pewnie prześpi większość dnia, operują ją najwcześniej jutro po południu, choć nie mam pewności, czy będzie wtedy wystarczająco silna. I tak nie mogę zawieść kliniki. Niektórzy pacjenci pokonali kawał drogi, żeby dotrzeć na miejsce. Jedziemy?

Lexy ruszyła za nim do samochodu, pozwalając mu opowiadać o klinice i od czasu do czasu przerywając osobliwym pytaniem. Kiedy jechali cichymi ulicami, zaczynała nabierać do Roberta sympatii, wybaczyła mu opryskliwość. To człowiek, którego pasją są praca i pacjenci, nie miała co do tego wątpliwości. Jego pasją było także Malawi, co odkryła, kiedy uciekli na wieś, pozostawiając miejskie zabudowania za sobą, a on zaczął komentować mijaną okolicę, dziką przyrodę i klimat. Stał się jeszcze bardziej ożywiony, kiedy zjechali z asfaltowej drogi i tarabanili się wąską, zakurzoną ścieżką.

– Przepraszam – powiedział, nagle zamilknąwszy. – Muszę cię zanudzać na śmierć.

– Przeciwnie. To fascynujące. Nigdy nie byłam nigdzie poza Europą, a tu jest tak... Tak bezkresnie. Tak pięknie. Choć moje słowa i tak tego nie oddają.

Uśmiech Roberta był ciepły, szczerzy.

– Są ludzie, którzy nienawidzą Afryki. Ale niektórzy z nas... Niektórzy po prostu to pojmują. Sądzę, że możesz okazać się jedną z nas, Lexy, jak myślisz?

Na chwilę spotkali się wzrokiem, lecz nagle jeep wjechał w dziurę i przechylił się pijacko na stronę Roberta, kiedy mocno i wysoko podskoczyli.

– Och! – Lexy złapała za uchwyt nad drzwiami, podczas gdy Robert skupił spojrzenie z powrotem na drodze, mocując się z kierownicą, by odzyskać kontrolę nad pojazdem.

– Przepraszam. Nie chciałem cię przestraszyć. Kiedy szanse na spotkanie innego samochodu są tak małe jak tutaj, można się zapomnieć i nie patrzeć na drogę, ale te dziury potrafią być naprawdę zdradliwe. Poza tym nie ma innych przeszkód w ruchu.

Lexy obserwowała jego profil, kiedy prowadził auto, rozmyślając o tym, co powiedział. Czy ona mogłaby być jedną z tych, którzy „to pojmują”? Na pewno podobał jej się krajobraz wiejski, który do tej pory widziała, widoki zapierały dech w piersiach. Tutaj została poczęta, może jakimś sposobem ma to we krwi. Być może kiedy odnajdzie syna Ursuli, swoją rodzinę zastępczą, poczuje przynależność do tego miejsca.

Ostro poleciała do przodu, kiedy jeep gwałtownie zahamował.

– Tam! – Robert wskazywał na parę drzewek po jej prawej; minę miał rozochoczoną i podekscytowaną.

– Co?

– Słonie. Widzisz je?

Lexy powoli potrząsnęła przecząco głową, wyężając wzrok, by zobaczyć, co próbuje pokazać jej Robert.

– Lornetka jest w schowku.

Wyjęła ją i spojrzała, nie mając pewności, ani czy patrzy przez okular z dobrej strony, ani czy prawidłowo posługuje się sprzętem, ale nie musiała się martwić. Robert zabrał jej lornetkę z rąk, rozejrzał się po horyzoncie, jedną dłonią obracając pokrętko między dwiema soczewkami, drugą wskazując przed siebie.

– Tak! – Brzmiał zwycięsko. – I antylopa, tak mi się wydaje... tak! Antylopy

szablrorogie.

*No cóż, wspaniale, że chociaż ty je widzisz*, pomyślała Lexy. Nic nie widziała i czuła, że rośnie w niej rozdrażnienie, tak samo, jak kiedy denerwowała się na Danny'ego. To niegrzeczne, tak po prostu wyrywać jej...

– Tutaj. – Robert przybliżył ją do siebie i podał jej lornetkę. – Ustawiłem ci widok.

Poczuła, jak się rumieni, i miała nadzieję, że reakcję tę wywołało jedynie zakłopotanie, że znów tak prędko źle go oceniła. Że nie miało to nic wspólnego z tym, jak objął ją, niemal przytulając. Obrócił ją we właściwym kierunku i zostawił jedną dłoń na ramieniu, a drugą wskazywał zwierzęta. Wstrzymała oddech. Widziała je, dzięki lornetce były jak na wyciągnięcie ręki, wydawało jej się, że może ich prawie dotknąć.

– Wspaniale, co nie? – Wiedziała, że Robert się uśmiechał, słyszała to w jego głosie. – Chodź, podejźmy bliżej – dodał, już otwierając drzwi.

– Och, ja... – Lexy nie chciała przyznać, że nie miała ochoty opuszczać bezpiecznego schronienia jeepa. – Nie trzeba, jest dobrze... Powinniśmy jechać dalej... Do kliniki...

– Dwie minuty. No chodź.

Wysiadł, obiegnął samochód i otworzył przed nią drzwi, ciągnąc za rękaw jak zniecierpliwiony dzieciak. Zawahała się sekundę, a potem, śmiejąc się, wyskoczyła z jeepa i pozwoliła, żeby pociągnął ją za sobą. Stąd widziała zwierzęta bez lornetki, Robert zwolnił, po czym stanął i odwrócił ku niej głowę z palcem na ustach. Zakradali się dalej. Serce waliło Lexy jak szalone. Nigdy w życiu nie widziała czegoś takiego. Jej matka zabrała ją do zoo, żeby zobaczyła „dziką” afrykańską zwierzynę – puchate, przyjazne potwory w klatkach – ale to... to była zupełnie inna bajka. Znów podniosła lornetkę do oczu, poczuła, że Robert obejmuje ręką jej dłoń, kieruje ją na regulację ostrości i pokazuje, jak manewrować pokrętłem. Zwierzęta rozmyły się, wyostrzyły i zaprezentowały

w całej swej okazałości. Czarne antylopy. Jeszcze bardziej zwiększyła zbliżenie i ciemne oczy spojrzały prosto na nią. Drapieżnik przyglądający się ofierze. Opuściła lornetkę i wydała stłumiony okrzyk. Robert spojrzał na nią zdziwiony. Zmarszczył czoło, potem wziął od niej lornetkę i zaprowadził z powrotem do jeepa. Wyczuła jego rozczarowanie. Gdy podeszli do auta, zatrzymała się.

– To zwierzę na mnie patrzyło – powiedziała. – Prosto na mnie. To było niesamowite. – Z ulgą zobaczyła, że na jego twarzy pojawił się znowu uśmiech.

– Prawda? To gatunek roślinożerny, mimo kłów i rogów.

– Naprawdę? – Lexy była zaskoczona. A więc nie do końca taki drapieżca z tej antylopy, jak przypuszczała. Nie była pewna, czy odetchnęła z ulgą, czy też raczej się zmartwiła, iż tak prędko wyobraziła sobie najgorszy możliwy scenariusz.

– Tak. Uzębienia i poroży używają jedynie do obrony. Moglibyśmy się tego od nich nauczyć. Tak się cieszę, że je widzieliśmy. – Robert roześmiał się. – Wiesz, przez chwilę mi się wydawało, że się boisz.

– O nie. – Lexy próbowała zaśmiać się pogodnie w odpowiedzi. – Nic a nic. – To było kłamstewko, żadne tam kłamstwo, widok po prostu ją zaskoczył. Ale nie, nie bała się. Oczywiście, że nie.

– W takim razie przepraszam, że cię stamtąd zabrałem.

– No cóż – powiedziała, czując się bezpiecznie i okazując łaskawość – czekają na nas w klinice...

– Tak, tak sędzę. Wracamy? – Wskazał na jeepa i ruszył do niego. Uśmiechał się od ucha do ucha. – Nie macie takich wspaniałych bestii u siebie w Edynburgu, prawda?

– Och, sama nie wiem. W sobotę wieczorem można się natknąć na dziki na Grassmarket.

– Tak, zwłaszcza na parę wypchanych w Morningside.

Zaśmiali się z kiepskiego żartu i resztki napięcia opadły. Doszli z powrotem

do jeepa. Otworzył jej drzwi i zamknął je za nią, gdy wsiadła do środka. Powoli okrążył samochód i podszedł od strony fotela kierowcy, rzucił ostatnie spojrzenie na zwierzęta, zanim usiadł za kierownicą. Znow ruszyli w drogę, tyle że tym razem cisza wydawała się przyjaźniejsza.

**K**linika mieściła się na skraju wioski. Zabudowanie było podłużne, proste, białe i parterowe, z otaczającą je werandą. Przed wejściem zebrało się już mnóstwo pacjentów, a Lexy widziała kolejne grupki oczekujących w cieniu drzew z boku budynku.

– Wygląda na to, że będziecie mieć ręce pełne roboty.

– Nie bardziej niż zwykle. Ale nie powinno mi to zająć więcej niż godzinę. Pielęgniarki zaopiekują się większością z nich, przyszli tylko po szczepionki. A potem możemy pojechać nad jezioro.

– Żaden problem. Mogę jakoś pomóc? – Lexy dostrzegła jego wahanie i stłumiła urazę, którą poczuła. *Bądź miła, Lexy, bądź miła.* – Chociaż nie chciałabym plątać się pod nogami. Może po prostu się przejdę, zrobię sobie krótki spacer albo nawet zdrzemnę się pod drzewem...

– Dobry pomysł. Tylko najpierw spójrz na gałęzie.

– Czemu?

– Węże. Mogą na ciebie spaść i...

– Och, nie kończ, proszę. Nie znoszę węży. Naprawdę ich nienawidzę. Czy są jado... Nie. Lepiej mi nie mów. Wolę nie wiedzieć.

– Przepraszam. Ale nie przejmuj się. Zwykle są nieśmiałe, więc pewnie nie kręcą się po okolicy. Z mojego osobistego doświadczenia mogę polecić tamtą miejscówkę. – Robert wskazał na wyjątkowo imponujące drzewo mopane, dające schronienie już jednemu śpiącemu psiakowi. – Nic ci tam nie grozi, stary Rufus jest nieszkodliwy. Głuchy jak pień i do tego bez zębów. Zmieście się we dwójkę, miejsca jest pod dostatkiem.



Lexy polubiła tego bardziej wyluzowanego i ludzkiego Roberta. Gdy tylko jednak się do niego odwróciła, on już wpadł w fachowy tryb działania, otworzył drzwi samochodu po swojej stronie i wołał coś do pielęgniarki, która wyłoniła się z kliniki.

– Sostro! Sostro Anakele! Mogłaby siostra mi pomóc? Przywiozłem zapasy.

Stanął przy bagażniku i wziął się za rozpakowywanie. Lexy wiedziała, że już o niej zapomniał, więc oddaliła się, by rozejrzeć się po wiosce. Spacer zajął jej tylko dziesięć minut, następnie kobieta rozsiadła się pod rzeczywiście kuszącym drzewem. Wyjęła plik spośród niezliczonych papierów, ułożyła go sobie na kolanach i... nie przeczytała ani słowa.

– Au! – krzyknęła Lexy bardziej z zaskoczenia niż z bólu, kiedy piłka odbiła się od jej nogi. Podniosła wzrok i zobaczyła małego chłopca, śmiejącego się i idącego ku niej chwiejnym krokiem.

– George, stój! – Robert wypadł zza rogu parterowego domu, pochwycił chłopaka i podniósł go do góry. – Mam cię! – Dzieciak zachichotał z zachwytem.

Lexy z trudem wstała, papiery leżały porozrzucane na kocu wokół niej.

– Robercie, ja... Czy ty...

– Czy skończyłem? Tak. – Uśmiechnął się, odstawiając małego na ziemię. – George, zabierz piłkę i szukaj mamy. Jutro postrzelasz więcej goli. – Chłopiec wziął piłkę, którą wyciągnęła ku niemu Lexy, i oddalił się w podskokach.

– Syn siostry Anakele. Oboje kochamy futbol, chociaż żaden z nas nie jest dobry w piłę. Mam nadzieję, że nie zrobiliśmy ci krzywdy?

– Och, nie. Groziła mi drzemka, a to zbyt piękny dzień, żeby go marnować.

– Pochyliła się, by zebrać rozproszone papierzyska.

– Daj, pomogę ci. – Podał jej garść notatek, a potem usiadł, opierając się o rosty pień, i zamknął oczy. – Nie będę ci przeszkadzał.

Czy w jego tonie krył się cień humoru? *Na pewno nie*, pomyślała Lexy. W końcu to poważny doktor Campbell. Zawahała się chwilę, potem usiadła

i także się oparła, ciesząc uszy szumem lekkiego wiatru poruszającego liśćmi.

Siedzieli w milczeniu, wsłuchując się w odgłosy dobiegające z kliniki, raz głośniejsze, raz cichsze; jedynie sporadyczne chrapanie Rufusa wskazywało, że zwierzak jeszcze żyje.

– Miałem rację, prawda? – powiedział Robert, brzmiąc niemal smutno. – Wcześniej, w samochodzie. Pojmujesz to, czyż nie?

– Tak. – Oddychała głęboko, wyczuwając zapach akacji i świeżo ściętej trawy oraz lekką woń piżma należącą do mężczyzny obok. – Tak, pojmuję.

Nastrój chwili zepsuło ciche burknięcie psa, któremu towarzyszył brzydki zapach.

– O nie... – Lexy zakryła usta i nos ręką.

– Czas na nas. – Robert wstał, pochylił się i wziął ją za rękę, by pomóc jej się podnieść, jakby to była najbardziej naturalna rzecz pod słońcem.

\*

**M**alawi zachwycało. Lexy widziała zdjęcia i czytała co nieco o jeziorze w przewodniku, który kupiła na lotnisku Heathrow, ale wciąż była zupełnie nieprzygotowana na zapierający dech w piersiach widok, który roztoczył się przed nimi, kiedy jeep zjechał po lekko pochyłej drodze na złociste wybrzeże. Poniżej jasna woda lśniła błękitem i srebrem, tworząc istny spektakl światła migoczącego na wietrze.

Piknik przygotowany przez Roberta był równie zachwycający. Mężczyzna zrobił na niej wrażenie. Duże wrażenie. Aż w końcu przyznał się, że o całość zadbała jego gosposia, a on jedynie wziął koszyk i przywiózł go tutaj na tylnym siedzeniu.

– Powinniśmy usmażyć na grillu świeżo złowioną rybę, ale dawno tego nie robiłem. Mój ojciec nauczył mnie wędkować, kiedy byłem chłopcem. Ostatnio

nie mam na to ani chwili.

– Tak, wierzę. Szpital, kliniki, twoje badania. Na dokładkę chora babcia. Chyba nie zostaje ci zbyt wiele czasu.

– To prawda, a do tego wszystkiego... jeszcze ta sprawa.

– Jaka sprawa?

– Apelacja Blantyre 144.

Lexy wstrzymała oddech. Blantyre 144. Teczka, którą widziała na biurku Roberta.

– Sprawa... co... jaka? – Próbowła zabrzmieć swobodnie, ale jego powolny uśmiech zdradził, że nic z tego.

– Ile zdążyłaś przeczytać, zanim Audrey cię przegoniła?

– Ja nie... Nie chciałam... Och, niewiele. Zobaczyłam tylko tytuł na wierzchu i przebiegłam wzrokiem parę wycinków z prasy.

– I czego się z tego dowiedziałaś?

– Nie tak dużo. Jedyne, że sporo ludzi zginęło w jakimś poważniejszym wypadku, raz czy dwa wyłowiłam nazwisko Buchanan, więc domyślałam się, że przedsiębiorstwo ponosiło winę albo przynajmniej było zamieszane w zajście.

– Cóż, wszystko się zgadza.

– Ale co to ma wspólnego z tobą? – Lexy pragnęła odwrócić uwagę od swojego myślowania i ulżyło jej, ponieważ wyglądało na to, że Robert zaniechał temat.

– To była tragedia narodowa. Na wielką skalę. Nigdy wcześniej ten kraj nie widział czegoś takiego: 144 osoby zmarły lub zaginęły i uznano je za nieżyjące. Bardzo mało ocalało. Prawie każdy kogoś stracił, znał którąś z ofiar... Oczywiście moja rodzina także, zwłaszcza babcia. Widzisz, wśród zaginionych była Helen Buchanan i dwoje młodszych dzieci. Nie odnaleziono ich ciał.

– To straszne. Naprawdę straszne. Evie musiała być zdruzgotana.

– Tak. Były bardzo zżyte. Przyjechały do Afryki razem, wraz z Ursulą.

– Co dokładnie się wydarzyło?

– Zerwała się potężna nawałnica. Nikt się jej nie spodziewał, w życiu nie przeżyliśmy czegoś takiego. Powalone drzewa, nieprzejezdne, zalane drogi, jezioro zamienione w dziki wir.

Lexy spojrzała na spokojną toń, na powierzchnię wody gładką jak lustro.

– Wiem – kontynuował Robert. – Trudno to sobie wyobrazić, prawda? Ale to jezioro potrafi być zdradliwe. Tak było tamtej nocy. Może gdyby... ale do tego dojdziemy. Tak więc przysłała burza. Ziemia i błoto się zwały, powstało osuwisko. Tam, widzisz to zbocze w oddali? Nie zawsze było takie strome. Lawina błotna zmiotła mnóstwo domów i zabrała ze sobą każdego, kto znajdował się na jej drodze. Wiele osób przedzierało się nad jezioro, by spróbować wydostać się stąd statkiem. Rzeka wzbierała i wszyscy myśleli, że to największe niebezpieczeństwo. Nikomu nie mieściło się w głowie, że całe wzgórze się osunie. Dom Helen został zniszczony. Błoto wyrwało tylne skrzydło budynku i zmiażdżyło je jak skorupkę jajka. Pożar strawił pozostałość. Nic nie ocalało.

– Czy ona... Tak zginęła? Pogrzebana w lawinie lub spalona w płomieniach we własnym domu?

– Nie. – Robert chwycił muszelki w dłoń i zaczął rzucać je jedną po drugiej do jeziora. – Nie, Helen utonęła razem z biednymi duszyczkami, próbując dostać się na parostatek Buchananów.

– Co?

– Były dwa statki, oba należały do przedsiębiorstwa. Wybuchła panika, w porcie zapanował chaos, jak możesz sobie wyobrazić. Ludzie desperacko pragnęli się wydostać. Jej mąż postarał się o prywatną szalupę dla siebie i rodziny. Nie pozwolił nikomu do niej wsiąść. Trzymał ich na muszce. Tak więc drugi statek, Blantyre, mimo że był o wiele większy, prędko się zapełnił, wręcz

przepętnił. Helen widziała, jak ich gosposia rozpaczliwie próbuje wdrzeć się na pokład, i zawołała ją, by dołączyła do nich. Kiedy tamta nie usłyszała, Helen wróciła przez kładkę do przystani, by ją zabrać. Fala błota uderzyła i zmiotła wszystkich w pobliżu, po czym wpadła do wody.

Lexy odebrało mowę, ale to nieważne, ponieważ Robert jeszcze nie skończył.

– Gdyby parostatek był odpowiednio wyposażony w sprzęt ewakuacyjny, może ocalałoby więcej osób. I gdyby przedsiębiorstwo Buchananów zadbało o szalunek na zboczu, na zapleczu magazynu, osuwisko mogłoby nie rozwinąć takiej prędkości. Jednak magazyny Buchananów zostały doszczętnie zniszczone. Chociaż jestem pewien, że powetowali sobie straty, i to z nadwyżką, dzięki odszkodowaniu z towarzystwa ubezpieczeniowego wypłaconego zarówno za utratę pomieszczeń magazynowych, jak i statku parowego.

Lexy uderzyła gorycz w jego głosie, ale nadal nie odezwała się ani słowem. Wiedziała, że Robert chciał opowiedzieć historię do końca.

– Prowadzono dochodzenie w sprawie Buchananów. Ława przysięgłych składała się z sześciu osób, trzy z nich nosiły to samo nazwisko. To, które, jak wiem, już obilo ci się o uszy.

Lexy wiedziała, do czego zmierza.

– Chakanaya.

Przytaknął.

– We własnej osobie. Dzięki Cameronowi Richard zgromadził znaczącą pulę udziałów w przedsiębiorstwie Buchananów, poza tym miał rodzinę i znajomości we wszystkich kręgach socjety Malawi. Dlatego właśnie Cameron połączył z nim siły. Jeśli chcesz coś załatwić i nie ceregielisz się z błahostkami, trafiłeś pod idealny adres. Na liście świadków także znalazły się interesujące nazwiska, rzecz robi się jeszcze ciekawsza, jeśli wziąć pod lupę panieńskie nazwiska mężatek, które przyszły zeznawać. Była co prawda garstka niezależnych świadków, ale jeden po drugim wycofywali swoje zeznania. Inni chętnie opowiadali

nieoficjalnie o zdarzeniu, ale prosto z mostu odmawiali składania zeznań. Nazwisko Chakanaya robi swoje.

– Zaczynam rozumieć, dlaczego za nim nie przepadasz.

Podniósł brew.

– Delikatnie powiedziane, Lexy. Nie znoszę gościa. Wiele rodzin zostało bez głównego żywiciela, dzieci pozbawiono rodziców. Sporo osób zasługiwało na odszkodowanie i potrzebowało go, ale pieniądze z ubezpieczenia trafiły do rąk zamożnych korporacji, a nie do tych, którzy ucierpieli. Nikogo nie zaskoczyło, że ani przedsiębiorstwo Buchananów, ani jego dyrektorzy nie zostali oskarżeni. Sama rozumiesz, na jaw wyszła notatka służbowa, która w cudowny sposób ocalała. Wydano w niej polecenie, by dyrektor naczelny przeprowadził dokładną kontrolę bezpieczeństwa na statkach oraz zlecił wyczerpującą inspekcję budowlaną magazynu oraz jego zaplecza. Wyciągi z rachunku bankowego należącego do tego samego dyrektora naczelnego wykazały niespodziewane i niewyjaśnione sumy pieniędzy, które wpłynęły na konto. Dyrektor, jak zdecydowali sędziowie w swej mądrości, zdefraudował finanse przeznaczone na środki bezpieczeństwa, uznano go więc za winnego, poniósł pełną, indywidualną odpowiedzialność. Interes Buchananów wyszedł z tego bez szwanku. A dyrektor trafił do więzienia, gdzie popełnił samobójstwo.

– Robercie, to... to straszne. Mówisz, że szefowie Towarzystwa Handlowego Buchanan wrobili go? Własnego dyrektora naczelnego?

– Wszystko, wszystko bez wyjątku na to wskazuje. Ale nie można niczego udowodnić.

– Traktujesz tę sprawę osobiście, prawda? Czemu? Kto...?

– Nie toleruję niesprawiedliwości. Zwłaszcza w takim wydaniu. Kiedy bogatemu białemu człowiekowi znów wszystko uchodzi płazem, mimo że uciskał i wykorzystwał rdzennych mieszkańców, mam ochotę powiedzieć „hola, hola, zły człowieku”. W Afryce nie panowałby taki burdel, gdyby Europejczycy

nie wyrwali jej z rąk tubylców.

– Ty też jesteś biały... – Nie chciała go prowokować, ale zaskoczyła ją porywczość w jego głosie.

– Tak. Jestem białym Afrykaninem w trzecim pokoleniu. To mój dom. Ale to nie znaczy, że uważam kolonializm za właściwy czy dobry krok ani też za zło konieczne. Nie trafia do mnie żadne powtarzane od lat usprawiedliwienie. To miało miejsce, ale Malawi wybiło się na niepodległość pół wieku temu i musimy przyjąć to do wiadomości. Poza tym chodzi bardziej o korupcję i nadużycia władzy, o bogacenie się kosztem biednych, niż o kolor skóry. Nie znoszę takiej niesprawiedliwości. Bez względu na miejsce. A z pewnością nie chcę jej w moim kraju.

Wstał, pokonał parę schodów na dół w kierunku wybrzeża i przystanął, spoglądając na spokojne wody.

– Dyrektor naczelny był dziadkiem Audrey.

– Aud... Ach, twojej asystentki. – Lexy przypomniała sobie wyraz potępienia na urodziwej twarzy kobiety, która nakryła ją na myszkowaniu w biurku Roberta.

Mężczyzna przytaknął.

– Jej tata też nigdy nie zapomniał tej hańby. Kiedy dorastał, powtarzano mu, że jego ojciec ponosi winę za śmierć 144 osób. Jak można normalnie żyć, gdy wisi nad tobą takie odium?

– Chyba się nie da.

– Nie. W każdym razie on nie potrafił. Poświęcił całe życie walce na rzecz oczyszczenia imienia ojca. Bez skutku. Minęły długie lata, zanim udało mu się wnieść apelację, ale w ostatniej chwili ją odrzucono. Znów sprawka klanu Chakanayów.

Tym razem poleciał kij. Robert rzucił nim do jeziora tak daleko, jak tylko zdołał, zaczekał, aż rozlegnie się plusk, a drobne fale się uspokoją, zanim znów

się odezwał.

– To była kropla, która przelała czarę goryczy ojca Audrey, w końcu odebrał sobie życie nieco ponad dziesięć lat temu. Audrey wróciła ze szkoły do domu i zobaczyła, że powiesił się na drzewie za domem. Byłem lekarzem, którego wezwano. Kiedy usłyszałem tę historię od początku do końca, nie mogłem się powstrzymać, musiałem się zaangażować. Tylu niewinnych ludzi zostało zabitych i skrzywdzonych, a tę krzywdę przekazano kolejnemu pokoleniu i jeszcze następnemu, nie wypłacając złamanego grosza odszkodowania nikomu poza grubymi rybami z przedsiębiorstwa. Miałem nadzieję, że zdołam pomóc. Porozmawiać z Davidem. Skłonić go, by rozważył sprawę ponownie, skoro Camerona już nie ma. Nasze rodziny znają się od momentu, kiedy Helen i babcia zeszły ramię w ramię z pokładu tamtego statku. David i mój ojciec chodzili razem do szkoły, grali w rugby w tej samej drużynie.

– I?

Śmiech Roberta zabrzmiał cierpko.

– A jak sądzisz? Skończyło się kiepsko, nie rozmawiałem z nim od tamtego czasu. Znów wystąpiliśmy więc na drogę sądową. Ale jeśli Buchananowie będą chcieli nas powstrzymać, zapewne znajdą sposób.

– Przykro mi, Robertcie. Nawet nie próbuję sobie wyobrazić, jakie to musi być frustrujące. To znaczy... Och, sama nie wiem. To po prostu... nie w porządku.

Robert spojrzał na nią nieswojo.

– Tak sądzisz? A gdybyś była na miejscu Davida, jak byś się zachowała?

– W porządku, rzecz jasna!

– Nawet gdyby oznaczało to zniszczenie firmy, największej w tej części Afryki, którą twoja rodzina zbudowała od zera? Nawet gdybyś ty osobiście mogła wszystko stracić?

– Tak. – Lexy była zdecydowana. – Przynajmniej spałabym snem



sprawiedliwego. Poza tym jestem pewna, że odłożyli trochę grosza na czarną godzinę. Tacy ludzie nigdy nie przymierają głodem.

Robert powoli skinął głową.

– Cóż, trzymajmy kciuki, żeby doszło do rozprawy apelacyjnej, a sąd miał tak samo niezachwiane rozeznanie dobra i zła jak ty. Ale przepraszam. Nie chciałem zepsuć ci całej zabawy. – Rozejrzał się wokół siebie. – A teraz dzień ma się ku końcowi. Lepiej się zbierajmy. Słońce zajdzie za jakąś godzinę.

Podczas drogi powrotnej Lexy milczała w samochodzie, pogrążona w rozmyślaniach. Robert w ogóle nie był taki, jak sądziła. Zmotywowany, to prawda, lecz napędzała go nie osobista ambicja, by wyrobić sobie nazwisko w świecie nauki, jak sądziła Lexy, ale pobudki zgoła bardziej altruistyczne. Nie jest skupionym na sobie zarozumialcem, za którego wzięła go na pierwszym spotkaniu. Okazało się, że był także dobrym słuchaczem. Mogła opowiedzieć mu o paru ostatnich tygodniach, o swojej matce, Dannym, Ursuli, o tym, czego zdołała się dowiedzieć o jej tajemniczym synu i jak do tego doszła. Źle go oceniła. Może w końcu nauczy się wierzyć ludziom na słowo, a nie jak zwykle pospiesznie ferować wyroki.

Było już ciemno, kiedy Robert zajechał przed hotel i zatrzymał się przed zdobnym portykiem.

– Dziękuję ci, Robercie. Naprawdę miło spędziłam dziś czas. Powinniśmy to powtórzyć... – Lexy zamilkła, mając nadzieję, że nie narzuca się zbyt, licząc, że mężczyzna wiedział, co miała na myśli.

– Mmm, mnie też było miło. Jasne, powtórzmy to. Może któregoś dnia wybierzemy się na ryby. – Pomachał jej i odjechał. Obserwując niknącego w oddali jeepa, Lexy żywiła nadzieję, że Robert także mówił poważnie.

**SZPITAL W BLANTYRE, 13 CZERWCA**

**N**azajutrz rano przy śniadaniu Barney przekazał Lexy wiadomość od Roberta, który odwiedził Evie. Kobieta stwierdziła, że później chętnie zobaczy się z Lexy, jeśli ta będzie mieć ochotę na powtórny wizytę.

Lexy przyjechała do szpitala w dobrym nastroju, choć odrobinę niepokoiła się, że Evie nie będzie chciała wracać do wspomnień. Jak się okazało, nie musiała się o to martwić.

– Nonsens, dziecinko. A co innego mam do roboty? Mam leżeć beczynn timer i czekać, aż mnie pokroją? Nie ma mowy. Lepiej skupić się na przeszłości, nawet takiej smutnej, jaką miała Helen, niż myśleć o terażniejszości, w której przyszło nam żyć. No dobrze, na czym skończyłyśmy?

– Cameron zjawił się ponownie. On i Ursula wrócili do siebie, a Ursula winiła Helen za...

– Głupia dziewczucha.

Przez chwilę Lexy sądziła, że Evie mówi o niej, ale ulżyło jej, kiedy starszka podjęła opowieść.

– Jak na tak mądrą i kompetentną pielęgniarkę, choć powinnam raczej powiedzieć siostrę, Ursula była nadzwyczaj naiwna. Co wychowanie w sierocińcu potrafi zrobić z dzieckiem. Pierwszy, najcichszy podszept miłości czy uczucia i... Cóż, powiedzmy, że Ursula nie miała okazji wykształcić w sobie wytrzymałości, odporności, świadomości. Dla mężczyzny pokroju Camerona była łatwym łupem. Oczywiście nawet nie spojrzalby na nią, gdyby nie pragnął

zemścić się na Helen. Winił Helen, że swoją odmową zrujnowała mu życie. Myślę, że naprawdę zaczął w to wierzyć. Ale ten człowiek był skończony, jeszcze zanim postawił stopę na pokładzie tamtego przeklętego statku. Zanim opuścił łono matki, mogłabym tak rzec. Za to potrzebował poświęcić Helen na kozła ofiarnego. Jej nieszczęście to dzieło jego życia, sama rozumiesz. Rzecz jasna, Ursula wierzyła w każde jego słowo, nie ufała własnemu osądowi. Jak mogła pomyśleć, że Helen... Cóż, jak już powiedziałam, była naiwna. A co do niego... Pewni ludzie po prostu rodzą się źli, a inni, jak to było w przypadku Helen, przychodzą na świat dobrzy, ale ich dobroć raz po raz poddawana jest sprawdzianowi...

— Mam wieści, Evie.

Evie złapała oddech, a jej twarz rozpromieniła się z zachwytem.

— Och, Helen! W końcu jesteś w...

— Nie. — Helen potrząsnęła przecząco głową i zmarszczyła czoło. — Nie, to nie o to chodzi.

— Ale myślałam... Przepraszam. To dlatego, że dopiero co mówiłaś, iż udajecie się do doktora Leavenbrooka, więc założyłam...

— Nie. Ale wygląda na to, że nie ma żadnego problemu, żadnej przeszkody... Jesteśmy więc pełni nadziei. Wkrótce. Może. W każdym razie chcę powiedzieć coś innego. Wracam do Szkocji, stąd ten doktor. Potrzebowałam pigułek na chorobę morską.

— Do Szkocji? Ależ dlaczego? A co z Greg...

— Evie, kochana! — Helen roześmiała się. — Ale jesteś dziś rano niecierpliwa. Daj mi skończyć.

— Oczywiście. Przepraszam. A więc Szkocja.

— Tak. Znosi się na to, że owdowiały mąż mojej ciotki postanowił wrócić na misję w Indiach, więc posiadłość w Edynburgu należy znów do mnie.

Sprzedamy ją, naturalnie, ale kiedyś to był mój dom, jest w nim mnóstwo wspomnień, drobiazgów po ojcu, szpargałów po matce, chcę je przejrzeć osobiście.

– Ale czy to dobry czas na wyjazd? Myślałam, że otwieracie placówkę na północy.

– Tak, rzeczywiście. Zajmie się tym Gregory. Kiedy mnie nie będzie, on może po prostu zamieszkać na północy, aż szlaki handlowe zostaną sfinalizowane. To łatwiejsze, niż cały czas jeździć wte i wewte.

– Och, rozumiem. Sądziłam, że wyjedziecie razem.

– Nie możemy oboje spuścić interesów z oka na tak długo, dlatego jadę sama. – Helen wzruszyła smukłymi ramionami i zaprezentowała ten swój pogodny uśmiech.

– Moja droga. – Evie podeszła i usiadła na sofie obok niej, biorąc dłoń Helen w swoje ręce. – Czy to rozsądne posunięcie? Domyślam się, że własnoręczne uprzątnięcie domu rodzinnego to trudne zadanie. Czy choć małżonek twojej ciotki będzie jeszcze na miejscu, żeby ci pomóc?

– Nie. Chce wracać do Indii tak szybko, jak tylko się da. Nigdy tak naprawdę nie był w Szkocji szczęśliwy. Został tam tylko przez wzgląd na zdrowie mojej ciotki, zbyt chorowitej, by znieść indyjski klimat.

– Rozumiem. – Evie martwiła się o swoją przyjaciółkę, nie podobała jej się myśl, że zmierzy się z tym przedsięwzięciem w pojedynkę.

– Czy chciałabyś... Oczywiście muszę najpierw porozmawiać z Douglasem, ale może...

– Nie, Evie. Absolutnie nie. Jesteś tu potrzebna. Ale niech Bóg cię błogosławi, że o tym pomyślałaś. Poza tym czasem łatwiej zabrać się do pracy bez ogródek i mieć to już za sobą.

– Zawsze jesteś taka silna. Martwię się o ciebie. Czasem trzeba się na kimś wesprzeć. Pozwolić sobie pomóc.

- Cóż, gospościa i jej mąż będą ze mną. Mogą mi pomóc.
- Nie do końca to miałam na myśli.
- Gregory już zajął się przygotowaniem do podróży. Wyruszam w przyszły wtorek.
- Tak prędko!
- I wrócę za parę miesięcy.
- Będę za tobą tęsknić.
- Brednie. Nie zdążysz zauważyć, że mnie nie ma. Kiedy wrócicie z Douglasem z otwarcia nowych klinik na wzgórzu, będę już z powrotem na miejscu. Zobaczysz.
- Mam nadzieję. Choć wolałabym, żeby Gregory wybrał się w drogę z tobą. Żeby cię wspierał...
- Świetnie sobie bez niego poradzę, Evie. Poza tym nie możemy tak po prostu zostawić interesów na pastwę losu. Nic mi nie będzie, zapewniam cię. Prawdę mówiąc, jestem przejęta. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę, co w świecie mody piszczy, i będę miała sposobność zakupu nowych materiałów, przyślę je tutaj do dekoracji domu. Może nawet wybiorę się na koncert. Wyobraź to sobie! Będę się pysznie bawić. Poza tym, że... Cóż. Ale, Evie, posłuchaj. To była dopiero jedna wiadomość. I to ta dobra. – Helen wzięła głęboki oddech. – Dziś rano Gregory otrzymał list od Camerona.
- Już mi się to nie podoba. Wiadomości na temat tego człowieka nigdy nie są dobre.
- Masz rację. Lecz tym razem przerósł samego siebie.
- Proszę, nie mów mi, że zamierza wrócić.
- Nie. Nie o to chodzi. Prawdę mówiąc, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Wrócił do Afryki Południowej i niewątpliwie zatrzyma się tam na najbliższy...

Kroki na korytarzu przerwały im, jeszcze zanim rozległo się pukanie. Ujrzały twarz gosposi Evie, która nie czekała na zaproszenie, w szeroko otwartych oczach widniał niepokój, ale zanim zdołała wydusić z siebie słowo, drzwi otwarły się na oścież, a zaskoczona służąca usunęła się z przejścia.

– Evie, muszę się z tobą zobaczyć. Helen! Ja... Nie wiedziałem, że tu jesteś. Przepraszam, przeszkadzam wam? Ja...

Zarówno Evie, jak i Helen wstały, zszokowane widokiem wzburzonej przyjaciółki. Kosmyki włosów wypadły z jej zazwyczaj starannie upiętego koka, a twarz była zaczerwieniona i opuchnięta. Jedna z pończoch Ursuli opadła zwinięta do kostki, w bluzce brakowało guzików, co upodabniało kobietę do przetrąconej, zniszczonej lalki.

– Ursulo! Na Boga, co się stało? – Evie podbiegła i ujęła przyjaciółkę za łokieć, kierując ją na sofę, Helen zaś wstała i wyciągnęła rękę, by im pomóc. Evie poprosiła gosposię, żeby niezwłocznie przygotowała herbatę i wodę.

Ursula zachwiała się i zawisła na przyjaciółce, po czym opadła bezwładnie na sofę.

– Słabo ci? – Helen sięgnęła po małą kopertówkę, którą wcześniej położyła na stoliku. – Wydaje mi się, że mam tu gdzieś sole trzeźwiące.

– Nie trzeba. Czuję się dobrze. – Głos Ursuli brzmiał słabo, głowa jej opadła, a dłonie trzymała na podołku, mocno zaciśnięte.

– Najwyraźniej nie jest z tobą dobrze. O co chodzi, moja droga? – Evie przykucnęła przed zrozpaczoną kobietą.

– Myślałam, że będziesz sama. Nie chciałam przeszkadzać.

– Kochanie, to tylko ja – powiedziała Helen. – Jak możesz sądzić, że przeszkadzasz? Nie bądź niemądra. Powiedz nam, co się wydarzyło. Jak możemy ci pomóc?

– Nie chciałam... Ja...

Gosposia Evie zjawiała się w drzwiach i Helen wzięła od niej tacę.

– Ursulo, woda. Napij się trochę. To cię uspokoi.

– Zaczynam sądzić, że potrzebujemy czegoś mocniejszego. – Evie zaczęła wstawać.

– Nie. – Ursula podniosła dłoń, żeby zatrzymać przyjaciółkę. – Nie trzeba. Woda wystarczy.

Wzięła szklankę od Helen, ręce tak bardzo jej drżały, że woda ochlapała bladoniebieską lnianą spódnicę, zostawiając ciemniejszą smugę na udach. Gdy szkło zadzwoniło o jej zęby, Evie i Helen wymieniły zmartwione spojrzenie. To było takie niepodobne do ich zazwyczaj opanowanej, uważnej przyjaciółki.

Ursula zachłysnęła się wodą i zaczęła kaszleć. Helen uratowała szklankę i odłożyła ją na tacę na stoliku, podczas gdy Evie usiadła na sofie i zaczęła delikatnie klepać przyjaciółkę po plecach.

– Już, już, kochanieńka. Spokojnie.

– Nie wiedziałam, gdzie mam pójść. – Ursula złapała oddech między jednym kaszlnięciem a drugim. – Nie miałam pojęcia, co robić... Ja... Och, musicie mi pomóc. – Jej pierś zafalowała, kiedy krztuszenie zamieniło się w szloch. Głębokie, stłumione łkanie, którego ani Evie, ani Helen nigdy nie słyszały u Ursuli.

– Kochana! Kochanie, na Boga, co się stało? – Helen przysiadła na bocznym oparciu sofy, mając Ursulę obok i spoglądając na Evie nad głową wypłakującej oczy kobiety. Evie potrząsnęła głową ze zdziwieniem.

– C... C... Cam...

– Cameron. – Głos Helen był zimny jak stal. – Co za człowiek. A więc już słyszałaś.

– Co słyszałam? Ja... Nie, nie. Nie odpowiada na moje wiadomości. Próbuje się z nim skontaktować, żeby powiedzieć mu, by wracał. Musi zmienić zdanie. Ja nie mogę...

– Co zrobił? – zadała pytanie Evie. – Co ten brutal ci zrobił tym razem?

– Powiedziałam mu, sama rozumiesz. I dlatego właśnie wyjechał. – Ursula miała koronkowy rąbek chustki, którą zwinęła w kulkę i ścisnęła kurczowo w dłoni. Evie położyła nań swoją rękę, by ukoić rozedrganie, lecz Ursula, strąciła pomocną dłoń, zerwała się na równe nogi i podeszła do otwartych drzwi wychodzących na werandę. – Wiem, że on się po prostu boi – powiedziała, wyglądając w noc. Helen i Evie patrzyły i czekały. – To był szok, zaiste, ale gdybym miała okazję jeszcze raz z nim porozmawiać, wiem, że zdołałabym go przekonać, że dobrze się stało. Że możemy się pobrać i żyć długo i szczęśliwie. Uczyniłabym go szczęśliwym mężczyzną, wiem o tym. Po prostu wiem. Tak bardzo go kocham, widzicie, i wiem, że on też mnie kocha, tylko trochę przestraszył się odpowiedzialności.

– O mój Boże. – Helen zakryła usta dłonią.

– Co? – zapytała Evie. – O co chodzi? Nie rozum...

– Zaszłaś w ciążę z Cameronem.

– Helen! Nie bądź nedorzeczna... – Evie zawiesiła głos, podczas gdy Ursula odwróciła się do nich z promiennym uśmiechem wymalowanym na twarzy.

– Powiedział, że nie chce dziecka. Że powinnam się go pozbyć. Ale wiem, że nie miał tego na myśli.

– Och, oczywiście, że miał. Każde słowo, jestem pewna.

– Helen, wiem, że to dla ciebie trudne. Też go kochałaś. – Helen fuknęła z odrazą. – Ale mogłabyś przynajmniej spróbować cieszyć się moim szczęściem. On kocha mnie. Będzie wspaniałym ojcem, a kiedy już staniemy na ślubnym kobiercu...

– Cameron nie ożeni się z tobą, Ursulo.

– A właśnie, że się ożeni. Gdy tylko ochłonie po niespodziewanej wieści. Urodzę nasze dziecko, a on...

– Posłuchaj mnie, Ursulo. Cameron nie pojmie cię za żonę.

– Tak! Poprosi mnie o rękę. Musi to zrobić, nie rozumiecie? W przeciwnym



razie... Inaczej... Jestem skończona i... i... – Ursula strzelała oczami na boki, dłońmi drapała się po głowie, wyciągając włosy z koka i sprawiając, że jeszcze więcej pasem opadło na jej zaczerwienione policzki. Wstała, chwiejąc się na nogach, i zaczęła bełkotać, jej głos przeszedł w głośniejszy, bardziej przenikliwy pisk.

– Ursulo! – Evie uciszyła kobietę, policzkując ją, i przez chwilę wszystkie trzy zamarły, po czym Ursula rzuciła się Evie w objęcia i dała się jej posadzić z powrotem na sofę. Evie uspokoiła szlochającą przyjaciółkę i podniosła wzrok na Helen, która stała nad nimi, a złość zmagająca się ze smutkiem o miejsce na jej bladym obliczu.

– Helen, czego dowiedziałaś się z listu?

– Cameron się ożenił.

Ursula przestała szlochać i podniosła zalaną łzami twarz ku Helen.

– Ożenił się z Gertie von Falken albo Gertie Steencamp, bo takie teraz nosi nazwisko.

– Wesoła wdówka... – powiedziała cicho Evie, przypominając sobie podróż do Afryki.

– ...została wesołą wdówką ponownie. Tym razem odziedziczyła tak sporą fortunę, że może sobie pofolgować z kimś w swoim wieku. Jakim cudem Cameron miałby się oprzeć? Pożądliwość i bogactwo. Pokusa nie do odparcia, zwłaszcza dla kogoś takiego jak on.

– Nie! – Ursula rzuciła się na Helen z pięściami. – Kłamiesz! On kocha mnie. Tylko mnie. Ożeni się ze mną!

Evie i Helen próbowały opanować ręce przyjaciółki i uniknąć paznokci, które wyciągała ku nim niczym kocie pazury.

– To niemożliwe. Wie, że noszę w łonie jego dziecko. Nie może tego zrobić!

– Ursulo, już to zrobił.

– To twoja wina! Twoja! Zazdrościsz mi. Chciałaś zagarnąć go dla siebie i...

i... zawsze musisz zepsuć mi radość, prawda?

– Nie wygaduj bzdur, Ursulo. Helen nigdy nie pragnęła Camerona. I mówi prawdę. Cameron nie zamierza do ciebie wrócić.

– Ale... ale... Co ja mam zrobić? Ja... nie mogę mieć... dziecka. – W końcu Ursula opadła bezwładnie na sofę. – Co ja teraz pocznę? – Te słowa wypowiedziała szeptem.

– Nie wiem, kochanie – odparła Helen ze zbolałym od współczucia wyrazem twarzy.

Evie przez chwilę milczała.

– Ja chyba wiem, co zrobić – powiedziała.

\*

**L**exy usiadła w szpitalnej stołówce z herbatą w ręku, trawiając następny odcinek historii, która zaczęła przybierać doprawdy żalospny wydźwięk. Współczuła Ursuli, chociaż ciężko jej było pogodzić relację Evie i obraz usychającej z miłości, porzuconej kobiety z własnymi wspomnieniami starszej Ursuli, spokojnej, pogodnej, opanowanej. A także cieplej, poczciwej i pełnej miłości. Lexy pamiętała, jak siedziała na kolanach Ursuli, która czytała jej bajkę, a także jak później czytały ją razem. Miała w pamięci przytulanki i całusy Ursuli na dobranoc. Ta kobieta potrafiła kochać, to było jasne. Jakie to bardzo, bardzo smutne, że została tak wykorzystana. Pokochałaby syna, Lexy była pewna. Przecież tak zapamiętała kochała Izzie, Lexy także. Co poszło nie tak? Co stało się z jej synem? A skoro już o tym mowa, to co zaszło pomiędzy Izzie a Ursulą tyle lat temu, kiedy odwiedziny ustały?

– Lexy?

– Robert! – Lexy poczuła, że pąs wykwita jej na twarzy, kiedy zachłysnęła się i wypluła łyk zimnej herbaty, mając nadzieję, że Robert przypisze rumieniec

temu gwałtownemu zajściu.

– Przepraszam, przestraszyłem cię?

– Tak. Nie. No cóż. Ja... Właśnie widziałam się z Evie. Teraz odpoczywa.

– Tak, wiem. Rozmawiałem z jej lekarzem. Nie będzie miała dziś operacji. Pewnie operują ją za dzień lub dwa, jak sądzi lekarz prowadzący, ale zobaczymy. Jakie masz teraz plany? Wracasz do hotelu?

– Och, może później. Na razie wybieram się na spacer. Muszę rozprostować kości, siedziałam cały poranek.

– Właśnie zamierzałem zjeść lunch na świeżym powietrzu. – Uniósł kanapkę w ręce. – Przyłączysz się do mnie? Zapewniam wycieczkę z przewodnikiem, jeśli masz ochotę.

– Robiłeś za przewodnika już wczoraj, niedługo to będzie twoja fucha na drugi etat. Ale tak, chętnie się przyłączę, jeśli nie masz nic przeciwko.

– Nic a nic. To będzie miła przerwa od chorób i papierkowej roboty. Chodźmy.

Wyszła za nim ze stołówki bocznymi drzwiami prowadzącymi wprost na duży trawnik, pomimo upału równie nienaganny, co wszystkie mu podobne w Blantyre, poprzecinany siatką wydeptanych ścieżek i obrzeżony krzewami uginającymi się od pomarańczowych i żółtych bugenwilli i innych kwiatów, których nie знаła, lecz które Robert potrafił nazwać. Ponownie uderzył ją jego ciepły ton, kiedy opowiadał jej o Malawi. Kochał ten kraj – swój kraj – to nie pozostawiało wątpliwości. Powątpiewała, czy sama potrafiłaby mówić o swojej ojczyźnie z takim entuzjazmem. Ale może to przez skojarzenia z nierozwikłanymi sprawami z jej niedawnej przeszłości.

Dotarli do klombu hibiskusa rosnącego przed ścianą na skraju trawnika i Lexy założyła, że zawrócą, ale Robert odgarnął parę bujnych gałęzi i odsłonił bramę.

– Co tam jest? – spytała kobieta.

– Głównie magazyny i tym podobne – powiedział, przytrzymując otwartą furtkę, by Lexy mogła wejść przodem – ale dawniej zakwaterowywano tu personel medyczny, zanim nie wybudowano nowych siedzib po drugiej stronie ulicy. Kiedyś, gdy nie istniało wyraźne i zdrowe rozgraniczenie między pracą a życiem prywatnym, mieszkali tu lekarze z rodzinami. Twój rodzice, jak sądzę, po ślubie zadomowili się w jednym z tych budynków. Twoja matka, jeszcze jako panna, pomieszkiwała oczywiście w Domu Pielęgniarskim.

Lexy zaciekała się. Budynki były jednopiętrowe, pobielane i otoczone werandami w stylu, który zaczynał wyglądać znajomo. Czy jej rodzice naprawdę mieszkali w jednym z nich?

– Gdzie? Gdzie mieszkali?

– Obawiam się, że nie potrafię powiedzieć. Ale babcia będzie wiedziała. Możesz ją o to zapytać, jeśli chcesz. Zabudowania przerobiono na magazyny, więc jeśli miałaś nadzieję odnaleźć echo przeszłości, będziesz zawiedziona. Chociaż ten budynek może cię zainteresować. Nie zmieniono go tak bardzo, czasem urządza się do niego wycieczki. To stara sala lekcyjna dla dzieci personelu. – Robert spróbował popchnąć drzwi, ale były zamknięte na klucz. – Och, szkoda. Zwykle jest otwarte. Mogłaby ci się spodobać staroświecka szkoła kolonialna, zwłaszcza biorąc pod uwagę twoją profesję. Innym razem.

*Tak, pomyślała Lexy, innym razem. Albo...*

– Robercie, ja... Tak się zastanawiałam, czy...

Obrócił się i spojrzał na nią wyczekująco.

– To znaczy, jeśli masz inne plany... Zastanawiałam się, czy zjadłbyś ze mną dziś wieczorem kolację. – Poczula, że się rumieni, próbowała zabrzmieć zdawkowo, ale serce jej waliło. Czy zachowywała się zbyt bezpośrednio? Dlaczego nic nie mówił? Zaryzykowała i spojrzała na niego. Marszczył brwi. Niedobrze.

– Lexy, ja... – Odchrząknął.

– Och, nieważne. Wiem, jaki jesteś zajęty, tak tylko proponowałam, na wypadek, gdybyś nie miał nic do roboty. To znaczy, sądziłam, że będziesz mógł opowiedzieć mi coś więcej o... o moich rodzicach albo Malawi, lub... – Lexy gaduła powróciła. – Przepraszam. W porządku. Zapomnij o tym.

– Lexy, pewnie powinienem powiedzieć ci o tym wcześniej, ale temat nie wyszedł w rozmowie... a ja nie sądziłem... Audrey. Audrey i ja jesteśmy...

– Och! – Lexy zakryła usta ręką. – Audrey. Twoja asystentka? Cóż, tak, oczywiście, że tak, ty i ona. Rozumiem, tak... Ale ona jest czar... Chciałam powiedzieć, kol...

– Kolorowa? – Był zły, rzucało się w oczy. – Nie jest jedną z nas?

– Nie, nie, nie to miałam na myśli – powiedziała tak, choć z przerażeniem stwierdziła, że to właśnie pomyślała. Oczywiście nie zrobiła tego umyślnie, ale w takim razie dlaczego nawet nie przyszło jej do głowy, że mogą być w związku, przecież zauważyła rzucające się w oczy uwielbienie Audrey dla swego szefa. Ale teraz stało się to takie oczywiste. – Chodzi o to... No cóż, że jest dość młoda i... choć to żaden powód. Nie. Ani trochę. Jest urocza. Na pewno jesteście bardzo szczęśliwi.

*Zamknij się, Lexy, po prostu się zamknij.* Pięć dni w tym kraju i zamieniasz się w kolonialną idiotkę.

– Przepraszam, Robercie – podjęła znowu. – Nie miałam zamiaru cię obrazić ani też składać ci dwuznacznych propozycji. – Próbowала rozluźnić napiętą atmosferę. – Tak sobie tylko pomyślałam, że moglibyśmy coś przegryźć, naprawdę nic się nie stało. Chyba że oboje macie ochotę... Nie, oczywiście, że nie – dodała prędko, gdy jego mina wyraziła dobitnie, że to nie byłby dobry pomysł. – No tak. – Teraz była pogodna i serdeczna. – Chyba powinnam już...

– Tak – wciął się pospiesznie. – Tak, powinnaś, ja też powinienem już wracać.

Przeszli z powrotem do szpitalnego wejścia w milczeniu. Lexy wiała się

z zażenowania, że tak błędnie odczytała sytuację. Co sobie wyobrażała? „Lepszy rydz niż nic”? Matka i jej przaśna mądrość wróciły, choć przysłowie „mowa jest srebrem, milczenie złotem” stanowiłoby w tej sytuacji bardziej pomocną wskazówkę.

**REZYDENCJA, 13 CZERWCA**

**J**eden kurs taksówką, szybki prysznic i mrożoną herbatę później świat prezentował się w bardziej pozytywnych barwach. Lexy po raz kolejny zabrała się za teczkę z herbacianą plamą. Miała nadzieję, że może czytanie o cudzym upokorzeniu pomniejszy jej własne. Chociaż odrzucone zaproszenie na kolację nie dorastało do pięt udęce Ursuli. Przeskakując do przodu, Lexy z zaskoczeniem dostrzegła, że następny fragment z dziennika był pobieżny, poplamiony i niechlujny; wrodzony dryg Ursuli do porządku i czystości zszedł na dalszy plan z powodu trudnej sytuacji. Lexy poczuła przypływ adrenaliny na widok ustępów dotyczących Szkocji oraz kolejnych listów od Evie... ale musiała wysilić się na cierpliwość. Powinna iść wytyczonym szlakiem, po kolei, krok za krokiem, i upewnić się, że nic nie przeoczy. Z piersi wyrwało jej się westchnienie. Zamieniała się w Danny'ego.

**KARTKA Z DZIENNIKA****BLANTYRE, 4 WRZEŚNIA 1949 ROKU**

**N**oc, będąca niegdyś źródłem wielkiego pocieszenia, teraz stała się karą, udęką. Jest czarna, mroczna, beznadziejna i bez końca; nie mam pojęcia, jak przez to przejdę. Powiedziałam mu i wypatrywałam w jego twarzy światła, radości, która – jak byłam pewna – nadejdzie. Powiedziałam mu i czekałam, aż obejmie mnie i przytuli do siebie, aż rozlegnie się śmiech, popłyną łzy, wydarzy się cokolwiek.

Musiał być szczęśliwy. Dlaczego nie był? Jeszcze będzie

Mówił, że mnie kocha. Przez tych parę cudnych tygodni powtarzał to w kółko.

~~Nie dam rady żyć, jeśli~~

Kocha mnie. Wiem to. Musi.

Czuję się wydrążona i pusta w środku, to do mnie takie niepodobne. W jednej chwili jestem pełna podziwu dla tego cudu, który powołaliśmy do życia, a za moment znów płaczę nad tym, jaka jestem głupia.

On potrzebuje czasu. Wróci do mnie.

Może powinnam oznajmić mu to w łagodniejszych słowach, ale byłam taka rozradowana. Zapewne martwi się, co ludzie powiedzą, lecz to wcale nie takie niespotykane, w końcu trwała wojna

~~a jeśli wkrótce weźmiemy ślub~~

Może nawet uda nam się to ukryć, powiedzieć, że to wcześniak albo

Niektórzy się ucieszą, jeżeli

Moja reputacja nam pomoże.

Nikt by mnie o to nie podejrzewał, siostra Reid, coś podobnego! Moglibyśmy później sfignować daty i coś wymyślić, sama nie wiem. Nieprzyzwoitość. Skandal. Jakie to dziwne, pomyśleć, że te słowa tyczą się mnie. Siostra przełożona Proudfoot raczej tego nie pochwali. A z pewnością się dowie. Stracę posadę. Ale przecież moglibyśmy uciec. Mogłabym podjąć pracę w innym szpitalu. ~~Może po urodzeniu dziecka nie wrócę do zawodu, a Cameron zaopiekuje się~~

Nazwał mnie głupią dziewczuchą. „Nie wiedziałam, co z tym zrobić?” – spytał. „Na pewno miałam pojęcie, biorąc pod uwagę moje medyczne wykształcenie”. I roześmiał się. Ale nie tak, jak tego chciałam. Potem wyszedł.

Nie wraca.



Co ja pocznę?

**KARTKA Z DZIENNIKA  
KAPSZTAD, 11 WRZEŚNIA 1949 ROKU**

**K**olejna bezsenna noc. Taka, którą chcę zapamiętać. Ostatnia pod aksamitnym afrykańskim niebem. Przynajmniej na jakiś czas. A może na zawsze. Nie wyobrażam sobie powrotu do życia w Blantyre. Nie jestem taką kobietą, którą chciałam, by świat we mnie widział. Jestem kobietą upadłą. I porzuconą. Nie lepsza od panienki lekkich obyczajów z dzielnicy Leith. Do tego stanę się oszustką i kłamczuchą. Podobnie jak moje przyjaciółki. A wszystko po to, by się ocalić.

Kilka ostatnich dni minęło w mgnieniu oka. Po raz pierwszy mam sposobność, żeby usiąść i napisać parę słów, ale nie wiem, od czego zacząć. Tyle się wydarzyło. Widzę to wyraźnie w myślach, ale nie sądzę, bym zniosła widok zapisu tych wypadków na papierze. Na zawsze. Naprawdę. Poza tym o czym tu mówić? Nie chcę znajdować wymówki lub usprawiedliwienia. To nie ma najmniejszego sensu.

Evie wyjechała wczoraj, a Helen śpi w sypialni obok, w końcu zostałam więc sama na tym wąskim, bezkwietyńskim balkonie wychodzącym na ciemne morze. Jutro wsiadamy na statek. Potem Szkocja. Dom. Tylko że nie jestem pewna, czy poczuje się tam jak w domu. Jeśli naprawdę nim kiedyś był. Znow popłyniemy na pokładzie Aurory. Historia zatoczyła pełne koło. Wracamy do punktu wyjścia, gdzie wszystko się zaczęło – niezbyt dobra wróżba na podróż.

**DOM MISYJNY NAD UPPER SHIRE RIVER  
28 LISTOPADA 1949 ROKU**

*Droga Ursulo,*

*Słowa nie wyrażą, jak bardzo ucieszyły mnie wieści od Ciebie i pewność, że Ty i Helen macie się dobrze, jesteście bezpieczne i nie zamierzycie na śmierć w zimnicy Highlands, naszych szkockich gór. Obie – na marginesie: czy powinnam pamiętać o kimś jeszcze? – jesteście w moich myślach i codziennych modlitwach. Dobrze, że macie siebie nawzajem, ale i tak okrutnie za Wami tęsknię. Żałuję, że nie mogę być przy Was, żeby pomóc Wam i Was wspierać, choć akurat o ciąży żadna z nas nie ma zbyt wielkiej wiedzy. Nawet będąc żoną doktora, nie naoglądałam się za wielu porodów, a to wszystko przez źle pojętą obyczajność lekarzy z kliniki misyjnej. Idioci. W takim momencie kobiety potrzebują kobiet. Przynajmniej jesteś pielęgniarką, więc medyczne aspekty tej sytuacji nie są Ci obce. Bogu dzięki.*

*Na mojej twarzy zagościł uśmiech, kiedy czytałam o porannych mdłościach na statku, dobrze, że okrętowy lekarz poczytał to jedynie za symptom choroby morskiej, chociaż z drugiej strony to raczej niepokojące, że przez cały czas pobytu na morzu Wasze zdrowie spoczywa w rękach kogoś, kto nie poznaje ciężarnej kobiety, choć ma ją przed oczami! Helen, nie wątpię, miała na ten temat wiele do powiedzenia i jestem pewna, że z trudnością przyszło jej trzymać język za zębami, by nie wyrazić otwarcie, co o tym sądzi.*

*Czytając Twój list, zatęskniłam za domem, choć odwiedzaliśmy gospodarstwo wiejskie mojej matki zaledwie na dwa tygodnie w każde wakacje. Uwielbiałam długie spacery po plaży, najpierw jako mała dziewczynka, a później jako panna młoda niedawno zesła ze ślubnego kobierca, a usychająca za nieobecny mążem. Pozwolę sobie na odrobinę melodramatyzmu. Spacerowałam po wybrzeżu bez względu na pogodę, pozwalając morskiej mgiełce kąsać mnie*

w twarz, a wiatrowi porywać włosy. Kochałam te chwile, gdy czułam się taka żywa, w idealnej harmonii z samą sobą – jeśli mnie rozumiesz. Nie wyobrażam sobie lepszego miejsca, by się urodzić.

Gregory był tu dwa tygodnie temu na spotkaniu misyjnym. Nie posiadał się ze szczęścia. Nie mógł przestać mówić o swoich planach z Helen i dzieckiem – jest pewien, rzecz jasna, że to będzie chłopiec, więc Bóg jeden wie, co się wydarzy, jeśli urodzi się dziewczynka. Choć mężczyzna z taką zdolnością do kochania jak Gregory ucieszy się i obdarzy miłością wszystko, co przyniesie mu los. Gdybyś tylko mogła zobaczyć jego minę, gdy o tym mówił!

Będzie wyjątkowym ojcem, Ursulo, moja droga, nie musisz się o to martwić. I bez reszty uwierzył w nasz fortel. Nękało mnie poczucie winy z powodu mojej decyzji, ale prawdę mówiąc, zastanawiałam się, czy to ma aż tak duże znaczenie? Twoje dziecko będzie serdecznie kochane. Gregory i Helen rozpaczliwie pragną potomka i nie zostali nim jeszcze pobłogosławieni, i zaryzykuję stwierdzenie, nawet jeśli zabrzmie odrobinę nietaktownie, że kiedy na nich spojrzeć, bije w oczy, iż ich miłość nie byłaby taka jak dziś, gdyby tak bardzo tego nie pragnęli! Dziecko będzie wielkim darem dla nas wszystkich.

Gregory przyniósł mnóstwo wiadomości z Blantyre i Zomby, lecz niewiele z nich warto powtarzać. Klub nadal działa, plotki pojawiają się i znikają, misyjne targi handlowe okazały się ogromnym sukcesem – najwyraźniej to był słuszny krok ku rozwianiu wątpliwości, które wywołać mogły niedawne pogłoski co do uczciwości Buchananów. Im prędzej ludzie zapomną o związkach Camerona z przedsiębiorstwem, tym lepiej.

Drogi Gregory orze jak wół. Osobiście odwiedza każdą placówkę

misji z osobna, aby zapewnić, że sprawa jest uczciwa, a zaufanie do Buchananów uzasadnione. Wyglądał znacznie lepiej niż ostatnim razem, kiedy go widziałam. Przypisuję to nowinom o dziecku. Cieszymy się, że interesy trzymają go tutaj, ponieważ gdyby mógł, bez wątpienia wsiadłby na następny statek do domu, by być razem ze swą ukochaną Heleną i jeszcze nienarodzonym dzieckiem – o Panie, wybacz nam nasze oszustwo.

Musimy być silne, wszystkie bez wyjątku, i musimy przemilczeć prawdę. Helen pokocha Twoje dziecko jak własne, a Ty zostaniesz matką chrzestną i będziesz uczestniczyć w życiu malca, jak każdy spodziewałby się tego po najbliższej przyjaciółce jego matki. To napawa mnie wielką radością, droga Ursulo. Bez względu na okoliczności, w jakich doszło do poczęcia, wszyscy pokochamy tę dziecinę, to miłość do tego dziecka zasypała wyrwę między Tobą a Helen. Moje dwie najdroższe przyjaciółki znowu się przyjaźnią. Jak moglibyśmy nie kochać maleństwa, które to sprawiło?

Gregory dostarczył także nieco mniej przyjemnych wieści, czuję, że powinnam Ci je przekazać, choć nie jestem pewna, czy on podzieliłby się nimi z Helen. Zaiste rozumiem, czemu się wstydzi, ale nie miał z tym nic wspólnego, wszyscy to wiemy. Wytoczono śledztwo Cameronowi i jego nowej małżonce, ona zaś wszczęła procedurę rozwodową. Wygląda na to, że okoliczności śmierci męża Gertie nie są jasne. Niektórzy szemrzą o otruciu lub podawaniu niewłaściwych dawek przypisanego mu medykamentu. W grę wchodzi spore pieniądze. Niespodziewanie okazało się, że ów denat miał syna z pierwszego małżeństwa, który teraz zgłosił wątpliwości co do przyczyny śmierci swego ojca i nowego testamentu sporządzonego tuż przed zgonem, czyniącego Gertie jedyną dziedziczką. Cameron

*został przesłuchany przez policję, jak sądzę, i zakazano mu opuszczania Johannesburga, co poczytuję za dobre wieści, ponieważ cieszy mnie, że trzyma się od nas z daleka. Wiem, że słuchasz tych doniesień z bólem, moje serce naprawdę cierpi z Twojego powodu, Ursulo. Mam świadomość, że pomimo wszystkich jego niegodziwości, kochałaś tego mężczyznę, więc mówię Ci to tylko po to, byś zamknęła przed nim drzwi do swego serca. Poza tym perspektywa powrotu do nas może wydać Ci się mniej odstręczająca, wiedząc, że nie ma go tutaj. Nie obawiaj się. Ten człowiek ma więcej żywotów niż kot, jestem pewna, iż nie dosięgnie go żadna krzywda. Nie wierzę, by Cameron maczał palce w morderstwie. W każdym razie towarzyszy mu ten cały Chakanaya, a jeśli ktokolwiek ma wiedzieć, jak obchodzić się z władzami, to właśnie on.*

*O życiu na misji nie mam Ci zbyt wiele do powiedzenia. Sierociniec prosperuje, klinika przyjmuje wielu pacjentów, a nowy kościół niemal pęka w szwach – na marginesie: jakie to urocze miejsce na chrzest! Lecz dość o tym, wychodzę przed szereg. Mamy nadzieję gościć tu jeszcze parę tygodni, a potem wrócić do Blantyre, by świętować Twój powrót jesienią.*

*Bądź bezpieczna w swojej kryjówce w szkockich górach, droga Ursulo, miej się dobrze. Wiedz, że sercem jestem z Tobą, a Ty jesteś ze mną w moich modlitwach.*

*Twoja kochająca przyjaciółka,*

*Evie*

**KARTKA Z DZIENNIKA  
GLASGOW, 21 MAJA 1950 ROKU**

Wjechała. On też wyjechał. Stoję w porcie, macham i uśmiecham się, jakbym cieszyła się, że odpływają. Raz jeszcze zalewa mnie fala obezwładniającej zazdrości o nią, choć powinnam być tak bardzo, przeogromnie wdzięczna. Lecz to ona znowu ma to, co dla mnie najcenniejsze. Tyle że tym razem nie jest to miłość łajdaka, lecz mój synek. Mój syn! Dobry Boże, jak mogłam się na to zgodzić? Jak zdołam z tym żyć?

Spodziewała się, że wrócę wraz z nią; prawdę mówiąc, ja też tak sądziłam. Dopiero wczoraj podczas ostatnich przygotowań zdałam sobie sprawę, że nie mogę. Nie dam rady patrzeć, jak zabiera mojego syna do Gregory'ego, mówi mu, że chłopiec to ich dziecko. Nie zniósłabym widoku ich szczęśliwej rodziny, którą sama mogłam mieć, gdyby Cameron mnie kochał. Gdyby Cameron miał w sobie choć krztynę honoru. Honor. Kto by pomyślał? Nie jestem bez winy, nie będę pierwsza chwytając za kamień. Nie ja, tchórz najwyższej próby, któremu nie starczyło nawet odwagi, by zatrzymać własnego syna. Raczej nie przystoi mi rzucać kalumnii na postępowanie innych. Ale to i tak by nie zadziało, nawet gdybym była dość odważna. Jakim cudem miałabym zachować dziecko i pracę? A gdybym nie pracowała, jak bym przetrwała?

Teraz nie mam ani tego, ani tego. Nie wiem, co począć. Gdzie się podziać? Muszę podjąć pracę. Bez listu polecającego od siostry przełożonej Proudfoot znalezienie posady będzie trudne. Nie wybaczyła mi mojego nagłego wyjazdu. Zbyt późno przypomniałam sobie, że wiedziała, iż schorowana matka to kiepska wymówka. Miałam to w aktach, rzecz jasna. Brak rodziców. Oraz innych bliskich krewnych. Sierota. Doktor Campbell, drogi Douglas, może zdoła mi pomóc, jeśli Evie go o to poprosi.

Lecz jeszcze nie potrafię zaprzętać tym sobie głowy. Porzuciłam własne dziecko. Oddałam je. Jaką kobietę to ze mnie czyni? Jestem takim samym potworem co Cameron. Jakie szanse miałyby nasze dziecko? Lepiej mu będzie z Helen i Gregorym – wzorową parą idealną. Zapewnię mu o wiele lepszy start

niż ja mogłabym obiecać. A ten ból, to wykańczające cierpienie, tak dotkliwe, tak... To moja pokuta. Nie zasługuję na to, by zapomnieć. Nigdy tego nie zapomnę. Zręcznego uścisku jego małej rączki, doskonałości jego drobnych paluszków! Delikatnego ciepła jego oddechu na moim policzku, kiedy przytulałam go do serca. Subtelnego podnoszenia się i opadania kołderki, kiedy spał. O, dobry Boże. Nie ma przebaczenia za to, czego się dopuściłam, ale proszę, nie karz jego, mojego pięknego, ślicznego chłopczyka, za grzechy jego haniebniej matki.

### **KARTKA Z DZIENNIKA**

#### **TAIGH NA MARA, 29 LIPCA 1950 ROKU**

**N**ie wrócę tam pomimo ofiarności Evie, jej uporu, by przepisać dom na mnie, ponieważ powinien być mój. Nie zasługuję na to. Zostawię wszystko za sobą. Zamknę ten rozdział i nie pozwolę, by trucizna sączyła się do mojego nowego życia. Może powinnam wyrzucić klucze i spisać dom na straty. Pozwolić, by spróchniał. Obrócił się w bezpieczny pomnik mojej grzeszności.

Nie mogę jednak pozwolić sobie na taką beztroskę. Porządki miały na mnie niejako terapeutyczny wpływ, a myśl, że zamieszka tu ktoś nowy, kto nie ma pojęcia o udręczonych duchach, które nawiedzają te mury, pomaga. Notariusze mówią, że znalezienie osoby, która zechce zamieszkać na tym krańcu świata, zajmie trochę czasu, ale to dobrze. Duchy także dostaną czas, by się przeprowadzić, odnaleźć mnie w Edynburgu i osiedlić się. A jednak coś mnie tu trzyma. Nie do końca wiem co. Może zmiana miejsca zamieszkania wydaje mi się niewdzięcznością w stosunku do Evie. Lub jawi się jako posunięcie za bardzo ostateczne. Nie jestem pewna, ale być może pewnego dnia wszystko się odmieni. Przywiozę go tu i pokażę mu miejsce, gdzie się urodził, będziemy się z tego razem śmiać i razem nad tym zapłaczemy. I ozdrowiejemy. Och, gdyby tylko to było możliwe!

Helen wysłała mi jego fotografię. Wiem, że miała dobre intencje, dotrzymując słowa, iż będzie się dzielić ze mną każdym krokiem w jego życiu, jak tylko najlepiej potrafi, lecz nie mogę się powstrzymać. Zazdrość zakorzeniła się we mnie. Do tego jestem jej dłużna na całe życie. Jego życie. To dług, jakiego nigdy nie zdołam spłacić, przez co zaczynam jej nienawidzić.

**BLANTYRE**  
**27 WRZEŚNIA 1950 ROKU**

*Droga Ursulo,*

*Piszę ten list w pośpiechu na prośbę Helen, dokładniejszą relację otrzymasz później. Chcemy, by ta wiadomość dotarła do Ciebie tak szybko, jak to tylko możliwe. Co za wieści – Helen jest w ciąży, nosi w łonie własne dziecko! Wkrótce Twój kochany chłopczyk będzie mieć rodzeństwo, towarzysza zabaw, kogoś, kto będzie go podziwiał i kochał tak samo jak my wszyscy. Och, nie wyobrażasz sobie, jakie przepelnia ich szczęście – Gregory i Helen są cudownymi rodzicami, a dzięki drugiemu dziecku w drodze nasz sekret jest jeszcze bezpieczniejszy. Mając własne potomstwo, nasz mały miodowodzik nigdy nie dowie się prawdy.*

*Nie obawiaj się, moja droga przyjaciółko. Helen kocha Twojego chłopca jak własnego, tak samo Gregory. Przynręka, że będzie kochać go nie mniej, gdy urodzi się jej własne dzieciątko, a znając rozmiary kobiecego serca, miejmy pewność, że jej słowa są prawdziwe.*

*Wiem, że te wieści w pewnym, choć małym stopniu Cię zranią, Ursulo, ale co się stało, to się nie odstanie, a Twój chłopak nigdzie nie dostałby tyle szczęścia i tak dobrej opieki. Nie chciałybyś, żeby*



*dorastał jako jedynak, jestem przekonana, postaraj się więc radować tą nowiną. Dobrze, że wychowa się z innym dzieckiem pod bokiem.*

*Następnym razem napiszę więcej, obiecuję. Do tego czasu dbaj o siebie i wiedz, że często o Tobie myślimy.*

*Z miłością,  
Evie*

*PS. Mam nadzieję, że posada w Edynburgu okazała się dogodna. Douglas był pewien, że idealnie się nadasz i rzecz jasna zachwalał Cię pod niebiosa w liście polecającym!*

**SZPITAL W BLANTYRE, 14 CZERWCA**

**L**exy spała tak krótko, że znalazła się w szpitalu wcześniej, niż planowała, rozważając napięcie się kawy w szpitalnej stołówce albo spacer po terenie placówki, by spożytkować czas pozostały do umówionego spotkania z Evie. Kręciło jej się jednak w głowie od tego, czego dowiedziała się z teczki poplamionej herbatą, przez co wróciła do albumu fotograficznego i przyglądała się twarzom kobiet i mężczyzn grających główne role w dramacie wyłaniającym się z dokumentów Ursuli. Ciężko było pogodzić to, co przeczytała, ze wspomnieniami statecznej, darzonej szacunkiem siostry przełożonej z Edynburga, którą Lexy znała z dzieciństwa. Z ciepłem i miłością, które czekały na Izzie i Lexy, za każdym razem, kiedy składały wizytę. To oczywiste, iż Ursula była troskliwą i kochającą matką dla Izzie i dała jej wszystko poza nazwiskiem. Jak więc ta sama kobieta mogła porzucić własnego syna, oddać go innej kobiecie...? Czy to dlatego, że opuściła jedno dziecko, drugie załapała ogromnym uczuciem?

Tak skandaliczny plan, a jednak, jak się zdawało, zadziałał. I to Evie go zaproponowała. Syn Ursuli dorastał w miłości i bogactwie, czy miało to więc dla niego jakiegokolwiek znaczenie? Czy wiedział? Przelewy. Pewnie dlatego... Lecz kiedy odkrył prawdę i w jaki sposób? I jak się z tym poczuł? To, że Lexy czuła się zdradzona oraz jej gniew na matkę za ukrywanie przed nią informacji stracił na znaczeniu w świetle tego, co musiał przeżyć syn Ursuli, gdy dowiedział się o dziedzictwie, o swej prawdziwej tożsamości, którą mu skradziono. A jednak

zapewniono mu komfort dorastania w o wiele lepszych warunkach, niż gdyby zatrzymała go biologiczna matka. Lexy nie mogła się powstrzymać i czuła, że kłamstwa i oszustwa, zwłaszcza w kwestii podwalin tożsamości i okoliczności czyichś narodzin, były z gruntu złe... A jednak... Jednak...

Kiedy dotarła do szpitala, zniecierpliwienie zaczęło brać górę. Zawarła ze sobą umowę. Uda się prosto do sali Evie, a jeśli staruszka nie śpi i będzie miała ochotę ją przyjąć, to niech tak będzie. Lexy musiała trzymać swoje emocje na wodzy, pamiętać, że Evie niebawem przejdzie poważną operację i bez względu na to, co wydarzyło się dawno temu, Lexy nie zna wszystkich okoliczności, ceny, którą te trzy kobiety musiały wówczas i przez wiele kolejnych lat zapłacić. W skrócie – nie wolno jej oceniać. Wysłucha z otwartą głową, bezstronnie i po akademicku zgromadzi informacje. Danny byłby z niej dumny. Jeśli jej się uda, rzecz jasna.

Idąc korytarzem ku sali, dostrzegła, że drzwi są uchylone. Podnosząc rękę, by zapukać delikatnie w drewno, z zaskoczeniem usłyszała głos Evie i wyłowiła parę słów, zanim drzwi otworzyły się na oścież pod jej naporem.

– Pamiętaj, co uzgodniliśmy. Ani słowa o...

– Dzień dobry? – Uśmiech zgasł Lexy na twarzy i przewróciło jej się w żołądku, kiedy zdała sobie sprawę, że Robert jest w pomieszczeniu. Fala wczorajszego upokorzenia uderzyła ją z pełną mocą. – Och, przepraszam. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

– Lexy, kochanieńka, wcześniej przyszłaś.

– Tak, wiem. Byłam w... Wrócić później?

– Nie, nie. Ani trochę nie przeszkadzasz, wejdź, dziecinko. Robbie, chłopcze, zajmij się tym. Sprzątnij ten bałagan, żeby nasza kochana dziecina mogła usiąść.

– Dziękuję, ale naprawdę mogę zajrzeć potem...

– Nonsens. Robbie chętnie się mną podzieli. Powiedz, jak ty się masz? Rany Julek, wyglądasz na wycieńczoną. Nasze malawijskie słońce ci nie sprzyja?

– Nie, nie o to chodzi. Kiepsko spałam.

– Doprawdy? Nie jesteś aby chora, kochanieńka? Robbie może ci coś przepisać, jeśli...

– Nie! – Lexy zatrwożyła się na samą myśl o Robbiem, który się nią opiekuje. Zaczynała żałować, że nie opanowała sztuki cierpliwości i nie siedziała teraz na dole, popijając kawę. – Chciałam powiedzieć: dziękuję, ale naprawdę nie trzeba, czuję się dobrze. Po prostu myślałam o tym, co powiedziałaś, Evie, przeglądałam zdjęcia i przeczytałam co nieco z teczki, którą znalazłam pod fotelem Ursuli i... Cóż, dość mnie to przytłoczyło. A później próbowałam pozbierać do kupy wszystko, co powiedzieli prawnicy, i coś z tego wywnioskować, ale pojawiało się jeszcze więcej pytań i... Dlatego właśnie nie zmrużyłam oka. Poza tym nie wiedziałam, czy już wyznaczono termin twojej operacji, czy jeszcze nie, pomyślałam więc, że jeśli przyjdę wcześniej, zdążysz jeszcze odpocząć przed zabiegiem. Naprawdę doceniam, że w ogóle chciałaś się ze mną spotkać w takich okolicznościach... Chciałabym zapytać cię o tyle rzeczy, jestem pewna, że znasz odpowiedzi...

Lexy zaczerpnęła powietrza, w końcu podniosła wzrok i zobaczyła ich nieruchome i uważne twarze.

– Przepraszam, trajkoczę, a wiem przecież, że masz operację na głowie, tyle że to po prostu... Przepraszam.

– Nie przejmuj się, kochanieńka. Nie jestem kruchym, starym próchnem, jak pozwolił sądzić ci Robert. Z radością zajmę myśli czymś innym niż operacja.

– Tak. Przepraszam. Wiem. Ale nie powinnam zasypywać cię...

– Nie, nie powinnaś – przemówił w końcu Robert, marszcząc czoło z wyraźną przyganą. – Pamiętaj, że...

– Nudzę się jak mops, przykuta do łóżka całymi dniami. Moja jedyna perspektywa to wycieczka do łapiducha. Odliczam dni. Im więcej dostarczysz mi rozrywki, kochana Lexy, tym lepiej.

– Babciu, naprawdę nie powinnaś jej pozwalać...

– Cicho, Robbie. Daj dziewczynie spokój. Czuję się świetnie.

– Nie. To ja przepraszam. Znów się wtrąciłam i nawet nie zapytałam, jak się czujesz. – Będąc odrobinę zawstydzona, Lexy czyniła wielkie wysiłki, żeby zwolnić.

– Robert ma rację. – Wypowiedzenie tych słów aż ją zabolalo.

– Ale nic mi nie jest, kochanieńka.

– Nie do końca.

– Robbie.

– Babciu, jesteś wycieńczona. Wcale nie jestem pewien, czy powinnaś to robić, sama wiesz, rozdrapywać przeszłość.

– Robbie, uzgodniliśmy coś. – Evie spojrzała surowo na swego wnuka, tak jakby porozumiewali się pozawerbalnie. – Pamiętaj. Zawarliśmy umowę. Nie rób zamieszania.

Lexy zachodziła w głowę, co właściwie uzgodnili, przypominając sobie strzęp rozmowy, który wyłowila, kiedy weszła do sali.

– Wyrażam opinię. Medyczną opinię. – Wzruszył ramionami. – Nie robię zamieszania.

Evie odprawiła go nerwowym machnięciem ręki.

– Lexy, przybliź krzesło. Opowiedz mi coś więcej o tych albumach i teczce. Widać, że się nimi podekscytowałaś.

– Babciu, proszę. Już wystarczy. Lexy, naprawdę nie powinnaś fundować jej takich wrażeń. Nie jest dość silna.

– Robbie, sądzę, że decyzja należy do mnie. Jestem pewna, że już czas, żebyś ruszał do kliniki. A my świetnie sobie poradzimy. Szczerze mówiąc, rozmowa z Lexy będzie o wiele mniej stresująca bez twojego wspaniałomyślnego, lecz zupełnie niepotrzebnego nadzoru.

Lexy spuściła wzrok, na wypadek gdyby któreś z nich dostrzegło rozbawienie w jej oczach. *Ale mu się dostało*, pomyślała i z zachwytem zobaczyła, że słowa Evie podziałały. Niczym nadąsany nastolatek Robert chwycił marynarkę i teczkę z dokumentami, po czym prysnął, patrząc na nie wilkiem.

– Od razu lepiej. – Evie przyklepała pościel wokół siebie. – A teraz, kochanieńka, na czym skończyłaś?

– Tak, racja.

*Nie tak szybko, Lexy*, napomniała samą siebie.

– Zaczynam układać puzzle w jedną całość, wiem co nieco o synu Ursuli. Przyniosłam ze sobą trochę papierów z jej mieszkania. Wcześniej nie miały sensu, ale teraz go nabierają, a przynajmniej to, co do tej pory przeczytałam. Twoja pomoc, oczywiście, jest nieoceniona. W historii nadal są luki lub fragmenty, których nie rozumiem, ale mam nadzieję, że zdołasz mi z tym wszystkim pomóc. Poza tym przyswajam nagie fakty, nie znam motywacji, nie wiem dlaczego... i w ogóle.

Evie zmrużyła oczy, bacznie przyglądając się Lexy.

– Przyniosłam albumy. Pomyślałam, że mogą ci się spodobać.

– Och, na pewno, kochanieńka, ogromnie. Zawsze miło powspominać młodość.

– Mam też przy sobie część dokumentów: wpisy do dziennika, listy i tak dalej, to, co znalazłam w teźce. Ursula posortowała i podpisała je dla mojej matki. To coś w rodzaju zapisu... albo... No cóż, pewnego wyjaśnienia. Sama zobaczysz. Pokłóciły się, Ursula i moja matka, lata temu, kiedy byłam jeszcze mała. Ale może o tym wiedziałaś. Nie rozumiałam, co się wtedy wydarzyło, ale teraz sprawa zaczyna nabierać sensu. Myślę, że musiały posprzeczać się o syna Ursuli, bo o tym, jak się zdaje, opowiada teczka.

Evie wciąż leżała nieruchomo, pocierała jedynie szczupłym palcem wskazującym o białe bawełniane prześcieradło.

– Teczka jest dość osobliwa. Gdybym nie oblała się herbatą, nie dowiedziałabym się o jej istnieniu. Znalazłam ją pod poduszką fotela Ursuli. Wówczas sądziłam, że chciała mieć ją pod ręką, złożyłam to na karb nawyków staruszki chomikującej rzeczy w pobliżu. Ale teczkę schowano pod spodem, tak jakby chciano ją ukryć.

Lexy podniosła wzrok na Evie, której mina nadal nic nie zdradzała.

– Ale potem pomyślałam: czemu miałyby to robić?

– Cóż, dobre pytanie. Właśnie, czemu?

– Chyba że było to coś bardzo, bardzo ważnego. Coś, co wyjawiało tożsamość jej syna, syna Camerona.

– Nie jestem tego taka pewna...

– Oczywiście, można sądzić, że Ursula była niepoczytalna, sporządzając wpisy do dziennika, pograżyła się w poporodowej depresji albo omamach. Ale natrafiłam na potwierdzenie z niezależnego źródła. Twój list. Twoja korespondencja z Ursulą, którą przechowywała przez te wszystkie lata i zawarła w teczce. To twoje przesyłki pomogły mi w końcu w to uwierzyć, mimo że krzyczało do mnie z każdej fotografii, odkąd tylko na nie spojrzałam. – Lexy wyjęła jeden z albumów fotograficznych z torby i położyła go ostrożnie na kolanach staruszki.

– Naprawdę, kochanieńka? – Evie brzmiała obojętnie, tak jakby nie było to nic ważnego; nie obdarzyła albumu ani jednym spojrzeniem.

– Wiem, kim jest syn Ursuli. Nawet bez dzienników kobiety zżeranej poczuciem winy i żalem. Twój list mi to zdradził, Evie. Ty mi to powiedziałaś, nie ma powodu teraz udawać, że tego nie wiesz, prawda?

Lexy pochyliła się i otworzyła album bliżej końca.

– Oto on. David Buchanan.

Evie spojrzała na zdjęcie, jeszcze bardziej gorączkowo skrobiąc wskazującym palcem o prześcieradło.

– Ty, Helen i Ursula nabrałyście wszystkich, nawet Gregory’ego, że to pierworodny Helen. Nie wiem, jak dokładnie tego dokonaliście, ale dowiedziałam się o pobycie w Szkocji na gospodarstwie, o tym, że Cameron nie chciał mieć nic wspólnego z Ursulą i dzieckiem, oraz o tym, że przez te wszystkie lata trzymałaś to w tajemnicy. To musiało być trudne. Naprawdę trudne.

Evie nie odezwała się ani słowem.

– Wszystko pasuje – kontynuowała Lexy. – Richard Chakanaya był człowiekiem Camerona i to on jest pośrednikiem, który przekazywał wypłaty Ursuli. Z początku myślałam, że Ursula oddała dziecko do misyjnego sierocińca, mimo że nie czuła się z tym dobrze, biorąc pod uwagę własne dzieciństwo. – Evie rzuciła Lexy pobieżne spojrzenie, a potem prędko odwróciła wzrok. – Chciałaś, żebym wierzyła w taką wersję? Zamierzałaś mnie okłamać i przekonać, że to się właśnie wydarzyło, chciałaś mnie zmylić? Mogłam w to uwierzyć. Zastanawiały mnie te wszystkie darowizny, które Ursula czyniła na rzecz misji. Z drugiej strony spędziliście tu z mężem mnóstwo czasu, mogliście jej pomóc. No i oczywiście list Roberta o włamaniu. Czy to prawda? David wynajął kogoś, by zatarł poszlaki? Ha! Czy David też w tym siedzi? Czy wszyscy usiłujecie się mnie pozbyć? – Lexy z trudem zachowywała spokój i utrzymywała spokojny, wyważony ton.

– Nonsens, dziecinko. Nie bądź śmieszna. Nikt nie usiłuje się ciebie pozbyć. – Lecz w jej głosie zabrakło zwyczajowego wigoru.

– Wydawało mi się, że wszystkie poszlaki prowadzą do misji. Miałam zamiar udać się tam i spróbować odszukać syna Ursuli, ale nie ma już takiej potrzeby. Dzięki tobie, Evie. Ponieważ swoim listem potwierdziłaś, że to fakt, a nie wywołana poczuciem winy mrzonka. Nie powiedziałaś mi jeszcze wszystkiego, to prawda, ale wiem wystarczająco, by stwierdzić, że sprawa nie ma żadnego związku z sierocińcem. Tajemnicę ukryto w domowym zaciszu. Najpierw nie potrafiłam uwierzyć, że Gregory dał się nabrać, potem mu współczułam. Zapiera



mi dech w piersiach, że uszło wam to płazem, ale z drugiej strony czemu mężczyzna miałby podejrzewać kobietę, którą uwielbiał, o to, że go oszuka, i to w tak fundamentalnej kwestii? Dlaczego? Zresztą David, będąc jego bratankiem, wykazywał rodzinne rysy, a podobieństwo do Camerona było raczej nieznaczące. Taka jest prawda, oczywista i jasna jak słońce.

Lexy przewertowała parę stron albumu fotograficznego i wskazała inne zdjęcie.

– Widzisz? Chłopcy wyglądają jak miniaturowe kopie Gregory’ego i Camerona, a to dlatego, że nimi są. To David, prawda? Dlatego właśnie Ursula zachowała te wszystkie wycinki na temat Davida i Camerona. Nie dlatego, że miała udziały w przedsięwzięciu albo że Helen była jej przyjaciółką. Nic z tych rzeczy. Zrobiła to, bo David był jej synem, a Cameron ukochanym. Mam rację, prawda? Wiem, że się nie mylę.

Evie przytaknęła, zdobyła się na nieznaczące skinienie głową, lecz Lexy wiedziała, że to był przełom, na który liczyła. Evie zdradzi jej teraz całą historię, opowie wszystko, była tego pewna. O ile starczy jej czasu przed operacją... I o ile Robert wcześniej nie wróci i jej stąd nie wyrzuci.

– Czy Robert o tym wie? – spytała. – Dlatego napominałaś go, by nic o tym nie wspominał? Kiedy przyszedł?

– Robbie wie. Potrzebowaliśmy jego pomocy... z czasem... z wiekiem.

Lexy zdusiła w sobie gniew, który groził wybuchem i zaprzepaszczaniem starannie wyważonych kroków, które podjęła. Wiedział. Skłamał. Co gorsze, kiedy zabrał ją nad jezioro i wypytywał o wiele rzeczy... Naprawdę dobry z niego słuchacz. Bawił się nią. Sprawdzał, ile wiedziała. Wstała i podeszła do okna, oddychając miarowo, by się uspokoić. Usłyszała, jak Evie wzdycha za jej plecami.

– Tak, Lexy. Masz rację. David Buchanan to syn Ursuli. Lecz nie podziękujecie, że mu to wytkniesz. Prawdę mówiąc, najlepiej będzie, jeżeli zachowasz to dla

siebie.

Lexy stanęła z Evie twarzą w twarz i potrząsnęła przecząco głową.

– Chcę się z nim spotkać. Muszę mu powiedzieć, że ja...

– Nic nie musisz.

Lexy została uciszona kąśliwością i nagłą siłą głosu Evie.

– Nie sądzisz, że gdyby chciał dowiedzieć się o Ursuli, o jej życiu, o twojej matce, o tobie, nawiązałyby kontakt? Przez te wszystkie lata słał pieniądze, wiedział więc dokładnie, jak ją odnaleźć, gdyby tylko chciał, ale tego nie zrobił. Może ci się to nie spodobać, kochanieńka, lecz nie zaczął szukać. Wolał tego nie robić. Sama się oszukujesz, jeśli wyobrażasz sobie, że o tobie nie wiedział. Oczywiście, że wiedział, a gdyby chciał mieć z tobą do czynienia, nie wydaje ci się, że już by się do ciebie odezwał? Nie, Lexy. Daj spokój. Skończy się to tak, że będziesz zawiedziona i zraniona. Uwierz mi. To nie jest dobry pomysł, by się do niego zbliżać.

– Ale jeśli się ze mną spotka, może zastanowi się, co tracił przez te wszystkie lata, nie znając swojej matki...

– Znał swoją matkę. Przynajmniej przez większość dzieciństwa. Matką według niego była Helen Buchanan i nie chciałby, by ktokolwiek myślał inaczej.

– Jednak to takie niedzisiejsze. Nikt nie zawraca sobie dziś głowy takimi sprawami. Urodziła go niezamężna kobieta, i co z tego? Raczej nie zostanie usunięty z tego waszego wspaniałego klubu na drodze ostracyzmu, a jego udziały nie polecą na łeb na szyję, czyż nie? – Złość tętniła w żyłach Lexy, oddech stawał się płytki i przyspieszał. Z trudem go kontrolowała.

– Zapominasz, że interesy firmy do dziś w dużym stopniu powiązane są z misją. Inni mogą nie podzielać twoich liberalnych poglądów.

– A czemu mieliby się o tym dowiedzieć? Przecież nie umieszczę ogłoszenia w gazecie, prawda? Czemu miałabym komukolwiek o tym mówić?

– David może ci nie uwierzyć. Pomyśli, że chodzi ci wyłącznie o pieniądze,

kochanieńka. Taki z niego człowiek. I nie przyjmie tego spokojnie.

– Co? Sądzisz, że może pomyśleć, że próbuję go szantażować? To bzdury. Chodzi o mnie. To ja próbuję odnaleźć kogoś w rodzaju rodziny, rodziny, którą wszyscy postanowiliście mi ukraść!

– My nie... Och, dziecko, to skomplikowane.

– Więc wyjaśnij! – Lexy przestała stwarzać pozory, że trzyma nerwy na wodzy. Zerwała się na równe nogi z rękoma wspartymi na biodrach i podniesionym czołem, oddychała ciężko, rzucając staruszce piorunujące spojrzenie.

– Gdyby wiedziano, że to syn Ursuli, pojawiłyby się wątpliwości co do jego dziedzictwa. Co do praw do udziałów Buchananów.

– Na pewno adoptowane dziecko ma te same prawa co...

– On nie został adoptowany. Nie mógł być. Żeby to stało się możliwe, Gregory musiałby się dowiedzieć. Poza tym to i tak by nie wystarczyło.

– Czemu nie? Co...

Drzwi otworzyły się i Celia, znajoma pielęgniarka Evie, wcisnęła głowę do środka.

– Wszystko w porządku, pani Campbell? Gość pani nie zamecza?

– Ach, mój wnuk kazał ci nas pilnować, rozumiem. – Pielęgniarka uśmiechnęła się z zakłopotaniem. – Wszystko w porządku, kochanieńka. Wprost wspaniale. Chociaż nie zaszkodziłaby nam herbatka, gdybyś mogła ją przygotować. Dużo cukru dla mojego gościa, jak sądzę.

– Zobaczę, co da się zrobić.

Lexy wpatrywała się tępo przed siebie, gdy drzwi zamknęły się za pielęgniarką.

– Już się z nim skontaktowałam, czyż nie?

Lexy przytaknęła.

– Dzwoniłam do jego biura. Umówiłam się jutro na spotkanie.

– Wspominałaś, w jakiej sprawie chcesz się z nim widzieć? – Lexy potrząsnęła przecząco głową. – Dobrze. Musimy obmyślić jakąś przekonującą wymówkę. Powód, czemu chciałaś go poznać, który nie będzie miał nic wspólnego z jego pochodzeniem. Wie, kim jesteś, z tego, co pamiętam, ale nie ma pojęcia, czego ty dowiedziałaś się o nim. Lepiej będzie, jeśli w ogóle odwołasz spotkanie, chociaż to też może wzbudzić podejrzenia.

– Ale ja tylko chciałam się z nim spotkać i...

– Lexy, posłuchaj mnie. – Cierpliwość Evie była wyraźnie na wyczerpaniu. – Nie masz zielonego pojęcia, w co się pakujesz.

– Ale ja nie powiem nikomu. – Brzmiała jak naburmuszone dziecko.

– A on niby będzie miał co do tego pewność? Skoro o tym wiesz, nigdy nie będzie zupełnie bezpieczny. Musiałby ci zaufać. Mężczyźni tacy jak David Buchanan czy Richard Chakanaya, który nadal ma ogromne wpływy w biznesie Buchananów, niechętnie... znoszą takie niewygody.

– Och, na litość boską! A co ze mną? Chcę się z nim tylko spotkać, poczuć więź z kimś, kto jest prawie moją rodziną... Och, sama już nie wiem. Czy proszę o zbyt wiele? Co z tego, że David „nie znosi niewygód”? Przecież od tego nikt nie zginie.

– Nie? Jesteś pewna? Sama mogę się tylko zastanawiać, do czego zdolni są ludzie pokroju Davida Buchanana i Richarda Chakanayi, by zlikwidować każdą niewygodę.

**DOM BUCHANANÓW, BLANTYRE, 15 CZERWCA**

– **P**roszę, proszę. Ależ z ciebie detektyw!

Głos Davida ociekał sarkazmem, kiedy mężczyzna przyklasnął jej, po czym wstał i podszedł do kredensu, na którego szczycie leżała srebrna taca. Podnosząc kryształową karafkę, obrócił się i wyciągnął ją pytająco ku niej; sam nalał sobie sownicy, podczas gdy ona potrzęsnęła przecząco głową.

Lexy czekała. Spodziewała się... czego? Szoku, zachwytu, zaskoczenia? Przynajmniej tego. Przynajmniej efektu zaskoczenia. Lecz nie takiej reakcji. Szybko zdała sobie jednak sprawę, że przecież on o wszystkim wiedział. Evie miała co do tego rację. Cały czas wiedział o jej istnieniu.

– Skoro wiedziałeś – powiedziała – dlaczego się ze mną nie skontaktowałeś? Rozumiem, że nie zrobiłeś tego wcześniej, ale przynajmniej mogłeś się pofatygować teraz, kiedy przyjechałam do Malawi. Musiałeś wiedzieć, po co się tu zjawiałam. Czemu po prostu się nie odezwałeś i nie powiedziałeś mi, że Ursula była twoją matką? Miejmy to za sobą. Najwyraźniej nie chcesz utrzymywać tej relacji.

– Złe pytanie, mała Lexy, zadałaś złe pytanie.

– Na litość boską, Davidzie. Nie rozumiem, dlaczego się tak zachowujesz. Myślałam, że ucieszysz się na wieść, że masz... że jestem... prawie twoją rodziną. Och, sama nie wiem. Sądziłam, że z przyjemnością się ze mną spotkasz.

David wyjął krótkie cygaro z pudełka leżącego na stoliku, który stał obok zielonego, skórzanego fotela klubowego, gdzie się usadowił. Odciał końcówkę

hawany i wyrzucił ją do onyksowej popielnicy. W zamyśleniu obracał cygaro w palcach.

– Och, Lexy. Bardzo się cieszę. Możemy uciąć sobie małą pogawędkę. Rozumiesz, musisz być ostrożna – powiedział, sięgając po srebrną zapalniczkę, umieścił jej ciężar w dłoni, a potem pstryknął nią raz i drugi, zanim złapała ogień, który mężczyzna przyłożył do cygara trzymanego w ustach. – Nie igraj z ogniem, bo jeszcze się poparzysz – stwierdził przez chmurę dymu, to otwierając, to zatrzaskując zapalniczkę. Przytrzymał przez parę sekund płomień przed twarzą, po czym gasił go i pozwalał zapalniczce opaść z łoskotem z powrotem na biurko.

*Ależ z ciebie czarny charakter, bardzo w stylu Jamesa Bonda*, pomyślała rozdrażniona Lexy, nie chcąc dać się zastraszyć, a jednocześnie obawiając się, że to już się stało.

Skóra fotela zatrzęszczała, gdy David się oparł, uniósł stopę w eleganckim bucie i założył nogę na nogę. Emanował pieniędzmi, bogactwem, pewnością siebie, banałem. A jednak tkwiło w nim coś... odpychającego, w jego oczach czaiło się coś, czego Lexy nie mogła uchwycić.

– Czy ty mi grozisz, Davidzie? Ostrzegasz mnie przed czymś?

– A czy to by zadziało, gdyby tak było?

– Nie.

David uśmiechnął się powoli.

– W takim razie nie, nie grożę ci.

Napił się whisky, spoglądając znad rogowych oprawek okularów, rozkoszując się złocistym płynem i przelękając – jak była pewna – drogi trunek, destylowany zawczasu w jednej beczce. David zasługiwał na to, co najlepsze. Pomyślała o mieszkaniu Ursuli – miłym, ale bez porównania ze stylem życia jej syna. Przypomniała sobie o pieniądzach, które przekazywano Ursuli przez te wszystkie lata. Gdzie się podziały? Czyżby Ursula była zbyt zasadnicza i dumna,

by je wydać? To nie miało sensu. Czemu nie wyszła z cienia i nie zaczęła grać roli matki Davida tutaj, w Malawi, w kraju, który wyraźnie kochała? Zwłaszcza po tym, jak najpierw Helen, a potem Cameron wyjechali? Pewnie dzisiaj groźba skandalu nie stanowiłaby takiego problemu. Chyba że...

– Zapłaciłeś jej, żeby trzymała się z daleka, czy tak nie było?

– Mógłbym zapłacić tobie, żebyś się nie mieszała. – David strzepnął popiół i spojrzał na nią z namysłem. – Ale czy to by zadziało? Pieniądze? Czy dzięki nim wsiadłabyś do samolotu i poleciała z powrotem do swojej Lexylandii?

– Nie, oczywiście, że nie. Nie chcę twoich pieniędzy. Ja...

– Moich pieniędzy? – David roześmiał się i zakrztusił gęstym dymem krótkiego cygara. Splunął odrażająco, drobne kropelki potu wystąpiły mu na czoło, policzki zaczerwieniły się, a szczęki zadrżały. – A to dobre. Ty naprawdę nie masz o niczym pojęcia, prawda, Lexy? Poświęciłaś tyle czasu i wysiłku, żeby namierzyć syna twojej zmarłej Ursuli, a nadal nie masz zielonego pojęcia, w co się pakujesz. A niech mnie. – Wyjął wyprasowaną lnianą chusteczkę i obtarł nią czoło, a potem złożył ją i wsunął z powrotem do kieszeni.

– Dobrze, Lexy. Zawrzyjmy układ. Będę ci przelewał pięć tysięcy miesięcznie, tak jak Ursuli, i zachowasz prawo do wypłat do końca życia. Ale jeśli piśniesz komuś, komukolwiek, choćby słówko, pieniądze się kończą, zamiast tego zaczną się kłopoty.

– Ty naprawdę mi grozisz! Davidzie, dlaczego? Co ja ci takiego zrobiłam? Kogo to obchodzi, czy jesteś synem Ursuli? To przedpotopowe dzieje, na litość boską!

David zmrużył oczy i przyglądał się jej uważnie.

– Wiem, że nie jesteś legalnie adoptowany, ale każdy sąd z pewnością stwierdzi... To znaczy, musi istnieć jakiś zwyczajowy odpowiednik przysposobionego syna, tak jak konkubina albo... – Lexy zatrzymała się w swoich dywagacjach. Co mówiła Evie? Coś o tym, że zgodna z prawem

adopcja i tak by nie wystarczyła. Tak. Chodziło o Helen, o dziedzictwo Buchananów.

– Więzy krwi. O to chodzi. Tylko krewni Helen...

– W końcu, załapałaś. W porządku, Lexy. Majątek przysługuje jedynie krewnym. Nie jestem dzieckiem Helen. Nie jestem Buchananem. A jednak tu siedzę...

– Co się stanie, jeżeli... Hm, przecież nie ma nikogo innego. Dzieci Helen zmarły z nią... Och, były potomkami Helen, prawda? Czy też...

– To dzieci Helen, wszystko się zgadza. Tak. Po tak długim czasie starania się o latorośl, po upływie zaledwie paru miesięcy, odkąd zawitałem w ich domu rodzinnym, stary Gregory w końcu zaczął płodzić następców. Urodził się Ross. Mój mały braciszek. Prawowity dziedzic tronu Buchananów, nie żeby miało dojść do dziedziczenia. Helen musiałaby przyznać się do całego oszustwa, w którym maczała palce, wątpię, by kiedykolwiek się na to odważyła. Nie. Nie mogła mnie też legalnie adoptować, nie mówiąc Gregory'emu, więc rozumiesz, dlaczego ta skomplikowana konstrukcja odrobinę... chwiała się w posadach, jeśli mogę tak powiedzieć?

– Ale teraz to już nie ma znaczenia. Linia potomków Helen wymarła. Nie ma więcej Buchananów, a więc...

– Jesteś tego pewna, Lexy? Może zamiast tracić czas na zastanawianie się, kim jest syn Ursuli, lepiej zadasz sobie pytanie, kim była twoja matka?

Lexy poczuła, że robak niepokoju drgnął w otchłani jej żołądka.

– O co ci chodzi? Wiesz, kim była moja matka. To Isobel Sh...

– Tak się nazywała, kiedy wyszła za męża. Ale nie to powiedziałem. Nie pytałem o jej nazwisko. Mówię, że powinnaś zadać sobie pytanie, kim była.

– Nie rozumiem. Co to ma wspólnego z... Posłuchaj, nie interesują mnie argumenty za czy przeciw legalności twojego dziedzictwa. Liczy się dla mnie to, że jesteś synem Ursuli, pewnego rodzaju więź połączyła nas na dobre i na złe,



uczyniła z ciebie potencjalnego wujka...

Wybuch śmiechu Davida przerwał Lexy.

– Och, drogie dziecko – powiedział, ocierając łzy z policzków – naprawdę jesteś nieoceniona. Owszem, jestem twoim wujem, a przynajmniej twoja babcia przekonała o tym cały świat. – Znów pękał ze śmiechu.

Lexy miała pustkę w głowie. Nie miała zielonego pojęcia, o co mu chodziło. Czy był pijany? Szalony? Spojrzała na drzwi. Od niskiej sofy, na której przysiadła, dzieliła ją od nich długa droga, a przynajmniej tak się zdawało. Za to David wstał, wciąż śmiejąc się beztrąsko. Zamierzał dolać sobie alkoholu do szklanki, podchodząc do kredensu stojącego między nią a wyjściem.

– Coś ci powiem, Lexy, dla twojego dobra. Nie uda ci się tego udowodnić, wszystkiemu zaprzeczę, jeśli choćby spróbujesz. I zaufaj mi, nikt w tym kraju nie weźmie twojego słowa przeciwko mojemu. Przez lata wydałem sporo pieniędzy, by zagwarantować sobie, że zawsze mi uwierzą, że historię zawsze napiszą i utrwalą tak, jak ja postanowię. Na pewno nie chcesz się napić? Zrobiłaś się nieco blada, może drink cię ocuci.

Lexy potrząsnęła przecząco głową, wciąż nie mogąc pojąć, co mówił do niej David. Jak to możliwe, że jest jej wujkiem? To znaczyłoby... Co? Ursula była matką Izzie? Albo... albo... Cameron...

– Cóż, mała Lexy, widzę, że się z tym borykasz. Może jestem odrobinę... elastyczny... w sztywnych kwestiach prawowitości pokrewieństwa. Wystarczy, że powiem, iż jestem bardziej twoim wujem, niż to sobie wyobrażałaś. Pewnego rodzaju więź. A raczej coś więcej.

Bawiła go ta sytuacja, widziała to. Doprawdy nie była pewna, czy chce usłyszeć coś więcej. Wątpiła, czy odnalezienie tego zadowolonego z siebie i apodyktycznego mężczyzny było mądre. Zafundowała sobie raczej niemiłe odkrycie, tego akurat była pewna.

– Od czego by tu zacząć? Niech pomyślę. – Zaciągnął się cygarem

i wpatrywał w unoszący się dym, który wypuścił. – Żadne z nas nie jest osobą, jaką się wydaje. W naszej rodzinie to normalne. Masz rację, jestem synem Ursuli. I Camerona. Helen była dla mnie *de facto* matką, nawet jeśli te ustalenia nigdy nie zostały usankcjonowane w świetle prawa. Ale ona i Gregory doczekali się własnego syna.

– Wiem. Widziałam was na zdjęciach jako małych chłopców razem z Helen i Gregorym.

David przytaknął.

– Wzruszające rodzinne portrety. Helen je uwielbiała, pilnowała naszych fryzur, koszul, Bóg wie, co jeszcze. Dziwne, że zarzuciła ten zwyczaj, kiedy wyszła za mąż za Camerona. Smutne, doprawdy, bo właśnie dlatego zostało się tak mało fotografii naszej ukochanej siostrzyczki.

Robak niepokoju przeobraził się w węża, boa dusiciela wijącego się wokół tchawicy Lexy, odcinającego dopływ powietrza, zduszającego jej oddech.

– Och, dobry Boże, nie...

Uśmiech rozciął twarz Davida niczym pociągnięcie noża.

– Och, tak, Lexy. Żadnych zdjęć naszej prześlicznej Isobel. Zmarła niestety wraz z naszą matką Helen i moim bratem Rossem w lawinie błotnej. Tragedia zebrała wówczas żniwo w postaci 144 ofiar, jak głoszą doniesienia, ale, prawdę mówiąc, dokładniejszym byłoby stwierdzenie śmierci tylko 141 osób. O tę tragedię próbowano obwinić przedsiębiorstwo, gdy Helen Buchanan znajdowała się u jego sterów. Świątobliwa Helen oskarżona o tak okrutne zaniedbanie, tak wiele niewinnych duszyczek straconych na jej warcie.

Lexy nie mogła już słuchać tego lepkiego głosu. Krew tętniła jej w skroniach, szumiała w uszach. Izzie. Jej matka. Córką Helen. Co oznaczało, że ona... Lexy była... O Boże. To wszystko zmieniało. Spojrzała na mężczyznę naprzeciwko i zdała sobie sprawę, że sama jest jedyną osobą pozostałą przy życiu, która mogłaby mu wszystko odebrać. Należy do rodziny. Jest prawowitą

dziedziczką Buchananów.

David przyglądał się jej tymi swoimi małymi oczkami, stukając sygnetem o szklankę whisky, dźwięk ten rozlegał się w pomieszczeniu niczym tykanie zegara. Czemu jej to powiedział? Po co? Co jest gotów zrobić, by zamknąć jej usta? Lexy z trudem zachowała spokój, ukryła obawy i strach.

– Chcesz... Chcesz powiedzieć, że moja matka była twoją siostrą. Przyrodnią siostrą. Że przeżyli... Ale jak? I czemu nie...

– Wiesz, uwielbiałem ją, twoją matkę, kiedy byliśmy mali. – David zignorował jej pytania, na pełnej twarzy zagościł szczery uśmiech, kiedy zatopił się we wspomnieniach. – A ona uwielbiała mnie. „Dejdid”. Tak na mnie mówiła. Nigdy nie opanowała wymowy mojego imienia, aż...

David wstał, podszedł do zdjęcia baobabu, na którego gałęziach przycupnęły dwa ptaszki. Zdjął je ze ściany i Lexy dostrzegła, że zakrywało sejf. Mężczyzna błyskawicznie wklepał kod i po paru ledwie słyszalnych pstryknięciach otworzył małe, ciężkie drzwiczki. Scena coraz bardziej zaczęła przypominać film klasy B: whisky, dym cygara i sejf. Brakowało tylko, by David miał na sobie biały smoking i głaskał kota. Niemal spodziewała się, że ze skrytki wyciągnie broń, i ulżyło jej, kiedy zobaczyła sporą szarą kopertę.

– Mój ojciec kultywował tradycję rodzinnych portretów. Helen sprawiałoby to zbyt wiele bólu, by pozować z rodziną po tym, jak odszedł nasz ukochany Gregory, więc nie ma jej na zdjęciu. Ale jest cała reszta, stoimy przed domem w Zombie. Czy nie wyglądamy na szczęśliwych? A podobieństwo, moja droga, między tobą a matką jest znaczące, nawet biorąc pod uwagę różnicę wieku.

Lexy patrzyła na wyblakłą fotografię. Rozpoznała Camerona i chłopców, ale towarzyszyła im mała dziewczynka, cztero- lub pięcioletka, z burzą loków i ogromnymi ciemnymi oczami. Oczami jej matki. Jej własnymi oczami. Zdała sobie teraz sprawę, że takie same miała także Helen. Podobieństwo międzypokoleniowe było zadziwiające.

Lexy sięgnęła po zdjęcie.

– Nie. Nie wydaje mi się. Przechowam to, jeśli nie masz nic przeciwko. Wiele dla mnie znaczy. Wiem, nie powinienem tak bardzo przejmować się tą fotografią, wiedząc, że negatywy są zabezpieczone i nic się im nie stanie.

Lexy nie mogła połączyć się w tym zamieszaniu. Była w szoku. Niewątpliwie osoba na zdjęciu to jej matka. Bez dwóch zdań. Podobnie rozwiały się wszelkie wątpliwości co do tego, że Helen była jej babcią. Oszołomienie, którego doznała, kiedy otworzyła album fotograficzny Ursuli i spojrzała młodej Helen prosto w oczy, powinno zdradzić jej prawdę. Nie mogła uwierzyć, że wcześniej nie dopuszczała do siebie tej informacji. Sądziła jednak, że jest tu, by odnaleźć syna Ursuli, rodzinę zastępczą, a nie prawdziwą.

David schował odbitkę z powrotem w sejfie, odwiesił zdjęcie baobabu i nalał whisky do drugiej szklanki.

– Napij się – powiedział, już nie tak niemiłym tonem. – Musimy porozmawiać. Na poważnie, jak prawdziwi dorośli, dobrze? No dalej, Lexy, bądź grzeczną dziewczynką. Wypij. Nie mam ochoty cię policzkować, żebyś się ocknęła.

Lexy wzdrygnęła się i zakaszła, kiedy ogień spłynął jej w dół gardła.

– Dobrze. – David z powrotem usiadł. – Lepiej się czujesz? Pewnie się zastanawiasz, dlaczego ci to wszystko powiedziałem. I może już myślisz, jak podać tę informację do wiadomości publicznej albo nawet zgłosić pretensje do dziedzictwa Buchananów. Ale to byłoby bardzo niemądre z twojej strony, i to z wielu powodów. Sprawa jest niebezpieczna. A i tak to wszystko na nic, nie ma możliwości, byś zdołała cokolwiek udowodnić. Poświęciłem sporo czasu i pieniędzy, by upewnić się, że przeszłość została zażegnana i nie ujrzy światła dziennego. Jedną z zalet kraju takiego jak nasz jest to, że stanowimy małą i zżytą społeczność, której członkowie dbają o siebie nawzajem, powodowani odpowiednimi... argumentami. Niestety nie ma żadnych oficjalnych zeznań,

żadnego aktu urodzenia czy podobnych dokumentów do powszechnego wglądu. Nikt ci nie pomoże udowodnić twojej wersji, jeśli naprawdę zechcesz to zrobić. Nie. Nikt a nikt.

– Dlaczego więc... Czemu w ogóle mi o tym mówisz...?

– Z dwóch powodów, Alexis. W jeden uwierysz, jestem tego pewien, a w drugi niekoniecznie, ale oba są równie prawdziwe. Praktycznie rzecz ujmując, wierzę w kontrolowanie tylu zmiennych w życiu, ile to możliwe. Mój ojciec nauczył mnie, że to ważne, być o krok przed pozostałymi graczami na boisku. A ty, bez względu na to, czy masz tego świadomość, czy też nie, na pewno nie należysz do tych, którzy się ociągają. Śledziłem twoje postępy, tak samo jak miałem na oku twoją matkę przez całe jej życie. Miałem nadzieję, że tego nie zrobisz, ale wiedziałem, że będziesz musiała przyjechać do Malawi, żeby mnie odnaleźć. Byłem świadomy, że istnieje szansa, iż pewnie w końcu ci się to uda. Postanowiłem więc ci na to pozwolić, zdradzić ci, kim jestem, żebyś przestała igrać z ogniem. Ograniczyłem szkody. Skoro to ja wyjawię ci prawdę i będę kontrolować przepływ informacji, to ja panuję nad sytuacją, a kiedy opowiem ci coś więcej o przeszłości twojej rodziny, zgodzisz się ze mną, jestem tego pewien, że najlepiej będzie, jeśli odegrasz następujący scenariusz: znikniesz stąd i wrócisz do swojego życia w Londynie. Chociaż propozycja pięciu tysięcy funtów miesięcznie jest nadal aktualna, więc możesz nie wracać do tej małej, ponurej szkółki, w której pracujesz. To zależy od ciebie.

Lexy czekała, próbując domyślić się, co rozumiał przez panowanie nad sytuacją, oraz co takiego kryło się w przeszłości jej rodziny, że dostarczyło mu pewności, iż Lexy stanie się jego współniczką w ukrywaniu prawdy.

– Nie chcę twoich pieniędzy, mówiłam ci.

– Cóż, jeszcze zobaczymy.

– A drugi powód?

– Ach, tak, w ten raczej nie będziesz skłonna uwierzyć. Nie zawsze byłem

tym mężczyzną, którego dziś masz przed oczami. Swego czasu byłem niewinnym i szczęśliwym dzieckiem. Naprawdę żyłem w przekonaniu, że Helen jest moją matką, i ubóstwiałem ją. Uwielbiałem także moje rodzeństwo. A najbardziej małą Izzie, kiedy się urodziła. Przez parę krótkich lat byliśmy szczęśliwą rodziną. Potem Gregory zmarł i mój dziecięcy świat zaczął się walić. Gregory nie zdążył jeszcze ostygnąć w grobie, a już człowiek, który, jak sądziłem, był moim wujem, ożenił się z moją matką. Nie stworzył związku przepełnionego szczęściem. Wiedziałem, że ją bije, ale wciąż byłem młody, brakowało mi odwagi, by się postawić. Powinienem to zrobić. Chciałem, ale...

David wzruszył ramionami.

– Wkrótce potem okazało się, że tylko najsilniejsi przetrwają. Cameron wziął sobie za punkt honoru, żeby mnie zahartować. Udało mu się to, muszę to przyznać, chociaż wysiłki w pracy nad Rossem przyniosły o wiele mniej zadowalające rezultaty, a Izzie po prostu zignorował, dzięki Bogu. Pomimo tego zachowałem sporo sentymentu do starych czasów, dni, kiedy wierzyłem, że naprawdę jestem Buchananem i byłem z tego dumny. Powiedzmy, że to kaprys samotnego człowieka. Nigdy nie miałem zamiaru skrzywdzić mojej rodziny. Wszystko zostało zaaranżowane i dopracowane, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem. Na dobre i na złe zostałem dziedzicem całego spadku, nigdy nie miałem powodu, by zmieniać to, co zaplanował Cameron. Posiadam przedsiębiorstwo Buchananów, mimo że nie mam wśród nich rodziny, nie mam żadnej rodziny. Ale to mi wystarcza.

Lexy obserwowała, jak mężczyzna bierze głęboki łyk z kryształowej szklancy, dostrzegła, że po rumianej twarzy przebiega mu coś na kształt smutku, i chyba usłyszała ciche westchnięcie, gdy odjął szkło od ust.

– Mam sentyment do wspomnień z moich młodości lat. – David zamieszał mętym płynem w szklance. – Twoja matka do nich należała. Ze względu na nią pomogę ci finansowo, Lexy, jeśli zdecydujesz się wziąć

pieniądze. A powinnaś je przyjąć razem z radą. Spotkanie z tobą budziło moją ciekawość, chciałem ci pomóc. I uwierz mi, złotko, że najlepszą radą, jaką mogę ci dać, to żebyś wracała do domu. Nie draż tej przykrej sprawy, nie wyniknie z tego nic dobrego, i to dla nikogo. A już najmniej dla ciebie i twojej babci.

– Mojej babci? A jakie to ma znaczenie dla nieboszczki...

– Dla pamięci o niej, Lexy. Dla jej reputacji.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Próbujesz kupić moje poczucie lojalności względem rodziny? To hojne. A co z reputacją Helen? Czy chodzi o wypadek? O lawinę błotną? Może być winna... Ale przecież Robert mówi, że masz sądy w kieszeni, dlaczego więc...

– To może odbić się na przedsiębiorstwie. Skandal zawsze szkodzi interesom. Nie mniej oskarżenia o morderstwo.

– Wracamy więc do Buchananów, do pieniędzy. Żadnych sentymentów.

David wzruszył ramionami, zaciągnął się cygarem.

– Nie bądź taka zgryźliwa, złotko. Pieniądze potrafią zatroszczyć się o wiele spraw. A ja wydałem ich nieco, by zatroszczyć się o moją matkę. Nie płaciłem jej, by trzymała się z daleka. To był jej wybór, choć przyznaję, że z czasem zaczął mi odpowiadać.

– Nie chciała skorzystać z twoich pieniędzy. Nie pragnęła twojej troski. – Lexy miała ochotę go zranić, choć wiedziała, że pewnie jej się to nie uda. – Jeśli więc chciałeś pozbyć się wyrzutów sumienia, wydając pięć tysiaków miesięcznie, to twój gest nie spotkał się z dobrym przyjęciem.

David roześmiał się niemrawo.

– Jesteś tego pewna, prawda?

– Tak. Nie wiem, co z nimi zrobiła, ale wszystko wskazuje na to, że nie wydała ani grosza. Wygląda na to, że żyła wyłącznie ze swojej ciężko zarobionej emerytury.

– Naprawdę? Może po prostu nie wiedziałaś, gdzie szukać.

Pokrętny uśmiezek Davida irytował Lexy. Nienawidziła, gdy ktoś traktował ją protekcjonalnie, manipulował nią lub brał ją za głupią. A najbardziej rozsierdziło ją, że o swoim dziedzictwie, o swojej rodzinie dowiedziała się od tego odpychającego mężczyzny.

– Oczywiście, że wiedziałam, gdzie szukać. Przejrzałam wszystko, rozmawiałam z prawnikami, z bankiem. Nic. Jej mieszkanie było skromne, styl życia stosowny dla emerytowanej siostry przełożonej, więc jeśli wydała pieniądze, to nie wiem, w jaki sposób.

– Cóż, nie mogłaś tego wiedzieć.

– Czemu nie mogłam?

– Ponieważ pieniądze nie były przeznaczone dla Ursuli. Nie zapominaj, złotko, że miałem dwie matki.

Jego enigmatyczne uwagi zaczęły ją mierzić.

– Co masz na myśli?

– No dalej, droga Lexy. Przecież już to przerabialiśmy. Naprawdę muszę ci to wyjaśniać? Moja matka, kobieta, którą nazywałem moją mamą, to była Helen. Helen Buchanan.

Lexy czuła, jakby ktoś grzmotnął ją w pierś.

– Ale ona... Helen... Nie żyje. Prawda?

Lexy opadła na sofę, sprężyny jęknęły, odbierając impet jej lądowania na skórzanych poduszkach.

David znów dolał sobie do szklanki i podniósł ją w jej kierunku.

– Do dna? Wyglądasz, jakbyś potrzebowała się napić.

Lexy potrząsnęła przecząco głową.

– Helen Buchanan żyje. To chcesz powiedzieć. Ona żyje.

– Nie inaczej. Nie mogła znieść tego brutala, mojego ojca, albo mnie, jak sądzę, i zostawiła nas obu. Zabrała ze sobą moje rodzeństwo. Wówczas wszyscy



sądziliśmy, że zginęła w katastrofie. Ale ona zawsze była mądrą kobietą. Dostrzegła szansę i uciekła. Zostawiła mnie ze starym, dobrym papą. Zdrówko. – Podniósł szklanekę ku Lexy, osuszył ją i prędko odstawił na kredens, chcąc ponownie ją napełnić, by Lexy nie mogła zobaczyć jego twarzy. Cień... czego? Bólu? Zgorzknienia? Odrazy?

– Gdzie ona jest, Davidzie?

– Dobre pytanie. Nie mam pojęcia.

– Chyba nie sądzisz, że w to uwierzę.

– Wierz, w co ci się żywnie podoba. Nie ma to dla mnie żadnego znaczenia.

– Znow przywdział maskę, rysy twarzy z powrotem skamieniały, gdy udał się ponownie za biurko, kolejny solidny łyk whisky zaszumił w szklaniczy, kiedy usiadł z powrotem na krześle.

– Musisz to wiedzieć. Człowiek z twoimi... możliwościami.

Roześmiał się.

– Chodzi ci o tego kombinatora, Richarda Chakanayę? Może wie, może nie wie. Nawet jeśli posiada tę wiedzę, to zachowuje ją dla siebie. Musiałabyś zapytać o to jego, chociaż nie jest tani. Wszystko ma swoją cenę, a ta informacja to najcenniejszy towar, który może sprzedać.

– Ale na pewno pytałeś go...

– Nie rozmawiamy na takie tematy. Staram się omijać go szerokim łukiem. Ludzie tego pokroju to w niektórych rejonach Afryki zło konieczne. Nie muszę go lubić, wystarczy, że mu płacę. W każdym razie Richard był człowiekiem mojego ojca, a ja, kiedy przejąłem przedsiębiorstwo, po prostu odziedziczyłem w spadku jedną czy dwie przysługi, które nam wyświadcza. Czemu miałbym chcieć to wiedzieć? Mój ojciec ustalił taki porządek finansów, łatwiej było go podtrzymać, niż cokolwiek zmieniać. Dzięki temu przelewy trafią teraz do ciebie. To łatwe, nie ma lepszego rozwiązania.

– Ale czemu to zrobiła? Czemu nie wróciła?

– Miała swoje powody. Mój ojciec o to zadbał. Oskarżenie o morderstwo, taka drobnostka.

– Lawina błotna...

– Między innymi.

– Ale Camerona już nie ma. A przedsiębiorstwo oczyszczono z wszystkich zarzutów, przynajmniej na dziś. Robert powiedział...

– Ach tak, znowu Robert. Nasz rycerz w lśniącej zbroi. Pragnie ocalić dobre imię rodziny Audrey, lecz jego kruczata skazana jest na porażkę. To mało prawdopodobne, ale jeśli mu się uda, cóż, to będzie sporo kosztowało. Pomyśl o Helen, jedynej osobie na stanowisku dyrektora, która ocalała wówczas w porcie. Nie wyściubi nosa ze swojej kryjówki.

– Ale ona... Helen...

– To nic dla mnie nie znaczy. Staruszka, która sama bawi się w chowanego, choć wcale nie chce zostać znaleziona. Nikt jej przecież nie szuka.

– Przed chwilą powiedziałeś, że to twoja matka, byliście szczęśliwi. Nie mogę uwierzyć, że nigdy nie spróbowałeś jej odnaleźć...

– Ona mnie porzuciła! – Szklanka trzasnęła o pulpit, kropelki whisky i śliny skalają lśniące drewno, kiedy gniew Davida przebił się przez jego cyniczną postawę i eksplodował, a on sam zerwał się na równe nogi i pochylił nad biurkiem, wpatrując się w Lexy. – Wyrzuciła pisklę miodowodzika z gniazda albo raczej zabrała gniazdo ze sobą, a mnie zostawiła.... Z nim. – Oddychał ciężko, twarz miał upstrzoną czerwonymi plamami, wykrzywioną, szpetną. Zwiesił głowę, po czym obrócił swoją ciężką sylwetkę do okna. Pomimo wszystko, mimo jego arogancji, zadowolenia z siebie i poczucia wyższości, jego niechęci, by otwarcie powiedzieć prawdę, Lexy nie mogła się powstrzymać, żeby mu nie współczuć. Przyglądała mu się w milczeniu, jego szerokim ramionom, dźwigającym się i opadającym, gdy próbował odzyskać panowanie nad oddechem.

– Helen Buchanan – podjął w końcu David, głos miał matowy i beznamiętny  
– postawiła sprawę jasno: nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Nie podjęła  
żadnej próby skontaktowania się ze mną, nawet kiedy Cameron zniknął  
z horyzontu. Ja tylko odwzajemniam jej uczucia.

– Ale...

– Ale koniec tematu! Jeśli chcesz znać moje zdanie, to byłoby lepiej, gdyby  
zginęła w tamtej lawinie błotnej. Na pewno mniej by mnie to kosztowało.

– To... potworne! Jak możesz...

– Potworne? – David miał oczy pełne wrogości. – Och, to nie ja jestem  
potworem. Zastanów się, jaka matka porzuca własne dziecko? Choć raczej  
powinienem powiedzieć „jakie matki”, w końcu obie to zrobiły. Najpierw  
Ursula, potem Helen. Obie porzuciły dziecko. Obie porzuciły mnie.

**SZPITAL W BLANTYRE, 15 CZERWCA**

– **J**ak mogłaś, Evie? Jak mogłaś mnie okłamać?

Lexy wparowała do pokoju Evie i stanęła przy jej łóżku, drżąc, z rękoma wspartymi na biodrach, emanując złością.

– Wiedziałaś. Przez cały czas, kiedy opowiadałam ci o swoich odkryciach, wiedziałaś o wszystkim.

– Ja... Lexy, przepraszam. Ja... Nie wiem, co...

– Ani mi się waż! Nie waż się zaprzeczać. Przestań mnie okłamywać.

– Nie kłamie. Nie skłamałam.

– I nie chwytaj mnie za słówka. Nie powiedziałaś mi prawdy, przecież to to samo. Pozwoliłaś mi myśleć, że nie mam rodziny, że moja matka była sierotą. Wszystkie na to pozwoliłyście. Trzy cholerne wiedźmy, oszukujące cały świat i odmawiające mi kontaktu z rodziną. Jak mogłaś?!

Staruszka wyglądała krucho i blado na tle krochmalonej pościeli. Lexy ukłuło poczucie winy, ale naprawdę, jak Evie mogła nic nie powiedzieć?

– Co się tutaj dzieje? – W drzwiach pojawiła się pielęgniarka.

Lexy obróciła się i ruszyła ku niej.

– Wynoś się! Do diabła, niech wszyscy się stąd wynoszą! – Lexy trzasnęła drzwiami i wsłuchiwała się w staccato kroków pielęgniarki oddalającej się korytarzem. Lexy wsparła się o drzwi, oddychała z trudem, ponieważ gniew, ból i poczucie straty wezbrały w niej i uderzyły w Evie: jedyną osobę, na którą mogła być zła i którą mogła winić za to, co teraz czuje.

– Dlaczego, Evie? Czemu to zrobiłaś? To wszystko? – Lexy przemierzała pokój tam i z powrotem, energia wyzwolona w wybuchu złości przyprawiała ją niemal o szaleństwo. Czowała, że wyszła ze swojego ciała i obserwowała siebie, tę krążącą w kółko obcą osobę, z boku.

– Lexy, proszę. Usiądź. Porozmawiajmy spokojnie.

Lexy słyszała drzenie w głosie Evie, wiedziała, że staruszka jest zszokowana gwałtownością jej ruchów, złością, która nią kierowała.

– Tak było lepiej. Naprawdę. Lexy, przykro mi. Nam jest...

– Przykro? Wam jest przykro? Nie jest wam w połowie tak przykro jak mnie. Przykro mi, że przez całe życie nie wiedziałam, kim jestem...

– Dość tego, Lexy.

Nie usłyszała otwierania drzwi ani kroków za sobą i podskoczyła, kiedy dłoń Roberta chwyciła za jej ramię z zaskakującą siłą i obróciła ją, by stanęła z nim twarzą w twarz.

– Co ty sobie wyobrażasz? Co tu robisz? Moja babcia jest bardzo chora i...

– I ty! Ty też wiedziałeś. Jesteś tak samo okrutny jak ona, jak one wszystkie!

Robert siłą posadził ją na krześle, oparł dłonie na jej barkach i pochylił się nad nią.

– Wystarczy, Lexy. Już wystarczy. Jeśli się nie uspokoisz, będziesz musiała wyjść. Nie pozwolę, żeby ktoś szargał nerwy mojej babci.

– A co ze mną? Co z moimi zszarganymi nerwami? Czy w ogóle zamierzaliście mi o tym powiedzieć? Hm? Którekolwiek z was? – Lexy obracała głowę wte i wewte, próbując spojrzeć na Evie. Starsza pani, leżąca za nią, zaczęła kaszleć. Robert niezwłocznie zjawił się u jej boku.

– Babciu, spokojnie. Oddychaj powoli. Popatrz na mnie, babciu. Właśnie tak. Nie spiesz się. – Kaszel starszej kobiety ustał. – Powinnaś już iść, Lexy. – Robert się nie odwrócił, nawet na nią nie spojrział.

– Przepraszam, ja... – Lexy przetarła oczy wierzchem dłoni, zawstydzona sobą, swoimi łzami, lecz nadal bardzo zezłoszczona. Pociągnęła nosem, wzięła głęboki oddech. – Przepraszam, dobrze? Ale to nie w porządku. To, co zrobiliście, jest złe, a ja muszę wiedzieć...

– Po prostu wyjdź, Lexy. Nie widzisz, do czego doprowadziłaś?

– Ale...

– Wynoś się!

Lexy zebrała się do wyjścia, ogarnął ją wstyd, kiedy spojrzała przez ramię na kruchą pacjentkę. Wiedziała, że przysługiwało jej prawo do złości, ale miała także świadomość, iż taki atak na Evie był niesprawiedliwy. Nie powinna obarczać ją winą za wszystko, a jednak to zrobiła. Jeśli chciała poznać resztę historii, fragmenty, które drwiąco podrzucił jej David, ale nie zgodził się ich wyjaśnić, potrzebowała pomocy Evie i Roberta, a to nie był najlepszy początek współpracy.

Wzburzona i wściekła Lexy musiała się przejść, wychodzić swą złość, wdeptać ją w ścieżki, które wiły się po szpitalnych ogrodach. Zdawszy sobie sprawę, jak nedorzecznie wyglądała, gdyby ktoś zobaczył ją przez okno, nie poczuła się ani trochę lepiej, lecz nie potrafiła wrócić do hotelowego pokoju, wiedząc, w jakim stanie go zostawiła. Stracił dobytek i pewnie skończy w slumsach w jakimś zaułku, w jeszcze większych tarapatach, niż te, w które wpakowała się do tej pory, jeżeli wyruszy przed siebie na ulicę.

Gdy przechadzała się po terenie szpitala, niepomna na tęcze kwitnących wokół niej kwiatów oraz na przyjemny cień rzucany przez rosłe akacje, mimo że towarzyszyło jej od wczoraj poczucie fiaska relacji z Robertem, znajdując się na uboczu ogrodów, powtarzała w myślach to, co powiedział jej David. Jest wnuczką Helen Buchanan. Siostrzenicą Davida Buchanana, na dobrą sprawę. Nie była pewna, czy któraś z tych ról jej odpowiada, biorąc pod uwagę to, czego dowiedziała się o tym duecie. Małoduszny, zgorzkniały, podejrzany mężczyzna

oraz kobieta okłamująca tego, którego rzekomo kochała, porzucająca dziecko, mimo że wcześniej przez lata udawała jego matkę, która po wszystkim zbiegła, oskarżona o morderstwo. Czy ona też maczała w tym palce? W zaniedbaniu przedsiębiorstwa? Czy o nim wiedziała? Albo gorzej, może przymknęła oko, kiedy oszczędzano na środkach bezpieczeństwa, usiłując zwiększyć zyski? Aż strach pomyśleć.

– Och! – Lexy stanęła jak wryta, przypominając sobie pytanie Roberta zadane tamtego dnia nad jeziorem. Co by zrobiła, gdyby była na miejscu Davida? Wiedział o tym, wiedział, że zgodnie z prawem przedsiębiorstwo Buchananów należy do niej, poddawał ją sprawdzianowi, chciał zapędzić w kozioł i zagwarantować sobie odszkodowanie...

Ale to nie miało znaczenia. Nie chciała mieć nic wspólnego z firmą ani z jej niesprawiedliwie uzyskanymi dochodami. *Co za pech, Robercie, powodzenia z krucjatą*, pomyślała w duchu. Była taka wściekła.

Usiadła na znajdującej się w cieniu ławce i zdjęła plecak zarzucony na ramię, który spadł na ziemię u jej stóp z głuchym tąpnięciem, przeładowany albumami fotograficznymi. Jak mogła być tak głupia? To jasne, że są rodziną, jeśli tylko spojrzy się na to z tej perspektywy. Ile z tego wiedziała jej matka? I od jak dawna? Czy dlatego ona i Ursula się pokłóciły? Czy Izzie domyśliła się, że jej rodzice nie byli wcale misjonarzami, jak ją zapewniano? Czy poznała Davida, kiedy pracowała tu jako pielęgniarka, czy zaprosiła go na wesele, kiedy wychodziła za mąż za Philipa Shawa? Czy może była wówczas taką samą ignorantką, co Lexy do tej pory? Czy David miał ją na oku, śledził ją, martwił się, że może zgłosić prawo do spadku, odebrać mu przedsiębiorstwo i fortunę, które go definiowały?

Co ważniejsze, czy Lexy chciała to zrobić, jeśli założymy, że mogłaby?

*W życiu nie uda ci się tego udowodnić, Lexy. Zadbalem o to – powiedział David, zanim wyszła. – Oszczędzisz nam sporo zachodu, jeśli w ogóle sobie*

*odpuścisz. Przystaniesz zadawać pytania. Proponuję ci hojne warunki umowy, by pozbyć się ciebie z mojego życia, z Malawi. Chcę, żebyś z powrotem była osobą, którą sądziłaś, że jesteś. To bezpieczne rozwiązanie. Przyjmij je.*

*– Nie chcę twoich pieniędzy. Chcę dowiedzieć się czegoś o mojej rodzinie.*

*– Powiedziałem ci tyle, ile potrzebujesz wiedzieć. Zaufaj mi, pożałujesz, jeśli zaczniesz drążyć temat. Ja muszę żyć z brzemieniem przeszłości, chociaż sownie to sobie wynagrodziłem – mówiąc to, wskazał na zbytkowne otoczenie – ale ty musisz uwierzyć mi na słowo: kiedy poznasz minione dzieje, nie napełni cię to szczęściem. Niektórych spraw lepiej nie rozgrzebywać.*

*– Ale Evie wie. Mogłaby mi pomóc...*

*Znów zaśmiał się jej prosto w twarz.*

*– Stara, schorowana kobieta? Jak miałaby pomóc? Kto przedłoży słowo pomyłonej, umierającej kobiety nad słowo głowy imperium Buchananów? Zwłaszcza skoro zadałem sobie tyle trudu, by usunąć dowody? Zresztą ona i tak by tego nie zrobiła. Wie, że najlepiej dać spoczywać pamięci o jej przyjaciółkach w spokoju. Uczyni wszystko, by chronić ich i ich dobre imię. Nie, nie ma już nikogo, kto mógłby pomóc ci to udowodnić, Lexy. Zatrzaszczyłem się o to. Nikogo już to nie obchodzi poza tobą. Zostałaś sama. Nikt cię nie wysłucha. Zatem bądź grzeczną dziewczynką i zmykaj do domu.*

*Lexy poczuła, jak znowu wzbiera w niej gniew. Miała prawo wiedzieć, kim była, skąd pochodziła, a nawet móc nosić nazwisko Buchananów, jeżeli miałaby taką ochotę, chociaż nie była pewna, czy by się na to zdecydowała. Musiała jednak dowiedzieć się wszystkiego, zanim będzie mogła wybrać, czy zwrócić się do swojej rodziny, czy też nie. Co więcej, chciała zebrać wszystkie informacje, żeby zrozumieć, dlaczego jej matkę odesłano do Ursuli, skoro miała*



przyrodniego brata oraz ojczyma w osobie Camerona. Czemu Helen nie chciała swojej córki? Czy to oznaczało, że nie pragnęłyby także wnuczki? Jak śmieli uknuć spisek i zataić przed nią prawdę oraz fakt jej pierworódtwa – pierwszeństwa dziedziczenia przysługującego najstarszemu potomkowi rodu? To nie miało żadnego sensu. Coś nie grało w opowieści Davida.

Lexy przeciągnęła się, skrzyżowane ramiona podłożyła pod głowę jak poduszkę i rozłożyła się na całej ławce. Gałęzie nad nią przeplatały się, tkając czarną koronkę na tle promieni słońca. Pomyśleć. Musiała pomyśleć. David wiedział coś, co napawało go pewnością, że Evie nie pomoże, nie będzie potrafiła pomóc Lexy dowieść, kim jest. Co to było? I dlaczego właściwie tak bardzo zależało Lexy na tym, żeby się tego dowiedzieć? Nie pragnęła majątku ani przejęcia przedsiębiorstwa. Nigdy nie marzyła o bogactwie ani dostatnim życiu. Chciała wierzyć, że ma rodzinę, miejsce, gdzie mogłaby przynależeć. Skoro David stanowił jej rodzinę, to czy na pewno chciała dowodzić pokrewieństwa z nią? Ale skoro już o tym wie, czy potrafiła zapomnieć i z powrotem być dawną, zwykłą Lexy Shaw?

Nie. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Nadal pozostawało zbyt wiele niewiadomych, nie może ot tak zaprzepaścić szansy, by rozwiać wątpliwości. Popęłniła błąd, spiesząc się z konfrontacją z Evie. Jedyne, co zdołała tym osiągnąć, to pogorszenie stanu staruszki i zrażenie do siebie Roberta. Była pewna, że on też wie więcej, niż jej mówił.

Nagle usiadła, chwyciła plecak i wstała. Idź. Idź przed siebie. Spal energię, dopóki nie uspokoisz się na tyle, by móc rozsądnie pomyśleć. Wychodząc zza rogu w stronę fasady szpitala, zobaczyła, jak smukłe, czarne auto zatrzymuje się, a szofer spieszy otworzyć tylne drzwi. Z cienia szpitalnego wejścia wyłonił się Robert i wsiadł do wozu. Lexy schowała się za krzakami hibiskusa, kiedy samochód minął ją i przejechał obok. Dostrzegła bez problemu, kto zajmował sąsiednie miejsce obok pasażera. David Buchanan.

*Ciekawe*, pomyślała Lexy. O co chodziło? O apelację Blantyre 144, a może o coś lub kogoś innego?

**REZYDENCJA, 15 CZERWCA**

**D**wie godziny później Lexy – spokojniejsza i bardziej zdecydowana, co powinna zrobić – weszła po schodach do zacienionego lobby hotelu. Wciąż nie mogła się zdobyć, by przekroczyć próg swojego pokoju; zamiast tego usiadła w ciszy z herbatą na werandzie, stwierdziwszy, że na razie woli przebywać tutaj.

– Pani Shaw? – Barney już ją ścigał. – List do pani. Doręczony osobiście godzinę temu.

Odebrała kopertę, jej wzrok od razu przykuły wysokie czarne litery, którymi wypisano jej imię na środku kremowego papieru. Pismo wyglądało znajomo, a może tylko tak się jej zdawało? Ponownie czarny atrament, taki sam jak w wiadomości, jaką otrzymała pierwszego wieczoru w Malawi, jak w notatkach z teczki, którą znalazła w biurku Roberta. Ale czy na pewno skreślono je tą samą ręką?

– Czy widziałeś, kto doręczył przesyłkę, Barneyu?

– Nie, pani Shaw, przykro mi. Zaczęłam zmianę dopiero pół godziny temu. Będzie pani musiała spytać Thomasa, kiedy przyjdzie jutro do pracy.

Lexy przytaknęła i wręczyła mu monetę.

– W każdym razie dziękuję.

Obróciła kopertę w dłoniach, wychodząc na werandę, gdzie tak doszczętnie zatopiła się w rozmyślaniach, że nie zauważyła rosnącego mężczyzny na rattanowym fotelu z podłokietnikami, póki jego słowa nie sprawiły, iż podniosła na niego oczy.

– Kolejny liścik miłosny, pani Shaw?

Pendleton. Jej serce zamarło.

– Pan Pendleton – powiedziała. – Dzień dobry.

Skrzywił się.

– Chyba nie muszę powtarzać mojej propozycji, żebyś zwracała się do mnie po imieniu? Nieważne. Przysiądziesz się? Właśnie zamówiłem herbatę. Chociaż niewiele dzieli nas od pory koktajlowej, może więc wolisz wystartować z ginem?

– Dziękuję, nie. Proszę mi wybaczyć, ale mam sporo pracy.

– Pracy? Wielkie nieba! Myślałem, że jest tu pani na wakacjach?

– Cóż, tak, mam urlop. – Czemu miała poczucie, że musi mu się tłumaczyć?

– Mimo tego muszę zająć się pewnymi sprawami. Kwestie rozporządzeń i tak dalej.

– Oczywiście. Takie są konsekwencje straty bliskiej osoby. Bardzo mi przykro z powodu pani Reid. I pani matki, rzecz jasna.

Lexy odburknęła coś, ale jej myśli przesiąknął niepokój. Skąd wiedział o jej matce? O pani Reid mógł słyszeć, owszem. W końcu Ursula nadal utrzymywała kontakty z Malawi. Ale jej matka? Lexy była pewna, że nie wspominała o niej podczas pierwszego spotkania z tym niezbyt przyjemnym typkiem.

– Może będę potrafił pani pomóc?

– Słucham? – Lexy zmusiła się, by powrócić do teraźniejszości.

– Z rozporządzeniami. To stara, nudna robota, prawda, ale w końcu w tym specjalizujemy się my, urzędnicy. Chętnie pomogę.

– To miło z pana strony, panie Pendleton, ale to naprawdę nie będzie konieczne. A teraz proszę mi wybaczyć, muszę...

Lexy niechętny pomachała kopertą, której nadal nie otworzyła, ale którą trzymała wciąż w dłoni.

– Oczywiście. Nie powinienem odciągać pani od tej tajemniczej wiadomości,

mam rację?

- Panie Pendleton. – Obok nich wyrósł Barney.
- Proszę, chłopcze?
- Telefon do pana.
- Och, na litość boską. Proszę powiedzieć, że...
- To pilne, tak powiedzieli. Sprawy konsularne.

Barney posłał Lexy ukradkowe spojrzenie, a ona z miejsca wiedziała, że kłamał. Ratował ją z opresji. Powstrzymała się od uśmiechu, gdy żwawy boy hotelowy uklonił się jej i pospieszył za ociężałą sylwetką Hugh Pendletona, kierując go do lobby, gdzie, Lexy była tego pewna, okaże się, iż pilnie telefonującemu rozmówcy znudziło się czekanie, aż konsul podniesie słuchawkę.

Skorzystała ze sposobności, zeszła po schodach z werandy i zniknęła za hotelem, oddalając się na skraj posiadłości w większym niż zwykle pośpiechu. Ów mężczyzna nie urodził się dyplomata, to jasne. Propozycja pomocy przy wydawaniu rozporządzeń była niedorzeczna, wręcz bezczelna. Ale czego od niej chciał? Czego próbował się dowiedzieć? A może pracował dla Davida? Na pewno David szastający pieniędzmi mógł sobie pozwolić na opłacenie bardziej wpraw nego szpiega niż ten przyciężki niedołęga.

Kiedy upewniła się, że nikt z hotelu nie zdoła jej dostrzec, a Hugh Pendleton zgubił jej ślad, usiadła w otoczeniu pergoli ukrytej w cichym zakątku. Rozdarła kopertę i wyjęła pojedynczą kartkę cienkiego papieru.

*Droga Lexy,*

*Musisz dowiedzieć się o pewnych rzeczach. Spotkajmy się dziś wieczorem o siódmej w starej sali lekcyjnej na terenie szpitala.*

*Robert*

Nie spaliła więc wszystkich mostów za sobą. Mimo wszystko poczuła wyrzuty sumienia. Nadal chciała przeprosić Evie. Zachowała się idiotycznie, bulwersująco. Danny powiedział, że przez żalobę stała się nie zrównoważona, a jej ostatni wybuch sugerowałby, że owa diagnoza okazała się trafna.

Zerknęła na zegarek. Tak. Ma jeszcze czas, mnóstwo czasu. Niezwłocznie uda się z powrotem do szpitala i złoży Evie przeprosiny.

**SZPITAL BLANTYRE, 15 CZERWCA**

– Już zdążyłam ci wybaczyć, kochanieńka. Z nas też nie były żadne świętoszki. To ty musisz przebaczyć nam, jak sądzę. Tak trudno stwierdzić, jakie rozwiązanie będzie najlepsze. Proszę, uwierz w moje słowa, że wszystko, co zrobiłam, było tylko po to, by pomóc, by chronić tych, których kocham. Aby ochronić ciebie, Lexy. Jestem przerażona, dokąd to wszystko może zaprowadzić.

– Rozumiem to, ale mam prawo wiedzieć, kim jestem. To nie ty decydujesz, komu przysługuje dziedzictwo, a komu nie. Zaczęłaś choć trochę rozumieć, jak bardzo to było dla mnie druzgocące? Myślałam, że strata mojej matki była najgorsza, ale teraz dowiaduję się, że kłamała...

– Wolałabym, żebyś przestała powtarzać, że wszyscy kłamali...

– Evie, nie chcę zaczynać kłótni od nowa. Ale jak byś to nazwała, jeśli nie kłamstwem? Bez względu na powody, ostateczny rezultat jest taki sam. Zatajono przede mną prawdę, i to celowo. Dorastałam, sądząc, że wiem, kim jestem, a teraz odkrywam, że jestem kimś zupełnie innym. Mam rodzinę. Barwną historię.

Evie westchnęła.

– Tak. Masz rację.

– Musisz mi teraz wszystko opowiedzieć. Jesteś mi to winna.

– Nie jestem przekonana, czy potem mi podziękujesz.

– Mam prawo sama to ocenić. Cokolwiek powiesz i tak nie będzie gorsze od tego, co sobie wyobrażam. Mów prawdę, Evie. Tylko o to proszę.

Starsza pani skinęła głową.

Był późny majowy poranek 1961 roku, jak wspominała Evie. Gazeta leżała na kanapie, tam gdzie ją wcześniej zostawiła, zszokowana tym, co przeczytała. Nie mogła zrozumieć, czemu jej przyjaciółka miałyby zrobić coś takiego, i nie wiedziała, jak powitać Helen, gdy gospoia obwieściła jej przybycie.

– Evie, wiem, że cię zawiodłam. – Helen zabrzmiała obronnie, gdy wparowała do pokoju, z miejsca przechodząc do sedna.

– Nie, nie. Oczywiście, że nie. – Evie nie miała pewności, czy to do końca prawda, ale Helen była jej przyjaciółką bez względu na to, co zrobiła.

– Właśnie że tak. – Helen westchnęła. – Za dobrze cię znam, przecież widzę. Tak bardzo starasz się być lojalna i mnie wspierać. Nie wiem, co zrobię, co bym zrobiła bez ciebie, Evie. Ciebie i dzieci, rzecz jasna.

– I Ursuli – dodała Evie z uśmiechem. – Nie zapominaj o naszej nieobecnej przyjaciółce.

– Och, nie. Nie zapominajmy o Ursuli.

– Helen, to odrobinę...

– Wiem. Przepraszam. Przez ostatnich parę tygodni... było mi... trudno.

– Oczywiście, że nie było łatwo, moja kochana. Drogi Gregory. Byliście ze sobą bardzo blisko, a to wydarzyło się tak niespodziewanie... I minęło dopiero parę tygodni, nic dziwnego, że nie jesteś... do końca sobą. Ale nie rozumiesz? Właśnie dlatego nie pojmuję, czemu, jestem...

– Zawiedziona.

– Zaskoczona, tak to ujmijmy, że ty i Cameron... To dość nagła decyzja. Zdążyliście już nawet ogłosić zaręczyny.

Evie ostrożnie dobierała słowa. Nie chciała, by Helen dowiedziała się, jak bardzo zabolęła ją, gdy tego ranka przeczytała obwieszczenie na łamach „The Timesa”. Niczego się nie domyślała i przepelił ją smutek, że Helen nic jej o tym nie powiedziała. Evie była przy niej od dnia, kiedy zmarł Gregory. Miały mnóstwo okazji.



Helen unikała jej wzroku, lecz Evie usłyszała jej westchnięcie. Helen wiedziała, że ją zraniła. Musiała mieć ku temu dobry powód, chociaż ciężko sobie wyobrazić, jaki mógł być.

– Nigdy nie przepadałaś za tym mężczyzną, Helen, a on nie zrobił nic dla dobra interesów. Ty i Gregory poświęciliście mnóstwo czasu na naprawienie jego błędów, zatuszowanie skandali, jego błędnych decyzji, nazywaj to, jak chcesz. Prawdę mówiąc, czułaś do niego szczerą niechęć.

– Niechęć? Delikatnie powiedziane. Raczej nienawiść. – Helen skrzyżowała ręce na piersi i uniosła podbródek, odwracając głowę, by wyrzucić przez ramię za okno.

– W takim razie dlaczego? Po prostu tego nie...

– Ponieważ on wie, Evie. On wie.

– Wie... Co właściwie...?

Helen odwróciła się, by spojrzeć Evie w oczy, głowę miała przechyloną na bok, a na twarzy zagościł jej nieszczerzy uśmiezek.

– Nie! Na pewno nie. Jakim cudem miałyby się dowiedzieć? Wiedzieliśmy o tym tylko my i...

– Ursula. Tak.

– Jednak nie sądzę, by ona... Czemu miałyby się do tego posunąć?

– Nie wiem. Ale musiała to zrobić. Co innego mogło się wydarzyć? – Helen krążyła tam i z powrotem, obcasy zwawo stukały o podłogę z tekowego drewna.

– Zresztą to nie ma już żadnego znaczenia. Jeśli za niego nie wyjdę i nie przystanę na jego „warunki”, jak je nazywa, wówczas rozpowie całemu światu, że David nie jest mój. Ani Gregory’ego. To zniszczy Ursulę, mimo że jest na drugim końcu kuli ziemskiej, chociaż w tej chwili, szczerze powiedziawszy, jestem na nią tak wściekła, iż doprawdy nie dbam, czy okryje się hańbą, czy też nie...

– Nie mów tak, wiesz, że ona...

– Nie obchodzi mnie to! Nie. Nie robię tego przez wzgląd na Ursulę. Robię to dla Davida. Mojego Davida, syna Gregory’ego. On niczym nie zawinił, a ja zrobię wszystko, co konieczne, by chronić jego i jego dobre imię. Tak samo zatroszczę się o mojego Rossa i moją Izzie. Nie chcę ich obciążać. Nie pragnę, by przygniótł ich skandal, skandal, który mógłby zachwiać Buchananami, a może nawet ich obalić. I nie zapominajmy – mówiła z coraz bardziej dobitną goryczą w głosie – że oszukiwałam mojego męża. Przez lata. Jaką kobietę to ze mnie czyni? Niezbyt godną zaufania. Nie. To nie może ujrzeć światła dziennego. Nigdy. Gregory wyszedłby na głupca. Nie pozwolę na to.

– Ależ czy nie istnieje inna droga? Ślub z człowiekiem, którym pogardzasz, to dość ekstremalne rozwiązanie, nie sądzisz? Nie mogę uwierzyć, że Cameron naprawdę chce ożenić się z kimś, kto go nienawidzi. – Evie wstała i podeszła do Helen, poprowadziła ją do kozetki, gdzie ją usadowiła i usiadła obok niej. – On cię prześladowa. Wciąga w swoje okrutne gierki. Nie zrealizuje tego planu. Dla niego też nie będzie to zbyt przyjemny los. Cameron jest podejrzany, niepohamowany, rozpieszczony i Bóg jeden wie jaki jeszcze, ale chyba nie zamierza celowo jeszcze bardziej utrudniać sobie życia, prawda? Czemu miałby to robić?

Helen wzruszyła drobnymi ramionami, oparła głowę o poduszki.

– Dla pieniędzy. I z zazdrości. – Brzmiała na bardzo znużoną. – Cameron chce wszystkiego, co posiadał Gregory, i jeszcze więcej. Uwierz mi, że gdyby istniało inne rozwiązanie, chwyciłabym się go kurczowo i uciekła jak najdalej od tego... tego...

– Nie możesz tego zrobić. Musi istnieć inny sposób. Wymyślimy go zaraz...

– Na litość boską, Evie! – Helen odwróciła gwałtownie głowę, Evie dostrzegła gniew na jej twarzy, a jego wybuch odmalował na jej białych policzkach szkarłatne rumieńce. – Nie ma innej drogi. Pomyśl o tym. Nie chodzi tylko o zachowanie dobrego imienia i reputacji. Musimy wziąć pod uwagę

Buchananów. Sytuacja po śmierci Gregory'ego i tak zrobiła się wystarczająco niestabilna. Muszę się sporo napracować, by przekonać naszych klientów, że potrafię prowadzić interesy bez niego, a szczerze powiedziawszy, sama nie jestem tego całkiem pewna. Skandal tego pokroju mógłby nas zrujnować. Popatrz, kim są nasi klienci. Nasze przedsiębiorstwo w całości opiera się na współpracy z misją. Jeśli stracimy ich, stracimy wszystko. To proste. Może jesteś wielkoduszna, Evie, ale czy możesz z ręką na sercu zapewnić mnie, że Kościół, prezbiterzy z Edynburga, którzy trzymają kiesę w kieszeni, podzielą twoje współczucie?

Evie spojrzała na swoje dłonie ściśnięte na podołku, próbując uwierzyć, że tak właśnie postąpią członkowie misji, ale Helen miała rację. Oczywiście, że ją miała. Znakomicie znała się na interesach i swoich klientach.

– Nie, nie mogę.

– Co innego mam zrobić? Bez dobrych stosunków z misją przedsiębiorstwo Buchananów upadnie. Próbowалам zaproponować mu pieniądze, ale to mu nie wystarczyło. Chce wszystkiego, co miał Gregory. Chce mnie. – Helen znów wstała, prędko przemierzyła pokój i ruszyła w noc. Evie zdążyła jednak zobaczyć jej łzy.

Po chwili podążyła za nią i dwie przyjaciółki stanęły obok siebie, ramię w ramię, oparły ręce na balustradzie werandy i wdychały zapach otaczającego ich kwiecia, wsłuchując się w bzyczenie owadów i odległe głosy służby dochodzące z ich kwater.

– Roześmiał się, kiedy prosiłam, błagałam go, by zaczekał. Chciałam, aby minął choć rok, zanim ogłosimy nasze zaręczyny, ale myśl o skandalu przypadła mu do gustu mimo ryzyka, że zagrozi naszej pozycji na rynku. To tylko kolejny wybieg, aby mnie pograżyć. Mówi, że zламаłam mu serce. Że jestem jedyną kobietą, którą potrafiłby naprawdę pokochać. Że gdybym go nie odrzuciła, gdybym wyszła za niego za mąż, byłby lepszym człowiekiem. To, kim jest,

wszystko, co zrobił, jak twierdzi, należy przypisać mnie. To moja wina.

– Przecież to nonsens. To nierozumne... To... szalone.

– Tak. – Głos Helen przeszedł w szept. – Co martwi mnie bardziej, niż potrafię wyrazić słowami.

– Nie mogę ci pozwolić, żebyś to zrobiła.

– Muszę. I zrobię. Ale nie sądzę, by Cameron mógł wyprawiać, co mu się żywnie podoba, nie oglądając się na innych. Jeszcze będzie musiał się natrudzić, bardziej niż sobie wyobraża. Są pewne rzeczy, których nie wie. Rzeczy, które mogę zrobić, by sama ochronić moje dzieci.

Evie potrząsnęła przecząco głową, rozpaczliwie usiłując obmyślić sposób, by wybawić swoją przyjaciółkę z oparów, by zakończyć tę farsę. Jednak nie potrafiła. Mogła jedynie czuwać nad Helen.

– Mogę ci jakoś pomóc? Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyś była bezpieczna.

– Może pewnego dnia będziesz musiała. Ale na razie bądź tą, którą zawsze byłaś. Moją najdroższą, najbardziej zaufaną przyjaciółką. I ani słowa Ursuli. Obiecuj mi.

Evie przytaknęła, zawierając umowę z ciężkim sercem, ponieważ wiedziała, że na zawsze utknęła między sprawami swoich dwóch najbliższych przyjaciółek. Szczelina, którą zasypały narodziny Davida, teraz stała się przepaścią nie do pokonania. A to ona lata temu zaproponowała taki układ. Jak inaczej mogłyby potoczyć się ich losy, gdyby się nie wtrąciła...

\*

— **P**owinna pani już wyjść, pani Shaw.

Pielęgniarka odezwała się łagodnie, przemierzając cicho salę, by zmierzyć Evie puls. Staruszka ani drgnęła.

– Te pogaduchy ją wykończą, a my potrzebujemy silnej pacjentki, która przetrwa operację.

**SALA LEKCYJNA, TEREN SZPITALA W BLANTYRE,  
15 CZERWCA**

Zmrok już zapadł, kiedy Lexy wyszła z pokoju Evie. Nie było sensu wracać do hotelu, by ledwie przekroczyć próg i za chwilę znów wychodzić. Co prawda zjawi się przez to nieco wcześniej na spotkaniu z Robertem, ale wieczór był cudowny i kojący, nie zaszkodzi, jeśli usiądzie na ganku dawnej sali lekcyjnej i na niego zaczeka. Ruszyła ścieżką w prawo, a potem przez bramę, którą pokazał jej Robert, kiedy zaledwie parę dni temu oprowadził ją po bungalowach. Zrobiła z siebie idiotkę, zapraszając go na kolację, a potem dając wyraz zaskoczeniu, że on i Audrey są razem. Cieszyła się, że oboje zdawali się o tym zapomnieć. Jego wiadomość była zaskakująca, ale może znów źle go oceniła, może on naprawdę pragnął jej pomóc? Czy dowiedział się, w którym domku mieszkali jej rodzice?

Lexy była zmęczona i szła powoli. Jak zdoła spojrzeć w oczy Robertowi i nie spalić się ze wstydu? Powinna go przeprosić. Postąpiła głupio, źle się zachowała. Ale to pasowało do tej dziwnej rodziny, do której teraz należała bez względu na to, czy jej się to podobało, czy nie. Już i tak zbulwersowało ją to, czego dowiedziała się do tej pory, a miała silne przeczucie, że najgorsze jeszcze przed nią. „Uważaj, czego sobie życzysz” – powiedziałyby jej matka. Cóż, tego sobie życzyła i właśnie tu się znalazła.

Bungalow, gdzie mieściła się sala lekcyjna, stał pogrążony w ciemnościach, przysiadła więc na schodku i oparła głowę o filar werandy. Rozprostowała ramiona, wyciągając je w górę i zaplatając o słupek stojący za nią, jednocześnie

usłyszała strzykanie w kościach i poczuła, że napięte mięśnie się rozluźniają. Położyła ręce na kolanach i podniosła wzrok ku czystemu niebu, gwiazdy świeciły już jasno, mieniając się niczym cekiny na granatowej, aksamitnej pelerynie. Lśniący księżyc wisiał nisko nad horyzontem, jego połyskliwe światło rzucało migotliwe cienie wokół niej, kiedy liście kołysały się na delikatnym, wieczornym wietrzyku. Ta noc należała do niej. Lexy rozsmakowała się w swojej samotności.

*Stuk.*

Kobieta odwróciła się na pięcie w stronę drzwi i wyczekiwała.

– Robercie?

Siedziała po ciemku. Drzwi były lekko uchylone, a klucz widoczny w świetle księżyca tkwił w zamku. Nie sprawdziła wcześniej, czy budynek był otwarty, założyła, że nie dało się do niego wejść. Stary drewniany parkiet zaskrzypiał, kiedy podeszła do drzwi i popchnęła je.

– Robercie, to ty?

Cisza. Ciemność, choć jej oczy przyzwyczyły się do mroku i zaczęła rozróżniać kształty w blasku księżyca wlewającym się przez strzeliste okna, które zajmowały dwie wysokie ściany niewielkiego pomieszczenia. Dwa rzędy starannie ustawionych biurek dzieliło przejście pośrodku, a na czele stało jedno większe niczym generał dowodzący swoim oddziałem. Uśmiechnęła się. Staroświecka szkoła. Ciekawe, jak byłoby w niej uczyć? Zauważyła tablicę, snop księżycowej poświaty pozwolił dostrzec zakurzone pasmo na jej powierzchni, wyblakły kształt dawno zmazanych liter był ledwie widoczny, straszyl niczym duchy poprzedniego wcielenia. Na ścianach wisiały plakaty, ale panowały za duże ciemności, by móc je wyraźnie zobaczyć, a z tyłu klasy w rzędzie stały szafki oraz regały na książki, nadal było za ciemno, żeby zdołała bez przeszkód przyjrzeć się ich zawartości. Popchnęła drzwi lewą dłonią, a prawą szukała po omacku włącznika światła. Dwa włączniki. Wcisnęła jeden z nich. Nic.

Spróbowała z drugim i poczuła poruszenie w powietrzu oraz usłyszała dobiegający z sufitu delikatny szmer wentylatora, który obudził się do życia. I tak było tu chłodno, ale zostawiła urządzenie włączone, ukojona jego cichym szumem.

Ruszyła przed siebie, powoli szukając po omacku drogi, idąc wzdłuż rzędu stolików i muskając palcami ich blaty, aż dotarła na początek sali. Przysiadła na biurku nauczyciela i obejrzała się na pustą przestrzeń, wypełniając ją w myślach uczniami, których opuściła pod koniec semestru. Czy za nią tęsknili? A czy ona tęskniła za nimi? Chyba tak. Odrobinę. Dzieci nigdy nie stanowiły problemu. Problematiczny był system: przepełnione klasy, brak wsparcia, dyscypliny. I rodzice. Westchnęła. Nie miała ochoty wracać. Propozycja Davida oznaczała, że wcale nie musiałyby...

*Stuk.*

Zerwała się z biurka i raptownie obróciła na ów hałas.

– Robercie?

Nikogo tam nie było, a jednak drzwi znów stały zamknięte. To pewnie przez podmuch wentylatora albo wieczorny wiatr. Stare deski parkietu na zewnątrz zatrzeszczały. Zdjął ją strach, zanim zdążyła go w sobie zdusić. Zaczęła robić się nerwowa, ale to pewnie tylko mysz lub kot. Albo po prostu skrzypienie wychładzającego się drewna, oddającego ostatnie promienie słońca.

Wzrok przywykł do mroku, mogła więc zobaczyć plakaty na ścianach, a nawet wyrżnięte na blatach biurek inicjały. Przeszła się wzdłuż rzędów, w myślach wydając swojej klasie polecenia.

*Dzieci, wyjmijcie książki.* Wkrótce rozległby się łoskot pulpitów, a potem gwar rozmów, kiedy uczniowie chowaliby się za podręcznikami, używając ich jako tarczy do obrony przed nauczycielką.

*Proszę o ciszę. Spokój.* I stałby się cud nad cudami – uspokoiłby się.

Chyba śniła.



Przykucnęła, żeby przyjrzeć się książkom, które stały zapomniane na półkach z tyłu sali, wzięła jedną z nich, usiadła w siadzie skrzyżnym na podłodze i zaczęła ją wertować, usiłując odczytać słowa i rozróżnić obrazy w półmroku.

*Stuk.*

Zamknęła gwałtownie podręcznik i obróciła głowę, biurka zasłaniały jej pole widzenia.

*Stuk.*

Wstała niezgrabnie. Drzwi nadal były zamknięte. A może to jej się tylko zdawało? Pewnie gałąź drzewa trzeszczała na wieczornym wietrze albo też deski parkietu wydawały jękliwy dźwięk. Nawet jeśli tak było, to wolała poczekać na zewnątrz.

Odłożyła książkę na półkę, ziewnęła, rozluźniając spięte ramiona, po czym powoli ruszyła przez upiorną klasę do drzwi. Nagle dostrzegła błyskawiczny ruch pod biurkiem nauczyciela tuż przed nią. Stała i świdrowała ciemności wzrokiem. Mysz? A może szczur? Nic takiego, chyba że...

Lexy łapała powietrze z trudem i odskoczyła na widok poruszenia w cieniu blatu. Pochyliła się, ale nie zdołała nic dostrzec. Wyobraźnia? Była zmęczona. Przemęczona.

Noga biurka ruszyła się i wyciągnęła na podłodze. Mroczny cień zdązał w jej stronę. Niczym wąż.

– Ach! – Wzięła gwałtowny oddech i potykając się, przywarła do biurka, podczas gdy cienkie, węzowate ciało pełzało i wiło się wokół nóg nauczycielskiego krzesła. Zamarła. Nie wiedziała zbyt wiele o węzach, lecz miała wystarczające pojęcie, by zdawać sobie sprawę, że spotkanie z przedstawicielem tego gatunku na zamkniętej przestrzeni prawdopodobnie nie oznaczało nic dobrego.

*Uciekaj. Natychmiast.* Niespiesznie zaczęła przesuwać się do przodu, wciskając się w uczniowskie biurka, ponieważ nie chciała stracić kreatury

z zasięgu wzroku, była przerażona, że zgubi ją w ciemnościach. Jeżeli uda jej się dostać do drzwi, wtedy zdoła wyjść, wezwać pomoc, zawołać kogoś, kto rozprawi się z bestią, a przynajmniej zamknie ją w sali lekcyjnej. Jednak zwierzę wypełzło spod biurka i zakradało się do skrajnego przejścia między rzędami biurek, odcinając Lexy drogę do drzwi.

Okna. Czy uda jej się uciec przez okno? Przyjrzała się wąskiemu oknu zajmującym jedną ze ścian. Wąskie i znajdujące się wysoko. Bardzo wysoko. Czeka ją spory skok na zewnątrz, jeśli w ogóle uda jej się wdrapać...

Z paniką skierowała swój wzrok z powrotem na podłogę, kiedy usłyszała ciche „sss...” i zobaczyła, jak gad powoli toruje sobie drogę i hipnotycznymi ruchami wsuwa się pod biurko zaledwie dwa rzędy przed nią. Następnie jego głowa wyłoniła się ponownie, a cielsko zaczęło sunąć wzdłuż przejścia. Prosto na nią.

– Nie. O Boże. – Wskoczyła na najbliższe biurko, przytuliła kolana do klatki piersiowej i siedziała tak, uwięziona niczym rozbitek na bardzo małej wyspie, zbyt późno zdając sobie sprawę, że nie widzi już węża, więc nie dowie się, czy nadal zajmuje przestrzeń między nią a drzwiami. Gdzie jest Robert? I dlaczego jeszcze nie ma go tutaj?

– Nie! Och, proszę, nie... – Wąż znów się zjawił, dotarł do jej biurka, sunął po nim w górę, wijąc się po nogach mebla. Co to było? Boomslang albo zmija? Czy to w ogóle miało jakieś znaczenie? Oddychała płytko i niespokojnie, krew tętniła jej w uszach, gdy przycisnęła nogi mocniej do siebie i skurczyła się, jak tylko potrafiła, po czym zobaczyła, jak wijący się ogon pod nią zniknął. Wyciągnęła szyję, by spojrzeć za siebie i zobaczyć, czy wąż wychynie po drugiej stronie, ale za bardzo bała się ruszyć, żeby nie stracić równowagi, nie przeważać biurka i nie skończyć na podłodze z...

Miotła. Tuż za nią. Stoi między rzędami biurek, oparta o ścianę. Jej broń.

Gęsia skórka wystąpiła jej na ramię, kiedy powoli, ostrożnie sięgała po

miotłę, palce zadrżały, dotykając drewna. Po omacku badając zdobycz, poczuła, że kij porusza się, obsuwa w jej stronę i...

Z łoskotem wymyka się jej, uderza w biurko za nią tak, że pozostaje poza zasięgiem ręki. Następnie zatrzymuje się ze szczotką wspartą o jedną z nóg biurka. Lexy głośno wypuściła powietrze. Przynajmniej nie upadł na podłogę. Nadal były szanse. Znów wyciągnęła rękę, tym razem dalej, poczuła, jak biurko pod nią chwieje się, lecz pochwyciła miotłę i przyciągnęła do siebie, zanim swoim ciężarem przeważyla i wywróciła biurko. Kurczowo przyciskała prowizoryczną broń do siebie, próbując uspokoić oddech; cisza huczała jej w głowie, a ona nasłuchiwała delikatnego świstu węzowego ogona. Gdzie był?

Tam. Prześlizgnął się na tyły sali. To była jej szansa. Miętko zeskoczyła z biurka i wycofała się do drzwi ze wzrokiem utkwionym w płazie, choć łzy zamazywały jej widok. Trzymała miotłę w wyprostowanych, zdrętwiałych rękach przed sobą, w górze, gotowa uderzyć, gdyby wąż rzucił się na nią. Jak wygląda atak węża? Czy ten ją zaatakuje? Nie miała zielonego pojęcia. Musi jakimś sposobem otworzyć drzwi.

Wąż zniknął w mroku na tyłach pomieszczenia, ale Lexy dopadła już do drzwi. Wciąż wpatrywała się w punkt, gdzie widziała agresora ostatnim razem, sięgnęła ręką za siebie, szukając po omacku klamki, i w końcu chwyciła zimny metal. Nacisnęła klamkę, skrzypiący mechanizm wybijał się na pierwszy plan przy akompaniamencie cichego szumu wentylatora na suficie. Popchnęła drzwi. Nic. Klamka ani drgnęła. Znów zachręściła, gdy Lexy ją szarpnęła. Potem znów i jeszcze raz.

– Nie, nie! – powtarzała pod nosem, kiedy rzuciła miotłę i pospieszyła do wyjścia, po czym mocowała się z klamką, chwytając ją obiema rękoma, naciskając i pchając drzwi, które jednak ani drgnęły.

– Pomocy! Niech ktoś mi pomoże!

Wiedziała, że nikt jej nie usłyszy. Sąsiedztwo bungalowów było albo

opustoszałe, albo zamienione na magazyny – w każdym razie ani żywej duszy w pobliżu. Chyba że Robert? Dlaczego go tu nie było? Już powinien przyjść, on...

A wąż? Gdzie jest wąż?

Obróciła się w samą porę, by dostrzec ogon znikający pod biurkiem w rzędzie jak najdalej od drzwi. A jednak był coraz bliżej. Zbliżał się do niej. Musiała zachować zimną krew. Spowolniła oddech, potem przykucnęła, wzrokiem świdrując zacienienie pod biurkami, jednocześnie sięgnęła znów po kij miotły. Palcami pochwyciła zniszczone drewno i powoli przyciągnęła je do siebie, gdy tymczasem spiczasta głowa płaza wysunęła się spod nauczycielskiego krzesła i niespiesznie lawirowała to w lewo, to w prawo, z każdym ruchem zbliżając się do Lexy.

A ona wpadła w szloch. Jeśli wąż ją ukąsi, ile czasu upłynie, zanim jad zacznie krążyć w jej żyłach? Czy zdąży rzucić się do ucieczki? Dostać się do szpitala i uzyskać pomoc? *Idiotka*. A jakie to miało znaczenie? Przecież nie mogła wydostać się z tego pomieszczenia. Była uwię...

Wąż wychynął z ciemności, poruszając się szybciej, zbliżał się do niej. Zawodząc jak upiór, podniosła wysoko miotłę i zmiażdżyła nią połyskującą głowę, która zasyczała i wywaliła język, niemal sięgając jej kostki. Lexy odskoczyła i znów cisnęła miotłą, gdy bestia zawróciła i zaczęła pełznąć ku niej.

– Nie, nie, nie! – wykrzykiwała raz po raz, gdy znów przypuściła atak z miotłą, nie zwracając uwagi na obrzydliwy chrzęst kości, chlupot mięsa. Płaz wykonał u jej stóp obrót w swym migotliwym tańcu, aż jego skręty zwolniły i ustały. Lexy dalej uderzała w miazgę na podłodze, jej ramię stało się metronomem odmierzającym czas, a jej oddech zwolnił.

– Lexy! – Odwróciła się na pięcie. Robert stał w otwartych drzwiach z wyrazem kompletnego zszokowania na twarzy. – Wielkie nieba... O mój Boże. – Chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie, jednocześnie ogarniając wzrokiem

miejsce zbrodni, martwego węża i przewrócone biurko.

– Co... Jak ten wąż się tu znalazł? Nic ci się nie stało? Lexy? Lexy, mów do mnie!

Lexy trzęsa się i łkała, pustym wzrokiem wpatrując się w krwawą miazgę u jej stóp.

– Wszystko w porządku, Lexy. Już nie żyje. Zabiłaś go. Już dobrze, daj mi to. – Robert delikatnie wyjął miotłę z jej rąk i oparł ją o ścianę. Ujął twarz Lexy w dłonie i pochylił się nad nią, by móc spojrzeć jej prosto w oczy.

– Lexy, popatrz na mnie. Jesteś bezpieczna. Wąż nie żyje. Lexy? – Jej szloch przycichł, ale nadal trzęsa się, gdy wziął ją w ramiona i mocno przytulił do piersi. – Ciii. No już. Mam cię. Nic ci nie grozi. Ciii. – Tulił ją do siebie, nucąc te słowa jak dziecięcą kołysankę, aż drzenie jej ciała ustało, oddech stał się bardziej wyrównany, a napięcie jej naprężonego ciała zaczęło odpuszczać. Wyprowadził ją z sali lekcyjnej, oplatając opiekuńczym ramieniem, i zatrzasnął za nimi drzwi.

– Usiądź tutaj. – Posadził ją obok siebie na schodach ganku. – Opowiedz mi, co się stało.

Ze znużeniem potrząsnęła głową, przyjrzała się swoim dłoniom, zaplotła je mocno i położyła na kolanach.

– Lexy? Co się wydarzyło? Czemu tu jesteś? – W jego pytaniach słychać było cień irytacji, a jego ramię przestało ją obejmować. – Nie powinnaś tu sama przychodzić, przynajmniej nie tak późno wieczorem. Coś mogło ci się stać!

Lexy podniosła na niego wzrok, zaskoczona i zraniona jego poirytowanym tonem.

– Ale przecież wiadomość...

– Jaka wiadomość? Na litość boską, Lexy! Co ty tu wyprawiałaś? Na Boga, co cię opętało, żeby atakować węża? Nikt ci nie mówił, że odwaga winna iść w parze z rozwagą?

Tak. Jej matka. I to często. Oddech Lexy odzyskiwał regularny rytm,

w głowie jej się przejaśniło.

– Czemu po prostu stamtąd nie wyszłaś? Kiedy widzisz węża, musisz uciekać. Można by pomyśleć, że sama prosiłaś się o śmierć albo...

– Było zamknięte.

Robert raptownie przerwał swoją tyradę.

– Co było zamknięte?

– Drzwi.

– Nie, wcale nie.

– Ktoś mnie zamknął. – Lexy dostrzegła z wątpliwie w jego oczach.

– Nie bądź śmieszna. Czemu ktoś miałby to zrobić? Drzwi nie były zamknięte na klucz. Może zatrzaśnięte, ale otworzyły się bez żadnego problemu...

– Były zamknięte na klucz, Robertcie. Próbowałam się wydostać. Oczywiście, że tak! Ale drzwi ani drgnęły. – Znow zaczęła dygotać. Rozmasował jej ramię, potem pomógł wstać i skierował w stronę szpitala.

– Posłuchaj, jesteś w szoku. Drzwi pewnie się zacięły i...

– Nie wierzysz mi.

– Cóż, to wydaje się mało prawdopodobne, czyż nie? I na pewno były otwarte, kiedy tu dotarłem.

Lexy przeszła parę kroków po ścieżce, obejmując się ramionami, pomimo ciepłego wieczoru nadal mając dreszcze.

– Lexy, pomyśl tylko. Dlaczego drzwi miałyby być zamknięte na klucz? Kto miałby... To znaczyłoby...

Śpiew cykad rozległ się w ciężkim milczeniu, które zawisło w powietrzu.

– To oznaczałoby, że ktoś umyślnie zamknął mnie w tamtej sali. Z wężem. – Odwróciła się i spojrzała Robertowi prosto w twarz. – Nikt nie wiedział, że się tu wybieram. Prócz ciebie.

– Co? Nie wiedziałem, że tu będziesz... Byłem w laboratorium i...

– Przeczytaj to. – Cisnęła w niego zmiętą kartką papieru i przyglądała, jak marszczy brwi, odczytując treść.

– Myślisz, że ja to zrobiłem? Tak sądzisz?

– Ty wysłałeś mi wiadomość.

– Nie, wcale tego nie zrobiłem. – Uniósł dłoń, kiedy próbowała mu przerwać. – To moje imię, Lexy, ale nie moje pismo.

Pogrzebała w torebce i wyjęła długopis.

– Udowodnij mi to.

– Co? Nie! Czemu niby miałbym się tu zjawiać, skoro... jeśli... Jak możesz myśleć, że posunąłbym się do czegoś takiego? – Brzmiał na oburzonego, ale Lexy tego nie kupowała.

– W takim razie mam szczęście, że akurat byłeś w okolicy i pospieszyłeś mi na ratunek?

– Nie uratowałem cię, Lexy. Już i tak zlikwidowałaś węża. Wcale mnie nie potrzebowałaś. – Miał oziębły głos. – Odwiozę cię do hotelu i poproszę, żeby jutro z samego rana ktoś ze szpitala sprzątnął ten bałagan. – Spojrzał przez ramię na salę lekcyjną, jednocześnie wstając i podnosząc ją za łokieć. – Zaparkowałem przed wejściem.

Spięła się, ale pozwoliła mu poprowadzić się ścieżką, próbując pojąć, co się właśnie wydarzyło. Czemu Robert zaprzeczał i mówił, że nie napisał tej wiadomości? I czemu się tu pojawił, skoro to nie on wysłał liścik? Nie wierzyła, że był w laboratorium. Nikt, nawet ten człowiek, nie pracuje w smokingu. A drzwi zdecydowanie były zamknięte na klucz. Jednak dziwnym trafem otwarły się, kiedy stanął w nich Robert.

Gdy zbliżali się do świateł szpitala, strząsnęła jego ramię i przyspieszyła.

– Zaczekaj, gdzie idziesz?

– Na postój taksówek. Trafię do domu, dzięki. Jestem pewna, że masz jeszcze sporo pracy... w laboratorium.

– Lexy, czekaj.

Lecz ona nie obejrzała się. A on nie poszedł za nią.



**REZYDENCJA, 16 CZERWCA**

**L**exy obudziła się z zawrotami głowy. Nadal było ciemno, chociaż przez listewki zamkniętych okiennic dostrzegła zaciątki bladego świtu. Przeciągnęła się i obróciła. Świadomość przychodziła powoli, wspomnienia powracały, aż nagle usiadła i pięścią zatknęła sobie usta, by zatrzymać krzyk, na który jej się zbierało, gdy przypomniła sobie poprzedni wieczór, węża, strach. Serce waliło jej jak oszalałe, a ona skuliła się i zaciągnęła bawełniane prześcieradło na głowę. Łzy napłynęły jej do oczu, zrobiło jej się niedobrze, gula rosła w gardle.

Ktoś usiłował ją zabić. I wyglądało na to, że tym kimś był Robert.

Zanim zdążyła minionej nocy wrócić do hotelu, doszła do wniosku, że nie mógł tego zrobić. Nie tylko dlatego, że nie chciała wierzyć w jego winę, ale ponieważ nie był aż tak głupi. Tak bezmyślny. Nie wysłał jej wiadomości. Teraz miała pewność. Czemu miałby ją zwabić, a potem pospieszyć z ratunkiem? Jednak to wcale nie oznaczało, że mogła mu zaufać. Co tak naprawdę tam robił? Śledził ją? Po co? Dlaczego obchodziło go, gdzie chodziła, co robiła? Postawił sprawę jasno: nie był nią zainteresowany. Nie podobało mu się też, że Lexy spędza czas z Evie.

Nie, to nie Robert za tym stał. Nie miał motywu. Wstała, otworzyła okiennice i wyszła na balkon z rękoma skrzyżowanymi na piersi i z nieobecny wzrokiem utkwionym w ogrodach, które tak ją zachwyciły, gdy tu przejechała. Tylko jedna osoba mogła pragnąć jej śmierci: David. David Buchanan, jej dopiero co odnaleziony wujek. Ryzykował, że straci wszystko, jeśli uda jej się udowodnić

pierwszeństwo w dziedziczeniu. Może wcale nie był tak pewien, jak twierdził, że zadbał o każdy szczegół, że nie było możliwości, by udowodniła niewiarygodną historię swojej przeszłości.

Wczoraj rano widziała, jak Robert wszedł do auta Davida przed szpitalem. A jednak powiedział jej, że nie rozmawiał z nim od czasu, gdy tamten odmówił mu pomocy w sprawie Blantyre. Wyraził się dobitnie, że go nie znosi. A teraz ją okłamał.

Ale... Przypomniała sobie twarz Roberta. Jego oczy, spojrzenie pełne... czego? Żalu? Rozczarowania? Myślała, że może mu ufać, sądziła, iż może zostać kimś więcej niż tylko przyjaciółmi... Spaliła się ze wstydu, wspominając, jak błędnie zinterpretowała sytuację. Winą obarczyła to, że pragnęła plastra na złamane serce. *Och, Danny.* Nigdy by nie pomyślała, że zatęskni za jego zrównoważoną przewidywalnością, jak stało się to teraz. Dlaczego więc Robert tam był?

Telefon zadzwonił, a ona błyskawicznie krzyknęła i równie szybko zamilkła. Naprawdę była aż tak roztrzęsiona? Bez wahania podniosła słuchawkę.

– Proszę? – Jej głos był piskliwy, jej samej zadzwonił w uszach.

– Lexy? Obudziłem cię? – zapytał Robert spokojnym, wyważonym tonem, tak jakby nic się nie stało. – Evie pyta o ciebie. Chce z tobą porozmawiać. Oczywiście przekonywałem ją, żeby tego nie robiła.

*Tak, oczywiście, pomyślała Lexy z goryczą.*

– Ale ona jest nieugięta. Będiesz? Mogę po ciebie przyjechać.

– Nie. – Lexy usiłowała czym prędzej wymyśleć rozwiązanie. – Nie, nie przyjeżdżaj. Ja... Sama trafię.

– Ale pojawisz się, prawda?

Czemu tak na nią naciskał?

– Tak. Oczywiście, że się zjawię. – Musiała usłyszeć, co Evie miała do powiedzenia, ale myśl o przebywaniu z Robertem sam na sam w jego

samochodzie, byciu zdaną na jego łaskę, napawała ją przerażeniem. Naprawdę nie wiedziała, czy może mu jeszcze ufać.

– Ona jest bardzo osłabiona, Lexy, ale lekarze nie mogą dłużej czekać. Operują ją dzisiaj... A więc żadnych scen. Obiecuj mi to.

– Jasne! – zapewniła Lexy, choć wiedziała, że jej dotychczasowe zachowanie nie wskazywało na to, że potrafi postępować delikatnie.

– Chce cię przekonać, dlaczego musisz dać sobie spokój i wracać do domu.

Wątpliwe, by Evie się to udało, skoro próba zabójstwa z wykorzystaniem węża wcale nie ostudziła jej zapału, prawda? Lexy przemilczała ciętą ripostę.

– Robercie, może mnie przekonać tylko jedno: prawda.

– Właśnie o tym chce z tobą porozmawiać. Mimo mojego sprzeciwu, jeśli wolno mi zauważyć.

*Cóż, oczywiście, pomyślała znów Lexy.*

**SZPITAL W BLANTYRE, 16 CZERWCA**

**E**wie czekała na nią, potok słów wartko popłynął z jej ust wraz z chwilą, gdy Lexy weszła do szpitalnej sali, prawie nie mając czasu usiąść. Od razu zaczęły się wspominki. Lexy zszokował wyraźnie słyszalny ból w głosie starszej kobiety, gdy zaczęła mówić.

Tamtego wieczoru na początku czerwca 1963 roku, tak jak robiła codziennie o zmierzchu, odkąd się dowiedziała, Evie próbowała zająć czymś myśli, zatamować nieprzejednany napływ słodko-gorzkich wspomnień, który – gdy tylko przez nią przepływał – zostawiał ją wykończoną i wydrażoną. Osieroconą. Bezsenną. Taką, jaką się stała, gdy umarł Douglas. Wówczas Helen była przy niej codziennie, by jej pomóc, ukoić ją i nie dać się rozsypać. A teraz nie było u jej boku nikogo i Evie walczyła, wciąż dochodząc do siebie po śmierci Helen. Minęło dziesięć dni od otrzymania tych okrutnych wieści, które zastały ich w Blantyre, o katastrofie nad jeziorem i dziesiątkach straconych dusz. Cztery dni upłynęły od odwołania poszukiwań ocalałych, a rodziny musiały spojrzeć prosto w oczy zarówno prawdzie, jak i śmierci, która zabrała ich najbliższych.

Próbowała czytać, wpatrywała się w kartki, przewracając je od czasu do czasu, lecz nie docierały do niej słowa, w końcu energicznie zamknęła książkę, cisnęła ją na stolik, aż lampa zadrżała i rzuciła tańczące cienie na ściany.

Wyszła do pograżonego w mroku ogrodu, lecz nie znalazła tam pocieszenia, więc wróciła do środka i usiadła przy pianinie, uderzyła w klawisze, ale jej uwagę odwróciła fotografia, która spoglądała na nią z góry. Trzy młode kobiety stojące

na pokładzie Aurory, takie niecierpliwe, tak podekscytowane, tak różne od siebie, choć każda z nich żywiła pewność, że odkryje swoją ziemię obiecaną.

– Nadzwyczajne – powiedziała Evie, opierając się o poduchy szpitalnego łóżka – jakim cudem zostałyśmy we trzy bliskimi przyjaciółkami. Wiesz, wcale nie byłyśmy do siebie podobne. Helen... O rany, ależ ona była olśniewająca, Ursula i ja nie dorastałyśmy jej do pięt. Biedna Helen. Tak bardzo się zmieniła od tamtego czasu. Tanta tryskająca energią młoda kobieta, która podbiła serca śmietanki towarzyskiej Blantyre oraz Zomby, przygasała, choć siła jej ducha nigdy nie osłabła, a serce nie obumarło i hojnie rozdawało miłość. Kochała dziecko Ursuli tak zażarcie, jak ukochałaby swoje własne, nigdy nie wyjawiała sekretu, nawet wtedy... gdy ten nikczemnik...

Evie odwróciła głowę, ale Lexy wiedziała, że w oczach staruszki czają się łzy; usłyszała je w jej drżącym głosie.

– To takie niesprawiedliwe. Jemu było dane żyć, podczas gdy Helen odebrano ten dar. Do tego zaskarbił sobie sympatię wszystkich znajomych właśnie z powodu straty, zyskał ich podziw dzięki desperackiej próbie uratowania żony. W końcu walczył z wiatrem i deszczem, rzeką i błotem. Prawdziwy bohater. Nie uwierzyłam w ani jedno słowo.

– Cóż – odzyskała panowanie nad głosem – potem z naszego trio ostał się duet, a nas dwie z kolei dzielił cały świat. Mała pociecha, mieszkać tak daleko od siebie. Ursula wcieliła się w rolę nienagannej profesjonalistki w Szkocji, zdecydowana zostawić przeszłość nieodwołalnie za sobą, a ja dalej mieszkałam w Malawi, nie mogąc wrócić do „domu”, ponieważ to nie był już mój dom. Ojciec zmarł dawno temu, rzecz jasna, a ja, wychowana na córkę pastora, nie miałam zbyt wielu przyjaciół. Wiesz, pobożność i młodzięczość rzadko idą w parze. Zostałam więc tu, zajęłam się działalnością dobroczynną – moimi rozrywkami, jak Robbie lubi to określać – musiałam po prostu przywyknąć do nowej rzeczywistości i żyć dalej. „Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem”,

powiedziałyby Ursula, jak się domyślam, lub zacytowałyby nam równie stoicką myśl. Ta kobieta była ze stali, nie dawała złamać sobie kręgosłupa, w przeciwieństwie do nas pozostałych. Ciekawe, co powiedziałyby kochana Helen. Nic, pewnie nic. Po prostu by tu była. Sama jej obecność stałaby się kojąca, a jej milczenie powiedziałoby wszystko.

Evie zakaszła, a Lexy zerwała się, by podać jej wodę, rozpaczliwie pragnąc, żeby starsza pani kontynuowała swą historię, choć upomniała się w myślach, że musi być cierpliwa. Przed nią leżało kruche ciało, bez względu na to, jak silny duch nadal w nim mieszkał. Evie popiła z wdzięcznością. Oparła się i zamknęła oczy. Gdy Lexy miała właśnie popaść w czarną rozpacz, stwierdziwszy, że Evie znów zasnęła, staruszka podjęła snucie opowieści.

**R**ozległo się pukanie do drzwi, w progu zjawiała się gosposia, chcąc sprawdzić, czy Evie była sama, po czym otworzyła na oścież i przesunęła swoje krzepkie ciało na bok, odsłaniając inne: szczuplejsze, wyższe.

– Evie? – spytała Helen. – Evie, to ja.

Evie poszukała oparcia w pianinie, podczas gdy pokój zawirował jej przed oczami.

– Helen?

Helen weszła do środka, a gosposia zniknęła w mroku korytarza, zamykając za sobą drzwi. Evie pospieszyła ku przyjaciółce i wzięła ją w objęcia, czując jej żyjące i oddychające ciepło.

– To ty! To naprawdę ty.

Obie śmiały się i płakały, przytulając się nawzajem.

– Helen, nie mogę w to... Myślałam, że zginęłam. Sądziłam... Chryste Panie, ty żyjesz!

Helen wysmyknęła się z objęć, ujęła dłoń Evie w swoje ręce, a zmęczenie i rozpacz wyryły się na jej twarzy.

– Żyję, tak. – Helen zaczerpnęła głęboko powietrza. – Ale nie jestem pewna, czy chce mi się żyć.

– Na pewno tak nie myślisz.

– Tak, właśnie tak. Ale nie to chciałam powiedzieć. Kiedy nie żyję, jestem wolna.

– Kochanieńka, nie wiem, co się wydarzyło, ale musiało być doprawdy straszne. – Evie poprowadziła ją w stronę sofy. – Nie myślisz trzeźwo. Jesteś w szoku, ale...

– Wiem, wiem. Ale właśnie dlatego zwracam się do ciebie. Ty zawsze jesteś taka spokojna i rozsądna, wiesz, co robić, a ja... nie mam pojęcia. Nie wiem, jakie będzie najlepsze rozwiązanie... Jeśli postępuję samolubnie... albo... – Helen ledwo trzymała się w garści, oddech miała płytki i ciężko łąpała powietrze, co boleśnie rozdzierało serce Evie. Przyjaciółka trzymała Helen, której kruche ciało zadrżało, a łzy zwilżyły gładki jedwabny batyst bluzki Evie.

– Cii, Helen. Nic ci nie grozi. Jestem tu. Nie pozwolę, by stało ci się coś złego, obiecuję. – Evie pocieszała przyjaciółkę, próbując zabrzmieć krzepiąco, choć nie miała pewności, co obiecuje, wiedziała jednak, że Helen potrzebuje jej pomocy. To wystarczało.

W końcu szloch złagodniał, a oddech Helen odzyskał regularne tempo. Łzy wciąż płynęły jej po policzkach, ale była spokojniejsza. Usiadła prosto, a potem opadła z powrotem na poduszki sofy. Evie splótła dłonie i przyjaciółki siedziały w milczeniu, podczas gdy rzekotki drzewne wygrywały swój wieczorny koncert.

Evie trwała w oczekiwaniu, choć myśli kotłowały jej się w głowie. Czemu Helen, i to przy życiu, była tutaj, skoro Cameron obwieścił wszystkim, że umarła? Z niecierpliwością wyczekiwała odpowiedzi, lecz wiedziała, że jej przyjaciółka potrzebuje czasu. Nalała im obu po solidnej szkockiej i podeszła z powrotem do sofy.

– Pij.

Helen spojrzała na nią nieobecny wzrokiem.

– Weź to. Dobrze ci zrobi.

Helen bez słowa chwyciła kryształową szklanice, przez chwilę wpatrywała się w nią, a potem wychyliła do dna.

– Argh! – Wzdrygnęła się.

– Wiem, kochanieńka. Ale to działa. Wróciłaś.

– Tak. – Helen przytaknęła, siląc się na uśmiech. – Tak, chyba tak.

Evie zabrała pustą szklankę.

– Podejrzewam, że nie zaszkodzi ci jeszcze jedna.

– Och, nie, nienawidzę szkockiej...

– Ku zdrowotności. Pij powoli. Przywykniesz.

Evie usiadła na krześle naprzeciwko sofy i założyła nogę na nogę. Zakręciła zawartością swojej szklanki, ostrożnie zaczerpnęła łyżeczek i usiadła. Patrzyła, jak Helen podnosi szkło do ust, ale nie pije, a jedynie wdycha opary; łyżki znów trysnęły jej z oczu, nie wiadomo, czy z powodu piekącego aromatu whisky, czy tego, co niosły ze sobą wspomnienia – ciężko było stwierdzić.

Helen zamknęła powieki i zaczęła mówić.

– Ostrzegałam go – rozpoczęła opowieść – kiedy ostatni raz próbował... „Tknij mnie raz jeszcze, a cię zabiję” – powiedziałam, lecz wiedziałam, że mi nie uwierzył. Sądził, że blefowałam. Mówił, iż nie zaryzykuje przypięcia mi łatki mordercy, zamknięcia w więzieniu, powieszenia na stryczku. Że za bardzo kocham swoje dzieci, żeby im to zrobić. I oczywiście miał rację lub tylko wydawało mi się, że ją miał, aż...

Evie usłyszała, jak zęby Helen brzękają o kryształ, i patrzyła, jak kobieta wykrzywia twarz, przelękając.

– Czemu miałby mi wierzyć, Evie? Wszystko, co robię, co kiedykolwiek zrobiłam, było z myślą o dzieciach. By je chronić. Nadal tak jest. Tyle że je



zawiodłam. I to koszmar. A teraz nie mogę... Nie wiem, jak ocalić Davida przed jego ojcem.

Helen zdawała się zapomnieć, że przyjaciółka jest obok, więc Evie musiała nachylić się, by ją słyszeć.

– Nie widziałam go od prawie dwóch tygodni. Bóg jeden wie, gdzie się podziewał. Na początku wściekałam się, krzyczałam na niego, że rujnuje naszą reputację, interesy, przyszłość dzieci. Ale nie nastąpiła żadna zmiana, więc przestałam zadawać pytania, a on przestał mówić mi, gdzie przepadł i co robił, gdy zdał sobie sprawę, że już nie zdoła sprowokować mojej reakcji. Dzieci trzymałam od niego z daleka, kiedy tylko mogłam, tak samo jak chowałam je z dala od Buchananów. Staralam się z całego serca udawać, że on nie istnieje.

Osuszyła szklankę, zajrzała na jej dno, obejmując ją dłońmi. Evie sięgnęła i delikatnie wyjęła jej szkło z rąk z obawy, że przyjaciółka swoim mocnym uściskiem może je roztrzaskać.

– Tamtej nocy pogrążył się w szaleństwie. Od zawsze bałam się tego szaleństwa, wiedziałam, że w nim tkwi. Lecz nigdy wcześniej nie widziałam go w takim nieposkromionym szale. Bałam się go. Doprawdy, napawał mnie przerażeniem. Ale tym razem miałam broń.

– Och, Helen. – Evie zbliżyła się do przyjaciółki, jednak ona odsunęła się, wpatrując w martwy punkt nieobecny wzrokiem, ręką pocierając nadgarstek, na którym Evie zauważyła poślizgnięte ślady, dawne siniaki wykwitłe w miejscu, gdzie palce Camerona odcisnęły się w silnym uchwycie.

– Nie. Nie współczuj mi. Nie zasługuję na litość.

– Ależ oczywiście, że zasługujesz.

– Sztorm rozszalał się już na dobre. Służba mówiła, że rzeka wystąpiła z brzegów na północy miasta. Istniało realne zagrożenie powodzią. Kazałam służącym spakować nam torby, posłałam dzieci, by wybrały sobie parę zabawek i książek, i sama udałam się na górę, do mojego pokoju, żeby wziąć parę

drobiazgów. Tak na wszelki wypadek. Nie usłyszałam, jak Cameron wchodzi, nie wiedziałam nawet, że był w domu. Potem dobiegł mnie hałas zamykanych drzwi do mojej sypialni, a on opierał się o framugę z uśmiechem od ucha do ucha.

– „Tak sobie myślę” – powiedział – „że powinniśmy spędzać więcej czasu razem, sam na sam, tylko ty i ja”. – Miał niewiarygodne wyczucie chwili. – „Musimy myśleć o naszych dzieciach” – ciągnął. – „Moim synu, twoich pociechach, Izzie. Ale potrzebujemy spłodzić syna, który zbliży nas do siebie”.

– „Który zabezpieczy twoje udziały w przedsiębiorstwie Buchananów, chcesz powiedzieć?” – warknęłam, zanim zdążyłam się powstrzymać, ale doprawdy, wprowadził mnie w osłupienie. Za oknem szalała burza, nadciągała powódź... Lecz nic nie stanie na przeszkodzie ambicji Camerona, jego chciwości... A on nawet nie zaprzeczał, jedynie uśmiechnął się do mnie lubieżnie.

– „Mówiłam ci już” – powiedziałam – „jeśli jeszcze raz spróbujesz mnie tknąć, to cię zabiję”. Lecz on się zaśmiał. Śmiał się!

– I wiesz, co odpowiedział? Stwierdził, że może mi się spodoba. Że może nauczyć mnie paru sztuczek, o których jego nudny starszy brat nie miał zielonego pojęcia... Wciąż powtarzał, jak to kobiety go ubóstwiają, jak Ursula... To było obrzydliwe, Evie, niewiarygodnie odrażające. Prowadził szaleńcze tyrady, przechwalał się jak... jak... ale ja nie słuchałam, główkowałam tylko, jak się stamtąd wydostać. Wycofałam się rakiem do toaletki, pochyliłam nad nią, otworzyłam szufladę za sobą, wysunęłam odrobinę.

Burza jakby się wściekła. Wiatr i deszcz uderzały w okna, grzmoty dudniły nad głowami tak głośno, że dom chwiało się w posadach. Nie było zbyt wiele czasu. Musieliśmy uciekać, bo drogi stałyby się niedługo nieprzejezdne, a jezioro zbyt wzburzone, by odpłynąć łodzią.

Powiedziałam mu, że musimy zabrać dzieci i uciekać, lecz nie chciał mnie słuchać. Podszedł do mnie, próbował mnie złapać. Właśnie wtedy wyjęłam broń

i przycisnęłam mu ją do piersi. Przez chwilę myślałam, że naciśnie spust, i wydaje mi się, iż on też tak sądził, ponieważ potknął się i poleciał do tyłu na fotel.

Wtedy... Och, dobry Boże. Właśnie wtedy Ross... Ross...

Usłyszałam jego wołanie, obróciłam się, kiedy drzwi otwały się na oścież i mała postać wbiegła do pokoju z wyciągniętymi rączkami, domagając się mojej uwagi. Cameron zerwał się, nie miałam pojęcia, że potrafi poruszać się tak szybko, nie w tym stanie, w jakim się pograżył. Odepchnął mnie, chwycił Rossa, podniósł go z podłogi tak błyskawicznie, że malec wciąż przebiegał drobnymi nóżkami, tak jakby nadal biegł, jakby biegał w powietrzu. Zdawało się, że szok najpierw zatkał mu usta, lecz potem zaczął krzyczeć, wyć raz po raz głośniejsze, był coraz bardziej przerażony, bardziej spanikowany, nigdy go takiego nie widziałam. W kółko mnie wołał. Ale Cameron uwięził go w objęciach i przyciskał sobie mocno do piersi, jednym mocarnym przedramieniem oplatając mu szyję, drugim miażdżąc jego kruchą klatkę piersiową. Zrobił z niego tarczę, na litość boską, Evie. Użył dziecka jako tarczy. I śmiał się, obtańcowywał mnie, szydził ze mnie. „Wciąż zamierzasz to zrobić, Helen? Nadal chcesz mnie zastrzelić?”.

Helen szlochała, ledwie kleciła słowa.

– Mój chłopiec, Evie. Miał mojego chłopca.

Evie nie mogła tego znieść, przesiadła się na sofę i otoczyła ramieniem szczupłą sylwetkę Helen, nie przychodziły jej jednak do głowy żadne słowa, które mogłyby pomóc przyjaciółce.

– Był przerażony, Evie. Mój synek był przerażony, a Cameron cały czas naśmiewał się, przedrzeźniając go, jego paniczne skomlenie, aż... aż zatkał Rossowi usta i nos. Ross nie mógł oddychać. Próbowalam, Evie, próbowałam wycelować bronią w głowę Camerona i zabiłabym go, gdybym potrafiła. Jednak Ross... Cameron kołysał nim, podnosił i zniżał, machał nim w moją stronę, dlatego nie mogłam strzelić, żeby nie... nie... To potoczyło się błyskawicznie.

Ja... Opuściłam broń, ale Cameron podszedł chwiejnym krokiem, rzucił mi Rossa, pistolet wystrzelił, a drobne ciało mojego synka opadło... Runęło na podłogę. Ross nie krzyczał, za to była krew, krew trysnęła mu z głowy, zalała mu twarz. Wszystko tonęło we krwi, teraz to ja krzyczałam. Wypuściłam pistolet z ręki i wrzasnęłam. Cameron odepchnął mnie i kopnął broń, która poleciała po podłodze na drugi koniec pokoju. I potem rozległ się hałas... Najdonośniejszy jęk, jaki kiedykolwiek słyszałam, i wiedziałam, oboje wiedzieliśmy, że zaczęła się lawina błotna. Nie wiedziałam, co robić, nie mogłam się skupić. Ja... Ross... na podłodze... ale Izzie i David...

Cameron krzyknął do mnie, żebym zabrała Davida i wsiadała do auta. Ale ja nie mogłam. Pragnęłam tylko, by Ross się ruszył, chciałam jedynie dotknąć jego maleńkiego, stłamszonego ciała, lecz Cameron mi nie pozwolił, przytrzymał mnie, kiedy szukał pulsu na szyi Rossa, na jego nadgarstku, gdy przyłożył ucho do jego wątlej klatki piersiowej.

– „Zapomnij o nim” – oznajmił. – „Nie żyje”.

– „To niemożliwe. Tylko nie mój Ross, mój chłopiec, syn Gregory’ego”.

A potem zaczął pchać mnie w stronę drzwi, krzyżąc do mnie, że Ross nie żyje, kazać mi zawołać Davida.

Próbowałam zabrać Rossa. Trzeba było zabrać go z nami, nie powinniśmy zostawiać go tam samego... Ale Cameron wciąż na mnie wrzeszczał, pytając w kółko, czy chcę odpowiedzieć za morderstwo. Mówił, że w życiu bym się nie wybroniła, próbowałam zabić Camerona, tyle że teraz sprawa była poważniejsza: zostałąbym dzieciobójczynią. Zapewnił, że mi pomoże, że muszę robić, co mi każe... Nie myślałam jasno, Evie, nie mam pojęcia jak... A Ross leżał tam cały czas bez ruchu.

Potem znów rozległo się skrzypnięcie, a potem trzask, jakby coś pękło, dom zadrżał, wstrząsnęło nim, kiedy dach na tyłach zawalił się.

Cameron wypchnął mnie z sypialni, kazał mi uciekać, zabrać Davida

i uciekać, nagle wołałam Davida i Izzie, pobiegłam do jej pokoju, gdzie znalazłam moją dziewczynkę. Wzięłam ją na ręce, wciąż nawołując Davida, lecz jego tam nie było, pewnie będzie w swoim pokoju, sądziłam, albo... Zbiegłam po schodach, nadal mając jego imię na ustach, Izzie płakała w moich objęciach. Służba popadła w panikę, krzykiem rozkazałam im uciekać, zostawić wszystko, po prostu iść; później znalazłam się w aucie, David siedział tam z Cameronem. „Wsiadaj” – powiedział, popychając mnie do drzwi wozu, lecz zanim je otworzyłam, podniosłam wzrok na Rossa, na okno mojej sypialni, gdzie płomienie zaczęły lizać zasłony. Następnie Cameron otworzył tylne drzwiczki samochodu, siłą wepchnął dzieci do środka i wrzeszczał na mnie, bym też wsiadała. Potem zapalił silnik, ruszyliśmy przed siebie, Izzie i David płakali, wołali mnie, wołali swojego brata.

„Chcę Rossa” – szlochała Izzie, stukając obcasikami o siedzenie, dłonie zacisnąwszy w pięstki, a David spojrzał na mnie tak, jakby... jakby... wiedział. Lecz jak miałby się dowiedzieć? Obejrzałam się przez ramię na roztrzaskane okno, a kłęby czarnego dymu wypływały z sypialni, gdzie... gdzie... Przed oczami miałam jedynie maleńkie ciało, które zostawiłam na podłodze za sobą.

Boże, wybacz mi, Evie, ja go zastrzeliłam. Zabiłam własnego syna.

**E**vie zamknęła oczy. Oszołomiona Lexy siedziała w milczeniu, pytania raz na zawsze ustały, kiedy przerażająca historia Helen zatrzymała strumień jej myśli. To znaczyło... To oznaczało...

– Twoja babka zastrzeliła swojego syna, twojego wuja. – Evie przyglądała się jej. – Byłam zszokowana do głębi. Nie tym, że go zastrzeliła, nie wierzyłam, by naprawdę to zrobiła. Och, ona trzymała pistolet, ale to Cameron zaaranżował tę scenę. Bez względu na to, co czułam, wiedziałam, że to nic w porównaniu z tym, co czuć musiała Helen.

– Ale czemu ona nie... Sama nie wiem... Nie powiedziała prawdy? Na

pewno wszyscy wiedzieli, jaki on był, a jaka była ona. Przecież nikt nie uwierzyłby, że chciała zastrzelić własnego syna...

– Helen wyjęła naładowaną broń z szuflady i wycelowała nią. Niemal strzeliła z niej do Camerona. Był więc zamiar zabójstwa, było też ciało. Zwłoki nie tej osoby, o której Helen myślała, ale niemniej ciało. To było zbyt ryzykowne. Sale sądowe bywają nieprzewidywalne. Wiara w prawdę, niewinność i reputację to niebezpieczna gra, kochanieńka, zwłaszcza kiedy wróg ma tak wielu wysoko postawionych przyjaciół. Nie. Helen chciała pozostać w krainie umarłych, za to zyskać wolność i oszczędzić dzieciom cierpienia. Gdyby Cameron uwierzył w jej śmierć, nie oskarżyłby ją o zabójstwo. Była tak zdruzgotana, że nie mogła obmyślić planu, jak odbić Davida z rąk Camerona. Jej jedyne pocieszenie stanowiło to, że byłam blisko, jak powiedziała. Mogłam się nim zaopiekować. Choć nie sądzę, bym się dobrze spisała. Zawiodłam ją. Cameron nie pozwolił mi się do niego zbliżyć, zrobiłby wszystko, co w jego mocy, by trzymać mnie na dystans. I z czasem stało się nieuniknione. David nie chciał mieć ze mną nic wspólnego.

– Nadal nie rozumiem. Na pewno...

Evie potrząsnęła przecząco głową.

– Uwierz mi, Lexy, próbowałyśmy wspólnie we dwie wpaść na jakiś pomysł, lecz nie było takiej możliwości. Helen tkwiła w przekonaniu, że jeśli wróci do żywych, pójdzie prosto do więzienia, uważała, że tak byłoby gorzej dla dzieci. David wcale nie odzyskałby matki, lecz stracił ją znowu, kiedy trafiłaby do więziennej celi lub na stryczek. Była jeszcze Izzie, rzecz jasna. Twoja matka. Helen nie mogła znieść myśli, że zostanie pod opieką Camerona. Mnie także krajało się serce. Nie. Izzie była bezpieczniejsza z Helen.

– Tyle tylko, że tak się wcale nie stało. Nie została z Helen, prawda? Helen oddała ją Ursuli. Oddała ją jak... jak zabawki, kiedy dziecko z nich wyrasta, lub jak zwierzątko, gdy rodzina się nim zmęczy. To miało być niby lepsze

rozwiązanie? I czemu tylko Izzie? Co z Davidem? Jego po prostu zostawiła?

Evie pobrała na twarzy.

– To nie tak. Nie jestem pewna, czy potrafię ci to wytłumaczyć. Wybacz mi, kochanieńka. Jestem tak bardzo, bardzo zmęczona. Chyba... chwileczkę sobie teraz odpocznę...

– Nie! Nie waż się zasypiać, jeszcze nie teraz. Jakim cudem Helen przeżyła katastrofę? Na statku?

– Nie weszła na jego pokład.

– Co? A co z lawiną błotną?

– Nie wiem. Przykro mi, jestem wyczerpana. Muszę sobie...

– A ja muszę wiedzieć! Na pewno ci powiedziała.

– Lexy, jestem zbyt zmęczona... Ja...

– Powiedz mi!

– Odniosła wielki... uraz... Jej gosposia... Proszę, Lexy... – Evie westchnęła, znów zamknęła oczy i zatamowała potok pytań z ust Lexy.

– Nie, zaczekaj. Nie śpij. Musisz...

Lexy poczuła mocny uścisk na ramieniu, który postawił ją z zajmowanego miejsca do pionu; wiedziała, że to Robert, zanim w ogóle się odezwał.

– Wynoś się stąd. – Wyrzucił ją na korytarz, nie rozluźniając chwytu, aż zamknął drzwi i popchnął ją bez ogródek, by usiadła na jednym z twardych plastikowych krzeseł stojących w rzędach na zewnątrz.

– Jak śmiesz fundować jej takie przesłuchanie?

– Wcale jej nie przesłuchiwałam. Chciałam zapytać o jeszcze jedną sprawę, zadać ostatnie pytanie.

– Tak to jest z kimś takim jak ty. Zawsze chcesz więcej.

– Z kimś takim jak ja? – Lexy poczuła się urażona. – Chcesz powiedzieć: z kimś, kogo wszyscy okłamywaliśmy, szpiegowaliśmy i próbowaliśmy

nastraszyć i... i... Wiesz, gdybyś był ze mną szczery, kiedy pokazałam ci tamten list, nie doszłoby do tego. Mogłeś powiedzieć mi wszystko to, co wyznała mi Evie, oszczędziłbyś jej kłopotu. Jeśli więc szukasz winnego, nie musisz szukać zbyt daleko. – Wstała, spojrzała mu w oczy, robiąc nieco mniej imponujące wrażenie, niż by sobie tego życzyła, zważywszy na dzielącą ich różnicę wzrostu, lecz nie ustąpiła. To Robert pierwszy odwrócił wzrok.

– Racja – powiedział, zajmując jedno z krzesełek i wskazując jej miejsce obok siebie. Znów spojrzała na niego i ani drgnęła. Wzruszył ramionami. – No to o co chodzi? Jaka jest ta ostatnia rzecz, którą tak rozpaczliwie chcesz usłyszeć?

– Helen i Izzie. Jak udało im się przeżyć? Jakim cudem uciekły tamtego wieczoru?

Robert zmarszczył czoło.

– Nie mam pojęcia, o czym...

– Chcesz, żebym tam wróciła? Obudziła ją?

– W porządku. Powiem ci. Ale potem zostawisz ją w spokoju, dobrze?

Lexy przytaknęła, przysiadła na skraju krzesła obok i zwróciła się twarzą do Roberta.

– Dotarły nad jezioro do prywatnej szalupy, ale najwidoczniej port pograżył się w chaosie. Jak już mówiłem, jeden z parostatków przedsiębiorstwa, Blantyre, był na chodzie, ale na pokład próbowały wsiąść setki osób. Nie było mowy, żeby zdołano zabrać ich wszystkich. Helen chciała wpuścić do łodzi ratunkowej choć część pasażerów, ale Cameron się nie zgodził, próbował usadowić je w szalupie, jednak Helen nie miała zamiaru się ruszyć, a Izzie nie chciała jej zostawić. Wówczas Helen dostrzegła ich gosposię, próbowała ją zawołać, była pewna, że Cameron przynajmniej ją wpuści na pokład. Lecz Adela jej nie usłyszała, więc Helen, trzymając Izzie na rękach, pobiegła po pomoście, żeby ją złapać. Cameron wsiadł do łodzi i odbił od brzegu, zabierając ze sobą Davida.

– Mój Boże. Skończony łajdak.



– Tak, to mówi coś na temat pokroju tego człowieka. W każdym razie Helen i Izzie dobiegły do Adeli, lecz było jasne, że parostatek jest już niebezpiecznie przeładowany, więc nie uciekną na jego pokładzie. Wtedy zjawił się brat Adeli i odciągnął je na bok. Nie słyszały, co krzyczał, ale poszły za nim. Szczerze mówiąc, nie miały innego wyboru. Brat trzymał kluczyki do jednej z ciężarówek należących do przedsiębiorstwa, zapakował kobiety na plandekę i odjechał parę sekund przed tym, jak lawina zalała wybrzeże. Nie uciekli zbyt daleko – drzewa leżały połamane, a drogi stały się nieprzejezdne – ale oddalili się od brzegu. Jakimś cudem ocalili. Przeczekali nawałnicę w ciężarówce. Szalała prawie przez całą noc, więc Helen miała sporo czasu na przemyślenia. Gdy burza ustała, Helen wiedziała, że nie zamierza wracać. Adela i Joseph zabrali ją do swoich rodziców, ukryli ją wraz z Izzie, a po paru dniach...

– Zaprowadzili ją do Evie.

– Tak.

– Adela i Joseph. To gospodyni i ogrodnik z testamentu Ursuli. Założyłam, że pracowali u niej.

– Nie, u Helen. Ale wszyscy zatroszczyliśmy się, by niczego im nie brakowało. Nie mogli wrócić do pracy u Camerona, więc przynajmniej tyle mogliśmy im dać po tym wszystkim, co dla nas zrobili: kawałek ziemi i własne gospodarstwo.

Lexy odwróciła się i oparła na twardym, plastikowym krześle, nagle uszły z niej wszelkie siły. Jak ktoś mógł zrobić coś takiego? Zamknęła oczy, próbując wyobrazić sobie scenę nad jeziorem tamtego okropnego wieczoru: krzyki, hałas, deszcz. I Camerona spokojnie odpływającego od pomostu, zostawiającego za sobą swoją żonę oraz matkę Lexy. Jak to możliwe, że ktoś zdobył się na takie okrucieństwo? Jaki człowiek potrafił być aż tak bezlitosny?

No i Helen. Helen zastrzeliła własne dziecko. Nic dziwnego, że zniknęła. Lexy wątpiła, by kiedykolwiek rozważała powrót.

David miał rację. Powiedział jej, że nie będzie chciała znać swojej rodziny, której tak rozpaczliwie szukała. Zaczynała rozumieć, co miał na myśli.

**SZPITAL W BLANTYRE, 16 CZERWCA**

– **O** budziła się. Chce cię zobaczyć.

Lexy podniosła wzrok z przestachem. Wciąż siedziała na tym samym krześle, gdzie zostawił ją Robert, i z trudem próbowała oswoić się z tym, czego się dowiedziała. Usiłowała zrozumieć, że jest częścią tej straszliwej rodziny. Że w jej żyłach krąży ta sama krew.

– No, Lexy. Nie każ jej czekać. Jest wyczerpana. – Robert przytrzymał drzwi i przepuścił ją przodem, przyglądając się, jak przeciska się obok niego. – Tylko spokojnie.

– Zostaw nas same, Robbie.

– Ale babciu, ja...

– Idź już.

Evie nigdy dotąd nie wyglądała tak krucho, a Lexy czuła się rozdarta między współczuciem i ciekawością, poczuciem winy i gniewem. Gdy tylko drzwi zamknęły się za jej wnukiem, Evie znów zamknęła oczy.

– Nie, Evie, proszę. Nie zasypiaj.

– Nie zasnę. Tylko nie chcę widzieć twojej miny, gdy to usłyszysz... Widzisz, tak bardzo mi wstyd. Tak bardzo złoścę się na siebie, że pozwoliłam mu sobą manipulować, a w rezultacie dostał właśnie to, czego chciał. Władzę. Władzę wyrządzania krzywdy tym, których kochałam. Nie miałam pojęcia, rzecz jasna, nie chciałam... Lecz popełniłam błąd, zbagatelizowałam go, dałam mu się sprowokować. Nikt nie był bezpieczny w pobliżu tego człowieka. Nikt.

Minęły prawie dwa tygodnie, odkąd Helen wróciła ze świata umarłych, a Evie bolała już twarz od silenia się na uprzejmy uśmiech, gdy udawała, że uważnie przysłuchuje się pełnym zachwyty rozmowom. Jeśli zważyłyby powieki, może nawet uwierzyłyby w opowieść o bohaterstwie, miłości i stracie, zamiast tego utkwiała swoje przenikliwe, jasnoniebieskie oczy w adresacie owych ckliwych pochwał. W Cameronie.

Musiła przyznać, że wczuł się w rolę. Jego twarz wyrażała idealną mieszankę stoickiego hartu ducha, druzgocącej straty i urokliwej bezradności. Nic dziwnego, że cały autorament kobiet na wieczorkach w konsulacie był urzeczony, niemal prześcigał się, by zająć miejsce u jego boku, by w geście pocieszenia położyć rękę na muskularnym ramieniu, które z tak wielkim trudem próbowało przytrzymać swą żonę, gdy silny nurt wzburzonej sztormem wody wyrwał ją z jego kochającego uścisku.

Evie zbierało się na mdłości. Zbyt dobrze wiedziała, jak te muskularne ramiona potrafiły chwycić jego filigranową żonę, zostawiając na bladej skórze sine odciski palców, które nie schodziły przez parę dni. Widziała, jak jej przyjaciółka krzywi się z bólu, kiedy dosięgały ją mściwe krzywdy kochającego męża.

„Och, mój biedny, drogi Cameronie!”. Do grupki dołączyła kolejna młoda żonka ze śmietanki towarzyskiej konsulatu, prawie chwiejąc się na obcasach z ekscytacji, że uściśnie dłoń wdowca pogrążonego w żałobie i spojrzy ze współczuciem w jego rozbawione, nieskalane łzami oczy.

Evie nie mogła już tego znieść. Wymamrotała szeptem wymówkę, wiedziała, że nikt jej nie usłyszy. Wystąpiła z zakłętego kręgu podziwu dla Cameron, a zauroczone kobiety zwały szyk wokół niego, tak jakby Evie w ogóle tam nie było.

Przez chwilę stała w miejscu, nie mogąc się zdecydować. Czy powinna spróbować wymknąć się stąd, a może jest tu ktoś, z kim winna porozmawiać?

Wprawnym okiem przebiegła po zebranych, niby od niechcienia, lecz prawdę mówiąc, odnotowując każdego z gości, w myślach przeszukując wyobrażony skorowidz, by dopasować imiona, nazwiska i twarze do pełnionych ról i zajmowanych stanowisk. Winston Stanley, komendant policji, zabawiał towarzystwo jakąś dykteryjką, a sądząc po żywym wybuchu śmiechu, domyślała się, że była to jedna z jego barwniejszych opowieści. Zastanawiała się, co by powiedział, gdyby znał prawdę. Jego ludzie tak ochoczo łyknęli wersję Camerona, że zachodziła w głowę, czy przypadkiem spora sumka pieniędzy nie powędrowała z rąk do rąk i nie zmieniła właściciela.

Biedny Winston. Wkładał tyle wysiłku w ukrócenie łapówek i przekupstwa wśród policjantów; obawiała się, że walczył w straconej sprawie. Bez wątpienia był jedynym komendantem policji, jakiego poznała podczas całego swojego pobytu w Malawi, który nadal mieszkał w skromnym bungalowie, a jego dzieci uczęszczały do szkół misyjnych. Jedynym, którego nazwisko nie brzmiało Chakanaya, ale za to ożenił się z przedstawicielką tego rodu. Był dobrym człowiekiem, kusilo ją, by poprosić go o pomoc. Ale nie leżało to w jej gestii. Helen wyraziła się jasno, że nikt, absolutnie nikt, nie ma się dowiedzieć.

– Evelyn, jak cudownie cię widzieć! – Fredi zjawił się u jej boku, jego aparycja była tak samo staranna i elegancka jak język angielski, którym władał.

– Fredi, kochany! – Evie szczerze uradował widok przystojnego Duńczyka.

– Dobrze się bawisz, Evie, moja droga? – dopytywał Fredi z ledwie wyczuwalną nutą dowcipu w łagodnym głosie, kiedy nachylił się, by lekko pocałować ją w policzek. Evie uniosła brwi, co mówiło samo za siebie. – Hm. Tak myślałem. Chodź ze mną.

Wziął ją pod ramię, wolną ręką torował im przejście wśród rozgadanego tłumu, prowadząc do pary krzeseł w ukryciu oddzielonej od nieznośnej hordy zdobnym chińskim parawanem.

Pomógł jej usadowić się i przywołał kelnera.

– Napijmy się szampana, Evelyn. Zawsze pomaga uczynić nudę bardziej znośną. – Skinął kelnerowi w podziękę, zajął miejsce obok Evie i podniósł ku niej kieliszek. – Za najinteligentniejszą kobietę tego wieczoru, i najbardziej czarującą.

Evie mimowolnie się uśmiechnęła.

– Fredi, mój drogi, komiczny i beznadziejny z ciebie pochlebca. Jestem córką pastora, a na dodatek wdową po doktorze. Czaru szukaj raczej tam. – Lekko skinęła głową w kierunku kręgu otaczającego Camerona.

– Ach, tak, Cameron o złamanym sercu i jego koteria. – Fredi powędrował wzrokiem tam, gdzie mu wskazała. – Jeśli tak wygląda czar, to wcale nie mam na niego ochoty. Lecz inteligencja, humor i wdzięk... Tego mam pod dostatkiem, i to tuż pod nosem.

– Miło z twojej strony, Fredi. Lecz obawiam się, że jestem dzisiaj odrobinę nie w sosie.

– Nie dziwię się. Musi ci jej brakować. Ty i Helen byliście takimi dobrymi przyjaciółkami.

– Racja. Tak, byliśmy.

– Razem z Ursulą. W starych dobrych czasach. We trójkę potrafiłyście sprawić, że nawet taki młody mężczyzna jak ja rumienił się ze wstydu.

– W życiu nie widziałam u ciebie rumieńców, Fredi. – Evie roześmiała się.

– Och, ależ czasem się rumienię, po prostu dobrze to ukrywam. Byłyście wprost przepyszne. – Fredi wywrócił oczami, a Evie poczuła, że przyjaciel podniósł ją na duchu.

– Doprawdy? Chyba masz rację. Młode kobiety nigdy nie pojmują władzy, jaką posiadają.

– Tak, choć to na pewno nie przeszkadza im wykorzystywać druzgoczącego wrażenia, jakie wywierają na towarzyszu. – Fredi lubował się w temacie. – Wszyscy uganiał się za tobą jak banda szczeniaków.

– Jestem pewna, że nigdy...

– Pewnego razu wraz z Ursulą...

Metal zabrzączał o kryształowe szkło, co przeszkodziło Frediemu we wspominkach, a wśród zebranych zapanowała cisza.

– Panie i panowie, pozwólcie, że przerwę na chwilę ów wspomniały wieczór. – Donośny głos konsula generalnego z łatwością niósł się po sporej sali. Evie i Fredi wstali, usiłując dostrzec mówcę ponad głowami zebranego towarzystwa. Evie raptownie wstrzymała oddech, gdy dostrzegła Camerona u jego boku. Fredi usłyszał ją, ujął pod ramię i delikatnie poklepał po dłoni w krzepiającym geście.

– Parę tygodni temu jedna z najgorszych nawałnic w historii naszego kraju pogrzyżyła nasze życie w chaosie. Teraz wszyscy bez wyjątku zakasaliśmy rękawy i wzięliśmy się do pracy, by naprawić powstałe szkody. Tamta noc wyryła się w naszej pamięci, wprowadziła nas w osłupienie, z którego nie otrząśniemy się tak łatwo. Nie mniej zasmuciła nas tragiczna strata ukochanej członkini naszej żywej społeczności, drogiej Helen Buchanan-Munro, oraz jej dwojga dzieci. Rzecz jasna nic nie ukoji bólu rodziny, którą zostawiła w żałobie, ale Cameronie, chcę, żebyś wiedział – a jestem pewien, że mogę wypowiedzieć się w imieniu wszystkich tu zebranych – iż podziwiamy zarówno twoją odwagę, kiedy podjąłeś heroiczną próbę ratowania swojej rodziny, ryzykując własnym życiem, jak i męstwo, z którym znosisz śmierć żony i troszczysz się o swojego syna. Dobry z ciebie człowiek. I jestem pewien, że mój głos będzie głosem nas wszystkich, kiedy zapewnię cię, iż jeśli tylko możemy pomóc tobie i małemu Davidowi przetrwać ten trudny czas, z radością to uczynimy. Helen zawsze pierwsza spieszyła z pomocą przyjacielowi w potrzebie. Przynajmniej tyle możemy zrobić.

Po sali rozniosły się szepty „dobrze mówi!”, a Cameron z zaciśniętą szczęką, jakby próbując opanować żal, oderwał wzrok od podłogi, skinął głową i bezgłośnie wypowiedział „dziękuję”, gdy konsul generalny uścisnął mu dłoń i poklepał go krzepko po ramieniu.

– Czy mógłbym... Chciałbym powiedzieć kilka słów, jeśli można.

– Oczywiście, Cameronie, stary druhu. Oczywiście.

W sali znów zapadło milczenie, a wyczekujące twarze zwróciły się ku przystojnemu wdowcowi.

– Nie potrafię wyrazić słowami, jak wiele dla mnie znaczy, że... czuję wasze wsparcie... w takiej chwili. – Głos Camerona wydobywający się przez ściśnięte gardło był pełen emocji, lecz precyzyjny. – Helen wiele dla mnie znaczyła, tak samo jak dzieci...

Evie nie mogła się powstrzymać.

– Och! Jak on...

Fredi zakaszłał, by zagłuszyć jej słowa, ponieważ parę osób odwróciło się w ich stronę.

– Wiem, Evie, wiem. Ale nie teraz – mruknął pod nosem, ściskając jej rękę.

Przytaknęła zdecydowanym ruchem głowy.

Cameron nadal przemawiał.

– Nigdy nie zapomnę tamtej okrutnej nocy. Objawiła mi ona jednak siłę naszej społeczności w Blantyre. Wartość porządnych przyjaciół i wagę wzajemnego wsparcia... – Głos mu się załamał. – Dziękuję.

Goście zafundowali mu donośne oklaski, a żona konsula generalnego podeszła i odprowadziła załamanego mężczyznę w zacisze. W sali aż huczało od dramatyizmu.

– Wspaniałe przemówienie – zauważył ze znużeniem Fredi. – Rozminął się z powołaniem.

– To wszystko kłamstwa, kompletny stek kłamstw – mówiła Evie cicho i zapalczywie.

– Wiem, Evie. – Fredi odwrócił się, by uważnie jej się przyjrzeć. – Wiem.

Poczuła szarpnięcie w żołądku. Fredi wiedział? Skąd miałby się dowiedzieć?



Wpatrywała się w niego i czekała, co powie.

– Parę osób o tym wie, prawdę mówiąc.

– Naprawdę? Kto dokładnie? – Evie siła się na spokój, chociaż puls szaleńczo jej przyspieszył. Przecież byli tacy ostrożni.

– Wiemy, jak ją traktował. Te siniaki. Nie zawsze udawało jej się całkiem je ukryć.

– Och. A, o to chodzi. – Evie zdała sobie sprawę, że odetchnęła z ulgą, iż Fredi wie tylko tyle, przez co zabrzmiała lekceważąco. – To okropne. Tak, oczywiście. Zupełnie karygodne. Nie powiedziała ani słowa skargi, rzecz jasna, ale można się było domyślać.

– Czy ona kiedykolwiek...

– Fredi, kochanie, starczy na dziś tego dobrego, naprawdę chciałabym wracać do domu.

– Biedne serduszko. Oczywiście. Musiałaś czuć się doprawdy okropnie, a to małe przymusowe wystąpienie na pewno nie pomogło. Zachowałem się bezmyślnie. Odwieźć cię?

– Och, nie ma takiej potrzeby. Wezwę...

– Nalegam. Gdzie masz szal? Zaczekaj tu, pójdę po niego, przy okazji poproszę w recepcji, by podesłali moje auto.

Evie stanęła plecami do tłumu w otwartych drzwiach prowadzących na werandę. Nie powinna tu przychodzić. Nie była w nastroju na udzielanie się w towarzystwie, a gdyby tylko zaświtało jej w głowie, że Cameron będzie obnosić się ze swoją „żałobą” jak z honorowym odznaczeniem, kategorycznie odrzuciłaby zaproszenie.

Wyszła na cichy taras i stanęła jak wryta. Cameron pochylał się nad jedną z młodych żonek konsulów, szeptał jej coś do ucha, mając ten lubieżny wyraz twarzy, którego Evie nienawidziła. Dziewczę zachichotało i przytknęło śliczną, wymanikiowaną rączkę do ust. Posyłając Cameronowi buziaczka, uwolniła się

z jego uścisku i obejrzawszy się na niego przez ramię, przez drzwi na samym końcu zakradła się z powrotem na przyjęcie. Cameron odprowadził ją wzrokiem, a potem, wyglądając na ogrody, dostrzegł Evie, która obserwowała go ze skraju tarasu.

– Evie, śledzisz mnie? Długo tu jesteś?

– Wystarczająco długo.

– Nie mieliśmy jeszcze okazji dzisiaj porozmawiać, prawda? A my, dwoje ludzi, którzy kochali ją najbardziej na świecie, powinniśmy wspierać się nawzajem w tym okrutnym czasie, czyż nie?

– Doprawdy? Powinniśmy, Cameronie? A mnie się zdaje, że ty już znalazłeś wsparcie.

– Wiem. Wspaniale, prawda? Wszyscy są tak bardzo, bardzo... mili. – Jego uśmiezek stanowił zaczepkę. Oddychała głęboko. Nie miała zamiaru dać mu tej satysfakcji i pokazać swoje rozdrażnienie.

– Kochana Helen. Bardzo za nią tęsknię. – Położył sobie dłoń na sercu, odgrywając rolę męża pogrążonego w żalu z kłującą w oczy nieszczerością, ponieważ jego widownia już się rozpierzchnęła.

– Naprawdę?

– Och, tak. Była dla mnie wszystkim. Tak samo jak dla małego Davida. Życie bez niej już nigdy nie będzie takie samo.

– Nie mam co do tego wątpliwości. – Evie kipiała ze złości. Jak on mógł? Ależ miał tupet. Na pewno wiedział, że Helen jej się zwierzyła. Że Evie, pewnie tak samo jak pozostali, widziała dowody na jego bestialstwo.

– Była pełna lojalności i miłości. Moje życie bez niej będzie takie puste. Chyba nie zniosę budzenia się codziennie rano samemu, kiedy jej nie będzie obok mnie, tej jej ślicznej główki leżącej na poduszce, jej miękkiej skóry dotykającej mojej...

– Przyprawiasz mnie o mdłości.

– Evie! – Zrobił na jej widok kwaśną minę. – Daj spokój, chyba nie powinnaś się tak zwracać do biednego, rozpaczającego...

– Możesz przerwać przedstawienie, Cameronie. Wiem. Wiem doskonale, jak bardzo kochałeś Helen. Jak usilnie starałeś się ją uratować – syknęła Evie, mierząc go nieugiętym spojrzeniem.

On wzdrygnął się teatralnie i wbił wzrok w podłogę.

– Och, czuję się zraniony! Do żywego! Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć.

– Owszem, Cameronie, wiesz. Oboje wiemy. Nie próbowałeś jej uratować. Prawdę mówiąc, było całkiem na odwrót. – Nawet w przyćmionym świetle widziała, że oczy Camerona straciły tę żartobliwą iskrę i ściemniały, lecz nie potrafiła się powstrzymać, by nie ciągnąć wątku. – Zostawiłeś ją tam. Tak jak Izzie. Odbiłeś od brzegu i popłynąłeś ku bezpiecznemu gruntowi. Gdyby David nie znajdował się już wtedy na pokładzie, to czy jego także byś zostawił? A może chciałeś, by przeżył przynajmniej syn i dziedzic w jednej osobie? Och, tak, nasz dzielny bohaterze. Naprawdę próbowałeś ją uratować.

Cameron chwycił Evie i przyciągnął siłą do siebie, bacznie patrząc jej w oczy.

– Skąd o tym...

– Tu jesteś, Evie, mam cię. – Fredi zdążył w ich stronę, wymachując nad głową szalem Evie niczym flagą pokoju. Cameron odskoczył od Evie, pochylając głowę, tak by twarz schować w cieniu.

– A niech mnie, Cameron. Cholernie mi przykro, stary druhu. – Fredi skinął pobieżnie w stronę Camerona, jednocześnie zarzucając Evie szal na ramiona. – Zostawić cię samego? Powinniśmy wiedzieć, że raczej nie masz teraz ochoty na towarzystwo. Chodźmy, Evie. Odwiozę cię do domu, kochanieńka. – Fredi pospiesznie odprowadził Evie ku najbliższym drzwiom, zostawiając za sobą Camerona, który stał w milczeniu.

Evie, nawet opatulona szalem, czuła chłód. Dała się sprowokować

Cameronowi, teraz mogła jedynie modlić się, by nie okazało się, że powiedziała za dużo.

Odkąd dowiedziała się o wszystkim i zdała sobie sprawę z miażdżących konsekwencji niedyskrecji, poczucie winy towarzyszyło jej nieustannie, ponieważ nie potrafiła sobie wybaczyć. Teraz, leżąc w szpitalnym łóżku, poczuła, że po policzkach ciurkiem płyną jej tak oswojone łzy żalu. Była wdzięczna Lexy za jej zdumione milczenie i przeklinała siebie, że wówczas ośmieliła się zamieszać w życiu innych ludzi i zabrakło jej odwagi, by wyznać Helen, że zdradziła ją ona, a nie Ursula.

**SZPITAL W BLANTYRE, 16 CZERWCA**

– Pani Shaw? Z tej strony Christopher Chizumu. Starszy partner w Chiz...

– Dzień dobry, panie Chizumu. Co mogę dla pana zrobić? – Gdy tylko Lexy poczuła wibracje komórki w kieszeni, wyszła z sali Evie. Ruszyła z korytarza na pustą klatkę schodową z telefonem przy uchu i usadowiła się na szczycie schodów wiodących na dół, zachodząc w głowę, jaką to niespodziankę ma dla niej w rękawie adwokat. Sądziła, że zakończyła sprawę z Chizumu & Chizumu, lecz najwyraźniej tak nie było.

– Chodzi raczej o to, co my możemy dla pani zrobić. Właśnie odbyłem rozmowę z panią Hamilton z kancelarii w Edynburgu. – Lexy pohamowała swoje zniecierpliwienie. Doskonale wiedziała, gdzie pracuje niedościgniona pani Hamilton. – Rozumiem, że rozmawiała pani z asystentem pani Hamilton na temat umowy dzierżawczej dotyczącej gospodarstwa pani Reid w Highlands w Szkocji.

– Tak, zgadza się, mówiliśmy na ten temat. Asystent wyraził swoje zaskoczenie, że umowa znalazła się w teczce z bieżącymi sprawami, a nie w archiwum...

– Tak, tak. Co dowodziłoby, że my, prawnicy, jesteśmy tylko ludźmi, ludźmi skłonnyymi do pomyłek. Lecz z radością pragnę donieść, że nie popełniliśmy błędu. Pani Hamilton mówi, że kontrakt przechowywano w sprawach bieżących na prośbę pani Reid. Na wypadek, gdyby teczka trafiła w... niepożądane ręce, ujmijmy to tak. Prawidłowa dokumentacja znajduje się w zupełnie innym miejscu. Umowa miała jedynie przypomnieć o sprawie

prawnikowi zarządzającemu sprawami pani Reid. Jednakże w świetle bieżących okoliczności oraz uwzględniając spekulacje dotyczące lokalizacji pewnych funduszy...

– Panie Chizumu, proszę, do rzeczy. – Lexy nie była w nastroju na potok prawniczego żargonu.

– Oczywiście, chciałbym jedynie wyrazić się jasno, że chociaż wystąpiły pewne anomalie w prowadzeniu sprawy, nie dopuściliśmy się żadnego niedbalstwa z naszej stro...

– Panie Chizumu, proszę.

– Tak. Dobrze. No cóż, wygląda na to, że tytuł własności majątku za symboliczną opłatą został przeniesiony...

– Na czyją rzecz, panie Chizumu? – przerwała mu Lexy, dumna ze swojego formalnie brzmiącego wtrącenia użytego w tak trudnych okolicznościach.

– Rossa Buchanana-Munro.

**E**vie usłyszała, że Lexy wróciła do sali, lecz nie otworzyła oczu, udając, że śpi, w głowie zaś raz po raz odtwarzając następstwa swojej zdrady. Próbowwała znaleźć takie słowa, które przedstawiłyby ją w lepszym świetle, choć trochę oczyściły z winy, lecz ich nie znajdowała. Prawda, nieupiększona i absolutna, należała się wnuczce Helen. Evie o tym wiedziała.

Gwałtownie otworzyła oczy, zobaczyła Lexy, która jej się przygląda, obracając komórkę w dłoniach, po czym wrzuca telefon do torby leżącej u swoich stóp.

– No i? Zamierzałaś powiedzieć mi, że Ross przeżył? Wiem, że udało mu się ocaleć, więc nawet nie próbuj temu zaprzeczać, bo dowiedziałam się, gdzie aktualnie przebywa. Opowiesz mi, jak do tego doszło, oraz dlaczego mówiłaś, że Helen do niego strzeliła? Czy to kolejne nedorzeczne, wymyślne kłamstwo? – Lexy mówiła cicho, lecz w jej głosie, chłodniejszym niż wcześniej, słyhać było

złość.

Jej ciało przybrało obronną postawę, tak jakby wiedziała, że to, co nadejdzie, będzie złe, że usłyszy nie to, co chciała. *Biedna dziewczyna*, pomyślała Evie. Chciała jedynie odnaleźć rodzinę, swoje miejsce na świecie. A zamiast tego... Ale nie było już odwrotu. Evie pogodziła się już z faktem, iż będzie musiała powiedzieć jej wszystko.

- Nie, to nie było kłamstwo. Został postrzelony, to prawda, ale przeżył.
- Zostawiła go tam?
- Nie wiedziała o tym. Cameron zmierzył mu puls i powiedział, że nie żyje...
- A ona nie zadała sobie trudu, by sama to sprawdzić.

Evie westchnęła. Jak sprawić, by Lexy zrozumiała? Nigdy nie spotkała Camerona, ani razu nie stanęła twarzą w twarz z demonem.

- Wysłuchaj mnie, zanim ją osądzisz.

Lexy skrzyżowała ręce, założyła nogę na nogę, garbiąc się na plastikowym krześle i zadzierając podbródek.

- Mów, proszę, zamieniam się w słuch.

O

czywiście Cameron zaczekał na odpowiedni moment, trzymał się od niej z daleka, aż opracował swój kolejny ruch, a potem odszukał ją, tak jak Evie wiedziała, że w końcu zrobi.

Siedziała w ogrodzie, na kolanach trzymała zamkniętą książkę, palcem zaznaczywszy miejsce, gdzie skończyła. Nie była w stanie czytać. Jej myśli bez reszty zaprzętnęła Helen. Tęskniła za nią. Miała nadzieję, że ich plan zadziała, dzięki czemu Helen z Izzie będą bezpieczne. Siostra Agnes zgodziła się pomóc, tak jak Evie na to liczyła. Zaaranżowanie całej sprawy okazało się zaskakująco łatwe. Helen nie groziło już żadne niebezpieczeństwo. Evie mogła się rozluźnić.

Uniosła twarz ku niebu, by poczuć ciepło wczesnego słońca na policzku, próbując uspokoić myśli. Padł na nią cień i raptownie otworzyła oczy. Słońce

znalazło się tuż za nim, a on zamienił się w zaciemniony kontur, gdy spojrzała na niego zmęczonym promieniami wzrokiem.

– Mogę się dosiąść?

Gdy tylko się odezwał, wyprostowała się jak struna. Ta jedwabista nuta w jego głosie przyprawiała ją o gęsią skórkę. Cameron usiadł obok niej na ławce zbyt blisko, więc poczuła się niekomfortowo, lecz gdy próbowała odsunąć się na skraj, chwycił ją za nadgarstek.

– Jeśli chcesz wysłuchać, co mam do powiedzenia, Evie, a uwierz, że chcesz, radzę, żebyś ani drgnęła.

– Nie mam zamiaru cię słuchać. Nie masz mi nic do powiedzenia, jestem tego pewna. – Evie próbowała wyrwać rękę, lecz on jedynie ścisnął mocniej.

– Wydaje mi się, że mam. Moglibyśmy zacząć od tego, że oboje wiemy, iż Helen żyje. Pomogłaś jej się ukryć. Jestem pewien, że jeśli porządnie poszukam, zdołam ją odnaleźć.

Słońce przestało grzać, a ona już nie próbowała się od niego odsuwać.

– Tak lepiej.

Puścił jej obolałą rękę, lecz nie chciała dać mu tej satysfakcji i okazać bólu, więc nie roztarła nadgarstka.

– Na czym skończyliśmy? Ach tak, Helen żyje. Ale przecież to wiesz. Sama mi o tym powiedziałaś.

Evie ścisnęło w żołądku. Głupia, była taka głupia! Wiedziała, że on tego nie przeoczy. Nie przytknie oka na jej lekkomyślność. Zdradziła Helen, naraziła ją na niebezpieczeństwo. Co Cameron zamierzał?

– Zrobiłaś to nieumyślnie, rzecz jasna. – Uśmiechał się, najwyraźniej lubował się w jej zakłopotaniu. – Ale zawsze była z ciebie kiepska oszustka, Evie. Ta chrześcijańska szczerłość weszła ci w krew na tej starej, zimnej plebanii. Nie powinnaś pozwolić, by złość nakłoniła cię do wyjawienia prawdy, moja droga. Do czego to doszło, prawda? A może chodziło o to, że wypijaś za dużo



szampana? To do ciebie niepodobne. Za to ja, który tak niedawno straciłem bliskich, stałem obok, a ty nie miałaś litości w sercu dla biednego wdowca z małym, zdezorientowanym chłopcem pod opieką...

– Dosyć, Cameronie. Nie dałam się na to nabrać wówczas i nie dam w to wiary teraz. Nie ma tu publiczności, przed którą musiałbyś odgrywać scenę, więc oszczędź mi swojego występu. Czego chcesz?

– Ach, tylko porozmawiać o starych czasach. O mojej kochanej żonie. Jej ślicznym dziecku. Moim wspaniałym synu.

Przyglądał się jej z bliska i dostrzegł, że wzdrygnęła się na te słowa.

– Zgadza się, Evie. O tym także wiem. Nikomu nie wyjawię twoich sekrecików. Przynajmniej na razie. Przecież musiała ci zdradzić, że wiedziałem o chłopaku. Solidny przekręt, naprawdę. – Roześmiał się z niekłamaną przyjemnością. – Nie powiem, ciężko było się oprzeć pokusie, by nie wyjawić prawdy staremu dobremu Gregory'emu. Wyobrażasz sobie, jaki z niego biedny głupiec? Podrzuciono mu do gniazda pisklę, miodowodzika, a on nie miał o tym zielonego pojęcia. Muszę powiedzieć, że byłem pod wrażeniem. Świetnie zaaranżowałyście sytuację. Ale nie zamierzam rozgrzebywać tej sprawy. David jest mój, lecz nie ogłoszę tego publicznie. Chcę przekazać mu przedsiębiorstwo Buchananów, sama rozumiesz. Nie, przyszedłem porozmawiać o drugim dzieciaku. O małym Rossie i tym, co się z nim stało. O tym jeszcze nie wiesz, a sądzę, że prawda cię zaciekawia, jeśli nie zszokuje.

– Wiem, Cameronie. Nie wiem, na co liczysz, wyjawiając mi tę tragedię, i nie mam pojęcia, jakimi kłamstwami zamierzasz mnie karmić, ale szkoda twojego zachodu. Jeśli zamierzasz zrobić z Helen morderczynię i łajdaczkę, to ci się nie uda. Jeśli ktokolwiek jest winny tej zbrodni, to właśnie ty. Zasłaniałeś się dzieckiem przed lufą naładowanego pistoletu. Jak sądziłeś, co się wydarzy?

– Z pewnością nie to, co się stało.

– Liczysz, że ci uwierzę?

Cameron znów się uśmiechnął.

– Evie, co prawda miło się z tobą poprzekomarzać, ale musimy przejść do rzeczy. Takie są fakty: Helen żyje, choć nie wiadomo, gdzie przebywa. Ross także żyje, umieściłem go w domu parę przecznic stąd. Jak sądzisz, czy Helen będzie zainteresowana tą informacją?

– Jesteś nikczemny, Cameronie. Nie wiem, czemu wygadujesz takie rzeczy, ale bez względu na to, jaką gierkę rozgrywasz, ja nie wezmę w niej udziału. – Evie wstała i chciała odejść, zostawiając go pogrążonego w planach bezwstydnego fortelu, lecz on gwałtownie pociągnął ją za ramię, by siadała z powrotem, a deski, z których zbito ławkę, obity jej kości.

– Siadaj, kobieto – syknął. – Najpierw mnie wysłuchasz, a potem zrobisz to, co ci każe, jeżeli chcesz, by twoja ukochana przyjaciółeczka była bezpieczna.

– Czego chcesz, Cameronie? Do rzeczy. Wypluj to z siebie.

– Powiedz Helen, że może zatrzymać Rossa.

– Czy on naprawdę żyje? Jak to możliwe?

– Nie zginął od strzału. Tamtej nocy Richard wrócił razem ze mną do domu. Dobry z niego człowiek, z tego naszego Richarda. Można na niego liczyć. Stał wtedy przed drzwiami, podsłuchiwał wszystko. Ukrył się w cieniu, aż wyciągnąłem stamtąd Helen, a potem zakradł się do sypialni. Zobaczył, że chłopak drgnął, zaczął sprawdzać mu puls i go wyczuł. Słaby, lecz niezaprzeczalny. Zabrał więc chłopca. Kiedy wróciłem, ciało zniknęło, lecz nie było potrzeby wspominać o tym Helen. Z przezorności podłożyłem ogień i spaliłem pokój.

– Ale ty też sprawdzałeś mu puls! Mówiłeś, że chłopiec nie żyje.

– Och, prawie. Najważniejsze było, żeby się stamtąd wydostać. Ciąganie za sobą umierającego dziecka tylko by nas opóźniło.

Evie wstała, była wściekła.

– Ty nieczuły...

– Oszczędź mi krytyki, Evie. Naprawdę nic mnie to nie obchodzi. I siadaj,

jeśli chcesz usłyszeć resztę historii. – Zaczekał, aż zrobi, co jej kazał. – O wiele lepiej. No więc na przekór wszystkiemu Ross przeżył. Pomimo swojej karłowatości, okazuje się, że był z niego mały szczęściarz. Niestety wyrósł na miernego głupka, więc niewielki mam z niego pożytek. I na niewiele zda się przedsiębiorstwu, więc lepiej będzie, jeśli nie wypłynie na powierzchnię i pograży się w błotnych odmętach. Najlepiej, jeżeli „zginie” wraz z drogą Helen i małą Izzie.

Evie nie mogła w to uwierzyć. Ross żyje.

– Ale dobry ze mnie człowiek – mówił nadal Cameron, lubując się chwilą. – Jestem gotów zawrzeć umowę. Nie muszę wiedzieć, gdzie przebywa Helen, nie chcę jej widzieć na oczy. Jeśli zostanie w ukryciu, odzyska swojego chłopaka. Zadbam o wsparcie finansowe, żeby nie umarli z głodu, a chłopiec otrzymał opiekę, jakiej potrzebuje. Ja zatrzymam Davida. W końcu to mój syn. Jeśli ona kiedykolwiek się wychyli, wezwę świadka strzelaniny, który zezna, że zabiła chłopca z zimną krwią i celowała pistoletem we mnie. Richard dostarczy swoje zeznania oraz broń, którą zabrał z miejsca zbrodni, a do tego wykombinuje naprędce parę drobiazgów, jeśli będziemy potrzebować więcej dowodów, by nie było wątpliwości, że zostanie skazana.

– Jakich drobiazgów?

– A jakie to ma znaczenie? Jestem pewien, że zapobiegliwie „ocalił” to, czego mogą potrzebować nasi prawnicy.

Evie przytaknęła. Spreparują dowody, jeśli tylko zajdzie taka potrzeba, a biorąc pod uwagę kontakty Chakanayi, istnieje spora szansa, że ich sfalszowane poszlaki zostaną uznane.

– Taka jest umowa? Ona dostaje Rossa i nie idzie do więzienia, ty bierzesz Davida, a za jego pośrednictwem pieniądze przedsiębiorstwa Buchananów?

– Moim zdaniem to sprawiedliwy układ. Żaden mężczyzna nie chciałby patrzeć, jak jego ukochana żona ląduje za kratkami i spędza w więzieniu resztę

życia. Robię to, co zrobiliby na moim miejscu każdy kochający mąż: chronię moją małżonkę i jej dziecko.

– Przez ciebie robi mi się niedobrze, Cameronie. Skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz?

– A czemu miałbym kłamać?

– Doprawdy nie wiem, ale zwykle nie mówisz prawdy.

Evie przeszła do rzeczy, zdecydowała, że nie pozwoli, by konsternacja i przerażenie ją obezwładniły.

– Będę musiała zobaczyć Rossa, rzecz jasna.

– Oczywiście, wyobrażam sobie. Auto czeka na zewnątrz.

Evie zaczęła się podnosić, lecz on znów chwycił ją za ramię i szarpnął, by obróciła się i spojrzała na niego.

– Jeszcze jedno. Jeśli Izzie przeżyła, ją także chcę. Jako zabezpieczenie. – Przyglądał jej się uważnie, jednak tym razem Evie była na to przygotowana.

– To zrozumiałe. Cóż, przykro mi, Cameronie, muszę cię rozczarować, ale taka jest prawda. Zmarła mimo wszystkich wysiłków Helen, by ją uratować. Utonęła wraz z innymi biednymi duszyczkami, gdy uderzyła lawina błotna. Wyślizgnęła się z uścisku Helen.

Cameron uniósł brew.

– Ach tak, doprawdy?

Evie nie potrafiła stwierdzić, czy w to uwierzył, czy też nie, lecz nie odwracała spojrzenia i z trudem zachowała spokój.

– Równie dobrze można powiedzieć, że sam ją utopiłeś, Cameronie. Masz krew na rękach, więc jeśli teraz tego żałujesz, możesz mieć pretensje tylko do siebie. Ale to o żywych powinniśmy się martwić. Ross. Zabierz mnie do niego. Udowodnij, że to, co powiedziałeś, jest prawdą.

\*

**R**ichard Chakanaya czekał przy samochodzie Camerona, opieszale uśmiech wykwitł na jego twarzy, gdy zobaczył Evie idącą w jego stronę.

– Pani Campbell. Miło panią widzieć, jak zwykle.

Chciała spoliczkować tego służalczego mężczyznę, lecz tylko sztywno skinęła mu głową i wsiadła do tyłu auta, wpatrując się w martwy punkt przed sobą, kiedy szofer zamknął za nią drzwi. Cameron zajął tylne siedzenie obok niej, a Chakanaya usiadł z przodu.

Kiedy auto odjeżdżało, w myślach odtwarzała wszystko, co Cameron powiedział. To było niemożliwe, prawda? Jedyne sposoby, by zyskać pewność, to zobaczyć to na własne oczy. Starła się przewidzieć, na jakie sposoby Cameron mógłby wystrychnąć ją na dudka, przedstawić inne dziecko jako Rossa, nabrać ją, by dała wiarę temu, co wydawało się niewiarygodne. Miała ochotę zatrzymać się i powiedzieć komuś, gdzie się wybiera, a przynajmniej z kim, zanim ruszą w drogę.

Ale gdy tylko weszła do małego pokoiku i Ross podniósł swoje ogromne brązowe oczy, by spojrzeć na nią spod brudnawego bandaża obwiązanego wokół główki, wiedziała. To był on. Nie było żadnych wątpliwości, to nie podstęp. To niewiarygodne i przeczące wszelkim regułom prawdopodobieństwa, ale Ross żyje.

– Ross! Ross, kochanie! – Próbowała go przytulić, ale on uskoczył i, potykając się, podszedł do staruszki, której Evie nie dostrzegła, kiedy weszła do środka. Ukrył główkę w jej fartuchu, chlipiąc.

– Muszę cię ostrzec, Evie. Nie wszystko z nim „w porządku”. – Cameron podszedł do Rossa, pociągnął go ręką za podbródek, by chłopiec spojrzał mu prosto w oczy. Evie zauważyła, jak malec się spina. – Nie będzie cię pamiętał, Evie. Ani Helen. Prawdę mówiąc, wcale nie jestem pewien, czy cokolwiek

zapamiętał.

Ross przeniósł wzrok na Evie, po czym uwolnił się z uścisku Camerona i znów ukrył twarz w fartuchu staruszki.

– Ross. Rossie, to ja, ciocia Evie. – Próbowała wziąć go za rękę.

– Rossie, spójrz na mnie. – Cameron miał znużony głos. Starsza pani obróciła Rossa, by spojrzeć na Camerona, główka malca przechyliła się na bok, kciukiem zatkał sobie usta jak smoczkiem. – To jest ciocia Evie. Pamiętasz ją, prawda?

Twarzyczka chłopca zmarszczyła się, jakby miał się rozplakać. A potem hałas z ulicy doprowadził go do krzyku i malec uciekł do staruszki, po czym rozplakał się w fałdach jej fartucha. Kobieta zaczęła nucić i uspokajać go, gdy jego ramionka drżały. Evie była przerażona. Nie poznawał jej. Czy rozpozna Helen? Evie stłumiła łzy. To było nie do zniesienia.

Lecz to był Ross. I żył.

\*

– **M**am nadzieję, że tym razem jej nie zamęczysz, Lexy – powiedział Robert. Wrócił, by ją przypilnować.

– Cii. – Lexy podniosła palec do ust z zadowoleniem, że dla odmiany to ona go upomina. – Śpi, chcesz ją...

– Robbie?

– No i masz! Obudziłeś ją. – Lexy starała się wyjść na poirytowaną, ale w duchu była zadowolona. Czy Evie znajdzie czas, by opowiedzieć coś więcej, zanim trafi na stół operacyjny?

– Witaj, babciu. Trzymasz się? Niedługo przyjdą przygotować cię do operacji.

– Jeszcze chwilę, Robbie, muszę... powiedzieć Lexy... Jeszcze tu jest? Ja...

Nawet Lexy słyszała, że jej głos był wątki, zbyt słaby.

– Jestem, Evie.

– Lexy, muszę opowiedzieć ci resztę historii, żebyś...

Lexy podeszła do staruszki i ujęła jej dłoń.

– Evie, już dobrze, jestem obok. – Spojrzała ponad łóżkiem na Roberta. Marszczył czoło, mierząc Evie tętno.

Czy to przez Lexy? Czy to ona zamęczyła starszą panią tuż przed operacją? Zaczęła się martwić. Czuła złość, oczywiście, że tak, ale nie chciała, by Evie przydarzyło się coś złego. Chodziło po prostu o to, że nie było nikogo innego, na kogo mogłaby się złościć, a przynajmniej tak przedstawiała się sytuacja, zanim tamta rozmowa przez telefon nie zmieniła wszystkiego.

– Powinnaś już iść, Lexy – mówił Robert. – Jest zbyt słaba na rozmowę, zostanę...

– Nie, muszę jej powiedzieć... że... – Evie rozglądała się na boki, a jej palce drżały w dłoni Lexy.

– Nie, babciu, nie musisz. Musisz odpocząć. Wszystko może poczekać. Lexy, idź już, tylko ją denerwujesz.

– Ale to ona chce porozmawiać. Do niczego jej nie zmuszam.

– Robbie, chcę odbyć tę rozmowę... Daj mi pięć minutek.

Lexy wiedziała, że to ostatnia szansa, zanim Evie trafi na operacyjny stół. Ostatnia szansa, by dowiedzieć się tego, co musiała wiedzieć.

– Evie, po prostu powiedz mi, dlaczego Helen odesłała Izzie do Ursuli? Czemu porzuciła moją matkę?

– Nie było innej możliwości. Złamało jej to serce.

– Dlaczego więc to zrobiła? Lepiej, gdyby zostawiła Rossa i Izzie razem.

– Nie. On wiedział, rozumiesz? – Głos Evie załamał się, a jej ramiona zdrząły, kiedy kaszel nękał jej ciało. – Zabrałby... – Atak kaszlu ponownie

wziął górę, a na czole poranym zmarszczkami pojawiły się kropelki potu.

– Na litość boską, Lexy, odpuść sobie. – Robert zbliżył się, by objąć swoją babcię ramieniem i pomóc jej usiąść prosto. – Spokojnie, babciu. Napij się wody.

– Kogo by zabrał? Izzie? Ale jaki cudem...

– Dostyc, Lexy! – Głos Roberta był surowy, a jego wściekłość widoczna na pierwszy rzut oka. – Wynoś się. Po prostu wyjdź. Okaż odrobinę współczucia, chyba to potrafisz?

– Tak, oczywiście, ale ja... tylko... Ostatnie pytanie, zanim pójdę.

– Nie! – krzyknął, po czym wyraźnie powściągnął gniew i dodał już spokojniejszym tonem: – Musi odpocząć.

– Chodziło mi o pytanie do ciebie. Dlaczego po tym, jak powiedziałaś mi, że nie rozmawiasz z Davidem Buchananem, wczoraj po południu wsiadłeś do jego auta i gdzieś z nim pojechałeś?

– Posłuchaj, Lexy. Wszystko ci wytłumaczę. – Spojrzał na Evie. – Ale nie w tej chwili. Później. Przyjadę do hotelu po... Kiedy babcia wyjdzie ze szpitala, dobrze?

*Jasne, będziesz mieć czas, żeby wymyślić jakąś historyjkę,* pomyślała Lexy.

– W porządku – powiedziała, choć nic nie było w porządku. – Evie, mam nadzieję...

– Idź już, Lexy. Zostaw ją w spokoju.

Lexy przyglądała się im obojgu przez chwilę, po czym wyszła, zamykając za sobą. Koniec z trzaskaniem drzwiami. Zawsze to jakiś postęp. Ale to teraz nieważne. Lexy nie miała w planach widzieć się z żadnym z nich, a przynajmniej nie do czasu, aż znajdzie odpowiedzi na pytania gdzie indziej. Otworzyły się przed nią inne możliwości. Miała rodzinę. Prawdziwą, z krwi i kości. Otwarty bilet lotniczy, który zakupiła, zostanie wykorzystany już wkrótce. Dziś wieczorem, jeśli uda jej się złapać lot do Londynu, a stamtąd karta kredytowa



pozwoli jej dostać się do Szkocji i do jej wujka, Rossa Buchanana-Munro.

**TAIGN NA MARA, HRABSTWO ROSS-SHIRE  
W SZKOCJI, 17 CZERWCA**

**H**elen wstała, ręce trzymała skrzyżowane na piersi, spoglądając w dal na cienkie, szare wstęgi drogi opasujące zbocze, mijające torfowiska i prowadzące ku wybrzeżu. Stała i czekała. Tkwiała tu od wielu godzin, zdawało się, że nawet dni. Stała na posterunku i wypatrywała. Za każdym razem, gdy dostrzegła plamę koloru czy drobne poruszenie, serce jej zamierało. Zaczynało bić ponownie, gdy samochód skręcał na rozdrożu w prawo, zostawiając ją za sobą, nadal ukrytą, bezpieczną, dotąd nieżywą w oczach tych, od których uciekła. Nic się nie wydarzyło, od kiedy zaczęła pełnić swoją wartość. Jedynie wysokie paprocie i płytkie koleiny na ścieżce stały się towarzyszami jej osamotnienia na wiejskim gospodarstwie. To była jej samotnia. Jej azyl. Jej więzienie.

Z początku owi rozproszeni po okolicach mieszkańcy górskich zboczy i morskich wybrzeży u stóp Ben Mor Coigach podejmowali próby. Od czasu do czasu osobliwy, ciekawski sąsiad wpadał z przywitaniem na ustach, by zamaskować swoją wścibskość, natrętność i nieproszoną wizytę. Helen była chłodna i zdystansowana, bezpardonowo nieżyczliwa. Porzuciła zainteresowanie życiem towarzyskim, potrzebę bliskości i obecności drugiego człowieka razem z futrzanymi etolami i kaszmirowymi szalami, które zostawiła na wzgórzach nad jeziorem. Nie czuła potrzeby zwracania sobie głowy wymianą uprzejmości, obowiązującymi konwenansami czy zwyczajową gościnnością. Nie potrzebowała ani nie pragnęła nikogo lubić czy też być lubianą. Anonimowość, osamotnienie,

skrytość – to te cechy można jej było teraz przypisać. Domek wiejski stał pusty, odkąd wraz z Ursulą go opuściły, Helen żyła więc uzbrojona w pewność, że teraz jest opustoszały. Nikt nie przekroczył jego progu, nikt nie widział jego wnętrza aż do czasu jej powrotu, choć minęło prawie pół wieku. Wierzyła, że nikt jej tu nie znajdzie.

Wiedziała, że ją szpiegują. Czasem kątem oka pochwyciła promień słońca odbijający się od metalowej sprzączki czy błysk wprawnej lometki. Lecz wieść się rozniosła, a mimo to nikt nie przyszedł; życie społeczności zamieszkującej tutejszy półwysep płynęło własnym rytmem, omijając ją niczym woda z roztopów oblewa kamień.

Widziała twarz spoglądającą na nią ze zniekształconego odbicia w krzywej szybie okiennej, podobną do tej z płótna Muncha pod tytułem *Krzyk*. Posępną i pustą jak czaszka, w miejscu bystrych oczu znajdowały się czarne dziury, a zamiast uśmiechu zastygły grymas. Kim była? A raczej czym była ta kreatura prześladowająca ją niczym milcząca reprimenda lub historia, która nigdy nie zostanie opowiedziana do końca? Helen Buchanan, dziedziczka, bywalczyni salonów, ukochana matka, szczęśliwa żona. Przepadła. Porzucona. Zapomniana. Nie potrafiła, nie wiedziała, jak na powrót być tamtą kobietą, mimo że była wolna i mogła spróbować. Zamiast tego zamieniła się w kłamczynię, oszustkę i niszczycielkę żyć, stała się zjawą, szczątkami, była bardziej martwa niż żywa. Co pomyśli o niej jej córka? Czy tu przyjedzie? Czy spróbuje?

Izzie.

Kim dziś jest? Czy tamte niebieskie oczy zostały błękitne jak u dziecka, czy blond fale wyprostowały się, a może zakręciły w loki i kędziorki? Urosła wysoka i silna jak jej ojciec czy delikatna i wiotka jak jej matka, głośna jak David czy nieśmiała jak Ross? Helen wkrótce miała się tego dowiedzieć.

*Izzie.* Znów wyszeptała jej imię, zobaczyła, jak wąż z pary wodnej unosi się w powietrzu między nią a jej odbiciem, poczuła niecierpliwość pełznącą po jej

naprężonej skórze oraz ścisk w żołądku. Lata niewiedzy, braku odwagi, by spytać, braku zaufania do własnych wspomnień obróconych w proch z chwilą, gdy w końcu się ugięła i odpowiedziała na list Ursuli jednym słowem nagryzmołonym na pocztówce przedstawiającej Zamek Inverness. **TAK.** W nagrodę otrzymała męczarnie oczekiwania.

Helen odwróciła się od okna i spojrzała na zegar. Dochodziła północ. Długie dni stały się jeszcze dłuższe dzięki letniemu światłu. Nikt już się nie zjawi o tej porze. Mogła położyć się do łóżka, lecz wiedziała, że sen nie przyjdzie. Będzie wpatrywać się w światło sączące się przez zasłony, zaciemniające, lecz nie w pełni zasłaniające jasną poświatę, aż świt przerodzi się w kolejny poranek. Za każdym razem miała tę samą myśl, zadawała sobie to samo pytanie: czy dzisiaj nastąpi ten dzień? Ten jedyny i wyjątkowy?

Pokój zasnuł się w kątach mrokiem, było za ciemno, żeby czytać, więc wzięła pojedynczą kartkę, którą zostawiła na stole obok brudnych naczyń czekających na uprzątnięcie i podeszła z nią do okna. Oparła się biodrem o szeroki gzyms, opuściła okulary z czubka głowy na nos i zaczęła czytać list, choć zrobiła to już multum razy, szukając wskazówek, których słowa nie zdradzały, odpowiedzi, których wersy nie zawierały.

**EDYNBURG, 24 MAJA 2014 ROKU**

*Moja droga Helen,*

*Przyjedzie. Zgodziła się, a ja mam tak ogromną nadzieję, że tu zawita i zostanie parę dni. Modlę się, by nam wybaczyła, chociaż boję się, naprawdę się boję, że tego nie zrobi. Mam jedną szansę – my mamy szansę – wytłumaczyć jej, jak bardzo obie ją kochamy. Och, Helen. Moja młodzięcza głupota doprowadziła nas do popełnienia takiego zła. Lecz nie ma sensu powtarzać tego raz jeszcze. Wiesz, jak bardzo*

mi przykro, a ja wiem, że mi przebaczyłaś, mimo że nie potrafisz wybaczyć samej sobie. Twoja szczodrość i miłość mnie zawstydzają.

Przejdźmy do rzeczy. Przygotowałam dla niej teczkę, coś w rodzaju portfolio. Powiem jej tyle, ile mogę. Przedstawię dowód w postaci mojego dziennika oraz naszej korespondencji, by mogła je przeczytać i zatrzymać. To będzie zbyt wiele, jestem tego pewna, by przyjęła to i przyswoiła podczas jednej rozmowy, obawiam się, że tylko na tyle się zgodzi, gdy usłyszy, co mam do powiedzenia. Żyję w strachu, że Jenny nie zostawi mnie w spokoju na zbyt długo. Jak już wiesz, ona także wzbudza moje obawy. Do pewnego stopnia przypomina mi Izzie – jest błyskotliwa, zabawna, towarzyska – jednak jej przebiegły umysł jest nieprzyjemny, a jej słowa nie brzmią wiarygodnie. Tak jakby grała. I to mnie martwi. Często wręcz nadgorliwie spieszy mi z pomocą. Jestem pewna, że czyta moją korespondencję, szuka czegoś, choć nie wiem właściwie czego. Wznoszę modły, by chodziło jej jedynie o moje mienie, może próbuje rozeznaczyć, czy warto mnie obrabować lub sprzątnąć. Broń Boże, by jej myszkowanie miało coś wspólnego z naszymi sprawami. Czy to możliwe? Jenny to dziecko biedy, co do tego nie ma wątpliwości, raczej nie wychowała się na opowieściach o Afryce i bogactwie. Obiecałam, że w testamencie przepiszę wszystko na nią i skonsultowałam to z moimi prawnikami z nadzieją, że to wystarczy, by przestała wścibiać nos, ale czas pokaże.

W teźce pokazuję Izzie naszą mistyfikację. Moje karygodne postępowanie oraz rozwiązanie podsunęte przez Evie. Opisuję naszą podróż do Szkocji, ale od momentu, kiedy Ty wróciłaś do Afryki, a ja zostałam tutaj, zachowuję milczenie. Niemal umarłam, kiedy wyjechałaś. Nie potrafię ubrać w słowa tego, co czułam, jeśli w ogóle

*miałam jakiegokolwiek uczucia, zanim nasza ukochana dziewczynka przywróciła mnie do życia swoim śmiechem, miłością i radością. A więc o tych latach w ukryciu musisz opowiedzieć Ty, droga Helen. Ta historia należy do Ciebie, nie do mnie. To Twój koszmar. Wyraż to tak, jak uznasz za stosowne. I nie czuj się w obowiązku zatajać prawdy przez wzgląd na mnie. Nie ma dnia, żebym nie obwiniła się za to, co Ci wyrządziłam. Za to, co pozwoliłam zrobić Cameronowi.*

*Pominę pewne szczegóły w dokumentacji zgromadzonej w teczce ze strachu przed... sama nie wiem przed czym. Może to przesąd, siła przyzwyczajenia, a może ponownie chodzi o Jenny. Nie mogę jej ufać. Nie zapiszę Twojego adresu zamieszkania ani nie wyjaśnię szczegółowo na papierze rozporządzeń finansowych. Nie będzie na piśmie śladu, który mógłby zaprowadzić do Ciebie lub kogoś z pozostałych. Jeśli Izzie zapragnie Cię odnaleźć, osobiście przekażę jej, jak dotrzeć do Twojego gospodarstwa. Jeżeli zaś się tu nie zjawi, zamierzam zostawić u mojej prawniczki „wskazówkę”. To kopia niepodpisanej umowy dzierżawy gospodarstwa włączona do moich bieżących spraw. Nasza Izzie nie będzie w stanie oprzeć się pytaniom, które się pojawią, i Cię odnajdzie. Zapis w testamencie na rzecz Jenny spełni podobną funkcję. Nie wiem, czy słusznie się jej obawiam, ale jestem pewna, iż nasza dociekliwa Izzie bez wątpienia ją wyśledzi, kiedy tylko natknie się na imię, którego nie będzie znała. W Twojej gestii zostawiam, czy będziesz chciała powiedzieć coś więcej, jeśli uznasz to za stosowne, kiedy się z nią spotkasz. W końcu wyjawienie prawdy sprawi, że pakt z diabłem wcielonym i jego poplecznikami zostanie przez nas zerwany, a więc nie będziesz mogła już liczyć na wsparcie dla siebie i R. Powtarzam więc, decyzja należy do Ciebie. W kwestii finansów jestem jedynie pośrednikiem.*

*Droga Helen, nie mogę Ci nic zagwarantować, ale mam przeczucie, że Cię odwiedzi. Była taka zawiedziona, kiedy nie pozwoliłaś mi z nią pomówić. Właśnie dlatego wyjechała i nie chciała ze mną rozmawiać przez te wszystkie lata. Długie, zaprzepaszczone lata. Chciała wówczas poznać prawdę, a dopiero teraz może ją usłyszeć. Bez względu na to, co działo się w jej życiu przez ten czas, wiem, że jej pragnienie nie uległo zmianie. Mówiła o tym, że czuje się niepełna i chce odkryć przeszłość, by wypełnić pustkę. Że chce opowiedzieć o tym swojej córce.*

*Prawie nadeszła pora, czekam na tę chwilę tak samo jak Ty. Muszę to zrobić, jeśli zamierzam znaleźć wieczny spokój, kiedy złożę mnie do grobu. A obawiam się, że mój czas zbliża się nieubłaganie. Dla mnie wizyta Izzie stanowić będzie pewnego rodzaju zamknięcie, modłę się, by dla Ciebie stała się początkiem.*

*Twoja skruszona i zobowiązana przyjaciółka,*

*Ursula*

Helen pozwoliła, by list spadł na parapet, wpatrywała się w półmrok i wspominała: inny list, czekający na inne dziecko. W innym życiu. Czy tym razem wypadki potoczą się inaczej, czy znów spotka ją kara? Ze strachu wołała nie liczyć na zbyt wiele, nie chciała się zawieść i przeżyć taki sam zawód, który spotkał ją pięćdziesiąt lat temu. Myśl o tamtej chwili była żywa i świeża, jakby to wydarzyło się wczoraj. Nie. W jej wspomnieniach była jeszcze świeższa...

\*

**T**ego dnia, kiedy się zjawił, było wczesne popołudnie, a powietrze spokojne i nieruchome. Usłyszała, że samochód wjeżdża na nieznaczną pagórek, po czym

dostrzegła, jak auto sunie po grzbiecie wzniesienia. Przyszywała urwany guzik do bluzki Izzie, spodziewając się ujrzeć zdezelowanego białego peugeota oraz rumianą twarz siostry Agnes, która siedziała w skupieniu za kierownicą, odwożąc Izzie z misyjnej kliniki. Izzie bez wątpienia była zmęczona i zapłakana po podróży i szoku wywołanym szczepionką. Siostra Agnes robiła, co w jej mocy, by ukoić skwaszone dziecko, lecz Helen wiedziała, że Izzie w takim nastroju nie przyjąłaby pocieszenia od nikogo innego prócz matki.

Helen uśmiechnęła się do siebie, wrzucając bawełnianą bluzkę do kosza z ubraniami potrzebującymi napraw i zamknęła wieko. Przeciągnęła się i wstała, tłumiąc ziewnięcie. Zasłoniła oczy przed słońcem, wzrokiem szukając samochodu.

Dostrzegła go w oddali. Czarny. Czarny i coraz większy, coraz bliżej domu. Nie był biały i nie stękał po drodze tak jak małe misyjne autko, nie podskakiwał na wybojach i uskokach, lecz sunął, ślizgał się, płynął.

Helen podniosła dłoń do ust, obracając się i kierując do drzwi. Schować się. Musi się ukryć. Ktokolwiek miał się zjawić, nie zwiastowało to nic dobrego. Lecz na to już za późno – ktoś by ją zauważył, zobaczyłby, jak przechodzi przez siatkę na owady na drzwiach i znika w środku. A po domu wały się rzeczy Izzie; nie mogła pozwolić, by oni, kimkolwiek byli, je zobaczyli, nie mogła dopuścić, by dowiedzieli się, że mieszka tu dziecko. Bez względu na to, czego szukają, mogą zrobić z Helen, co im się żywnie podoba, ale niech zostawią w spokoju Izzie. Tylko nie ona. Serce waliło Helen, zagłuszając odgłosy nadjeżdżającego samochodu.

Błyskawicznie omiotła wzrokiem werandę. Schować wszystko, co mogłoby wskazywać na obecność dziecka. Sprawiać wrażenie, że nie mieszka tu nikt poza nią i nieobecnym mężem. Zachowywać się jakby nigdy nic. Musi to zrobić. Da radę. Ćwiczyła to z Evie. O Boże. Zgarnęła malutki wydziergany na drutach bucik, który spadł z nogi ulubionej lalki Izzie, i wcisnęła go sobie do kieszeni.



*Ma na imię Anna – musi o tym pamiętać – jest żoną duńskiego pastora. Słabo mówi po angielsku, ma wyraźny akcent, ale potrafi wysławić się na tyle, by odesłać gości do misji. O nie. Nie. Musi zmienić plan. Nie do misji, przecież tam jest Izzie. Nie może tego zrobić, musi wymyślić coś...*

– Helen, moja kochana. Jak miło.

Odwróciła się na pięcie i stanęła zahipnotyzowana chłodnym spojrzeniem gadzich oczu. Znajomych oczu. Lecz już sam jego głos wystarczył, by wpadła w sidła, wprawiona w osłupienie.

Cameron.

Cameron ją odnalazł.

**H**elen zapaliła światło w małej kuchni na tyłach domu. Niewielkie okno wychodzące na północ ledwie wpuszczało do środka słabą poświatę podczas słonecznego dnia, o letnim zmierzchu w pomieszczeniu panował półmrok. Woda ze zgrzytającego kranu pluskała o stary metal niczym deszcz walący w dach z blachy falistej w warsztacie obok. Niegdyś to ją uspokajało, stanowiło urozmaicenie w samotności na wygnaniu, kiedy wprawiała koło garncarskie w ruch i tworzyła własne naczynia. Odkocznia od Rossa i jego dziecinnych humorów. Pewny, jednostajny rytm wśród tak żywiołowej i nieprzewidywalnej rzeczywistości.

Tak naprawdę nie miała już ochoty na kolejną herbatę, lecz ten rytuał przynosił jej ukojenie. Dotyk ciepłej filiżanki trzymanej w dłoniach stapał zimny, przeszywający strach, który groził okrzepnięciem w wyparcie i odrzucenie. Sprawiał, że codziennie rano wstawała z łóżka z nadzieją, choć wątplą, że jej córka ją kocha i chce jej obecności w swoim życiu. Helen zdała sobie sprawę, jak rozpaczliwie pragnie dostać szansę. Jej pociecha, jej utracona Izzie, była jedynym dzieckiem zdolnym ją pokochać, poznać, zrozumieć i wybaczyć jej. Ross kochał ją na tyle, na ile był zdolny do miłości, lecz kiedy spoglądała na

jego nadal dziecięcą twarz, widziała poczucie winy, nie niewinność. A jej serce ścisnęła za każdym razem, kiedy na ustach pojawiał się ten jego uśmiech – nieco zagubiony, niewyraźny – nie matczyzna miłość, lecz odraza do samej siebie.

Kubek, który trzymała w dłoniach, był za gorący. Nie koił, lecz parzył. Chwyliła go za ucho, podniosła do ust i posłała drżący podmuch po powierzchni błotnisto-brązowego napoju. W powietrze wzbijała się chmurka z pary, zatrzepotała przez chwilę, a potem rozplynęła się, gdy kobieta odstawiła herbatę na stół. Raz po raz czytała list od Ursuli, zanim pozwoliła sobie żywić choć cień nadziei. Wcześniej, lata temu, zbyt szybko obudziła w sobie to uczucie, tym razem nie zamierzała powtarzać tego błędu. Wówczas list od Evie winien był ją przestrzec. Mogła mieć pretensje tylko do siebie. Gdy później przeczytała go raz jeszcze, znalazła między wierszami wszystkie wskazówki. Lecz wcześniej ich nie zauważyła. Jej myśli zbyt szybko zaprzętnęła cudowna wiadomość. Obietnica odkupienia win, której łaknęła, już wtedy zdawała się tkwić w słowach Evie. Odrobiła wówczas trudną lekcję, że jeśli rozpaczliwie się czegoś pragnie, można to wyczytać wszędzie. Przyzwyczajenie drugą naturą człowieka. Ludzie się nie zmieniają. A zwłaszcza mściwi, wyrachowani brutale – tacy jak jej mąż.

Powinna była wiedzieć, że Cameron nie zrobi tego, co obiecał Evie. W jego przypadku zawsze trzeba było płacić wysoką cenę. Zawarli układ, jednak Cameron od początku zamierzał wystawić ją do wiatru. Lecz wtedy tak rozpaczliwie pragnęła wierzyć w warunki umowy. Teraz była mądrzejsza. Spodziewała się najgorszego i rzadko się rozczarowywała.

Herbata w kubku stygła. Cienki, ciemniejszy kożuszek przerwał się i płyn popłynął na boki, przywierając do brzegów, znacząc białe ściany niczym plamy wątrobowe wierzch dłoni staruszki. Jak plamki na jej własnej ręce. Jej uroda przepadła. W pewien sposób odczuła ulgę, lecz nie miało to teraz większego znaczenia. Piękno i jego efekt, który burzył spokój innych osób, w tym jej męża. Zarówno inni, jak i on sam byli tym wrażeniem obezwładnieni. Nawet

onieśmieleni.

Odsunęła od stołu krzesło, na którym siedziała, i podeszła do niewielkiego, pstrego lusterka wprawionego w ramy wysokiej toaletki w stylu *art déco*. Tak samo jak całe umeblowanie domu tkwiła już na miejscu, gdy się wprowadzili. Ktoś musiał ją niegdyś wybrać, polubić. Jeśli wtedy była zabytkiem, to teraz stanowiła antyk, jednak Helen przyzwyczaiła się do niej, ani trochę nie znała się na modnej w dzisiejszych czasach aranżacji wnętrz, nie miała też zamiaru zgłębiać tego zagadnienia. Stary mebel jej pasował. Był znajomy i niczym się niewyróżniający, tak jak ostatnimi czasy jej rysy twarzy.

Poszperała w pojedynczej szufladzie pod półką i wyjęła zeń szczotkę to włosów, przeciągnęła nią po swoim krótkim uczesaniu, potem znów pogmerała, aż jej palce zacisnęły się na metalowym puzderku szminki. Otworzyła je i obróciła u podstawy, aż wysunął się kremowy sztyft w różanym odcieniu. Przyglądając się sobie z bliska w matowym lustrze, przebiegła pomadką po wąskich wargach, napięła je i cmoknęła, po czym wrzuciła kosmetyk z powrotem do szuflady. Lepiej już nie będzie, przynajmniej na ten moment. Chciała się jednak postarać, zrobić to dla Izzie. Na wypadek gdyby córka przechowywała blade wspomnienie szykownej Helen z młodości. Szminka wprawdzie nigdy nie pasowała do kamuflażu żony pastora, a zakonnice z misji nie poparłyby tej wytworności i upiększających zabiegów, jednak Helen pamiętała, jak pewnego dnia znalazła Izzie, gdy mała zaglądała z podziwem do pudełka na toaletce, gdzie jej mama trzymała akcesoria do makijażu i pędzle. „Magiczne pudełko mamusi”, powiedziała Helen i roześmiała się, a jej córeczka jeszcze szerzej otworzyła oczy.

– Och, kobieto, na litość boską – wymamrotała pod nosem z obrzydzeniem, odwracając się od lustra i biodrem zamykając szufladę. Grzbietem dłoni starła szminkę z ust i rozsmarowała róż na policzkach, podrażniając wargi, aż stały się obolałe i wysuszone. Ostatnią rzeczą, na którą Izzie zwróci uwagę, będzie szminka i wyszczotkowane włosy.

Ruszyła z powrotem do kuchni i ścierką do naczyń wytarła smugi różu z dłoni i policzków, trąc mocniej, niż było trzeba. Idiotka. Była starszą panią. Odludkiem. Kobieta, która oddała córkę pod opiekę innej. Żadna szminka nie nada temu blichtru. Powinna przywdziać worek pokutny i posypać głowę popiołem, a nie smarować usta Diorem, edycją z lat sześćdziesiątych.

Z piętra dobiegł hałas. Ciężki tupot stóp nad jej głową. Ross szedł na dół po schodach, potykając się o własne nogi, nie do końca obudzony. Minął ją bez słowa, nic nie wskazywało, że ją rozpoznał. Stała w mroku i czekała, aż usłyszy zamykające się drzwi do łazienki obok kuchni, zasuwany rygiel, chrobotanie i szcęknięcie zaciąganego łańcuszka oraz echo bieżącej wody. Chwilę później Ross znów się pojawił, tym razem ją zauważył.

– Wstałaś? – Jego czoło było zmarszczone, wyteżał umysł ze zdziwienia. Nie tak wyglądała ich poranna rutyna. Nie powinna stać w korytarzu, jeszcze nie teraz, a do tego ubrana we wczorajszą garderobę. Nie kiedy niebo zieleniło się w oczekiwaniu na wschód słońca, choć nad zboczem Ben Mor próżno było szukać poświaty, a na powierzchni morza u stóp góry nie igrał jeszcze blask.

– Nie, synku. Nie mogłam spać. Wracaj do łóżka. Obudzę cię, kiedy przyjdzie pora.

Zmartwienie zniknęło z jego twarzy, która odzyskała swą zwykłą dobroć. Helen pochyliła się, ścisnęła sznureczek u jego piżamy i zawiązała na kokardkę.

– No dalej, synku. Wracaj do łóżka. – Skierowała go ku schodom i delikatnie popchnęła jego przysadziste ramiona, wzdychając pod nosem, kiedy patrzyła, jak niezgrabnie wspina się po stopniach, aż znika na szczycie. Co Izzie pomyśli o swoim bracie? Co Helen ma jej powiedzieć? Prawdę? Czy Izzie jej uwierzy, jeśli zdecyduje się wyjawiać prawdę?

Siny pobrzask przedświt wyblakł i przybrał chłodniejszy odcień żółci, a wiedzioną niespodziewanym poczuciem uwięzienia Helen chwyciła kurtkę

wiszącą obok drzwi. Założyła ją, jednocześnie sięgając klamki, której sfatygowana powierzchnia przeszła chłodem gorejącą dłoń kobiety. Helen potrzebowała powietrza, przestrzeni, ucieczki. Otworzyła drzwi, wsadziła ręce głęboko do kieszeni i uniosła twarz ku niebu, zamykając oczy. To znów się działo. Nie mogła zatrzymać biegu wydarzeń. W jej myślach wyświetlano horror. Nie ten, gdzie matka strzela do swojego dziecka. Jego kontynuację, w której dostaje to, na co zasługuje.

\*

Z

trudem zachowała obojętny wyraz twarzy, gdy zobaczyła, że przyjechał sam.

– Gdzie on jest?

– Kochanie – upomniał ją Cameron – nie przywitasz czułymi słówkami swojego lubego męża po tak długiej rozłące? Nie mogę liczyć na namiętne objęcia? Pewnie za mną tęskniłaś?

– Gdzie on jest?

– Ani trochę? Och, złotko, zawiodłaś mnie. Staję przed tobą z sercem złamanym stratą mej cudownej żony. W całości oddałem się walce, by wytrwać w żałobie pomimo zabiegów, ujmijmy to tak, panien z dobrego domu z Zomby, nie wspominając o koterii w Blantyre, rzecz jasna. Prawdę mówiąc, jeśli się zastanowić, to tak wiele twoich przyjaciółeczek jest dla mnie tak bardzo, bardzo miłych.

Roześmiał się przejmująco. Zbliżył się do Helen, która stała obok i zaciskała pięści przywarte do ud, a wzrok wbiła w sęk mahoniowej klepki podłogi u swoich stóp.

– Tak, moja droga – wyszeptał, a ona poczuła gorąc jego oddechu na swojej skórze, słowa płynęły jak trucizna wprost do jej ucha. – Z takim entuzjazmem... prześcigają się w swoich zabiegach, by mnie pocieszyć.

Helen wzdrygnęła się z odrazą, kiedy uniósł jej podbródek i zmusił, by spojrzała mu w oczy.

– Zastanawiam się, co powiedzą, gdy zdadzą sobie sprawę, że nie jestem wdowcem, za którego mnie mają. – Znów się zaśmiał i puścił ją, odchodząc w odległy kąt, po drodze wyglądając przez okna wychodzące na werandę. – Zaiste, Helen, to bardzo nieprzyzwoite z twojej strony, że tak nas oszukałaś.

Helen szeptem zmówiła modlitwę dziękczynną, że sypialnie znajdowały się na tyłach domu i że zawsze zasłaniała zasłony, pragnąc schronić pomieszczenie przed upałem w ciągu dnia.

– Nie zaprosisz mnie na herbatę, najdroższa? Lub tę boską lemoniadę, którą zawsze przygotowywał kuchcik? Orzeźwiłaby mnie po tak paskudnej podróży. Jestem zdecydowanie spragniony.

Cameron rozsiadł się na rattanowej sofie, którą Helen dopiero co zwolniła.

– Wezwij służbę, kochanie. Każ im coś podać... Chyba że... Ach tak. Jesteśmy sami, czyż nie?

Podniósł brew z drwiną, tak jak tylko on potrafił. Zmusiła się, by odwrócić wzrok, nie przyglądać się jego stopie od niechcienia kołyszącej się ponad wiekiem kosza z ubraniami do naprawy, tuż obok ukrytej w nim bluzki dziecka, modląc się w duchu, by nie zawadził nogą i nie podniósł przypadkiem rzeczonoego wieka.

– Oczywiście. Dezerterki pewnie nie uciekają ze służącymi, czyż nie? Brudzisz swoje drobne, pachnące rączki robotą, prawda? – Stopa wciąż dyndała. Helen musiała odwrócić jego uwagę, zmusić go, by się ruszył.

– Nie rozgaszczaj się, Cameronie. Nie jesteś tu mile widziany. – Stała na szczycie schodów oparta o balustradę i wskazała ramieniem na samochód zaparkowany obok. – Skoro nie przywiozłeś ze sobą Rossa, to się stąd wynoś.

– Na pewno? Nie chcesz usłyszeć, co mam do powiedzenia? Nie? – Wstał, podszedł do niej z tym samym odstręczającym uśmiechem na twarzy. – Cóż,

życzenie mojej kochanej żony... – Chwycił wyprostowaną rękę Helen, wykręcił ją i przycisnął do pleców, jednocześnie ciągnąc małżonkę ku sobie. – Życzenie mojej kochanej żony – syknął, opluwając się – wcale nie jest dla mnie rozkazem. Nie dostaniesz tego, czego chcesz, chyba że ci na to pozwolę.

– Puszczaj mnie. – Helen siłowała się, lecz im bardziej wierzgała, tym mocniej Cameron wykręcał jej rękę. – Robisz mi krzywdę...

– Z grubsza o to chodzi. – Dostrzegła w jego oczach błysk, wręcz podniecenie.

– Puść! – Jej głos był cienki i krzykliwy, zmagająca się z bólem.

– Gdzie twoje maniery, kochanie? „Puść mnie, proszę”. – Odepchnął ją, opuszczając jej ramię i wykręcając nadgarstek, by ją obrócić. Stał za nią i chwyciwszy ją za kark, przyparł jej twarz do drzwi z siatką ochronną przeciw owadom.

– Wejźmy do środka, dobrze? Musimy porozmawiać, ty i ja. Zrób, co ci każe, a przywiozę ci naszego wspaniałego chłopca. Spróbuj mi się stawiać, a nigdy więcej go nie zobaczysz. Nikt go nie zobaczy. Przecież i tak już nie żyje, tak samo jak ty.

**H**elen poczuła skręconą kostkę, a ból przeniósł ją z powrotem w tamten chłodny poranek w Highlands w Szkocji. Żwir na plaży zachrząścił, gdy ciężko usiadła i roztarła bolące miejsce, przynosząc sobie ulgę delikatnym, rytmicznym masażem. Napięła stopę, zakręciła nią kółko, a kiedy ból osłabł, postawiła z powrotem na ziemi. Potem przytuliła zgięte nogi do piersi i wsparła czoło na zgiętych kolanach. To było tak dawno temu. A jednak wspomnienia pozostawały żywe. Czy zdobędzie się na odwagę, żeby powiedzieć o tym Izzie? Wyciągając nogi przed siebie, Helen oparła się z tyłu na wyprostowanych rękach, kręcąc szyją i przysłuchując się strzykaniu i trzaskaniu ścięgien, gdy napięcie wywołane wyczekiwaniem i rozmyślaniami zaczęło odpuszczać. Oddychając

głęboko, usiłowała skupić się na otaczającym ją spokoju, chciała pozwolić pięknu natury ukoić ją, uzdrowić wspomnienia, które ją pochłaniały.

Morze było spokojne i połyskiwało jak granit w promieniach świtu, wyspy rozsiane po powierzchni przypominały bryły mieniącego się węgla, zakłócając gładką linię horyzontu. W oddali widziała pojedynczą łódź rybacką wypływającą na głębokie wody. Już teraz dopiero rodzący się dzień niósł ze sobą zapowiedź upału. Nie afrykańskiego skwaru, tego intensywnego, zlewającego potem i wysuszającego na wiór ognia, który przenikał ściany i sączył się przez okna, przynosząc zapach spalonego słońcem kurzu oraz dojrzałych owoców. Nie. Upał w szkockich górach był inny. To delikatna łuna niczym ciepło, które zostawiamy co dzień rano w łóżku, uścisk, w którym przez chwilę trwamy, by potem pójść w swoją stronę. Gorąco, które umożliwia oddychanie i pozwala świeżemu powietrzu wypełniać przestrzeń między falami upału; żar, gdzie cień nadal przynosi chłód, a morska bryza rześkość.

Helen zakochała się w gorących dniach i nocach w rejonie szkockich gór. Nie tęskniła już za mosiężną siłą tropikalnego słońca. Poszła o krok dalej, zaczęła darzyć miłością wiatr i wilgoć. Deszcz, który obmywał i oczyszczał, śnieg zasypujący ścieżki, wichury, co wyły i piszczwały, niosąc ze sobą *katharsis*. Przeszła przez czyściec w tym klimacie przysposobionego domu i z wdzięcznością przyjęła schronienie, które jej zaoferowano. Afryka należała do przeszłości, lecz kiedy zjawi się Izzie, Helen będzie musiała zrobić Czarnemu Łądowi trochę miejsca w swoim terazniejszym życiu.

Obróciwszy twarz na wschód ku wznoszącemu się nad horyzont słońcu, Helen objęła spojrzeniem gospodarstwo oraz jego dobudówki na stoku powyżej. Ross pewnie zdążył już wstać, zastanawiał się, gdzie ona jest. Zapewne wyjdzie przed dom, poszuka jej wzrokiem, zawoła ją tym swoim płaczącym, przerażonym głosem, jak zwykł to robić za każdym razem, gdy nie mógł jej odnaleźć. Jak owieczka becząca z rozpaczą za zgubioną matką. Powinna już



wracać. On jej potrzebował. Pragnął otuchy w postaci znajomej rutyny, którą wypracowali, rozkładu dnia, wedle jakiego żyli.

Małe kamyczki prowadziły ku większym kamieniom, wodorosty chrzęściły pod stopami, kiedy wspinała się ku polanie otaczającej połacie piasku, miękkie poszycie z białej koniczyny i szeleźnika u jej stóp tłumiło kroki, dając wytchnienie od zgrzytającego i osypującego się żwiru. Podążyła wąską ścieżyną wydeptaną przez stado owiec poprzez zagajnik paproci w górę do traktu. Miała dobrą formę, ale podejście było trudne, do tego dokuczało jej biodro. Zostawiła laskę przy wieszaku w przedpokoju, pragnienie wyjścia na zewnątrz przewyciężyło ból, a odciążenie uwagi od wspomnień dało jej werwę, by móc przez chwilę spacerować o własnych siłach. Później słono za to zapłaci, wiedziała o tym, tak jak przyjdzie jej zapłacić za wszystko inne.

Zrobiła przystanek, by zaczerpnąć powietrza i kątem oka pochwyciła cień przemykający między domem a warsztatem. Ross? Zbyt szybki, za mały. Kto inny mógłby to być? Mewa zaskrzeczała jej nad głową, a Helen uśmiechnęła się, kiedy cień przeciął drogę przed nią i czmychnął, po czym zatańczył na czerwonym dachu szopy. Była niespokojna, w nerwowym napięciu oczekiwała, co może przynieść dzień.

Dotarła do starej, drewnianej ławki przed domem i usiadła, nie mając ochoty wracać do ciemnej, wilgotnej kuchni, ponieważ wolała zażywać ciszy wczesnego poranka, która roztaczała się przed nią niczym puste płótno nowego dnia, dopiero mające się zapełnić. Odetchnie chwilę w spokoju, a potem wejdzie do środka, obudzi Rossa i przyrządzi mu śniadanie, gotując się na kolejną dobę pełną porządku i rytuałów. Westchnęła. Chyba nie dana jej dzisiaj harmonia ducha. Zbyt wiele powracających wspomnień domagało się uwagi.

**UPPER SHIRE RIVER, 1963 ROK**

**H**elen słyszała, jak misyjny samochód rzezi, wtaczając się pod górę po grzbiecie pagórka wznoszącego się przed domem. Musiała minąć przynajmniej godzina, od kiedy wyszedł Cameron, jednak ona nadal siedziała pośród wymiętej pościeli, skulona niemal w pozycji embrionalnej; przez zasłony sączyły się blednące promienie popołudniowego słońca, które smagały jej nagą skórę i rozdarte ubrania niczym biczem na przemian ze strugami łez rzeźbiącymi sobie drogę po jej bladych policzkach.

*Izzie.*

Powtarzając to imię pod nosem jak mantrę, Helen zmusiła się do ruszenia, odsunęła ręce i nogi od ciała i wyprostowała kończyny. Z ogromnym wysiłkiem zsunęła się z łóżka i wstała, lecz po to tylko, by nogi ugięły się pod nią, a ona gwałtownie wylądowała z powrotem na barłogu. Powinna dziękować losowi, że drzwi jej sypialni były pierwszymi w korytarzu. Gdyby Cameron poszedł parę kroków dalej i zobaczył pokój Izzie...

*Izzie.*

Skomlenie stawało się donośniejsze, kiedy auto ruszyło ścieżką w dół. Musi szybko się oporządzić. Nadal siedząc, zdjęła z siebie resztki garderoby, zrzuciła je na podłogę i kopniakami posłała pod łóżko. Rozglądała się dookoła, aż jej wzrok padł na jedwabny szlafrok zawieszony od niechcienia na krzesło z drabiniastym oparciem, gdzie zostawiła go dziś rano. Czy to naprawdę wydarzyło się tego samego ranka?

Próbowała pochwycić ubranie, lecz nie dosięgała. Znów podjęła próbę wstania, jednak upadła na podłogę, zebrała się z niej na czworakach i doczołgała do jedwabistego wodospadu opadającego kaskadą ze skraju krzesła. Z wdzięcznością przytuliła materiał do siebie, jego chłodna gładkość ukołysała pożar bólu trawiący jej ciało. Zarzuciła szlafrok na ramiona, jęknęła, przełknęła łzy i wyprostowała się. Westchnęła ciężko, słysząc trzaśnięcie drzwi auta, dziecięcy śmiech, któremu towarzyszył głos starszej kobiety i jeszcze coś. Skowyt? Szczekanie? Oraz łoskot drzwi z ochronną siatką na owady.

– Mamo! Mamo! Chodź, zobacz, kogo przywiozła siostra Agnes, musisz go poznać. Mamo!

Helen otworzyła usta, by zawołać Izzie, powiedzieć, że za chwilę przyjdzie, lecz z jej gardła nie wydobyły się żadne słowa, a jedynie chrapliwy, drażniący dźwięk duszenia. Poczula znów ból, tak jak wtedy, gdy Cameron oplótł jej szyję rękoma i ścisnął, dusił...

– Mamo! Gdzie jesteś? – Głosik stawał się coraz ostrzejszy, dziecko nie przywykło, że nikt nie zwraca na nie uwagi. – Mamo!

– Cii, dziecino. Nie ma potrzeby krzyczeć. – Helen usłyszała wyważony ton siostry Agnes, potem drzwi z siatki załoskotały raz jeszcze, tym razem gwałtowniej. – Idź na dwór, Isobel, popilnuj Rudego. Ma wielką ochotę rozkopać warzywniak twojej matki.

– Ale ja chcę, żeby mama go poznała.

– Pozna, dziecino. Za chwilę. A teraz idź, pobaw się z Rudym. Muszę porozmawiać z twoją matką.

– A gdzie ona jest?

Zanim siostra Agnes zdążyła odpowiedzieć zniecierpliwionemu dziecku, uwagę Izzie odwróciło wyraźne szczekanie, a potem skomlenie na zewnątrz.

– Rudy!

– Lepiej idź sprawdzić, co porabia. Biegnij, dziecino.

Drzwi z ochronną siatką na owady trzasnęły ponownie i Helen zaczęła oddychać swobodnie, nieświadoma, że do tej pory wstrzymywała oddech. Izzie nie może zobaczyć swojej matki w takim stanie. Helen musi wziąć się w garść, uśmiechnąć się, zachowywać normalnie. Słyszała siostrę Agnes krzątającą się po domu, pospieszne skrzypnięcia mebli przesuwanych po podłodze i przywracanych na swoje miejsce, a potem miękkie kroki na korytarzu.

– Helen? Helen, gdzie jesteś? To ja, siostra Agnes.

Kroki ustały przed drzwiami i rozległo się słabe pukanie. Łzy napłynęły Helen do oczu. Nie mogła się odezwać.

– Helen? Jesteś tam? Wchodzę do środka.

Drzwi otworzyły się powoli, a Helen podniosła pełne łez oczy i ujrzała zakonnicę w progu, jak blokuje wyjście na korytarz, na świat zewnętrzny, a potem podchodzi bliżej. Helen wsparła się na solidnej sylwetce starszej kobiety, gdy ta pochyliła się i objęła jej drżące ciało ramionami. Nie mówiąc ani słowa, siostra Agnes pomogła jej podnieść się i usiąść na krześle, kładąc omdlałe dłonie Helen na jej podołku, uściskawszy je lekko, zanim podeszła do drzwi i ostrożnie zamknęła je za sobą. Stała i rozejrzała się wokół siebie, w milczeniu przyswajając widok zmiętej pościeli, przewróconej lampy na stoliku nocnym i skrawka rozdartego perkalu, którego Helen w pośpiechu nie zdążyła uprzątnąć.

Przykucnąwszy przy Helen, siostra Agnes ujęła jej dłonie w swoje i przytrzymała mocno, aż przestały się trząść.

– Jesteś bezpieczna, Helen. Nic ci nie grozi, dopóki tu jestem.

Helen podniosła na nią ciepłe spojrzenie brązowych oczu. Łzy popłynęły teraz bez zahamowania, a zmalretowana kobieta z trudem rozpoznawała łagodne oblicze znajomej zakonnicy. Przytaknęła, ufając spokojnym zapewnieniom wypowiedzanym pewnym głosem. Znów spróbowała się odezwać, lecz zachłysnęła się własnymi słowami.

– Cii, Helen. Nie mów nic. Siedź w spokoju. Oddychaj powoli, głęboko.

O tak. Skup się na tym. Czas na rozmowę przyjdzie później.

Panika Helen zaczęła opadać; obecność zakonnicy, jej łagodny głos – uspokoiły ją. Łomotanie serca ucichło, drzenie rąk i nóg złagodniało.

– Izzie – zdołała wychrypieć Helen. – Ona nie może mnie zobaczyć...

– Nie zobaczy. Bawi się na dworze ze szczeniakiem, którego przywiozłyśmy z misji, żeby ci pokazać. Rudy odwróci jej uwagę. Nie przejmuj się przez chwilę Izzie. Zajmijmy się tobą.

Helen poczuła pewny, chłodny dotyk zahartowanej dłoni na czole, a potem pod podbródkiem, gdy siostra Agnes odwróciła jej twarz do słabego światła wpadającego przez zasłonięte okna.

– Hm, chyba będą siniaki na policzku, jak sądzę. Ale nic... Och, Helen, dziecino, twoja szyja! – Zsinienie nie pozostawiało już żadnych wątpliwości, odciski palców wytłoczone na białej skórze jak czerwone płatki ciemiernika leżące na śniegu. Helen bez słowa pozwoliła jedwabowi osunąć się z ramienia i odsłonić wściekle zadrapania na piersi, prawie zaschłą krew, mimo to rany nadal były zaczerwienione i rozjątrzone.

Siostra Agnes, nie mówiąc nic, poprawiła szlafrok, przysiadła na stopach i przez dłuższą chwilę patrzyła na dłonie, jakby w milczącej modlitwie. *Na niewiele się to zda*, pomyślała Helen, zaskoczona zgorzknieniem, które poczuła. Modlitwy nie stanowiły żadnej ochrony przeciwko tamtemu mężczyźnie. Temu diabłu wcielonemu.

Raptownie otworzyła oczy i odszukała wzrokiem siostrę Agnes, która patrzyła na nią, zaglądała aż na dno jej duszy. Helen zarumieniła się ze wstydu wywołanego zarówno bluźnierczymi myślami, jak i przekonaniem, że zakonnica doskonale wie, co tu się wydarzyło, co wyrządził jej Cameron, do czego ją zmusił. Na co mu pozwoliła. Poczowała wzbierającą falę gniewu i popłynęła na niej, pragnąc z powrotem stać się silną.

– Biedne dziecko – wyszeptła siostra Agnes. – Przyniosę wodę, umyjemy

cię, potem zrobimy ci herbatę.

– Herbatę? – parsknęła Helen, gdy złość i gniew bez wyraźnego adresata wytrysnęły z jej głębi. Herbata? Ta kobieta nie miała o niczym pojęcia. Helen poczuła kojącą dłoń na ramieniu. – Herbata? – krzyknęła ponownie. – Zabieraj swoje łapska. Jaki niby cholerny pożytek będzie z herbaty, ty głup...

– Cicho, Helen. – Głos brzmiał pewnie. – Izzie cię usłyszy. – Napomnienie zakonnicy powstrzymało słowa cisnące się Helen na usta; jej silne ramiona powstrzymały ręce, które młóciły powietrze i ruszały do ataku, pragnąc oddać cios, lecz osoby, jaką pragnęły uderzyć, już dawno tu nie było. Zakonnica trzymała ją z zaskakującą siłą, aż oszalała Helen odzyskała panowanie nad sobą.

Siostra Agnes miała rację, Helen zdała sobie z tego sprawę chwilę później, popijając herbatę i opierając się o świeżo wymienione poduszki. Usiadła na krześle, półprzytomna i nieobecna, podczas gdy siostra Agnes delikatnie ją umyła, znalazła świeże ubrania i zmieniła pościel. Następnie podała jej herbatę, kazała odpoczywać i nie denerwować się, po czym poszła zrobić Izzie kolację. Dziewczynka zrozumiała, że mama jest chora, i obiecała przypilnować Rudego, żeby nie szczekał. Siostra Agnes powiedziała, że kiedy Helen odzyska spokój, przyprowadzi do niej Izzie i Rudego, zanim położy dziecko spać.

Helen z wdzięcznością zgodziła się na plan zakonnicy, była zobowiązana, mogąc na parę godzin zrzec się obowiązków wobec swej rozbrykanej córki i pozwolić sobie wrócić do sił i wziąć się w garść. Teraz miała bawić się beztrąsko z misyjnym szczeniakiem i Helen wiedziała, że obmyślała sposób, jak przekonać swoją matkę i siostrę Agnes, by Rudy mógł z nimi zostać, stać się jej przyjacielem i towarzyszem zabaw.

Jej córka czuła się tu samotna. Pobieżne wizyty w misji dostarczały raczej skąpej sposobności do zawierania przyjaźni, chociaż Izzie zawsze zdołała przynosić do domu opowieści o zabawach z tym czy innym dzieckiem oraz obietnice ponownego spotkania podczas odwiedzin Izzie. A następnie wracała

rozczarowana, kiedy dowiadywała się, że jej nowi przyjaciele zapomnieli o niej, ponieważ głębsza więź połączyła ich między sobą we własnym towarzystwie, do którego Izzie nie należała, lub, co gorsze, odkrywała, iż jej towarzysze opuścili misję. Helen martwiła się, że jej córka straci zdolność nawiązywania kontaktów z rówieśnikami, jednocześnie obawiając się, że błada, chochlikowa twarzyczka córeczki, jej blond loki i błękitne oczy sprawią, że będzie się za bardzo wyróżniała, skupi na sobie zbyt dużą uwagę i stanie się tematem plotek powtarzanych w szkole. Zwłaszcza że opowieść serwowana mimochodem, iż Izzie jest córką misjonarza, nie pomagała nawet najgłębszym przyjaźniom przetrwać próby czasu.

Teraz jednak nie miało to najmniejszego znaczenia. Cameron tu był. Przyjdzie znowu, przywiezie ze sobą Rossa – „na dniach”, jak powiedział. Zrobi nie tylko to, Helen była tego pewna. Żartował z praw małżeńskich, z małżeńskich obowiązków żony oraz upoważnień mężowskich. Dziś pokazał jej, do czego jest zdolny, obnażył głębię swojej deprawacji i przyjemność czerpaną z cierpienia drugiej osoby, zademonstrował władzę nad jej życiem, którą skupiał w dłoni. Gdyby wiedział, że Izzie żyje, Helen mogła sobie tylko wyobrażać, jak by to wykorzystał, by zadreńczyć swoją żonę i trzymać ją pod kluczem. Jeszcze gorsza była myśl o tym, do czego mógłby się posunąć, żeby zabezpieczyć pozycję Davida jako jedynej dziedziczki fortuny Buchananów, a tym samym zadbać o własne położenie biologicznego ojca spadkobiercy.

Izzie znajdowała się w niebezpieczeństwie. To nie pozostawiało żadnych wątpliwości. To, jak jej matka zdoła ją ochronić, rodziło więcej pytań. Czy uda im się uciec? Lecz co wówczas stanie się z Rossem? Szarpnęło ją w żołądku na myśl o płochliwym, delikatnym synku, o tym, jak po raz ostatni widziała go leżącego na podłodze w sypialni, kiedy krew lała się z tyłu jego czarnej główki, tworząc plamę na kształt nakrycia głowy znachora lub mrocznej, lśniącej aureoli. Cameron powiedział jej, że Ross nie żyje. *Nie żyje*. Nigdy nie zostawiłaby syna,

gdyby sądziła, że w jego drobnym ciałku tli się jeszcze isierka życia. Kobieta była rozdarta. Mogła odzyskać Rossa, lecz tym samym wystawiłaby Izzie na niebezpieczeństwo, ryzykując, że ojciec się o niej dowie. Helen obróciła głowę, usiłując obmyślić następny krok, próbując wpaść na pomysł, jak zatrzymać przy sobie dwoje dzieci, jak trzymać je z daleka od Camerona i zapewnić im bezpieczeństwo.

Helen nie usłyszała ani jak ktoś otwiera drzwi, ani jak skrada się na paluszkach po wypolerowanej podłodze, lecz poczuła najpierw ugięcie się materaca pod ciężarem Izzie, która wdrapała się na łóżko, a potem chłód herbaty na wierzchu dłoni, gdy trzymany przez nią kubek się przechylił.

– Izzie, kochanie, wystraszyłaś mnie. – Helen ze zdziwieniem usłyszała spokojny i normalny ton swojego głosu i uśmiechnęła się do córki, czując zarówno ulgę, jak i obezwładniającą miłość, którą to darzyła córkę od pierwszej chwili, gdy wzięła w ramiona wierzące się zawiniątko.

– Lepiej ci, mamo? – Izzie zrobiła poważną minkę. – Siostra Agnes powiedziała, że jesteś chora. Ja też kiedyś byłam chora, prawda? Ale potem wyzdrowiałam. Ty też wyzdrowiejesz. – I przytaknęła główką z rozmysłem.

– Już niedługo poczuję się lepiej, kochanie. Bardzo niedługo.

– Bawiłam się na dworze, żebyś mogła spać. Siostra Agnes mówiła, że Rudy może zostać u nas na noc. To pies. Ty też go polubisz. Jestem pewna.

Helen uśmiechnęła się.

– Nie mam żadnych wątpliwości.

– Mamo, czy rano będzie ci lepiej?

– O tak. Czemu pytasz?

– Bo siostra Agnes powiedziała, że jutro wróci na misję.

– Tak, pewnie będzie musiała wracać. Czemu cię to martwi?

– No, bo może zabrać... Nie poznałaś jeszcze Rudego, a jeśli go zabierze, to możesz nie zdążyć. – Wyrwało jej się dramatyczne westchnienie, zupełnie



nieproporcjonalne do rozmiarów drobnej dziecięcej sylwetki, która wślizgnęła się matce pod ramię i tuliła się do jej piersi, niestrudzenie kręcąc główką z boku na bok, kiedy słowa zamarły jej na ustach. – Siostra powiedziała, że nie mogę cię jeszcze pytać. Dopóki nie wyzdrowiejesz.

– O co pytać, malutka?

– Czy mogę... – Drobne ciało odwróciło się do niej twarzą, a poważną atmosferę przełamał śmiech. – O nie! Niegrzeczna mama! Chcesz mnie skusić, żebym cię zapytała! Ale obiecałam siostrze Agnes, że nie spytam. Proszę, musisz szybko wyzdrowieć. Zanim siostra jutro wyjedzie.

– Zobaczą, co da się zrobić. – Helen uśmiechnęła się, przyciągnęła do siebie córeczkę, przytuliła ją, całując w czubek głowy i dziękując Bogu, że mała wciąż jest bezpieczna. – Gdzie jest siostra Agnes? Muszę z nią porozmawiać.

– Robi kolację – powiedziała Izzie i zmarszczyła nosek. – Nie pachnie za dobrze, mamó. Nie jak twoje. Chyba nie będzie nam smakować.

– Bzdura, jestem pewna, że jedzenie będzie pyszne. – Z każdym słowem córki Helen czuła, że żelazny uścisk, w którym trzymały ją wspomnienia o popołudniu, nieco się rozluźniał. Cameron nie skrzywdzi jej córki, Izzie nie padnie jego ofiarą. Helen będzie walczyła do ostatniej kropli krwi, do ostatniego oddechu, z całych sił. Odkryje metodę, by dorównać jego przebiegłości, a wręcz go prześcignąć. Jej córka zasługiwała przynajmniej na to.

A jej syn Ross, jej chłopak, jej prawdziwy pierworodny zasługiwał nawet na jeszcze więcej.

Izzie miała rację w sprawie kolacji. Helen mogła tylko przypuszczać, że ktoś inny z misji odpowiadał za pracę kuchni. Zmusiła się jednak, by zjeść choć trochę dania, które dobra kobieta przyrządziła i przyniosła jej na tacy, by Helen mogła spożyć posiłek w łóżku, wsparta o poduszki. Helen miała nadzieję, że Izzie zdoła pójść jej śladem, wiedziała, że głód potrafi skłonić córkę do zjedzenia prawie wszystkiego, a jeśli tym razem tak się nie stanie, to może Rudy pospieszy jej

z pomocą.

Kiedy siostra Agnes wróciła do pokoju, by zabrać tacę, Izzie przysłała wraz z nią.

– Już ci lepiej? – spytała.

– Cicho – przerwała jej siostra Agnes, zanim Helen zdążyła odpowiedzieć. – Nie teraz, Isobel. To może poczekać do rana.

Na twarzy Izzie odmalowywało się zmaganie, lecz tym razem wygrało posłuszeństwo.

– Dobranoc, mamó. – Znow wgramoliła się na łóżko, by ucałować Helen i przytulić się do niej. – Zdrowiej szybko.

– Dobranoc, kochanie. – Helen mocno wyściskała córkę.

– Rudy będzie spał przed moimi drzwiami, siostra Agnes tak powiedziała.

– Lepiej, niż gdyby spał w jej łóżku. – Zakonnica uśmiechnęła się. – Chodźmy, pora na dobranoc.

– Siostró, ja...

– Później, Helen. Położę małą spać i potem porozmawiamy.

— Izzie śpi?

Zakonnica uśmiechnęła się.

– Ledwie skończyłyśmy się modlić, a zamknęła oczy i musiałam kłaść ją do łóżka. Rudy też zasnął. Śpią oboje jak kamień. Wykończyła siebie i zwierzątko. Może nie powinnam przywozić jej szczeniaka, ale pomyślałam, że przyda wam się odrobina opieki, w końcu mieszkacie tu same...

Siostra Agnes spuściła wzrok i zamarła. Helen wiedziała, że obie myślą o tym samym. Za późno, żeby kłopotać się obroną.

– I tak będzie chciała zatrzymać psiaka, jak sądzę – powiedziała Helen. – Ale nie jestem pewna, czy możemy. Nie wiem nawet, czy tu zostaniemy. Nie

jesteśmy tu już bezpieczne. Izzie nie jest bezpieczna. On tu był. Dziś po południu. Zrobił to. Wróci.

– Tak.

– Nie mam pojęcia, jak zdołał mnie odnaleźć. Myśli, że mieszkam tu sama. Tyle szczęścia w nieszczęściu, że Izzie była z tobą. Dzięki temu on nie wie, że mała żyje.

– Jesteś pewna?

Helen zawahała się. Czy mogła być pewna? Cały poranek, po tym, gdy siostra Agnes zabrała Izzie, poświęciła na porządki, więc w salonie nie powinno być żadnych zabawek ani innego śladu małego dziecka. Ukryła koszulę, której guzik przyszywała, na werandzie, podniosła wydziergany na drutach bucik lalki leżący na podłodze i wcisnęła go sobie do kiesz...

– Moje ubrania. Gdzie one są?

– Moja droga, do niczego już się nie nadadzą...

– Siostro, gdzie? Muszę sprawdzić kieszenie. – Helen z wysiłkiem zrzuciła kołdrę i stanęła o własnych siłach, wspierając się na pomocnym ramieniu zakonnicy.

– Dobrze, już dobrze, Helen. Przyniosę je. Zostań w łóżku.

– Nie. Muszę je zobaczyć. To ważne. – Helen chwiejnym krokiem ruszyła do drzwi i oparła się o framugę, odzyskując równowagę, po czym odepchnęła się i skierowała do kuchni, jej stopy głośno łoskotały, stając na gołej drewnianej podłodze.

– Cii, Helen. Obudzisz...

– Tutaj?

– Nie, schowałam je na tyłach. Zamierzałam spalić je, kiedy Izzie zaśnie. Siadaj, Helen. Przyniosę je. – Siostra Agnes odwróciła się, popchnęła kuchenne drzwi i pozwoliła, by zatrasnęły się za nimi, ale dopiero kiedy drapanie pazurów o drewno zwiastowało przybycie Rudego. Szczeniak przysiadł przy stopach

Helen i spojrział na nią wyczekująco.

- No tak, pies. Trzymaj go. Zgubi się po ciemku, jeśli puścimy go na dwór.
- Siostra Agnes zniknęła w mroku.

Helen i szczeniak wpatrywali się w siebie nawzajem. Nagle pies zaskomlał, nasrożył uszy, potem położył je po sobie. Zamerdał ogonem, po czym zamarł. Znów zaskowyczał, to podnosząc, to opuszczając łeb, szturchając Helen w nogę, później cofnął się i stanął na czterech łapach. W końcu odskoczył tanecznie na krok czy dwa, a następnie znów pospieszył do przodu.

- Chce się bawić.

Helen nie usłyszała, że drzwi się otworzyły. Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła zaspaną Izzie, jak trze oczka i ziewa, a w rączce trzyma lalkę, która dynda nogami pozbawionymi jednego bucika.

- Izzie, już późno. Powinnaś spać.
- Słyszałam, że rozmawiasz z siostrą Agnes. Rudego nie było, więc przyszłam go poszukać.
- W takim razie zabierz go do środka, Izzie, i wracaj do łóżka.
- Ale on chce się bawić.
- Izzie, rób, co ci każę.

Mała dziewczynka rozszerzyła oczy ze zdziwieniem, słysząc cierpkość w głosie Helen.

- Och, kochanie, przepraszam. Ja... No chodź tutaj. – Helen wyciągnęła ramiona ku swojej córce, posadziła ją sobie na kolanach i przytuliła, wdychając jej mydlany zapach oraz czując miętę niedawno mytych ząbków w nierównym oddechu.

- Zaśpiewaj, mamó. Zaśpiewaj mi kołysankę. – Kciuk trafił do jej różowych ust, a w policzkach utworzyły się dołeczki, gdy ssła palec. Helen delikatnie wyciągnęła go z buzi córeczki, po czym pochyliła się i ucałowała blond główkę umoszczoną tuż przy jej piersi. Nie będzie musiała śpiewać, była tego pewna.

Oddech Izzie w mgnieniu oka odzyskał miarowy rytm, wątle ręce i nogi rozluźniły się i ciężko opadły. Lalka wylądowała na podłodze, gdzie Rudy obwąchiwał ją z zainteresowaniem. Helen ostrożnie, by nie obudzić dziecka, sięgnęła po lalkę i podniosła ją, by obronić ją przed psem. Gdyby tak łatwo mogła obronić własne dziecko.

– Tutaj... – Zakonnica raptownie zamilkła, gdy jej oczom ukazał się żywy obraz Madonny z Dzieciątkiem przy stole. Ostrożnie zamknęła drzwi wejściowe za sobą, rzuciła stertę zabrudzonych i złachmanionych części garderoby na odległy skraj stołu i podeszła z rozpostartymi ramionami do matki z dzieckiem. – Odniosę ją do łóżka.

– Nie. Jeszcze nie – odezwała się cicho Helen, przyciskając do siebie córkę, podczas gdy do oczu napływały jej łzy. – Sprawdź kieszenie. Szukaj buta. Bucika lalki. Takiego samego jak ten. – Helen wolną ręką podniosła nóżkę lalki, którą położyła przed sobą na blacie.

Nieznacznie marszcząc czoło, siostra Agnes wydobyła strzępy sukienki Helen z góry ubrań i je rozprostowała. Jedna z naszytych kieszeni była rozdarta i zwisała bezwładnie, materiał odstawał na zewnątrz niczym zagięta strona książki mająca wskazywać czytelnikowi, gdzie skończył lekturę. Helen wstrzymała oddech, gdy zakonnica sięgnęła do drugiej kieszeni i potrząsnęła przecząco głową.

– Są tu jeszcze jakieś kieszenie?

Teraz Helen zaprzeczyła ruchem głowy, powoli, ociężale.

– Nie widziała siostra bucika, kiedy sprzątała... w łóżku... albo... albo...

– Nie. – Zakonnica nadal marszczyła czoło, próbując rozszyfrować, dlaczego Helen tak bardzo przejmuje się bucikiem lalki.

– Zabrał go. Wie.

Helen przytuliła córkę jeszcze mocniej, łzy popłynęły po jej bladych licach, lądując miękko na zwichrzonych loczkach. Po chwili podniosła wzrok na siostrę

Agnes. Helen wiedziała, co musi zrobić.

– Niech siostra ją zabierze.

Helen skrzyżowała puste ręce na piersi, podczas gdy zakonnica wyniosła śpiącą dziewczynkę.

\*

**P**atrzenie, jak jej córka nazajutrz rano została odwieziona, było najtrudniejszą rzeczą, jaką Helen kiedykolwiek przeżyła.

– Do widzenia, kochanie – powiedziała swobodnie, rozpaczliwie próbując przybrać ton, którym zwykle odzywała się do córki, gdy mała wsiadała do zakurzonego auta misyjnego, prawie wcale nie oglądając się za siebie, ciesząc się na samą myśl, że będzie mogła pobawić się z innymi dziećmi. Helen pocałowała córkę beztrąsko w policzek, opierając się pokusie, by chwycić ją w objęcia i mocno przytulić. Izzie zwykle wymykała się z uścisku matki w dni wizyt na misji, myśli mając zaprzątnięte zabawami, które na nią czekają, radością, jaka niebawem stanie się jej udziałem, oraz historiami, które później będzie chciała opowiedzieć swojej mamie.

Lecz tamtego dnia Izzie uczepiła się mamy i z niechęcią ją puściła. Helen najpierw zdumiała się siłą dziecięcej intuicji, zdolnością wczucia się w nastrój matki bez względu na to, jak rodzicielka mocno starałaby się go ukryć. Jednak prawdziwy powód, dlaczego Izzie się ociągała, wybiegł spod schodów prowadzących na werandę, miał nos zakurzony od zeschniętej ziemi, a w zaciśniętych zębach śliniącej się mordki trzymał piłkę tenisową, o której wszyscy zapomnieli.

– Rudy! – Izzie podbiegła ku niemu. – Niedługo wrócę, obiecuję! – Wyściskała cieszącego się szczeniaka tak mocno i ochoczo, jak Helen pragnęła przytulić Izzie.

– Chodź, Izzie – powiedziała siostra Agnes ze wzrokiem wbitym w Helen. – Rudemu nic nie będzie, jeśli zostawisz go tu na jeden dzień. Mama się nim zaopiekuje.

– Czemu nie mogę go zabrać? Pobawiłby się z innymi dziećmi.

– Dotrzyma mamie towarzystwa – powiedziała Helen i dotknęła ręką szyi, czując, że ściska ją w gardle i słowa nie chcą przejść jej przez usta; jednocześnie wzdrygnęła się, muskając wczorajsze siniaki ukryte pod zapinanym na guziki kołnierzykiem bluzki ze stójką.

– Ale jadę tylko na misję. Niedługo wrócę. Mamo... – Izzie przybrała zdziwiony wyraz twarzy, gdy uderzyła ją niespodziewana myśl. – Czemu znowu jadę na misję? Przecież byłam tam wczoraj.

– Wiem... Wiem, kochanie. Ale... – Helen nie wiedziała, co powiedzieć.

– Dzisiaj czeka cię wyjątkowa gratka – wtrąciła się siostra Agnes, a Helen zdziwiła niespodziewana płynność w wymyślonym naprędcie kłamstwie. – Pojedziecie na wycieczkę. Nie będzie cię tylko chwilę.

– Ale... Ale... – Wyglądało, że Izzie wpada w panikę, kiedy spoglądała to na Rudego, to na zakonnice, to z powrotem na psa, który położył się w cieniu mimozy z piłką w łapach, szczękami dobierając się do naderwanego kawałka żółtej gumy. Helen poczuła ukłucie w sercu. Jej córka nawet się na nią nie obejrzała.

– Mama zaopiekuje się Rudym, Isobel. Nie chcesz jechać z dziećmi na wycieczkę pełną przygód?

Promienny uśmiech zagościł na twarzy Izzie. Pobiegła do psa, przytuliła go, a potem w przypiływie wylewności uściskała też matkę. Następnie wzięła zakonnice za rękę i zaczęły iść do samochodu. Gdy siostra Agnes się odwróciła, spojrzała przez ramię na Helen.

– Zaopiekuję się nią.

Helen skinęła głową i stała, obserwując, jak kurz wzbijany kołami

samochoду unosi się w powietrzu, podczas gdy jej córka zostaje wywieziona. Modliła się, by nic nie groziło małej. Wznosiła modły, by okazało się, że postępuje słusznie, porzucając ją. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek zdoła ją odzyskać, czy jeszcze kiedyś w ogóle ją zobaczy.

**M**inęło dwanaście dni, zanim Cameron wrócił. Był już wieczór, Helen siedziała, jak to miała w zwyczaju, w pokoju, który niegdyś należał do Izzie, lecz teraz został ogołoco ny i obrabowany ze wszystkich śladów obecności dziecka. Rudy warował u jej stóp. To właśnie jego postawione uszy oraz niski pomruk przypominający warczenie, który wydobył się z dna jego małego ciała, ostrzegły ją na dźwięk samochodu. *Rudy może stać się moim obrońcą*, pomyślała, gdy na skórze poczuła ciarki i ścisnęło ją w żołądku ze wstrętu na wspomnienie dociekliwych i uwierających grubych paluchów.

Kiedy Cameron zamknął za sobą drzwi z siatki, zobaczył, że czeka na niego z nożem w dłoni i psem u stóp. Roześmiał się. Zaśmiał się donośnie, twarz poczęła mu czerwienić, gdy z uciechy łzy napłynęły mu do oczu, a on sam rzucił się na jedną z sof.

– Ach, Helen. – Otarł łzy wyprasowaną białą chustką do nosa, wyjąwszy ją z górnej kieszonki kremowej lnianej marynarki, którą przywdział mimo upału. – Nigdy nie przestajesz mnie rozśmieszać.

Helen widziała, jak Cameron zwięża oczy w szparki, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów, a potem znów spuszcza oczy i patrzy na Rudego siedzącego cicho u jej nóg, niezwykle znieruchomiałego i onieśmiałonego.

– Co to ma być? Pies obronny? – Znów się zaśmiał i jednym płynnym ruchem podniósł się z sof y, po czym przeszedł przez pokój, chwytając ją za nadgarstek i wykręcając go, aż nóż wypadł jej z rąk. Kopnął go, lecz zamiast narzędzia trafił Rudego, ponownie wybuchnął śmiechem, kiedy zwierzak zaskamlał, podwinął ogon i uciekł. – Cóż, chyba możemy się zgodzić, że ta



obrona na niewiele się zdała. Lecz nie ma potrzeby się bronić. Chociaż to był dobry żart, to mam inne sprawy na głowie. No ale spójrz tylko na siebie. O rany, ależ się zapuściłaś. Nie przypominasz tej piękności ze śmietanki towarzyskiej, którą poślubiłem. Wątpię, by nawet Gregory dał ci się skusić. – Odrzucił jej nadgarstek, odwróciwszy się do niej plecami, kiedy przeszedł z powrotem w kierunku drzwi z siatką ochronną na owady. – Nie, młoda ślicznotka grzeje mi łóżko, nasze łóżko, w Blantyre i czeka na mnie dziś wieczorem. Odpreź się. Tym razem nie przyszedłem po ciebie.

Wsunął dłoń do kieszeni marynarki i wyjął maleńki bucik. Helen nie zdołała stłumić lekkiego westchnienia, które wyrwało jej się z ust. Usłyszała, jak Cameron chichocze. Staął twarzą do niej i cisnął bucik na podłogę w parodii rzucania rękawicy, niemniej było czytelne, że wyzywa ją na pojedynek.

– Zawrzyjmy umowę, droga Helen, sprawiedliwy układ. Dziecko za dziecko. Czy może być bardziej sprawiedliwe rozwiązanie? I ty, i Ross nadal nie żyjecie, rzecz jasna.

– Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć... – zaczęła Helen.

– Nie prowokuj mnie, najdroższa. Wiesz, jak się zachowuję, kiedy ktoś mnie zdenerwuje. – Podniósł bucik, miał go między kciukiem a palcem wskazującym, a potem zgniótł go w pięści. – Nie będę już więcej grzecznie prosił. Przyrowadź ją.

– Ja... Kogo?

Policzek był niespodziewany i surowy, siła uderzenia spowodowała, że głowa Helen poleciała w bok, po czym szarpnięcie za włosy zahamowało impet. Cameron pociągnął mocniej, odginając jej głowę do tyłu, a następnie pochylił się i wycedził przez zaciśnięte zęby:

– Zawołaj ją. I to już. – Uwolnił ją i popchnął przed siebie w stronę korytarza prowadzącego do pozostałych pokoi niewielkiego bungalowu. Helen potknęła się o skraj dywanika i runęła na kolana, lecz on złapał ją za ramię i postawił do

pionu, po czym znów popchnął w przód. Potrząsnęła przecząco głową i cofnęła się, odmawiając współpracy.

– Dalej. Ruszaj się. – Włókł ją za sobą, idąc korytarzem. Otworzył kopniakiem drzwi do sypialni, wszedł do środka i szarpał za uchwyty szaf, szarpnięciem odsłonił moskitierę i uniósł pościel, żeby zajrzeć pod łóżko. – Izzie? Izzie, kochanie! Przyjechał wujek Cameron, chce zabrać się do domu.

Przeciskając się obok Helen w progu pokoju, gdzie zostawił ją na klęczkach, kopnął w drzwi do łazienki naprzeciwko i otworzył je na oścież, a potem przeszedł do kolejnego pomieszczenia, przed którego wejściem Rudy siedział i warczał. Cameron cisnął kopniaka i pies znów zaskamlał, kiedy poleciał po podłodze i zderzył się z kredensem stojącym w rogu.

– Pilnujesz swojej małej pani, prawda? Bardzo szlachetne.

Pokój stał pusty. Ogołocony. Nie zaścielono łóżka, moskitierę zawieszono w supeł i odwieszono na bok, na półkach i pozostałej przestrzeni panowała pustka. I porządek, z czego Helen zdała sobie sprawę z przestachem, gdy weszła do środka za Cameronem i przygarnęła skomlącego szczeniaka.

Zbyt ni porządek jak na pusty, niezamieszkały pokój.

– No, no. Zaprowadziłaś tu generalne porządki, prawda? Nie ma się do czego przyczepić, czyż nie?

– Cameronie, zaczekaj. – Helen chwyciła się jego rękawa, gdy ją mijał, jednocześnie puściła Rudego i potknęła się o szczeniaka, który kręcił się jej pod nogami, usiłując uciec.

– Co z nią zrobiłaś?

– Ja... Ona... Izzie zginęła. W lawinie błotnej. Próbowałam ją uratować, ale...

– Nie popełniaj tego błędu, Helen, nie próbuj wystrychnąć mnie na dudka. Wiem, że tu była. Ukrywała się, gdy ostatnio złożyłem ci wizytę? Słyszała nas? Usłyszała, jak jej matka krzyczy, targana namiętnością i pożądaniem?

– Nie! Nie, była...

– Gdzie była? W tym samym miejscu, gdzie teraz ją ukryłaś?

– Nie, zginęła w...

– Lawinie błotnej. Tak, już mówiłaś. Problem jest taki, najdroższa Helen, że ci nie wierzę. Zawsze była z ciebie beznadziejna kłamczucha.

– Zachowałam lalkę. Ja... czasami... pomagam dzieciom z misji. One, a właściwie jedna dziewczynka... Dałam jej lalkę, sam rozumiesz, tamtego dnia, kiedy przyszedłeś. Siostra Agnes odwiedziła mnie z paroma dziećmi. A bucik musiał spaść i się zgubić... potem go znalazłam. Wiem, że to głupie, lecz chciałam go zatrzymać. Przypomina mi...

– Tam jest? Na misji?

– Nie! Nie słuchasz mnie? Izzie nie ma, umarła. – Już wypowiadając te słowa, Helen poczuła mdłości. Lecz musiała go przekonać. Po prostu musiała. W przeciwnym razie on nigdy się nie podda. Znajdź sposób, żeby...

– Stój! Cameronie, gdzie idziesz?

– Znajdę ją, a ty o tym wiesz. Dotrę tam, gdzie ją ukryłaś. Choć prawdę mówiąc, Ross i ja jedziemy na misję. Równie dobrze możemy zacząć poszukiwania tam.

– Ross? On tu jest?

– Siedzi w samochodzie. Dziecko za dziecko. – Milczenie zawisło między nimi niczym pusta szubienica dyndająca w oczekiwaniu na kark. – Dziecko za dziecko, Helen. Syn, którego próbowałaś zabić, twój pierworodny, w zamian za twoją córkę.

Myśli kotłowały jej się w głowie. Dlaczego Cameron chciał oddać jej Rossa, a odebrać Izzie? To nie miało żadnego sensu. Izzie posiadała takie same prawa do dziedziczenia jak Ross, oboje byli jej potomstwem z krwi i kości, czyli oboje stanowili prawowitych spadkobierców majątku, który miał odziedziczyć David, chyba że prawda wyszłaby na jaw.

Zmusiła się, by to przemyśleć, wyciszyć ogarniający ją szum paniki, który zakłócał zdolność przetwarzania informacji i tym samym możliwość rozgryzienia zagrywki Camerona.

– W takim razie niepotrzebnie przyjeżdżaliśmy. Jaka szkoda. Zwłaszcza że chłopcu okrutnie dokucza choroba lokomocyjna, tak samo jak jego matce. No cóż, w takim razie będziemy się zbierać.

– Czy on naprawdę tu jest? – Nie znosiła tej błagalnej nutki rozpaczony we własnym głosie.

– Oczywiście. Chciałabyś go zobaczyć?

Helen zamilkła, przygryzając dolną wargę, by powstrzymać ją od drżenia.

– W takim razie zapraszam. – Zaprowadził ją na werandę i popchnął na rattanowe krzesło. – Zostań tu. Rusz się, a nigdy więcej go nie zobaczysz.

Helen doszła do wniosku, że Cameron wcale nie żartował. Miała zobaczyć syna, lecz nie mogła go dotknąć, pocałować ani przytulić.

– Richardzie – krzyknął Cameron w pogłębiający się mrok. Tylne drzwi od strony pasażera otworzyły się i z auta wysiadł wysoki, szczupły mężczyzna. Helen natychmiast go rozpoznała. Gdziekolwiek udawał się Cameron, zawsze towarzyszył mu zaufany pomagier Richard, który szedł krok w krok za nim i nigdy nie pozostawał zbytnio w tyle. Czy był tu też poprzednim razem, kiedy Cameron złożył jej wizytę? Czy słyszał i widział jej upokorzenie, naśmiewał się z niej i z jej cierpienia? Czy żartowali na ten temat w drodze powrotnej do Blantyre, stuknęli się kieliszkami w klubie i uśmiechali, kiedy Cameron raz po raz opowiadał z dreszczykiem podekscytowania o swoim podboju? Było jej niedobrze. Ci mężczyźni mieli Rossa, jej niewinnego, ukochanego synka.

– Pokaż jej chłopaka.

Szyderczo skinąwszy głową w jej stronę, Chakanaya zatrzasnął za sobą drzwi, podszedł niespiesznie do tych po drugiej stronie i sięgnął do środka. Wyciągnął chłopca, lecz nie sposób powiedzieć, czy to był Ross, czy też nie.

Auto niemal dorównywało wysokością wzrostowi chłopca. Helen widziała jedynie czubek ciemnych włosów na główce, która opadała małemu na pierś, więc nie mogła rozpoznać rysów twarzy. Czy to Ross? Równie dobrze mógł to być ktokolwiek inny.

– Przyrowadź go. Niech go zobaczy.

Chakanaya obszedł samochód, ciągnąc chłopca za sobą.

– Pokaż jego twarz.

Chakanaya stanął za chłopakiem, jedną rękę położył mu na ramieniu, drugą chwycił jego podbródek i zadarł go, by pokazać oblicze. Helen poczuła, że krew odpływa jej z lica. Ross.

Jednak jego buzia była wykrzywiona, a oczy nawet z odległości przypominały pozbawione wyrazu czarne studnie. Co z nim nie tak? Wstała i zrobiła krok do przodu.

– Rossie! To twoja mama.

– Siadaj – warknął Cameron jak komendę do psa. Pograżona w szoku posłuchała go, słysząc skrzypienie protestującego rattanu, kiedy opadła z powrotem na miejsce.

– Chcesz go, Helen?

– Co mu zrobiłeś? Dlaczego jest taki... taki...?

– Nieobecny? – Cameron roześmiał się. – Cóż, nigdy nie należał do najbardziej rozgarniętych, prawda? Nadal czuje się kiepsko po wypadku, wiesz, środki uspokajające nieco mu pomagają...

– Faszrujesz go lekami?

– Wraz z Richardem robimy, co w naszej mocy, rzecz jasna, ale nie mamy ani czasu, ani wprawy, ani chęci, powiedzmy to sobie szczerze, żeby rozpieszczać go jeszcze bardziej. A przecież nie możemy poprosić nikogo o pomoc, bo wtedy nasza tajemnica wyszłaby na jaw, prawda?

– Ale Evie napisała w liście, że jest taka kobieta...

– Ta mętna alkoholiczka? Pewnego razu przesadziła z gorzałą, więc musieliśmy ją... odprawić. O nie. Biedny chłopiec. Przydałaby mu się odrobina matczynej miłości. Co powiesz, Helen? Wybór należy do ciebie.

– Nie mam wyboru. Mówiłam ci już. Nie ma tu Izzie.

Cameron uniósł brew, spoglądając na nią.

– Interesujące. Nie ma tu Izzie. Parę chwil temu Izzie nie żyła, a teraz po prostu jej tu nie ma.

– Ponieważ nie żyje, Cameronie. Nie żyje. Ile razy mam ci to powtarzać?

– Nie martw się, droga Helen. Nie spieszy się nam. Uspokój się. Zaraz wracam. – Cameron zamachał w kierunku Richarda i wysoki mężczyzna zapakował chłopca z powrotem do samochodu. Ross nie pokazał po sobie żadnych emocji, ledwie ruszał się o własnych siłach, pozwalając popychać się i szturchać jak kawał mięsa. Bez czucia. Bez uczuć.

– Dlaczego to robisz, Cameronie? Czemu kupczysz życiem naszych dzieci?

– Helen, przecież to nie są nasze dzieci, prawda? Są twoje. Twoje i starego dobrego Grega. Co oznacza, że mogę nie doczekać się swojej szansy. Z drugiej strony David... z takiego syna mężczyzna może być dumny, nieodrodne dziecko swoich rodziców. Pewnego dnia odbyliśmy bardzo ciekawą rozmowę. Wiesz, wkroczył w taki wiek, że tak naprawdę dopiero zaczyna pojmować sprawy, rozumieć szerszy kontekst i niuanse tego, co się do niego mówi. Nie jest już dzieckiem. Nie. Nic a nic.

– Czy ty... O Boże, nie, Cameronie. Powiedziałeś mu.

– Cóż, sądzę, że miał prawo wiedzieć, nie uważasz? Biedny młodzieniec nosił żałobę po śmierci matki, a przynajmniej tak mu się wydawało. Musiał poznać prawdę. To złagodziło poczucie straty, kiedy zdał sobie sprawę, że wcale nie byłaś jego matką. Oczywiście, że mu o tym powiedziałem. Wiesz, co odparł? Pierwsze pytanie, jakie zadał, gdy skończyłem opowiadać mu tę historyjkę? „Kto

jeszcze wie?”, spytał. „Kto jeszcze o tym wie?”.

Śmiech Camerona zmroził Helen krew w żyłach. Wciąż wpatrywała się w elegancki czarny wóz, w czworo mocno zamkniętych drzwi oraz przyciemniane szyby, równie czarne i maskujące jak wieczorowe niebo, które także zaczęło ciemnieć nad ich głowami. Ross.

– Dobrze nam się razem pracuje, mojemu chłopakowi i mnie. To bystry dzieciak. Bardziej podobny do mnie, niż się spodziewałem. A także bardziej... posłuszny. I nadal dość młody, by go wychować. To mi się podoba.

– Czemu więc chcesz Izzie?

– Gdyby żyła, chciałaś powiedzieć? – zadrwił. – To zabezpieczenie. Polisa ubezpieczeniowa. Nigdy nie zaszkodzi mieć plan B. Kocham ją jak własną córkę, rzecz jasna, jestem pewien, że ona zrobiłaby wszystko, by uszczęśliwić swojego drogiego ojca. Łącznie z tym, że nie miałyby nic przeciwko, żebym sprawował nadzór nad rodzinnym majątkiem. Poza tym córka może się przydać do cementowania sojuszy. Może sojuszu z Chakanayą.

– Nie, Cameronie. Nie pozwolę ci na to.

– Doprawdy? A jak zamierzasz mnie powstrzymać?

– Ujawnię się. Wrócę z zaświatów. Wówczas przedsiębiorstwo przejdzie w moje ręce, pieniądze trafią do mnie i dzieci.

– Na niewiele to się zda, gdy wylądujesz w więzieniu. – Cameron uśmiechnął się do niej. – Usiłowanie zabójstwa własnego dziecka. Jestem pewien, że wyrok byłby bardzo, bardzo surowy. A czas spędzony za kratkami dość nieprzyjemny. Zwłaszcza że środowisko przestępców nie przepada za dzieciobójczyniami.

– Nie tak to było, Cameronie, i dobrze o tym wiesz. Wyznam prawdę. To ty nacisnąłeś spust...

– Pistolet wystrzelił, kiedy bezmyślnie popchnęłaś dziecko w moją stronę, w najgorszym razie wykorzystanaś je jako broń, w najlepszym jako tarczę. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, by pomóc małemu po tym, jak porzuciłaś

pistolet i zbiegłaś, usiłując ratować własną skórę, gdy zaczęła się lawina błotna. Nie wahałaś się ani chwili, porzuciłaś własne dziecko...

- Ależ to nonsens! Przecież to ty popchnąłeś Rossa na mnie...
- Ja? Zatem celowałaś z broni do swojego syna?
- Nie, wcale tak nie było. Próbowałam go ratować.
- Nie jestem pewien, czy sędzia w to uwierzy.
- Moje słowo przeciwko twojemu, a biorąc pod uwagę twoją reputację...
- Nie zapominaj o naocznym świadku, moja droga.

Helen poczuła ukłucie sopelków lodu z tyłu oczu. Co on wygadrywał?

– Ach. Rozumiem, że Evie nie wspomniała ci o tym. Tak, Helen. To prawda. Świadek. Ktoś, kto widział całe zajście przez drzwi, które mały Ross otworzył na oścież i tak zostawił, kiedy przybiegł do sypialni, zbyt przerażony, by pukać lub zamknąć za sobą.

– Ale drzwi... nie były... Kto mógłby...

– Kochanie, na pewno pamiętasz. Richard odwiózł mnie do domu, czyż nie? Wchodził na górę, żeby ostrzec nas przed niebezpieczeństwem i umożliwić nam ewakuację, kiedy natknął się na naszą małą rodzinną scenkę. Wszystko widział, słyszał każde słowo. A wiesz, jaką ten człowiek ma pamięć. Zadziwiającą. Absolutną, fotograficzną, czy jak to zwać.

- Richard nie zbliżył się do naszego domu tamtego wieczoru.
- Cóż, jego zeznania złożone pod przysięgą mówią co innego.
- Jego... co?!

– Poza tym nie możemy wymagać od ciebie, żebyś pamiętała wszystko dokładnie. Byłaś bardzo poruszona, kochanie, poza tym wypiliśmy trochę alkoholu, może o koktajl lub dwa za dużo. Do tego trzeba dodać laudanum, które zażywałaś na zszargane nerwy, jak zezna doktor Tembe. Przez nie robiłaś się roztargniona i wybuchowa, nasza biedna pokojówka Felicia wiedziała o tym



zbyt dobrze. Kto by pomyślał, że tak delikatna i troskliwa osóbką jak ty mogłaby uderzyć służącą? Zadziwiająco, co leki i alkohol potrafią zrobić z człowiekiem. I równie zadziwiająco, co ludzie potrafią sobie przypomnieć, gdy ich uprzejmie zapytać, odpowiednio zmotywować, by bardzo, ale to bardzo uważnie przemyśleli odpowiedź.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Przekupiłeś ich?

– Wielkie nieba, nie. Cóż za paskudne słowo. Nie, nie. Potrzebowali jedynie odrobiny zachęty i wsparcia przed złożeniem ewentualnych zeznań. W końcu liczy się tylko to, by dojść prawdy. Potrzeba sporo odwagi, żeby wychylić się przed szereg i zeznać przeciwko komuś tak wysoko postawionemu jak Helen Buchanan. – Cameron uśmiechnął się i oparł o balustradę werandy, przyglądając się z udawanym zainteresowaniem swoim idealnie czystym i zadbanym paznokciom. – Nawiasem mówiąc, kochanie, miałaś rację. Syn Felicii to mądry chłopak, będzie z niego wspaniały lekarz, jestem tego pewien, a to wszystko dzięki stypendium na akademii medycznej w Stanach. Doktor Tembe z radością wystawił mu referencje, słowo świeżo mianowanego naczelnego lekarza kraju przy rządzie zapewne przeważało na korzyść młodzieńca. Wiedziałaś, że stary Tembe jest stryjcem Richarda po kądzieli? Ta rodzina mnie zadziwia, jest po prostu wszędzie.

– Każdy, kto mnie zna, wie, że nigdy nie skrzywdziłabym dziecka ani nie uderzyła służ...

– Naprawdę? Zaryzykujesz swoją przyszłość, przyszłość swoich dzieci? Położysz na szali własne życie? Skoro masz tak nieposzlakowaną opinię, dlaczego ukrywasz się tu od paru miesięcy? Jak to wytłumaczysz, Helen, hm? – Zasyczał, wciągając powietrze przez zaciśnięte zęby. – Nie, to nie wygląda za dobrze. Spytaj Richarda, jeśli nie chcesz wierzyć mi na słowo. Zna cały światek prawniczy, od członków Sądu Najwyższego przez adwokatów po oficerów służby więziennej, wie, jak działa ta machina. Uwierz mi, radziłby ci, żebyś

starala się nie zwracać na siebie uwagi. Sprawa jest bardzo... niepewna.

– Nie dasz rady mnie zastraszyć. Wiem, że jestem niewinna.

– Niewinność, racja. Ostatni bastion naiwności. Zejdź na ziemię, Helen. Nie żyjesz i pozostaniesz w krainie umarłych tak długo, jak będę tego potrzebował. Z mojego punktu widzenia wygląda na to, że z dużym prawdopodobieństwem do końca życia. Powstań z martwych, a zamienisz ten wyrok śmierci na inny, a może nawet szubienicę. W każdym razie nie odzyskasz swojego dawnego życia ani dzieci, chyba że ja postanowię inaczej.

**H**elen z ociąganiem wstała z ławki. Czas zacząć dzień. Dzień dokładnie taki sam jak wczoraj, a także przedwczoraj. Nieubłagana monotonia ich tutejszego życia miała trwać niezachwianie do czasu przyjazdu Izzie. Nie wiadomo było jeszcze jak, lecz bez wątplenia ich życie ulegnie zmianie. Helen z dłonią na klamce drzwi zatrzymała się i obróciła twarz do nieba, po czym zamknęła oczy i zwiesiła głowę, nie potrafiąc wejść do środka, obudzić Rossa, by mogli przebrać we dwoje przez kolejną długą, jałową dobę. Ross jej potrzebował, potrzebował jej najbardziej na świecie, bardziej niż ktokolwiek inny, jeszcze przed wypadkiem. A ona go kochała, i to mocno, lecz nie było dnia, by nie wspominała...

Izzie. Ile zapamiętała Izzie? Ze swojego życia w Afryce, z ucieczki z kontynentu? Jak bardzo cierpiała? Czy płakała? Wołała swoją matkę? Rudego? O Boże. Helen poczuła tak znajomy przyływ poczucia winy, żrący jak kwas, przenikający ją do szpiku kości. Dzięki Bogu za Frediego. Kochany, figlarny, lecz niezawodny Fredi. Helen głęboko zaczerpnęła powietrza, pozwoliła, by poranny chłód wypełnił jej płuca, ukoił ją. On ją oczaruje, zajmie dziewczynkę jakąś śmiechu wartą sztuczką magiczną lub zainscenizuje ekstrawagancką scenkę, w której przebieranki będą obowiązkowe, za to talenty aktorskie tylko fakultatywne. Tak, Izzie pokocha Frediego. A jednak takie małe dziecko czekała długa podróż. Jej córka, Helen o tym wiedziała, była wojowniczką ocalałą

z katastrofy; posiadała wewnętrzną siłę, która nie przypadła w udziale jej dwóm braciom, a mimo to Helen nie spała za dobrze od paru dni, aż do czasu, gdy misyjne auto znów wjechało na wzgórze, rżąc, a siostra Agnes wysiadła z promienną twarzą. Miała wieści z Danii. Frediemu się udało. On i jego „siostrzenica” bezpiecznie dotarli na miejsce i już zarezerwowali rejs do Szkocji, by odwiedzić tamtejszych krewnych. Och, jak dobrze mieć przyjaciół na odpowiednich stanowiskach. Immunitet dyplomatyczny ułatwił biurokrację i kontrole graniczne. Fredi zrobił to wszystko raz jeszcze, wracając po nich, kiedy Ross był na siłach wybrać się w podróż. Przyjaciół rodziny już wtedy był chory, choć dobrze to ukrywał, a ona nie miała o niczym zielonego pojęcia. „Afrykańska choroba”, jak nazywali ją eufemistycznie. Helen zapłakała, kiedy Ursula powiedziała jej, że Fredi nie żyje.

**ROSS-SHIRE, 17 CZERWCA**

**D**roga jednopasmowa wiała się jak ospały wąż u stóp skalistych szczytów Stac Pollaidh i wzdłuż wybrzeży Loch Lurgainn. Lexy od dłuższej chwili nie widziała żadnego innego pojazdu i zaczynała się zastanawiać, czy przypadkiem nie zabłądziła. Chociaż szanse obrania złego kursu były nieznaczące, ponieważ od paru dobrych mil nie było żadnej innej drogi. Tak, ostatni skręt, będący ledwie traktem lub rozstawioną ścieżyną, minęła ponad pół godziny temu. Niemniej zatrzymała się na mijance, bo istniało nikłe prawdopodobieństwo, że ktoś będzie jechał za nią tą zapomnianą przez Boga i ludzi drożyną. Rozpostarła mapę, którą kupiła na stacji benzynowej, tankując przed wyjazdem z Inverness. To było rozsądne posunięcie z jej strony, teraz cieszyła się, że tak zrobiła, bo zarówno korki, jak i sposobność skorzystania z pomocy drogowej właściwie nie istniały. Tak samo sygnalizacja świetlna, skoro już o tym mowa. Od Inverness nie minęła ani jednych świateł.

Podniosła mapę z siedzenia pasażera, lecz zamiast ją otworzyć, odłożyła na kolana, rozglądając się wokół siebie. Obróciła szyję i usłyszała trzask napiętego karku, który strzelił jak podpałka. Była w podróży prawie dwadzieścia cztery godziny, pod powiekami czuła piasek, tak jakby w jej żyłach krążyło za dużo kofeiny, mimo że wypiła tylko do połowy przestygłą, lurowatą herbatę w styropianowym kubku w pociągu z King's Cross. Była wyczerpana, lecz zbyt pobudzona, by zasnąć.

Pewnie i tak powinna chwilę odpocząć. Droga była zdradliwa dla

niewtajemniczonych, a Lexy z pewnością należała do tego grona.

\*

W ybudziła się ze snu, kiedy zardzewiały czerwony pick-up przejechał, turkocząc, obok niej, a wściekle wciśnięty klakson wskazywał, że kierowca zdenerwował się jej obecnością i samochodem stojącym na poboczu. To było miejsce mijania, nie parkowania, być może miejscowych drażnili turyści, wykorzystujący mijanki do ucinania sobie drzemki.

Trzeszczenie w karku stało się jeszcze donośniejsze, kiedy kręciła głową na boki, usiłując dożyć do siebie. Słońce świeciło jej w oczy, wisiało nisko nad horyzontem. Wychodziło na to, że wcale nie była aż tak pobudzona, by nie móc zasnąć. Prawie godzina głębokiego snu nie poprawiła jej samopoczucia, o ile go nie pogorszyła. Miała kaca, mimo że wcale nie imprezowała.

Dobudziła się i sprawdziła drogę na mapie. Z tego, co się zorientowała, nie skręciła w złą stronę. Prawdę mówiąc, nie było żadnego zakrętu. Wyglądało na to, że trasa biegła prosto aż do końca lub przynajmniej do rozjazdu. Potem miał zacząć się bardziej skomplikowany odcinek.

Włożyła kluczyk do stacyjki, a kiedy silnik obudził się do życia, zerknęła na zegarek elektroniczny na tablicy rozdzielczej. 20.53. Przywitał ją długi wieczór, tak typowy dla dalekiej północy. Lexy powinna jechać prosto przed siebie, choć droga wcale nie była prosta, lecz meandrowała to w górę, to w dół poprzez łuki i zakręty, które czasem wprawiały ją w stan hipnozy, a innym razem przyprawiały o mdłości. Od czasu do czasu jazdę spowalniała zbłąkana owca i Lexy musiała się mocno skupić. To nie był styl jazdy, do którego przyzwyczało ją miejskie życie, zresztą warunki panujące wokół nie zachęcały do dociśnięcia pedału gazu. Jechała, trzęsąc się i podskakując, obok lśniących jezior i zazielenionych zboczy niższych partii gór, które widziała kątem oka, choć

nic nie zdołało sprawić, by oderwała wzrok od drogi.

W końcu zostawiła góry za sobą, a przed nią rozpostarł się bardziej płaski krajobraz. Samochód jechał z turkotem najpierw przez przeszkodę dla bydła w postaci rowu nakrytego kratownicą, następnie przez mostek nad wzburzoną rzeką spływającą do otwartego morza po lewej. Droga poszerzyła się, więc Lexy zwolniła i zaryzykowała pobieżne zerknięcie na otwartą wiejską przestrzeń. Trasa na tym odcinku stała się prostsza, roztaczała się niczym szara wstęga na równinie. Kobieta znów dostrzegła daleko przed sobą czerwonego pick-upa wzbijającego tumany kurzu, które pozostawiał po sobie, kiedy pędził po zielonym bezmiarze, odznaczając się na tle niskiego, wieczornego słońca. Kiedy wąska wstążka drogi opadła łagodnie ku obiecanemu rozjazdowi, pick-up skręcił w lewo, a Lexy przeżyła umiarkowane rozczarowanie. Od godziny nie widziała żadnego innego samochodu, ani śladu innej istoty żywej, a w świadomości, że nie jest sama jak palec, tkwiło pewne pocieszenie, nawet jeśli trąbienie wyrwało ją ze snu.

Jednak na rozjeździe Lexy skręciła w prawo, jadąc ku krwistopomarańczowemu niebu ze smugami fioletu i granatu pojawiającymi się, gdy słońce mieniło się, a potem zanurzało do wody za przylądkiem. Zastanawiała się, ile czasu minie, zanim zapadnie mrok, jeśli na tak dalekiej północy kiedykolwiek zapadały ciemności. Pożałowała swojej raptownej decyzji, żeby tak późno wyruszyć z Inverness. Powinna zatrzymać się na noc w hotelu, a wyjechać rano. Na szczęście Cul Beg Hotel, jedyny przyczółek, który wyskoczył w wyszukiwarce Google, gdzie mogła się zameldować na tym odległym półwyspie, nie powinien znajdować się zbyt daleko.

Dotarła. Minęła nadniszczoną pogodą zieloną tablicę z niemal nieczytelnym, zardzewiałym od deszczu złotym napisem oraz ręcznie malowany biały drogowskaz na kawałku sklejki przybitym do słupa obok. Wydała z siebie kolejny morderczy krzyk, przejeżdżając po przeszkodzie dla bydła u podnóżu ścieżki prowadzącej w górę do niewielkiego hotelu; w końcu była na miejscu.

Miała nadzieję, że nie spóźni się na kolację. Po drodze nie widziała niczego przypominającego jakikolwiek sklep, jednocześnie wątpiła, czy w takim hoteliku serwowano posiłki do pokoju. Chwyciła torbę z tylnego siedzenia i sięgnęła po kurtkę. Zarzucając ją sobie na ramiona, zdziwiła się, kiedy usłyszała samochód. Podniosła wzrok i zobaczyła, jak czerwony pick-up zwalnia i zatrzymuje się przed wejściem do hotelu, po czym odjeżdża z piskiem opon. Dziwne. Niepokojące, ściśle rzecz ujmując. Ile pojazdów pasujących do tego rysopisu widziała, odkąd zjechała z głównej drogi? I jakie było prawdopodobieństwo, że dostrzegła dwa różne zardzewiałe gruchoty na takim końcu świata, i to w odstępnie dziesięciu minut? Pewnie takie samo jak to, że zamknięto ją w pokoju z węzłem, jej matka zginęła w wypadku, którego sprawca zbiegł, a Ursula spadła ze schodów.

Otuliła się szczelniej kurtką. Czy ktoś śledził ją aż z Malawi? A może już w Malawi?

Wolała porzucić tę myśl. Nie pozwoli, by zastraszyły ją jej własne podejrzenia, nie podda się strachowi i nie zrezygnuje z wyprawy. Nie teraz, kiedy była tak bliska odkrycia prawdy, odnalezienia ostatniego elementu tej szczególnej układanki. Może to był tylko zbieg okoliczności. W końcu znajdowała się w wiejskiej okolicy, i to nieopływającej w dostatki, a obcy stanowili taką rzadkość, że miejscowi woleli przyjrzeć się uważnie każdemu nieznanemu samochodowi. Choć w to wątpiła.

Rzucając przez ramię ostatnie spojrzenie na podjazd, wzięła torbę i rażno ruszyła do swojego azylu w postaci ponurego hotelu.

**G**odzinę później przetykała z grymasem ostatnią łyżkę kremu pomidorowego. Zupa nigdy nie należała do jej ulubionych, lecz nie miała zbyt wielkiego wyboru. Prawdę mówiąc, nie miała żadnego wyboru. Wcisnęła do ust ostatni trójkąt chleba z margaryną i upomniała się, że powinna być wdzięczna. Portier na

nocnej zmianie, lub kimkolwiek był ów mężczyzna, oznajmił jedynie, w jakich godzinach restauracja jest otwarta, choć pora zamknięcia już dawno minęła. Musiała go przycisnąć, żeby otrzymać przyszykowaną naprędce kolację, za którą bez wątpienia zapłaci jak za zboże, ale, jak powiedziałyby Izzie: „Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma”. Wartość odżywcza wynosiła zero, ale przynajmniej ominą ją wyrzuty sumienia, kiedy rano zamówi solidne szkockie śniadanie. Potrzebuje zebrać siły, by porozmawiać twarzą w twarz z wujkiem oraz, jak miała nadzieję, ze swoją babcią.



**TAIGH NA MARA, 18 CZERWCA**

**H**elen wbiła wzrok w drzwi. Pukanie wciąż odbijało się echem od zimnej, kamiennej podłogi korytarza.

To nie była Izzie.

Przez chwilę myślała, że to ona, dostrzegła burzę długich loków, choć z tej odległości rysy twarzy były zamazane; stawały się wyraźniejsze, kiedy przybyszka zbliżała się ścieżką wiodącą z samochodu do domu. Lecz gdy podeszła bliżej, Helen zaczęła zachodzić w głowę. Ta kobieta była za młoda. To nie Izzie. To niemożliwe. Może ktoś podobny do niej, lecz na pewno nie mała dziewczynka Helen. Kobieta udzieliła sobie reprimendy – oczywiście, że Izzie nie była już małą dziewczynką. We wspomnieniach Helen była szkrabem, lecz w prawdziwym życiu szkrab wyrósł na kobietę, i to kobietę w średnim wieku, która sama miała dziecko.

Helen złapała gwałtownie powietrze i zrobiła krok do tyłu, oddalając się od okna i potykając, po czym wyszła na pozbawiony światła słonecznego korytarz. To była córka Izzie. Ta kobieta musiała być córką Izzie. Czemu? Czemu Izzie nie przyjechała? Czy była aż tak zła i aż tak pamiętliwa, że wolała nie zjawiać się osobiście, tylko przysłać tę młodą...

Pukanie do drzwi przeszkodziło jej w rozmyślaniach. Musiała podjąć decyzję. Izzie zapowiedziała wizytę, więc Helen nie mogła po prostu udawać, że jej nie ma. A może? Nie ustaliły dokładnej daty ani pory. A co, jeśli Ross wyjdzie z warsztatu? Zwykle tak pochłaniała go praca, że trudno było go od niej

odciągnąć. Ale tym razem sprawa miała się inaczej. Samochód, potem pukanie do drzwi gospodarstwa. To było tak niezwykle, że nawet on...

Znowu rozległo się stukanie, tym razem głośniejsze, bardziej zniecierpliwione. Co ma zrobić? Przywarła z powrotem do ściany, kryjąc się na stojakiem na płaszcz, podczas gdy klapa otworu na listy brzęknęła i otworzyła się.

– Dzień dobry? Dzień dobry? Czy ktoś tam jest?

Klapka raz jeszcze zatrzepotała i otwór na listy w drzwiach został zamknięty. Serce Helen waliło, ręce drżały. Dlaczego wpadła w takie przerażenie? Zgodziła się na spotkanie, więc czemu nie miała ochoty zobaczyć córki Izzie, własnej wnuczki?

Jednak ta kobieta była jej obca. I mimo że Izzie, dorosła Izzie, także była dla Helen obcą osobą, to łączyła je więź. Trzymała Izzie na rękach, kochała ją. A Izzie odwzajemniała tę miłość. Za to kobieta u drzwi Helen nie miała powodu, by ją kochać. Ją, która porzuciła jej matkę, nigdy się po nią nie zgłosiła, pozwoliła na zawsze zostać sierotą, podczas gdy przez cały ten czas....

Znów pukanie. Klapka otworu na listy. Potem głos.

– Wiem, że tam jesteś. Proszę! Tylko mi otwórz. Zgódź się na rozmowę.

Helen wiedziała, że nie może się wycofać. Prawdę mówiąc, nie miała wyjścia. Lecz nie musi do niczego się przyznawać.

– Tak? – odezwała się chłodno, przekrzywiając głowę na bok, gdy spojrzała z góry na kobietę stojącą w progu.

– Ach, dziękuję. Szukam... Czy to ty...? Helen Buchanan?

– Nie.

– Och. – Młodsza kobieta wyglądała na zdziwioną, zapomniała języka w gębie. Helen wykorzystała tę sposobność, zrobiła krok do tyłu i zaczęła zamykać drzwi.

– Nie! – Niespodziewany gość raptownie przytrzymał drzwi ręką. Helen

znacząco spojrziała na jej dłoń, unikając spojrzenia w oczy, tak bardzo podobne do Izzie, kiedy dziewczyna wpatrywała się w nią ze zmieszaniem. Helen starała się ze wszystkich sił, by nie pokazać po sobie emocji, powściągnąć ciekawość, która w niej wzbierała. Jednocześnie modliła się od dłuższej chwili, by Ross został tam, gdzie był.

– Zaczekaj, proszę. Chyba... chyba jednak Helen Buchanan to ty.

Helen ani drgnęła.

– Widziałam zdjęcia, sama rozumiesz. Stare fotografie. I... I... – Młodsza kobieta przełknęła ślinę i odchrząknęła. – I widzę w tobie moją matkę. Mam na imię Lexy. Jestem córką Izzie. Chciałam tylko...

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Nie podejmuję gości. Puszczaj drzwi i odejdź, proszę.

– Ale ja jestem twoją wnuczką!

– Nie mam wnuczki. Proszę cię, żebyś się oddaliła.

Zdziwienie na twarzy młodej kobiety zamieniło się w gniew, i to równie szybko, jak zmienił się jej nastrój, który tak wyraźnie odbijał się na jej twarzy jak niegdyś na obliczu Helen. W przypadku Helen tak było do czasu, aż kobieta opanowała sztukę zakładania maski, którą następnie pokazywała światu zewnętrznemu.

– Nie! Nigdzie się stąd nie ruszę. Dlaczego tak się zachowujesz? Wiem, że spodziewałaś się mojej matki.

Helen wstrzymała oddech, a młodsza kobieta wykorzystała to.

– Widzisz? Mam rację. Czekalaś na nią. A przyjechałam ja, ponieważ... Szukałam cię, bo... ona... Moja matka...

Łzy napłynęły przyjeźdnej do oczu. Helen przyglądała się, jak próbowała je powstrzymać, jak z trudem szukała słów, by dokończyć zdanie. Helen mimowolnie jej współczuła. Chciała wyciągnąć rękę i dotknąć dziewczyny, a raczej kobiety, by ją pocieszyć. Ale nie potrafiła, za bardzo się bała.

– Mylisz się – zaczęła Helen. – Nie potrafię ci pomóc. Sądzę, że powinnaś już iść.

– Moja matka nie żyje.

Słowa gruchnęły o próg jak kamienie. Młoda kobieta puściła drzwi i odwróciła się, by otrzeć łzy. Dłonie zacisnęła w pięści i trzymała je kurczowo przy sobie. Helen przyglądała się tej scenie rozgrywającej się jak w zwolnionym tempie, jednocześnie próbując pojąć wypowiedziane zdanie. Stała przed nią Lexy, córka Izzie, skoro więc ta kobieta mówiła, iż jej matka nie żyje, to oznaczało, że Izzie nie...

Helen zatrasnęła drzwi, przywarła do nich plecami i oddychała ciężko. To nie może być prawda. Izzie nie żyje? Czemu Ursula miałaby przemilczeć ten fakt? Czemuż Ursula umówiła wizytę z Izzie, podjudzając Helen, aż ta zgodziła się spotkać z córką? Dlaczego?

Dało się słyszeć walenie do drzwi.

– Otwierać! Nie zamykaj mi drzwi przed nosem! Muszę z tobą porozmawiać. Chcę to zrozumieć. Dlaczego to zrobiłaś? Czemu wszyscy mnie okłamaliście? – Jej głos był przejmujący, krzykliwy, donośny.

– Odejdź! – wrzasnęła Helen ze środka. – Nie chcę cię tutaj widzieć!

– Proszę! Chcę wiedzieć. Ja... Nie został mi już nikt inny, kogo mogłabym spytać. Moja matka... Ursula... nie żyją. Nie wiem...

Jej słowa przycichły, gdy Helen potrzęsnęła głową, by uporządkować myśli. Ursula? Czy Ursula też nie żyła? Dlaczego? Co się stało? Jak do tego doszło? To nie mogła być prawda. Po prostu niemożliwe. Skoro zarówno Ursula, jak i Izzie nie żyły... O Boże. Nie mogła znieść tej myśli. Potrzebowała czasu, by się z nią oswoić.

– Proszę, otwórz. Nie ruszę się stąd, dopóki z tobą nie porozmawiam. Będę wysiadywać na tej ławce cały dzień i całą noc, jeśli będzie trzeba, aż zgodzisz się na rozmowę. – Młoda kobieta najwyraźniej płakała, głos jej się załamywał, gdy

wyduśzała z siebie słowa.

Helen zbaraniała. Niepewna. Nie mogła się ruszyć.

\*

**L**exy zadrżała. Mimo bladego słońca powietrze było chłodne oraz wilgotne i ją wyziębiło. Nie miała pewności, jak długo już tu siedziała, lecz nogi jej zeszywniały, a plecy zaczynały boleć. Drewniane deski, z których zbito ławkę, skrzypiały, gdy zmieniała pozycję, wyprostowując nogi i zastanawiając się, czy zdoła spełnić groźbę, że zostanie tu, aż Helen zgodzi się z nią spotkać. Wiedziała, że kobieta musiała domyślić się, kim była, dlaczego zatem nie miała zamiaru z nią porozmawiać? Skoro przygotowywała się do wizyty Izzie, czemu nie chciała zobaczyć się z jej córką? To nie miało żadnego sensu. Z drugiej strony niewiele elementów w tej szalonej sytuacji miało sens. Otworzyła oczy i utkwiała wzrok w górskiej grani w oddali, kątem oka dostrzegając niewyraźnie lśniąca srebro tafli jeziora. Panował tu taki spokój. Gdyby potrafiła powstrzymać kołowrotek myśli i odprężyć się, gdyby mogła udawać, że nic się nie stało, gdyby...

Poruszenie po jej lewej wyrwało ją z zadumy. Usiadła wyprostowana i obróciła się w samą porę, żeby zobaczyć, jak zamykają się drzwi do niskiej przybudówki. Ktoś ją obserwował. Znów się zatrzęśła, lecz tym razem nie z zimna i wilgoci. Szczelnie otulając się kurtką, wstała i czekała.

Drzwi uchyliły się, skrzypiąc, a potem otwały na oścież. Pojawiły się palce zaciśnięte na ich skraju, a następnie wychynęła głowa. Mężczyzna. W średnim wieku, chociaż... To musiał być on.

– Cześć, Rossie – powiedziała, podczas gdy w odpowiedzi jego twarz rozpromienił uśmiech. Jeżeli potrzebowała dodatkowego dowodu, właśnie go otrzymała. Helen nie mogła dłużej udawać. Nie jeśli Lexy przeciągnie Rossa na swoją stronę, zwłaszcza że on miał o wiele przyjaźniejsze nastawienie od swojej

matki. – Mam na imię Lexy.

Mężczyzna uśmiechnął się jeszcze bardziej, od ucha do ucha, i otworzył szeroko drzwi, stając w progu. Był wysoki, postawny i szczylił się gęstymi włosami, które jednak zaczynały nieznacznie siwieć na skroniach. Mogli mieć innych ojców, lecz podobieństwo między nim a Davidem rzucało się w oczy. Ross przypominał tego, kim sprawny i zdrowy David mógłby zostać, a David takiego, którym Ross mógłby być, gdyby był rozpieszczony i majątny.

Ross obracał w dłoniach jakiś przedmiot, spoglądał na swoje ręce, od czasu do czasu zerkając na Lexy. *Wstydzi się*, zdała sobie sprawę Lexy. W końcu jak często przyjmowali gości w tej odległej kryjówce? A może chodziło o coś więcej...

– Co to takiego? – spytała Lexy, ruszając w jego stronę i raptownie przystając, kiedy przycisnął ręce do piersi i cofnął się z progu, zamasyście kręcąc głową.

– Już dobrze. – Uświadomiła sobie, że go przestraszyła. – Nie zrobię ani kroku dalej, chyba że mi pozwolisz. Po prostu lubię z tobą rozmawiać. Chciałabym, żebyś został moim przyjacielem.

Ross zwiesił głowę, lecz Lexy widziała, że znów beztrósco się uśmiechał.

– Też byś chciał, Rossie? Być moim przyjacielem?

Podniósł na nią wzrok i przytaknął prędko, a potem znów zwiesił głowę.

Podeszła do niego krok bliżej z rękami podniesionymi w geście pokoju. Przekrzywił głowę na bok i spojrzał na Lexy. Uśmiech zniknął, ale Ross nie wyglądał już na tak przerażonego, więc zrobiła kolejny krok, a potem jeszcze następny.

– Czy mogę to zobaczyć? – Wskazała na jego zaplecione dłonie. – Czy to coś wyjątkowego?

Ross rozsunął lekko ręce, spojrzał na to, co w nich trzymał, odwrócił się i wycofał w głąb wąskiego budynku.

Lexy stanęła w progu, a potem otworzyła drzwi na oścież, popychając je. To był warsztat, coś w rodzaju pracowni. Powoli rozejrzała się wokół siebie. Płótna: puste, niedokończone, pełne soczystych i egzotycznych kolorów, które w niczym nie przypominały otaczającego ich krajobrazu. W powietrzu unosił się zapach terpentyny i czegoś jeszcze, czego nie znała, lecz co pasowało do anturażu. Szarawy pył pokrywał prawie całą podłogę; Lexy powiodła wzrokiem do miejsca, gdzie leżała najgrubsza warstwa kurzu i zobaczyła koło garncarskie. Następnie dostrzegła zawieszona na tylnej ścianie półki uginające się od figurek, z których część pomalowano, niektóre glazurowano, a jeszcze inne były wciąż bladoszare. Niemal wszystkie przedstawiały ptaki.

– Mogę wejść?

Ross spojrział na przedmiot w swoich dłoniach, potem znów podniósł na nią wzrok, przechylając głowę na bok, potrząsnął nią przecząco.

– Proszę. Nie będę niczego dotykać. Chcę tylko popatrzeć. Masz tu takie piękne rzeczy. Chciałabym je zobaczyć.

Ross z powrotem wbił wzrok we własne dłonie, mamrocząc coś, czego Lexy nie zdołała rozszyfrować, choć serce zabiło jej mocniej. Dobre i to na początek.

– Przepraszam, Rossie, ale nie usłyszałam. Mógłbyś powtórzyć?

– See-kret – wypowiedział powoli, dzieląc słowo na dwie osobne sylaby.

– Sekret? – dociekała Lexy.

– See-kret. – Ross potakiwał. – W środku.

– Ach, rozumiem. Ale ja nie zdradzę nikomu tego sekretu. Potrafię dochować tajemnicy. Przyrzekam. Chcę się tylko rozejrzeć. Mogę wejść do środka?

Ross przez chwilę marszczył czoło, lecz potem uśmiechnął się i przytaknął, robiąc krok do tyłu, by przepuścić ją obok siebie, kiedy Lexy weszła do środka. W niskim suficie znajdowały się okna wprawione wzdłuż tylnego, zorientowanego na południe spadu. Przepuszczały one blade promienie słońca, które sączyły się przez kurz i wypełniały pomieszczenie na tyle, na ile było to

możliwe. Lexy zidentyfikowała ten drugi zapach, kiedy jej wzrok padł na piecyk gazowy w odległym kącie – poczuła jego gościnne ciepło, które jednak niezbyt wpływało na ogólną temperaturę panującą w pracowni oraz na wilgoć od lat przesiąkającą grube mury.

Podeszła do figurek ściśniętych na półkach i przypominających wędrujący klucz ptaków, który przysiadł na liniach wysokiego napięcia. *Wyglądają jak szpaki*, pomyślała. Głównie były to jednak mewy i maskonury. Kiedy podeszła bliżej, odkryła, że znalazły się tam także inne przedmioty. Małe miski i talerzyki zdobione ostami i wrzosami, miniaturowe domki wiejskie i obory, wcale nie tak różne od miejsca, gdzie się znajdowali, góry i pagórki w płaskorzeźbie, a nawet parę owiec i osobliwych krów szkockiej rasy wyżynnej z rejonu Highlands. *Turystyka*, pomyślała, zastanawiając się, czy tak Helen zarabiała na życie, jeśli zdarzało się, że pieniądze z Malawi nie dotarły. Na innej, dolnej, półce stało pełno świeżo pokrytych szkliwem, znajomych zielono-niebieskich wazonów z motywem ostów, takich samych jak ten na suszarce na naczynia Ursuli oraz ten z korytarza Izzie.

Jednak obrazy były inne. Ani trochę nie kojarzyły się ze szkockim rejonem górskim Highlands. Malowidła, jak zdała sobie sprawę z lekkim szokiem, miały afrykański klimat. Stanowiły bardziej wyrafinowaną wersję płócien, które zdobiły ściany hotelu w Malawi. Pochylając się, by przyjrzeć się z bliska, ze zdziwieniem dostrzegła inicjały w rogu, nie te, których się spodziewała, lecz „RM”.

– Czy to ty je zrobiłeś, Rossie? – spytała, spoglądając na niego przez ramię. Przytaknął. – Są bardzo dobre. – Znów skinął twierdząco głową, a potem podszedł do niej.

Rozwarł dłonie, na jednej z nich spoczywała figurka ptaszka. Tym razem nie mewa. Nie był to też jakiś obcy ptak; gdzieś już takiego widziała. Jednego, a nawet dwa identyczne ptaszki. Miodowodziki, już wiedziała.



– Rossie! Przecież to... Skąd go masz? – Rozejrzała się wokół siebie. W pracowni nie było podobnych figurek. – Rossie?

Ross położył ptaszka na ławce przed nimi. Zrobił krok do tyłu. Przyglądając mu się uważnie, Lexy niepewnie wyciągnęła rękę w kierunku ptaszka.

– Mogę? – Kiedy nie odpowiedział, podniosła posążek i obróciła go w dłoniach. Był dokładnie taki sam jak te, które widziała w...

– Prosiłam cię, żebyś sobie poszła.

Lexy obróciła się na pięcie i poczuła, że się rumieni.

– Ja tylko...

– Musisz już iść. Rossie, chodź tutaj. Oddaj mi ptaszka. Wiesz, że nie wolno ci się nim bawić.

– To ona. Poprosiła.

– Doprawdy? – Helen miała czarne oczy, gdy wbiła wzrok w Lexy; sięgnęła rękoma do Rossa i przyciągnęła go do siebie.

– Przepraszam – zaczęła Lexy. – Tak zrobiłam. Byłam ciekawa. Już gdzieś widziałam takiego ptaszka. A właściwie dwa. Moja matka miała jednego. A drugi znajdował się w mieszkaniu Ursuli. Były identyczne. Więc chciałam się przyjrzeć. Zbieg okolicz...

– To jeszcze nic nie znaczy. Od lat robię i sprzedaję figurki ptaków. Wszędzie. Każdy może je kupić.

Lexy rozejrzała się dookoła.

– Ptaki, racja. Ale nie miodowodziki. To coś wyjątkowego, prawda? Czemu Ursula i moja matka...

– Zostaw nas w spokoju! Idź już. Wynoś się. I nie wracaj.

Helen wyczekująco stała przed drzwiami, Ross ukrył twarz w jej ramionach, a Lexy niechętnie wyszła na zewnątrz. Wówczas Helen zamknęła drzwi na klucz, który włożyła do kieszeni, i niespiesznie odprowadziła Rossa do domu, nie

odzywając się ani słowem.

Lexy odprowadziła ich wzrokiem, pełna złości i frustracji. Ale przede wszystkim zdziwiona. Nie takiego powitania się spodziewała. Całe spotkanie poszło nie tak, jak sądziła. A miódowodziki naprawdę zbiły ją z tropu. Założyła, że to pamiątka, którą Ursula lub jej matka przywiozły z Malawi. A co, jeśli figurkę zrobiono tutaj, w gospodarstwie w szkockich górach? Czy to nie dowód, że między nimi wszystkimi istnieje związek? Jak Helen mogła temu zaprzeczać?

Lexy, pogrążona w myślach, ruszyła z powrotem do samochodu. Oparła się o maskę i obejrzała za siebie na mały, niski domek, rozmyślając o zamieszkujących go osobach. O swojej babci i wujku. Była tego pewna. Jeszcze znajdzie sposób, by zmusić Helen, żeby ją uznała. Babcia jest jej winna przynajmniej tyle. Westchnęła i z trudem wstała, po czym ruszyła do drzwi kierowcy, szukając kluczyków w kieszeni. Kiedy jednak jej palce natrafiły na metal, zdała sobie sprawę, że była zbyt wzburzona i zdenerwowana, żeby wracać do hotelu. Potrzebowała zebrać siły i zastanowić się nad kolejnym krokiem, to prawda, lecz od dawna tkwiła uwięziona w kancelariach adwokackich, samolotach, samochodach i szpitalnych salach.

Rozejrzała się po okolicy, po piętrzących się górach, dzikich połaciach zboczy, upstrzonych kępami wrzosów, oraz po lśniącym wokół wyspy oceanie, cichemu i spokojnemu jak niedzielne popołudnie. Przemyśli sobie wszystko na spacerze. Potrzebowała powietrza i przestrzeni, by przez chwilę poczuć wolność. Wsuwając kluczyki z powrotem do kieszeni, odgarnęła włosy z twarzy i ruszyła na dół ku plaży, która wyginała się w łuk i uśmiechała do niej.

odzinę później czuła się lepiej, pnąc się ścieżką do samochodu. Sapała ciężko, oddychając, kiedy wspinała się i stawiała krok za krokiem z rękoma wspartymi na udach, by dać sobie oparcie. Nadal nie wiedziała, co zrobić, ale myślała bardziej racjonalnie i miała większą pewność, że odkryje, jak skłonić Helen, żeby ta uznała jej istnienie. Ścieżyna wiodąca do auta wyrównała się, tak samo jak

oddech Lexy. Przed sobą, na lewo od gospodarstwa, po raz pierwszy zauważyła zagajnik rododendronów. Nie azalii płonących w afrykańskim słońcu feerią barw, jak wspominała w wyobraźni, ale szkockich rododendronów wystających zza pobielanego wapnem domu wiejskiego w samym środku górzystego rejonu Highlands. Tu właśnie zrobiono zdjęcie, na którym Helen i Ursula trzymają między sobą dziecko.

Na tle drzew wyraźnie zarysowało się auto, blednące promienie słońca igrały na jego masce, a gałęzie tańczyły na lekkim wiatyku, który się zerwał. Przyglądając się grze światła i kolorów rozgrywającej się przed nią, zobaczyła ciemniejszą plamę, która ani drgnęła, wyróżniający się punkcik w bocznym lusterku. Zaintrygowana przyspieszyła kroku. Coś tam było. Dopiero kiedy prawie dotarła do auta, zdała sobie sprawę, co to takiego: jeden z ptaszków, pierwszy, którego Ross jej pokazał. Podniosła go, obróciła w dłoni i rozejrzała się wokół siebie.

– Rossie? Rossie, jesteś tu? – zawołała cicho, ruszając w gąszcz drzew. – To dla mnie, Rossie?

Drzewa kołysały się, cienie tańczyły, lecz nikogo nie widziała, aż nagle rozległo się trzeszczenie poszycia leśnego, a zza pnia dębu wyłoniła się dziecięca twarz jej wujka.

– Prezent – powiedział i zaśmiał się. – Twój. – Potem zniknął, a Lexy słyszała, jak wraca biegiem do domu.

\*

**G**dy Lexy była z powrotem w hotelu, położyła się na łóżku z rękoma zaplecionymi za głowę, licząc starannie, wykonane ręcznie kółka na fakturowanej powłoce zdobnego sufitu. Zastanawiała się nad przyczyną. Próbowwała skupić się na czymkolwiek innym niż fakcie, że jej babcia nie chciała jej znać. Jej ostatnia

żyjąca krewna, matka jej matki, nie miała ochoty jej uznać. Tygodnie żaloby i traumy, obcowania ze śmiercią i popadania w szok, skwarne afrykańskiego słońca i bezlitosnej szkockiej mgły... i wszystko sprowadziło się do tego, że leżała sama w niewygodnym łóżku w pełnym przeciągów pokoju w zapomnianym hotelu na końcu świata. Nawet nie mogła liczyć owiec, na litość boską.

Poszłaby na łatwiznę, gdyby zaczęła płakać, uległa rozpacz, która ścisnęła ją w żołądku, szarpiąc i skręcając wnętrzności, gdy najmniej się tego spodziewała. Łatwo byłoby uzalać się nad sobą, wyć z bólu i krzyczeć ze strachu. Łatwo się poddać. Lecz i tak nikt by jej nie usłyszał. Nikogo to nie obchodziło. Sama wpakowała się w tarapaty i sama musi się z nich wykaraskać. Świat nie stanął w miejscu. Choć teraz wołałaby, żeby się zatrzymał. I to najlepiej tuż przed tym, jak jej ostatni żyjący członek rodziny ją odrzucił. Rodzina powinna być najważniejsza. Więzy krwi nie okazały się ściślejsze od innych, choć na pewno bardziej zagmatwane. Czemu w ogóle zaczęła śledztwo? Mogła mieć pretensje tylko do siebie, że leży pogrążona w rozpacz i samotności. Nie mogła winić za to ani matki, ani Ursuli. To ona z własnej woli wyruszyła na heroiczną wyprawę poszukiwawczą, by odnaleźć zapomnianego syna. Wystarczyło spojrzeć, do czego ją to doprowadziło. Idiotka. Chciała pomachać białą flagą do wszechświata, do tego wszystkiego, co sprzysięgło się przeciwko niej. Miała ochotę się poddać.

Światło nadal tliło się przez zasłony. Zorza. Albo szarówka, jak mawiała jej matka. Izzie uwielbiała to zjawisko. Mówiła, że przez lata spędzone w Afryce tak rozpaczliwie tęskniła za długimi wieczorami na szkockiej północy.

*– Nie ma ani chwili, żeby się przestawić – wyjaśniła jej Isobel. – Teraz świeci jasne słońce, a za chwilę zapadnie ciemna noc. Tak jakby ktoś wyłączył światło. Albo tak, albo siak, nie ma innej możliwości. A ja lubię, kiedy pory dnia zlewają się ze sobą; niech dzień przeistoczy się w noc,*

*powoli i łagodnie, żebyśmy mogli przywyknąć do idei zmiany.*

Lexy zawsze widziała świat biało-czarno, tak albo nie, lecz teraz doszła do wniosku, że ją także ucieszyła możliwość przyzwyczajenia się do zmiany, pożegnania się z matką, pogodzenia się z jej śmiercią i oswojenia z odkryciem rodziny, o której nic nie wiedziała. A najbardziej uradowałaby ją sposobność zapytania ich wszystkich „dlaczego?”. Dlaczego nikt nie powiedział jej, kim jest? Dlaczego przez całe życie ją okłamywano?

Czuła, że głowa znów zaczęła jej pracować na najwyższych obrotach, mając od nowa te same pytania niczym bęben maszyny losującej usiłujący wypluć odpowiedź, ziarno prawdy lub cień nadziei, który zdołałaby złapać i poczuć, że należy do niej. Wówczas nie poddałaby się i leżała w ciszy i spokoju. Z irytacją potarła oczy, potem sięgnęła do stolika nocnego, żeby zapalić lampkę i zasunąć zasłony.

Woda rozlała się na jej ramieniu i pościeli, gdy Lexy zahaczyła ręką o szklankę z grubego szkła, którą wcześniej tu postawiła, a teraz zrzuciła na podłogę; w ślad za tym powędrował telefon, kiedy niezdarnie próbowała odstawić szklankę.

– Cholera! – Zbierając się do wstania, kopnęła szklankę wraz z resztką zawartości tak, że szkło przeturlało się przez cały pokój, zostawiając za sobą na dywanie w kolorze fuksji ciemniejący, przypominający rozbryzg krwi w horrorze ślad.

– A niech to! Niech to szlag!

Czuła się dziecinnie, choć bardzo dobrze, dając upust swej złości w słowach, za które jej matka na pewno by ją skarciła. Kątem oka dostrzegła własne odbicie w lustrze nad poobijanym różowym emaliowanym zlewem w kącie pokoju. Wyglądała nedorzecznie. Miała nadaśaną minę jak nastolatka, oczy jak u pandy, czarne od tuszu do rzęs, który zapomniała, że nałożyła, włosy skręcone od wszędobylskiej wilgoci.

Westchnęła. Podniosła szklankę i odstawiła ją na skraj zlewu, poszukała komórki. Przysiadła na brzegu łóżka, w rękach trzymając telefon. Spojrzała na niego.

Nie.

Nie mogła.

Rzuciła komórkę na łóżko za siebie. Wzdychając ponownie, podeszła do okna, wyjrzała na taflę wody przed hotelem, a potem na górski grzbiet oddzielający tę zatoczkę od kolejnej, nad której brzegiem stał warsztat z czerwoną dachówką i niski bielony domek wiejski, gdzie żyli jej babcia i wujek. Była tego pewna. Musi odnaleźć sposób, by dotrzeć do Helen. Ross zdawał się ją lubić, z tego, co mogła powiedzieć. Zawsze to dobry początek, prawda? Może tą samą drogą powinna zbliżyć się do Helen? Przez syna. Jej pokrzywdzonego syna. Czy to dlatego się ukrywała? Żeby chronić go przed... czym? Przed życiem? Wyglądał na szczęśliwego, lepiąc garnki, malując ptaszki i płótna. Afrykańskie krajobrazy, trzymane pod kluczem jego pamięci. Jak to możliwe, że znał tamto otoczenie, skoro nie mieszkał tam jako dziecko? Helen musiała wiedzieć, że Lexy widziała obrazy.

Kobieta rozejrzała się za torbą, wyjęła z niej małego glinianego miodowodzika, tak znajomego, identycznego jak ten należący do matki. Przebiegła palcem po białych inicjałach u podstawy. „HBM”. Może: *Honey Bird Malawi*, czyli miodowodzik z Malawi? Coś innego? Czy na cokole figurki jej matki także znajdowały się te same inicjały? Ani razu nie spojrzała na ptaszka od dołu, lecz to byłby dowód, prawda? Że wszyscy są powiązani. To nie był zbieg okoliczności. Matka i Ursula dostały ptaszki od Helen. Lexy miała pewność. Podeszła niespiesznie do łóżka, chwyciła za telefon i otworzyła listę kontaktów.

Nie. Nie może. To byłoby nie fair. Z drugiej strony nie chciała wracać się aż do Londynu. Nie mogła ryzykować. Co gdyby Helen wywiozła gdzieś Rossa? Gdyby wpadła w prawdziwy szok i pomyślała, że Lexy ją wyda, mogłaby

sięgnąć po drastyczne środki. Nie. Lexy musiała tu zostać. Powinna wrócić jutro do domku wiejskiego i podjąć jeszcze jedną próbę. Z ptaszkiem czy bez niego. Ale lepiej, o niebo lepiej byłoby z nim.

Wybrała numer z listy kontaktów i z komórką przy uchu spacerowała wte i wewte, czekając na połączenie.

– Danny? Danny, to ja, Lexy.

– Wyświetliło mi się na ekranie.

– Danny, chcę...

– Dobrze, dzięki, że pytasz. A co u ciebie?

Naprawdę ją irytował, kiedy to robił, lecz puściła jego słowa mimo uszu. Nauczył się tego od niej.

– Racja, przepraszam. Danny, cześć, jak... Och, nie mam na to czasu. Danny, potrzebuję twojej pomocy.

– Czemu mnie to nie dziwi?

– Danny, proszę. Posłuchaj, wiem, że nie musisz mi pomagać. I pewnie nadal jesteś na mnie wściekły. Zasłużyłam sobie na to, ale proszę, naprawdę potrzebuję, żebyś mi pomógł...

– Daj spokój, Lexy. Nie znoszę, kiedy błagasz. Wiesz, że ci pomogę. Niezawodny do znudzenia, zawsze to powtarzałaś, prawda? O co chodzi?

Odetchnęła z ulgą. Nie powinna mieć do niego pretensji, gdyby odłożył słuchawkę. Ale na szczęście tego nie zrobił.

– Pamiętasz miodowodzika mojej matki?

– Nie. – Brzmiał na zdziwionego.

– Tak, pamiętasz. Gliniany ptaszek, który siedział przy jej łóżku. Ten, którego wzięłam, kiedy... Kiedy pojechaliśmy tam ze szpitala... Chyba zostawiłam go w samochodzie.

– Tak. Zapakowałem go do pudła razem z resztą twoich rzeczy. Razem

z prochami twojej matki. – Zarzut był wyraźny. Zignorowała go.

– Dobrze, w takim razie jest u pani B.? Może udałoby ci się go odzyskać i przesłać do mnie?

– Do ciebie? Do Malawi? Do diaska, gdzie teraz jesteś?

– W Szkocji. To pilne, Danny. Nie prosiłabym cię, gdyby to nie było naprawdę ważne. Możesz nadać paczkę nocnym kurierem? Zaraz... Podam ci adres hotelu. Masz kartkę i długopis?

Podniosła zalaną herbatą papeterię i oderwała adres, który składał się zaledwie z nazwy hotelu oraz kodu pocztowego. Wyobrażała sobie, jak Danny marszczy czoło, starannie zapisując namiary.

– Boję się pytać, Lexy, naprawdę, ale na litość boską, co ty wyrabiasz?

– To skomplikowane.

– Oczywiście, że tak. A ja myślałem, że ucieczka do Malawi jest dziwna. Po co ci tak pilnie gliniany ptaszek w szkockich górach? Wcześniej nie zawracałaś nim sobie głowy, zostawiłaś go pod siedzeniem w aucie.

– Muszę się dowiedzieć, kto go zrobił. Chcę zobaczyć, czy na cokole ma jakieś inicjały. – Lexy wydawało się, że słyszy w tle szperanie.

– No cóż, ma. HBM.

– Naprawdę? – Nagle wszystko wskoczyło na swoje miejsce. HBM. Inicjały Helen, tak samo jak na drugiej figurce. – To wspaniale. Ale i tak go potrzebuję. Czy możesz go wysłać... – Jej głos zamarł, gdy do głowy przysła jej myśl. – Skąd wiesz, Danny?

– Bo na niego patrz... – Usłyszała, jak Danny raptownie nabiera powietrza.

– Gdzie jesteś, Danny? – Nie padła żadna odpowiedź. Lexy wiedziała, że wciąż wstrzymuje oddech. – Danny, jesteś u pani B.? Co tam robisz?

– Ja... Dała mi klucze... Prosiła, żebym wyniósł pudło... Więc wystawiłem je na korytarz...



– O mój Boże. Jesteś w moim mieszkaniu. Do diabła, co...

– Formalnie to nadal nasze mieszkanie – przerwał jej Danny. – Nie podpisałaś papierów. Kolejna nietknięta papierkowa robota, którą zostawiłaś, uciekając do Malawi.

– Danny, nie bądź taki cholernie drobiazgowy, nie uciekłam... – Odnotowała, że znów przeklina, lecz popadła w zbyt duże wzburzenie, żeby się tym przejmować. – Do diabła, co robisz w moim mieszkaniu?

– No cóż, po włamaniu powiedziałem, że uprzątnę...

– To było parę dobrych dni temu, Danny. Ile ci to zajmie, na litość boską?

Westchnął. Czekala na odpowiedź, próbując ogarnąć umysłem ostatni zwrot akcji.

– Wprowadziłem się z powrotem.

– Co? Och, nie mów mi... Tylko nie moje mieszkanie. Nie chcę tej kobiety pod moim dachem...

– Sam.

– Wyrzuciła cię z domu? – Lexy parsknęła śmiechem, chociaż wcale nie była rozbawiona, po czym natychmiast pożałowała swojej reakcji. – Och, Danny, przepraszam. Co się stało? Dziecko...?

– Nie ma żadnego dziecka.

– Danny, to okropne, bardzo mi...

– Okazuje się, że nigdy nie było. Chciała tylko, żebym się zadeklarował, jak powiedziała. Nie mam pojęcia, jak ktoś może wymyślić coś takiego. Nie przyszło mi do głowy... W każdym razie kiedy stanowisko starszego wykładowcy trafiło do Paula Mandersa, zdała sobie sprawę, że wcale nie byłam miłością jej życia. On nią jest.

– Nie dostałeś etatu? Myślałam, że masz to jak w banku.

– Najwyraźniej nie. Wychodzi na to, że równie słabo znam się na polityce

wydziału, co na kobietach.

– Nie mów tak, Danny. Nie jest tak źle... – Lexy mimowolnie zaczęła mu odrobinę współczuć. Wiedziała, jak dużo znaczyła dla niego praca, pamiętała także, jak mocno próbował postąpić w tej sytuacji właściwie. Chociaż w ogóle nie powinien spać z Fizz. Złość wróciła, a wraz z nią chęć odwetu. – Danny, nie możesz wycofywać się rakiem do mojego mieszkania za każdym razem, kiedy pokłócisz się ze swoją małąletnią dziewczyną.

– Wiem, przepraszam. Potrzebowałem zatrzymać się tu na chwilę, aż znajdę kątek do wynajęcia. I pani B. bardzo się ucieszyła, że mieszkanie nie będzie stać puste. Nadal jest wstrząśnięta tym, co się stało. Dlatego właśnie dała mi klucze. No cóż, także dlatego, że powiedziałem, że nie masz nic przeciwko.

– Skłamałeś? – Lexy bardziej zszokował fakt, że Danny potrafi zastosować podstęp, choć nie posądzała go o to, niż zezłościł sposób, w jaki na powrót uwił sobie gniazdko w jej mieszkaniu. Była niemal pod wrażeniem.

– Tak. Przepraszam. Nie powinienem.

– Chcę, żebyś się wyprowadził, zanim wrócę.

– A kiedy dokładnie to będzie? Kiedy właściwie przestaniesz ganiać po świecie jak... jak... jak... Och, sam już nie wiem! Ale kiedy zamierzasz stawić czoła temu, co się tu dzieje? Kiedy zajmiesz się swoim obrabowanym mieszkaniem, prochami matki, tymi wszystkimi cholernymi obowiązkami, które na ciebie czekają, nie wspominając o tym, kiedy zamierzasz zrobić porządek z naszym rozstaniem? Hm, Lexy? Kiedy dokładnie to się stanie?

– Nie wiem! – wrzasnęła Lexy, będąc zaskoczona tym, jak ją wkurzył. – Wiesz co? Po prostu się wyprowadź. Wynoś się. Masz opuścić mieszkanie...

– Przed tym czy po tym, jak wyślę twojego cennego ptaszka nocnym kurierem na drugi koniec kraju? – krzyknął Danny w odpowiedzi. Danny krzyczał, lecz nie zauważyła tego, dając się porwać wirowi własnych emocji.

– Wyślij go i wynoś się! – dodała, lecz było za późno. Danny odłożył

słuchawkę.

**ROSS-SHIRE, 19 CZERWCA**

**N**ie wybiła jeszcze ósma, ale jadalnia stała pusta. Resztki kaszanki i coraz bardziej wysychające pomarańczowe żółtko zdobiły puste talerze na sąsiednim stoliku, przyprawiając Lexy o skręt kiszek. Była zbyt zdenerwowana, by grzeszyć apetytem, ale śniadanie pomogło jej zabić czas do przyjazdu kuriera z glinianym miodowodzikiem matki. Wiedziała, że Danny jej nie zawiedzie bez względu na to, jak bardzo się na nią wściekał. Nasypała sobie muesli z wiktoriańskiego kredensu, którego użyto jako bufetu śniadaniowego, wahając się przez chwilę nad paroma kawałkami grejpfruta pozostałymi w puszcze, po czym naląła sobie jasnego jabłkowego soku do połowy szklanki. Rozcieńczony, była tego pewna.

Ale to nie miało żadnego znaczenia. Pogmeręła łyżką w muesli, topiąc rodzynki pod powierzchnią mleka, którego naląła za dużo, przyglądając się, jak wypływają z powrotem na wierzch. W końcu odłożyła łyżkę na tandetną podkładkę, mającą chronić nakrycie stołu. Opierając podbródek na dłoniach, wyjrzała przez okno na kolejny ponury dzień. Ponury. Ten przymiotnik wpisany był na stałe do szkockiego języka. Znała to słowo dobrze, nauczyła się go od Isobel, która stwierdziła, że może okazać się bardzo przydatne, zwłaszcza podczas ich wycieczek do Edynburga. Dzięki temu określeniu kiepska pogoda i nieustępliwa wilgoć gęstej mgły napływającej z nad wody stawały się o wiele bardziej ekscytujące i egzotyczne. Zyskiwały znamiona przygody, którą one dwie miały szczęście przeżyć, a nie dane by im to było, gdyby zostały w domu w Londynie. Lexy uśmiechnęła się. Bzdura, rzecz jasna. Kolejna półprawda,

którą wcisnęła jej matka. Uśmiech zbladł. Półprawdy. Kłamstwa. Czym się między sobą różniły? Czy matka kiedykolwiek była z nią zupełnie szczerą?

Drzwi do kuchni otworzyły się i hałas zmywarki zakłócił na chwilę ciszę, gdy jedyny pracownik obsługi hotelowej, na którego Lexy natknęła się tego ranka, wszedł, niosąc jej herbatę.

– Czy dotarła jakaś przesyłka dla mnie? – zapytała zaniepokojona, gdy postawiono przed nią z łoskotem dzbanek do herbaty. Kelner zrobił to, ani słowem się nie odzywając ani nawet się nie uśmiechając. Lexy to nie obchodziło. Ona też nie miała czasu na pogawędkę o pogodzie.

– Jaka przesyłka?

– Miała przyjść do mnie paczka z Londynu. Wysłana kurierem. Nocnym.

– Och, cóż, w takim razie dojdzie najwcześniej jutro.

– Nie, nie. Wysłanka została nadana wczoraj, żeby kurier przetransportował ją przez noc i dostarczył dzisiaj – wyjaśniła zniecierpliwiona Lexy.

– Więc będzie jutro. – W końcu się do niej uśmiechnął, niewątpliwie ubawiony konsternacją widoczną na jej twarzy. – Usługi nocne tu nie działają. Wszystkie przesyłki trafiają do Inverness, kurierzy podrzucają je do Archiego. Tylko w ten sposób paczki docierają tak daleko na północ, dlatego musimy zjednoczyć siły.

– Ale... Ale w takim razie kurier wcale nie jest nocny.... To znaczy...

– Nam wystarcza, a dla pani to i tak najlepsze rozwiązanie. Tu życie płynie wolniej. – Zniknął za wahadłowymi drzwiami, jego wyjściu towarzyszyły fanfary w postaci mechanicznego szumu zmywarki.

*Rzeczywiście*, pomyślała Lexy i miała ochotę za nim wrzasnąć. Musiała mieć tego ptaka. Odsunęła krzesło, za jednym zamachem ulewając parę kropel kawy przez dzióbek dzbanka, po czym wyjrzała przez okno na nicość zapomnianej przez Boga i ludzi dziczy. Nic dziwnego, że kurier tu nie docierał. Komu by się chciało? Krajobraz, który wydawał jej się tak urodziwy i dający swobodę, kiedy

przyjechała, teraz stał się niegościnnie i równie pozbawiający wolności jak Alcatraz. Nie chciała stracić kolejnego dnia. Mogła wrócić do Helen dzisiaj, lecz skoro nie miała figurki ptaszka, by jej go pokazać, by coś udowodnić...

– Cześć, Lexy. – Głos brzmiał na znudzony, lecz mimo to dało się go natychmiast rozpoznać. Obróciła się na pięcie.

– Danny! Och, Danny, dzięki Bogu! Przywiozłeś go? Właśnie mi powiedzieli, że nocny kurier tu nie...

– Nie dociera – przerwał jej. – A jak sądzisz, czemu tu przyjechałem?

– Masz go?

– Tak. – Podniósł plecak za dyndający pojedynczy pasek na ramię.

– Muszę go...

Danny rzucił plecak przed siebie, bagaż uderzył z głuchym tąpnięciem o podłogę, lecz – jak odnotowała Lexy z wdzięcznością – nie rozległ się brzęk tłuczonej gliny.

– Rany, Lexy. Nie spytasz nawet, jak tu dotarłem.

– Och... Przepraszam, Danny... Ja... – Strzelała oczami to na niego, to na plecak u jego stóp. Rozpaczliwie pragnęła pochwycić pakunek i zajrzeć do środka. Poczuła jego dłoń, która zacisnęła się na jej nadgarstku i pociągnęła, zmuszając ją, by na niego spojrzała, by złapała z nim kontakt wzrokowy.

– Lexy, zachowujesz się jak... jak... Jak szalona. Do diaska, co się z tobą dzieje?

Spojrzała na jego znajomą twarz zacienioną nieznajomym parudniowym zarostem, jego blond włosy były potargane i opadały na czoło. Ubrania także miał zmięte i pachnące odrobinę nieświeżo. A jednak ogólnie sprawiał zaskakująco dobre wrażenie. Był nawet atrakcyjny. Wyglądał jak swój młodszy, zdziczały brat. Lexy przytaknęła, opuściła wzrok, zmuszając galopujący jak w wyścigu puls, żeby zwolnił. Położyła dłoń na ręce Danny'ego, którą trzymał ją za nadgarstek.

– Wszystko... Wszystko w porządku. To długa historia, ale ty... Wyglądasz na skonanego, Danny.

– Jestem. Jechałem całą noc.

Podniosła dłoń i dotknęła jego twarzy, opuszkami palców muskając szpecinowaty zarost i chłodną skórę. Nienawidził prowadzić. Zwłaszcza nocą. Pochylił lekko głowę, by umościć brodę w jej dłoni. Czują na sobie jego ciepły oddech. To było zbyt intymne. Zrobiła krok do tyłu, opuściwszy rękę.

Danny sarknął, potem prychnął, a na koniec roześmiał się, szturchając nogą plecak w jej stronę.

– Weź go. Ja wynajmę pokój, odeśpię. Zostawiam cię z tym, cokolwiek to jest.

Lexy chwyciła go za ramię, gdy zaczął się obracać.

– Nie. Nie ma mowy. Zatrzymaj się u mnie. – Ogniki zaiskrzyły się w jego oczach. – Nie, nie – pospieszyła z wyjaśnieniami. – Chodzi o to, że nie ma wolnych pokoi. Hotel jest pełny. – Danny rozejrzał się z nieskrywanym niedowierzaniem. – Turyści z Niemiec. Bardzo poważnie podchodzą do zdobywania korony Szkocji, wszystkich szczytów gór Munros. Wyruszyli o świcie.

– Muszę znaleźć kąt.

– Chodź do mojego pokoju. Ja i tak wychodzę, możesz przespać cały dzień.

– I zniknąć, zanim wrócisz, tak? Jasne, znam zasady. W porządku. Rozumiem.

Lexy przyciskała plecak do siebie.

– Hm? Nie, wcale nie. Chodź, drugi ptaszek jest na górze, możemy je porównać.

– Zamierzasz mi powiedzieć, co się dzieje?

Lexy przypatrzyła mu się. Był wycieńczony, miał przekrwione i podkrążone

oczy. Stał zgarbiony z rękoma w kieszeniach bluzy z kapturem ze znakiem Supermana, którą kupiła mu, gdy zaczęli się umawiać. Nie miała zielonego pojęcia, że nadal ją posiadał. Ale to cały Danny. Kurczowo trzymał się: rzeczy, ludzi, jej. Nie odpuszczał. To doprowadzało ją do szaleństwa, ten jego upór i niechęć do zmiany, lecz teraz doszła do wniosku, że właśnie tego było jej trzeba: jego stałości i ugruntowania w sobie.

– Tak – powiedziała i zaczęła wchodzić po schodach, wiedząc, że podąży za nią.

**G**odzinę później siedzieli na łóżku; Lexy opierała się o wezglowie, obejmując nogi i przyciągając je do piersi, Danny, zwiesiwszy ramiona, usiadł u stóp łóżka, splatając ręce i machając nimi pomiędzy nogami.

– Mówisz, że ta kobieta jest twoją babcią, a ty jej spadkobierczynią? Lex, to po prostu się nie klei. Twoja matka... Znałem ją, Lex. Nie ukryłaby tego przed tobą. Po prostu nie potrafiłaby.

– Chyba że o tym nie wiedziała. Posłuchaj, Danny, wiem, że mam rację. A ten ptaszek pomoże mi tego dowieść.

Danny obrócił się i podniósł figurkę, która leżała na łóżku pomiędzy nimi.

– Ach, no i ten facet, Robert. Mieszkał z Ursulą, kiedy studiował w Ed...

– Nie o to mi chodziło. – Lexy poczuła, że się rumieni, orientując się, o co Danny pytał. – Och, Danny, na litość boską! Dopiero zmarła mi matka, właśnie odkryłam, że nie jestem osobą, za jaką się miałam...

– Masz całkowitą rację.

– ...a ty myślisz, że mam czas, żeby tracić głowę dla pierwszego mężczyzny, którego...

– A więc uważasz, że jest przystojny?

– Danny! Nie to chciałam powiedzieć, poza tym nie sędzę, żebyś miał prawo... Och, wiesz co? To nie twoja sprawa. Ale jeśli to ma jakieś znaczenie, to



moja odpowiedź brzmi „nie”. Jasne? Nie. Robert i ja nie jesteśmy razem, dobrze?

Danny zaczął przytakiwać, nagle przestał i spojrzał na ptaszka w swojej dłoni. Obrócił go do góry nogami i przybliżył do szarówki wpadającej przez okno.

– Dziwne.

– Co? O co chodzi? – Lexy podniosła się z zajmowanej pozycji i na czworaka przeczołgała się do niego; sprężyny materaca jęknęły pod jej ciężarem. Położyła mu dłoń na ramieniu, odsuwając go nieco, żeby mogła zobaczyć. Pocierał palcem o cokół.

– Czuć tu wypukłość. Jest nieco... Sam nie wiem. Figurka musiała się kiedyś zbić, jak sądzę.

– Dawaj mi to! – Lexy wyrwała mu figurkę z rąk i jednym płynnym, kocim ruchem przysiadła na nogach, podczas gdy przypomniła sobie słowa Rossa. „See-kret” – powiedział.

Sekret w środku.

Stuknęła ptaszkiem o blat starego kredensu.

– Lexy, co ty wyprawiasz? Zbijesz go.

Danny próbował chwycić ją za rękę, ale podniosła ją wysoko nad głowę, gotowa roztrzaskać figurkę na kawałki.

– Nie, Lexy, nie rób tego. To należało do twojej matki. Zbijesz... och!

Lexy szarpnęła nadgarstkiem, potknęła się i poleciała do przodu, ponieważ stopą zahaczyła o nogę ciężkiego fotela klubowego pod oknem. Obróciła się, próbując utrzymać równowagę, i złapała się oparcia siedziska, żeby zahamować upadek, lecz zdołała jedynie przewrócić fotel na siebie, lądując ciężko na brzuchu z łomotem, przez który lampka nocna zaczęła drżeć, a miodowodzik wyleciał jej z rąk. Legła jak długa na podłodze niczym zwłoki obrysowane kredą podczas zabezpieczania miejsca zbrodni przez policję.

– Lexy! Lexy, nic ci nie jest? – Danny w mgnieniu oka znalazł się przy niej i podniósł fotel. Przeczuwała, że klęczał nad nią, wiedziała, że zmarszczył czoło

ze zmartwienia.

Lexy odebrało mowę, nie mogła otworzyć oczu. Całą energię zużytkowała na to, by z trudem nabrać powietrze do ust.

– O Boże, Lex. – Danny poklepał ją lekko po policzkach, próbując ocucić. – Odezwij się, powiedz coś, Lex. – Zdołała unieść dłoń, by mu przerwać, jednocześnie otwierając oczy.

– Powietrza... Nie mogę...

Danny ostrożnie obrócił ją na plecy, podniósł się i odstawił przewrócony mebel na miejsce, po czym, pochylając się nad nią, wziął ją na ręce i delikatnie posadził z powrotem na fotelu. Przykląkł na podłodze obok niej, głaszcząc jej dłoń, troska zagościła na jego twarzy, kiedy krzątał się wokół Lexy, nadwątlając fantazję o Dannym jako Tarzanie, która zaczęła nabierać kształtów w jej myślach.

– Już dobrze – bełkotał raz po raz. – Nie denerwuj się – powtarzał, choć Lexy wolałaby, żeby sam wziął sobie tę radę do serca.

– P... p... – próbowała się odezwać, lecz z jej ust wydobył się ledwie szept.

– Cii, nie mów już nic.

– P... – spróbowała raz jeszcze, tym razem bardziej uparcie.

– Pić? Tak, tak, oczywiście. – Danny wstał i rozejrzał się dookoła.

Kątem oka zobaczyła rąbek jego bluzy z kapturem, kiedy ruszył do różowego zlewu.

– Ptak – wychrypiała w końcu. – Co...

– Och, ptak...

Rozglądali się wokół siebie, przeczesując wzrokiem pokój, lecz nigdzie go nie widzieli. Danny padł na czworaka i zajrzał pod łóżko, pod fotel, pod...

– Mam go! – Jego ręka zniknęła pod stolikiem nocnym i wydobyła ptaszka z gniazda, które uwił sobie między meblem a listwą przypodłogową. – Chyba wszystko z nim w porządku – powiedział, wręczając go Lexy. – Och. Może

jednak nie. – Podał jej dziób, który odpadł i teraz leżał na jego dłoni. – Ale wystarczy trochę kleju i nikt się nie pozna.

Kobieta już go nie słuchała. Zaglądała w pusty środek figurki przez maleńkiego judasza powstałego w rozbitym dzióbku.

Zanim Danny zdążył ją powstrzymać, rzuciła figurką o podłogę i z impetem na nią nastąpiła. Spojrzała na byłego narzeczonego, a potem powoli odsunęła stopę na bok. Wzrok ich obojga padł na roztrzaskanego ptaszka; zobaczyli zwinięty, żółty kawałek papieru, który do tej pory tkwił w ukryciu w skorupie.

Lexy zaczęła odzyskiwać kolory na twarzy, oddech miała płytki, lecz coraz bardziej ustabilizowany.

Danny podniósł karteczkę, potrząsnął nią, by strzepać ceramiczny kurz, i podał jej wiadomość. Potrząsnęła przecząco głową.

– Ty – wyszeptała.

Przysiadł na piętach i powoli rozłożył papier, podnosząc na nią wzrok, szukając wsparcia.

– To... Wydaje mi się, że to jest... Akt urodzenia.

– Czyj? – spytała, chociaż doskonale знаła odpowiedź.

– Isobel Buchanan-Munro.

Lexy przytaknęła, odepchnęła rękę Danny'ego, którą próbował podać jej żółty skrawek, wgramoliła się na fotel i sięgnęła do torby leżącej na kredensie. Wyjęła drugiego ptaszka.

– A co z tym? – powiedziała z zadumą bardziej do siebie niż Danny'ego. Przebiegłszy palcami cokół, wyczuła nierówność. Uśmiechnęła się, wyciągając figurkę do Danny'ego. – To samo.

Podeszła do stolika i znów zamachnęła się, by zbić także tego ptaszka, ale Danny nagle wstał.

– Nie, Lex. Nie rozbijaj go. Ten nie należy do ciebie.

– Nie wydaje mi się, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie, biorąc pod uwagę okoliczności.

Niemniej pozwoliła Danny’emu go zabrać, otwierając szeroko oczy ze zdumienia, gdy wyjął szwajcarski scyzoryk z kieszeni jeansów. Nie powinna się dziwić. Danny-harcerzyk. Zawsze przygotowany. Jednak nie spodziewała się, że jest dumnym posiadaczem szwajcarskiego scyzoryka. To było trochę zbyt... harde.

– Danny. – Roześmiała się. – A niech mnie, skąd to masz?

– Noszę go od wielu lat. Pomyślałem, że lepiej zabiorę go ze sobą na wypadek... na wypadek, gdybyś potrzebowała... No, sama wiesz.

– Danny, jesteśmy w Szkocji, nie w dżungli – powiedziała Lexy, celowo porzucając własne wcześniejsze przemyślenia na temat wrogości przyrody i ulegając pokusie, by dokuczać mu ze znajomą swobodą.

– No tak. Lepiej się zawczasu przygotować, niż...

– ...później żałować – dokończyła za niego, jak zwykle to robiła, i oboje zaśmiali się krótko, po czym zapadła niezręczna cisza.

Danny odchrząknął i usiadł na łóżku, położył sobie miodowodzika na kolanach, otwierając ostrze scyzoryka. Zaczął ostrożnie skrobać krawędź, od czasu do czasu dmuchając na figurkę, by oczyścić ją z kurzu, a potem coraz mocniej i mocniej drapał nożykiem.

Lexy doszła już do siebie, chodziła wte i wewte wzdłuż okna, śmiertelnie pragnąc wyrwać mu miodowodzika z rąk i roztrzaskać, jak od początku planowała to zrobić. Jakie to miało znaczenie? Helen się tym nie przejmie, zwłaszcza kiedy Lexy powie jej prawdę prosto w twarz. Będzie musiała przejmować się o wiele ważniejszymi sprawami.

– Och, daj spokój, Danny!

Zamarł na chwilę, po czym z powrotem zaczął starannie i metodycznie skrobać. *Dobry Boże, ależ on jest irytujący*, pomyślała Lexy. Nic dziwnego, że

im nie wyszło. Kiedy spojrzała na niego, kiedy tak skrob, skrob, skrobał, pragnęła tylko chwycić figurkę, rozbić ją raz a dobrze i dostać się do jej środka. Byli jak ogień i woda, dzień i noc, żółw i zając...

– Mam. – Danny odłożył nóż i rozkręcił ptaszka, który zgrabnie rozpadł się na dwie części, a złożona żółta kartka spadła Danny’emu na kolana.

Lexy pochwyciła ją, już nie bojąc się, jaką treść mogła ze sobą nieść, za to nie mogąc się doczekać, aż odczyta nazwisko znajdujące się na dokumencie, który – jak wiedziała – będzie drugim aktem urodzenia. Jeśli okaże się, że dotyczy Davida, to zgromadziła wszelkie potrzebne dowody.

Poczuła, że krew odpływa jej z twarzy. Kobieta opadła ciężko na fotel, jakby znów zaparło jej dech w piersiach.

– Lex? Lex, o co chodzi?

– To nie jego. To nie jest Davida. – Cedziła słowa, raz po raz przebiegając wzrokiem słowa na kartce, tak jakby próbowała je zrozumieć, zmusić, by ułożyły się w zdania, które spodziewała się zobaczyć.

Danny podszedł do niej, przysiadł na bocznym oparciu fotela i wyjął jej papier z rąk.

– Sen... Senga? Do diabła, kto to jest Senga? Co to w ogóle za imię?

– Jeszcze jedno.

– Co?

– Jeszcze jedno dziecko. Czwarte. Helen miała kolejne dziecko. Popatrz. – Wskazała na imię i nazwisko matki: Helen Munro. – To ona. Nie ma innej możliwości.

– Choć tym razem nie występuje jako Buchanan.

– Nie. Do tego brakuje tu nazwiska ojca.

**TAIGH NA MARA, 19 CZERWCA**

**H**elen znów nie przespała nocy. Od świtu siedziała w warsztacie, pokrywając szklivem garnki, co zwykle ją uspokajało i działało terapeutycznie. Zwykle, ale nie dziś. Ręce jej się trzęsły; była przekonana, że zepsuła przynajmniej trzy naczynia, ale nie mogła mieć pewności, dopóki glina się nie wypali. Później rozpała pod piecem. Ross zawsze lubił jej w tym pomagać. Wytarła dłonie wilgotną szmatką i osuszyła je o zakurzony fartuch. Śniadanie. Ross będzie głodny.

Stała na chwilę bez ruchu przed warsztatem, spoglądając na wyspy w oddali i słońce odbijające się od powierzchni oblewającej je wody. Czasem pragnęła znaleźć się na jednej z nich. Tutaj, na stałym lądzie, gdzie szukała odosobnienia, nie znajdowała go w wystarczającym stopniu, by móc zupełnie odciąć się od świata. Alexis ją znalazła. Lexy. Helen żałowała, że ją odprawiła. Była w szoku. Oczekiwała Izzie, nie wiedziała, co powiedzieć tej tętniącej życiem, młodej kobiecie. Swojej wnuczce. Helen miała nadzieję, że Lexy nie zrezygnuje i podejmie jeszcze jedną próbę.

Drzwi zaskrzypiały na powitanie, gdy je otworzyła.

– Rossie? – zawołała, obracając się do schodów za plecami, kiedy odwieszała kurtkę na wieszak. – Rossie, kochanie? Wstałeś? Śniadanie. – W odpowiedzi usłyszała głuchy odgłos i trzeszczenie kuchennego krzesła. – Rossie? Wszystko w porządku?

Westchnęła. Pewnie usiłował naparzyć herbatę, by zrobić jej niespodziankę.

Czasem mu się udawało, przy innej okazji szamotał się, upuszczał i rozbijał kubki, oblewał sobie ręce wrzątkiem i ze zdenerwowania rozlewał mleko po całym pomieszczeniu. Metaliczny brzęk pokrywki czajnika, spadającej na kamienną podłogę w kuchni, podpowiedział jej, jak szło mu tym razem.

– Rossie, już idę, koch... – Kuchenne drzwi otworzyły się na oścież i zobaczyła, że Ross siedzi przy stole z wyrazem paniki na twarzy, młoda kobieta stoi obok niego z rękoma na jego ramionach, wciskając go w drewniane krzesło z lekkim uśmieszkiem. Helen miała przeczucie, że już gdzieś widziała ów uśmieszek.

– Rossie, wszystko...

– Och, nic mu nie jest. Na razie. – W jej głosie wybrzmiała groźba, znajomy podtekst.

Ross zaskomlał.

– Zrzuciłem czajnik – powiedział.

Helen zobaczyła wodę, która zebrała się pod drzwiami, sącząc się strużkami po nierównej podłodze.

– To niezbyt dobry pomysł, żeby zostawiać otwarte drzwi do kuchni, nawet tutaj. Nigdy nie wiadomo, co może się przydarzyć. Napędziłam ci stracha, Rossie, prawda? – Kobieta ścisnęła Rossa za ramiona, pochylając się i opierając czoło o jego skroń i nie odrywając wzroku od twarzy Helen. – Ale nic się nie stało, czyż nie, Rossie?

Widząc dwie twarze obok siebie, jedną pochmurną i zmieszaną, drugą pogodną i uśmiechniętą, Helen otworzyła szeroko oczy. Tkwilo w nich podobieństwo, ale przecież... Kobieta była młoda. Za młoda.

– Nie jesteś... To niemożliwe...

– Kim? Kim nie jestem? – Jej dłonie ześlizgnęły się z ramion Rossa i powędrowały na przedramiona, po czym przytuliły go mocniej. – Zostaniemy bliskimi przyjaciółmi, prawda, Rossie? Chciałbyś mieć przyjaciółkę, nie myślę

się?

Coś w tonie jej głosu zaniepokoiło Helen, ale Ross obejrzał się za siebie, zadowolony, z uśmiechem od ucha do ucha, i żarliwie przytaknął.

– Przyjaciółka.

– Zgadza się. Przyjaciółka. Dobra, Rossie. Bardzo dobra.

Helen zrobiła krok do przodu, podniosła pokrywkę czajnika, która leżała odwrócona u jej stóp, i uniosła ją przed sobą obiema rękoma niczym miniaturową tarczę.

– Kim jesteś? – powtórzyła, chociaż mdłości powoli ścisnęły ją w brzuchu, kiedy zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie zna odpowiedzi na własne pytanie. – Co robisz w moim domu?

– Przyszłam w odwiedziny. W końcu powinno się od czasu do czasu odwiedzać rodzinę.

Helen miała kamienny wyraz twarzy i pewny wzrok; za wszelką cenę pragnęła stłumić wzbierającą falę zrozumienia, która zalewała jej ciało, oraz namacalne poczucie obrzydzenia i zgrozy. Ale przecież jest za młoda... Tak samo jak wczorajszy gość. Och, dobry Boże.

– Nie masz mi nic do powiedzenia, babciu? Nie chcesz nawet wiedzieć, jak twoja wnuczka ma na imię?

– Nie jesteś moją wnuczką. – Nie może być. To niemożliwe.

– Ależ tak, z pewnością nią jestem.

– Ty... jesteś... Moja wnuczka to Alexis.

– Lexy? – Kobieta zaśmiała się. – Niech tak będzie. Jestem pewna, że niedługo zjawi się tu we własnej osobie. Nie ma w zwyczaju się poddawać, ta moja kuzyneczka. Rozgrzebuje sprawę, kop, kop, kopie, by dokopać się do przekrętu, który popełniłyście wraz z przyjaciółkami lata temu. Wystarczyło, że ruszę jej tropem. Wydaje mi się, jakbym już ją poznała. Zaufaj mi, jeszcze tu wróci.



Helen osunęła się na krzesło stojące przy stole naprzeciwko swojego syna i tej... tej nieznajomej. Zimna metalowa krawędź przykrywki czajnika wbijała się jej w dłoń, a ból pomagał skupić się na słowach nieznajomej, która jednak jej kogoś przypominała, oswoić je i przyjąć do wiadomości. Jej umysł buntował się przeciw temu, co słyszała, próbował obrócić to wszystko w kłamstwo... a jednak... Helen wiedziała.

– Tak, lepiej to z siebie wyrzucić. Chyba nie chcemy, żeby ta dziewczucha narozrabiała, prawda? Chociaż możemy zorganizować mały zjazd rodzinny, kiedy kuzynka Lexy do nas dołączy. Miałbyś ochotę na przyjęcie, prawda, Rossie? Babcia opowiedziałaby nam coś więcej o swoich przygodach w Afryce, czyż nie byłoby zabawnie? – Przywarła do zmieszanego mężczyzny, ścisnęła go za ramię odrobinę za mocno, po czym uśmiechnęła się, słysząc skowyt bólu i zaskoczenia.

– Zostaw go w spokoju. – Helen miała pewny głos, mimo że adrenalina tętniła w jej żyłach. – Wynoś się. Nie wiem, kim jesteś ani co...

– Och, babciu. – Nawet kwaśna mina była znajoma, jak stwierdziła Helen z przerażeniem. – Nie bądź podła. Wiesz, kim jestem. Pomyśl. Wróć myślami do Malawi, do czasów, kiedy miałaś skłonności do zapominania. Ale mimo tego jestem pewna, że siedzi ci to z tyłu głowy. – Nachyliła się i stuknęła Helen w czoło, po czym znów się roześmiała, kiedy ta, pogrążona w szoku, z trudem łapała powietrze. – No dalej, babciu. Dasz radę.

Helen zaschło w ustach, nie mogła wykrztusić z siebie słowa. Powoli potrząsnęła przecząco głową.

– Widzę, że przeszłość do ciebie wraca. Świetnie się składa. Nie ma sensu temu zaprzeczać, babciu, przypominasz sobie? Więzy krwi zawsze wyjdą na jaw. Ale zachowuję się niegrzecznie. Nie przedstawiłam się. Jenny. Jenny Kennedy, chociaż moje nazwisko, jak sądzę, jeszcze nic ci nie mówi.

Ale mówiło. Listy Ursuli. Obawy Ursuli. Krew szumiała Helen w uszach.

Kobieta uchwyciła się skraju stołu, z trudem wstała, a krzesło szurnęło o kamienną podłogę, przewracając się.

Jenny wystrzeliła jak z procy, okrążyła stół, postawiła krzesło do pionu i siłą usadziła w nim Helen.

– Nie, nie, babciu, nie kłopotz się. Ja się tym zajmę, dobrze? Nastawię wodę.  
– Jenny wyrwała Helen z rąk pokrywkę i podniosła czajnik leżący na podłodze u jej stóp. – Filizanka herbaty dobrze nam zrobi. W końcu mamy sporo do obgadania, prawda?

**ROSS-SHIRE, 19 CZERWCA**

**D**anny wyglądał przez okno, aż samochód Lexy zniknął za granią. Doprawdy wolałby, żeby pozwoliła sobie towarzyszyć. Lecz jak zwykle jej uległ. Rozumiał, dlaczego Helen nie przywitała jej z szeroko otwartymi ramionami. Miał jedynie nadzieję, że Lexy nie straci panowania nad sobą. Martwiło go, kiedy widział, jaka jest spięta, jaka krucha. Gotowa wybuchnąć pod byle pretekstem lub rozpaść się na małe kawałeczki. Cieszył się, że przyjechał. I chociaż ona nie przyznała tego na głos, wiedział, że czuła to samo. Ale nie był głupi. Zdawał sobie sprawę, że to nie znaczyło, iż pozwoli mu wrócić. Bez względu jednak na to, co się wydarzyło, musiał się upewnić, że nic jej nie jest.

Leżał na łóżku z zamkniętymi oczami, ale jego ciało nadal czuło szarpnięcia kierownicy, kiedy pędził na złamanie karku autostradą oraz jechał bardziej ostrożnie jednopasmówką, wpadając z łoskotem w dziury na drodze, gdy brakowało miejsca, by skręcić i je ominąć. Najpierw wyteżał wzrok w ciemności, a potem mgła, która zstąpiła ze wzgórz, otoczyła go ze wszech stron, kiedy zbliżał się do celu, słońce subtelnie zabarwione zielenią powoli wschodziło za jego plecami. Myśli nadal pędziły sto mil na godzinę.

Czy Lexy miała rację? Czy naprawdę była spokrewniona z tą dziwną kobietą i jej upośledzonym synem oraz jakimś biznesmenem – grubą rybą z Malawi? Czy na pewno zostanie spadkobierczynią majątku? To było równie mało prawdopodobne co wygrana na loterii.

Wraz z każdym wypowiedzanym słowem, każdym szokującym zwrotem

w opowieści, oddalała się od niego. I trafiała w ramiona tego mężczyzny, Roberta, nie było wątpliwości, bez względu na to, co mówiła.

Niedobrze. Nie zdoła zasnąć. Miał za dużo na głowie, nie przywykł do kolców zazdrości uwierających go ze wszystkich stron wraz z każdą myślą. Czarna kawa w termosie, stanowiąca jego paliwo podczas nocnej jazdy, pewnie też nie pomagała. Światło – zmatowiałe i szare – sączyło się przez cienkie zasłony i przypominało jego nadpobudliwemu mózgowi, że jest dzień. Nie pora spania. Lexy śmiała się z niego, nazywała niewolnikiem własnych przyzwyczajień i wściekała się na jego zamiłowanie do nawyków i rutyny. To było do niego podobne. Nie mógł spać w dzień, nie potrafił zarywać nocy.

Zachodził w głowę, co robi Lexy. Chwycił za komórkę, zastanawiając się, czy powinien do niej zadzwonić. Pewnie i tak tylko się na niego zezłości, ale mimo tego... Dotknął ekranu, patrzył, jak się rozświetla, następnie pojawił się wygaszacz.

To nie był jego telefon. Tulące się do siebie kociaki na ekranie podpowiedziały mu, że komórka należała do Lexy. Musiała przez pomyłkę zabrać jego, ponieważ na pewno widział, jak wrzucała jakąś komórkę do torebki. Typowe. Zawsze była rozkojarzona. Dobrze, w takim razie zatelefonuje do siebie.

Jego palec zawisł w powietrzu nad ikonką telefonu, ponieważ Danny zawahał się, dostrzegając czerwone kółeczko powiadomienia górujące nad innym symbolem na samej górze ekranu – nad zielonym znaczkiem wiadomości. Trzy nieodebrane SMS-y. Kliknął. Trzy nieprzeczytane wiadomości od Roberta.

Upuścił komórkę, złożył dłonie w wieżę i przycisnął je sobie do ust. Kosztowało go to całą jego uczciwość, do ostatniej krztyny, aby nie odczytać SMS-ów. Ale co dobrego mogłoby z tego wyniknąć? Poza tym Lexy miała rację. To nie jego sprawa. Już nie. Wycofał się rakiem, z dała od telefonu, żeby powstrzymać się i nie chwycić za niego i nie przejrzeć wiadomości. Czy to była

poczta głosowa? A może e-maile? Boże, to nie do zniesienia.

Telefon, tak jakby chciał z niego zadrwić, zadzwonił; w cichym pokoju rozległy się donośnie pierwsze dźwięki nowego dzwonka, plemiennej, afrykańskiej melodii, a komórka tańczyła i obracała się na narzucie na łóżko, mówiąc mu, kto dzwonił, jeszcze zanim imię pojawiło się na wibrującym ekranie: Robert.

Danny odebrał.

– Halo? Lexy? Czemu nie odpisujesz na moje wiadomości? – Głos był niski, silny, wyraźnie poirytowany. Danny poczuł odrobinę samozadowolenia: ignorowała wiadomości nie tylko od niego.

– Lexy? – Ton stawał się coraz ostrzejszy. – Nastąpił pewien... rozwój wypadków. I... Babcia, ona jest... Lexy? Lexy!

– Nie ma jej tu.

W słuchawce dało się słyszeć, jak rozmówca gwałtownie nabiera powietrza do płuc.

– Do diabła, kto mówi? Gdzie ona jest?

– Tu Danny, jej...

– Jej były. Wiem. Daj ją do telefonu. Muszę z nią porozmawiać.

– Nie ma jej w pobliżu. – Danny nie spieszył z pomocą.

– Nie mam czasu na takie gierki. To poważna sprawa. Pozwól, że z nią porozmawiam.

– Nie ma jej tu.

– W takim razie dlaczego odbierasz jej telefon? I, do diabła, gdzie ona się podziewa?

Danny'ego zaskoczyła złość mężczyzny po drugiej stronie słuchawki.

– Pojechała zobaczyć się z... – Danny'emu znów odeszła chęć, by pomóc; płynął na fali własnego gniewu. – Prawdę mówiąc, to nie twój interes, do

cholery. Przekażę jej wiadomość od ciebie, ale to wszystko. Sama ci powie tyle, ile będzie chciała.

– Na litość boską, człowieku, to ważne. Wiem, że szuka Helen, swojej bab... Jest tu ze mną David Buchanan, właśnie odebrał telefon od komendanta policji... Aresztowano Hugh Pendletona za niespłacenie długu hazardowego zaciągniętego u Richarda Chakanayi...

– U kogo?

– ...i próbę wyłgania się od tego obowiązku oraz miotania szalonymi oskarżeniami. Jednak w wyniku podjętych czynności okazało się, że pracował dla Jenny Kennedy.

– Co? Człowieku, zwolnij trochę.

– Jezu. Od czego by tu zacząć? Śledził Lexy, usiłował ją zastraszyć, by wyjechała. Nawet... To on stoi za węzem w szkole i...

– Wężem? O co...

– Zaufaj mi, dobrze? Lexy jest w prawdziwym niebezpieczeństwie. Wiem, że szuka Helen Buchanan. Ale jeśli ją znajdzie... Musisz ją powstrzymać! Ktoś inny też poszukuje Helen, ta osoba jest niebezpieczna, sądzimy, że uzbrojona, poza tym...

– Senga – wciął się Danny. – Senga Munro.

– To nie Senga, ale jej córka. Ale skąd, do diabła... Nieważne. Wiesz, gdzie jest Lexy? Danny, ta kobieta jest naprawdę niebezpieczna. Musisz namierzyć Lexy. Jeśli wybrała się do Helen, koniecznie ją stamtąd wyciągnij!

\*

**L**exy potarła dłonią wygładzoną główkę glinianego miodowodzika, którego trzymała w kieszeni jak talizman, i pogłaskała torebkę, gdzie znajdował się drugi ptaszek, rozbity i owinięty w plastikowy worek. Helen nie będzie mogła

zaprzeczyć prawdzie. Będzie musiała uznać swoją wnuczkę. Lexy przelotnie pożałowała, że nie ma przy sobie trzeciego miodowodzika, tego z mieszkania Ursuli. Trudno. To wystarczy, musi wystarczyć, by obalić zaprzeczenia Helen.

Lexy wzięła głęboki oddech, wypuściła powietrze, poruszała głową na boki i rozgrzała ramiona jak zawodowy bokser wchodzący na ring, czuła się zresztą podobnie. Zapukała donośnie do drzwi domku wiejskiego i nadstawiła uszu, nasłuchując dźwięków ze środka. Jadąc ścieżką ze wzgórza, zobaczyła stary samochód Helen na tyłach domu, więc zerknęła przez okno do warsztatu, szukając wzrokiem domowników, lecz nikogo nie zastała. Musieli więc być w domu. Zastanowił ją brak dymu unoszącego się z komina, ale dzień był łagodny, więc może nie było potrzeby grzać.

A może nikogo nie ma.

Nie, ktoś powinien, wręcz musi tu być. Znów załomotała do drzwi, tym razem głośniej i z większą determinacją. Potem chwyciła za klamkę i zdumiała się, gdy ta się obróciła, lecz zanim Lexy zdołała uchylić drzwi, zaczęły się nieznacznie zamykać, a w szparze pojawiła się twarz Helen.

– To ty! Odejdź stąd. Mówiłam ci już, nie jesteś tu mile widziana – syknęła, ciskając wzrokiem to na twarz Lexy, to oglądając się przez ramię na cienie w korytarzu.

Lexy położyła dłoń na drzwiach, żeby Helen przestała je zamykać.

– Przyszłam, żeby ci coś zwrócić. Wiem, że to dla ciebie ważne.

– Nie możesz mieć nic, co należy do mnie. Idź już. Zachowaj to i odejdź.

– To coś, co dał mi Ross.

– Ross. – Helen zaśmiała się gorzko. – Wyrządziłaś mu dość krzywdy.

– Czy coś się stało Rossowi? – Lexy była zdumiona, że ogarnęło ją zmartwienie.

Helen raptownie odwróciła głowę, tak jakby usłyszała coś za plecami.

– Co się dzieje, Helen? Mogę jakoś pomóc?

Helen ponownie zwróciła ku niej twarz i odezwała się ochrypłym szeptem.

– Musisz już iść. Proszę. Po prostu odej...

Helen przerwała, zobaczywszy miodowodzika, którego Lexy wyjęła z kieszeni i umościła na dłoni. Już wcześniej była blada, ale teraz policzki zbledły jej do reszty.

– Skąd to masz? Powiedziałaś ci wczor...

– Ross mi to dał.

– A ja ci to zabrałam. Ukradłaś?

– Nie. Ross zostawił mi go na samochodzie. Po tym, jak mnie przegoniłaś. Jak sądzisz, dlaczego to zrobił?

– Nie mam pojęcia. – Helen nagle wstrzymała oddech, znów spoglądając za siebie. – Zatrzymaj ptaszka, ale na litość boską, wynoś się...

– Mam jeszcze drugiego. – Lexy uniosła przezroczysty worek z rozbitym na kawałki miodowodzikiem jej matki i pomachała nim Helen przed oczami niczym zegarkiem do hipnozy. – Wiem też, gdzie znajduje się trzeci. A co ważniejsze, wiem, co kryje się w środku.

– Proszę. Musisz już iść! – Głos Helen był błagalny, a Lexy zdjęło przecucie. To nie była wyrachowana, arogancka kobieta, którą poznała wczoraj. Dzisiejsza Helen wydawała się przerażona; jakby w jej uporze, by Lexy sobie poszła, kryło się coś więcej...

– Wpuść ją.

Słowa dobiegały z ciemnego korytarza. Helen wzdrygnęła się, jakby ktoś raził ją ościeniem do poganiania bydła. Spojrzała milcząco na Lexy, po czym cofnęła się o krok, jak gdyby się poddając.

Lexy poczuła, że adrenalina powoduje szczypanie skóry. Coś tu było nie w porządku. Bardzo nie w porządku, choć nie potrafiła stwierdzić...

– Powiedziałaś: wpuść ją. – Chodziło o głos. Ten głos brzmiał znajomo,



a jednocześnie obco.

Ktoś chwycił Helen za ramię i pociągnął staruszkę w głąb korytarza, a w progu pojawiła się osoba, do której należał głos.

– Witaj, Lexy. Miałam nadzieję, że wpadniesz.

– Jenny? – Lexy starała się rozgryźć, co też opiekunka Ursuli robi w domu Helen. – Co... Skąd się tu...?

– Zastanawiające, prawda? – Jenny zaśmiała się bezdusznie. – Ale nie stój tak w progu. Wejdz do środka. Doczekałam się rodzinnego zjazdu, na który tak liczyłam.

Jenny ani trochę nie przypominała tamtej rozmownej i ciepłej opiekunki, a Lexy zdała sobie sprawę, dlaczego tak nieswojo czuła się w jej towarzystwie, będąc w mieszkaniu Ursuli. Jenny grała. Odgrywała rolę radosnej pomocy domowej. Ale dlaczego?

Godząc się na nietypowe dla siebie milczenie, ciche posłuszeństwo, Lexy weszła na korytarz i zobaczyła Helen stojącą obok Rossa, który pociągał nosem, po czym usłyszała, jak drzwi zatrzasują się za nią z łoskotem.

– Chodźmy do salonu – poinstruowała Jenny, otwierając drzwi do chłodnego pokoju. – Będzie tam mniej narzędzi i gratów. Nie chcielibyśmy, żeby ktoś przewrócił się i nadział na nóż lub coś podobnego, prawda?

Niczym roboty podążyli za Jenny do niewielkiego pomieszczenia i zajęli wskazane im przez nią miejsca.

– Rossie, ty obok mnie. – Jenny przyciągnęła do siebie speszonego mężczyznę, by usiadł obok niej na kanapie. – Czyż nie jest wygodnie? – Jenny chwyciła Rossa za rękę i mocno ścisnęła, uśmiechając się ponownie, gdy Ross jęknął. – Och, kochanieńki, to bolało? W takim razie siedź spokojnie, umowa?

– Zostaw go w spokoju. – Zdawało się, że Helen odzyskała nieco rezonu i pochyliła się, siedząc na skraju kanapy. – Nie wiem, czego chcesz, ale to nie ma z nim nic wspólnego.

– Masz rację. Nie będę miała z niego najmniejszego pożytku. Może jedynie posłużyć za drobną zachętę, żebyś zaczęła ze mną współpracować. Lexy, powiedz, doszłaś już do tego, dlaczego tu jestem?

Lexy potrząsnęła przecząco głową. Siedziała, ściskając miodowodzika i torebkę na kolanach, stanowiąc parodię zmieszanej, pokurczonej starszej pani.

– Och, a ja miałam cię za bystrzachę. To pokazuje, że modne, prywatne szkoły to nie wszystko. Może babcia ci wyjaśni. Bóg jeden wie, że nasz biedny, kochany wujek niestety nie zdoła, prawda, Rossie? – Kolejne ściśnięcie ręki, znów jęk i panika widoczna na prostodusznej twarzy.

Jenny obdarzyła ich wszystkich uśmiechem, najwyraźniej pysznie się bawiąc. Lexy zdołała jedynie usłyszeć w panującej ciszy miarowe tykanie dziadkowego zegara dobiegające z korytarza, delikatne, metaliczne bicie wybrzmiało niczym echo trójkąta. Spojrzała na Helen.

– O co chodzi? Nic nie rozumiem.

– Nie wiem, kim jesteś. – Helen wstała, uniosła dłoń, nie pozwalając, by Jenny jej przerwała, i podeszła do okna. – Och, wiem, za kogo się podajesz. Ale nie ma na to żadnego dowodu, prawda? Ani cienia dowodu, że nie konfabulujesz. – Helen odwróciła się i spojrzała na Jenny. – Konfabulantka. Nią właśnie jesteś.

– Och, babciu, ależ raniące stwierdzenie. – Jenny opłótła szyję Rossa ramieniem. – A wujek i ja tak dobrze się rozumiemy. Co do braku dowodu, to wszyscy wiemy, że to bzdura. Zrobiłaś, co w twojej mocy, żeby zatrzeć ślady, chociaż zaniedbałaś pewną rzecz: nie zajrzałaś do dokumentów misyjnych, a Cameron i ten gość, Richard, mieli własne powody, by przekupić lub zastraszyć kogo trzeba i uznać własną wersję wydarzeń za oficjalną i obowiązującą. Nie mogłaś przejrzeć papierów, Helen? Nie mogłaś się oprzeć pokusie, by zostawić drobną wskazówkę. To takie sentymentalne jak na kobietę, która porzuca dzieci na prawo i lewo. A teraz popatrz, Lexy odrobiła zadanie

domowe i przywróciła wspomnienia do życia. Powiedz nam, co znalazłaś w środku miodowodzików, Lexy, nie krępuj się.

– Ja... – Lexy wciąż trzymała glinianego ptaszka w dłoni, a plastikowy woreczek z połamanymi kawałkami na kolanach obok torebki.

– Nie wstydz się, Lexy. Masz dowód, czyż nie? Co to, jakieś wyznanie, podpisane oświadczenie... Co? Co to takiego?

– Nie, ja...

– Kurwa mać, ty głupia krowo! – Siła złości Jenny wstrząsnęła nimi. Ross zaczął skamleć; Helen podeszła, by go uspokoić. – Spadaj, babciu. Chyba nie chcesz, żeby twój pierworodny... Akty urodzenia. – Wyglądała na zadowoloną, kiedy dostrzegła leciutkie drzenie wywołane strachem na twarzy Helen. – Oczywiście. To właśnie znalazłaś w ptaszkach, Lexy, tak czy nie?

– Tak – odpowiedziała Lexy cicho.

– No cóż, oczywiście. Miodowodziki. Bardzo sprytnie, babciu. Pomyśleć tylko, że zmarnowałam tyle czasu, ganiając za tobą po Malawi, Lexy, przeszukując twój pokój, podczas gdy Hugh cię zabawiał. A potem musiałam prysnąć do Londynu, by przetrząsnąć twoje mieszkanie.

– To byłaś ty? Ale jakim...

– Taaa, sporo paczek poszło w tym tygodniu pocztą lotniczą, ale zapłaciłam za pierwszą klasę z kasy Ursuli na czarną godzinę, więc żaden problem, co nie?

– Ale... Hugh? Ty i Hugh Pendleton...?

– Boże, nie. Ten gość to dupek. Zrobi wszystko dla pieniędzy. Zatrudniłam go, żeby pomógł mi z robótką na misji za pierwszym razem, a potem nie spuszczał cię z oka. Ale spławiłam go, kiedy zrobił się pazerny. Idiota przerzucił się na freelancerkę, rozsyłał zagadkowe anonimy, żeby sprawdzić, czy ktoś przestraszy się na tyle, by zapłacić trochę hajsu. Naprawdę nie miał zielonego pojęcia, z czym igra. Nedorobiony narwaniec z niego. Albo po prostu niedorób...

Jenny zapatrzyła się na kominek, w zamyśleniu zawieszając głos. Lexy ze strachu przebiegł dreszcz. Nie miała pojęcia, co Jenny chciała przez to powiedzieć, ale była pewna, że nie oznacza to dla Hugh Pendletona nic dobrego.

– No ale... – Jenny z powrotem utkwiała wzrok w Lexy i z miejsca przybrała rzeczowy ton. – Akty urodzenia. Czyje?

– Mojej... mojej matki. Isobel Buchanan-Munro.

– Ciekawe... Choć teraz tego nie potrzebujemy, skoro uprzejmie sama zesłała nam z drogi.

Lexy napawało przerażenie.

– O nie. Proszę. Powiedz, że to nie byłeś ty.

– A, nie, jakiś pijak oszczędził mi zachodu. Nawet nie wiedziałam, gdzie mieszkała moja ciocia Izzie. – Ta niepokojąca kobieta, która deklarowała pokrewieństwo z jej matką, coraz bardziej działała Lexy na nerwy. – Nie – ciągnęła Jenny – nie miałam wtedy zielonego pojęcia, że ty i twoja matka zamieszkiwałyście równoległy świat, ale z drugiej strony blokowisko w Battersea dzieli od domu w Putney zaledwie kilka mil, prawda? Myślisz, że czasem siedziałyśmy obok siebie w metrze, wsiadałyśmy ramię w ramię do autobusu, Lexy? – Zaśmiała się cierpko. – Nieee, raczej wątpię. Ty pewnie jeździłaś taksówkami albo modnymi rowerami. Zostawiałaś komunikację publiczną takim jak ja. Taaa, i jakoś nie wyobrażam sobie, żebyśmy przesiadywały w tych samych barach, nie wpadłabym też na ciebie podczas zakupów w Arndale, co nie?

– Wciąż nie wiem, kim...

– Zaraz do tego przejdziemy, Lexy, zaraz. Hm, na czym to ja stanęłam? Tak. Nie wiedziałam, gdzie mieszkała Izzie, dlatego... – Kołysała głową na boki, szukając odpowiedniego słowa. – Dlatego przekonałam Ursulę, żeby przejęła inicjatywę, zadzwoniła do niej i namówiła ją na odwiedzin. A potem zjawiłaś się ty. Sama nie zaplanowałabym tego lepiej. – Jenny wyglądała na zadowoloną

z siebie. Lexy poczuła, że temperatura w pomieszczeniu spada. – Ale co z tą drugą figurką, z drugim ptaszkiem? Co w nim znalazłaś?

– Kolejny akt urodzenia, ale nie wiem, do kogo należy.

– A niech mnie. – Twarz Jenny ożywiła się, a uśmiech rozszerzył. – Za to Helen wie, tak czy nie, Helen? Powiedz nam, czemu nie? Opowiedz nam o mojej matce, babciu.

– Twojej matce? – Lexy była odrobinę skołowana, jak na wzburzonym morzu.

– Tak. Opowiadaj, Helen. O Sendze Munro.

Ostatnia lina cumownicza dokująca Lexy w porcie została zerwana. Jakim cudem Jenny znała imię i nazwisko widniejące na drugim akcie urodzenia?

\*

**D**anny’ego ogarnęła gorączka. Wywrócił pokój do góry nogami. Panował tu teraz taki bałagan, który zadziwiłby samą Lexy, ale mężczyzna nadal nie znalazł żadnej wskazówki, gdzie znajdował się dom na wsi. Powinien zapytać o to Lexy, kiedy wyjeżdżała, poprosić o telefon, kiedy tylko tu przyjechał... Pewnie zaśmiałyby się mu prosto w twarz. Przeważała staruszka. Poza tym mądry Danny po szkodzie.

Ale przecież musiał ją odnaleźć, ostrzec. Nie odbierała telefonu. Jego telefonu. A wiedział, że bateria niedługo się wyczerpie. *Myśl, Danny*, powtarzał sobie w duchu. Jednak nie potrafił. Mógł skupić się jedynie na tym, że ktoś chciał skrzywdzić Lexy.

Zdjął kurtkę z oparcia krzesła, poklepał się po kieszeniach i wyjął kluczyki do auta. Będzie musiał wyruszyć na poszukiwania. Przez półwysep prowadziła tylko jedna droga, ile mogło tu być gospodarstw wiejskich? Lecz już kiedy zbiegał po schodach, wiedział, że to niedorzeczny pomysł. Może domów nie ma tak wiele, ale na pewno są rozsiane po wsi i stoją w ukryciu. Dokładne

przeszukanie okolicy graniczyło z niemożliwością. Powinien zatrzymać się, przemyśleć to na spokojnie i opracować metodyczne podejście. Do diabła z tym.

Lexy. Zrobiło mu się niedobrze na samą myśl, że coś jej się może...

Policja. Musi zgłosić to na policję.

Czy tak właśnie należało postąpić? Przekazać sprawę policjantom? Nie. Jest na to za późno. Lexy może być w...

Ktoś mógłby...

– Dobry, proszę pana. Wybiera się pan gdzieś?

Oczywiście. Trzeba zapytać.

– Ja...Tak. Nie wiem, gdzie znajdę... dom... – Może jednak to nie najlepsze rozwiązanie. Nie wiedział nawet, jak się nazywała ta wieś ani jakie nazwisko nosiła Helen.

– Ten, o który pytała pani Shaw?

*Och, dzięki ci, jesteś aniołem*, pomyślał Danny.

– Tak. Proszę. To pilne. Muszę się tam dostać, zanim... – powiedział.

Recepcjonistka spojrzała na niego z ukosa, ale zdawało się, że odrobinę przyspieszyła ruchy. Wyjęła mapę i pokazała mu ją.

– Biegnie tędy tylko jedna droga, więc się pan nie zgubi. Oczywiście jest pewien myk, polega na tym, żeby znaleźć zakręt. – Zaśmiała się. Danny'emu nie udzieliło się jej rozbawienie. – Ekhm, tak. – Teraz się spieszyła, co nie było pomocne. – Cóż, trzeba skrócić w lewo. Będzie tam niewielki zjazd, tuż za drugim zakrętem. Około stu jardów wcześniej na drodze jest przeszkoda dla owiec, a jeżeli zobaczy pan skrzyżowanie, to znaczy, że przegapił pan zjazd.

Danny porwał mapę.

– Proszę zadzwonić na policję. Musi przyjechać, i to szybko. Potrzeba też karetki – dodał, modląc się do Boga, w którego nie wierzył, by nie było to konieczne.

Recepcjonistka szeroko otworzyła oczy.

– Natychmiast, do cholery!

Danny popędził do samochodu, niemal nie zwracając uwagi, że właśnie przeklął przy nieznajomej. Ale Lexy znajdowała się w niebezpieczeństwie. Zwykle zasady nie obowiązywały.

\*

**A**uto wydało z siebie jęk, kiedy Danny przerzucił gwałtownie biegi, wzbijając w powietrze kamyczki, gdy szarpnęło nim do przodu, a silnik zgasł.

– Niech to szlag! – wrzasnął Danny, uderzając w kierownicę, po czym znów przekręcił kluczyk w stacyjce, zapalił silnik i wcisnął pedał gazu. Lexy. Musi ją odnaleźć. Uratować.

Jak w amoku powtarzał w myślach słowa Roberta. Senga Munro miała córkę, córkę, która siedziała Lexy na ogonie od początku tej szalonej wyprawy. Córkę, która chciała zgarnąć całą pulę dla siebie, pragnęła pieniędzy Helen, Buchananów, wszystkiego. Córkę, która nie miała najmniejszego zamiaru dzielić się z kimkolwiek. Psychopatkę, która – jak sądzili – była uzbrojona.

Danny dał po hamulcach. Rozdroże. *Skup się*. Nie było czasu, żeby błędzić. Wrzucił wsteczny i odwrócił głowę. Zbyt szybko i mocno obrócił kierownicę, odbił się od zarośniętego pobocza, a silnik znów zgasł. Boże, nie znosił prowadzić. *Oddychaj*. Powoli. Nie będzie z niego żadnego pożytku, jeśli utknie w rowie. *Zawróć*. To nie do końca był manewr na trzy, ale w końcu udało mu się i ruszył tą samą drogą, którą przyjechał. Zakręt po lewej... Nie! W tym układzie po prawej, nie lewej. Spokojnie. *Nie spiesz się*. Ale trzeba dotrzeć tam, dotrzeć, zanim... zanim... Jest! Samochód bryknął jak nowo narodzona owieczka, skręcając w poorany dziurami trakt, a następnie z impetem wpadł w wyrwę pośrodku i stanął. *Cholera*. Zapłon zazgrzytał, zadrżał, kiedy Danny

raz i drugi obrócił kluczyk w stacyjce. Nagle wysiadł i biegiem popędził na wzgórze, potykając się, lecz nie tracąc determinacji. Lexy. Musi znaleźć Lexy.

\*

— Jesteś córką Sengi? – spytała Lexy cienkim, drżącym głosem. Zapomniała o Jenny, a zwróciła się do Helen: – A ty to matka Sengi? – Helen stała przy oknie, wciąż wpatrywała się w Rossa, ani drgnęła, nie potwierdzając usłyszanych słów.

Miała rację. Było czwarte dziecko. Helen miała czworo dzieci. Lexy obróciła głowę, by z powrotem spojrzeć na Jenny, próbując rejestrować w myślach, klatka po klatce, tę okrutną grę, rozgrywaną na jej oczach.

– A Cameron... był twoim dziadkiem?

– W końcu ogarnęła. Tak, Lex, to znaczy, że jestem twoją zaginioną kuzynką. Jak ci się to widzi?

– Ale, Helen – zwróciła się Lexy do kobiety, która stała z rękoma założonymi na piersi, nie zdradzając swoich myśli i nie odrywając wzroku od twarzy syna – przecież go nienawidziłaś, uciekłaś...

– To nie dowodzi, że jesteś tą, za którą się podajesz. Ani ty, ani ona.

– Na litość boską, Helen. – Zdenerwowanie Lexy sprawiło, że zrobiła się zgryźliwa, niecierpliwa, umierała ze strachu, widząc, co się tu dzieje. – Chyba nie będziesz dalej zaprzeczać, że moja matka, Izzie, była twoją córką? – Twarz Helen nieznacznie drgnęła. – I nie była twoją jedyną córką. – Brnęła Lexy, rozpaczliwie próbując uzyskać odpowiedź lub jakąkolwiek reakcję. – Co z ciebie za człowiek?

– Chciałam, żeby była bezpieczna.

– Bezpieczna? – Pomimo iskierki zwycięstwa, którą poczuła dzięki przyznaniu się Helen, Lexy nie dowierzała. – Najpierw porzuciłaś moją matkę, a potem...



– Porzuciłaś mnie. – Jenny znów przejęła kontrolę nad przebiegiem rozmowy. – Skoro nie jestem tą, za którą się podaję, Helen, skąd bym tyle wiedziała? Jakim cudem dowiedziałabym się o tym?

Niewielkie różowe plamki wystąpiły na policzki Helen; ręce, które trzymała po bokach, ścisnęła tak mocno, że aż zbieleły jej knykcie.

– Kiedy umarła moja matka, bo tak się stało, Helen... To prawda, twoje najmłodsze dziecko nie żyje. Pewnego słonecznego poranka wstałam i zobaczyłam, że leży na kanapie z igłą wciąż wbity w ramię. Piękny obrazek, co nie? Ale jestem pewna, że dasz radę powstrzymać się od żalu. Kiedy zmarła, postanowiłam... Utrzymać ją przy życiu jeszcze trochę. Zupełnie odwrotnie niż w waszym przekręcie. W grę wchodziły pieniądze, sama rozumiesz. Co miesiąc koperta na wycieracze. Nie wiedziałam, kto je przysyłał, więc nie czułam się w obowiązku poinformować nadawców o jej śmierci. Poza tym to nie tak, że ktoś by za nią tęsknił. Helen, twoja najmłodsza pociecha była ćpunką i dziwką, myślę, że możemy podziękować za to tobie. Porzuciłaś ją bez wahania na „łaskę” sióstr.

– To nieprawda, ja...

– Daruj sobie, Helen. Trochę na to za późno, nie sądzisz?

– On mnie zgwałcił.

– Nie bądź taką królową dramatu, babciu. Był twoim mężem. Mężowie tak mają.

Twarz Helen zdradziła coś, czego Lexy nie potrafiła dokładnie odczytać, następnie staruszka znów schowała się za maską.

– Nie miałam innego wyboru. Ciężko było odbić Rossa, nie mogłam ryzykować i narażać noworodka...

– Ech, nieważne. – Jenny przerwała jej machnięciem ręki. Helen wyglądała tak, jakby chciała zaprotestować, ale tylko zwiesiła głowę i ukryła twarz, podczas gdy Jenny kontynuowała. – Podjęłam więc decyzję – powiedziała, znów

kołysząc głową na boki – żeby załatwić sprawę po cichu. Żadnych nekrologów. Nikt nie przyszedł jej szukać. No cóż, raz zjawił się diler, zastanawiał się, gdzie podziła się jego najlepsza klientka, ale podwinął ogon pod siebie, kiedy przebaknęłam o policji i odwyku. Nikt inny nie zapukał do drzwi. Żaden z jej wielu chłopaków, żaden z „przyjaciół”, których przyprowadzała z pubu do domu, żaden z sąsiadów, którzy nigdy nic nie zrobili poza waleniem w ściany i wydzieraniem się na nią. Nie. Zachowałam to dla siebie, pozbyłam się jej i żyłam własnym życiem.

– Jenny, bardzo mi przyk...

– Na pewno, Lexy. – Jenny nawet na nią nie spojrzała, nie odrywała oczu od Helen. – Ty ze swoim idealnym życiem i całym gównem. Kochani mamusia i tatuś, chociaż, chlip, chlip, tata kopnął w kalendarz, kiedy byłaś brzdącem, co nie? Och, biedna, mała Lexy. Ja nie wiem nawet, jak mój ojciec się nazywał, matka na stówę tego nie wie. A popatrzeć teraz na nas, obie jesteśmy w tym samym miejscu, obie spartaczone przez babcię i jej gierki. Nadal masz się za lepszą ode mnie? Jakie to uczucie, kiedy wiesz, że przez całe życie cię okłamywano? Przynajmniej moja matka, mimo że była z niej zdzira, nie kłamała. Nie miała o niczym pojęcia. Głupia krowa co drugi dzień była zbyt otumaniona, żeby zastanawiać się, skąd biorą się pieniądze i dlaczego przychodzą co miesiąc punktualnie jak w zegarku. Zapytałam tylko raz, powiedziała, że to od zakonnic. Akurat. Tępa dzida.

– A skąd się brały? – Helen z dziwnym wyrazem twarzy znów przyglądała się Jenny.

– Z tego samego miejsca, babciu, skąd wzięły się twoje.

– Od Davida.

– Camerona. David nic nie wiedział, nadal o niczym nie wie. Och, na pewno słyszał, że istniała lewa kasa, by komuś posmarować i kupić milczenie, ale za to płaci temu Chakanayi, żeby nie wchodzić w szczegóły. Dla takiego człowieka jak

on to żadna różnica. Ciekawe, co by powiedział, gdyby dowiedział się, że wypłacał kieszonkowe swojej uzurpatorce. Nie mogę się doczekać, żeby mu to powiedzieć.

– Ale czemu Cameron...

– Cierpliwości, Lexy. Mamusia nie nauczyła cię, że to niegrzecznie przerywać innym? Dojdę do tego. No więc tak. Po pewnym czasie zrobiłam się ciekawa. Pieniądze. Ta sama suma od lat, a wszyscy wiemy, jakie są dziś koszty życia. Może, pomyślałam sobie, pora na małą renegocjację warunków. Drobną podwyżkę, można powiedzieć. Ale zanim zdążyłam namierzyć źródło, przyjełam gościa. Rany, jaką historię mi opowiedział! I jaką propozycję złożył! Lepiej siadaj, babciu. Dopiero teraz sprawa robi się naprawdę interesująca.

**KREMATORIUM MORTLAKE,  
LONDYN, WRZESIEŃ 2013 ROKU**

**J**enny była jedyną żałobniczką podczas pogrzebu swojej matki, co wcale ją nie zdziwiło. Nikomu nie powiedziała. O mały włos sama zostałaby w domu. Ale przyszła. Siedziała w pojedynkę w kaplicy krematorium i nie czuła nic. To nie ośpienie ani szok. Chodziło raczej o to, że nie miała już w sobie żadnych uczuć. Będąc dzieckiem, obdarowała swoją matkę niezmierną ilością miłości, nadziei i troski, aż w końcu zdała sobie sprawę, że to studnia bez dna. Wszystko w niej zniknęło, nic nie wracało. Matka nie miała czasu, chęci ani siły na nic innego poza nałogiem. Nawet jej córka nigdy nie stała się nikim więcej niż jedynie środkiem do osiągnięcia tego konkretnego celu, czyli haju. „Mili goście” Sengi rzadko bywali mili, więc Jenny szybko przekonała się, że nie warto oczekiwać, iż matka ją obroni. Nauczyła się troszczyć o siebie, nie bacząc na powolne samobójstwo matki.

Nie, żadnych łez.

Jenny zaczęła, aż zasłony zasuną się zamasyście przed tanią trumną, a potem szum torów elektrycznych ustanie z kliknięciem, wtedy zaczęła wyobrażać sobie gorąco i płomień liżący leżącego w środku trupa o ziemistej cerze. Chciała mieć pewność, że jej matka zostanie strawiona do reszty, po czym pozwoliła sobie na niespieszny uśmiech, który najpierw nieśmiało zagościł, a potem promiennie odmalował się na jej twarzy.

Gdy zbierała się do wyjścia, kątem oka dostrzegła poruszenie w zaciemieniu

na tyłach niemal pustego pomieszczenia. Błysk śnieżnobiałego mankietu, pstryknięcie zapalniczki, przelotny płomień. Mężczyzna kroczył przed nią przedsionkiem, prezentując tył swojego skrojonego na miarę garnituru oraz zostawiając za sobą smugę papierosowego dymu. Z ciekawości ruszyła za nim.

– Jenny, prawda? – przemówił mężczyzna, nawet się nie odwracając, kiedy Jenny zrównała z nim krok. – Jestem tu w imieniu twojego dziadka.

Jenny sarknęła śmiechem bardziej z szoku niż rozbawienia, a przede wszystkim z niedowierzania.

– Tak, a ja jestem pieprzoną Kleopatą.

– Nie wierzysz mi. Oczywiście. Dlaczego miałabyś dawać wiarę? – Mężczyzna powoli odwrócił się, aż mogła spojrzeć mu prosto w oczy wywołujące niepokój na tle głębokiego, ciemnego granatu jego skóry. – Co by cię przekonało? Albo może lepiej spytać nie co, a ile?

Jenny nie odpowiedziała. Zmrużyła oczy w szparki. Matka twierdziła, że nigdy nie poznała swoich rodziców. Pochodziła z nieprawego łoża, powiedziała kiedyś, prędko oddano ją do adopcji niczym porzuconego szczeniaka.

Mężczyzna uśmiechał się do niej, wyglądało, jakby ją oceniał.

– Pewnie chcesz więcej niż matka, jak sądzę. Chyba nie podzielasz jej... hobby.

Jenny fuknęła.

– Wyglądam na frajerkę?

– Nie... – W jego głosie krył się cień zadumy. – Nie sądziłem, że będziesz ofiarą losu, ale z drugiej strony nie spodziewałem się też kogoś takiego...

– Jakiego? Proszę posłuchać, nie wiem, kim pan jest ani czego pan chce, ale jeśli to ma cokolwiek wspólnego z moją matką, mam to gdzieś. Jestem tutaj tylko po to, żeby upewnić się, że ta dziwka już zniknęła, proszę więc nie popełniać błędu i nie myśleć, że coś mnie to obchodzi, bo nie obchodzi mnie nic a nic. A teraz suń się pan. Stoi mi pan na drodze, a pora na mnie.

– Proszę mi wybaczyć. Na pewno jest pani zajęta. – Jego uśmiech nie zbladł, kiedy mężczyzna odsunął się na bok i wyciągnął ramię, wskazując długi czarny samochód lśniący w promieniach jesiennego słońca. – Mógłbym panią gdzieś podrzucić? Gdziekolwiek, tam, gdzie się pani spieszy. Możemy porozmawiać po drodze, poznać się nieco lepiej.

Nawet Jenny ze swoją nikłą znajomością motoryzacji potrafiła rozpoznać mercedesa najwyższej klasy. Obok wozu stał na baczność szofer w uniformie. Po głowie krążyły jej myśli, stukocząc, kiedy obijały się o siebie jak paciorki liczydła, podczas gdy ona rozważała wszelkie możliwości. Kimkolwiek był, na pewno jest dziany. Jeżeli poszukiwał zaginionej wnuczki i uzna, że Jenny odpowiada rysopisowi i oczekiwaniom, może wyświadczy mu tę przysługę. W każdym razie nie zaszkodzi wysłuchać starego pryka.

Jenny rażno przytaknęła.

– W takim razie do Battersea.

– Ach, do mieszkania twojej szanownej matki, jak przypuszczam? Cóż, czyli mieszkania twojego dziadka, ściśle rzecz ujmując.

Jenny odruchowo obróciła głowę w stronę nieznanego.

– Och, tak, moja droga. Chociaż pozwolił twojej matce mieszkać tam tak długo, jak tylko pragnęła, nie płacąc czynszu. Przynajmniej tyle ojciec mógł zrobić dla własnej pociechy: zapewnić jej dach nad głową, szczególnie, że miała tak duże potrzeby. Jenny, nie chcę tak prędko rozczarować się twoją osobą. Na pewno musiałaś się zastanawiać, jakim cudem taka córka marnotrawna jak twoja matka dorobiła się takiego mieszkania?

Prawdę mówiąc, tak było. Może nie mieszkały w Knightsbridge, lecz Jenny miała wystarczające pojęcie o rynku nieruchomości w Londynie, żeby wiedzieć, iż nawet dwupokojowe mieszkanie w samym środku Londynu południowego było sporo warte. Próbowwała dorwać akt własności, by sprawdzić, czy matka naprawdę posiadała to mieszkanie. Nigdy nie zdarzyło się, by właściciel lokalu

zapukał do drzwi, domagając się zapłaty czynszu, nawet podczas najchudszych lat. Jenny mimowolnie czuła się zaciekawiona.

Gdy podeszli do samochodu, szofer jakby ożył i otworzył tylne drzwi.

– Zapraszam, moja droga. – Nieznajomy stanął z boku, przepuszczając ją przodem, by umościła się na gładkim skórzanym fotelu, po czym usiadł obok niej; jego ruchy sprawiły, że skóra zatrzęszczała. Drzwi zamknęły się cicho i chwilę później samochód ruszył z delikatnym pomrukiem przed siebie, zostawiając krematoryjne obrzędy w tyle.

## ROSS-SHIRE, 19 CZERWCA

Ścieżka okazała się dłuższa i bardziej stroma, niż się spodziewał; nie widział jeszcze wiejskiego domu. Modlił się, żeby droga okazała się tą właściwą. Powinien zostać w samochodzie i jeszcze raz spróbować zapalić silnik. Przystanął i pochylił się, opierając rękoma na kolanach, z trudem łapiąc powietrze i próbując poluzować ciasną obręcz, która ścisnęła mu klatkę piersiową i płuca. Młodzi pracownicy uczelni nie przywykli do takiego wysiłku. Prawdę mówiąc, największą aktywność fizyczną Danny’ego stanowiło dźwiganie naręczy książek w górę i dół schodów wiodących do i z biblioteki.

Pot ściekał mu strużkami z włosów na czoło i piekł w kącikach oczu. Zamaszyście odgarnął włosy i wyprostował się, ocierając czoło grzbietem dłoni, przez co jeszcze więcej soli dostało mu się do oczu. Czerwień mignęła mu spomiędzy krzewów janowca okalających lewe pobocze ścieżki. Rozsunął gałęzie, klnąc pod nosem, kiedy kolce wbiły mu się w ręce i zaczepiły o rękaw kurtki. Pordzewiały czerwony pick-up i ślady na miękkim podłożu, pokazujące, gdzie zjechał z drogi. I nie przez przypadek. Było to działanie celowe, ktoś go tu ukrył. Serce waliło Danny’emu, kiedy znów piał się ścieżką z obdrapanymi rękoma, szczypiącymi oczami i ściśniętą piersią. *Lexy, nadchodzę.*

\*

— **K**rew. Twoja krew, Helen. Tylko to się liczy, co nie? To, czy jestem



bękartem bękarta, porzuconą córką pijanej suki, czy cholerną królową Sabą, nie ma najmniejszego znaczenia. Chodzi tylko o to, żeby krew płynąca w moich żyłach była bezpośrednio związana z twoją, co nie? A on powiedział, że potrafi udowodnić, że jestem twoją wnuczką. I to wystarczy.

– Wystarczy, żeby co?

– Och, Lexy, nadążaj, zaczynasz mnie nudzić. Żeby pozbyć się Davida, który rujnował przedsięwzięcie przyznawaniem się do Blantyre 144. Żeby go zastąpiła. Kto by pomyślał, że wujek Dave robi się na starość takim sentymentalnym mięczakiem? Nikt się tego nie spodziewał.

– Ale Robert powiedział...

– „Robert powiedział” – przedrzeźniała Lexy Jenny.

– Robert, mój kuzyn, to rasowy dupek, ale akurat trafiło się ślepej kurze ziarno. Wujek Dave wahał się, co powiedzieć, sama rozumiesz, chociaż wiedział, jak brzmiała oficjalna wersja wydarzeń. Zrobił się marudny, narzekał na starość, samotność. Chciał coś po sobie zostawić i tym podobne bzdury. Chakanaya sądził, że lada chwila odbierze telefon od Roberta, syna swojego starego kolegi ze szkoły, i usłyszy w słuchawce: spotkajmy się, pogadajmy z kieliszkiem w rękę albo z magnum w kieszeni, biorąc pod uwagę pretensjonalne bzdury starego pryka. To, że ustąpił i zapłacił czarnuchom za błotną kąpiel. Ale nieważne. Gdybyśmy szybko wkroczyli do akcji, w końcu dostałabym to, co mi się należy, wszystko to, co wy, trzy stare wiedźmy, którym przyszło do głowy podmieniać dzieci, mi odebrałyście. Mój miły gość zapewnił mnie, że wszyscy inni potencjalni spadkobiercy albo nie żyją, albo są umyślowo chorzy, mając na myśli ciebie, wujku Rossie, co nie? – Uszczypnięcie i kolejny jęk. – Albo o niczym nie wiesz; tu chodziło, droga kuzynko, o ciebie i niedawno zmarłą Izzie.

– Moja matka nie wiedziała?

– Kiedy wyjechała do Malawi, myśleli, że jakoś do tego doszła, obserwowali ją niczym jastrząb ofiarę. Ale nic się nie wydarzyło. Nie miała zielonego pojęcia.

Mieszkała w domu pielęgniarzkim, potem w małym bungalowu na terenie szpitala, mimo że mogła przecież zatrzymać się w pięciogwiazdkowym Domu Buchananów i mieć piękne widoki, a nie szpitalny basen w zasięgu wzroku. – Śmiech Jenny zakrawał na histerię, ale Lexy nie zwracała na to uwagi, ponieważ odetchnęła z ulgą. Matka nie wiedziała, że należy do rodu Buchananów, nie okłamała jej. Izzie była niewinna jak...

– W każdym razie do czasu. – Koniec z ulgą, która opadła równie szybko, jak wezbrała. – Wyglądało na to, że Ursula się wysypała. Przebąknęła coś o tobie, Lexy, z czego wynikało, że twoja babcia i Izzie niedługo mogą się wszystkiego domyślić. Ursula od zawsze twierdziła, że nigdy nie poznała matki Izzie, misjonarki, tylko jej ojca, jakiegoś pastora. Kiedy stara ptaszyna nie chciała rozmawiać, Izzie wybiegła jak oparzona i nie wracała przez lata.

Lexy odetchnęła. Izzie nie wiedziała, kim była. Nie zataiła tego przed Lexy, nie odmówiła jej dostępu do rodziny, nie miała pojęcia, że taka rodzina istniała. Jedyne, co ukrywała przed nią matka, to fakt, iż Ursula była kłamczynią. Mama ją chroniła, usiłowała oszczędzić jej gniewu, niepewności i smutku, które sama Izzie musiała czuć, kiedy odkryła, że przez całe życie ją okłamywano, celowo odebrano jej prawo dowiedzenia się, kim jest, skąd pochodzi. Z tymi samymi uczuciami Lexy borykała się od dwóch tygodni, teraz w końcu może je sobie odpuścić. Izzie jej nie oszukała; matka jej nie zawiodła.

– Miała co do ciebie podejrzenia, wiesz? – Lexy, do tej pory pochłonięta kotłowaniną emocji, ocknęła się na głos Helen.

– Nie, nieprawda – warknęła Jenny. – Nabrałam ją, jadła mi z ręki.

– Nie, wcale nie. Nie ufała ci. Podjęła pewne środki ostrożności na wypadek... Nie znalazłaś żadnego adresu, prawda? Nic, co mogłoby wskazać ci drogę do mnie, odesłać do Lexy, racja? Żadnej pomocy poza tamtymi starymi zdjęciami, ale i tak nie wiedziałaś...

– Znalazłam pieniądze! – oznajmiła zwycięsko Jenny. – Znalazłam gotówkę

w mieszkaniu, schowaną w książce, na litość boską. Potraktowałam ją jako zaliczkę na poczet tego, co mi się należy. – Zaśmiała się. – Ta kasa była dla ciebie, co nie? Może byś zrzucił trochę tego, wujku Rossie, gdyby pieniądze nie przychodziły. – Ujęła fałdkę tłuszczu wylewającą się Rossowi znad paska i uszczypnęła ją, a on znów zaskomlał.

– Zostaw go w spokoju! – krzyknęła Helen, zrywając się i spiesząc ku synowi.

– Och, siadaj, babciu. Nic mu nie jest. Nie stanie mu się nic złego, jeśli będziesz robić, co ci każe.

– To dlaczego ją zamordowałaś?

– Zamordowałam? Och, to odrobinę za mocne słowo, co nie? Upadła. Te schody, sama wiesz, dla kobiety w jej wieku... – Jenny uśmiechnęła się wyniośle, pokiwała głową i udała zatroskaną.

– Dlaczego? – Helen nie ustępowała.

– Głupia krowa. Ciągle mnie sprawdzała, suszyła mi głowę, nigdy nie była z niczego zadowolona. W końcu nie jestem cholerną gosposią, przecież wcale mi nie płaciła. Niewdzięczna suka. Snuła się po domu w tych obleśnych papuciach. Nakryła mnie, jak przeliczałam kasę. Powiedziała, że zadzwoni na policję. – Pogardliwy uśmieszek znów zagościł na jej ustach. – Skończyło się na tym, że to ja tam zadzwoniłam, co nie? Po tym, jak przekreśliła parę fikołków ze schodów. – Jenny raz po raz kreśliła ręką w powietrzu owe fikołki, po czym plasnęła otwartą dłonią w udo Rossa, jęk bólu, który wyrwał mu się z ust, zagłuszył jej śmiech.

Następnie zapadła cisza, Helen i Lexy wymieniły spojrzenie, ale Helen nadal była niewzruszona. Lexy wiedziała, że jej wyraz twarzy bynajmniej nie pozostawał obojętny, podczas gdy ona sama z trudem usiłowała opanować wzbierające zszokowanie. Obejrzała się na Jenny, która z uśmiechem siedziała na kanapie; wyglądała na triumfującą, rozbawioną, beztroską.

– Och, daj spokój, Lexy – mówiła Jenny – nie rób takiej miny. Przecież

wcale cię to nie obeszło. Nie odwiedzałaś starej krowy od wielu lat.

– Nie sądzę, żeby w tym tkwiło sedno problemu – wtrąciła Helen.

– Kto to był, ten mężczyzna, który do ciebie przyjechał? – Lexy próbowała dopasować do siebie elementy układanki. – To nie był David, Cameron nie żyje...

– Richard Chakanaya. – Helen wypluła te słowa jak zepsute mleko.

– Strzał w dziesiątkę, babciu. Pan złota rączka twojego męża. A do tego, może to cię zainteresuje, właściciel sporych udziałów w firmie. Oczywiście nie ma ich wystarczająco, żeby powstrzymać Davida, ale ryzykuje utratą sporej sumy, jeśli przedsiębiorstwo Buchananów zbankrutuje. Nie skakał z radości na tę myśl, dlatego właśnie przyszedł do mnie. – Jenny pokręciła nosem, założyła nogę na nogę i rozsiadła się wygodnie, zanim podjęła opowieść.

– Kiedy wyjechał, zaczęłam kminić. Dopóki byli inni roszczęcy sobie pretensje do spadku, świadomi swoich praw lub też nie, i dopóki on wiedział, gdzie oni są, a ja nie, założyłam, że będę musiała tańczyć tak, jak mi zagra. I nie byłam pewna, czy mam na to ochotę. Nie rozumiałam, dlaczego miałabym tańczyć do melodii wygrywanej przez jakiegoś Indiańca, fagasa mojego dziadka. I nie widziało mi się, żeby później jacyś dawno zapomniani krewni niespodziewanie wyrosli spod ziemi. Nie. Niewiedza nigdy nie trwa wiecznie, a ja lubię wiedzieć, na czym stoję. Niepełnosprawnych, takich jak wujek Ross, przeżyję; nie ma mowy, żeby chłopiec wyzdrowiał. Ale pozostali? Najlepiej byłoby im w trumnie. Chakanaya nie chciał mi powiedzieć, gdzie mogę znaleźć członków rodziny, zresztą mu się nie dziwię, dlaczego miałby mówić? Więc kazałam mu się gonić i wzięłam sprawy we własne ręce. Tylko że nie wydebiłam od niego „dowodu” na to, kim jestem, więc potrzebowałam innego zaświadczenia tożsamości. Kogoś, kto potwierdzi, że naprawdę mam prawo do firmy Buchananów i całego majątku. Dlatego właśnie spotykamy się dziś tutaj, Helen, na naszym małym zjeździe rodzinnym.

– Nie zrobię tego. Nie jestem już tą samą kobietą. Tamta Helen Buchanan umarła pięćdziesiąt lat temu, a ja... jestem kimś zupełnie innym. – Helen miała beznamiętny głos, wzrok wbity w Rossa oraz nieprzenikniony wyraz twarzy.

– Zapomniałaś o aktach urodzenia. – Jenny wyglądała na zadowoloną z siebie, jej oczy lśniły zwycięsko.

– Nie jestem przekonana, czy świstek papieru znaleziony w tak dziwnych okolicznościach zda ci się na wiele, przecież stawka w grze jest spora. Próżno szukać dowodu na piśmie. Cameron tego dopilnował. A te akty nie miały ujrzeć...

– A więc przyznajesz – wtrąciła się Lexy. – Przyznajesz się, że...

– Zrobisz to, Helen. Jesteś mi to winna. Musisz jedynie podpisać oświadczenie i na chwilę wrócić do świata, żeby potwierdzić moje prawo do roszczeń. Potem możesz zaszyć się tu z powrotem i odsiedzieć wyrok dożywocia, który zasądził ci kochany wujek Ross. Choć przecież go postrzeliłaś, ale do diabła z tym. Nikogo nie obchodziecie, ani ty, ani on. Zostawią cię w spokoju. To mną wszyscy się zainteresują, to ja stanę się bohaterką nagłówków gazet. Ja.

– Naprawdę sądzisz, że David ustąpi i pozwoli ci na to?

– Ma związane ręce. Jest oszustem, zabrał to, co należy do mnie!

– I do Lexy, jeśli twoje przypuszczenia są prawdziwe.

Jenny obróciła się i spojrzała na Lexy z przenikliwym i chłodnym wyrazem twarzy.

– Nie chcę ani grosz...

– Chyba nie sądzisz, że jestem głupia, kuzyneczko? Powiesz cokolwiek, żeby się wyłgać.

– Nie. Nie chcę nic a nic.

– Może jeszcze nie teraz. Ale co będzie, jak zmienisz zdanie, co na pewno nastąpi, gdy tylko bachory w tej twojej szkółce zaczną działać ci na nerwy? Zacznieś myśleć o pieniądzach i wolności, którą mogłabyś za nie kupić. Nie,

Lexy. Nie mogę ryzykować.

Jenny schowała rękę w torbie leżącej u jej stóp i wyjęła jutowy worek. Lexy spojrzała na niego z przerażeniem. Twarz Jenny przecinał nerwowy uśmiech od ucha do ucha, gdy powoli uchyliła jutę i pokazała ciemny, lśniący pistolet. Broń. Helen wyrwał się stłumiony okrzyk, a jej wzrok wędrował między Jenny a Rossem, Rossem a Lexy.

– Rany, Helen, nie denerwuj się tak. Pewnie się zastanawiasz, po co mi broń. Co taka urocza młoda osoba robi z bronią w ręku? Powinnaś wiedzieć. Sama wyposażyłaś się w coś takiego. Samoobrona, co nie? Trzeba bronić tego, co twoje, tego, co ci bliskie, pamiętasz? No tak, myślę tak samo. To gwarancja mojej przyszłości. Jedna kula załatwia... konkurencję...

Jenny wycelowała lufę w kierunku Lexy.

– Druga dostarczy ci argumentu, żeby robić, co ci każe. – Jenny wzięła na muszkę Rossa i mierzyła w jego czoło. Zdezorientowany mężczyzna zamrugał szeroko otwartymi oczami, nieświadomy niebezpieczeństwa w postaci wycelowanej w niego broni.

– Zostaw go w spokoju! – Głos Helen był ostry, przejmujący. – Czemu ci przeszkadza?

– Nie przeszkadza mi ani trochę, Helen. O ile będzie współpracował, włos nie spadnie mu z głowy, zapewniam. To przygłup. Nie ma osobowości prawnej, nie robi mi więc żadnej różnicy oprócz tego, że jest ważny dla ciebie.

Jenny szturchnęła Rossa pistoletem, jednocześnie obserwując Helen, drwiąc z niej. Lexy przesunęła się na skraj siedzenia – to była jej szansa. Zerknęła na drzwi. Czy uda jej się dopaść do nich, otworzyć je i uciec...? Ale co potem? Było jasne, że broń miała posłużyć do tego, by pozbyć się tylko jednej osoby z pokoju, a Jenny w sekundę mogłaby wziąć ją na muszkę i nacisnąć spust... Ale przecież musi się stąd wydostać i wezwać pomoc. Jenny nie skrzywdzi Helen ani Rossa, przynajmniej jeszcze nie teraz, skoro nadal potrzebowała, by Helen z nią

współpracowała. Serce Lexy waliło jak szalone. O Boże, Jenny ją zabije, nawet jeśli dobiegnie do drzwi. Czy uda jej się uciec? Jenny ruszy za nią w pościg...

Kątem oka dostrzegła poruszenie za oknem. Mignął jej zarys postaci, nieostry w wątych promieniach słońca schowanego za gęstymi chmurami. Kto to? Czy Jenny postawiła kogoś na warcie na zewnątrz, by na wszelki wypadek czekał i był gotów...

– Czas się zbierać, Lexy.

Lexy gwałtownie odwróciła głowę i spojrzała Jenny prosto w oczy, wtedy ujrzała wycelowany w siebie nieruchomy pistolet. Jenny podeszła do drzwi, wyjęła staromodny klucz z zamka i zatarasowała wyjście, opierając się o nie plecami. Lexy huczało w głowie, jakby pod czaszką kłębiły jej się szerszenie, z trudem tłumiła panikę, przerażenie, niedowierzanie.

– Ty – rzuciła Jenny, wskazując głową na Helen – uspokój tego idiotę, a my z Lexy przejdziemy się na mały spacer. Na pewno będziesz chciała zakryć mu oczy, żeby nie patrzył. To może obudzić wspomnienia jego własnej... traumy. Chyba nie chcemy, żeby miał koszmary, co nie?

Lexy poczuła, jak żar podchodzi jej do gardła i wykwita na twarzy, krew w żyłach wrze i gryzie jej tętnice niczym siarka. A jednak stanęła jak wryta, zamarła, zahipnotyzowana chłodem i pustką wyzierającą ze spojrzenia Jenny, kątem oka widząc, że Helen je obserwuje, gdy zeszła im z drogi, spiesząc do Rossa, który znów zaczął skamleć. To się nie działo, nie działo się naprawdę. Nie chciała umierać... zanim... nie teraz. Poczuła, że szloch wezbrał na sile, próbując wyrwać się z samych trzewi jej istnienia, ale nie chciała dać Jenny satysfakcji. Pragnęła jedynie odnaleźć rodzinę, ale nie w taki sposób, nie...

Drzwi otwarły się raptownie na oścież i mocno uderzyły Jenny, ta potknęła się, przewróciła na kolana, upuszczając broń, która poleciała po podłodze i zatrzymała się, uderzywszy w stopę Rossa.

– Danny!

Wszedł do środka i doskoczył do Lexy, wyciągając ku niej ramiona.

– Nie! Zajmij się nią! – krzyknęła Lexy, kiedy Jenny chwiejnym krokiem ruszyła po pistolet. Danny zawahał się na chwilę, potem z rykiem rzucił się na Jenny, ale Helen była szybsza, wyskoczyła przed syna i odepchnęła Jenny, rozległ się huk i wszystko stanęło w miejscu.

– Co się... – Danny pierwszy doszedł do siebie, obrócił się i chwycił Lexy, przyciągnął ją do siebie, jednocześnie badając uważnie jej twarz.

– Nic mi nie jest, ja... O Boże!

Plama krwi rozszerzała się na piersi Helen niczym rodząca się gwiazda, mina kobiety wyrażała zaskoczenie, niedowierzanie i coś jeszcze: spokój, bezruch. Helen oderwała ręce od ramion Jenny, a potem upadła, osunęła się na podłogę i odsłoniła Rossa, który siedział na kanapie za nią, a broń bezwładnie zwisała mu z palców lewej dłoni.

– Jezu! – Jenny odepchnęła postrzeloną kobietę, która poleciała na plecy, i przeskoczyła nad nią, by rozbroić Rossa.

Danny znów ryknął, odsunął Lexy na bok i wypróbował na Jenny chwyt rugby, oplatając ją w pasie i sprowadzając do parteru tak, że podczas upadku uderzyła głową w niski stół.

– Pistolet, Lex, weź pistolet.

– Rzuć broń, Rossie – krzyknęła, a Ross posłusznie wykonał polecenie, po czym osunął się na poduszki, otulając się ramionami, gdy jego ryszunek odbił się od dywanu i zniknął pod kanapą.

– Dobry z ciebie chłopak, Rossie, świetnie, siedź i nie ruszaj się. – Lexy poklepała go po ramieniu, mijając go w drodze do Helen, która leżała na podłodze z nikłym uśmiechem na ustach.

Za ich plecami Danny siłował się z Jenny, próbując ją obezwładnić; usiadł jej na plecach, chwycił za nadgarstki, wyprostował jej ręce, unosząc je ponad jej głowę, i przygwoździł do podłogi. Jenny próbowała stawiać opór, kopiąc



i szamocząc się, gdy już odzyskała rezon po uderzeniu w głowę. Zdawszy sobie sprawę, iż została pojmana, poczuła przyływ sił i wściekłość.

– Zejdź ze mnie, łajdaku, puszczaj! – wrzeszczała, próbując złapać oddech, gdy Danny naparł na nią całym ciężarem swojego ciała.

– Lexy, zrób coś! Jakbym ujeżdżał pieprzoną... wierzgającą... klacz.

Ale Lexy starała się zatamować krwawienie z klatki piersiowej Helen, by raniona kobieta nie straciła przytomności.

– Nie mogę, ja... Ross! Rossie, potrzebujemy pomocy. Pomóż Danny'emu. Usiądź na niej, ty też siadaj na Jenny, uda ci się, już nie zrobi ci krzywdy, nie da rady. Tak, świetnie – zachęcała go, próbując przybrać pewny i uspokajający ton.  
– Dobrze, Rossie, tak, o to chodziło.

Danny energicznie złapał ociężałego mężczyznę za rękę i pociągnął go na podłogę. Jenny ciężko stęknęła, kiedy powietrze pod dodatkowym naciskiem uszło jej z płuc, ale zdążyła jeszcze wyciągnąć dłoń, którą Danny na chwilę wypuścił z bloku, i podrapała go po twarzy do krwi, a Danny znów ryknął z taką wściekłością, że Lexy nie wiedziała, iż potrafił się na nią zdobyć. W tym samym momencie Helen odetchnęła z trudem, zwracając na siebie uwagę Lexy, która klęczała obok niej.

– Helen, nie zamykaj oczu. Popatrz na mnie, proszę, Helen. O Boże, nie... Nie możesz... Dopiero cię odnalazłam... – Lexy płakała, jedną dłonią głaszcząc kobietę po czole, drugą przyciskając do jej klatki piersiowej, by powstrzymać potok krwi; zanurzyła rękę w ciepłe życie opuszczającego staruszkę. Helen wypuściła powietrze, wzięła powolny oddech, poruszała wargami, ale żadne słowa nie wydostały się z jej ust.

– Co? Co mówisz? Helen, proszę. Nie... Nie możesz mi tego zrobić! – Wściekłość wywołana frustrującymi odkryciami, kłamstwami, zdradami i szokiem paru ostatnich tygodni wezbrała w Lexy, która teraz krzyczała, wrzeszczała na umierającą kobietę, na swoją babcię, by ta została przy życiu.

Poczuła dłoń na ramieniu, podniosła wzrok na zmartwioną twarz Danny'ego, po czym zobaczyła, jak od Rossa bije duma, że zdołał unieruchomić Jenny, związać jej ręce i nogi sznurem do zasłon, dzięki czemu jej szarpanina nie przynosiła skutku i traciła impet.

– Danny, ona jest... Nie puszczaj jej... – Lexy szlochała, patrząc na jego zatroskany wyraz twarzy, a potem utkwiała wzrok z powrotem w umierającej.

– A... lexis. – Jej głos przypominał oddech, westchnięcie. – Dziewczynka mojej Izzie... Moja mała... Lexy...

Na te słowa, niosące uznanie prawdy i ulgę, szloch uwiązał Lexy w gardle.

– Nie odchodź... Jeszcze nie teraz... – Lexy miała ściśnięty głos, gardło ją bolało, gdy trzymała starszą panią za rękę. Poczuła, że Danny uwalnia jej dłoń i w zastępstwie sam zaczyna uciskać ranę, jednak strumień krwi nie stracił na sile, sączył się przez ubrania i na dywan, kiedy Helen odchodziła od Lexy.

– Ross. – Słowa przypominały świst, ledwie strumień powietrza wypuszczony przez zwiotczone usta. – Proszę... lexis... Ross.

Lexy przytakiwała, gładziła Helen po twarzy, zostawiając na przywiedłych, zbladłych policzkach ślady krwi, lecz nagle poczuła, jak palce dłoni, którą trzymała w swojej, rozluźniają się, widziała, że oczy zasnuwają się mgłą, stają się przyćmione. I wiedziała, że babcia odeszła.

Chwilę później usłyszeli samochód jadący na syrenie, potem inne auto szybko wjeżdżające pod górkę, ale dla Lexy, kiedy rozejrzała się po pokoju i zakrawającym na farsę anturażu śmierci jej babci, odsiecz przybywała za późno.

# Posłowie

**L**exy patrzyła, jak Danny przechodzi przez pokój i siada naprzeciwko niej. Byli sami w niewielkim barze hotelowym. Niemieccy turyści już dawno poszli do siebie, szykując się na kolejną epicką wędrowkę po górach czekającą ich nazajutrz rano. Barman oddalił się do recepcji, prosząc, by zadzwonili, jeśli będą go potrzebować, chwilę po tym, jak Danny przekonał go do zostawienia butelki na stoliku, oferując w zastaw swoją kartę kredytową.

– Dodzwoniłeś się do niego?

Danny potrząsnął przecząco głową.

– Nie. Leży w szpitalu. Ale rozmawiałem z Davidem. Przekaze informację.

– Robertowi? Od kiedy są takimi dobrymi kolegami?

– David zgodził się wypłacić odszkodowanie ofiarom lawiny błotnej.

– Tak?

– Widocznie musiałaś go przekonać.

– Ja? Rozmawiałam z nim tylko raz i nie przypominało to przyjaznej pogawędki.

– No cóż, najwyraźniej potrafisz być przekonująca, kiedy jesteś nieprzyjazna. David zabrał Roberta na spotkanie z prawnikami, żeby ruszyć tę sprawę.

Lexy zapamiętała samochód przed szpitalem, widok wsiadającego do niego Roberta, własne podejrzenia.

– Wiesz, myślałam, że David próbował mnie zabić. Że Robert też jest w to zamieszany.

– Nie, mają to na sumieniu kuzynka Jenny i jej pomagier Pendleton.

– Prawdę mówiąc, to był sam Pendleton. Do tego czasu zdążyła się go już pozbyć. Pewnie pomyślał, że tą sztuczką z węzłem wkupi się z powrotem w jej łaski.

– Istnieją prostsze sposoby, żeby zaimponować kobiecie. – Danny podniósł butelkę whisky pod światło, żeby sprawdzić, ile jeszcze zostało. – Chcesz coś przegryźć? – Lexy odmówiła. – Powinnaś coś zjeść, jeśli masz zamiar nadal pić w tym tempie. – Lexy zmroziła Danny’ego wzrokiem. – Już dobrze. Tak tylko mówię. Posłuchaj, zobaczę, czy uda mi się zamówić kanapki. Na później. Na wszelki wypadek.

Lexy odprowadziła go wzrokiem, kiedy zniknął w holu, zaciekawiona, czy pójdzie mu lepiej. Pomyślała, że nie zniesie kolejnej zupy pomidorowej z puszki. Czerwonej, gęstej, zmarzniętej. Wzdrygnęła się, osuszyła kieliszek, odstawiła go zamasyście na stół i spojrzała na swoje dłonie. Zaledwie parę godzin temu miała na nich krew babci. „Więzy krwi są najważniejsze” – usłyszała w myślach szept matki. Doprawdy tak było.

Kiedy Danny wrócił z pustymi rękami, trzymając jedynie pomarszczone jabłko i pociemniałego banana, które leżały w misce w opuszczonej kuchni hotelu, Lexy zdążyła zatopić się w rozmyślaniach; butelka whisky zrobiła się zauważalnie lżejsza, za to nastrój konsumentki znacznie cięższy. Wzięła banana i obrała go, ostatecznie rzuciła go jednak w nienaruszonym stanie na stół.

– No dalej, Lexy. Musisz coś zjeść.

Zignorowała go.

– Wiesz, tak sobie myślałam, że każdy, kogo kochałam, komu ufałam, mnie okłamał. Jak mam znów komuś uwierzyć?

– Zachowujesz się nieco dramatycznie, Lexy.

Danny odsunął banana na bok i znów ujął szklankę whisky w dłonie. Nie lubił whisky, ale Lexy się uparła, by jej potowarzyszył i tym razem się nie kłócił. Nie chciała pić sama.

– A co ty możesz wiedzieć? Ty i twoja niezawodna rodzinka z Cheshire sięgająca korzeniami Magna cholernej Carta, no i przewidywalna matka, przewodnicząca Instytutowi Kobiet, piekąca ciasta... i te twoje... twoje... sama nie wiem! Ale nie masz zielonego pojęcia...

– Nie wściekaj się, Lexy. – Jego słowa nie brzmiały jak początek kolejnego wykładu. Protekcyjny ton zniknął. – Musisz zacząć wybaczać.

*O nie, pomyłka. Zaczyna się, pomyślała.*

– Jeśli będziesz się wciąż wściekać na wszystkich i na wszystko, zniszczysz się sama, a i tak niczego nie zmienisz.

– Łatwo ci mówić, prawda?

– O co ci chodzi?

– Próbujesz postawić się w dobrym świetle. Ale ty też mnie zdradziłeś, czyż nie? I okłamałeś.

– To co innego. Ja... Owszem, przespałem się z Fizz, ale...

– Nie tłumacz się.

– Ale nie przestałem cię kochać ani nigdy nie okłamałem.

– Och, nie bądź...

– Nie, nie kłamałem. Naprawdę nie było żadnego romansu, żadnego sekretnego miłosnego gniazdka, udawanych wyjazdów na konferencje czy seminaria za miastem. Przespałem się z nią tylko raz, po czym się dowiedziałaś. I szczerze mówiąc, gdybyś nie wiedziała, myślę, że i tak spałbym z nią tylko raz. Nigdy więcej. Nie kochałem jej, Lexy. Miałaś tego świadomość.

– Ja... Tylko raz? Nie wiedziałam... ale nie o to mi chodzi! Chodzi o to, że mnie zdradziłeś.

– Nie. Chodzi o to, że byłem zły. I zrobiłem coś, czego żałuję bardziej, niż potrafię wyrazić słowami, ponieważ byłem zły.

– Ty byłeś zły? – Lexy zaśmiała się gorzko. – Ty nie potrafisz się złościć, brak ci pasji. – Jednak kiedy wypowiadała te słowa, przypomniała sobie jego ryk, z którym ku jej zdumieniu rzucił się na Jenny.

– No cóż, wychodzi na to, że mam w sobie złość. I wyrażam ją w bardzo autodestrukcyjny sposób.

– A więc to moja wina.

– Nie, tego nie powiedziałem. Byliśmy zepsuci. Uszkodzeni. Chciałem nas naprawić, ale nie potrafiłem. Odcięłaś się ode mnie. Naskakiwałaś na mnie, kiedy próbowałem się zbliżyć. Och, sam już nie wiem. Nie warto wytykać sobie, kto kiedy popełnił błąd. Koniec z wzajemnymi oskarżeniami. Wiem, jaki błąd popełniłem, i muszę z tym żyć. Ale nie kłamałem, Lexy. Nie okłamałem cię.

– Cholerny zrzedzący profesorek. Na jedno wychodzi. Zdradziłeś. Tak jak moja niedawno odnaleziona przebiegła rodzinka o morderczych skłonnościach...

– Nie, Lexy, daj sobie spokój. Wybacz...

– Wybaczyć? Komu? Och, chyba powinnam zacząć od ciebie, prawda? Mój ty bohaterze spieszący mi na ratunek. Tak ci się tylko wydaje. Nie myśl sobie, że nie wiem, co kombinujesz. Próbujesz wrócić do mojego życia.

– Nie potrzebowałaś i nie potrzebujesz, żebym cię ratował. Ale czy to źle, gdybym chciał się tobą zaopiekować?

– Zdradziłeś mnie! – Nie chciała go słuchać, nie pozwoliła mu zagłuszyć jej gniewu, wściekłość bulgotała jak lawa, rozpaczliwie szukająca ujścia, uciezki i oczyszczenia.

– Dobrze. Zapomnij o mnie. Ale wybacz swojej matce. Babci. Wszystkim, na których się złościś. Czujesz złość, bo ich kochałaś, wiesz? Złość cię zaślepiała.

– Ach, tak, panie Mądraliński?

– Oni zrobili to, ponieważ cię kochali.

– Och, nie mogę słuchać tych bzdur. Naprawdę, Danny, rzekomo jesteś wschodzącą gwiazdą świata nauki, a mógłbyś pisać teksty do płaczących audycji Jemy’ego... Jeremy’ego Kyle’a. Co ty możesz o tym wiedzieć? Klepiesz frazesy mimo tytułów naukowych i publikacji i... i tak dalej. A nie masz zielonego pojęcia o życiu! Jesteś głupi, taki... naiwny. Dałeś się złapać „małej, bezradnej kobiecie” na dziecko.

– Dosyć tego, Lex.

– Nie, to nie koniec. Jeszcze nawet nie zaczęłam. – Chwyła za butelkę i dołała sobie sownie, kropelki trunku obficie rozpryskały się po blacie jak deszcz monsunowy.

– To nie moja wina, Lexy. – Danny zakręcił butelczynę whisky i odstawił ją daleko na bar. – Złóścisz się, bo myślisz, że cię zdradzono, ale...

– Ty też! Zdradziłeś mnie. Zostawiłeś mnie...

– To ty mnie odrzuciłaś, Lexy. Mówiłem ci już. Gdybyś nie kazała mi odejść, nie doszłoby do niczego z Fizz. A ponieważ...

– A ponieważ z radością uwierzyłeś, że zaszła z tobą w ciążę i zabawicie się w wesołą rodzin...

– Zdecydowanie nie tryskałem radością. Próbowałem po prostu postąpić właściwie.

– Och, tak. Tylko ty mogłeś dać się nabrać na najstarszą sztuczkę świata. Zawsze musisz odegrać człowieka z honorem.

– Co w tym złego?

– Jak możesz być tak naiwny? Jak? To znaczy, na pewno...

– Lexy, czy to ważne? Nie mam pojęcia. Znasz się na ginekologii lepiej ode mnie. Co niby miałem zrobić, poprosić ją o dowód?

– Tak!

– Przespałem się z nią, po czym zaszła w ciążę, co miałem powiedzieć?

Zresztą to już nieważne. Popełniłem okropny błąd. Ale... Teraz mi ulżyło.

– A co z dzieckiem? Twoim dzieckiem? Przecież chciałeś...

– Czasem jesteś taką idiotką, Lexy. Tak, chciałem mieć dziecko, chcę dziecka, ale nie z Fizz. W życiu. Z kimś, kogo Kocham. Z tobą.

– Ani mi się waży. Nie. – Lexy z trudem sklecała słowa, zaczęła wysławiać się bardziej rozważnie, próbując odzyskać panowanie nad głosem. – Danny dostał kosza, więc przybiega do mnie?

– To nie tak.

– Właśnie że tak. Z mojego punktu widzenia to ściema. Nie możesz tak robić. Nie możesz mnie zdradzać, a potem wracać do mojego życia i oczekiwać, że...

– Niczego nie oczekuję. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że cię Kocham. Że tu jestem. I że nie kłamałem, do cholery...

Lexy przerwała mu, wstając od stolika, po czym wybiegła z pokoju, trzaskając drzwiami.

**W**biegu po kamienistej plaży tkwiło coś satysfakcjonującego. Skrzypienie i trzeszczenie kamyczków pod stopami przywodziło na myśl krzyki wznoszone w głowie, ciosy wymierzane w wyimaginowane worki treningowe. Powoli zwalniała, ponieważ łydki zaprotestowały wobec wymierzania im tak nietypowej kary. Przystanąła, wsparła ręce na biodrach, oddychając ciężko, i obejrzała się za siebie na górę wznoszącą się nad plażą oraz hotel przypominający domek z gry Monopoly żywcem zdjęty z planszy.

Jak on śmiał? Jak śmiał?! A jednak złość zaczęła maleć. Co ją tak rozwścieczyło? Fakt, że Danny przespał się z Fizz? Czy to, że był takim naiwniakiem i idiotą? A może to, iż nadal ją kochał, mimo że zachowała się jak rasowa dzi...

Zadzwonił telefon, jej własny telefon. Wyjęła go z kieszeni. Robert.

– Halo?



– Lexy?

– Tak. Robercie...

– Ona nie żyje.

Lexy opadła na kolana na niewzruszone kamienie, niepomna na ból.

– Lexy? Jesteś tam?

– Ja... O Boże, Robercie, tak mi przykro.

– I powinno być ci cholernie przykro. Ty i te twoje dramatyczne występy... Kazałaś jej rozgrzebywać przeszłość. Nie miała zdrowia do tego, by brać udział w twoim teatrzyku.

– Nie! Nie możesz mnie o to winić. Jesteś lekarzem. Jeśli nie była w stanie tego zrobić, dlaczego pozwoliłaś jej...

– A do tego wieści o Helen... Tego było już za wiele.

– Myślałam, że operacja nie będzie skomplikowana.

– Tak, ale pacjentka była za słaba. I to dzięki tobie. Nie zdołała wyleczyć się z infekcji i... i... – Usłyszała, jak Robertowi załamał się głos, wiedziała, że płacze.

– Robercie, naprawdę bardzo, bardzo mi przykro.

Evie. Dobry Boże. Evie nie żyje. A Lexy wyjechała w takim pośpiechu, pozwoliła, by Robert ją przegnał, choć powinna nigdzie się nie spieszyć i stosownie pożegnać, życzyć starszej pani zdrowia. Evie tak bardzo jej pomogła, Lexy wiedziała, że nurzanie się w przeszłości nie przyszło jej bez trudu. Nigdy nie powiedziała Evie, jak bardzo była jej wdzięczna. Nie podziękowała, że staruszka wyznała jej to, co Lexy chciała wiedzieć. Pewnie byłaby szczęśliwsza, żyjąc w niewiedzy, ale tak, musiała się dowiedzieć. Lexy miała nie tylko poczucie winy, ale też straty. Przecięto kolejną nić wiążącą ją z życiem matki. A wiedziała, że gdyby tylko dostała szansę, z czasem polubiłaby, a może nawet pokochała Evie, która ostatecznie była jej matką chrzestną.

– Nie powinnaś tu przyjeżdżać, Lexy. Nic by się nie stało, gdybyś nie rozgrzebywała przeszłości z taką determinacją. No cóż, mniemam, że było warto. Mam nadzieję, że twoja nowo odnaleziona bogata rodzinka jest warta śmierci Helen. I babci... – Lexy słyszała, że Robert się krztusi i z trudem łapie powietrze. – Liczę, że będziesz potrafiła z tym żyć, Lexy. – W słuchawce zapanowała głucha cisza.

Lexy przewróciła się, zwinęła w kłębek, czując już twarde kamienie pod sobą, rozkoszując się bólem, na który zasługiwała, po czym zaczęła płakać.

Z  
ziębnięta i obolała, z ciężką głową, ponieważ wywołane whisky szum i ogień wygasły, Lexy wlokła się ścieżką pod górę z powrotem do hotelu. Z ulgą stwierdziła, że drzwi są otwarte, prześlizgnęła się więc obok opustoszałej recepcji w ciemnym korytarzu i poczłapała do swojego pokoju. Delikatnie zamknęła za sobą i usiadła na podłodze.

Obserwowała Danny'ego, jak śpi, jego klatka piersiowa to wznosi się, to opada, miarowe tempo hipnotyzowało, a cichy szmer oddechu uspokajał jak kołysanka. Łzy znów napłynęły jej do oczu. Kiedy już pozwoliła sobie na płacz, nie była pewna, czy zdoła go zatamować. Wiedziała, że Danny ją kochał. W ciągu minionych paru dni udowodnił to ponad wszelką wątpliwość. Pytanie brzmiało inaczej...

Odcięła się od własnych myśli, zamrugła i otarła łzy. Wstała i podeszła na palcach do okna, wyjrzała zza perkalowych zasłon i zapatrzyła się na blady świt, zielonkawą poświatę na tle czarnego płótna bezchmurnego nieba. Od zawsze wolała zachody, ale gdy teraz wpatrywała się w jasną żółć porannego słońca, które wybijało się ponad górskie szczyty w oddali, doszła do wniosku, że wschody były równie piękne, a paleta barw tak samo pełna i bogata jak ta malowana rozgrzanyymi widmami, zwiastującymi nadchodzącą noc. Wschody nie były ani trochę mniej ekscytujące, jedynie inne. Świt i zmierzch, światło

i ciemność. Oba mające rolę do odegrania.

Spojrzała znów na Danny'ego.

– O! Nie śpisz. – Zastanawiała się, jak długo jej się przyglądał, wsparty na łokciu, jego blond włosy zmierzwione i połowicznie zakrywające wciąż nieogoloną twarz.

– O czym rozmyślałaś?

– Musisz pytać?

– Tak, Lexy, muszę. Sam już nie wiem, jak mam odczytywać twoje nastroje. Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek to umiałem.

Najpierw przytaknęła z namysłem, potem wzruszyła ramionami, podeszła do łóżka i usiadła obok niego. Ujęła jego dłoń w swoje ręce.

– Danny, przepraszam. Nie chciałam się kłócić, żałuję, że powiedziałam ci tamte rzeczy. To przez whisky... Nie, nieprawda. Chodziło o to... Chciałam się rozładować... zrobić komuś przykrość... To okropne. A ty byłeś pod ręką, więc... Po tym wszystkim, co dla mnie zrobiłeś...

– W porządku. Przeżyję. Nie jestem takim skończonym mięczakiem, za jakiego mnie masz. – Zdołał uśmiechnąć się półgębkiem; wyglądał smutno, a jednocześnie zadziornie, niemal chłopięco, Lexy wiedziała, że mówił z przekonaniem. Przebaczył jej, zresztą jak zawsze. Był jak skała. Nie, jak rośnięte, silne drzewo – dąb albo wierzba – smagane wiatrem, ale mocno zakorzenione, potrafił się ugiąć, ale kiedy zawierucha mijała, znów stał prosto, dając cień i schronienie. Tak wspaniale byłoby schować się pod jego gałęziami.

– Danny, ja...

– Nie. Nic nie mów.

– Postanowiłam, że muszę wrócić do Malawi.

– O Boże, Lexy, dlaczego?

Danny zabrał swoją dłoń z jej uścisku, podniósł się i oparł plecami o różowe

wyścielane wezglowie, po czym sięgnął po okulary, unikając jej wzroku.

– Chcę... dowiedzieć się, kim jestem. Co to znaczy być wnuczką Helen. Członkiem rodziny Buchananów.

– Bogaczką.

– Nie, Danny. – Lexy ubodła niespodziewana gorycz w jego tonie. – Nie chodzi o pieniądze. Ale o rodzinę. Moją rodzinę.

– Czy po paru ostatnich dniach nadal chcesz być jej częścią?

– Nie mam wyboru. Należę do niej. Muszę się z tym pogodzić. Dlatego wracam. I...

Lexy poczuła gulę w gardle, przełknęła ją i znów spróbowała się wysłowić.

– I chcę też... iść na pogrzeb Evie. Chcę się z nią pożegnać.

– Z nią...? Och, Lexy.

– Dzwonił Robert. Wini mnie za jej śmierć.

– Ale to niedorzecz...

– Nie, wcale nie. Rozumiem go. I potrafię zrozumieć, że on też musi się na kogoś wściekać. – Danny uniósł brew, a ona uśmiechnęła się przeproszająco. – Niech więc złości się na mnie. Nieważne, Danny. Tak czy inaczej, zasłużyłam sobie. Postąpiłam bardzo źle.

– No cóż, okoliczności były ekstremalne.

– To żadna wymówka. Powinnam tam być. To będzie moja pokuta.

– Pojadę z tobą.

Lexy pokręciła przecząco głową.

– Chcę, a właściwie muszę zrobić to sama. Osobiście to naprawić.

– Z Robertem. – Spojrzał wilkiem, przez chwilę wyglądając niepokojąco gburowato.

– Co? Nie. No cóż, tak, po części, ale nie w tym rzecz. Tak naprawdę robię to ze względu na sto czterdzieści parę rodzin, które straciły swoich ukochanych

bliskich przez moją rodzinę. Zaslugują na zadośćuczynienie.

– Z Robertem. – Danny uczeplił się tej myśli jak rzep psiego ogona.

– Mówiłam ci już, że to nie ma z nim nic wspólnego. To sprawa rodzinna. Bez względu na to, co o nim myślę, jest jeszcze David. I Ross. Muszę znaleźć sposób, żeby nas połączyć, zaopiekować się... Danny!

Danny zrzucił z siebie pościel i zebrał ubrania, potykając się, kiedy noga utknęła mu w nogawce jeansów i z przekleństwem na ustach opadł z powrotem na łóżko.

– Danny, spokojnie. – Lexy rzadko widywała, by Danny się złościł, więc musiała starać się z całych sił, żeby powstrzymać się od śmiechu.

– Nie kłam, Lexy. Rób, co ci się podoba, ale nie okłamuj mnie, do cholery. Nie ty! Dopiero co walnęłaś mi kazanie, że nie znosisz, kiedy ludzie ci to robią, więc nie ściemniaj. Zasluguję na coś lepszego.

Zebrał się i wstał, sięgając po koszulkę.

– Wiesz, rozumiem to. Afrykański sen, ty i Robert naprawiający całe zło kolonialnego...

– Danny, posłuchasz mnie wreszcie? Nie ma Roberta i mnie.

– W takim razie dlaczego nie mogę jechać z tobą?

– Bo wcale by ci się tam nie podobało. – Próbowwała się uśmiechnąć, odjąć sytuacji ciężaru. – Wiesz, jaki jesteś wybredny, jeśli chodzi o obcą kuchnię i...

– Nie traktuj mnie protekcjonalnie, Lexy. I nie trywializuj tego, co mówię. Zrobiłbym dla ciebie wszystko. Pewnie już zdążyłaś zdać sobie z tego sprawę? Kocham cię, do cholery, Lexy.

– Wiem, Danny.

– Taa, jasne. – Pospiesznie ubrał kurtkę i postawił kołnierz.

– Wiem, że mnie kochasz, właśnie dlatego powinnam zrobić to sama. Pragnę pogodzić się z... ze sobą. Muszę to dla siebie zrobić. Chcę... – Danny patrzył na

nią ze znużeniem. – Chcę, żebyś został na miejscu. – Prychnął, odwrócił wzrok, zaplął kurtkę i wyjął z kieszeni kluczyki do auta.

– Danny. – Położyła mu dłoń na ramieniu, by go zatrzymać. – Posłuchaj mnie. Proszę, żebyś został, ponieważ to dla ciebie chcę wrócić do domu.

# Podziękowania

Pierwszy szkic *Listu z przeszłości* zwyciężył w konkursie na najlepszą powieść organizowanym przez gazetę „Sunday Mail” w 2015 roku. Za możliwość wydania książki oraz za ogromny kredyt zaufania pragnę z całego serca podziękować jurorom: dziennikarce „Sunday Maila” Heather Greenaway, pisarce Danieli Sacerdoti, nabywczynie tytułów ze szkockiego oddziału sieci księgarń Waterstones – Angie Crawford, a także Alison McBride, dyrektorce działu marketingu wydawnictwa Black & White. Moje podziękowania należą się także pozostałym członkom zespołu Black & White Publishing, w szczególności redaktorce Karyn Millar – za fachowe wprowadzenie mnie w ten nowy dla mnie świat, towarzyszenie mi podczas mojej pierwszej przygody z branżą wydawniczą oraz pomoc w nadaniu tej książce możliwie najlepszego kształtu.

Dziękuję także wszystkim, którzy mi pomagali od momentu narodzin pomysłu w postaci opowiadania do wydania ostatecznej powieści, którą Czytelnicy trzymają właśnie w rękach. Wiele mądrych słów usłyszałam w samą porę w Moniack Mhor, Centrum Kreatywnego Pisania. Podziękowania należą się Isli Dewar i Morag Joss oraz Sophie Cooke, dyrektorce szkoły pisania Skriva Writing School, za nieustanne zachęcanie oraz zadawanie niezmiennie trafnych pytań. Ponadto uczestniczkom pisarskich warsztatów z mojej grupy: Marianne Paget, Emily Dodd i Louise Kelly – za empatię, szczerść i poczucie humoru. Annie oraz ekipie z miejscowości Casa Ana w Hiszpanii pragnę podziękować, że

zwolnili mnie z codziennych obowiązków i wzięli je na swoje barki, podczas gdy ja mogłam poświęcić się bez reszty pracy nad pierwszą wersją tej książki. Zobaczcie, co z tego wyszło. Jeszcze do Was wrócę.

Na końcu pragnę wymienić przyjaciół i rodzinę, którzy dopingowali mnie, wysłuchiwali i wytrzymywali ze mną. Wiecie, o kim mówię. Jestem Wam ogromnie wdzięczna. Nie mówię Wam tego zbyt często, dlatego pragnę, by to skierowane pod Waszym adresem słowo pojawiło się w druku: dziękuję.



TYTUŁ ORYGINAŁU:

*Ursula's Secret*

Redaktor prowadząca: Aneta Bujno

Redakcja i korekta: Studio Editio

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © CatLane (iStock.com)

Copyright © Mairi Wilson 2015

Copyright © 2017 for Polish edition by Wydawnictwo KobiECE,

an imprint of ILLUMINATIO Łukasz Kierus

Copyright © for Polish translation by Monika Skowron

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2017

ISBN 978-83-65740-71-7



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

[www.facebook.com/kobiece](http://www.facebook.com/kobiece)



[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

Wydawnictwo KobiECE

E-mail: [redakcja@wydawnictwokobiece.pl](mailto:redakcja@wydawnictwokobiece.pl)

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

Plik opracował i przygotował Woblink

**woblink**  
[woblink.com](http://woblink.com)